

Robert Fabbri

Wespazjan

Kat Rzymu

Vespasian: Rome's Executioner

Przełożył

Konrad Majchrzak

*Ciotce Elisabeth Woodthorpe,
która zawsze była dla mnie wsparciem*



PROLOG

RZYM

LISTOPAD, 29R.

Ciemną brukowaną uliczką prowadzącą w górę Wiminału podążały dwie okryte płaszczami, zakapturzone postaci. Równomierny stukot podbitych gwoździemi sandałów niósł się echem między brudnymi ceglanyimi ścianami. Noc była bezksiężycowa, powietrze duszne i nieprzyjemne. Pierwsza zimowa mgła wieczorem opadła na miasto, a teraz zgęstniała od dymu unoszącego się z niezliczonych palenisk położonej niżej, gęsto zamieszkaney dzielnicy Subura, oblepiała wełniane płaszcze obu mężczyzn, zbijając się w kłęby za ich plecami. Oświetlali sobie drogę migocącymi pochodniami.

Obaj byli świadomi, że są śledzeni, ale żaden nie oglądał się za siebie, bo nie chcieli zwalniać kroku. Wiedzieli, że nie grozi im bezpośrednie niebezpieczeństwo, ponieważ sądząc po zachowaniu tamtych, mieli za plecami szpiegów, a nie rabusiów.

Niemal biegiem ominęli sterty śmieci, zdechłego psa, stosy ekskrementów, a nawet jakąś nieszczęsną, leżącą w kałuży krwi i pojękującą ofiarę napadu. Nie chcąc podzielić losu umierającego, przeszli, nie odwróciwszy głów w jego stronę, i gnali dalej pod górę, na szczyt Wiminału. Tam szersze i przyzwoitsze ulice bywały patrolowane przez uzbrojonych w pałki nocnych strażników. Oni jednak wiedzieli, że muszą unikać stróżów prawa; nie mogli sobie pozwolić na to, by ich zatrzymywano i wypytywano, i dlatego celowo ruszyli z Palatynu nie bezpiecznymi uliczkami Subury. O tak późnej nocnej porze, bez żadnej ochrony, natychmiast wzbudziliby podejrzenia, a tymczasem, jeśli miało im się powieść, przynajmniej po części, musieli dotrzeć do celu bez przeszkód i bez niczyjej wiedzy.

Aby zmylić depczących im po piętach szpiegów, ruszyli biegiem, skręcając kilkakrotnie to w lewo, to w prawo, i w rezultacie tamci znaleźli się całkiem blisko. Słyszeli wyraźnie ich kroki, mimo dochodzącego przez mgłę i dym turkotu kół wozów i stukotu końskich kopyt.

Kiedy skręcili w kolejną przecnicę, jeden z mężczyzn spojrzał na towarzysza.

– Uważam, że powinniśmy ich zlikwidować, zanim pójdziemy dalej – syknął, wciągając go w zagłębienie pobliskiego wejścia.

– Skoro tak uważasz, panie – odparł spokojnie drugi mężczyzna, którego osłoniętą kapturem gęstą, czarną brodę ledwie było widać w świetle pochodni. – Co proponujesz? Sądząc po krokach, rzekłbym, że jest ich czterech.

Na okrągłej twarzy młodszego pojawił się cień irytacji, ale znał swojego towarzysza, jego nienaganne maniery i sposoby okazywania szacunku od prawie czterech lat; w końcu ten człowiek wciąż był niewolnikiem.

– Nie mam żadnego planu, po prostu rzucimy się na nich, kiedy będą nas mijali – odparł, wysuwając powoli miecz z ukrytej pod płaszczem pochwy.

Jedynie pretorianom i członkom kohorty miejskiej wolno było nosić miecze w obrębie murów miasta; dlatego właśnie starali się przemykać niezauważeni przez przedstawicieli władzy.

Mężczyzna, dobywając swojego, przyjął ten przejaw impulsywności młodego przyjaciela z uśmiechem.

– Proste plany, panie, są często najlepsze, ale może pozwolisz, bym zaproponował pewne drobne udoskonalenie?

– Co takiego?

– Ja zostanę tutaj z pochodniami, a ty ukryjesz się po drugiej stronie zaułka i zaatakujesz ich od tyłu, kiedy ruszą na mnie; to pozwoli nam wyrównać szanse.

Zły na siebie, że sam nie wpadł na taki prosty pomysł, młody człowiek zastosował się do sugestii towarzysza. Wyjął zza pasa krótki sztylet i czekał, z bronią w obu rękach, niewidoczny w gęstych oparach, zastanawiając się, w jaki sposób jego towarzysz zdołał osłonić światło pochodni.

Po kilku chwilach usłyszał głosy mężczyzn na końcu uliczki.

– Tutaj skręcili, jestem tego pewien – warknął jeden z nich, kiedy wychodzili zza rogu – wiedzą, że ich ścigamy, i przyspieszyli... Co jest, do...

Nim zdążył dokończyć, w powietrzu przefrunęła kapiąca płonąca smołą pochodnia, trafiając go w szyję. Wełniany płaszcz i włosy mężczyzny w jednej chwili zajęły się ogniem. Wrzasnął przeraźliwie i runął na kolana. Jego głowę otoczyła kula ognia. Duszne powietrze przepełnił ostry zapach płonących włosów i tkaniny. Jego współnik jeszcze nie zdążył się dobrze zorientować w sytuacji, a już czubek miecza przebijał mu żuchwę i wychodził lewym uchem, prawie odcinając szczękę, zadając niewyobrażalny ból i wypełniając tchawicę gorącą krwią. Z przeciągłym gulgoczącym krzykiem osunął się na ziemię. Przyciskał ranę rękoma, a z jego otwartych ust unosiła się mgielka drobnych ciemnych kropelek.

Młodszy mężczyzna wyskoczył z ukrycia wprost na pozostałych dwu szpiegów, odcinając im ewentualną drogę odwrotu. To nowe zagrożenie, które zmaterializowało się w ciemności za ich plecami, było już nie do zniesienia dla ludzi przyzwyczajonych do tajnych działań i zaskakiwania swoich ofiar w mrocznych zaułkach; odrzucili sztylety i każdy z nich opuścił się na kolano na znak poddania. Ich sylwetki rysowały się wyraźnie na tle płonącego ubrania wijącego

się na ziemi przywódcy.

– Wy tchórzliwe szczury – rzucił pogardliwie młodszy mężczyzna – co tak się za nami skradacie, kto was wysłał?

– Proszę, panie, nie zamierzaliśmy wyrządzić wam żadnej krzywdy – odezwał się błagalnie jeden z nich.

– Żadnej krzywdy – krzyknął gniewnie młodzieniec – w takim razie to też nie jest żadna krzywda. – Prostym wojskowym sztychem wbił mu gladius głęboko w gardło, przebijając kręgosłup.

Szpieg padł martwy na ziemię, nie wydawszy nawet dźwięku. Jego kolega patrzył przerażony na kolejnego trupa i wzrokiem błagał o litość. Stracił kontrolę nad pęcherzem i zaczął szlochać.

– Masz jeszcze szansę wyjść z tego cało – oświadczył z naciskiem młodszy mężczyzna. – Powiedz nam, kto was posłał.

– Liwilla.

Młody mężczyzna skinął głową; najwyraźniej jego podejrzenia znalazły potwierdzenie.

– Dzięki – powiedział jego brodaty towarzysz, wychodząc zza pleców kłęczącego szpiega. – Chyba rozumiesz, że nie możemy cię puścić. – Chwycił mężczyznę za włosy, pociągnął głowę do tyłu i jednym ruchem poderżnął mu gardło, po czym pchnął na ziemię drgające ciało. – A teraz wykończ tego, panie – powiedział, wskazując ręką wydającego słabe jęki, wciąż jeszcze tłącego się przywódcę – i ruszajmy.

Ćwierć mili dalej stanęli przed nabijanymi żelaznymi ćwiekami drzwiami domu przy ulicy lampiarzy, nieopodal bramy Wiminalskiej. Brodacz zapukał trzykrotnie, zrobił przerwę i ponownie zastukał trzy razy. Po kilku chwilach uchylono okienko w drzwiach.

– W jakiej sprawie? – zapytał ktoś z mroku za drzwiami.

Mężczyźni zsunęli kaptury i oświetlili pochodniami swoje twarze.

– Jestem Tytus Flawiusz Sabinus, a to jest Pallas, zarządca domu pani Antonii – odparł młodszy. – Przyszliśmy tutaj na umówione spotkanie z trybunem Kwintusem Newiuszem Kordusem Sutoriuszem Makronem z gwardii pretoriańskiej, w sprawie, która dotyczy wyłącznie tej damy i trybuna.

Okienko zatrzaśnięto i drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Zostawiwszy pochodnie w

uchwytach na zewnętrznej ścianie domu, Sabinus i Pallas weszli do niewielkiego, słabo oświetlonego pokoju, który w porównaniu z przytłaczającą ciemnością ulic wydał się ciepły i przytulny. Na drewnianej podłodze stało kilka składanych taboretów wokół paru stolików, na których migotały oliwne lampki. W głębi, blisko zasłoniętego kotarą wejścia, stało proste drewniane biurko; dwie lampki na obu jego krańcach stanowiły dodatkowe źródło światła.

– Trybun wkrótce was przyjmie – oświadczył stojący przy drzwiach mężczyzna. Ubrany był w strój pretorianina, obowiązujący podczas służby na terenie miasta: białe oblamowana czarna tunika, ściągnięta pasem, i biała toga, pod którą tkwił gladius, zawieszony na noszonej skośnie szarfie. – Wasza broń, proszę.

Niechętnie oddali miecze i sztylety wartownikowi, który położył je z dala od nich, na biurku. Ponieważ nie poproszono ich, by usiedli, Sabinus i Pallas stali w milczeniu; pretorianin podszedł do zasłoniętego wejścia i tam się ustawił, z dłonią na rękojeści gladiusa, wpatrując się w nich spod zrośniętych brwi nieruchomymi bładoniebieskimi oczami.

Zza zasłony dochodziły jednoznaczne dźwięki wydawane przez doznającą zmysłowej rozkoszy kobietę. Wartownik nie okazywał żadnych emocji, kiedy łagodne jęki stopniowo przybierały na sile, stawały się coraz ostrzejsze, aż przeszły w donośny, ekstatyczny krzyk, który został raptownie przerwany całą serią mocnych uderzeń. Kobieta zaczęła szlochać, ale brutalny cios najwyraźniej pozbawił ją przytomności. W ciszy, jaka nagle zapanowała, Sabinus zerknął nerwowo na Pallasa, ale ten miał minę równie kamienną jak gwardzista; jako niewolnik przywykł do tego, że traktowano go jak mebel, i nie pozwalał sobie na wyrażanie jakichkolwiek emocji mimiką.

Odsunięto raptownie zasłonę i pretorianin wyprostował się jak struna. W wejściu pojawił się Newiusz Makron, odziany tylko w przepasaną tunikę. Był około pięćdziesięcioletnim zwałistym mężczyzną o potężnej klatce piersiowej, wysokim na ponad sześć stóp. Grube umięśnione ramiona i nogi pokrywały krótkie, szorstkie czarne włoski, a całe ich kępy wylaziły pod szyją z wycięcia tuniki. Z krótko, po wojskowemu przystrzyżonymi włosami, kwadratową szczęką, wąskimi ustami i przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu emanował autorytetem i żądzą władzy.

Pallas zachował nieprzenikniony wyraz twarzy, uśmiechał się jednak w duchu; widział, że jego pani wybrała właściwego człowieka do swoich celów. Sabinus mimowolnie stanął na baczność, choć już nie obowiązywała go przecież wojskowa dyscyplina. Wyraz rozbawienia

przemknął przez twarz Makrona; mężczyzna był przyzwyczajony do tego, że robi na ludziach takie wrażenie, i dostarczało mu to przyjemnego poczucia wyższości.

– Spocznij, cywilu – powiedział przeciągle, ciesząc się, że wprawił w zamieszanie młodego człowieka. – Wiesz, kim jestem, bo inaczej by cię tutaj nie było. Przedstaw się, a potem mi powiedz, dlaczego Antonia uważała za stosowne przysłać do mnie z wiadomością młodego, nic nieznaczącego człowieka i niewolnika.

Sabinus zdusił gniew, jaki wywołała w nim ta umyślna zniewaga, i wyprostował się, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

– Jestem Tytus Flawiusz Sabinus, a to jest...

– Wiem, kim jest ten niewolnik – przerwał mu bezceremonialnie Makron, siadając na taborecie za biurkiem – to ty mnie interesujesz; skąd pochodzi twoja rodzina?

– Pochodzimy z Reate; mój ojciec był centurionem, dowódcą drugiej kohorty Drugiego legionu *Augusta*, i walczył pod naszym ukochanym cesarzem w Germanii, zanim został zwolniony ze służby z powodów zdrowotnych. Brat mojej matki, Gajusz Wespazjusz Pollo, należy do warstwy senatorskiej i siedem lat temu był pretorem. – Sabinus zamilkł, świadom, jak żałośnie przeciętną ma rodzinę.

– Tak, znam senatora Pollona; należałem kiedyś do jego klientów, ale był zbyt słaby i za mało wpływowym jak na to, co chcę w Rzymie osiągnąć, i dlatego odrzuciłem jego patronat. Masz może ochotę zająć się kiedyś tą rodzinną zniewagą?

Sabinus pokręcił głową.

– Jestem tu wyłącznie w sprawie pani Antonii – odpowiedział.

– No cóż, siostrzeńcze byłego pretora, a kimże ty jesteś dla Antonii? – Makron wbił wzrok w młodego człowieka.

– Mój wuj ma u niej pewne względy – odparł po prostu.

– Zatem mała rybka w postaci byłego pretora szuka protekcji wielkiej wielorybicy i w zamian wykonuje za nią brudną robotę, a jego siostrzeniec awansuje do wzniosłej roli posłańca. No cóż, posłańcze, siadaj i przekazuj tę wiadomość.

Sabinus poczuł ulgę, że może przestać się czuć jak niegrzeczny uczeń karcony przez nauczyciela.

– Nie przynoszę ci wiadomości, trybunie; jestem tutaj wyłącznie po to, by podnieść rangę słów niewolnika. Wiadomość przynosi Pallas.

– Rangę? – rzucił kpiąco Makron. – Szlachetna dama uznała, że nie zechcę wysłuchać niewolnika. Cóż, miała rację, z „rangą” czy bez, czemu niby miałbym wysłuchać niewolnika?

– Bo jeśli tego nie zrobisz, stracisz interesującą okazję – oświadczył Pallas, patrząc wprost przed siebie.

Makron, nie wierząc własnym uszom, wbił w niego pełen wściekłości wzrok.

– Jak śmiesz się do mnie odzywać, niewolniku? – spytał spokojnym, groźnym głosem, po czym zwrócił się do Sabinusa: – Interesująca okazja. No to mów.

– Niestety, nic ci nie powiem, jako że informację powierzono Pallasowi i albo go wysłuchasz, albo odejdziemy – powiedział młodzieniec. Serce tłukło mu się w piersi, bo obawiał się, że przebrał miarkę, przyciskając Makrona do muru.

Trybun milczał. Chęć dowiedzenia się, jaką sprawę może mieć do niego najpotężniejsza kobieta w Rzymie, walczyła z poczuciem godności osobistej, które zostałyby zdeptane, gdyby wysłuchał osoby stojącej o tyle od niego niżej. Zwyciężyła ciekawość.

– Zatem mów, niewolniku – powiedział w końcu – byle krótko.

Pallas spojrział na Makrona, po czym przeniósł wzrok na stojącego za nim gwardzistę.

– Satriusz Sekundus zostaje, niewolniku – oświadczył Makron, odczytując znaczące spojrzenie Pallasa – on nie wyjawি niczego poufnego; jest mi wierny aż po grób, prawda, Sekundusie?

– Aż po grób! – warknął pretorianin.

– Jak sobie życzysz, panie – zgodził się Pallas, zapamiętując imię żołnierza, by je po powrocie przekazać swojej pani. – Pani Antonia śle pozdrowienia oraz przeprosiny za to, że nie zaprosiła cię do swojego domu, aby porozmawiać z tobą osobiście, jest jednak przekonana, że zrozumiesz, iż nie powinno być żadnych dowodów łączących was dwoje, dla bezpieczeństwa obojga.

– Tak, tak, mów wreszcie, o co chodzi – powiedział trybun, nie kryjąc antypatii do ugrzecznionego Greka.

– Waśń mojej pani z Sejanem nie jest dla ciebie, panie, tajemnicą. Obecnie czuje ona, że ma możliwość zakończyć tę waśń i zdemaskować Sejana przed cesarzem jako zdrajcę mającego zamiar sięgnąć po purpurę.

Makron uniósł brew.

– To poważne oskarżenie. Jakie ma dowody, by przekonać cesarza o tej rzekomej

zdradzie?

– Choć już od jakiegoś czasu zbiera dowody nielojalności Sejana, nie są one jednak wystarczające, by go oskarżyć; ot, kilka dokumentów, popartych pogłoskami i domysłami, jednak żadnych konkretów, żadnych świadków, aż do teraz.

– Świadek? – Makron był wyraźnie zaintrygowany. – Co będzie mógł zeznać?

– Tej informacji naturalnie moja pani mi nie powierzyła.

Trybun skinął głową.

– Jednakże – ciągnął Pallas – nie jest obywatelem; nie będzie zeznawał pod przysięgą, jego zeznania zostaną uzyskane za pomocą tortur w obecności samego Tyberiusza.

– Jak ona chce dostarczyć tego człowieka Tyberiuszowi, skoro to my, pretorianie, kontrolujemy wszelki do niego dostęp?

– Właśnie w tej sprawie pani Antonia potrzebuje twojej pomocy i ma dla ciebie następującą propozycję: pomóż jej obalić Sejana, a w zamian dopilnuje, byś został następnym prefektem gwardii pretoriańskiej.

Oczy trybuna rozbłysły na chwilę, natychmiast jednak się opanował i uśmiechnął słabo.

– Jak może to zagwarantować?

– Jeśli słowo cesarskiej szwagierki ci nie wystarczy, rozważ rzecz następującą: kiedy dojdzie do upadku Sejana, a dojdzie na pewno, nowy prefekt gwardii będzie musiał wkroczyć natychmiast, by opanować masy szeregowych pretorianów i dokonać egzekucji oficerów, którzy pozostali wierni dawnemu przywództwu. To trzeba zorganizować wcześniej i będzie to przedsięwzięcie wymagające pieniędzy, mnóstwa pieniędzy, których ty, panie, nie posiadasz. Pani Antonia dostarczy ci tyle, ile będzie potrzeba na kupienie sobie lojalności ważnych oficerów, kiedy przyjdzie na to czas; tymczasem ty, panie, zorientujesz się, kogo trzeba będzie kupić, i zaczniesz o te osoby zabiegać.

Makron skinął powoli głową.

– A co z dostarczeniem waszego świadka przed oblicze cesarza?

– Z całym należnym szacunkiem, moja pani uważa, że to twój problem; sugeruje, byś załatwił sobie przeniesienie na Capri.

– A to dobre – prychnął Makron – zupełnie jakby dało się to załatwić przez złożenie prośby o przeniesienie. – Dłuższą chwilę wbijał lodowate spojrzenie w Pallasa; twarz Greka, jak zwykle, była nieprzenikniona. – A co ma mnie powstrzymać – wycodził wreszcie powoli – przed

pójdziem do Sejana i powiedzeniem mu tego wszystkiego, co tutaj od ciebie usłyszałem? Nie sądzę, by wtedy tobie, temu siostrzeńcowi byłego pretora i jego rodzinie udało się zachować życie. A jak ty myślisz?

– Tak samo, panie. I nie sądzę, byś ty zachował swoje po przekazaniu mu tego wszystkiego.

– A to dlaczego?

– To, że zgodziłeś się nas przyjąć, da mu powód, by zwątpić w twoją lojalność; założy, że tym razem nie zaproponowano ci wystarczająco wiele, ale następnym razem może być inaczej. Sądzę, że jeśli do niego pójdziesz, to wszyscy będziemy martwi.

Trybun wstał i uderzył dłonią w blat.

– Sekundusie, miecz! – zawołał, zgarniając miecz z biurka.

Drugi pretorianin natychmiast wyciągnął własny gladius i ruszył na Sabinusa i Pallasa.

– Ennia! – krzyknął Pallas.

Makron podniósł rękę, powstrzymując swojego człowieka.

– Czekaj – rozkazał. – Co ma z tym wspólnego moja żona? – warknął.

– W tej chwili, panie, nic – odparł obojętnym tonem Pallas – bo jest w wyśmienitym towarzystwie i niewątpliwie dobrze się bawi.

– Co chcesz przez to powiedzieć, niewolniku? – Makron był coraz bardziej wzburzony.

– Wkrótce po tym, jak dzisiejszego wieczoru wyszedłeś z domu, pani Antonia posłała lektykę po twoją małżonkę, Ennię, z zaproszeniem, by towarzyszyła mojej pani i jej wnukowi Gajuszowi podczas wieczerzy; oczywiście takiego zaszczytu się nie odrzuca. My wyszliśmy stamtąd już po jej przybyciu, natomiast ona zostanie aż do naszego bezpiecznego powrotu, więc może byłoby dobrze kazać Sekundusowi nas tam eskortować.

Makron stęzał, jakby zamierzał się rzucić na Pallasa, jednak po chwili opadł z powrotem na taboret.

– Wygląda na to, że nie dajesz mi wyboru – powiedział cicho. Podniósł wzrok na Pallasa, a w jego ciemnych oczach płonęła nienawiść. – Wierz mi jednak, niewolniku, za tę bezczelność dostanę kiedyś twoje jaja.

Pallas był zbyt rozsądny, by wyrażać jakąś opinię na ten temat.

– No dobrze – oświadczył po chwili trybun, opanowując się. – Sekundus was odprowadzi. Powiedz swojej pani, że zrobię to, o co prosi, ale tylko dla siebie, nie dla niej.

– Niczego więcej od ciebie nie oczekiwała, panie; zdaje sobie doskonale sprawę, że ten sojusz ma charakter praktyczny. A teraz, za twoim pozwoleniem, pójdziemy już.

– Tak, idźcie, wynoście się – rzucił ostro Makron. – Aha, jedno pytanie: kiedy Antonia chce, by ten świadek znalazł się u cesarza?

– Najwcześniej za sześć miesięcy.

– Najwcześniej za sześć miesięcy? To znaczy, że nie ma go w Rzymie?

– Nie, panie, nie ma go nawet w Italii, prawdę mówiąc, nawet go jeszcze nie schwytano.

– To gdzie w takim razie się znajduje?

– W Mezji.

– W Mezji? A kto go tam odnajdzie i sprowadzi do Rzymu?

– Nie kłopotz się tym, panie – odparł Pallas, odwracając się ku wyjściu – wszystko jest pod kontrolą.

CZEŚĆ I

FILIPPOPOLIS, TRACJA

MARZEC, 30 R.



Rozdział pierwszy

Wespazjan przeniósł ostrożnie ciężar ciała na lewą stopę, starając się, żeby nie zaszeleściły suche liście i nie trzasnęła żadna gałązka, których gruba, pokryta łatami śniegu warstwa wyścielała dno lasu. Ostatnie dziesięć kroków pokonał bezszelestnie; z każdym wydechem z jego ust unosiła się para, kiedy po długim pościgu próbował uspokoić bicie serca. Był teraz sam. Swoim dwom towarzyszom, znajdującym się na łowiectwie niewolnikom, wypożyczonym z królewskiej drużyny, kazał pozostać z tyłu i podążać za nim powoli z końmi, podczas gdy on pieszo podchodził ranne zwierzę. Jego ofiara, młody jeleń, była już całkiem blisko; krew z rany na szyi, zadanej wcześniej strzałą z łuku, wydawała się świeższa, co oznaczało, że doganiał osłabione utratą krwi zwierzę. Naciągnął cięciwę łuku i zbliżył pierzysko strzały do policzka. Zrobił kilka kolejnych kroków i rozejrzał się, szukając pomiędzy gęsto stojącymi drzewami plamy płowego futra pośród brunatnoczerwonych i rdzawych kolorów zimowego lasu.

Wespazjan kątem oka dostrzegł nieznaczny ruch z prawej strony i znieruchomiał. Wstrzymał oddech i zaczął powoli obracać krępe ciało w tamtą stronę. Jakieś dwadzieścia kroków od niego, na wpół ukryty w splątanych zaroślach, stał nieruchomo umazany krwią młody byczek, smętnie się w niego wpatrując. Kiedy Wespazjan wycelował, jeleń padł na ziemię i strzał okazał się zbędny. Młodzieniec zaklął wściekły, że po takiej długiej pogoni ominęła go ekscytacja związana z ubiciem zwierzęcia. Sytuacja ta wydała mu się metaforą trzech i pół roku, jakie spędził w Tracji na służbie garnizonowej, po stłumieniu rebelii. Każda zapowiedź akcji kończyła się niczym i wracał do obozu zawiedziony, z nieunurzonym we krwi mieczem, za to ze stopami bolącymi od uganiania się po okolicy za kilkoma zbójami. Gorzka prawda była bowiem taka, że Tracja, państwo podległe Rzymowi, zażywała pokoju, a on się nudził.

Nie zawsze tak było; pierwszy rok był względnie ciekawy i satysfakcjonujący. Po zlikwidowaniu resztek trackich buntowników Pomponiusz Labeo zabrał V legion *Macedonica*, większość IV legionu *Scythica* oraz oddziały jazdy i kohorty pomocnicze z powrotem do obozów nad Dunajem w Mezji, pozostawiając garnizon pod komendą Publiusza Juniusza Cezeniusza Petusa, dowódcy jedyne go pozostałego oddziału pomocniczej jazdy iliryjskiej. Wespazjan był

nominalnym dowódcą pozostałych dwóch kohort IV legionu *Scythica*, drugiej i piątej; w praktyce zdawał się na najstarszego stopniem centuriona, Lucjusza Celusa, pełniącego obowiązki prefekta obozu, który go co prawda tolerował, ale dawał też jasno do zrozumienia, co sądzi o młodych karierowiczach, ulokowanych na stanowiskach dowódczych wyłącznie dzięki ich pozycji społecznej.

Wespazjan wiele się nauczył od Celusa i innych centurionów, którzy prowadzili intensywne ćwiczenia polowe, nadzorowali budowę dróg i mostów, wymagali, by żołnierze dbali o rysz tunek i utrzymywali porządek w obozie; wszystko to były jednak zajęcia pokojowe i po pewnym czasie, znudzony nimi, zaczął tęsknić za wojenną ekscytacją, jakiej doświadczył, choć nazbyt krótko, podczas kilku pierwszych miesięcy pobytu w Tracji. Do wojny jednak nie doszło; musiał zadowolić się jej marną imitacją w postaci niekończących się parad i ćwiczeń.

Rozrywką miały być niesprzyjające zachowaniu szczupłej sylwetki uczyty u królowej Tryfeny, w towarzystwie miejscowych i przybywających z Rzymu dostojników. Zależało mu na wieściach z Miasta, ale królowa i jej goście dzielili się tylko strzepami jakichś niepewnych informacji. Nawet tak daleko od Rzymu ludzie niechętnie otwarcie wypowiadali swoje zdanie, co było dowodem na to, że atmosfera w mieście jest napięta. Sejan pozostawał prefektem pretorianów i niezmiennie cieszył się względami Tyberiusza, który nie ruszał się z Capri. Wespazjan nie miał pojęcia, jak Antonia radzi sobie w politycznej walce z Sejanem, żeby zachować prawowite rządy w Rzymie. Utknąwszy na tak długo w tym odizolowanym zakątku, tylko nominalnie będącym częścią cesarstwa, młody człowiek czuł się jak zapomniany pionek porzucony na skraju planszy. Pragnął wrócić do Rzymu, gdzie mógłby znowu okazać się przydatny dla Antonii i dzięki jej wsparciu zrobić następny krok w karierze. Tutaj mógł się tylko pogрузić w marazmie.

Długi pobyt w Tracji miał wszakże jeden pożyteczny aspekt: Wespazjan nauczył się płynnie posługiwać greką, uniwersalnym językiem mieszkańców Wschodu. Opanował też całkiem nieźle miejscowy tracki, choć to drugie raczej z konieczności niż dla przyjemności. Jedynie polowanie dostarczało mu jakiejś satysfakcji, fizycznego wysiłku i emocji; ten ranek jednak przyniósł mu rozczarowanie.

Z irytacją wypuścił strzałę, która przeszła szyję leżącego zwierzęcia. Natychmiast skarcił się za działanie pod wpływem złości i nieokazanie szacunku stworzeniu, które tak dzielnie umykało mu przez dobrą godzinę. Przedarł się przez zarośla i odmówiwszy nad łbem zwierzęcia

krótką modlitwę dziękczynną do Diany, bogini łowów, wyjął nóż i zabrał się do patroszenia ciepłego jeszcze jelenia. Pocieszał się myślą, że jego cztery lata w armii już się skończyły; zbliżał się koniec marca i szlaki morskie otwierały się po zimie, wkrótce więc przybędzie tu jego zmiennik. Niedługo on sam wyruszy do Rzymu i będzie się ubiegał o niższy urząd w administracji, wchodzący w skład kolegium tak zwanych vigintiviri i, co równie ważne, zobaczy Cenis, sekretarkę Antonii. Pojawiała mu się przed oczyma, kiedy tkwił pochylony nad brzuchem jelenia. Widział jej delikatne, wilgotne usta, roziskrzone błękitne oczy, przepełnione miłością i bólem, kiedy się z nim żegnała. Pamiętał jej nagie, gibkie ciało, z tamtej jednej jedynej wspólnej nocy. Chciał wziąć ją znowu w ramiona, czuć jej zapach i smak, zatrzymać tylko dla siebie; ale jak miał to przeprowadzić? Przecież była niewolnicą i zgodnie z prawem mogła zostać wyzwolona dopiero po ukończeniu trzydziestego roku życia. Coraz energiczniej poruszał nożem, kiedy rozważał beznadziejność tej sytuacji. Nawet gdyby ją wyzwolono, nie mógłby się z nią ożenić, jak mu to się marzyło w naiwności szesnastolatka; ktoś z jego pozycją, z jego ambicją w żadnym razie nie brałby za żonę wyzwolenicy. Mógł ją trzymać jako kochankę, ale jak odniosłaby się do tej sytuacji kobieta, którą wziąłby za żonę? No cóż, musiałyby się z tym pogodzić, doszedł do wniosku, wyciągając resztę wnętrza z zabitego zwierzęcia.

– Mógłbym naszpikować cię tuzinem strzał przez ten cały czas, jak tu stoję i patrzę.

Wespazjan zerwał się i odwrócił, kalecząc się przy tym w palec. Dwadzieścia kroków dalej siedział na koniu i mierzył do niego z myśliwskiego łuku uśmiechnięty Magnus.

– Na Hadesa, aleś mnie wystraszył! – wykrzyknął Wespazjan, potrząsając skaleczoną ręką.

– Jeszcze bardziej byś się wystraszył, gdybym był Trakiem i posłał ci tę strzałę w tyłek, mój panie.

– Czemu się tak podkradałeś? – Wespazjan odetchnął z ulgą i zlizywał z palca mieszaninę własnej i jeleniej krwi.

– Nie podkradałem się, po prostu jechałem, hałasując przy tym jak cała centuria rekrutów żegnających się z matkami – odparł Magnus, opuszczając łuk. – Nazbyt byłeś pogrążony w swoim własnym świecie i jeśli mogę zwrócić uwagę na rzecz oczywistą, panie, w taki właśnie sposób człowiek daje się zabić.

– Tak, wiem, to było głupie z mojej strony, ale mam tyle na głowie, Magnusie – przyznał Wespazjan, podnosząc się.

- Cóż, wkrótce będziesz miał jeszcze więcej.
- Niby dlaczego?
- Masz gościa, późnym rankiem do garnizonu przybył twój brat.
- Co takiego?
- Słyszałeś.
- Co tu robi Sabinus?

– A niby skąd ja miałbym to wiedzieć? Mogę się tylko domyślać, że nie odbył tej długiej podróży po to tylko, by sobie miło z tobą pogawędzić. Kazał mi cię jak najszybciej odnaleźć, więc ruszajmy w drogę. Gdzie twój koń?

Zanim odszukali niewolników Wespazjana i przymocowali zabite zwierzę do końskiego grzbietu, było już późne popołudnie. Niebo przykrywały chmury i w lesie zaczęło robić się ciemno, musieli więc prowadzić konie, by się o coś nie potknęły. Wespazjan szedł obok Magnusa, zastanawiając się, co mogło sprowadzić brata setki mil od Rzymu, i przychodziły mu do głowy same najgorsze możliwości. Dwa lata wcześniej ojciec napisał mu o śmierci jego ukochanej babki Tertulli i Wespazjan odczuwał smutek za każdym razem, kiedy ją wspominał, popijając z jej ulubionego srebrnego kielicha.

– Musiało umrzeć któreś z naszych rodziców – powiedział w końcu, mając nadzieję, że nie chodzi o ojca, i jednocześnie wstydząc się tej myśli. – Wyglądał na bardzo zmartwionego, Magnusie?

– Wprost przeciwnie, panie, bardzo mu zależało, by jak najszybciej się z tobą zobaczyć; gdyby miał złe wieści, aż tak by mu się nie spieszyło. Prawdę mówiąc, był rozczarowany, że cię tam nie zastał.

– Cóż, to chyba pierwszy raz – mruknął Wespazjan z kwaśnym uśmiechem; w dzieciństwie nigdy nie żyli ze sobą w zgodzie i Sabinus przez całe lata pastwił się nad młodszym bratem. Kiedy Wespazjan miał jedenaście lat, Sabinus wstąpił do armii i chłopiec odetchnął. Stosunki się trochę poprawiły po powrocie Sabinusa do domu, jednak Wespazjanowi trudno było sobie wyobrazić, że brat może być rozczarowany jego nieobecnością. – No cóż, wkrótce będzie wiadomo, o co chodzi – westchnął, rozglądając się i poprawiając na ramieniu łuk. – A teraz możemy już jechać, las się przerzedził – dodał, dosiadając wierzchowca – i światła wystarczy... – W połowie zdania przerwał mu świst i głośne *tup*; dwie strzały pojawiły się jednocześnie w

szczęce konia, tam, gdzie chwilę wcześniej znajdowała się głowa Wespazjana. Zwierzę stanęło dęba i zarżało przeraźliwie, zrzucając jeźdźca na ziemię; kolejna strzała wbiła się w koński bark, po nim następna, w jego nieosłoniętą pierś, i wierzchowiec padł.

– Na Junonę, co do... – Magnus rzucił się obok Wespazjana, kiedy jego własny wierzchowiec się spłoszył. – Szybko – zawołał – na tamtą stronę.

Przeskoczyli przez leżące zwierzę i zdążyli przykucnąć za jego grzbietem, kiedy dwie kolejne strzały wbiły się w jego brzuch; uniósł głowę i zarżał, wierzgając kopytami w powietrzu, rozpaczliwie i bezskutecznie próbując stanąć na nogi. Dwaj niewolnicy rzucili się szukać osłony; jeden wydał przeraźliwy krzyk i okręcił się w miejscu, a wydymający się płaszcz oplótł jego ciało, kiedy padał na ziemię ze strzałą sterczącą z tryskającego krwią oczodołu. Jego towarzysz wykonał długi skok, lądując obok Wespazjana i Magnusa w chwili, gdy kolejna strzała trafiła wciąż wierzgającego konia. Zwierzę zadrżało gwałtownie i ostatecznie znieruchomiało.

– I co, na Hades, teraz robimy? – wyszeptał Magnus, kiedy dwie kolejne strzały przeleciały ze świstem nad ich głowami. Więcej ich już nie było.

– Wygląda na to, że ja jestem ich celem – szepnął Wespazjan – bo to mnie chcieli trafić i dopiero, kiedy się schowałem, zaczęli strzelać do niewolników. – Spojrzał na swoich towarzyszy, wyciągnął nóż i zaczął przecinać rzemienie, którymi jeleń był przymocowany do wierzchowca. – Wydaje się, że jest ich tylko dwóch, wobec czego najlepiej będzie jak ja puszcę się w jedną stronę, a wy dwaj w przeciwną; jeśli szczęście nam dopisze, ruszą za mną, a wtedy wy będziecie mogli zająć ich od tyłu. Jak masz na imię? – spytał niewolnika, mężczyznę w średnim wieku, z kręconymi, kruczoczarnymi włosami i z wypaloną na czole grecką sigma.

– Artebuz, panie – odpowiedział niewolnik.

– Słuchaj, Artebuzie, zabiłeś kiedyś człowieka?

Rzemień puścił i jeleń zsunął się na ziemię, a kolejne dwie strzały wbiły się w konia.

– W młodości, panie, zanim zostałem niewolnikiem – powiedział mężczyzna.

– Zabij dzisiaj jednego z tych drani, a dopilnuję, byś już nigdy nie był niewolnikiem.

Artebuz skinął głową; można było dostrzec wyraz nadziei i determinacji na jego twarzy, kiedy wysuwał łuk z wiszącego mu u pasa kołczanu. Wespazjan poklepał go po ramieniu, po czym chwycił jelenia za przednie nogi i odwrócił martwe stworzenie na grzbiet.

– Na trzy, uniosę byczka; jak tylko do niego strzelą, ruszajcie pędem, zanim zdążą ponownie napiąć łuki, dobrze? – mówił Wespazjan. Jego towarzysze skinęli głowami.

Młodzieniec przyciągnął prawe kolano do brzucha, szykując się do działania. – No to do roboty; raz, dwa, trzy!

Uniósł jelenia ponad martwego konia i natychmiast poczuł, jak dwie strzały niemal jednocześnie zagłębiają się w ciele zwierzęcia; wsparł się na prawej nodze, wyprostował i z martwym byczkiem na barkach, wkładając w to gigantyczny wysiłek, pognął w stronę odległego o dwadzieścia kroków grubego pnia dębu. Po dwóch silnych uderzeniach z tyłu potknął się, ale się nie przewrócił i nie poczuł bólu; strzały trafiły w osłaniającego mu plecy jelonka. Dysząc ciężko, dotarł do drzewa i skrył się za pniem akurat, gdy dwie kolejne strzały zadrgały wbite w twarde drewno.

Wespazjan oparł głowę o miękki mech i wdychał rześkie powietrze; łeb jelonka kołysał mu się na ramieniu, niczym głowa jakiegoś kompana w pijanym widzie przysięgającego mu wieczystą przyjaźń. Wyjrzał ostrożnie zza pnia, ale nie zobaczył śladu po Magnusie czy Artebuzie. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał; żadnego ruchu. Wiedząc, że musi czymś zająć napastników, kiedy jego towarzysze będą szukali dobrej do ataku pozycji, zsunął byczka na ziemię, zdjął łuk i założył strzałę. Opuścił się na kolana, na podstawie trajektorii wypuszczonych w jego kierunku strzał ustalając miejsce, w które powinien wycelować. Wreszcie zadowolony wysunął łuk zza pnia i strzelił tuż przed tym, jak pojedyncza strzała przeleciała nad jego głową. Uśmiechnął się; napastnicy się rozdzielili, co znacznie ułatwi sprawę. W odległości dziesięciu kroków po jego lewej stronie leżał powalony dąb, na tyle duży, by dało się za nim ukryć. Sięgnął po kolejną strzałę i trzymając ją w prawej ręce razem z łukiem, lewą ręką uniósł martwego jelenia. Przycisnął plecy do pnia drzewa i wstał. Z miejsca, w które wcześniej celował, dobiegł ostry krzyk, a potem usłyszał znajomy głos.

– Został tylko jeden! – zawołał do niego Magnus.

Wespazjan wiedział, że nie może teraz ryzykować strzału, by nie trafić przyjaciela. Ponieważ ich pozycje były przeciwnikowi znane, wołaniem nie mógł już niczego więcej zdradzić.

– Czy to Rzymianie, czy Trakowie? – zapytał.

– Ani jedni, ani drudzy, nie widziałem wcześniej tych dzikusów; ten tutaj ma na sobie kretyńskie spodnie – odparł Magnus.

– Miejmy więc nadzieję, że nie znają łaciny. Widzisz stamtąd martwego konia?

– Ledwo, jest jakieś pięćdziesiąt kroków ode mnie; sądząc po tym, skąd dobiega twój

głos, jesteś na lewo od niego.

– No to bądź ostrożny, bo na pewno jesteś blisko tego człowieka. Wykonam pierwszy ruch, to może się ujawni; trzymaj się nisko, będę strzelał na wysokości głowy. Artebuzie, miej oczy i uszy otwarte.

Wespazjan zebrał znowu całą energię. Popchnął jelenia w prawo, usłyszał świst i głucho uderzenie, kiedy kolejna strzała utkwiała w truchle zwierzęcia, skoczył wtedy w lewo, ku powalonemu drzewu, jednocześnie naciągając łuk i wypuszczając strzałę. Przetoczył się przez zarośla i ukrył za leżącym drzewem chwilę przed tym, nim strzała wbiła się w jego pień. Zaraz potem usłyszał cichy lecz jednoznaczny dźwięk nagle i gwałtownie wypuszczonego z płuc powietrza; kogoś trafiono.

– Mam go – zawołał Artebuz, głosem z przejścia o oktawę wyższym.

– Nie żyje? – zawołał Magnus.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Teraz już nie.

– No i bardzo dobrze.

Wespazjan dołączył do Magnusa i Artebuza stojących nad ciałem jednego z łuczników.

– Nie mogę uwierzyć, że nie poczuliśmy ich, zanim oni nas zobaczyli. Nigdy nie spotkałem tak cuchnącego dzikusa; musieli ustawić się pod wiatr. – Magnus zmarszczył nos.

Smród był rzeczywiście gryzący: przyprawiająca o zawrót głowy mieszanka zapachów wszystkich możliwych ludzkich wydzielin, którymi przesiąkały całymi latami ubrania z na wpół garbowanych skór zwierzęcych, zapewne nigdy nie zdejmowanych; przyprawiona kwaśną wonią zastałego końskiego potu.

– Co to za jeden? – spytał Wespazjan, cofając się ze zdumieniem.

– Nie mam pojęcia. Artebuzie, widziałeś już kiedyś kogoś takiego?

– Nie, panie; ale ten ma rudą brodę i chyba tracką czapkę na głowie.

Wespazjan przyjrzał się ubraniu mężczyzny; czapka zrobiona ze skóry, miała długie klapki chroniące przed zimnem policzki i uszy i schodziła nisko na kark. Podobne nosili członkowie północnych plemion w Mezji, w odróżnieniu od czap z lisiego futra, charakterystycznych dla południowych plemion Tracji właściwej. Tę tutaj, wiązaną pod brodą, ozdobiono prymitywnymi wizerunkami koni, wyhaftowanymi farbowaną nicią. Poza długimi do kolan butami reszta ubioru zdecydowanie nie była tracka: skórzane spodnie, mocno wytarte po

wewnętrznej stronie ud, co wskazywało na to, że mężczyzna dużo czasu spędzał w siodle, wierzchnie okrycie ze skóry, a pod nim tunika z niefarbowanej wełny.

– Może Scyt – zasugerował Magnus, podnosząc i oglądając jego łuk z rogu i drewna.

– Nie, mamy jednego w domu, są smaglejsi i mają dziwne oczy, a ten tutaj wygląda zwyczajnie. Cóż, nie możemy się teraz nad tym głowić, bo muszę jechać na spotkanie z bratem; jutro przyślemy tu Artebuza z kilkoma niewolnikami po nich i po naszego zabitego.

Niewolnik wyszczerzył zęby, czując się już wolnym człowiekiem.

– Poszukajmy koni – powiedział Wespazjan, odwracając się od trupa.

Było już ciemno, kiedy dotarli do stałego obozu garnizonowego tuż przed bramami Filippopolis. Wespazjan odesłał Artebuza, zabraniając mu mówić komukolwiek o tym, co się wydarzyło, zanim on sam porozmawia z królową, do której niewolnik należał. Odpowiedziawszy na pozdrowienie dowodzącego wartą centuriona, przejechał z Magnusem szybko przez Porta Praetoria, nie wszczynając żadnego alarmu, następnie via Praetoria, pomiędzy niskimi barakami z cegły, ku swojej znacznie wygodniejszej kwaterze usytuowanej przy skrzyżowaniu z via Principalis. Tak bardzo był niespokojny, że nie zauważył objawów niezadowolenia i podenerwowania u ponad tysiąca żołnierzy jedzących kolację, popijaną szczerze przydzielanym garnizonowym winem, które uzupełniano mocniejszym trunkiem, kupowanym u miejscowych. Jego myśli krążyły wokół kilku spraw. Nie wiedział, po co jego brat przybył, nie był pewien własnej reakcji na spotkanie z nim po czterech latach i nie miał pojęcia, dlaczego dwóch cudacznie odzianych mężczyzn dybało tego popołudnia na jego życie.

– Chłopcy nie są w najlepszych nastrojach – odezwał się Magnus.

– Co takiego?

– Widywałem to już wcześniej, panie, do czegoś takiego dochodzi całkiem nagle; po dłuższym okresie regularnego obijania się, jednego dnia, bez żadnego widocznego powodu, chłopcy stają się niespokojni i zastanawiają, co, na jaja Jowisza, tu w ogóle robią i jak długo jeszcze mają tkwić na takim zadupiu. Są legionistami, a od trzech lat nie stoczyli porządnej bitwy, gdy tymczasem tamci, którzy wrócili do Mezji, nawet jeśli wierzyć tylko połowie pogłosek, mają ręce pełne żołnierskiej roboty.

Wespazjan rozejrzał się po ludziach, którzy obsiedli żelazne kosze z żarem, i zobaczył, że wielu z nich zerka na niego znad kubków z winem ponurym, pełnym urazy wzrokiem. Jeden czy dwóch pozwoliło sobie nawet natarczywie popatrzeć mu prosto w oczy, co już stanowiło drobny

akt niesubordynacji, na który normalnie, gdyby nie miał innych spraw na głowie, natychmiast by zareagował.

– Porozmawiam rano z centurionem Celusem i dowiem się, co jest nie w porządku – powiedział znużonym głosem, wiedząc doskonale, że to Celus ma obowiązek zgłosić się do niego i zameldować o wszelkich przejawach niezadowolenia pośród żołnierzy w tych dwóch kohortach, jakimi Wespazjan dowodził. To był jeszcze jeden przykład na to, jak Celus próbował podważać jego autorytet.

Wespazjan zsiadł z konia przed swoją kwaterą; była zbudowana tak samo jak kwatery prostych żołnierzy, tylko nieco większa i nie musiał dzielić tych dwóch izb z siedmioma innymi żołnierzami.

– Odprowadzę konie do stajni – powiedział Magnus, biorąc od Wespazjana wodze jego wierzchowca.

– Dzięki, zobaczymy się później. – Wespazjan wziął głęboki wdech i wszedł do wnętrza.

– No proszę, mój mały braciszek przestał się wałkonić po lasach – zabrzmiał znajomy głos, bez cienia serdeczności czy choćby przyjaźni. Sabinus leżał wyciągnięty na łożu; najwyraźniej zdążył skorzystać z oficerskiej łaźni i zmyć z siebie kurz i brud podróży, a na czystej tunice miał nieskazitelnie białą togę ekwity.

– Jestem, co prawda, twoim młodszym bratem, ale przestałem być mały, kiedy wstąpiłem pod znaki Orłów – warknął Wespazjan. – A co więcej, nie mam i nigdy nie miałem zwyczaju się wałkonić.

Sabinus wstał; jego ciemne oczy zabłysły w świetle lampek oliwnych, kiedy spoglądał szyderczo na brata.

– Bawimy się w dużego żołnierza, co? Za chwilę mi powiesz, że mułów też już nie chędożysz.

– Posłuchaj, Sabinusie, jeśli odbyłeś całą tę długą podróż po to tylko, żeby wywołać bójkę, to zrobimy to teraz, od ręki, po czym będziesz mógł wynosić się do domu. W przeciwnym razie zachowuj się kulturalnie i powiedz mi to, co masz do powiedzenia. – Wespazjan stanął przed nim z zaciśniętymi pięściami.

Sabinus odpowiedział słabym uśmiechem. Przybrał nieco na wadze, cztery lata w cywilu i wygodne życie w Rzymie pozostawiło wyraźny ślad.

– Niech będzie, braciszku – oznajmił, siadając na obozowym taborecie – choć niełatwo

się pozbyć dawnych nawyków. Nie przyjechałem tutaj, żeby się z tobą bić; jestem tu z powodu Antonii. Nie zaproponujesz mi czegoś do picia?

– Owszem, jeśli już skończyłeś mnie obrażać. – Wespazjan wziął dzban z prosto wykonanej drewnianej komody, stojącej w rogu przy drzwiach prowadzących do sypialni. Wymieszał z wodą cierpkie miejscowe wino i podał jeden kubek bratu. – Jak się mają rodzice?

– Mają się dobrze, mam dla ciebie listy od obojga.

– Listy? – Wespazjanowi zaświeciły się oczy.

– Tak, od Cenis też mam, możesz przeczytać go później; najpierw jednak powinieneś się umyć i przebrać, musimy bowiem przekazać list od Antonii królowej Tryfenie. Mamy do wykonania pewne zadanie i potrzebna nam jest jej pomoc.

– Jakie zadanie?

– Takie, przy którym uratowanie Cenis będzie wydawać się przyjemną przechadzką w ogrodach Lukullusa. Czy znasz trackie plemię Getów?

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Cóż, ja wiem tylko tyle, że mieszkają poza granicami cesarstwa, po drugiej stronie Dunaju. Na ogół zajmują się walką z plemionami mieszkającymi na północ od nich, jednak ostatnio zaczęli się przeprawiać na tę stronę rzeki i najeżdżać Mezję. W ostatnim roku te wypadki przybrały na sile, a Piąty *Macedonica* i Czwarty *Scythica* starają się ich odepchnąć; cesarz jest tak zaniepokojony tą sytuacją, że ponownie wyznaczył na namiestnika Poppeusza Sabinusa.

– A co my mamy w związku z tym zrobić? – zapytał Wespazjan, który nie miał najmniejszej ochoty znaleźć się znowu w pobliżu Poppeusza, szczególnie teraz, kiedy już wiedział, że ten człowiek jest sprzymierzeńcem Sejana.

– Antonia nie chce, byśmy robili cokolwiek w związku z tymi napadami; nie są jej zmartwieniem; interesuje ją natomiast informacja, jaką jeden z jej agentów w Mezji przysłał kilka miesięcy temu.

– Ma w Mezji agentów?

– Wszędzie ich ma. W każdym razie ten doniósł o obecności w ostatnich trzech czy czterech atakach kogoś, z kim nasza szlachetna pani chętnie by pogawędziła w Rzymie.

– I chodzi o to, żebyśmy się tam udali i go do niej sprowadzili.

– Jak się tego domyśliłeś? – spytał Sabinus, szczerząc zęby.

Wespazjan poczuł nieprzyjemny ciężar w dołku.

- Kto to taki? – zapytał, z góry znając odpowiedź.
- Pośrednik Sejana; naczelny kapłan Traków, Roteles.

Rozdział drugi

Królowa Tryfena odłożyła list Antonii na polerowany dębowy stolik i popatrzyła na braci; ponieważ spotkanie miało charakter prywatny, Wespazjan, podobnie jak jego brat, ubrany był w togę. Siedzieli w wytwornym, łagodnie oświetlonym gabinecie; był częścią prywatnych komnat, które mieściły się w głębi pałacowego kompleksu, z daleka od ciekawskich uszu licznych funkcjonariuszy i niewolników, kręcących się tłumnie w części reprezentacyjnej. Tutaj jedynie sekretarz i osobista niewolnica mogli wchodzić i wychodzić, kiedy uznali za stosowne; nawet jej syn, król Remetalkes, musiał czekać na zewnątrz, dopóki jeden z czterech wartowników, którzy stale strzegli jedyne wejścia do jej komnat, nie przyniósł zgody na audiencję. Z racji jego bliskich związków z Antonią Wespazjana zawsze bezzwłocznie wprowadzano przed oblicze Tryfeny.

– Zatem, moja krewna ustaliła miejsce pobytu tego kapłana, który chciałby zabić mojego syna i mnie, by rządzić Tracją w imieniu bogów – powiedziała królowa, przynosząc bystre spojrzenie niebieskich oczu z jednego brata na drugiego. – I prosi, bym pomogła wam go pochwycić, dając swoich ludzi; co z wielką ochotą uczynię, choć mam wątpliwości, czy okażą się przydatni przeciwko Getom.

– Co masz, królowo, na myśli? – spytał Wespazjan, wychylając się do przodu spomiędzy poduszek wygodnego fotela, by uniknąć ostrego zapachu kadzidła, unoszącego się ze stojącego tuż za nim metalowego kosza z żarem.

– Moi ludzie to głównie piechota; jedynie tych zamożniejszych stać na wierzchowce, mamy więc niewielu jeźdźców. Natomiast Getowie zamieszkują porośnięte trawą tereny na północ od Dunaju, gdzie koni jest pod dostatkiem; walczą niemal wyłącznie z końskich grzbietów; nasza jazda by im nie sprostała, a piechota nie dogoniła. Mogłabym nawet, jako najwyższa rangą obywatelka Rzymu w Tracji i marionetkowa władczyni z tegoż Rzymu woli, kazać wam wziąć te dwie kohorty, które tu stacjonują, ale one też okazałyby się nieskuteczne przeciwko takim mobilnym siłom; pamiętacie, panowie, Karry?

– Wobec tego będziemy musieli poczekać, aż oni przyjdą do nas – oświadczył Sabinus, myśląc o strategii, jaką zastosowano, by pokonać buntowników w Numidii, kiedy służył w

stacjonującym w Afryce IX legionie *Hispana*. – Pojedziemy na północ i dowiemy się od Pomponiusza Labeona, na jakie tereny napadano. Wiedząc, gdzie można się ich spodziewać, tam się zaczaiemy. Jeśli szczęście nam dopisze, kapłan będzie wśród napastników, tak jak podczas ostatnich kilku wypadów.

Wespazjan rzucił bratu spojrzenie z ukosa.

– To takie działanie na oślep – oświadczył.

– Masz lepszy pomysł, braciszku? – spytał ostro Sabinus. – Chcesz im wysłać zaproszenie na igrzyska, a potem zabrać do siebie na wieczerzę?

– Twój brat ma rację, Wespazjanie – odezwała się królowa, zanim spór zdążył się zaostrzyć. – Może to potrwać jakiś czas, ale w końcu znajdziecie się blisko nich, a wtedy zobaczycie, jaką sposobność ześle wam Fortuna.

– Wybacz, pani. – Wespazjan ze spokojem przyjął pouczenie; brat miał rację, choć go to irytowało. Odłożył jednak na bok swoje odczucia i zajął się rozwinięciem pomysłu Sabinusa. – Potrzebni nam będą ludzie, ale niewielu; lepiej wziąć się do tego z kilkoma doborowymi wojownikami. Skoro nie możemy dorównać im w otwartej walce, trzeba użyć podstępu.

– Znakomicie, braciszku, zaczynasz chwytac w czym rzecz.

– Jeśli podstęp jest kluczem, panowie, to czy mogłabym zaproponować, by hasłem przewodnim była harmonia? – zapytała królowa.

Bracia popatrzyli na siebie i skinąwszy lekko głowami, milcząco potwierdzili zawarcie rozejmu.

– Świetnie – powiedziała Tryfena. – Każę dowódcy mojej straży dostarczyć wam sześciu najlepszych ludzi, biegłych w posługiwaniu się bronią wszelkiego rodzaju, szczególnie zaś łukiem, bo będziecie mieć za przeciwników najlepszych łuczników.

– Powiedziałaś, pani, że to głównie jeźdźcy – zauważył Wespazjan. – Trakowie przecież nie mają konnych łuczników.

– To plemię ma, przejęli całkiem sporo zwyczajów od swoich sąsiadów z północy, Sarmatów i Scytów; nawet spodnie noszą.

– Spodnie? To chyba dwóch z nich właśnie dzisiaj widziałem.

Tryfena wyglądała na rozbawioną.

– Niemożliwe. Nie mieliśmy z Getami kontaktu, odkąd Rzym pięćdziesiąt lat temu uczynił Mezję swoją prowincją.

Wespazjan pokrótce opowiedział wydarzenia popołudnia, podkreślając rolę Artebuza i wspominając obietnicę, jaką mu złożył. Kiedy skończył, królowa siedziała jakiś czas w milczeniu, rozważając jego słowa.

– Z twojego opisu wynika, że to rzeczywiście mogą być Getowie – potwierdziła. – Jesteś przekonany, że ty byłeś ich celem?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Wygląda na to, że nasz przyjaciel Roteles nie zapomniał ci, że uniemożliwiłeś mu zabicie mojego syna, i by się zemścić, wysłał za tobą skrytobójców.

– Dlaczego czekał prawie dwa lata?

– Kiedy uciekł do Getów, trochę czasu mu zajęło przypochlebianie się wodzom tamtejszych plemion; oni mają inne zwyczaje niż my i na pewno odnosili się do niego niezwykle podejrzliwie.

– Zakładając, że w końcu udało mu się przekonać wodzów, żeby posłali zabójców, skąd wiedzieli, jak mój brat wygląda? – zdziwił się Sabinus.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie; wiem jednak, że Roteles to fanatyk i ludzi, którzy pokrzyżowali jego plany, widzi jako trupy, przez które wystarczy dać krok, więc nie spocznie, dopóki jeden z was nie będzie martwy. Twoja podróż do Rzymu w jego towarzystwie będzie wielce interesująca... Najpierw jednak musisz go pochwycić. Powinieneś wyruszyć jutro, gdyż śnieg ustępuje ze zboczy Hajmos i przełęcz Succa do Mezji jest już otwarta. W południe twoi ludzie będą czekać pod rzymskim obozem, a ja poinformuję prefekta Petusa, że do Tracji już nie wrócicie.

– Ależ wyruszamy z zamiarem powrotu, pani – powiedział z naciskiem Wespazjan.

– Jestem tego pewna, jednak tędy nie możecie wracać. Pojawienie się kapłana w królestwie jest zbyt ryzykowne; wielu moich poddanych widzi w nim bohatera, który mógłby obronić ich przed rosnącym wpływem Rzymian. Gdyby rozeszły się pogłoski, że jest w Tracji, i wyszłoby na jaw, że pomagam wam zabrać go do Rzymu, powstałaby trudna sytuacja, której rezultat łatwo przewidzieć: Rzym by nas zaanektował, a przedtem mnóstwo ludzi straciłoby życie.

– Co w takim razie mamy z nim zrobić?

– Skierujecie się do Tomi nad Morzem Czarnym. Od początku maja mój prywatny pięciorzędowiec, z bezwzględnie lojalną wobec mnie załogą, będzie czekał w tamtejszym porcie.

Zabierze was prosto do Ostii. O wiele lepiej będzie trzymać tego kapłana przez miesiąc na morzu, skutego w ładowni, niż wlec go łodem przez dwa miesiące i nie spuszczać z oka dniem i nocą, nie sądzicie?

– Jesteś, pani, niezwykle wielkoduszna – oświadczył Sabinus, odczuwając pewną ulgę w związku z czekającą go misją, skoro podróż powrotna miała oznaczać zaledwie miesiąc torsji.

– Zastanawiam się, czy aż tak bardzo, by dać wolność mojemu najcenniejszemu myśliwemu. – Uśmiechnęła się do Wespazjana, który poczerwieniał, uświadamiając sobie, że rozporządził się cudzą własnością, nie znając jej wartości.

– Zapłacę za twoje straty, pani – powiedział.

– Wątpię, by było cię stać na Artebuza; jego cena jest bardzo wysoka. To nie tylko wyjątkowo utalentowany tropiciel, ale również najcelniejszy łucznik i właśnie z tego powodu go wyzwolę; jednak pod warunkiem, że będzie wam towarzyszył. A teraz, zanim zacznę rozdawać resztę swojego królestwa, powiedz mi, Sabinusie, jak przebiega kampania Antonii przeciwko Sejanowi. Mówi o tym bardzo enigmatycznie w swoich listach, na wypadek gdyby zostały przechwycone.

Sabinus z niewyraźną miną kręcił się na krześle.

– Niezbyt dobrze, pani – odpowiedział. – Sejan wzmocnił swoją pozycję u cesarza; jest teraz niemal jedyną osobą mającą dostęp do niego na Capri. Zdołał przekonać Tyberiusza, że to jego własna rodzina spiskuje przeciwko niemu. Tuż przed moim wyjazdem aresztowano najstarszego wnuka Antonii, Nerona Germanika, oraz jego matkę, Agryppinę, i na rozkaz Sejana wytoczono im proces o zdradę; ją uwięziono na wyspie Pandateria, a jego zesłano na wyspę Pontię. Teraz Antonia zamartwia się, że jej pozostali wnukowie i potencjalni dziedzice purpury, Druzus i Kaligula, wkrótce dołączą do matki i starszego brata. Sejan jest bardzo ostrożny, wybiera swój cel powoli i metodycznie.

Królowa pokiwała głową.

– Sejan postępuje logicznie. Żeby odnieść sukces, musi wyeliminować wszystkich potencjalnych sukcesorów Tyberiusza, którzy doszli już do wieku, w jakim regent nie jest potrzebny. Wszystko sobie obmyślił: zostanie regentem młodego cesarza, który następnie zginie śmiercią tragiczną, i senat nie będzie miał innego wyboru, jak tylko ogłosić go cesarzem albo ryzykować kolejną wojnę domową.

Wespazjan poczuł się nieswojo na myśl, że jego przyjaciel, Kaligula, jest narażony na

machinacje Sejana.

– A co z listami Sejana do Poppeusza? Przecież to dowód, że są w zмовie. Chociaż zostały zniszczone, może Antonii udało się zrobić wrażenie, że je posiada, i zmusić Poppeusza do zmiany frontu?

– Niestety nie – odpowiedział ze smutkiem Sabinus. – Poppeusz martwił się przez jakiś czas i sądzę, że zmieniłby strony, ale w końcu kazał sobie te listy pokazać, co oczywiście było niemożliwe. Potem pozostali przy życiu liktorzy Azyniusza zniknęli, a prawdę o jego śmierci na pewno wyciągnięto z nich torturami, ponieważ Poppeusz napisał do Antonii, że jest pewny, iż ona nic na niego nie ma.

Tryfena zastanawiała się przez chwilę, po czym potrząsnęła głową.

– Zatem Azyniusz zmarł na próżno... cóż, musimy dopilnować, by jego śmierć została pomszczona. – Podniosła się, kończąc audiencję. – A teraz już idźcie – powiedziała. – Moje modlitwy będą wam towarzyszyć.

Bracia wstali.

– Dziękujemy ci, pani – powiedzieli jednym głosem.

– A ja wam, bo jeśli misja się powiedzie, pozbędziecie się mojego największego wroga, przy okazji pomagając mojej krewnej ochronić pozycję naszej rodziny w Rzymie. – Uścisnęła ich obu. – Powodzenia, panowie. Dostarczcie tego kapłana Antonii, żeby mogła go wykorzystać do obalenia Sejana.

Różne myśli przelatywały przez głowę Wespazjana, kiedy szedł z Sabinusem przez mroczne, wysoko sklepione korytarze pałacu, a ich kroki odbijały się echem od marmurowych ścian. Cieszyła go perspektywa wyzwolenia od dręczącej nudy i szansa pomszczenia śmierci Azyniusza, któremu zawdzięczał stanowisko trybuna wojskowego, jeśli sprowadzi do Rzymu jedyne go człowieka, który mógłby połączyć srebro użyte do sfinansowania trackiej rebelii z wyzwoleniem Sejana, Hazdronem. Nie wiedział, czy to wystarczy, by pogrążyć Sejana w oczach cesarza, jednak skoro Antonia o coś takiego prosiła, był przekonany, że sprawa warta jest wysiłku i ryzyka. Ile jednak czasu im to zabierze? Dopiero co cieszył się na myśl o rychłym powrocie do Rzymu i spotkaniu z Cenis, a teraz musiał się udać w całkowicie przeciwnym kierunku, żeby odnaleźć i pochwycić człowieka, którego miejsce pobytu było co najmniej niepewne.

– Na Hades, myślałem, że wkrótce ruszę do domu – mruknął pod nosem.

– Już jutro wyruszasz do domu, braciszku – powiedział, śmiejąc się, Sabinus. – Tyle że okrężną drogą.

Wespazjana nie rozbawił ten żart.

– To może nam zabrać pół roku.

– Oby nie, bo muszę być w Rzymie na wybory; Antonii udało się uzyskać pozwolenie cesarza, by umieścić mnie na liście potencjalnych kwestorów. Z jej poparciem mam sporą szansę na wybór, szczególnie teraz, kiedy wybiera senat, a nie zgromadzenie.

– No to świetnie – oświadczył Wespazjan szorstko; jakoś nie potrafił wykrzesać z siebie entuzjazmu dla sukcesów brata.

– Dzięki za tę ciepłą, braterską mowę gratulacyjną, braciszku.

– Przestań mnie tak nazywać.

– Całuj psa w nos.

– Panie, panie! – wołał Magnus przed wejściem do pałacu; dwóch solidnie zbudowanych i uzbrojonych strażników zagradzało mu drogę włóczniami.

– O co chodzi, Magnusie?

– Te sukinsyny nie chcą mnie wpuścić – poskarżył się, obrzucając gniewnym spojrzeniem dwóch rudobrodych mężczyzn.

– Uważaj, Rzymianinie – warknął roślejszy z nich, co najmniej o głowę wyższy od Magnusa. – Tutaj Rzym nie rządzi.

– Odwal się, ty chędożycielu lisów.

Ogromny Trak zamachnął się drzewcem włóczni, celując w twarz Magnusa; ten się uchylił, zahaczył prawą nogą o jego lewą i pociągnął, powodując, że strażnik klapnął na ziemię.

– Dość tego! – Wespazjan wskoczył pomiędzy nich i odepchnął Magnusa. – Cofnij się – nakazał, po czym zwrócił się do strażnika: – Skończmy już na tym, przepraszam za mojego człowieka.

Tymczasem Sabinus ustawił się przed drugim strażnikiem, który wymierzył już włócznię w Wespazjana. Mężczyzna na ziemi obrzucił braci szybkim spojrzeniem, popatrzył jadowitym wzrokiem na Magnusa i powoli skinął głową; wiedział, że lepiej nie zadzierać z Rzymianami, którzy wyglądają na ważne osobistości.

Wespazjan poprowadził Magnusa w dół wzgórza, poprzez oświetlony pochodniami plac.

– To było strasznie głupie. Nie prowokuje się bójek z pałacowymi strażnikami.

Magnus nie okazał skruchy.

– Cóż, należało mnie wpuścić, bo sprawa była pilna. Petus przysłał mnie, bym was jak najszybciej sprowadził... w obozie zaczęły się ruchawki.

Kiedy przechodzili przez starodawną bramę Filippopolis, usłyszeli okrzyki i gwizdy z odległego o pół mili rzymskiego obozu. Ruszyli biegiem, przy słabym świetle księżycowego sierpa potykając się na nierównym terenie. Magnus nie wiedział, jaki był powód zamieszek; wiedział jedynie, że doszło do bójek i że Petus przyjął deputację rozgniewanych żołnierzy. Teraz, przed udzieleniem im odpowiedzi, chciał się skonsultować z Wespazjanem, który był trybunem dwóch kohort IV legionu *Scythica*.

Przy bramie pretoriańskiej nie było straży, jedynie samotny centurion spoglądał markotnie na zbliżającego się Wespazjana.

– Nie wiem, co w nich wstąpiło – powiedział, pozdrawiając trybuna. – Zanosilo się na to przez cały dzień, od chwili znalezienia ciał.

– Jakich ciał, Albinusie?

– Dzisiaj rano w lesie znaleziono trzech naszych chłopców; nie było ich już od kilku dni. Nie widziałem ich, ale podobno okropnie ich pocięto, pastwiono się nad nimi nożami. Dwóch nie żyje, a trzeci ledwie dycha.

– Dziękuję, centurionie – powiedział Wespazjan i ruszył z towarzyszami główną drogą.

Od razu zauważyli mniejsze i większe grupki legionistów skaczących sobie do oczu. Tam, gdzie wszczynali bójki, wkraczali centurioni i ich zastępcy, robiąc użytek z kijów z winorośli. Chociaż nie było im łatwo rozdzielić walczących, żołnierze ich nie atakowali, najwyraźniej nie stracili autorytetu.

– Przynajmniej dyscyplina nie całkiem się załamała – zauważył Wespazjan, patrząc, jak centurion siłą ściąga siwowłosego, zaprawionego w boju żołnierza z zakrwawionego młodszego kolegi. Starszy mężczyzna zamierzył się pięścią na centuriona, opuścił jednak rękę, dobrze wiedząc, że nic go nie usprawiedliwi i karą za uderzenie dowódcy będzie śmierć.

– Niezły bajzel – rzucił Sabinus szyderczo. – Co w takim razie nazywacie w Czwartym *Scythica* dyscypliną, jeśli to, co widzimy, nie jest dla was całkowitym jej załamaniem? W Dziewiątym mielibyśmy wystarczający powód do dziesiątkowania.

Wespazjan nie zamierzał się wdawać w spór dotyczący zalet i wad swojego legionu i

dawnego legionu brata.

– Zamknij się, Sabinusie; jedyne, czego teraz potrzebuję, to pełen godności wygląd. Muszę odnaleźć Petusa, ty natomiast idź z Magnusem do mojej kwatery i tam poczekajcie; to sprawa wojskowa i ciebie nie dotyczy. – Ułożył porządnie fałdy togi na lewym ramieniu, zgiął rękę w łokciu i z wysoko podniesioną głową ruszył via Praetoria, nie zważając na panujący wokół zamęt. Stopniowo wrzaski i bójkę cichły, kiedy legionieści dostrzegali swojego trybuna, krocącego wyniośle niczym jakiś wysoki urzędnik w samym Rzymie, ostentacyjnie niezwracającego na nich najmniejszej uwagi. Wrodzony szacunek dla osób wyżej urodzonych przywracał im rozsądek i kazał zaprzestać awantur i brania się za łby. Ruszyli za nim, w milczeniu, w stronę usytuowanego w samym centrum obozu budynku Principia.

Tam zebrany już wcześniej tłum rozstał się przed nim, a on wszedł po kilku stopniach pod wspartym na kolumnach portykiem. Dwaj centurioni, strzegący kwatery dowództwa garnizonu przed masą wściekłych żołnierzy, stanęli na baczność, pobrzękując przyznanymi im za zasługi ozdobnymi krążkami, i powitali trybuna uniesieniem rąk. Wespazjan odwzajemnił gest i wszedł do budynku, nie oglądając się za siebie, na setki zgromadzonych legionistów.

Publiusz Juniusz Cezeniusz Petus uniósł się zza dużego biurka, stojącego pod przeciwległą ścianą.

– Aha, trybunie, dobrze, że jesteś – zawołał, starannie wymawiając każdą sylabę, jak na patrycjusza przystało. – Mam nadzieję, że nie zakłóciłem spotkania z królową; twój człowiek powiedział mi, że obaj z bratem udaliście się do niej z wizytą.

– Nie, prefekcie. Natknęliśmy się na Magnusa przy wyjściu – odparł Wespazjan. Przemierzając jakieś dwadzieścia kroków w stronę biurka, słyszał trzaskanie zawieszonych na ścianach pochodni.

– Doskonale, doskonale. Cieszę się na spotkanie z twoim bratem, który, z tego, co wiem, służył w Dziewiątym *Hispana* podczas rebelii w Afryce; mój kuzyn był wtedy trybunem w Trzecim *Augusta*; nie było im tam łatwo. Może jutro obaj zjecie ze mną kolację? – spytał Petus, siadając i gestem wskazując młodemu trybunowi krzesło po drugiej stronie biurka. – Rozgość się, Wespazjanie – zaprosił.

– Dzięki, Petusie – powiedział Wespazjan, za przykładem przełożonego porzucając wojskowe formalności.

– Mamy tu w tej chwili dość delikatną sytuację: żołnierze są niezadowoleni, dzisiaj

wieczorem zaczęli się wdawać w bijatyki, a potem przysłali do mnie delegację. Jak wiesz, mają prawo zgłaszać się ze skargami do dowódcy.

– Rzeczywiście. Zauważyłem już wcześniej oznaki niezadowolenia, kiedy wróciłem z polowania – odparł Wespazjan, starając się do minimum zredukować swój wiejski sabiński akcent, co robił zawsze, kiedy rozmawiał z tym wytwornym patrycjuszem. – Na co się skarżą?

– Cóż, sedno sprawy tkwi w tym, że się nudzą, ale to wiemy wszyscy. Na Hadesa, wszyscy jesteśmy znudzeni, ja sam mam ochotę oszaleć z nudów, tkwiąc w tej dziurze; oni mają przynajmniej doroczny urlop, podczas gdy tacy jak ty i ja muszą tkwić tu aż do odwołania. Nie widziałem swojego małego Lucjusza, odkąd skończył pięć lat, a teraz ma już prawie dziesięć. Nie byłem też ani razu w teatrze, ponad cztery lata nie widziałem polowania na grubego zwierza, a wiesz, że za tym przepadam.

– Tak, jednak nuda nie może być wytłumaczeniem tych zamieszek.

– Nie, naturalnie, że nie; prowodyrów trzeba wychłostać i przenieść do innej kohorty, i niestety musimy jutro rano ukarać kilku śmiercią za podniesienie ręki na dowódców; siedzą teraz w garnizonowym areszcie i pewnie czują się głupio. Takie zachowanie jest niedopuszczalne. Problem w tym, że dzisiaj rano znaleźliśmy trzech żołnierzy, których brutalnie torturowano; jeden wciąż żyje, jest w *valetudinarium*, medyk mówi, że może przeżyje, choć na jego miejscu wolalbym umrzeć, ale to tak na marginesie. Przypadkowo znaleziono też dwa kolejne ciała, dwóch posłańców, wyglądali na cesarskich kurierów, choć nie było przy nich niczego, po czym moglibyśmy ich zidentyfikować, więc nigdy się tego nie dowiemy. W każdym razie ludzie pragną zemsty; no wiesz, chcieliby ruszyć i spalić parę wiosek, odciąć kilka rąk i zgwałcić wszystkie kobiety poniżej sześćdziesiątki. Wyjaśniłem im, że tego się nie robi, odkąd stłumiliśmy bunt, i do większości to dotarło. Potem jednak kilku raptusów zaczęło krążyć po obozie, przekonując innych, że to niesprawiedliwe, bo oni muszą siedzieć tutaj, podczas gdy ich towarzysze z pozostałych ośmiu kohort przebywają w Mezji i zabawiają się jak w dawnych dobrych czasach, walcząc z napastnikami z drugiego brzegu rzeki.

– Rozumiem, w czym rzecz, ale co my możemy na to poradzić? – odezwał się Wespazjan.

– Cóż, w tej właśnie sprawie przysłała delegacja. Chcą, żebym napisał do namiestnika, Pomponiusza Labeona, i poprosił go, by przeniósł ich z powrotem do Mezji, a dwie kohorty stamtąd przysłał na ich miejsce. Muszę przyznać, że nie jest to taki zły pomysł. Chciałem ciebie, jako ich trybuna, wprowadzić w sytuację, zanim ponownie z nimi porozmawiam; co muszę

zrobić w miarę szybko, bo oni wciąż spierają się między sobą. Jest tam twarde jądro niezadowolonych, takich, którzy nie przyjmą odmowy do wiadomości i chcą wziąć sprawy w swoje ręce.

– To dobry pomysł, bo po takim długim okresie bezczynności żołnierze tracą pazur. Z wojskowego punktu widzenia ma to sens, problem jednak w tym, że z tego, co powiedział mi brat, Poppeusz Sabinus znowu rządzi w Mezji, a Pomponiusz jest z powrotem jedynie legatem Czwartego *Scythica*.

Petus skrzywił się; on i Poppeusz nigdy za sobą nie przepadali.

– Cóż, wobec tego napiszę do Poppeusza, choć to taki śliski *homo novus*. – Spojrzał przeprasząco na Wespazjana. – Wybacz, mój drogi, nie chciałem nikogo urazić.

Wespazjan uśmiechnął się; choć Petus pochodził ze starego i szlchetnego rodu, o etruskich korzeniach, który szczycił się wieloma konsulami, to zawsze traktował Wespazjana jak równego, przynajmniej w kategoriach wojskowych.

– I nie obraziłeś, Petusie.

– To dobrze. Tak sobie myślę, że Poppeusz niechętnie się odniesie do mojej prośby, natomiast jeśli ty napiszesz do Pomponiusza, jako trybun Czwartego *Scythica* do swojego legata, wtedy będzie to wewnętrzna sprawa legionu i Poppeusz nie będzie miał nic do tego.

Wespazjan doszedł do wniosku, że nie powinien już dłużej ukrywać przed przełożonym swoich planów.

– Mogę zrobić coś więcej, Petusie, mogę w imieniu żołnierzy osobiście do niego zaapelować.

– Nie ma takiej konieczności, mój drogi.

– Miałem poczekać, aż królowa prześle ci oficjalny list, zanim ci sprawę przedstawię; w każdym razie poprosiła mnie, bym coś dla niej zrobił.

Powiedział Petusowi tyle, ile mógł, bez mieszania w to Antonii i wymieniania imienia człowieka, którego miał szukać.

Kiedy skończył, Petus oparł łokcie nad biurku i przytknąwszy zetknięte czubki palców do ust, przyglądał mu się zamyślony.

– Kryje się w tym znacznie więcej, niż mi powiedziałeś – oświadczył po jakimś czasie. – Twój brat przybywa z Rzymu, obaj pędzicie na spotkanie z królową, a potem nagle musicie jechać do Mezji z małą grupką gwardzistów królowej, żeby dopaść bandę Getów, z powodów,

których, jak utrzymujesz, nie możesz ujawnić, a potem nie zamierzasz już tu wracać. Tak to mniej więcej wygląda, prawda, Wespazjanie?

– Tak – przyznał młody człowiek, mając uczucie, że cała ta sprawa musi w oczach dowódcy wyglądać bardzo podejrzanie.

– Cóż, nie jestem głupcem; pochodzę z rodu, który od stuleci bawi się w politykę, i jeśli pozwolisz, kilka luk mogę sam wypełnić. Po pierwsze, Tryfena jest prawnuczką Marka Antoniusza, a on, tak się składa, był również ojcem Antonii, która z kolei była sojuszniczką nieżyjącego konsula Azyniusza. Ty zaś zawdzięczasz mu swój przydział i na spotkanie z nim ruszyłeś natychmiast po jego przybyciu do obozu Poppeusza. Nigdy mi nie powiedziałaś, o czym rozmawialiście, a ja nigdy cię o to nie pytałem, zresztą może to już nieistotne, jako że Azyniusz wkrótce potem wyjechał i zmarł na febrę w drodze do swojej prowincji, przynajmniej mieliśmy w to wierzyć. – Petus rozłączył dłonie i popatrzył niedowierzająco na swojego rozmówcę. – Jednakże w dzień wyjazdu Azyniusza w namiocie, tym, z którego wcześniej korzystał, znalazłem martwego sekretarza Poppeusza, Kratosa, trupy kilku liktorów Azyniusza i kilku pretorianów, i jeszcze jedną osobę, która zgubiła głowę, a potem ty zniknąłeś na dwa dni i wróciłeś dopiero wtedy, kiedy Poppeusz wyjechał do Rzymu.

Wespazjan kręcił się niespokojnie. Widział, że Petus doskonale dopasowuje elementy układanki, jednak mimo że lubił i szanował swojego dowódcę, nie miał najmniejszego pojęcia o jego politycznych sympatiach; otworzenie się przed nim mogło się okazać ryzykowne. Petus wyczuł jego niepokój, uśmiechnął się i mówił dalej.

– Cóż, nie jesteś jedyną osobą, której tam wtedy brakowało; był jeszcze pewien szczególnie niemiły kapłan o szurzej gębie, którego, jeśli dobrze pamiętam, od tamtej pory nie widziano. – Petus zamilkł i wychylił się do przodu, patrząc wprost w oczy Wespazjana. – No, a gdybym ci powiedział, że to ciało bez głowy w namiocie należało do Hazdrona, wyzwolenca Sejana, którego pamiętałem z Rzymu, i gdybym ci też powiedział, że wiem, iż on i Poppeusz mieli z tym kapłanem jakieś konszachty, bo widziałem ich razem; i gdybym jeszcze dodał, że wiem, iż Antonia nie przepada za Sejanem, to czy wtedy zechciałbyś usłyszeć, w co, wedle mojej hipotezy, się zaangażowałaś?

– Myślę, że dla dobra nas obu lepiej będzie, jeśli tego nie usłyszę, Petusie – odparł ostrożnie Wespazjan. – Fakty, jakie przedstawiłeś, się zgadzają, nie chciałbym jednak znaleźć się w sytuacji, w której musiałbym, możliwe że niezgodnie z prawdą, zaprzeczać celności

ewentualnych wniosków, jakie mógłbyś z nich wyciągnąć.

Petus pokiwał głową.

– Rozumiem, cóż, wobec tego będzie najlepiej, jak zachowam swoje myśli dla siebie. Jedno wszakże powiem: jeśli twój brat przybył tutaj zobaczyć się z Tryfeną w interesie Antonii i jeśli ta sprawa ma cokolwiek wspólnego z faktami, jakie dopiero co przedstawiłem, to będę szczęśliwy, mogąc wam pomóc na wszelkie możliwe sposoby, ponieważ zadbam w ten sposób o interesy mojej własnej rodziny.

– Gdyby wszystkie twoje domysły okazały się zgodne z prawdą, na pewno chętnie przyjąłbym twoją pomoc, Petusie.

– Dobrze więc, mamy tu tyle jasności, ile można. – Petus klasnął i zatarł ręce. – Wykorzystamy te niepokoje w obozie jako przykrywkę dla twojej podróży na północ; powiemy ludziom, że zamierzasz zaapelować do Pomponiusza w ich imieniu i zabrać do niego prowadzących. Dam ci oddział jazdy jako eskortę do Mezji przez Succy.

– Po co mi jakaś przykrywka i eskorta? – spytał Wespazjan, który uważał, że to zbyt komplikuje sytuację.

– Przykrywka jest potrzebna dlatego, że nie wszyscy centurioni myślą to, co, być może, my dwaj myślimy. Wiem, że pewni ludzie w Rzymie podejrzewają ciebie albo mnie o zabicie Hazdrona i Kratosy; ciebie, ponieważ zniknąłeś na jakiś czas bezpośrednio po tym zdarzeniu, a mnie dlatego, że nie zameldowałem o tych zabójstwach.

– Kto zatem wiedział, że o nich wiedziałeś?

– Nasz własny centurion Celus widział, jak wychodziłem z namiotu, a może o tym nie wiesz, ale jest oddanym człowiekiem Poppeusza.

– O!

– No właśnie. I podejrzewam, że nie przypadkiem jest u nas starszym centurionem, przydzielonym tutaj, by nas obserwować i meldować o naszych poczynaniach Poppeuszowi i jego przyjacielowi. Gdyby doniósł, że pozwoliłem ci wyruszyć do Mezji z kilkoma żołnierzami Tryfeny, mogliby założyć, że działałem przeciwko nim, a tego wolę uniknąć; szczególnie jeśli tobie się powiedzie i zabierzesz do Rzymu to, co podejrzewam. A eskorta jest ci potrzebna dlatego, że twoje życie znajduje się w niebezpieczeństwie.

Wespazjan aż podskoczył.

– Skąd wiesz? Dzisiaj dwóch ludzi próbowało mnie zabić, ale jedynie mój brat i królowa

o tym wiedzą.

– Dwóch, he?

– Tak i obaj nie żyją.

– Cóż, uważam, że powinieneś pójść i pogadać z tym biedakiem w *valetudinarium*, najpierw jednak trzeba przemówić do żołnierzy.

Wespazjan i Petus wyszli z kwatery dowództwa na skapaną w blasku licznych pochodni ulicę obozu. Żołnierze obu kohort i oddziału jazdy pomocniczej czekali na decyzję dowódcy; para ich oddechów unosiła się w zimnym nocnym powietrzu. Zapanowała pełna oczekiwania cisza, kiedy Petus, stojąc na szczycie schodów, otworzył ramiona w wykorzystywanym podczas oracji geście oznaczającym jedność.

– Żołnierze trackiego garnizonu! – zawołał donośnym, wysokim głosem, ustawionym tak, by słyszały go tylne szeregi. – Przyszlście do mnie z uzasadnioną skargą. To hańba, że nie możemy pomścić naszych towarzyszy tutaj, w Tracji. Skonsultowałem sprawę z waszym trybunem i on zaoferował się, że pojedzie do sztabu legionu i przedstawi wasz problem samemu legatowi; będzie go usilnie prosił, by pozwolił wam dokonać zemsty w Mezji.

Rozległy się potężne owacje.

– Jednakże – kontynuował Petus, przekrzykując hałas – doszło do aktów niesubordynacji, które dla utrzymania ogólnego morale nie mogą pozostać bez kary. Nazajutrz odbędzie się egzekucja dwóch żołnierzy winnych uderzenia oficerów – oznajmił. Radosne okrzyki powoli milkły. – Nie może być inaczej. I co więcej, wydacie swoich prowodyrów; każdemu z nich zostaną wymierzone dwadzieścia cztery kije, a ponieważ nie mogą pozostać tutaj z piętnem niesubordynacji, udadzą się z trybunem do sztabu legionu i znajdą się w innej kohorcie. To jest cena, jaką musicie zapłacić za grożenie buntem i niezgłoszenie się ze swoimi skargami wpierw do mnie, w godny sposób, jak przystoi rzymskim żołnierzom. Rzym nie będzie tolerował nieposłuszeństwa w szeregach żołnierzy legionów. Jeśli nie przyjmiecie tych warunków, będziecie musieli zabić mnie i waszego trybuna, a potem przez resztę swojego krótkiego życia będziecie ludźmi ściganymi. Podnieście prawe ręce, jeśli się zgadzacie.

Legioniści zaczęli szeptać pomiędzy sobą; tu i tam podniesiono głos, ale nie przypominało to tego napięcia, jakiego świadkiem Wespazjan był wcześniej. Powoli ręce zaczęły się podnosić, aż w końcu wszyscy trzymali je w górze.

– Bardzo dobrze – powiedział Petus, skinąwszy głową – a teraz przekażcie mi prowodyrów. W duchu pojednania, jeśli wystąpią z własnej i nieprzymuszonej woli, zmniejszę karę chłosty do dwunastu kijów.

Na te słowa z cizby wystąpiło trzech żołnierzy. Wśród nich Wespazjan rozpoznał siwowłosego mężczyznę, którego widział wcześniej, jak powstrzymywał się od uderzenia centuriona. Teraz żołnierz stanął na baczność i zwrócił się do Petusa.

– Legionista Warynus z drugiej centurii, piątej kohorty, prosi o pozwolenie na złożenie oświadczenia.

– Mów – powiedział Petus.

– My trzej jesteśmy z jednej izby baraku z tymi dwoma w areszcie i z tymi trzema dzisiaj znalezionymi. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za niepokoje, jakie zapoczątkowaliśmy, wynikające z naturalnego pragnienia, żeby pomścić swoich towarzyszy, i chętnie poddam się karze. Prosilibyśmy cię tylko, dowódco, o jedno: o łaskę dla tych dwóch skazanych na śmierć.

– To niemożliwe, Warynusi, każdy z nich uderzył oficera; obaj muszą umrzeć.

Po twarzach legionistów Wespazjan widział, że jeśli ten wyrok zostanie wykonany, pozostawi to u żołnierzy osad niezadowolenia. Nachylił się ku Petusowi i zaczął szeptać mu gorączkowo do ucha. Twarz dowódcy pojaśniała, on też pragnął znaleźć drogę wyjścia z tej trudnej sytuacji, skinął więc głową do Wespazjana, który odwrócił się i przemówił do tłumu.

– Prefekt Petus zgadza się ze mną, że ponieważ było ciemno, kiedy doszło do incydentów, mogła zajść pomyłka co do tożsamości ich sprawców; istnieje prawdopodobieństwo, że jeden człowiek dopuścił się obydwu tych niecznych czynów. Jako że nie możemy mieć pewności, który z nich jest winny, powinni ciągnąć losy: przegrany zostanie stracony, ten drugi wychłostany tak samo jak pozostali prowodyrowie. Decyzja jest ostateczna.

Warynus i jego dwaj kamraci wyprostowali się jak struny i wyciągnęli ręce w salucie.

– Centurionie Celusie – zawołał Petus – każ ich zabrać; kara zostanie wymierzona jutro o drugiej godzinie dnia. Daj ludziom rozkaz rozejścia się.

Trzydziestokilkuletni centurion o kwadratowej szczęce, strojny w poprzeczną kity z końskiego włosia przy hełmie i liczne, błyszczące w świetle pochodni krawki odznaczeń, wystąpił do przodu.

– Dowódco, chciałbym coś zaproponować, nim ludzie się rozejdą.

Petus wznosił oczy do nieba, bo wydawało się, że to spotkanie nigdy nie dobiegnie końca,

ale należało wysłuchać najwyższego rangą centuriona, pełniącego obecnie obowiązki prefekta obozu.

– Słuchamy, centurionie.

Celus zwrócił lodowate, podejrzliwe spojrzenie na Wespazjana.

– Przyklaskuję pomysłowi trybuna, który chce osobiście wstawić się za żołnierzami u legata; uważam jednak, że jego apel nabierze jeszcze większej wagi, jeśli stawi się tam również przedstawiciel centurionów – oświadczył. Z tłumu dobiegł szmer uznania dla jego słów. – I byłoby rzeczą stosowną, bym to ja był, jako najwyższy rangą centurion w garnizonie – dokończył.

Szepty zmieniły się w radosne okrzyki, a potem w skandowane „Ce-lus, Ce-lus”.

Petus odwrócił się do Wespazjana i uśmiechnął przepaszająco.

– Przykro mi, kolego, przechytrzone nas i wygląda na to, że będziesz miał w swojej grupie nieproszonego gościa – powiedział po cichu, po czym podniósł głos. – Wyrażam zgodę; centurion będzie towarzyszył waszemu trybunowi. – Odwrócił się i zszedł bocznymi schodkami.

Idąc za nim, Wespazjan zerknął na Celusa. Mężczyzna obdarzył go mdłym uśmieszkiem, w którym czaiła się wrogość.

– Wygląda na to, że centurion zamierza mieć na ciebie oko – zauważył Petus, kiedy przecinali słabo oświetlony plac defiladowy, kierując się w stronę szpitala.

– Tak, nagle stał się podejrzliwy – odparł Wespazjan – ale nie ma sensu teraz się tym martwić. Muszę go znieść. Najważniejszą kwestią pozostaje, jak wyjaśnić obecność w wyprawie ludzi królowej i urwać się Celusowi, kiedy już porozmawiam z Pomponiuszem.

– Powiesz po prostu, że wiozą list od Tryfeny do Pomponiusza i dla bezpieczeństwa korzystają z obecności większej liczby naszych żołnierzy. Odpowiedź na drugie pytanie jest trudniejsza. – Petus popatrzył znacząco na młodego trybuna.

– Będę musiał go zabić?

– Raczej nie masz wyboru; chyba że chcesz, by Poppeusz wiedział, dokąd się udajesz i w jakim celu – stwierdził Petus.

Wespazjan doszedł do wniosku, że dowódca ma rację.

Kiedy weszli do środka, natychmiast w ich nozdrza uderzył mocny zapach gnijących ciał i zakrzepłej krwi. Petus kazał szorującemu podłogę niewolnikowi sprowadzić medyka.

Sądząc po akcencie, medyk był Grekiem, jak zresztą większość wojskowych medyków na Wschodzie.

– Zabierz nas do żołnierza, którego przyniesiono dziś po południu, Hezjodzie – powiedział Petus.

– On śpi, dowódcu.

– No to go obudź, musimy z nim porozmawiać.

Medyk niechętnie skinął głową, wziął lampkę oliwną i poprowadził ich w głąb budynku. Przeszli przez salę z dwudziestoma łózkami i znaleźli się w ciemnym korytarzu z trojgiem drzwi po jednej stronie. Tutaj smród był jeszcze silniejszy. Hezjod zatrzymał się przy pierwszych drzwiach.

– Proces gnilny postąpił dalej od czasu, kiedy widziałeś go ostatnim razem, dowódcu. Sądzę, że nie przeżyje.

– Nie wydaje mi się, by chciał żyć – powiedział Petus, wchodząc do izby za medykiem.

Wespazjan z trudem pohamował odruch wymiotny; słodkomdły, wywracający wnętrzości odór rozkładającego się ciała był nieznośny. Medyk podniósł do góry lampkę i Wespazjan zobaczył, dlaczego ten człowiek nie może być zainteresowany dalszym życiem. Odcięto mu nos i uszy, splamione krwią bandaże spowijały jego twarz. Podobnie zabandażowane miał dłonie, tylko dłonie, bo palców go pozbawiono, a sądząc po zakrwawionym opatrunku na podbrzuszu, stracił coś więcej. Ocknął się, kiedy na jego twarz padło światło, i patrzył na gości zdesperowanym, błagalnym wzrokiem.

– Pomóż mi umrzeć, dowódcu – wycharczał – bo sam nie utrzymam już miecza tymi rękoma.

Petus spojrział na medyka, który wzruszył tylko ramionami.

– Dobrze, żołnierzu – zgodził się prefekt – ale chcę, żebyś najpierw powiedział trybunowi to, co mnie mówiłeś wcześniej.

Legionista popatrzył na Wespazjana smutnymi oczyma człowieka śmiertelnie udęconego; nie miał zapewne więcej niż osiemnaście lat.

– Zaczaili się na nas w lesie, trybunie – mówił wolno, płytko oddychając. – Zdołaliśmy zabić dwóch, zanim nas obezwładnili, wyglądali na Traków, ale ich język był inny od tego, jakim mówią tutejsi, i nosili spodnie. – Mówił coraz słabszym głosem i medyk przytknął mu do ust kubek z wodą. – Zaczęli od Postumusa, zakneblowali mu usta, żeby nie krzyczał, a potem powoli

kroili go nożami; wcześniej poważnie raniono go w zasadzce, więc nie żył długo. Jeden z nich mówił po grecku i powiedział nam, że to samo spotka i nas, jeśli nie będziemy współpracować. Mój kolega powiedział, że ma ich gdzieś; to ich wkurzyło i pociachali go jeszcze bardziej niż Postumusa. Byłem już wtedy śmier telnie przerażony i kiedy się do mnie dobrali, trybunie, powiedziałem, że im pomogę. Bardzo mi przykro.

– Czego chcieli? – spytał Wespazjan.

– Chcieli, żebym wskazał im ciebie, kiedy wyjedziesz z obozu, panie. Czekaliśmy kilka dni, aż wreszcie wybrałeś się na polowanie z dwoma niewolnikami. Przyznaję, że poczułem ulgę, bo myślałem, że zostawią mnie w spokoju, ale nazwali mnie tchórzem, który zdradza swoich ludzi, i dwóch z nich zrobiło ze mną to, co widzisz, a dwaj pozostali ruszyli za tobą.

– Było ich czterech? – Wespazjan spojrzał na Petusa, który uniósł brwi.

– Tak, trybunie. A teraz zakończcie to.

Petus wyciągnął miecz.

– Jak masz na imię, żołnierzu?

– Decymus Falens.

Prefekt umieścił czubek miecza pod lewym dolnym żebrem żołnierza.

– Odejdź z tego świata w pokoju, Decymusie Falensie, nie zostaniesz zapomniany. – Objął lewą dłonią głowę mężczyzny i wbił mu miecz pod żebra i w serce.

Ciało Falensa drgnęło gwałtownie, ból rozwarł mu szeroko oczy, a potem, kiedy życie zaczęło z niego uchodzić, zdążył spojrzeć na Petusa z ulgą.

Rozdział trzeci

Żołnierze drugiej i piątej kohorty IV legionu *Scythica* stanęli na baczność przed kłosem drewna i czterema wysokimi na siedem stóp słupami. Wysoki dźwięk skręconego spiralnie rogu, *bucina*, okrążył echem plac defiladowy. Wespazjan stał na podwyższeniu obok Petusa, przesuając zmęczonymi oczyma po szeregach znieruchomiałych legionistów. Był niewyspany; przez całą noc myśli kotłowały mu się w głowie. Poprzedniego wieczoru opowiedział Sabinusowi i Magnusowi o wszystkim, co się wydarzyło. Propozycja Petusa przydzielenia im eskorty złożonej z trzydziestu jeźdźców podniosła ich nieco na duchu, choć już żadnego nie cieszyła myśl, że będzie im towarzyszył człowiek Poppeusza i że gdzieś tam kręci się jeszcze dwóch Getów z wycelowanymi w nich łukami. Wespazjan jednak nie słyszał ich narzekań, bo całą uwagę skupił na listach przywiezionych przez Sabinusa. Te od rodziców ograniczały się w wypadku ojca do informacji na temat posiadłości, a w wypadku matki do długiej wyliczanki rad; natomiast Cenis pisała tak pięknie o miłości i tęsknocie, że serce podskoczyło mu z radości.

Róg odezwał się znowu, ściągając Wespazjana z obłoków na ziemię. Strażnicy wyprowadzili pięciu żołnierzy z aresztu i ustawili przed słupami i kłosem drewna. Żołnierze ubrani byli tylko w sandały i rdzawe tuniki, dla upokorzenia pozbawione pasów, jak u kobiet.

– Centurionie Celusie – zawołał Petus – przygotuj więźniów do wymierzenia kary.

– Więźniowie, baczność! – warknął Celus.

Mężczyźni zeszywnieli.

– Więźniowie, którzy mają ciągnąć losy, wystąp.

Dwóch spośród pięciu wystąpiło z szeregu. Celus podniósł pięść, w której trzymał dwie słomki.

– Ten, który wyciągnie krótszą słomkę, zostanie uznany za winnego uderzenia obu oficerów i usłyszy wyrok z ust dowódcy garnizonu, ten, który wyciągnie dłuższą słomkę, otrzyma dwanaście kijów, tak jak pozostali.

Dwaj nieszczęśnicy, obaj zaledwie po dwadzieścia kilka lat, popatrzyli na siebie i przełknęli ślinę. Jednocześnie wyciągnęli po jednej słomce z ręki Celusa. Wespazjan bez trudu rozpoznał przegranego po opuszczonej głowie i ramionach, podczas gdy ten drugi stał

wyprostowany, oddychając głęboko w poczuciu ulgi. Nigdy wcześniej nikt tak się nie cieszył na chłostę, pomyślał Wespazjan.

– Prefekcie Petusie – zawołał Celus – ten człowiek jest winny. Jaki jest twój wyrok?

– Śmierć – odpowiedział po prostu Petus.

Szybkość, z jaką wykonano wyrok, zaskoczyła Wespazjana. Podprowadzono mężczyznę do drewnianego kłoca, kazano mu uklęknąć i oprzeć na nim ręce. Skazany opuścił głowę i naprężył wsparte na kłocu ramiona, wiedząc, że aby śmierć nastąpiła szybko, musi zachować sztywność ciała. Jeden ze strażników stanął obok niego z wyciągniętym mieczem i szybko go opuścił, odcinając mu głowę. Ciało opadło na kłoc, tryskając potężną fontanną krwi.

Żołnierze drugiej i piątej kohorty stali w milczeniu, z oczami wbitymi w martwego towarzysza, którego głowę pospiesznie podniesiono i zabrano razem z ciałem.

– Więźniowie do słupów – warknął znowu Celus, poklepując się kijem z winorośli po nodze.

Czterech pozostałych mężczyzn podeszło do słupów z rękoma uniesionymi nad głową; widzieli już wiele chłost i znali procedurę. Strażnicy przywiązali im nadgarstki rzemieniem do słupów, po czym zdarli z mężczyzn tuniki, pozostawiając tylko przepaski biodrowe. Z grubymi kijami z winorośli, oznaką ich rangi, Celus i trzech inni centurioni zajęli pozycje po lewej stronie każdego ze skazanych.

– Na mój znak, dwanaście uderzeń – krzyknął Celus. – Raz!

Cztery solidne kije spadły jednocześnie na barki mężczyzn, wywołując u nich napięcie każdego mięśnia i gwałtowny wydech, któremu towarzyszyło głośne jęknięcie.

– Dwa!

Kije ponownie śmignęły w powietrzu, tym razem uderzając tuż poniżej pręgi, jaka powstała po pierwszym razie. Wespazjan widział, że centurioni znają się na tej robocie, bo za każdym razem mierzyli niżej. Uderzanie w to samo miejsce mogło skończyć się pęknięciem kości, a to miała być kara, nie okaleczenie. Gdyby wykroczenie tego wymagało, użyto by bata.

Przy ósmym uderzeniu trzem legionistom z nadgarstków, w które wżarły się skórzane rzemienie, zaczęła spływać krew. Jedynie Warynusowi udało się tego uniknąć. Wespazjan pomyślał, że widocznie nie raz już poddawano go podobnej karze i nauczył się nie uwieszać na ramionach przy każdym uderzeniu; zastanawiał się, czy doświadczony żołnierz przekazał tę wiedzę młodszym towarzyszom; jeśli nawet tak było, to najwyraźniej nie potrafili wykazać się

taką samokontrolą jak on i dlatego cierpieli jeszcze bardziej.

– Dziesięć!

Cztery kije spadły na pośladki mężczyzn z taką siłą, że jeden z nich, należący do Celusa, pękł na dwoje; odłamany koniec przefrunął w powietrzu i z głośnym trzaskiem uderzył w podwyższenie dla oficerów.

– Dajcie mi inny – ryknął Celus.

W krótkiej przerwie, jaka nastąpiła, Petus nachylił się ku Wespazjanowi i z krzywym uśmiechem szepnął mu do ucha:

– Powinien uważać, w jaki sposób prosi o nowy kij, nie sądzisz?

Wespazjan uśmiechnął się na tę aluzję do centuriona Lucyliusza, znanego żołnierzom jako „Przynieście mi inny” z powodu liczby kijów, jakie połamał na ich grzbietach; był jednym z pierwszych oficerów zamordowanych, kiedy legiony panońskie zbuntowały się po objęciu władzy przez Tyberiusza.

Po zadaniu ostatnich dwóch razów odcięto żołnierzy od słupów. Ku uldze Wespazjana wszyscy mogli chodzić; byłby wściekły, gdyby musiał odłożyć wyjazd i czekać, aż dojdą do siebie; jednak centurioni wykonali swoją robotę tak fachowo, żeby wszyscy czterej mogli po południu dosiąść koni, mimo niewątpliwego bólu.

– Legioniści, koniec wymierzania kary – zawołał Petus. – W przyszłości przychodźcie ze swoimi żalami wprost do mnie, zamiast ryzykować rozprężenie dyscypliny garnizonu. Centurionie Celusie, każ ludziom się rozejść. – Odwrócił się i zszedł z podwyższenia, a Wespazjan ruszył za nim.

– Cóż, dobrze, że mamy to za sobą – powiedział Petus, kiedy wracali. – Nie mam nic przeciwko egzekucji żołnierzy, ale kiedy jest ona rezultatem ich rozgoryczenia, bo nie mogą pomścić swoich towarzyszy, czuję niesmak; dziękuję ci, że znalazłeś sposób, by uratować jednego z nich i zachować twarz. Uważam, że chłopcy dzielnie znieśli chłostę, wspomnij o tym Pomponiuszowi; wyglądają na zżytych ze sobą, a jestem pewien, że on ich rozdzieli. Jeśli jednak dowie się, że przyjęli karę, jak żołnierzom przystało, to może pośle ich do różnych jednostek, ale w tej samej centurii.

– Powiem mu, prefekcie – odparł Wespazjan – zaraz jak do niego dotrę. Czy wiemy, gdzie obecnie znajduje się Czwarty?

– Zanim śnieg zamknął przełęcz, wysyłałem korespondencję do Oescus nad Dunajem.

Tinos, dekurion z mającego eskortować was oddziału, był tam kilka razy, zna drogę.

– Cóż, od tego zaczniemy; jeśli ich nie będzie, to ktoś nas poinformuje, dokąd wyruszyli.

Dzięki za pomoc, Petusie.

– Nie ma o czym mówić. Robię tak, bo wierzę, że spełnienie prośby Antonii jest w najlepiej pojętym interesie mojej rodziny i Rzymu. Mogę mieć nadzieję, że się nie mylę?

– Nie mylisz się; jeśli tylko mi się powiedzie, to będzie to z korzyścią dla wszystkich tych rzymskich rodzin, którym leży na sercu zachowanie prawowitych rządów.

– Miejmy więc nadzieję, że wszystko się uda. W takim razie pożegnam się już – powiedział Petus, ściskając ramię Wespazjana. – Wyślę twoje rzeczy razem ze swoimi, kiedy za kilka miesięcy, jak tylko zjawi się mój zmiennik, będę wracać do domu. Powodzenia i do zobaczenia w Rzymie. – Odwrócił się i energicznym krokiem ruszył po schodkach do swojej kwatery.

– Szkoda – zawołał za nim Wespazjan – że nie możemy z bratem zjeść z tobą dzisiaj wieczery, ale rozumiesz, że to z powodu wcześniejszych zobowiązań.

– W domu mam do tego o wiele lepsze warunki, tam sobie razem poucztujemy – powiedział Petus, znikając we wnętrzu budynku.

Wespazjan się zastanawiał, czy ma w nim przyjaciela, czy tylko sprytnego, wykorzystującego okazję sojusznika.

W południe Wespazjan, Sabinus i Magnus wyjechali z obozu na spotkanie żołnierzy królowej Tryfeny. Kilkaset kroków przed bramami miasta, kiedy zbliżali się do grupy ludzi na koniach, pod ciężkim od deszczowych chmur niebem wyłaniały się przed nimi trzy wzgórza starożytnego Filippopolis.

– Mogłem się założyć – jęknął Magnus – że ten jedyny przeklęty Trak, z jakim przez cały ten rok się pobiłem, wybierze się z nami.

W grupie, tuż obok Artebuza, Wespazjan zobaczył dwóch gwardzistów, z którymi mieli do czynienia ubiegłego wieczoru; ten ogromny posłał złowrogie spojrzenie Magnusowi, po czym szepnął coś do swojego towarzysza, a tamten wyszczerzył zęby i skinął potakująco głową.

– To cię nauczy większej uprzejmości wobec miejscowych – zachichotał Wespazjan – szczególnie tych wielkich, z kudłatym tyłkiem.

– Lepiej pomódl się do tego boga, w którego najbardziej wierzysz, żeby ten tutaj nie zrobił cię swoją lisią – doradził mu Sabinus.

– Bardzo zabawne – warknął Magnus.

Wespazjan zatrzymał wierzchowca przed Trakami i obejrzał sobie ich wszystkich. Poza dwoma gwardzistami było jeszcze trzech innych Traków z gęstymi, czarnymi brodami. Wszyscy mieli typowe dla południowych plemion lisie czapy na głowach i ciepłe płaszcze. W sajdakach przy siodle trzymali krótkie wygięte łuki z drewna i rogu obok pełnego strzał kołczanu. U pasów wisały im miecze, a sponad ich ramion wystawały końce trackich dzid śmiertelnie groźnych *rhomphaiai*, tkwiących w pochwach na plecach.

Artebuz wysunął się do przodu na koniu.

– Dzięki za uzyskanie dla mnie wolności, panie – powiedział, pochylając głowę.

– Zasłużyłeś na nią i nie jestem twoim panem; zwracaj się do mnie „trybunie” i dotyczy to was wszystkich – powiedział, spoglądając kolejno na każdego. – Jestem trybun Wespazjan; wasza królowa przydzieliła mi was, a to oznacza, że obowiązuje was dyscyplina wojskowa, czy to jasne? – spytał. Mężczyźni skinęli głowami. – Świetnie. Zakładam, że wszyscy mówicie po grecku – powiedział. Mężczyźni potwierdzili. – Pojedziemy na północ, do Mezji, z oddziałem jazdy pomocniczej i kilkoma legionistami. Nie wolno wam z nimi rozmawiać, oni mają wiedzieć, że podróżujecie w sprawach swojej królowej. Kiedy już tam dotrzemy, zaczniemy szukać naczelnego kapłana Rotekesa, zamierzam go bowiem pochwycić i zabrać do Tomi, a stamtąd statkiem do Rzymu. Czy dla któregoś z was stanowi to jakiś problem?

Zwalisty rudobrody gwardzista splunął na ziemię.

– Przeklęty kapłan – warknął.

Pozostali Trakowie również spluwali na ziemię i mamrotali pod nosem różne przekleństwa.

– Cóż, przynajmniej co do tego jesteśmy zgodni – oświadczył Magnus pojednawczo.

Ogromny gwardzista spiorunował go wzrokiem.

– Z tobą jeszcze nie skończyłem, Rzymianinie, co do *tego* my dwaj jesteśmy zgodni.

– Dosyć! – krzyknął Wespazjan. – Nie będzie żadnych awantur; wszelkie spory zostawiacie za sobą. – Spojrzał groźnie na Traka. – Jak masz na imię, żołnierzu? – spytał.

– Sitalkes – odparł szorstko mężczyzna.

– Sitalkes, trybunie! – warknął Wespazjan.

– Sitalkes, trybunie.

– Tak lepiej. Słuchaj, Sitalkesie, jeśli mamy wyjść z tego żywi, musimy działać jak jedna

drużyna, a żadne utarczki nam tego nie ułatwią. Tak, może i Magnus rzucił cię wczoraj na tyłek, ale nie pozwolę, by taki drobny incydent zagrażał naszej jedności, więc pohamuj się, jasne?

Trak przeniósł wzrok z Wespazjana na Magnusa i podrapał się po gęstej rudej brodzie.

– Tak, trybunie, pohamuję się – oświadczył wreszcie. – Do czasu, kiedy to się skończy – dodał.

– Świetnie. – Wespazjan na tym poprzestał, bo wiedział, że więcej od tego człowieka nie uzyska, zmuszanie go do dalszych ustępstw oznaczałoby upokorzenie go wobec kamratów. – Poczekajcie tutaj, a my przyprowadzimy naszą eskortę.

Zawrócił wierzchowca i Rzymianie pogalopowali do obozu.

– Będziesz musiał uważać na swojego nowego przyjaciela, Magnusie – powiedział Wespazjan, kiedy zwolnili, by przejechać przez bramę.

– Nie kłopotuj się, trybunie, radziłem już sobie z większymi od niego – odparł Magnus beztrąsko. – No i przecież zawsze możesz go odesłać.

– Myślałem o tym, ale pozostali mogliby to źle przyjąć, a poza tym wygląda na takiego, co będzie przydatny w walce wręcz.

– Jeśli utrzyma się na nogach – dodał ze śmiechem Sabinus.

Dotarli do placu przed stajniami i zobaczyli że eskorta dosiada już wierzchowców. Podszedł do nich wysoki, trzydziestokilkuletni oficer o szczupłej opalanej twarzy i krótkich kręconych włosach.

– Melduje się dekurion Tinos z pomocniczej jazdy iliryjskiej – powiedział, pozdrawiając Wespazjana. Akcent wskazywał, że łacina nie jest jego pierwszym językiem.

– Czy twoi ludzie gotowi są wyruszyć, dekurionie? – spytał Wespazjan, zsiadając z konia.

– Tak, trybunie.

– Doskonale. Widziałeś centuriona Celusa?

– Jestem tutaj – dobiegł go głos za plecami.

Wespazjan zrobił zwrot i zobaczył, że Celus prowadzi ku niemu Warynusa i jego trzech kamratów; wszyscy nieśli na ramionach tobołki z rynsztunkiem.

– Oddział stój! – warknął centurion.

Legioniści stanęli w miejscu. Wespazjan zobaczył, że dwóch krzywi się z bólu; trzej młodszy mieli nadgarstki owinięte czystym bandażem.

– Niech każdy weźmie konia – ciągnął Celus – przymocuje swój tobołek i dosiada

wierzchowca.

Żołnierze pospiesznie ruszyli wypełnić rozkaz. Ostentacyjnie uchybiając autorytetowi Wespazjana, Celus odwrócił się, by wziąć sobie konia, nie zameldowawszy się wcześniej u wyższego rangą oficera.

– Centurionie! – krzyknął Wespazjan.

Celus zatrzymał się i powoli odwrócił przodem do niego.

– Centurionie, do mnie. – Wespazjan wskazał miejsce przed sobą.

Celus potoczył wokół zimnym wzrokiem. Żołnierze byli zajęci końmi, natomiast Tinos i Magnus mu się przyglądali, nie mógł więc sobie pozwolić na okazanie niesubordynacji wobec świadków.

– Zamelduj się, centurionie – powiedział Wespazjan spokojniejszym głosem, patrząc twardym wzrokiem w oczy Celusa.

– Centurion Celus...

– Na baczność, centurionie.

Celus niechętnie się wyprostował, a w jego oczach zapłonęła nienawiść.

– Centurion Celus melduje się z czterema legionistami przenoszonymi z tego garnizonu.

– Nie usłyszałem w tym zdaniu słowa „trybunie”.

– Bo go tam nie było – oświadczył Celus szeptem, który tylko Wespazjan mógł usłyszeć.

Młody trybun zbliżył twarz do twarzy podkomendnego i cicho, szybko powiedział:

– Posłuchaj, centurionie, możesz mieć więcej lat służby ode mnie, ale to ja jestem starszy stopniem. Jeśli jeszcze raz nie okażesz mi szacunku, wyładujesz jako zwykły legionista. Będę miał na ciebie oko, rozumiano?

Celus uśmiechnął się zimno.

– Och, ja świetnie rozumiem, to ty nie rozumiesz. Nie mógłbyś mnie zdegradować, chronią mnie wysoko postawieni ludzie i w rzeczywistości to ja będę miał oko na ciebie. – Cofnął się i wyciągnął rękę w salucie, zupełnie jakby kazano mu odejść. – Trybunie! – ryknął, żeby wszyscy usłyszeli, zrobił zwrot i odmaszerował, zostawiając rozzłoszczonego i bezsilnego Wespazjana.

– Nie wydaje mi się, żeby to dobrze poszło – zauważył kwaśno Sabinus.

Wespazjan odwrócił się i popatrzył na brata z taką wściekłością, że ten zrezygnował z dalszych sarkastycznych uwag i poprowadził swojego wierzchowca w stronę niewielkiej

kolumny jazdy, która była już prawie gotowa do wymarszu.

– My też będziemy mieć oko na Celusa, trybunie – powiedział Magnus, kiedy ponownie dosiadali koni. – Bo byłby kłopot, gdyby spróbował podważyć twój autorytet przy żołnierzach.

– Wątpię, by Warynus i jego koledzy za nim przepadali, dopiero co czuli jego kij na grzbiecie. Może powinieneś się z nimi skumplować, a ja zjednam sobie Tinosą i w ten sposób odizolujemy Celusa, a potem już tylko wymyślimy sposób, żeby się go pozbyć.

– Znam pewny sposób na pozbycie się tej kreatury – oświadczył poważnym tonem Magnus.

– Właśnie coś takiego zasugerował Petus.

Magnus uniósł brwi.

– A to coś nowego, dowódca garnizonu podpowiada, jak pozbyć się centuriona.

– Cóż, miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – powiedział We spazjan, poganiając konia na czoło kolumny – bo wydaje mi się, że Celus nie jest człowiekiem, którego łatwo się pozbyć.

Artebus i Trakowie zamknęli niewielką, złożoną z dwu rzędów kolumnę jeźdźców, którzy wyjechali truchtem przez bramę i świeżo brukowaną drogą skierowali się na północny zachód, ku prowadzącej do Mezji przełęczy. Celus obrzucił ich podejrzliwym wzrokiem, kiedy ustawiali się za czterema zapasowymi wierzchowcami.

– Co te dzikusy wyprawiają? – warknął.

Wespazjan wiedział, że pytanie skierowane jest do niego, ale nie było zadane przepisowo i nie zamierzał odpowiadać centurionowi.

– Wysłannicy królowej wybierają się z nami na przejażdżkę do Mezji – wyjaśnił Tinos, który został uprzedzony o tym przez Wespazjana i nie widział w tym niczego niezwykłego. – Często to robią, kiedy jeździmy z meldunkami na północ; większa liczba ludzi daje większe bezpieczeństwo.

Celus burknął coś pod nosem. Wespazjan w duchu podziękował Petusowi za wymyślenie tego prostego wyjaśnienia.

– Dekurionie, niech dwie czteroosobowe grupy zwiadowców wysforują się na milę do przodu. Mają jechać po obu stronach drogi i co godzinę meldować o sytuacji – zwrócił się do Tinosy.

Dekurion, nieprzyzwyczajony do takich środków ostrożności w spokojnym obecnie, podległym Rzymowi, królestwie Tracji, popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Wyślij ich i każ im mieć oczy i uszy otwarte – dodał stanowczym głosem Wespazjan.

– Tak jest, trybunie. – Tinos ruszył wzdłuż kolumny, by wydać stosowne rozkazy. Chwilę potem *lituus*, zakrzywiona trąbka używana przez jazdę, zakończona skierowaną ku górze czarą, wydał serię wysokich dźwięków. Ośmiu jeźdźców wyprzedziło kolumnę i pogalopowało w stronę dalekich, pokrytych śniegiem, spowitych chmurami gór Hajmos na północy i Rodop na zachodzie.

Kiedy droga zaczęła się piąć łagodnie pod górę, pośród znajomego surowego krajobrazu, Magnus odstał trochę, żeby poznać się bliżej z Warynusem i jego kamratami, podczas gdy Wespazjan jechał równo i spokojnie, rozmawiając z Tinosem. Po godzinie pojawiło się na chwilę dwóch zwiadowców, jeden tuż po drugim, by zameldować, że niczego nie zauważyli. Cały dzień zanosilo się na deszcz i teraz zaczęło mżyć; Wespazjan owinał się szczelnie płaszczem i zwolnił na chwilę, by zrównać się z bratem.

– Nieźle się spisałeś, zauważając tę różnicę pomiędzy ilością srebra w mennicy i liczbą wybitych denarów – oświadczył, odnosząc się do roli Sabinusa w wykryciu, że Sejan wykorzystał srebro Poppeusza do bicia monet, które miały się przyczynić do wybuchu buntu w Tracji. Sabinus był wtedy młodszym urzędnikiem nadzorującym bicie monet ze srebra i brązu.

Sabinus spojrział zaskoczony na brata; nigdy jeszcze nie usłyszał od niego pochwały, co nie było niczym dziwnym, jako że sam też nigdy nie pochwalił za nic Wespazjana.

– Pewnie chcesz, bym wygłosił hymn pochwalny, że tak gruntownie nauczyłeś mnie rachunkowości – odparł z podejrzliwością.

– Niekoniecznie, choć pochwała mieści się w słowie „gruntownie”, więc mogę ci podziękować.

– Hmm, cóż, ja też ci dziękuję – burknął niechętnie Sabinus, odwracając głowę i kuląc się przed coraz bardziej rześistym deszczem.

Jakiś czas jechali w milczeniu, młodszy brat zerkał ukradkiem na starszego, który udawał, że nie zauważa jego obecności. Wespazjana bawiło, że Sabinus zupełnie niechętny pochwalił go i teraz najwyraźniej go to irytowało.

– Co porabiałeś w Rzymie, kiedy skończył się ten rok na urzędniczym stanowisku? – zapytał w końcu Wespazjan konwersacyjnym tonem.

– A co ci do tego? – burknął Sabinus.

– Jestem ciekaw, w końcu jesteś moim bratem.

– Jeśli już musisz wiedzieć, braciszku, zjednywałem sobie ludzi, by zapewnić sobie ich głosy przy tegorocznych wyborach kwestorów.

– Na pewno nie ograniczało się to jedynie do lizania im tyłków? – rzucił Wespazjan, strząsając krople deszczu z czerwonych piór przy hełmie.

– Oczywiście, że tak, bo to właśnie tak działa, a im większy tyłek, tym gorliwiej trzeba go lizać. Na przykład, twój kolega trybun z Czwartego, Korbulon, był w zeszłym roku kwestorem, a teraz jest w senacie, akurat jego tyłek musiał być dokładnie wylizany.

– Znasz Korbulona?

– Nie bądź taki zdziwiony, to za twoją przyczyną jego tyłek znalazł się na mojej drodze.

– Niby dlaczego? – spytał zaintrygowany Wespazjan.

Sabinus wyszczerzył zęby.

– Wuj Gajusz zna jego ojca, byli tego samego roku pretorami i nie wchodzili sobie w paradę, więc są w dobrych stosunkach. Kiedy dwa lata temu Korbulon wrócił do domu, jego ojciec zaprosił Gajusza i mnie na ucztę, jako podziękowanie jednej rodziny drugiej rodzinie.

– Podziękowanie za co?

– Cóż, braciszku, Korbulon twierdzi, że zawdzięcza ci życie; chodziło o jakiś dziwny twój talizman, dzięki któremu uwolniono was z trackiego obozu tuż przed tym, jak kazali wam walczyć ze sobą na śmierć i życie. Nie bardzo to wszystko zrozumiałem, ale on wyglądał na przekonanego, że bogowie cię ocalili, byś mógł spełnić swoje przeznaczenie. – Sabinus popatrzył na brata taksującym spojrzeniem. – Cokolwiek by to miało być – dodał.

– Cóż, nawet jeśli jest wdzięczny, to nigdy mi tego nie okazał.

– A to dlatego, że jest z niego arogancki dupek, który uważa, że gdyby ci podziękował, zostałby twoim dłużnikiem, co jest raczej oczywiste. Jego ojciec natomiast zawsze był człowiekiem honorowym i dał jasno do zrozumienia, że okaże nam wszelką pomoc z powodu tego długu wdzięczności, który jak uważa, jego rodzina ma do spłacenia naszej. Forsuje więc moją kandydaturę na kwestora i tym samym członka senatu, możesz więc sobie wyobrazić, z jakim entuzjazmem wuj Gajusz i ja lizaliśmy mu tyłek. Z czego wynika, że przynajmniej raz przydałeś się rodzinie, braciszku.

– A ty na tym skorzystasz – powiedział Wespazjan z wyraźną goryczą w głosie.

Sabinus uśmiechnął się z zadowoleniem do brata i skinął głową.

– I tak powinno być, bo jestem starszym bratem, nie martw się jednak, nie tylko ja skorzystam. Korbulon powiedział nam też o rozmowie, jaką przeprowadził po powrocie do Mezji z centurionem Faustusem, który, jak słyszałem, był tamtego dnia z wami w trackim obozie.

– Rozmowie o czym?

Sabinus zerknął przez ramię, by się upewnić, że Celus jest wystarczająco daleko.

– O Poppeuszu – odpowiedział, zniżając głos.

– Aha, rozumiem. Musiałem zwierzyć się Faustusowi, by zyskać jego pomoc. Wiedziałem, że nie ucieszy go, kiedy się dowie, że Poppeusz, dla politycznych celów Sejana i swoich własnych, próbował nas zabić, razem z całą kolumną posiłków złożoną z rekrutów. Powiedział to Korbulonowi?

– Tak, a Korbulon i jego ojciec powiedzieli nam, nie wiedząc, że już o tym wiemy, ponieważ Tryfena i Remetalkes napisali wcześniej do Antonii.

– I...?

– Rusz głową, braciszku, oni chcą się zemścić na Poppeuszu, a ponieważ jego spiski zagrażały też tobie, założyli, całkiem poprawnie, że my również będziemy szukali zemsty. Proponowali sojusz rodzin, zabraliśmy ich więc do Antonii i Korbulon zgodził się udać z nami, kiedy będziemy zabierać tego kapłana do Tyberiusza. Zezna przed nim, że Poppeusz chciał, by odkrycie tej trackiej skrzyni z denarami pozostało tajemnicą, podczas gdy powinien był o niej zameldować cesarzowi i senatowi.

– Co? – spytał Wespazjan, patrząc na brata z przerażeniem. – Mamy zabrać Rotekesa na Capri? Nic mi o tym nie wspomniałeś.

– Cóż, ktoś to musi zrobić, cesarz uwierzy kapłanowi jedynie wówczas, kiedy poddadzą go torturom w jego obecności; a ty będziesz musiał świadczyć razem z Korbulonem. A zresztą, czy robiłoby to jakąś różnicę, gdybyś wiedział? Przecież i tak byłbyś teraz tutaj, prawda?

Wespazjan skinął powoli głową. Nie domyślił się, że kapłan będzie musiał stanąć przed obliczem najpotężniejszego człowieka na ziemi, jednak jego brat miał rację, nie zmieniłoby to jego decyzji, nawet gdyby wiedział. I tak by to zrobił.

Góry po obu stronach zniknęły za kurtyną ulewnego deszczu. Od zachodniej strony z nawałnicy wyłonił się zwiadowca z meldunkiem. Wespazjan ruszył do przodu i zrównał się z Tinosem, żeby wysłuchać meldunku. Również tym razem żołnierz nie miał żadnych

niepokojących wiadomości. Przebyli kolejne pół mili i wciąż nie zjawiał się żołnierz z drugiej grupy zwiadowców. Wespazjana ogarnęły złe przeczucia. Zerknął na Tinosą, który wzruszeniem ramion pokazał swoje zaniepokojenie. Od przodu dobiegł ich jakiś gardłowy krzyk. Dekurion podniósł rękę i zatrzymał kolumnę. Sylwetki czterech zbliżających się koni, z powodu deszczu ledwie widoczne z odległości dwustu kroków, wywołały u obu chwilowe odprężenie. Ruszyli szybciej naprzeciwko powracającym zwiadowcom, ale kiedy się zbliżyli, stało się oczywiste, że tylko jeden jeździec siedzi wyprostowany w siodle, pozostali trzej leżeli przerzuceni przez grzbiety wierzchowców, a sterzące w ich ciałach strzały nie pozostawiały złudzeń. Wespazjan spojrział na pozostałego przy życiu zwiadowcę. Krew wraz z wodą deszczową spływała mu po twarzy i zalewała tunikę, złamane drzewce strzały sterczało mu z prawego barku; patrzył na trybuna oczyma, w których przerażenie graniczyło z szaleństwem.

– Gdzie to się stało? – spytał ponagląco Wespazjan.

Mężczyzna przewrócił oszalałymi oczyma i wyciągnął do przodu głowę. Z jego ust wydobyły się okropne bulgoczące dźwięki i popłynęła krew; odcięto mu język.

Rozdział czwarty

Deszcz padał nieustannie przez dwa dni i dwie noce, a potem zgęstniał w paćkowaty śnieg. Kolumna znalazła się na krętej drodze, prowadzącej do położonej tysiąc stóp wyżej przełęczy Succi. Morale żołnierzy się obniżyło. Przemokniętych i przemarzniętych do szpiku kości ludzi wyprowadziło z równowagi okaleczenie ich towarzysza i świadomość czających się w pobliżu niewidocznych jak duchy zabójców. Od zwiadowcy niewiele się dowiedzieli, ponieważ nie umiał pisać, zdołał tylko skinieniem głowy potwierdzić, zanim zmarł z upływu krwi, że było zaledwie dwóch napastników na koniach i że rzeczywiście nosili spodnie. Wespazjan odwołał pozostałych zwiadowców, uznając, że nie ma sensu ryzykować życie kolejnych ludzi po to tylko, by zlokalizować nieprzyjaciół, którzy bez trudu potrafią uśmiercić z daleka dwa razy większą liczbę przeciwników. Zastanawiał się, czy nie wysłać swoich Traków, jednak ich życie było dla niego cenniejsze niż życie iliryjskich jeźdźców. Żałował, że nie są konnymi łucznikami jak ci nieuchwytni łowcy; choć sam taką metodę walki uważał za niehonorową. Doszedł jednak do wniosku, że skoro Getowie wciąż towarzyszą kolumnie, to wcześniej czy później się ujawnią, a wówczas bezpieczeństwo żołnierzy będzie zależało od szybkości ich reakcji i przewagi liczebnej. Na razie dwóch zaledwie ludzi siało grozę wśród trzydziestu uzbrojonych jeźdźców i to było dla Wespazjana upokarzające. Kiedy znaleźli się jeszcze wyżej, padał już gęsty śnieg i musieli zwolnić do stępa, by nie okulać koni na niewidocznych pod coraz grubszym białym dywanem kamieniach. Wespazjan strzepnął śnieg, który nieprzyjemnie oblepił mu uda, i zwrócił się do Magnusa, który jechał obok niego z pochyloną głową.

– Jak ci idzie z naszymi czterema legionistami?

– To porządne chłopaki. Okazuje się, że Lucjusz, ten, który miał szczęście wyciągnąć długą słomkę i dobrze wie, że swoją tu obecność zawdzięcza tobie, a więc ten Lucjusz, zanim wstąpił do armii, był w Rzymie stajennym dla Zielonych i ciągle ma tam wielu znajomków. Obiecał poznać mnie z kilkoma, kiedy wróci do Rzymu. Byłoby to bardzo korzystne, bo otrzymując od nich wcześniej informacje, jak typować, miałbym mniejsze stawki, a większe szanse przy obstawianiu przed gonitwami niż dopiero na wyścigach.

Wespazjan uśmiechnął się mimo bólu spierzchniętych i popękanych warg.

– To rzeczywiście niezwykle pożyteczna znajomość – odparł, nie kryjąc sarkazmu – jeśli zamierzasz marnować pieniądze na hazard.

– Taa, no cóż, ty tego nie zrozumiesz, prawda? Nie przypominam sobie, żebym kiedyś widział wewnątrz twojej sakiewki. Tak czy owak, wystarczy, jak powiem, że on wie, co ci zawdzięcza, podobnie jak Warynus i dwaj pozostali chłopcy, Arruns i Mecjusz. Żaden nie przepada za Celusem, więc jeśli dojdzie do konfrontacji, staną przy tobie.

– Cóż, dobrze wiedzieć, choć nasz przyjaciel zdaje się trzymać z dala od innych.

Magnus obejrzał się na centuriona owiniętego płaszczem i pochylonego nad końską szyją.

– Może pogoda odebrała mu ochotę do walki.

– Wątpię, ale przynajmniej chwilowo mu walkę uniemożliwiła.

Kiedy dotarli do przełęczy, szalała zawierucha śnieżna. Wyjący północno-zachodni wichur dął wzdłuż przełęczy. Wespazjan zatrzymał kolumnę i nachylił się do Tinos.

– Co o tym sądzisz, dekurionie? – zawołał, starając się przekrzyczeć ryk wiatru. – Cofamy się i szukamy jakiegoś osłoniętego miejsca, żeby przeczekać tę zawieję, czy idziemy dalej?

– To może potrwać kilka godzin albo kilka dni! – odkrzyknął Tinos, któremu z rzęs i nozdrzy zwisały małe sopelki. – Jeśli poczekamy, może nas zasypać i wtedy zamarzniemy; więc albo musimy zejść na sam dół, albo przeć do przodu. Ta przełęcz ma tylko pięć mil długości, przy odrobinie szczęścia możemy ją pokonać w niecałe dwie godziny.

Wespazjan, chuchając w zsiniałe dłonie, spoglądał w gardziel zamieci; miał przed oczyma nieprzeniknioną biel, wiedział jednak, że przełęcz prowadzi prosto i w żadnym miejscu nie jest szersza niż na trzydzieści kroków, nie mogą się zgubić. Podjął decyzję. Tinos miał rację; to była jedynie kwestia nieprzerwanego marszu.

– Jedziemy dalej – powiedział.

Tinos skinął głową i ruszył.

Wierzchowiec Wespazjana zastrzygł uszami, okazując niezadowolenie, i ruszył dopiero po dłuższej zachęcie.

Po kilkuset krokach nieznośnego marznięcia trybun uświadomił sobie, że jakiś jeździec próbuje go dogonić. Obrócił się w siodle i zobaczył Celusa.

– To przecież szaleństwo! – krzyknął do niego ośnieżony centurion. – Powinniśmy zawrócić, i to natychmiast.

– Możesz, jeśli chcesz, centurionie, ale my brniemy dalej.

Celusowi udało się zrównać z trybunem.

– Dlaczego? Po co ten pośpiech? Możemy zawrócić do obozu i wyruszyć znowu, kiedy przestanie padać i nie będzie problemu z przebyciem przełęczy.

– Przełęcz może być zamknięta przez wiele dni, może nawet miesiąc! – ryknął Wespazjan, przedzierając się przez śnieżną kurzawę. – Musimy spróbować przejechać.

– Prośba żołnierzy do Pomponiusza może poczekać jeszcze jeden miesiąc; dlaczego ryzykujesz życie tylu ludzi dla takiego drobiazgu?

Wespazjan zorientował się, że nie ma takiej logicznej odpowiedzi, która zadowoliłaby Celusa, mógł tylko wykorzystać swoją rangę i spróbować pustych pogroźek.

– Przestań kwestionować moje rozkazy i motywy, centurionie, bo, na bogów podziemia, dopilnuję, żeby cię zdegradowano, niezależnie od tego, kto cię ochrania.

Pełen podejrzeń Celus spiorunował go wzrokiem.

– Oszczędź mi tego gówna – warknął, sięgając po miecz. – Co ty sobie kombinujesz, Wespazjanie?

– Nie próbowałbym tego na twoim miejscu – wrzasnął Magnus zza pleców Celusa, przyciskając płasko swój lodowaty miecz do uda centuriona. – Nie zawaham się, jeśli wyciągniesz miecz. Mnie wojskowa dyscyplina nie obowiązuje.

Celus spojrział przez ramię.

– W takim razie nie wtrącaj się, bo to sprawa wojskowa.

– Może i tak, ale ja wciąż trzymam ostrze na twoim udzie i gdyby się ześlizgnęło i rozcięło ci nogę, no wiesz, w tym miejscu, skąd krew tryska zawsze dużym i silnym strumieniem, to przy tej temperaturze byłbyś trupem, zanim dotarlibyśmy do medyka.

– Grozisz mi?

– Nie, tak jak ty nie groziłeś trybunowi.

Celus wsunął na poły już wyciągniętą broń z powrotem do pochwy i zwrócił się do Wespazjana.

– Zamelduję Poppeuszowi o twojej lekkomyślności, jeśli czy kiedy dotrzemy do Mezji – wyrzucił z siebie, odjeżdżając.

– Jestem pewien, że to uczynisz, centurionie – zawołał za nim Wespazjan – i że będzie to pierwszy meldunek z wielu, jednak to legatowi naszego legionu, Pomponiuszowi, powinieneś złożyć meldunek, chyba że obowiązuje cię całkiem inna lojalność. – Wespazjan nie wiedział, czy Celus go usłyszał, i nie dbał o to; przeklinał się w duchu za swoje zachowanie, którym dał Celusowi do zrozumienia, że kierują nim jakieś ukryte motywy.

– Kiedy zobaczyłem, jak do ciebie podjeżdża, pomyślałem sobie, że lepiej, jak będę miał na niego oko – zawołał Magnus, przekrzykując wiatr i chowając miecz do pochwy.

– Kontrolowałem sytuację! – wrzasnął rozgniewany Wespazjan.

– Cóż, następnym razem nie będę ci przeszkadzał, skoro uważasz, że kiedy centurion wyciąga miecz na trybuna, to sytuacja jest pod kontrolą.

Wespazjan odwrócił się wściekły na siebie, żałując, że wyładowuje niezadowolenie na przyjaciela. Zaciskając zęby i mrużąc oczy przed kłującym wiatrem, skoncentrował się na jeździe. Śnieg sięgał już koniom ponad pęciny i był coraz głębszy; sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Wespazjan podjechał do Tinosa.

– Jak sądzisz, ile już przejechaliśmy? – zawołał ledwie słyszalny we wzmagającej się wichurze.

– Myślę, że jakąś milę.

– Skoro cztery mile są jeszcze przed nami, a śniegu przez cały czas przybywa, zaczynam mieć poważne wątpliwości, czy uda się przebrnąć przez tę przełęcz.

– Jedno jest pewne: jeśli śnieg będzie powyżej końskich kolan, będziemy musieli zsiąść i prowadzić zwierzęta niezależnie od tego, w którą stronę przyjdzie nam iść. – Tinos szarpnął się gwałtownie, po czym popatrzył ze zdumieniem na sterczącą mu z piersi strzałę. Z kącików ust i z nozdrzy popłynęła krew; zsunął się z konia na ziemię.

Wespazjan odwrócił swojego wierzchowca.

– Cofać się, zasadzka! – ryknął, wyczuwając raczej niż widząc strzałę, która minęła go o szerokość dłoni z lewej strony.

Magnus i Sabinus nie potrzebowali zachęty do zawrócenia, jako że obaj znajdowali się na tyle blisko Tinosa, by widzieć, jak spada z konia. Natychmiast wyciągnęli łuki z sajdaków; natomiast w kolumnie za ich plecami zapanował chaos. Celus, czterech legionistów i najbliżej znajdujący się Iliryjczycy bezzwłocznie zareagowali na rozkaz i próbowali zawrócić, ale uniemożliwił im to napór jeźdźców z tyłu.

– Zawrócić, rozproszyc się i wycofywać! – krzyknął Wespazjan, próbując przedrzeć się koniem przez tę kotłowanąinę. Strzała trafiła le gionistę, wyrzucając go z siodła. Jego wierzchowiec stanął dęba, przerażony rosnącą wokół paniką, i młóćąc przednimi nogami, ogłuszył jeźdźca z oddziału pomocniczego. Wespazjan widział, że to do niczego nie prowadzi, bo tył kolumny wciąż posuwał się do przodu. Wyciągnął swój myśliwski łuk, założył strzałę i spoglądał rozpaczliwie w górę, szukając sprawców ataku, ale widział tylko śnieg. Obok niego pojawił się Sitalkes z łukiem w ręku.

– Dlaczego nie zawracasz? – krzyknął Wespazjan.

– Atakują nas od tyłu, trybunie, nie bardzo widzę skąd; straciłem już jednego żołnierza.

Wtedy pojął całą grozę położenia: dwóch niewidocznych łuczników zamknęło ich w tej dolinie jak w pułapce, a oni nie mogli poruszać się na tyle szybko w żadnym kierunku, by nie stracić przy tym wielu ludzi.

– Zsiąść z koni i kryć się po bokach przełęczy – rozkazał najgłośniejszemu jak umiał, zeskakując na ziemię. Rozkaz przepełnął przez całą kolumnę, ludzie zeskakiwali z koni i biegli pod strome zbocza.

Wespazjan przywarł plecami do ściany tuż obok Celusa i trzech ocalałych legionistów. Bieg w głębokim po kolana śniegu wymagał dużego wysiłku i teraz dyszał ciężko, a z jego ust unosiły się obłoki pary.

– Mam nadzieję, że według ciebie to jest tego warte – warknął centurion – z powodu twojej niecierpliwości tracimy ludzi.

– Nie czas na wyrzuty, centurionie, musimy współpracować, jeśli mamy wyjść z tych tarapatów.

– Rzeczywiście paskudne tarapaty.

Wespazjan nie mógł się spierać, to on uznał, że zła pogoda utrudni działanie nie tylko im, ale i Getom; jednak to założenie okazało się błędne i na nim spoczywała teraz odpowiedzialność za uratowanie jak największej liczby żołnierzy.

Sabinus, Magnus i kilku ludzi z pomocniczego oddziału jazdy dołączyli do nich, kiedy kolejny żołnierz padł tuż przed dotarciem w bezpieczne miejsce; krew sącząca się z jego przebitej szyi zabarwiała sypki śnieg. Wespazjan ocenił, że strzałę posłano z jakiegoś miejsca nad jego głową.

– Muszą być blisko, jeśli trafiają w cele w takiej śnieżycy, więc dlaczego ich nie

widzimy, skoro oni widzą nas? – pytał wciąż zdyszany Magnus.

– Widywałem czasami podobne sytuacje, kiedy służyłem w Panonii – odparł Sabinus. Obok nich w stronę stoku biegli Sitalkes, Artebuz i reszta Traków, jako osłonę wykorzystując swoje przestraszone wierzchowce. – Podczas takiej śnieżnej zawieruchy o wiele lepiej widać wszystko z góry niż pod górę czy na wprost przed sobą; nie ma takich odbłasków i śnieg nie wpycha się tak do oczu.

– Wobec tego musimy jakoś znaleźć się ponad nimi – wyciągnął logiczny wniosek Wespazjan. – Sitalkesie, ty i twoi ludzie weźcie łuki. Z której strony padły te strzały na tyły kolumny?

– Z tamtej drugiej, trybunie – odparł Sitalkes, przymocowując kołczan do pasa.

Trakowie poszli za jego przykładem, następnie sięgnęli po łuki.

– Do licha, te dranie dobrze to obmyśliły. Będziemy musieli się rozdzielić. Sabinusie, ja wezmę Artebuza, Sitalkesa i Magnusa i zajmę się tym człowiekiem po tamtej stronie, ty weź trzech pozostałych Traków i dopadnij tego drania tu nad nami.

Celus popatrzył na Wespazjana ze zdziwieniem, potem zaczął coś mówić, jednak rozmyślił się i zamilkł.

Sabinus uśmiechnął się.

– No dobra, braciszku, będziemy się ścigać, tak?

– Nazwij to, jak chcesz, ale rzeczywiście trzeba zrobić to szybko, zanim śnieg nas zasypie. Potem spotkamy się tutaj i zapewniam cię, że dla ostatniego nie będzie nagrody. – Wespazjan pozwolił sobie na posłanie bratu ponurego uśmiešku, po czym zwrócił się do Celusa: – Ty weźmiesz legionistów i ruszysz naprzód. Znajdź konie tych drani i przyprowadź je tutaj. Na pewno są gdzieś tam głębiej w przełęczy, skoro ich po drodze nie minęliśmy. Musieli je zostawić, bo zbocza są zbyt strome.

Celus, bez dyskusji, trzymając się blisko ściany wąwozu, poprowadził swoich ludzi naprzód. Dwaj żołnierze z oddziału pomocniczego patrzyli wyczekująco na Wespazjana, oczekując rozkazów.

– Wy dwaj, odnajdźcie tyłu swoich towarzyszy, ilu zdołacie, potem roześlijcie ich w obie strony, żeby wyłapali nasze konie. – Wespazjan gestem wskazał grupkę wierzchowców kręcących się bez celu wokół miejsca, w którym padli zabici żołnierze. – O te tutaj się nie martwcie, bo tylko oberwalibyście strzałę, one stąd nigdzie się nie ruszą, chodzi o te, które

pobiegły do przodu albo do tyłu, rozumiecie?

Dwaj Iliryjczycy ruszyli naprzód.

Wespazjan skierował się w przeciwną stronę.

– No to bierzmy się do roboty.

Łatwiej było poruszać się w odwrotnym kierunku, bo wiatr i śnieg napierały teraz na plecy, ale ich nogi i tak niezmiennie cierpiały; choć w butach wszyscy mieli ciepłe wełniane skarpety, a rano wysmarowali skórę grubo smalcem, to jednak stopy bolały ich z zimna. Przebrnęli kilkaset kroków, cały czas obawiając się, że może ich trafić strzała z przeciwległego stoku. Kiedy minęli ledwie widoczny przez zacinający śnieg ciemny kształt ostatniego martwego konia, Wespazjan ocenił, że znaleźli się już wystarczająco daleko, by zaskoczyć czającego się u góry napastnika. Ruszyli w poprzek przełęczy zasypanej głębokim kopnym śniegiem. Stawiali długie kroki i podnosili wysoko stopy, by jak najszybciej przenieść się pod drugą ścianę, mając świadomość, że w każdej chwili może nadlecieć strzała. Po krótkim poszukiwaniu znaleźli kawałek mniej stromej i nadającego się do wspinaczki zbocza.

– Pójdę pierwszy – oświadczył Wespazjan.

– Trybunie, ja pochodzę z gór w Norikum, znam się na wspinaczce i polowaniu w górach, to ja powinienem poprowadzić – powiedział Artebuz.

Wespazjan z ulgą przyjął tę propozycję.

– Posłuchaj – powiedział – musimy wspiąć się tak wysoko, by przełęcz zniknęła nam z oczu, bo wtedy będziemy wiedzieli, że jesteśmy nad nim, i zaczniemy opuszczać się parami na różne wysokości.

Wespazjan ruszył zdradliwym stromym stokiem za Artebuzem. Zęby mu szczękały, palce zdrętwiały; z trudem nadażał za zwinnym łowcą, który sprawnie znajdował kolejne oparcia dla stóp. Coraz bardziej porywisty wicher bezlitośnie smagał Wespazjana, szarpał płaszcz, który wydęty jak obluzowany żagiel ciągnął go na prawą stronę, grożąc utratą równowagi. Zacisnął zęby i zmusił zeszywniałe mięśnie rąk i nóg do dalszego wysiłku. Od czasu do czasu ryzykował spojrzenie w dół, poniżej Magnusa i Sitalkesa, ale choć drugie zbocze dawno zniknęło za kurtyną śniegu, szlak prowadzący środkiem przełęczy ciągle był widoczny; Sabinus miał rację, w śnieżnej zawiei widoczność z góry była dużo lepsza. Podziwiał zręczność geckich łuczników, którzy mimo silnego bocznego wiatru potrafili trafić w cel. Po chwili uświadomił sobie, że właśnie ten boczny wiatr go uratował; pierwsza strzała przeznaczona była dla niego, nie dla

Tinosa. Wymamrotał dziękczynną modlitwę Fortunie za jej nieustającą opiekę.

Kiedy pokonali jakieś sto stóp zbocza, przełęcz wreszcie zniknęła im w bieli i Wespazjan dał rozkaz do zatrzymania się.

– Wystarczy – wysapał, łączywie wciągając piekące, lodowate powietrze. – Artebuz i ja podejdziemy jeszcze kawałek i potem zaczniemy opuszczać się w dół. Ty, Magnusie, zostaniesz z Sitalkesem na tym poziomie i będziecie trzymać się nieco za nami.

Magnus nie był zachwycony, że ma zostać sam na sam z ogromnym Trakiem na tym śliskim, stromym stoku. Sitalkes zauważył jego minę i wyszczerzył złośliwie zęby.

– Nie martw się, Rzymianinie – powiedział – na razie nic ci z mojej strony nie grozi. Poza tym będę miał się kogo chwycić, gdybym zaczął spadać.

– Na nic ci się nie przydam – odparł Magnus z niewinnym uśmiechem – sam widziałem, jak spadasz szybko i ciężko.

Trak chrząknął, udając, że nie bawia go te żarty.

– Coś czuję, że nim będzie po wszystkim, zdążycie zostać przyjaciółmi – zauważył Wespazjan, z trudem podnosząc swoje zeszywniałe ciało. – A teraz ruszajmy, zanim zamarzną nam jaja.

Z ogromnym wysiłkiem wspiął się kolejne piętnaście stóp za Artebuzem i obaj zaczęli się cofać w stronę miejsca, z którego zostali zaatakowani. Artebuz trzymał napięty łuk i posuwając się w poprzek stromizny, kierował go co chwilę w inną stronę; naturalna zwinność i znajomość techniki polowania w górskim terenie pozwalała mu poruszać się bez podpierania rękami; Wespazjan, który nie był tak zwinny, przytrzymał się prawą ręką, a w lewej trzymał nienapięty łuk, ze strzałą na cięciwie. Obejrzał się w dół za siebie i zobaczył, że Magnus i Sitalkes z takim samym trudem jak on przecinają zbocze.

Kiedy pokonali około pięćdziesięciu kroków, wiatr zaczął przycichać i śnieg mniej zacinał; widoczność też się poprawiła, tak że wkrótce ujrzeli cały przeciwległy stok i ciała zabitych na dnie przełęcz. Po kilku kolejnych krokach Artebuz zatrzymał się raptownie, przykucnął i palcem wskazał na swój nos.

– Czuję go – szepnął wyraźnie podekscytowany – z tej strony, z której wieje.

Wespazjan machnął do Magnusa i Sitalkesa, żeby się zatrzymali i przyczaili, po czym wciągnął nozdrzami spokojniejsze już teraz powietrze i wtedy dotarł do niego ten sam jednoznaczny smród, jaki bił od ciała martwego Geta w lesie.

– Jak daleko?

Artebuz wyciągnął palec przed siebie.

– A co to takiego, około trzydziestu kroków dalej?

Wespazjan z początku nic nie dojrzał przez fruujące teraz łagodnie płatki śniegu, po chwili jednak zauważył drobny ruch, drgnienie leżącego tam śniegu. Zaraz potem, tuż obok sterczącego ze stoku wielkiego, szerokiego na pięć kroków głazu, wypatrzył mniejszą wypukłość wielkości człowieka. Jej faktura i kolor nie były jednorodne. Zobaczył obok śnieżnej bieli nieco ciemniejszy odcień ufarbowanej na biało wełny.

Wespazjan skinął do Artebuza, obaj wycelowali i puścili cięciwy; strzały poleciały prosto w sam środek wypukłości i zniknęły, strząsa jąc większość śniegu, jaki się tam zebrał, i odsłaniając prowizoryczne schronienie wykonane z wełnianego koca, zarzuconego na sterczący pionowo kij.

– Na Hades! – rzucił Wespazjan i jednocześnie uświadomił sobie, że właśnie oznajmili swoją obecność niewidocznemu wrogowi, czającemu się za wielkim głazem. – Padnij! – ryknął, przywierając do ziemi, kiedy gecki łucznik wychynął znad głazu i wypuścił strzałę, która zniknęła w śniegu, dokładnie tam, gdzie moment wcześniej stał Wespazjan.

Młody trybun wiedział, że na odkrytym stoku, bez żadnej osłony, może zrobić tylko jedno.

– Celuj tam, gdzie się pokazał, i osłaniaj mnie – szepnął do Artebuza – ja ruszam naprzód.
– Zostawił łuk na śniegu, wysunął z pochwy gladius i zasygnalizowawszy Magnusowi i Sitalkesowi, by obeszli głaz dołem, bardzo powoli poczołgał się w jego kierunku.

Zanim przebył połowę drogi, ubranie miał zmoczone zimną brzą ze śniegu i wydawało mu się, że pancerz z brązu stał się wielkim kawałem lodu, pochłaniającym resztę ciepła, jaka mu jeszcze w piersi pozostała. Był teraz tak blisko łuczniaka, że Get, by go zobaczyć, musiałby się wyprostować, a wtedy wystawiłby się na strzał Artebuza i na pewną śmierć; zaryzykował więc i nisko pochylony pokonał biegiem ostatnie piętnaście kroków. Dotarł do głazu w momencie, w którym podwójne brzdęknięcie cięciw poinformowało go o kolejnej wymianie strzał pomiędzy Artebuzem a ich zwierzyną. Magnus i Trak byli dziesięć kroków niżej i niemal się z nim zrównali; wyciągnęli łuki i posuwali się powoli naprzód, żeby mieć możliwość oddania czystego strzału za głaz. Wiatr całkowicie ustał i wokół zapanował niesamowity spokój, jaki często towarzyszy łagodnie padającemu śniegowi. Get cuchnął nieznośnie. Wespazjan wstrzymał

oddech i bardzo powoli i cicho zaczął okrężyć ogromny głaz. W końcu zatrzymał się, zacisnął dłoń na rękojeści miecza i skinął głową do Magnusa i jego towarzysza, którzy natychmiast skoczyli do przodu, wypuszczając dwie szybko wycelowane strzały, i padli plackiem. Kiedy moment później łuk Geta zadźwięczał w odpowiedzi, Rzymianin wyskoczył, rzucając się na łuczника w chwili, gdy tamten sięgał po kolejną strzałę. Nie mając czasu na wyciągnięcie sztyletu, gecki wojownik rzucił strzałę. Trafiła w pancerz Wespazjana, a kiedy trybun natarł całym ciałem na przeciwnika, by wbić mu miecz pod żebra, strzała ześlizgnęła się po metalu i grot z zadziarami utkwił w lewym ramieniu. Ciałem młodego człowieka wstrząsnął dreszcz bólu, kiedy ostry czubek grotu uderzył w kość, nie cofnął się jednak, wypychając miecz coraz dalej w górę, w serce przeciwnika, aż eksplodowało gorącą krwią, która wzdłuż miecza spłynęła na rękę Wespazjana. Łucznik wydał gulgoczący krzyk, a jego cuchnący oddech owiał Rzymianina, kiedy obaj, połączeni żelazem, upadli na ziemię.

– Nic ci nie jest, trybunie? – wydyszał Magnus, kiedy razem z Sitalkesem ściągnęli Wespazjana z ciała martwego geckiego wojownika.

– Chyba tak, jeśli nie liczyć tej rzeczy sterczącej mi z barku – odparł Wespazjan.

Artebuz obejrzał strzałę i mocno ją szarpnął. Wyszła gładko, choć nie bezboleśnie; czubek grotu zatrzymał się na kości i strzała nie weszła na tyle głęboko, by zadziór wczepił się w ciało.

– Przytrzymaj to, trybunie, dopóki nie zejdziemy na dół i porządnie cię nie opatrzymy – powiedział Artebuz, kładąc garść śniegu na krwawiącym barku Wespazjana.

Pierwszy raz tego dnia śnieg oznaczał ulgę; bark stopniowo drętwiał, dzięki czemu piekący ból stał się mniej odczuwalny. Rzymianin przyjrzał się martwemu ciału u swoich stóp. Szare jak morze oczy spoglądały niewidząco przez płatki śniegu, które osiadły mu na rzęsach; usta, ledwie widoczne pod długą, gęstą, czarną brodą, zaczynały już sinieć. Mężczyzna miał na ubraniu biały koc, teraz poplamiony krwią, a wycięty na głowę okrągły kawałek tkaniny przyczepiony do czapki, dzięki czemu Get był niemal całkowicie niewidoczny.

– Bardzo pomysłowe – oświadczył z podziwem Wespazjan – nic dziwnego, że ich nie widzieliśmy. Wracajmy i sprawdźmy, jak poradził sobie Sabinus. – Podniósł stopą koc i zarzucił na twarz mężczyzny. Kiedy już się odwracał, coś wystającego przyciągnęło jego uwagę, ukląkł więc i odsunął koc. Zobaczył długi mniej więcej na stopę, cylindryczny futerał z czerwonej skóry.

- Skąd on ma coś takiego? – wykrzyknął Wespazjan.
- To chyba pokrowiec na meldunki wojskowe – powiedział równie zaskoczony Magnus.
- Te dzikusy nie miałyby z nich żadnego pożytku, przecież nie potrafią czytać.
- Ty też nie.
- Racja.
- Należały pewnie do kurierów, których napadli. Petus mówił mi o tych biedakach. Przyjrzymy się temu później. Wracajmy. – Wsunął futerał za pas i ruszył w dół po ośnieżonym stromym zboczu.

Zanim dotarli na miejsce spotkania z pozostałymi ludźmi, śnieg przestał padać, a chmury zaczęły się rozstępować. Iliryjscy jeźdźcy zebrali wierzchowce, a Celus i trzech legionistów zdążyli wrócić z końmi Getów; były to krępe, wytrzymałe zwierzęta o gęstej, szorstkiej sierści.

Artebuz kończył opatrywać ranę Wespazjana, kiedy zjawił się Sabinus z pozostałymi Trakami.

- Zrobione? – spytał Wespazjan, szczękając zębami.
- Rozgrzewające napięcie związane z bezpośrednią walką opadło i wszyscy znowu zaczęli marznąć, pomimo przebijającego się przez chmury słońca.
- Tak, ledwo ledwo, ale jak zawsze powtarzam, ledwo ledwo wystarczy. Choć szczwany z niego był drań, o mało nie załatwił Bryzosa – mówił Sabinus, wskazując rudobrodego towarzysza Sitalkesa, który wyszczerzył zęby w zjadliwym uśmiechu.
- Drenis i Ziles powinni poćwiczyć strzelanie do celu – powiedział Bryzos. Jego dwaj ciemnowłosi krajanie wyglądali na zmieszanych. – Tylko jednemu z nich udało się trafić drania, zanim dopadłem go z tyłu; był ranny i walczył jak lew. Ale i tak załatwiłem tego cuchnącego poganina – oświadczył, unosząc wiszący mu u pasa skrwawiony skalp.
- Poganina? – zdziwił się Wespazjan. – Myślałem, że wszystkie trackie plemiona mają tych samych bogów.
- Ale nie Getowie – odparł Trak, spluwając na ziemię. – Odrzucili wszystkich naszych bogów poza jednym, Zamolksisem; głupcy, jak może być tylko jeden bóg?
- Co w takim razie robi u nich wasz naczelny kapłan?
- Nie wiemy i nic nas to nie obchodzi – odparł Sitalkes, również spluwając na ziemię – ale jest w naszych oczach odszczepieńcem i dlatego przestaliśmy się go lękać.

Wespazjan kiwnął głową, po czym rozkazał załadować trupy, a było ich siedem, na zapasowe wierzchowce, żeby je spalić, kiedy wyjdą z przełęczy. Dosiadając konia, poczuł ulgę, że ma o jedną troskę mniej. Martwił się cały czas, że kiedy przyjdzie do ostatecznej rozgrywki, Roteles wznieci w Trakach bojaźń przed ich bogami i nie pozwoli go pojmać. Z tego, co wiedział o trackich bogach, było to dość krwiożercze towarzystwo, któremu lepiej się nie narażać.

Kolumna ruszyła i posuwała się w szybkim tempie. Przełęcz biegła prosto między ośnieżonymi górami, skąpanymi teraz w oślepiającym świetle słońca wiszącego na czystym lazurowym niebie.

Kiedy dotarli do końca przełęczy, Wespazjanowi, jadącemu pomiędzy Magnusem i Sabinusem, przypomniał się wojskowy futerał i wyciągnął go z pasa.

– Co to takiego? – spytał Sabinus.

– Nie wiem, było przy tamtym łuczniku – odpowiedział Wespazjan, zdejmując pokrywę i potrząsając odwróconym do góry dnem futerałem, aż wypadł z niego zwój. Wziął go do ręki i przyjrzał się pieczęci. – Tyberiusz Klaudiusz Neron Germanik – odczytał na głos. – O, do licha, toż to syn Antonii.

– I głupek, z tego, co mówią, albo głupca udaje – powiedział Sabinus. – Wszyscy jednak wiedzą, że trzeba być idiotą, by umieć odgrywać idiotę, tak przynajmniej twierdzi Antonia.

– Do kogo pisze? – zainteresował się Magnus, wychylając w siodle, żeby zobaczyć pieczęć.

Sabinus popatrzył na Wespazjana.

– Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Odważysz się zajrzeć do prywatnej korespondencji członka cesarskiej rodziny, braciszku?

Wespazjan zastanawiał się przez chwilę.

– Jeśli go nie otworzymy, nie będziemy wiedzieli, komu go dostarczyć – odparł w końcu, łamiąc pieczęć. Przebiegł oczyma list i zagwizdał cicho.

– I co? – spytał Magnus.

– List jest do Poppeusza i nie podpisał go Klaudiusz, tylko ktoś o imieniu Boter. Poza pozdrowieniami i podpisem napisano go jakimś szyfrem.

– A to dopiero ciekawostka – powiedział zamyślony Sabinus – bo Boter to jeden z Klaudiuszowych wyzwolenców; sam człowieka nie spotkałem, ale Pallas go zna. Kilka lat temu

zapłodnił pierwszą małżonkę Klaudiusza. Co zaskakujące, Klaudiusz zostawił wtedy Botera w spokoju, ale teraz domyślam się dlaczego: trzymając człowieka w garści, Klaudiusz wykorzystuje go do swoich brudnych machinacji, a jeśli coś nie pójdzie jak trzeba, może się od niego odciąć, mówiąc, że został wrobiony przez żywiącego do niego urazę domownika. Boter będzie załatwiony, Klaudiusz się zemści i jednocześnie znajdzie się poza wszelkimi podejrzeniami; bardzo przebiegłe.

– Myślisz, że może coś knuć za plecami Klaudiusza? – spytał Magnus.

– Możliwe. Pallas mówi, że jest bardzo ambitny. – Sabinus zamilkł na chwilę. – Nie, w takiej sytuacji nie użyłby pieczęci Klaudiusza, ten list musiał być napisany za jego wiedzą – zdecydował. – Jednakże, skoro nie jest przez Klaudiusza podpisany, jedynie nosi jego pieczęć, to jest autentyczny i zarazem wątpliwy. Może on jednak nie jest idiotą, za jakiego go wszyscy biorą. Uważam, że powinniśmy list zatrzymać i kiedy wrócimy, pokazać Antonii; Pallas zapewne potrafi złamać ten szyfr.

– Po co miałyby pisać szyfrem do Poppeusza, musiałyby chyba działać w sojuszu z nim i z Sejanem? – spytał Wespazjan, wkładając zwój z powrotem do futerału.

Dotarli do końca przełęczy i zaczęli schodzić w dół. W oddali, poniżej linii śniegu, widzieli porośnięte gęstymi lasami wzgórza Mezji.

– Istnieje taka możliwość; jako bratanek cesarza i brat Germanika, pierwotnego sukcesora Tyberiusza zgodnie z umową, jaką Tyberiusz zawarł z Augustem, formalnie rzecz biorąc, Klaudiusz jest bardzo dobrze usytuowany, jeśli chodzi o dziedziczenie purpury, szczególnie gdyby Sejan mu pomógł.

– Czemu miałyby to zrobić?

– Bo pewnie uważa, że Klaudiusz to słabeusz i głupiec, którego może kontrolować; co zresztą już robi.

– Niby jak?

– Cóż, po tym jak żona, Plaucja Urgulanilla, urodziła mu córkę Botera, Klaudiusz rozwiódł się z nią, podając za powód cudzołóstwo. Dwa lata temu Tyberiusz nalegał, niewątpliwie za podszeptem Sejana, żeby powtórnie się ożenił, tym razem z niejaką Elią Petyną.

Wespazjan zmarszczył brwi, bo nie znał tego imienia.

– I co?

– I nikt się wtedy nad tym nie zastanawiał, bo Klaudiusza uważa się za półgłówka.

Musisz wiedzieć, że rodzice Elii zmarli, kiedy była dzieckiem, i wychowywał ją wujek, Lucjusz Sejusz Strabon.

Wespazjan otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Na bycze jaja, chyba nie ojciec Sejana?

– Tak, braciszku, ojciec Sejana, co czyni Elię przybraną siostrą Sejana, a Sejana teściem Klaudiusza i tym samym, gdyby Klaudiusz został cesarzem, prawowitym po nim sukcesorem.

CZEŚĆ II
MEZJA
KWIECIEŃ, 30 R.



Rozdział piąty

– Dziękuję wam za raporty. – Pomponiusz Labeo patrzył na Wespazjana i Celusa lekko rozbawiony. – Zastanawiałem się nad waszą prośbą i postanowiłem ją spełnić. Kiedy tylko zakończymy pomyślnie oblężenie twierdzy w Sagadawie, wyślę trzecią i ósmą kohortę, by zmieniły tracki garnizon.

Wespazjan i Celus wyprostowali się jak struny, okazując wdzięczność dowódcy. Znajdowali się w nowo wybudowanej fortecy Durostorum nad Dunajem, w której niedawno rozgościł się niewielki oddział IV legionu *Scythica*. Główne prace budowlane zakończono jeszcze w minionym roku i w gabinecie Pomponiusza wciąż pachniało świeżością, nawoskowanymi deskami podłogi i bielonymi ścianami. Nadzorcy poganiali setki niewolników pracujących jeszcze przy wykończeniu budowy i cały ten harmider dochodził przez niezastłonięte okno.

– Mogę tylko założyć – ciągnął Pomponiusz, opierając pulchne ręce na biurku i wychylając się ku obu dowódcom – że tę wyraźną różnicę w waszych sprawozdaniach dotyczących podróży można złożyć na karb osobistej animozji, która, w mojej opinii, nie naraziła na niebezpieczeństwo życia żołnierzy i dlatego, zważywszy na mające nastąpić wkrótce odwołanie trybuna Wespazjana do Rzymu, jestem skłonny przymknąć na nią oczy.

Wespazjan odetchnął z ulgą. Od dowódcy garnizonu w Oescus do wiedział się, że IV legion *Scythica* prowadzi działania wojenne przeciwko co najmniej pięciu tysiącom geckich wojowników, pustoszących tereny wschodniej Mezji. Dotarcie do Pomponiusza zajęło dwadzieścia dni i przez cały ten czas Wespazjan spodziewał się surowej reprimendy za impulsywną decyzję wprowadzenia kolumny do przełęczy Succi pomimo szalejącej zawiei. Kiedy składał Pomponiuszowi ustny meldunek, co, dzięki swojej randze, mógł zrobić przed Celusem, umyślnie przemilczał fakt, że centurion nalegał, by zawrócili, uwydatnił natomiast rzekomą potrzebę niezwłocznego przedstawienia dowódcy prośby garnizonu. Podkreślił wagę tej sprawy przesadną opinią o niezadowoleniu żołnierzy, co, jak wiedział, stawiało w złym świetle Celusa, który jako najstarszy rangą centurion, był odpowiedzialny za dyscyplinę i pozwolił, by sprawy zaszły za daleko, w dobrym świetle natomiast Petusa i jego samego za zapobieżenie

potencjalnemu buntowi.

– Proszę o pozwolenie wypowiedzenia się, legacie – warknął Celus.

– Milcz, centurionie – rzucił ostro Pomponiusz i szczęki mu zadrgały – wypowiedziałeś się już, kiedy składałeś meldunek dziś rano. Sprawa jest zamknięta. W drodze powrotnej do Tracji odstawisz tych trzech legionistów, których Petus wyznaczył do przeniesienia, na linie oblężnicze pod Sagadawą, gdzie przekażesz ich pierwszemu centurionowi, Faustusowi. Chcieli pomścić swoich towarzyszy, cóż, będą mieli na to mnóstwo okazji jako żołnierze pierwszej centurii pierwszej kohorty, kiedy ruszą do szturm. Mój sekretarz ma rozkazy dotyczące ich przeniesienia, a także korespondencję dla Petusa. Zabierz to, kiedy będziesz wychodził. Masz ruszać bezzwłocznie, zrozumiano, centurionie?

– Tak jest, legacie.

– Doskonale. Zabierz też i jak najszybciej odprowadź do Tracji ludzi z iliryjskiej jazdy pomocniczej. Wykonać.

Celus oddał honory, wykonał zwrot i wymaszerował z pokoju, kipiąc kiepsko skrywaną wściekłością.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Pomponiusz uśmiechnął się ponuro.

– Zawsze był donosicielem Poppeusza i będzie miał mu wiele do powiedzenia, kiedy dotrze do Sagadawy.

– Poppeusz jest w Sagadawie? – wyrwało się Wespazjanowi, który zapomniał, że stoi na baczność i może się odzywać tylko wtedy, kiedy zwracają się bezpośrednio do niego.

Pomponiusz zignorował to nieregulaminowe zachowanie.

– Spocznij, trybunie, usiądź. Tak, śliski karłowaty drań przybył przed czterema dniami. Spędziłem ostatnie dwa miesiące, uganiając się za Getami po wschodniej Mezji, i w końcu udało mi się ich przygwoździć w Sagadawie, kiedy czekali na przeprawę przez rzekę. I wtedy, trzy dni temu, kiedy zakończyłem przygotowania do oblężenia i było już oczywiste, że ci chędożyciele koni nie umkną bez walki, pojawia się on, z czterema kohortami Piątego legionu *Macedonica* na okrętach dwóch eskadr floty dunajskiej, przejmuje dowództwo i każe mi wracać tutaj i czekać, podczas gdy jemu przypada cała chwała. Miał nawet czelność oskarżyć mnie o niewypełnienie obowiązku wobec Rzymu, bo nie powstrzymałem tych geckich napadów, jakby było to takie łatwe, kiedy nieprzyjaciel porusza się trzydzieści do czterdziestu mil dziennie w porównaniu z naszymi piętnastoma, i to jeśli szczęście nam dopisze. Na jaja Plutona, potrzeba nam w tej

provincji więcej jazdy. – Pomponiusz opadł ciężko na krzesło i otarł pot, który wystąpił mu na czoło pomimo panującego w pokoju chłodu.

Wespazjan poruszył się niespokojnie, nie mając pojęcia, jak się dowiedzieć, czy Roteles jest pośród oblężonych, a jeśli tak, jak oni sami mają się przedostać przez rzymskie linie, znaleźć we wnętrzu fortecy, dopaść go, a potem wyciągnąć stamtąd bez wiedzy Poppeusza.

– Dlaczego Getowie zaczęli tak często najeżdżać tę prowincję? – spytał w końcu. – Przecież niewiele jest tu do rabowania, a jeśli pociągną to dłużej, to na pewno sprowokują cesarza do rozszerzenia cesarstwa na drugi brzeg rzeki.

Pomponiusz podniósł wzrok, otrząsając się ze smętnej zadumy.

– Co takiego? A, rzeczywiście, ze strategicznego punktu widzenia postępują jak szaleńcy. Wygląda jednak na to, że ich króla, Cotiso, wnuka króla o tym samym imieniu, którego pokonaliśmy ponad pięćdziesiąt lat temu, podjudzono do zemsty za upokorzenia, jakie spotkały jego lud.

– Kto go podjudził?

– Ten paskudny kapłan, którego podszeptów słuchał Poppeusz; może go widziałeś, kiedy przyprowadził ludzi Dinasa, żeby się poddali. Byłeś tam, prawda?

– Tak, byłem – odpowiedział Wespazjan, starając się mówić obojętnym tonem. – Więc od stłumienia tamtego buntu jest u Getów?

– Nie wiem, czy od razu się do nich udał, ale na pewno jest już z nimi około roku; widziano go podczas niektórych napadów.

– Teraz też go zauważono? – spytał Wespazjan niewinnie.

Labeo miał już mu odpowiedzieć, powstrzymał się jednak i przypatrzył się trybunowi świńskimi oczkami.

– Aha, rozumiem – powiedział powoli. – Jest z tobą twój brat, prawda?

Wespazjan poczuł, jak puls mu gwałtownie przyspiesza.

– Tak, legacie.

– W tej chwili nie ma jednak wojskowego przydziału, prawda?

– Nie, jest cywilem.

– Niedawno przybył z Rzymu?

Wespazjan wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać.

– Tak, legacie, pod koniec marca.

Pomponiusz pokiwał głową i wstał. Wespazjan natychmiast zerwał się z miejsca.

– Mam teraz inne sprawy, którymi muszę się zająć, trybunie – oświadczył Pomponiusz, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca – jednak będzie mi miło gościć was obu dzisiaj na kolacji.

– Myślę, że ta potrawa szczególnie przypadnie wam do gustu – oświadczył Labeo, kiedy wniesiono ogromny półmisek z okoniem w ciemnym sosie. – To specjalność mojego kucharza, jego słodki, winno-śliwkowy sos nie ma sobie równych, a potrafi on też tak ugotować rybę, że mięso idealnie odchodzi od ości. To prawdziwy fenomen; kupiłem go dwanaście lat temu i niczym dobre wino, z upływem lat staje się coraz lepszy. – Dla podkreślenia swoich słów pociągnął duży haust wyśmienitego wina, beknął, odstawił kielich i wbił łakome spojrzenie w pięknie podane danie.

Wespazjan spojrział na siedzącego po drugiej stronie stołu Sabinusa, po którym nie było widać żadnych oznak zmęczenia, po czym uśmiechnął się uprzejmie do gospodarza.

– Rzeczywiście wygląda wyjątkowo apetycznie – zdołał powiedzieć, nie całkiem szczerze.

Potrawa tak wyglądałaby, gdyby była drugim czy trzecim daniem, tymczasem była ósmym. Sądząc po tuszy gospodarza, domyślał się, że posiłek będzie trudną przeprawą, zupełnie nie dla ludzi małego ducha, więc wyznaczył sobie stosowne tempo przy pierwszych czterech daniach, sądząc, że wkrótce pojawią się ciasta i owoce, srodze się jednak pomylił. Musiał się jeszcze zmagać z pieczonym koźlęciem, różnymi gatunkami dzikiego ptactwa i szynką z dziczyzny, a wszystko to oblane było różnymi zawiesistymi sosami. Byłoby szczytem nieuprzejmości odmówić porcji stawianych przed nim potraw, choć po głowie tłukły mu się słowa takie jak pełny, opchany, nażarty, wzdęty. Pewną ulgę przyniosło mu naśladowanie Pomponiusza, który swobodnie bekał i puszczał wiatry. Wespazjan nie pochwalał stosowania tych praktyk podczas posiłków, jednakże przy szóstym daniu porzucił skrupuły i wielokrotnie poszedł za przykładem gospodarza, by ulżyć umęczonym wnętrzościom. Z zazdrością myślał o Magnusie, który hulał sobie w towarzystwie Artebuza i Traków, i ogromnej ilości wina. Wiercił się niespokojnie na biesiadnym łożu, widząc, jak Sabinus sięga po niepotrzebnie wielką porcję okonia, a potem obficie polewa rybę sosem.

– Wcinaj, braciszku – zachęcał Wespazjana ze złośliwym błyskiem w oku – gospodarz

zachował swoje najlepsze danie na koniec, powinniśmy je docenić. – Wrzucił do ust ociekający sosem kawałek i natychmiast zaczął wydawać pełne zachwyty dźwięki.

– Mylisz się, Sabinusie – wyprowadził go z błędu Pomponiusz, przyciągając do siebie półmisek i wybierając jeszcze większy niż on kawał. – Bez wątpienia błędem byłoby zachowanie najlepszej potrawy na koniec, bo zbyt najedzeni, nie moglibyśmy w pełni jej docenić. Czeka nas jeszcze kilka dań, a po nich naturalnie orzesznice w miodzie, by wypełnić puste kąty przed słodkimi wypiekami.

Sabinus pobladł, słysząc tę nowinę; Wespazjana zemdliło. Zebrał się w sobie i odważnie zgarnął na swój talerz najmniejszy kawałek okonia, na jaki pozwalały dobre maniery, i dał pokaz jedzenia z apetytem, dyskretnie upuszczając tyle, ile mógł, na rozłożoną przed sobą serwetkę.

– Poppeusz może sobie podróżować z tymi wszystkimi ozdóbkami, na jakie pozwala mu jego nowobogactwo – powiedział Pomponiusz, wracając do swojego ulubionego tematu wieczoru – marmurową posadzką do namiotu, przenośnymi freskami, meblami w jarmarcznym stylu i nazbyt wielką liczbą koni, ale i tak brak wychowania nie pozwala mu pojąć subtelniejszych aspektów życia. – Dużym kawałkiem chleba zaczął wycierać sos z talerza. – Możecie mi wierzyć, panowie, bo miałem wątpliwą przyjemność wielokrotnie z nim wieczerzać i gdyby to ode mnie zależało, kazałbym wychłostać jego kucharza za przygotowanie tak małej liczby potraw. Wyglądało to niewiele lepiej niż racje legionistów, nie dziwota, że dowódca jest taki niewyrośnięty. – Parsknął śmiechem. Własny dowcip ubawił go tak, że omal się zakrztusił, kiedy opróżnił kielich wina. – Przy tych żałosnych okazjach zawsze każę mojemu kucharzowi czekać na mnie z porządną kolacją – ciągnął, wycierając płamę z wina, które przy parsknięciu wytrysło mu z nosa – i jedynie myśl o tym, co mnie czeka, pozwala mi przetrwać te skromne posiłki. – Wyciągnął pusty kielich do niewolnika, dodając: – Ale w jednym muszę mu oddać sprawiedliwość, podaje naprawdę dobre wino.

– Tak jak i ty, Pomponiuszu – oświadczył Sabinus, podnosząc kielich, zadowolony, że udało mu się wtrącić jakieś słowo. – Skąd ono pochodzi?

– Z moich posiadłości w Aventicum, na południu prowincji Germania Górna – odparł Labeo, pociągając znowu z kielicha. Popatrzył smętnie na braci. – To piękne miejsce, na brzegu jeziora Murten, na terytorium Helwetów. Mój dziadek, Tytus Pomponiusz Attykus, kupił tam sporo ziemi, kiedy rozwijał nasze bankowe interesy.

Wespazjan próbował zachować zaciekawiony wyraz twarzy, kiedy Pomponiusz

opowiadał o rodzinnym majątku, ubolewając nad własnym brakiem smykałki do interesów, co spowodowało, że pod jego zarządem sprawy nie miały się dobrze i musiał teraz myśleć o sprzedaży dóbr rodzinnych. Wjechało kolejne danie, a po nim jeszcze jedno i Wespazjan najchętniej kazałby przynieść miskę i zwrócić zawartość żołądka, co było jeszcze jednym zwyczajem, jakiego nie pochwalał. Tym razem z radością skorzystałby z tej możliwości, gdyby tylko Pomponiusz nie przedstawił wcześniej jasno i jednoznacznie swoich poglądów na ten temat, nazywając te praktyki stratą porządnego jedzenia.

W końcu zabrano jego talerz z niedojedzoną orzesznicą, podano ciasta i owoce, na stole postawiono też dwa dzbany prawie wcale nierozrzedzonego wina i Pomponiusz odprawił niewolników.

– A zatem, panowie, przejdźmy do rzeczy – powiedział gospodarz, kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim niewolnikiem i zostali sami w dużym, surowym pokoju, który zrobił się nieco bardziej przytulny, kiedy z zachodem słońca zapalono lampki oliwne i przyniesiono kosze z żarem. – Bardzo chciałbym wiedzieć, Wespazjanie, dlaczego dziś po południu tak szybko, dość zresztą umiejętnie, skierowałeś rozmowę na temat Rotelesesa. Może jestem prostym żołnierzem i administratorem, bez żadnych talentów politycznych, otumanionym winem z własnych winnic, ale zauważę, gdy ktoś zadaje mi kolejno trzy szybkie pytania, na które zna odpowiedź, po czym zadaje to czwarte, na które odpowiedzi nie zna, ale rozpaczliwie chce ją uzyskać.

Wespazjan znalazł się w pułapce. Zaprzeczanie, że próbował wydostać od Pomponiusza informację dotyczącą miejsca pobytu Rotelesesa, uwłaczałoby inteligencji gospodarza; potwierdzenie natomiast wywołałoby jedynie serię pytań, dlaczego to niby on, zwykły wojskowy trybun, chciał wiedzieć, czy ten kapłan znajduje się pośród napastników zza rzeki. Wiedząc już, że musi się nauczyć zadawać pytania w subtelniejszy sposób, zerknął na Sabinusa, który wzruszył ramionami, czym mu ani trochę nie pomógł.

– Musisz szybciej reagować, kiedy znajdziesz się w opałach, Wespazjanie – zauważył surowym tonem Pomponiusz. – Już sam fakt, że na tak długo zamilkłeś i wzrokiem szukałeś pomocy u brata, mówi mi, że chcesz odnaleźć tego kapłana, ale nie chcesz mi powiedzieć dlaczego.

– Tak, legacie – przyznał Wespazjan.

– To prywatne spotkanie, a nie plac defilad, i nie ma potrzeby zwracać się do mnie tak formalnie – warknął mężczyzna. – Po co ci ten kapłan?

– Poproszono nas, byśmy sprowadzili go do Rzymu – odpowiedział Wespazjan, czując, jak przepełniony żołądek zaczyna podchodzić mu do gardła.

– Kto poprosił? – rzucił natychmiast Pomponiusz, a jego oczy straciły wszelką jowialność. Świdrował Wespazjana podejrzliwym wzrokiem, jakby chciał przewiercić go na wylot.

– Tego akurat nie mogę ci powiedzieć – odpowiedział młodzieniec, a pod wpływem napięcia jego głos zabrzmiał ostro. Wyczuł, że Sabinus po drugiej stronie stołu chce się wtrącić.

– Powiesz mi, trybunie – wycedził dowódca – albo, klnę się na bogów, zapomnę, że zawdzięczam ci życie, co zresztą było jedynym powodem, dlaczego nie poparłem zarzutów Celusa dotyczących twojego dowodzenia, i zmienię swoją decyzję, i każę cię okrytego hańbą odesłać do Rzymu.

– Zatem musisz to zrobić, legacie, ponieważ nie mogę ci powiedzieć.

Przez chwilę mężczyzna wyglądał, jakby miał eksplodować, ale się opanował.

– Bardzo dobrze, trybunie, niech więc tak będzie.

– Czy mogę zadać pytanie, Pomponiuszu? – zapytał szybko Sabinus.

– Jeśli pomoże to nam znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Mój brat ma rację, nie mówiąc ci, kto nas poprosił o sprowadzenie tego człowieka do Rzymu, a czy ty będziesz łaskaw nam powiedzieć, dlaczego tak bardzo chcesz to wiedzieć?

– Nie – odparł legat, bez chwili zastanowienia.

– Ponieważ masz świadomość, że to, co ten człowiek wie, jest równie ważne dla dwóch wrogich sobie stronnictw w Rzymie, i na razie żaden z nas nie może być pewien, na czyją korzyść działa ten drugi?

– Tak to chyba mniej więcej wygląda.

– Zależy ci zatem, by pewni ludzie dostali tego kapłana, zanim wpadnie on w ręce kogoś innego albo zostanie zgładzony? – drążył Sabinus.

Labeo roześmiał się.

– Chyba myślisz, że urodziłem się wczoraj, jeśli choć przez chwilę sądziłeś, że odpowiem na to pytanie. Obaj wiemy, że tylko jedna strona byłaby zadowolona ze śmierci Rotekesa.

– Tak, ale my już ci powiedzieliśmy, że zamierzamy zabrać go do Rzymu, a to oznacza, że ma być żywy.

– Tak mówisz. A gdybym ja pragnął jego śmierci? Co wtedy?

Sabinus wsunął błyskawicznie rękę pod tunikę, wyciągnął sztylet i ruszył na Pomponiusza.

– Wtedy musiałbym cię zabić, co zresztą i tak powinienem zrobić dla pewności – oświadczył.

Pomponiusz dźwignął się z łoża i stanął na nogi, ale ani myślał się cofnąć.

– Daj spokój, Sabinusie – zawołał Wespazjan – słyszałeś, co mówił o Poppeuszu, wiesz, jak nim gardzi, nie działałby przecież na jego korzyść.

Legat uśmiechnął się.

– Młody człowieku, musisz się jeszcze wiele nauczyć. To, że kimś pogardzasz, nie jest wystarczającym powodem, by z nim nie współpracować, jeśli wasze interesy są zbieżne. Wiem, że ty też go nienawidzisz, w przeciwnym razie nie powiedziałbyś, że ukradł mi zwycięstwo, kiedy zdławiliśmy tracki bunt, ale to było cztery lata temu i przez ten czas mogłeś zmienić strony. Niemniej to, że właśnie zaapelowałeś do brata w mojej obronie, udowodniło mi, że jesteśmy po tej samej stronie; chyba że jesteś bardzo dobrym aktorem, a nie sądzę, byś nim był... na razie. Wobec tego zaufam wam, mimo że wyciągnąłeś na mnie sztylet w mojej własnej jadalni, Sabinusie, co uważam za szczyt złych manier. Kapłan jest w Sagadawie.

– Dlaczego mielibyśmy ci zaufać? – spytał Sabinus, nie opuszczając sztyletu.

Pomponiusz spojrzał mu prosto w oczy.

– Bo to ja poinformowałem Antonię, że Roteles jest u Getów, a zakładam, że to właśnie ona wysłała was, by go odnaleźć.

– Ty jesteś agentem Antonii w Mezji? – spytał z niedowierzaniem w głosie Wespazjan.

– Co to za bzdury, nie jestem żadnym agentem, a doniosłem jej o tym dlatego, że nasze interesy są akurat zbieżne. Po tamtej bitwie opowiedziałeś mi, Wespazjanie, o tym, jak to Sejan i Poppeusz wykorzystywali Rotelesa jako pośrednika; zatem kiedy pojawił się ponownie w ubiegłym roku, anonimowo przekazałem tę informację Antonii, zakładając, jak widać słusznie, skoro wysłała was po niego, że może okazać się dla niej użyteczny. Wiem, że ta kobieta chce zniszczyć Sejana, i jeśli jej się powiedzie, to przy odrobinie szczęścia, Poppeusz pójdzie na dno wraz z nim i ja będę miał swoją zemstę za to, że mnie obrabował z przysługującego mi zwycięstwa.

– Skąd wiedziałeś, że Antonia działa przeciwko Sejanowi?

– Wracajcie na miejsce i napełnijcie ponownie nasze kielichy, a ja wam wszystko

wyjaśnię.

Mocne wino podziałało na braci uspokajająco. Pomponiusz wychylił swój kielich jednym haustem i natychmiast wyciągnął rękę, by Wespazjan nalał mu ponownie.

– Dziękuję. – Legat ułożył się wygodnie na swoim łożu. – Powiem krótko. Kiedy sześć lat temu Trakowie zagrozili buntem, byłem akurat w Rzymie, gdzie mianowano mnie legatem Czwartego, i właśnie wybierałem się do Mezji. Azyniusz skontaktował się ze mną i zaproponował, bym został jego oczami i uszami w Mezji i Tracji. Zaufał mi i wyznał, że starają się z Antonią zapobiec zagrożeniu, jakie niesie rosnąca siła Sejana. Ponieważ po stłumieniu numidyjskiego buntu znaleziono u Takfarinasa wielkie ilości rzymskich monet, Antonia i Azyniusz zaczęli podejrzewać, że wzniecanie buntów w prowincjach to część szerszej strategii Sejana, prowadzącej do destabilizacji cesarstwa, podczas gdy on sam wzmacnia swoją pozycję u boku cesarza. Sądzi, że wywołanie buntu w Tracji jest częścią owej strategii. Wtedy jeszcze nie podejrzewali udziału Poppeusza, nie było go bowiem w Rzymie od czasu nominacji na namiestnika Mezji i Macedonii dziesięć lat wcześniej i nikt nie słyszał, by się kontaktował z Sejanem; jak również dlatego, że uważa się go za człowieka szacownego, ale bez żadnych wyjątkowych zdolności, takiego, który nie stanowi zagrożenia dla nikogo. Nie mieli jednak żadnych powodów, by mu ufać, więc potrzebowali własnego człowieka na miejscu.

– Skąd to zaufanie Azyniusza do ciebie? – spytał Wespazjan.

– Bo jesteśmy spokrewnieni, jego matka Wipsania Agryppina jest moją kuzynką.

– I była pierwszą małżonką Tyberiusza, matką nieżyjącego Druzusa, zamordowanego, jak uważa Antonia, przez jej córkę Liwillę, kochankę Sejana – dokończył Sabinus.

– Właśnie. Więc oboje mieliśmy krewnego do pomszczenia i cesarza do bronięcia, z którym oboje jesteśmy związani przez małżeństwa. Wyglądało więc na to, że Azyniusz niczego nie ryzykuje, składając mi tę propozycję, ja jednak odmówiłem.

– Dlaczego?

Pomponiusz uśmiechnął się, widząc oburzenie i niedowierzanie na twarzy Wespazjana.

– Ponieważ mojej oceny sytuacji nie ma już idealizm i entuzjazm młodości, tak jak twojej, sądząc po minie, z jaką na mnie patrzysz. Sejan akurat uniemożliwił mi objęcie stanowiska konsula, wystawiając jednego ze swoich ludzi. Rzucił mi ochłap w postaci Czwartego i wiedziałem, że miał i wciąż ma mnie na oku. Byłbym jedynie obciążeniem dla Azyniusza i Antonii, a co ważniejsze, zamierzam umrzeć we własnym łożu, a to na ogół nie zdarza się

ludziom, którzy przyciągają uwagę Sejana.

– Skąd więc ta zmiana nastawienia? – spytał Wespazjan pogardliwym tonem.

Labeo przyjrzał mu się spokojnie.

– Młody człowieku, masz odzywać się do mnie uprzejmie w mojej własnej jadalni i powstrzymać od pochopnego wyrażania naiwnych sądów.

Wespazjan poczerwieniał, zawstydzony zarówno jego oceną, jak i tym, że legat ma rację.

– Wybacz, Pomponiuszu. Zachowałem się prostacko.

Legat pochylił głowę.

– Jeśli chodzi o twoje pytanie: mój czas tutaj dobiega końca. Za jakiś miesiąc wrócę do swoich posiadłości w Aventicum, będę popijał swoje własne wino i nie wytknę stamtąd nosa, dopóki polityczny zamęt w Rzymie nie skończy się w ten czy inny sposób. Dlatego też postanowiłem zaryzykować i przekazać Antonii informację, którą mogę zaszkodzić Poppeuszowi. Mam nadzieję, że ona zrobi z niej odpowiedni użytek.

– Dlaczego, kiedy kapłan się tu pojawił, nie spróbowałeś go pojmać i odesłać do niej? – spytał Wespazjan.

– Od ponad roku próbuję dopaść tego człowieka i teraz, kiedy go wreszcie trzymam w pułapce i staram się wymyślić, jak go stamtąd wydostać, zjawia się Poppeusz. Sejan musiał usłyszeć, że Roteles znowu wypłynął na powierzchnię, i przekonał cesarza, żeby ponownie mianował Poppeusza na namiestnika, używając jako przekonującego argumentu nasilenie się napadów zza rzeki i moją rzekomą niezdolność radzenia sobie z nimi. Tak więc Poppeusz objął dowództwo pod Sagadawą, bo nie zamierza pozwolić, by Roteles uszedł z życiem. Wy natomiast musicie dopilnować, by kapłan przeżył.

Bracia patrzyli na siebie, kiedy Pomponiusz osuszał kielich, i postanowiwszy mu wreszcie zaufać, skinęli głowami.

– A jak chcesz, byśmy tego dokonali, Pomponiuszu? – spytał Sabinus. – Powiedziałeś, że szykujesz jakiś plan.

– Powiedziałem, że staram się wymyślić, jak go stamtąd wydostać – poprawił go Pomponiusz – nie opracowałem jeszcze planu. Nie będzie to łatwe. W twierdzy i w przyległych fortyfikacjach upchane jest prawie pięć tysięcy tych drani; wyobrażam sobie, że w tej ciasnocie ledwie można się ruszać, choć większość swoich koni zostawili na zewnątrz.

– I nawet gdyby udało nam się dostać do środka, rzucalibyśmy się w oczy – dodał

Wespazjan, któremu ani trochę nie podobał się taki plan.

– Chyba że przebierzemy się za Getów – zauważył Sabinus.

– Właśnie – zgodził się legat. – O czymś takim myślałem, tyle że nie miałem ludzi, którzy by to zrobili; nie ma takich Traków, którym mógłbym powierzyć aż tak delikatne zadanie, a nas, Rzymian, nikt nie weźmie za Getów, nawet jeśli założymy te ich obrzydliwe spodnie.

– Mamy ze sobą pięciu ludzi królowej Tryfeny, którzy się nadadzą – powiedział Wespazjan. – Sabinus, Magnus i ja będziemy musieli się postarać i jakoś wtopić między nich.

– To bardzo ryzykowne, dlaczego nie wyślecie po prostu samych Traków? – zapytał Labeo, unosząc brwi.

– Bo co najmniej dwóch będzie musiało wynosić stamtąd kapłana, co oznacza, że do obrony zostanie tylko trzech; jeśli jeden czy dwóch zostanie zabitych, będzie po wszystkim. Musimy tam pójść, żeby zwiększyć szanse.

– Mam niemiłe uczucie – burknął Sabinus – że brat ma rację, Pomponiuszu. A więc, jak się tam dostaniemy, a potem wydostaniemy?

– Cóż, najpierw postarajcie się o ubrania, co powinno być łatwe, bo w rzymskim obozie jest mnóstwo jeńców. Centurion Faustus, któremu obaj z Wespazjanem ufamy, będzie wam mógł w tym pomóc. Jeśli chodzi o dostanie się do środka, to sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana; widzę tylko trzy drogi i według mnie najlepsza jest kanałem ściekowym w północnym murze od strony rzeki; można do niego dotrzeć łodzią, co oznacza, że nie musielibyście przedostawać się przez linie oblężnicze, bo po obu stronach warowni ciągną się one jedynie do rzeki.

Sabinus zmarszczył nos.

– Ani trochę nie podoba mi się pomysł brodzenia w geckim gównie. – Jakie są dwie pozostałe opcje?

– Główną bramą w zachodnim murze albo wspinając się na mury, przy czym ani jednego, ani drugiego nie zdołacie zrobić niezauważeni.

– Moglibyśmy poczekać, aż Poppeusz przypuści szturm, i próbować pochwycić Rotelesę w chaosie panującym podczas ataku – zasugerował Wespazjan.

– Moglibyście, ale gdybym ja był na miejscu Poppeusza, kazałbym doborowemu oddziałowi legionistów zlikwidować kapłana, w rezultacie czego musielibyście walczyć nie tylko z Getami, ale także z Rzymianami – odparł legat.

– Znosi się na to, że wylądujemy w gównie – zauważył sucho Wespazjan. – Nie przejmuj się, Sabinusie, smród ubrania, jakie będziesz miał na sobie, nie pozwoli ci go poczuć.

Sabinus obdarzył go krzywym uśmiechem.

– Bardzo zabawne, braciszku. A co z wydostaniem się stamtąd, Pomponiuszu?

– Znowu łodzią; niech Faustus trzyma wasze konie i rzeczy jakąś milę w dół rzeki, to znikniecie, zanim Poppeusz się dowie, że w ogóle tam byliście. Jedyne, czym musicie się martwić, to spotkanie z flotą dunajską, która tkwi na rzece, by uniemożliwić Getom ucieczkę drogą wodną.

Wespazjan pogodził się z tym, co nieuniknione.

– Cóż, jest to jakiś plan, a ponieważ wygląda na to, że nie ma innego, to musi nam wystarczyć. Jediną alternatywą jest po prostu odejść i pozwolić kapłanowi zginąć w Sagadawie.

– To całkiem atrakcyjna opcja – zauważył Sabinus – i o wiele mniej kłopotliwa.

– Na krótką metę, owszem – powiedział Pomponiusz – ale na dłuższą, jeśli Sejan nie zostanie usunięty, wszystkich podejrzewanych o działalność przeciwko niemu oraz ich rodziny czeka o wiele mniej atrakcyjny los. Proponuję więc, żebyście porządnie się wyspali, bo macie przed sobą półtora dnia męczącej jazdy, a potem, zaraz po dotarciu na miejsce, długą i niebezpieczną noc.

– Mamy od razu brać się do dzieła? – wykrzyknął Wespazjan. – Powinniśmy chyba zrobić rekonesans i dopracować plan.

– Niestety nie macie czasu. Kiedy wyjeżdżałem, Poppeusz przechwalał się, że do końca miesiąca wszyscy geccy wojownicy będą martwi. Jeśli zamierza dotrzymać słowa, to zapewne zaatakuje w przedostatnią noc miesiąca, czyli za trzy dni.

Rozdział szósty

Nad starą fortecą Sagadawa wisiała gęsta chmura szarego dymu. Wespazjan i jego towarzysze przeżyli chwile niepokoju, sądząc, że Poppeusz przeprowadził już szturm i jest za późno na ich akcję. Kiedy podjechali bliżej, okazało się, że z rzymskich ognisk i palenisk przenośnych kuźni rozmieszczonych na linii umocnień oblężniczych unosi się dym. Choć nie tak imponujące jak tamte długie na cztery mile obwarowania, w jakich cztery lata wcześniej Poppeusz zamknął trackich buntowników, to i tak robiły wrażenie, nawet z daleka.

Twierdza z wielkich bloków brązowego kamienia powstała przed czterystu laty. Kazał ją wybudować gecki król Kotelas, zależny od Filipa II Macedońskiego, dla obrony zachodniej granicy przed atakami od strony rzeki. Stała na wąskiej grani, w miejscu jej przecięcia z drugą, równie ostrą krawędzią zwieńczającą strome stoki i biegnącą równoległe do rzeki, sto pięćdziesiąt kroków od jej brzegu. Dwieście kroków na zachód przeszkodą był kolejny, wrzynający się w głąb ładu grzbiet górski, tak więc uderzenie z tamtej strony było niezwykle ryzykowne, a dodatkowo jeszcze kierował atakujących frontalnie od południa na odsłonięty płaski teren przed główną bramą w zachodnim murze, obok miejsca, gdzie schodził się z murem południowym; tak położona forteca stanowiła znakomite schronienie. Potężne mury otaczały, usytuowaną w północno-wschodnim rogu twierdzy, górującą nad rzeką wewnętrzną basztę. W dniach świetności na szerokim płaskim dachu baszty ustawiano katapulty i miotane z nich kamienie mogły zatapiać nieprzyjacielskie okręty, których ogień tu nie sięgał. Teraz jednak dach był pusty, katapulty zgniły już dawno temu, kiedy władza Getów na południe od Dunaju osłabła po najeździe Galów i musieli się wycofać za rzekę, ustępując bardziej prymitywnym ludom, niemającym pojęcia, jak wyreperować maszyny wojenne. Kiedy Rzymianie pod wodzą Marka Krassusa, wnuka triumwira o tym samym imieniu, podbili Mezję na początku panowania Augusta, zastali tę twierdzę w opłakanym stanie i bez trudu pokonali kryjące się tam niedobitki plemienia Saków. Dokonali drobnych remontów jej fortyfikacji, ponieważ jednak nie miała większego znaczenia strategicznego, w odróżnieniu od leżącej kilka mil dalej w dół rzeki potężnej twierdzy Lizymachid w Aksjopolis, utrzymywali tam tylko skromny garnizon mało doświadczonych żołnierzy z jednostek pomocniczych, którzy nie mogli się zmierzyć z hordami

Getów, jakie runęły na nich przed kilkoma dniami.

Wespazjan z towarzyszami zatrzymali konie jakąś milę od rzymskich linii, na szczycie wzgórza ogołoconego z drzew przez oblegającą armię i patrzyli na związaną z pracami oblężniczymi krzątanie. Długi na dwie mile wał z palisadą w kształcie podkowy, której oba końce opierały się o rzekę, zamykał twierdzę wraz z ufortyfikowaną osadą, wyrosłą nieopodal, pod osłoną ciągnącego się od zachodniej strony grzbietu górskiego; pomiędzy nimi pętało się bez celu tysiące koni.

W centralnym punkcie rzymskich umocnień umieszczono blisko siebie trzy bramy; za każdą stała potężna, nowo zbudowana wieża oblężnicza na kołach, u podstawy szeroka na trzydzieści stóp, zwężająca się do dziesięciu u góry. Każda miała na wyższym poziomie długi pomost; przy użyciu krążków ustawiano je pionowo na czas powolnej podróży przez ziemię niczyją. Opuszczano je z hukiem na mury i wtedy z wnętrza wież wysypywały się setki żołnierzy.

Za rzymskimi liniami, ustawione odpowiednio daleko, by móc strzelać ponad murem, zebrano dziesiątki miotających kamienie ka tapult i balist wyrzucających strzały. Machiny te wraz z kreteńskimi łucznikami zapewniały osłonę atakującym, zasypując mury fortecy – z odległości czterystu kroków – zabójczymi pociskami, co miało powstrzymać geckich łuczników od spowodowania zbyt dużych strat w szeregach Rzymian.

Teraz krzątało się tam tysiące legionistów. Wykonywali roboty ciesielskie przy wieżach, niwelowali teren pod maszyny miotające, w przenośnych kuźniach wykuwali niezliczone żelazne pociski dla łakomych balist, obrabiali kawałki skał, zaokrąglając je tak, by pasowały do łyżki na końcu ramienia katapulty. Odgłosy ich mrówczej pracy, przemieszane z wrzaskami dowódców, były tak głośne, że dobiegały wyraźnie do uszu Wespazjana i jego towarzyszy.

– Typowe dla wojska – oświadczył Magnus z krzywym uśmiechem – mogą sobie biegać po całej Mezji, a postanawiają upchać w jeden kąt tyle ludzi, ile tylko się zmieści.

– Nie sądzę, by tu mieli długo zabawić – zauważył Sabinus – na moje oko wyglądają na gotowych. Pomponiusz słusznie zgadywał, że jutro uderzą.

– Wobec tego nie zwlekajmy, bo musimy pośród tego całego chaosu odnaleźć Faustusa – powiedział Wespazjan i ruszył z kopyta.

Faustusa znaleźli nadspodziewanie łatwo. Pierwsza kohorta stacjonowała obok bramy środkowej i zajmowała się pracami wykończeniowymi przy ogromnej wieży oblężniczej, ustawionej kilka kroków za bramą. Hałas wywołany przez dziesiątki legionistów pracujących

młotkami, piłami i dłutami przy budowie schodów i podestów w trzewiach wieży nie zagłuszył znajomego głosu.

– To ma służyć konkretnemu celowi, a nie zostać dziełem sztuki; nie będziecie w tym mieszkać z waszymi ukochanymi, nie, szczęściarze, będziecie stąd walczyć. A teraz ruszać się, jeśli Piąty ukończy swoją wieżę przed nami, stracę dziesięć denarów, które postawiłem w zakładzie z ich pierwszym centurionem, i będę musiał odesłać co dziesiątego z was do domu, do mamusi, pozbawiwszy go pierwej jaj.

Hałas przybrał na sile, kiedy Faustus opuścił wieżę przez jedno z kilku wejść i strzepywał z ramienia wióry i drzewny pył.

– Centurionie Faustusie! – zawołał Wespazjan, zsiadając z konia.

Mężczyzna podniósł wzrok i natychmiast wyprostował ramię w powitaniu.

– Trybunie Wespazjanie – powiedział z szerokim uśmiechem – i Magnusie, ty stary draniu... przyjechaliście, żeby dołączyć do naszej małej wojenki? Musi być bardzo nudno w Tracji, skoro odbyliście taką długą podróż, żeby zobaczyć jakąś akcję.

– Tracja jest rzeczywiście nudna – powiedział Wespazjan, ściskając umięśnione ramię centuriona – ale nie przybyliśmy tutaj, by pomóc wam się cieszyć waszą wojną, mamy bowiem do stoczenia naszą małą bitwę, zanim zdążycie wybić Getów do nogi. To jest mój brat, Sabinus, a to – wskazał na Artebuza i Traków – nasza armia.

– Aha, pozwól, że zgadnę, polujecie na tego kapłana ze szczurzą gębą. Nie zapytam dlaczego, domyślam się jednak, że chcecie go dopaść przed Poppeuszem, czyli dziś w nocy, bo, jak już powszechnie wiadomo, jutro wieczorem ruszamy do szturmu.

– Cóż za przenikliwość, Faustusie. Potrzebne nam geckie ubrania oraz łódź i liczymy na twoją pomoc.

Faustus zawahał się.

– Od swojego powrotu Poppeusz zaczął bardzo utrudniać mi życie. Mogę przymknąć oko na wasze zamiary, jednak jeśli chodzi o...

Przerwał mu krzyk centuriona dowodzącego oddziałem obsadzającym pomost na wale.

– Nadchodzą! Jest ich z pięć setek. Kryć się, brać *pila!*

Żołnierze natychmiast przykucnęli, trzymając oszczepy w gotowości.

– Tarcze – rozkazał Faustus – i pod ścianę.

Wszędzie wokół legionistów rzucali narzędzia, chwytali tarcze i ustawiali się pod osłoną

wału.

– Zabierz swoich ludzi i konie pod ścianę, trybunie, tam będzie całkiem bezpiecznie – mówił centurion. – Te śmierdziele robią to mniej więcej co godzinę i próbują podpalić jedną z wież; wygląda na to, że znowu przyszła kolej na naszą, choć wolałbym, żeby częściej atakowali Piątą *Macedonica*, bo bardzo mi zależy, żeby wygrać pewien zakład.

Powietrze wypełniły ostre zawodzące okrzyki wojenne, a tętent setek końskich kopyt stawał się coraz bardziej wyraźny. Chwilę później usłyszeli przenikliwy świst mrowia płonących strzał, które przelatywały nad nimi, ciągnąc za sobą smużki dymu; stukot, z jakim wbijały się w wieżę, zdawał się nie mieć końca. Mnóstwo płonących szmat przyczepionych do strzał odrywało się i ognistym deszczem spadało na ziemię, wiele jednak pozostało na miejscu i wieża zaczęła płonąć w dziesiątkach miejsc.

Żołnierze centurii czekającej w pogotowiu pod wieżą, wyposażeni w pompę i kubły z wodą, zareagowali natychmiast i zaczęli polewać dół konstrukcji, jednak wyżej ogień zaczął się rozprzestrzeniać, kiedy opadła kolejna chmura strzał, zwiększając liczbę płonących punktów.

– Weźcie się do roboty, ofermy, niech ta pompa działa jak trzeba! To nie ogień poświęcony Mitrze, tylko taki, który macie ugasić! – wrzeszczał Faustus, wygrażając kijem z winorośli legionistom, którzy pompowali jak szaleni, żeby strumień wody sięgnął wyżej. Groźby rozwścieczonego pierwszego centuriona dały pożądaną efekt, bo w końcu woda z dyszy trzymanego przez dwóch żołnierzy węża wytrysnęła z taką siłą, że sięgnęła płomieni, których nie mogli ugasić ich koledzy z kubłami.

Znad palisady przyszło kolejne zagrożenie; Getowie podjeżdżali na tyle blisko, że mogli ciskać nasiąknięte żywicą pochodnie, które przedtem im posłużyły do podpalania szmat przy strzałach. Dziesiątki ognistych pocisków trafiły w wieżę, zostawiając na jej bokach smugi płonącej żywicy, której nie dawało się ugasić wodą. Walczący z ogniem legioniści zdwoili wysiłki, centurion wydał rozkaz obrzucenia oszczepami znajdujących się już w zasięgu rażenia Getów. Wojenne okrzyki z drugiej strony umocnień zmieniły się we wrzaski bólu, kiedy osiemdziesiąt oszczepów jednocześnie uderzyło w ciasno, jak wyobrażał sobie Wespazjan, skupioną grupę jeźdźców. Usłyszał nad sobą krzyk, podniósł wzrok i zobaczył spadającego z pomostu głową w dół legionistę, który wylądował u jego stóp. Nawet jeśli nie zginął od sterczącej w szczęce strzały, to na pewno skręcił kark przy upadku. Jego głowa leżała nienaturalnie przekrzywiona. Pozbawione życia oczy wpatrywały się w Wespazjana. Chłopiec

miął najwyżej siedemnaście lat.

– Biedaczysko – odezwał się Magnus – przekonał się na własnej skórze, że po rzuceniu oszczepem, nie należy być ciekawym i sprawdzać rezultatu.

Wespazjan skinął smętnie głową, słysząc, jak centurion wykrzykuje rozkaz. Znowu poszybowały oszczepy. Tym razem Getowie byli na to przygotowani i kilku legionistów, ze strzałami sterczącymi z szyi czy twarzy, zważyło się na ziemię przy akompaniamencie triumfalnego ryku z drugiej strony wału.

– To już koniec, odjeżdżają – zawołał centurion.

– I najwyższy czas, na Hadesa. Artyleria! – ryknął Faustus.

Członkowie obsad balist i katapult, przypisani do pierwszej kohorty, wybiegli spod osłony i zaczęli pospiesznie ładować maszyny.

– Dwieście kroków... dwieście pięćdziesiąt! – wołał z góry centurion. Czekaj, aż nieprzyjaciel znajdzie się dość daleko, by pociski nie przeniosły. – Teraz! – wrzasnął, rzucając się plackiem na pomost, żeby samemu nie stracić głowy.

Piętnaście różnych pocisków wypuszczono jednocześnie, przy akompaniamencie głośnego zgrzytu metalu o drewno, po którym nastąpił głuchy łoskot, kiedy drewniane ramiona maszyn, wracając na miejsce, uderzały w blokujące je belki.

Faustus podszedł do Wespazjana, kiedy pociski przeleciały nad palisadą.

– Rzadko kiedy trafiamy, ale uważam, że kiedy odstępują, wypada posłać im trochę żelastwa i kamieni – oświadczył z uśmiechem – a poza tym to niezła zabawa.

– I dobre ćwiczenie dla ludzi obsługujących maszyny – zauważył Sabinus – bardzo szybko je załadowali, jestem pod wrażeniem.

– Tylko nic chłopcom nie mów, bo im się w głowach poprzewraca i zwolnią tempo.

– Nie powiem, mój bracie w światłości.

Faustus uniósł brwi.

– To znaczy, że słyszałeś moje trochę błuzniercze odniesienie do naszego boga Mitry, bracie. Jestem przekonany, że on mi to wybaczy, jednak aby to sobie zapewnić, zrobię wszystko, by pomóc współwyznawcy. Łódź i ubrania, powiadacie... nie ma problemu, bracie. – Obejrzał się na żołnierzy. – Na co się gapicie, śmierdzące lenie – wrzasnął – nie widzieliście nigdy parującej wieży oblężniczej? Wracać do roboty! Piąty nie przerwał ani na chwilę pracy, kiedy nas atakowano, więc ruszać się zwawo i pozbierać mi te ciała.

Reakcja była natychmiastowa, porzucono kubły i tarcze i żołnierze powrócili do wyznaczonych im wcześniej zajęć. Kiedy Faustusa zadowoliło tempo prac, wrócił do Wespazjana i jego towarzyszy.

– No cóż, panowie, Getowie rozwiązali problem ubrań, co oszczędzi mi konieczności przeprowadzenia egzekucji ośmiu jeńców, bo tuż za bramą leżą pewnie całe dziesiątki trupów i jak się ściemni, wyjdziemy tam sobie i popatrzymy, najpierw jednak chodźmy znaleźć jakąś łódź.

– Z tego, co wiem – powiedział Faustus, wskazując na wykonany pobieżnie plan fortecy, oświetlony pojedynczą lampką – to kanał ściekowy znajduje się po zachodniej stronie baszty, co oznacza, że poprowadzi was na główny dziedziniec.

– A niech to piorun strzeli! To raczej nie na uboczu – wykrzyknął Magnus. – Tam będzie się roilo od Getów.

– Tak, jest ich jakieś dwa tysiące, bo reszta siedzi w tej ufortyfikowanej osadzie – odparł Faustus. – Ale jeśli pójdziecie tam w środku nocy, to może będą spali.

– Może, powiadasz, ale nie na pewno? – spytał Wespazjan, drapiąc się po kroczu, gdzie okrutnie go swędziało, odkąd przywdział geckie ubranie.

– Kto wie – odparł Faustus, wzruszając ramionami – czym te dranie zajmują się po nocy, w końcu mają tam w fortecy trochę koni, hi, hi. W każdym razie, jeśli dostaniecie się do środka, kapłana znajdziecie zapewne w samej baszcie. Z tego, co mówili żołnierze oddziałów pomocniczych, którym udało się uciec, kiedy zajmowano twierdzę, najwygodniejsze izby znajdują się w połowie jej wysokości, na trzecim poziomie, i myślę, że pozajmowane są przez geckich waśniaków.

– To brzmi niedorzecznie – zauważył Sabinus. – Nawet jeśli uda nam się przemknąć na palcach obok tych wszystkich śpiących dzikusów, wejść po schodach na trzecie piętro i odnaleźć Rotelesę, to na pewno nie uda się go obezwładnić cichaczem. Jak więc mamy się potem wycofać i przedostać z powrotem przez ten tłum... sam Mitra nie mógłby nas stamtąd niezauważenie wydostać.

– Nie musicie wracać tą samą drogą, a pomoc naszego boga się przyda – oświadczył Faustus, szczerząc zęby. – Dam wam liny i opuścicie się przez okna, wprost na brzeg rzeki, jakieś trzydzieści stóp niżej. Dwóch, trzech moich chłopców będzie czekać na was w łodzi.

Wespazjan skinął głową.

– To bardzo zwiększy szansę ucieczki, ale bez obrazy, Faustusie, wolałbym, żebyś wsadził do łodzi tych trzech żołnierzy przeniesionych tutaj z trackiego garnizonu. Jeden zawdzięcza mi życie, będą więc mieli większą niż inni motywację, by tam tkwić, kiedy zaczną się robić niebezpiecznie.

Faustus nie miał nic przeciwko tej propozycji. Siedzieli wokół małego stołu w słabo oświetlonej budzie, postawionej pod ścianą oblężniczą, wykorzystywanej przez pierwszego centuriona jako punkt dowodzenia pierwszej kohorty. W środku trudno było oddychać z powodu smrodu, jaki wydzielaly ubrania, zaledwie trzy godziny wcześniej ściągnięte z martwych Getów.

Wespazjan spojrział na Sabinusa i Magnusa, którzy skinęli z ociąganiem głowami, potem obejrzał się na Sitalkesa i pozostałych Traków, którzy tłoczyli się za nim i wpatrywali w mapę.

– Co ty na to, Sitalkesie? – spytał ogromnego Traka.

– Jest takie trackie powiedzenie: „Strachajło nigdy nie wychędoży świni”.

Wespazjan przyłączył się do ogólnego rechotu.

– Zapamiętam je sobie. Cóż, panowie, mamy przed sobą świnię wielkości Tytana, wychędożmy ją tak, żeby nigdy tego nie zapomniała.

– Jakie twoim zdaniem macie szanse, kiedy jutro ruszycie do szturm? – Wespazjan spytał Faustusa, kiedy przedzierali się ku rzece przez zatłoczone linie oblężnicze. Niektórzy spośród pracujących wciąż przy świetle pochodni legionistów rzucali im podejrzliwe spojrzenia, jednak widok pierwszego centuriona i grupy ośmiu ciężko uzbrojonych żołnierzy kazał im myśleć, że mają do czynienia z prowadzoną na przesłuchanie grupą geckich dezertów. Wszyscy członkowie wyprawy zostawili broń razem ze swoją odzieżą, wojskowym strojem Wespazjana, łomami i linami na wózku ciągniętym przez Warynusa oraz jego dwóch kolegów, Lucjusza i Arrunsa.

– Będzie to ciężka harówka, ale się tam dostaniemy – zapewnił go centurion. – Najważniejsze jest zgranie wszystkiego w czasie. Musimy utrzymać ten tysiąc wojowników na miejscu, w tej ufortyfikowanej wiosce, żeby nie zaatakowali naszych wież od tyłu podczas tej półgodziny, jaką zajmie podtoczenie ich pod mury, ani nie przedarli się potem przez nasze linie i nie uciekli, kiedy będziemy pokonywać mury twierdzy. To zadanie dla siódmej, ósmej, dziewiątej i dziesiątej kohorty, podczas gdy my i szósta obejmiemy jedną wieżę, trzecia i czwarta drugą, a dwie kohorty z legionu Piątego trzecią. Pozostałe dwie kohorty będą pilnować bram.

Muszę to przyznać Poppeuszowi, umie wszystko przemyśleć i wie, jak prowadzić oblężenie, czego nie da się powiedzieć o niektórych dupkach, pod którymi wcześniej służyłem.

– Na którą wyznaczono szturm? – spytał Sabinus.

Zanim Faustus zdążył mu odpowiedzieć, tuż obok rozległ się znajomy okropny głos.

– A skąd ty wytrzasnąłeś tych dzikusów, Faustusie? – Z ciemności wyłonił się centurion Celus w towarzystwie dwóch legionistów z pochodniami. – Jeśli prowadzisz ich do dowódcy na przesłuchanie, to pomyliłeś kierunki.

– Odwal się, Celusie, i pilnuj swoich spraw – warknął Faustus.

Wespazjan i Sabinus opuścili nisko głowy, starając się ukryć ogolone, zupełnie niegeckie twarze, a Magnus schował się za plecami Sitalkesa.

– Jeńcy są sprawą naszego wodza, a jego sprawy są moimi sprawami – odparł Celus, biorąc pochodnię od jednego z legionistów i zbliżając ją do twarzy Wespazjana. – Jakoś nie bardzo chcą się pokazać, co?

– Trzymaj się od nich z daleka – ostrzegł go Faustus, próbując wejść pomiędzy Wespazjana i Celusa, ale tamten był szybszy, chwycił Wespazjana pod brodę, unosząc jego głowę.

– No proszę, co my tu mamy? – wycodził, wbijając lodowaty wzrok w oczy Wespazjana.

– Trybuna przebranego za geckiego wojownika. – Rozejrzał się po pozostałych, rozpoznając Sitalkesa i Traków. – Wszyscy przebrani tak samo, co znaczy, że tak naprawdę żadni z was wysłannicy królowej, he? Raczej szpiedzy. – Zwrócił się do Wespazjana. – Już tam, na przełęczy, widziałem, że coś kombinujesz z tymi kudłatymi draniami, kiedy wydawałeś im rozkazy. Nie odezwałeś się do nich ani razu w drodze, a tymczasem znałeś ich imiona. Teraz rozumiem, dlaczego wystawiłeś życie nas wszystkich na niebezpieczeństwo. Bierzesz udział w jakiejś tajnej misji, która nie może czekać. Jestem pewien, że nasz dowódca bardzo się zainteresuje, kiedy mu o tym powiem.

– Nie zrobisz tego, centurionie – rozkazał Wespazjan. – Łap go, Faustusie.

Celus odskoczył w prawo i machnął pochodnią, o mało co nie zahaczając o twarz pierwszego centuriona, po czym z szyderczą miną uskoczył pomiędzy dwóch towarzyszących mu legionistów i zniknął w ciemności.

– Wy dwaj wracajcie do swojej centurii – rozkazał Faustus legionistom Celusa – i o tym, co tu zaszło, ani słowa nikomu, jeśli nie chcecie spędzić reszty służby na sprzątaniu latryny i

regularnym wystawianiu pleców na chłostę.

Żołnierze przerażeni tą realną groźbą wyprostowali się jak struny, skinęli głowami i pospiesznie się oddalili.

– Do stu piorunów – rzucił Wespazjan – ten zasraniec sprawi nam jeszcze masę kłopotów.

– Taa, tylko co Poppeusz może zrobić? Być może i odgadnie, że chcemy przedostać się do twierdzy, ale nie wie, kiedy to zrobimy, a zanim Celus dotrze do obozu, my będziemy już wsiadać do łodzi – zauważył Magnus.

– Pewnie masz rację... lepiej się pośpieszmy.

Wespazjan zszedł ze skarpy ku ośmiowiosłowej, płaskodennej dębowej łodzi, długiej na dwadzieścia kroków i szerokiej na trzy w najszerszym miejscu. Była przycumowana do pomostu pośród trzciny i pilnowało jej dwóch ludzi Faustusa. Służyła głównie do przewożenia różnych towarów ze statków stojących pośrodku rzeki na brzeg i z powrotem. Nawet teraz widać było lampy na dziobach i rufach. Podnosiły się i opadały sennie w atramentowej nocy, rzucając iskrzące się rubinowe światło na łagodnie pomarszczoną wodę.

– Pakuj jak najszybciej sprzęt, Warynusię – rozkazał Wespazjan, kiedy trzej legionieści, przy akompaniamencie przekleństw opuścili ostrożnie wózek ze stromego brzegu.

– Kilku moich ludzi będzie czekało jakieś dwie mile w dół rzeki, z koniem dla każdego z was i z dodatkowym dla kapłana – poinformował ich Faustus, kiedy wsiadali do łodzi. – Zobaczycie ich, bo będą mieli pochodnie. Stamtąd macie do Tomi jeden dzień męczącej jazdy; musicie posuwać się wzdłuż rzeki aż do starej fortecy Aksjopolis, gdzie rzeka skręca ostro na północ, tam ją zostawcie i kierujcie się w głąb łądu, na południowy wschód.

– Dzięki ci, mój bracie – powiedział Sabinus, w dziwny sposób ujmując dłoń Faustusa – niech światło naszego Pana zawsze cię obejmuje.

– I ciebie również, bracie – odparł Faustus, kiedy Sabinus odwracał się do odejścia.

– Obyś przeżył jutrzejszą noc – powiedział Wespazjan, ściskając ramię centuriona.

– Och, nie martw się o mnie – powiedział z uśmiechem Faustus. – Trzeba czegoś więcej niż hordy chędożących konie dzikusów, żeby wysłać mnie w ciepło światła Mitry.

– Nie wątpię. – Wespazjan odwrócił się i wsiadł do łodzi. Kiedy zajął miejsce obok Sabinusa przy wiosle sterowym, ze znajdujących się powyżej nich rzymskich linii oblężniczych rozległy się dźwięki bucin.

– O do licha! – zawołał Faustus.

– To sygnał „wszystkie kohorty do broni”. Co według ciebie to oznacza? – spytał Wespazjan.

– Cóż, albo Getowie atakują na całej długości wału zamiast na jednej jego części, co jest mało prawdopodobne, poza tym już byśmy słyszeli ich pogańskie okrzyki wojenne, albo Poppeusz właśnie przełożył szturm na dziś wieczór. Jeśli tak zrobił, to jest szalony, bo wyjdzie z tego jeden wielki chaos.

– Po tym, co Celus mu powiedział, musiał się zorientować w naszych zamiarach i chce dopaść tego kapłana przed nami – skonkludował Sabinus.

– Lepiej już pójdę. – Faustus wraz ze swoimi żołnierzami wdrapał się na skarpę. – Nawet jeśli to jest ostateczny szturm, to ja i tak muszę dopilnować, żeby konie na was czekały. Poppeusz niechcący wam pomógł... skoro my teraz atakujemy, to Getowie właśnie obsadzają mury i dziedziniec będzie pusty.

– Owszem, tyle że żaden z tych drani nie będzie teraz spał – burknął Magnus – no i gdzie szukać kapłana?

– Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby ten zasraniec wybrał się bronić murów, skoro może się schować w przytulnej izdebce – oświadczył Wespazjan, chwytając wiosło sterowe. – Odbijamy, Warynusi.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedział siwowłosy legionista, z uśmiechem odczepiając linę cumowniczą i odpychając się wiosłem od pomostu. Wespazjan zmarszczył brwi na tę poufałość, ale miał dość rozumu, by powstrzymać się od udzielenia nagany za niewinny żart człowiekowi, któremu wkrótce powierzy własne życie.

Łódź zaczęła sunąć z prądem w stronę odległej o pół mili fortecy. Choć ludzie trzymali w rękach wiosła, Wespazjan wołał, żeby wyręczał ich rzeczny nurt, ponieważ wysiłki ośmiu niemających praktyki żołnierzy mogłyby tylko utrudnić żeglugę. Gruba warstwa chmur zakryła wiszący na niebie półksiężyc i chociaż znajdowali się jakieś dziesięć kroków od brzegu, oddalili się już od oświetlonych pochodniami rzymskich linii i zapanowała głęboka ciemność. Na prawym brzegu wysokie dźwięki bucin ustąpiły basowemu dudnieniu *cornua*, rogów używanych do dawania sygnałów bitewnych, ich głębsze tony lepiej było słyszeć ponad chrzęstem broni i wrzaskami walczących.

– To początek ataku – szepnął Wespazjan do brata – ten drań przyspieszył termin szturm

i przez to zginie więcej żołnierzy.

– Gdy *cornua* dmą, ziemia spływa krwią – powiedział Sabinus, cytując starą prawdę legionistów.

Wespazjan spoglądał w stronę brzegu i nasłuchiwał, starając się zorientować w sytuacji. Widział słabą pomarańczową poświatę, na której tle rysował się brzeg rzeki, i zgadywał, że to pochodnie w ufortyfikowanej osadzie, leżącej jakieś sto kroków od rzeki.

– Faustus mówił, że przetoczenie wież zajmie jakieś pół godziny, ale i tak nie rozpoczną, dopóki nie zajmą tej osady – powiedział.

– Przy założeniu, że będą się trzymali pierwotnego planu, czego w tej chwili najwyraźniej nie robią – zauważył Sabinus. – Tak czy inaczej, nie ma co się tym zamartwiać, i tak nic nie poradzimy. Musimy myśleć o własnych sprawach i zaczniemy od tego, że musimy gdzieś przybić.

Wespazjan skinął głową i skupił się na dopilnowaniu, by łódź płynęła w linii prostej. Poczuł ciężar w żołądku i przyszło mu nagle do głowy, że rana, jaką mu zadano na przełęczy Succii, była pierwszym obrażeniem odniesionym w walce i choć niewielkim, stał się wtedy o wiele bardziej świadomy własnej śmiertelności; gdyby nie pancerz, prawdopodobnie by zginął. Teraz go nie miał i nie czuł się bezpiecznie. Obrazy z dzieciństwa przeżytego w rodzinnej posiadłości przemknęły mu przed oczyma i poczuł tęsknotę za spokojem miejsca, w którym najgorsze, co mogło go spotkać, to kopniak rozszlószonego muła. Szybko wyrzucił te myśli z głowy, wiedząc, że do niczego nie prowadzą; dokonał wyboru i dlatego znalazł się w tej łodzi. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to przygotować się na spotkanie z niebezpieczeństwem i pokonać strach przed śmiercią, koncentrując się na praktycznej stronie zadania.

Przed sobą zobaczył kilka małych punkcików światła, znaczących okna baszty fortecznej; zbliżali się do celu. Kiedy znaleźli się mniej więcej na wysokości środka twierdzy, skierował łódź ku brzegowi, by spróbować w ciemności odnaleźć miejsce, gdzie rzadziej rosnące trzciny pozwolą przybić do brzegu. Odległy o sto pięćdziesiąt kroków mur wydawał się długą bryłą zgęstniałego mroku, obrzeżoną delikatną poświatą, jaką stworzyło kilka płonących na dziedzińcu pochodni. Z lewej strony wznosiła się baszta, rozpoznawalna jedynie dzięki blaskowi pochodni na dziedzińcu, oblewającemu do pewnej wysokości jej ścianę wewnętrzną, i po dziwnym migotaniu światła w oknach ściany zewnętrznej, zwróconej ku rzece.

Z oddali wciąż niósł się dudniący dźwięk rogów.

Wreszcie łódź uderzyła o twarde brzeg. Warynus mocował linę cumowniczą u podstawy rachitycznego krzaka, podczas gdy Wespazjan z resztą członków wyprawy wysiadali na ląd. Lucjusz i Arruns podali im łomy, liny i ich gecką broń: łuki, kołczany ze strzałami, wąskie sztylety oraz topory o długim stylisku i obuchu z długim ostrzem po jednej i szpikulcem po drugiej stronie, używane przez Getów do walki z konia. Sitalkes i jego Trakowie zawiesili swoje włócznie na plecach. Artebuz i Sabinus wzięli na ramię po grubym zwoju liny.

– Ukryj łódź w trzcinach, Warynusi – powiedział szeptem Wespazjan, mocując kołczan u pasa – postaramy się wrócić jak najszybciej.

– Tak jest, trybunie, powodzenia.

Wespazjan mruknął coś niezrozumiale, odwrócił się i pochylając nisko, poprowadził swoich ludzi w górę stromego brzegu. Kiedy był już blisko krańca skarpy, jakiś ruch tuż przed nim spowodował, że stanął jak wryty.

– Co jest? – syknął Sabinus.

– Ktoś łązi po brzegu – odparł Wespazjan, wyciągając strzałę z kołczanu i wyężając wzrok. Po chwili dostrzegł w mroku trzy niewyraźne sylwetki, a potem jeszcze kilka. Umieścił strzałę w łuku, wyczuł, że za jego plecami towarzysze robią to samo. Jedna z sylwetek poruszyła się. Wespazjan wstrzymał oddech; po chwili usłyszał cichy dźwięk miękko wydychanego powietrza, potem parsknięcie i kilka ciężkich stąpień na porośniętej trawą ziemi. – To tylko konie, całe ich mnóstwo – szepnął, opuszczając łuk i oddychając z ulgą.

Ostrożnie ruszył dalej, a pozostali za nim.

Ciężar w żołądku, narastający od chwili, gdy wsiedli do łodzi, stał się nieznośny i pomimo nocnego chłodu Wespazjan zaczął się pocić ze strachu. To była samobójcza misja i zaczynał mieć żal do Antonii o to, że w swojej bezpiecznej willi w Rzymie z taką łatwością uznała za oczywiste, że jemu i bratu się powiedzie. Potem przypomniał sobie ostrzeżenie babki, żeby nie angażować się w spiski możnych tego świata, bo mają oni zwyczaj wykorzystywać ludzi jego sfery do brudnej roboty, po czym pozbywają się ich, kiedy już za dużo wiedzą i stają się niewygodni. Wgramolili się na wysoki brzeg. Niewyraźne kształty niezliczonych koni roztopiły się w mroku.

– Masz wątpliwości, panie? – spytał Magnus, zupełnie jakby czytał mu w myślach.

– Dlaczego pytasz?

– No cóż, nie byłoby w tym nic dziwnego, prawda? Bo oto mamy zamiar rzucić

wyzwanie tysiącom dzikusów, od których każdy człowiek przy zdrowych zmysłach trzyma się z daleka, po to tylko, by dorwać obrzydliwego człowieczka, którego raz spotkawszy, nikt rozsądny nie chciałby spotkać ponownie. A wszystko to po co, pytam?

Wespazjan uśmiechnął się w ciemnościach.

– Cóż, pewnie robimy to dla Rzymu – odparł.

– Dla Rzymu, też coś... może ty robisz to dla Rzymu, ale ja to robię, bo ty to robisz i czuję się do tego zobowiązany, ponieważ mam dług wdzięczności wobec twojego wuja, i właśnie dlatego zastanawiałem się, czy przypadkiem trochę nie otrzeźwiałeś i nie zaczynasz mieć wątpliwości.

– Macie zamiar przegadać tu całą noc? – syknął Sabinus.

– To byłoby znacznie lepszym pomysłem – mruknął pod nosem Magnus.

Podniesiony na duchu tym, że jego przyjaciel też się boi, i dziwnie uspokojony obecnością brata, Wespazjan wziął się w garść. Z rozbawieniem przypomniał sobie trackie powiedzonko Sitalkesa i ostrożnie poprowadził grupę pomiędzy setkami koni, które czując zapach geckich ubrań, czasami tylko cicho zarżawszy, rozstępowały się przed nimi.

Kilka dobrych chwil zajęło im pokonanie stu kroków i wyminięcie tych żywych przeszkód. Kiedy wreszcie znaleźli się u stóp stromego wzniesienia, na którym stała twierdza, dobiegły ich z góry krzyki i tupot setek butów.

– Wygląda na to, że wszyscy są na nogach – narzekał Magnus.

– Ale przenieśli się na mury – pocieszył go Wespazjan, czując, że może jednak mają jakąś szansę. – Odszukajmy to wejście do kanału ściekowego.

Podeszli stokiem do podnóża muru i zaczęli się posuwać wzdłuż niego w stronę baszty. Zanim zobaczyli ujście kanału, poczuli smród. Przez czterysta lat wypływały tędy nieczystości, tworząc poniżej cuchnące i trujące bagno. Usłyszeli ciurkanie i natrafili na kratę o średnicy około trzech stóp. Fetor był tu jeszcze bardziej odrażający.

– Na brudny zadek Plutona, to śmierdzi jeszcze gorzej od tych ubrań – jęknął Magnus, który prawie już przyzwyczał się do szczególnego zapachu swojego przebrania.

– Niezły dobór słów, przyjacielu – zażartował Wespazjan – bo myślę, że to właśnie jest brudny zadek Plutona i za chwilę do niego wejdziemy.

– Wyobraź sobie, jak będziemy wonieć, kiedy wynurzymy się z drugiego końca – powiedział Sabinus, powstrzymując odruch wymiotny.

– Sitalkesie, Zilesie, dawajcie tu łomy i pozbądźcie się kraty – rozkazał Wespazjan, dochodząc do wniosku, że nie ma sensu odkładać tego, co nieuniknione.

Na pozór odporni na smród Sitalkes i Ziles wsunęli końce łomów pod kratę i po chwili ją poluzowali, a Drenis i Bryzos wyrwali z muru.

– No to w drogę – powiedział Wespazjan, robiąc głęboki wdech i zmuszając się do wejścia w czarną jak smoła czeluść tunelu.

Było tam zaledwie dość miejsca, by móc poruszać się na czworakach, i pierwszy raz, odkąd włożył tę dziwną, obcisłą część ubrania, jaką były spodnie, cieszył się, że ma je na sobie; chroniły bowiem jego kolana przed nagromadzonymi przez stulecia i oblepiającymi dno tunelu fekaliami. Jego ręce niestety nie miały takiej osłony i przebierał dłońmi w chlupoczącej lepkiej brei.

Kiedy zdawało mu się, że już całą wieczność wdycha trujący gaz wydzielany przez rozkładające się ekskrementy, po mozolnym pokonaniu jakichś piętnastu stóp Wespazjan usłyszał z przodu chrapliwe głosy i zobaczył słaby błysk pomarańczowego światła. Pragnął jak najszybciej wyrwać się na świeże powietrze, ale obawiał się, że wyjście może być strzeżone. Kiedy zbliżył się do końca tunelu, stwierdził, że błysk, który zobaczył, stanowi odbicie światła padającego na znajdujący się blisko otworu murek. Zmusił się do zwolnienia tempa i zatrzymał trzy stopy od wyjścia; poczuł, jak Sabinus wpada na niego od tyłu, a potem coraz większy nacisk, kiedy wszyscy po kolei natykali się na nieoczekiwaną przeszkodę.

Wespazjan wyciągnął szyję, by wyrzeć z tunelu poza wystający murek. Został wynagrodzony widokiem dwóch włochatych geckich zadków w akcji. Ich właściciele prowadzili ożywioną rozmowę, usadowieni na szczycie jednego z trzech murków otaczających wyjście z kanału i tworzących uczęszczaną latrynę pod gołym niebem. Na jednym z bocznych murków pojawił się kolejny zadek, podczas gdy dwa pierwsze, po hałaśliwym finale, wycofały się i niemal natychmiast zostały zastąpione przez kolejne dwa.

– Co się dzieje? Dlaczego tkwimy w miejscu? – syknął z tyłu Sabinus.

– Jak było do przewidzenia, wyładowaliśmy w ich latrynie i kilku z nich korzysta z ostatniej sposobności, żeby się wysrać.

– Do stu piorunów, jak długo im to zajmie?

– Skąd mam wiedzieć – odparł szeptem Wespazjan, ponownie wyciągając szyję. – Teraz jest tam ich pięciu... dwóch wygląda na nieźle przerażonych – dodał z uśmiechem.

Kilka chwil później jednoznaczne wrzaski połajanek i odgłosy wymierzanych razów przepędziły zadki, choć dwa z nich były w samym środku akcji. Wespazjan odliczył do stu i kiedy nie pojawiły się kolejne, uznał, że jest już bezpiecznie i można wychynąć z kanału. Nie przeszkadzało mu, że brodzi w świeżych fekaliach, czuł się jak nowo narodzony, kiedy wciągał względnie świeże powietrze z góry i wycierał o spodnie umazane ręce. Zapadła nienaturalna cisza. Przesunął się dalej i wyjrzał ponad jednym z murków. Ze zdumieniem zobaczył, że otaczają go konie; umieszczono je w prowizorycznym ogrodzeniu w północno-wschodnim rogu dziedzińca, jak najdalej od bramy i głównej areny walk. Wszystkie, co rozumiały, starały się nie zbliżyć do latryny. Kiedy pozostali członkowie wyprawy zaczęli się wynurzać z kanału, Wespazjan wyteżył wzrok dalej i zobaczył mrowie Getów na południowym i zachodnim murze. Stali tam w dwóch czy nawet trzech rzędach, niemal ramię przy ramieniu, z łukami gotowymi do strzału. Wpatrzni w rzymskie linie oblężnicze milcząco czekali na nieuchronne.

Sabinus pojawił się obok brata.

– No to mamy choć odrobinę szczęścia – szepnął, zorientowawszy się w sytuacji.

– Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś unurzany po kolana w gównie mówił, że ma szczęście – zauważył Wespazjan – ale chyba masz rację. Chodźmy. – Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy wszyscy są, i zaczął przechodzić przez murek.

W powietrzu rozległ się głośny dźwięk rogu.

– No ładnie – syknął Sabinus, ściągając go z powrotem – to rozkaz dla artylerii. Kryć się.

Wszyscy przykucnęli pod osłoną murku. Najpierw usłyszeli daleki świst nadlatujących z dużą prędkością pocisków, który przeszedł w wycie zakończone serią druzgocących łoskotów, kiedy kamienie i kawałki żelaza spadły na fortecę. Niektóre pociski zmiatały ludzi, najczęściej w kawałkach, inne uderzały w mury, sypiąc iskrami, a deszcz ostrych ułamków spadał na ziemię, wzbijając obłoczki kurzu. Geccy przywódcy plemienni wywrzaskiwali rozkazy. Obrońcy podnieśli łuki i zaczęli posyłać w nocne niebo chmury strzał, jedną po drugiej, z szybkością, która zdumiała Wespazjana.

– Skoro ci odpowiadają strzałami, oznacza to, że zbliżają się wieże – wykrzyknął Sabinus, wyciągając topór z pasa. – Przestań się gapić, braciszku, nie mamy wiele czasu. – Wyskoczył z latryny i pobiegł ku przytulonej do muru, odległej o dwadzieścia kroków baszty. Nie martwił się tym, że Getowie go zauważą, bo zbyt byli zajęci obroną murów, ale chciał znaleźć się jak najdalej od coraz bardziej zdenerwowanych koni.

Wespazjan i pozostali ruszyli za nim, podczas gdy grad strzał wypuszczony przez nacierających Rzymian spadł na mury i dziedziniec, powalając dziesiątki ludzi i trafiając ze dwadzieścia przerażonych wierzchowców. Tego już było za wiele dla zwierząt, naparły na tymczasowe ogrodzenie, bez trudu je obaliły i rozbiegły się po całym dziedzińcu. Stawały dęba i wierzgały pośród leżących tam trupów.

Wespazjan, z toporem w rękę, dogonił brata przy wejściu do baszty. Czuł się zawstydzony upomnieniem Sabinusa, bo było ono słuszne; rzeczywiście się zawahał i teraz starszy brat przejął dowodzenie.

– Na trzy, braciszku – powiedział Sabinus, przykładając bark do zaryglowanych drzwi. –
Trzy!

Uderzyli jednocześnie w lity dąb.

Nie ustąpił.

– A niech to! Sitalkes, Ziles – wrzasnął Sabinus, przekrzykując hałas – gdzie te łomy? Nie guzdrać się, chłopcy, bo zaraz spadnie następna porcja pocisków, obsady machin wyglądały mi na szybkie.

Sitalkes i Ziles rzucili się wbijać łomy pomiędzy drzwi i futrynę. Nie zdążyli wiele zdziałać, bo kolejna fala pocisków spowodowała, że odruchowo przypadli do ziemi. Dwa kamienie z katapulty uderzyły w ścianę baszty kilka stóp nad wejściem i rozpadły się, syjąc mrowiem iskier. Posypał się na nich rzęsyty deszcz ostrych kawałków kamieni, powodując siniaki, ale nikogo nie raniąc.

Sitalkes pierwszy doszedł do siebie; wielkim cielskiem przywarł do końca łomu; drzwi obluzowały się z trzaskiem, ale nie otworzyły. Ziles wbił ponownie swój łom w poszerzoną szparę, Sitalkes zdjął z pleców swoją włócznię, skinął na towarzysza i obaj jednocześnie nacisnęli na dwa łomy. Tym razem drzwi odskoczyły i ogromny Trak wpadł do środka, i wylądował na podłodze. Ziles skoczył za nim i wyfrunął z powrotem, jakby otrzymał cios z ręki Tytana, a w piersi tkwiło mu pół tuzina strzał. Zanim jeszcze martwy Trak padł na ziemię, Wespazjan znalazł się w środku, uskakując od razu w lewo. Z wnętrza dobiegł go potężny ryk. W świetle pochodni zobaczył, jak Sitalkes daje susa i trzymając włócznię oburącz, zamasyżuje tnie znad prawego ramienia. Miał przed sobą sześciu Getów, usiłujących jak najszybciej założyć ponownie strzały na cięciwy. Błyszczący metal zakreślił łuk i dwie głowy oraz połowa ramienia spadły w rozbryzgach krwi. Kiedy wielki Trak rzucił się na prawy bok ich szeregu, Wespazjan z

krzykiem ruszył na stojącego z lewej strony Geta, który cisnął łuk i wyciągnął nóż z długim ostrzem; w tej samej chwili posłana od drzwi strzała powaliła mężczyznę stojącego obok niego. Nóż pofrunął w stronę Wespazjana, na wysokości jego piersi, ale Rzymianin miał dość przytomności umysłu, by się pochylić już w chwili, w której dostrzegł szybki ruch dłoni przeciwnika. Nóż przeleciał tuż nad jego głową, którą chwilę później uderzył w splot słoneczny wojownika, pozbawiając go tchu i przewracając na podłogę. Wespazjan padł razem z nim. Ze zwierzęcym rykiem zerwał się natychmiast na kolana, uniósł topór i opuszczał go raz za razem na twarz duszącego się Geta, rozwalając mu czaszkę, aż wybuchła mieszanina kości, krwi i zębów. Rzymianin nie przestawał młócić toporem, wściekle miażdżąc to wszystko. Poczul na nadgarstku mocny uścisk czyjejś ręki, odwrócił się i zobaczył Magnusa, który z wysiłkiem powstrzymywał jego ramię.

– Myślę, że już nie żyje, panie – powiedział Magnus przez zaciśnięte zęby. – Jak i cała reszta.

Wespazjan zamrugał kilkakrotnie i się rozluźnił; pierwszy raz od rozpoczęcia ataku zaczął widzieć wyraźnie otoczenie. Sześciu Getów leżało martwych, a Sitalkes, Bryzos i Drenis pośpiesznie starali się zaklinować wyłamane drzwi, żeby się nie otworzyły, podczas gdy Artebuz i Sabinus mieli oko na kamienne schody prowadzące na kolejną kondygnację. Zaczął oddychać głęboko, by uciec od tej pierwotnej części swojej natury, którą, jak zrozumiał, wyzwolił w nim lęk przed śmiercią.

– Musisz na to uważać, panie – powiedział przyciszonym głosem Magnus, pomagając mu wstać – oni umierają tylko raz i łatwo możesz dać się zabić, kiedy próbujesz ich uśmiercić drugi, trzeci czy, jak teraz, szósty raz.

– Dzięki, Magnusie, postaram się to zapamiętać – odparł Wespazjan, bardziej szorstko, niż zamierzał. – Wybacz, byłem nielecho przerażony – dodał w formie przeprosin. Zobaczył w ręku przyjaciela zakrwawioną włócznię.

– Wziąłem od Zilesa, już mu się nie przyda – powiedział Magnus, zauważywszy jego spojrzenie. – To doskonała broń, o wiele przyjemniej jest nią walczyć, niż się przed nią bronić, szczególnie kiedy tymi ostrzami wywijają tacy jak Sitalkes... jeśli wiesz, co mam na myśli?

Wespazjan wiedział.

Kolejne pociski uderzyły w ścianę wieży, przywołując go do rzeczywistości. Podeszedł do stojącego przy schodach Sabinusa.

– Słyszać coś z góry? – zapytał ledwie słyszalnym szeptem, zagłuszonym wrzaskami i okrzykami Getów na murach.

– Nie – odparł Sabinus.

Sitalkes zostawił drzwi i podbiegł do nich.

– Zrobiliśmy, co się dało – powiedział cicho – ale nie wytrzymają długo.

– No to ruszamy – rozkazał Sabinus i wyjął z uchwytu na ścianie jedną z jasno płonących pochodni. – Zabierzcie resztę pochodni, lepiej, żeby na dole było ciemno. Artebuz, ze mną.

Zaczął szybko wspinać się na schody, Grek z napiętym łukiem szedł obok niego. Dochodzący z zewnątrz hałas doskonale maskował ich lekkie kroki.

Wespazjan chwycił pochodnię i z Magnusem u boku ruszył na schody. Serce mocno mu biło; nie przestał się bać, ale obudziła się w nim silna wola przetrwania i tłumiała teraz strach przed śmiercią. Poczul się znacznie spokojniejszy i wdzięczny bratu za to, że przejął dowodzenie, kiedy jego działania, czego był w pełni świadom, pozostawiały wiele do życzenia.

Skrzypnięcie drewnianej podłogi oznaczało, że brat dotarł już na pierwsze piętro. Po chwili wszyscy znaleźli się w jakimś magazynie bez okien, który zajmował całą tę kondygnację, ale wciąż był poniżej szczytu murów fortecy. Pośrodku znajdowały się solidne drewniane schody prowadzące na kolejny poziom. Wszędzie wokół leżały stosy worków z ziarnem i amfor, stały beczki z wodą. Na ścianach wisiało coś, co Wespazjan w pierwszej chwili wziął za ludzkie ciała, a co z bliska okazało się sprawionymi tuszami jeleni i owiec.

– Wygląda na to, że znaleźliśmy kolację Getów – zauważył Sabinus. – Szybko, chłopcy, ułóżcie z tych worków stos wokół schodów i sprawdźcie, co jest w amforach; miejmy nadzieję, że to oliwa, bo ogień będzie naszym sprzymierzeńcem.

W chwilę rozrzucili worki i polali je oliwą. Krzyki na zewnątrz się wzmogły i doszedł jeszcze szczeł broni.

– Nasi chłopcy są już na murach, teraz już nie ma chwili do stracenia – oświadczył Sabinus, podając pochodnię Drenisowi i chwytając nieotwartą jeszcze amforę. – Weźcie po amforze, jeśli dacie radę, chłopcy, na górze też może trzeba będzie wzniecić ogień. Drenis, poczekaj, aż znajdziemy się piętro wyżej, i podpal te worki. – Skoczył ku schodom, a Wespazjan tuż za nim.

Wpadli na drugie piętro, gdzie zobaczyli kolejne duże pomieszcze nie, ale ze schodami pod przeciwległą ścianą i z oknami wychodzącymi wyłącznie na rzekę, a nie na dziedziniec.

Posłania rozrzucone na podłodze świadczyły o tym, że spali tutaj Getowie, których uważano za zbyt ważnych, by mogli sypiać na dworze. Kiedy Sabinus i Wespazjan rzucili się do kolejnych schodów, w deski podłogi tuż przed nimi wbiły się cztery strzały, tak raptownie zatrzymując ich w miejscu, że omal się nie poprzewracali. Cofnęli się natychmiast i poczekali, aż pojawił się niosący dwie amfory Magnus wraz z resztą ich towarzyszy.

– Z piętra wyżej szykują ceremonię powitalną. Artebuz, Sitalkes i Bryzos, wypuście tam trochę strzał – rozkazał Sabinus. – Wespazjanie, my za nimi.

Kiedy Artebuz, Sitalkes i Bryzos posuwali się powoli naprzód, strzelając na zmianę, tak że zawsze jakaś strzała pędziła w górę schodów, Sabinus ruszył do przodu z amforą oliwy, a Wespazjan z pochodnią. Drenis wbiegł z dołu, ciągnąc za sobą swąd spalenizny.

Dziesięć stóp od schodów Sabinus wyskoczył do przodu i cisnął w górę amforę; zniknęła i rozłukła się z trzaskiem piętro wyżej. Wespazjan poczekał, aż kilka kolejnych strzał poszybuje w górę, po czym podbiegł i rzucił pochodnię. Oliwa zapaliła się błyskawicznie; wkrótce ogień ogarnął podest trzeciego piętra, a strużki płonącej oliwy niczym ogniste łzy spływały szczelinami w schodach.

– Najpierw Artebuz i Bryzos z łukami, potem my, za nami Magnus, Sitalkes i Drenis – zawołał Sabinus, wyciągając topór. Uśmiechnął się do Wespazjana. – To dużo zabawniejsze niż lizanie tyłków w Rzymie, braciszku. Ruszamy!

Artebuz i Bryzos popędzili schodami w górę i zniknęli pośród płomieni. Bracia biegli za nimi, podczas gdy ciecz, którą ktoś chlustał, po zetknięciu z płonąca oliwą zamieniała się w gęstą, cuchnącą parę. Ta para i ogień oślepiły na chwilę Wespazjana, odzyskał jednak widzenie, kiedy wynurzył się z płomieni na końcu długiego korytarza, biegnącego przez całą szerokość wieży i prowadzącego do kolejnych schodów. Po każdej jego stronie znajdowało się czworo rozmieszczonych w równych odstępach drzwi. Uważając, by nie poślizgnąć się na płonącej oliwie, Wespazjan rzucił się w lewo, Sabinus w prawo i w tym samym momencie przeleciała pomiędzy nimi strzała i utkwiała w ścianie. Jeszcze raz wdzięczny losowi, że ma na sobie spodnie, które chronią mu nogi przed oparzeniami, Wespazjan podniósł wzrok i w świetle płomieni zobaczył, jak Bryzos i Artebuz wypuszczają strzały w dwóch Getów, z których jeden miał właśnie wystrzelić, a drugi sięgał po strzałę; dwóch innych, martwych, leżało u jego stóp, obok pustych już kubłów na nieczystości. Obie strzały dosięgły mierzącego z łuku Geta, powalając go na podłogę, a wypuszczona przezeń strzała wbiła się w drewniany sufit. Wespazjan i Sabinus

ruszyli naprzód w chwili, gdy wystrzelił drugi z Getów. Artebuz padł na plecy ze strzałą sterczącą w piersi, kiedy przebiegali obok niego. Nie mając czasu na kolejny strzał, Get odwrócił się, popędził korytarzem, dopadł schodów i zniknął u góry, wydając okrzyk bólu, kiedy celnie wymierzona strzała Bryzosa zdążyła przebić mu łydkę.

Dym z wypalającej się oliwy zaczął wypełniać korytarz, a podłoga i schody zajęły się ogniem. Magnus, Sitalkes i Drenis wyłonili się spośród płomieni w przypalonych ubraniach. Odgłosy walki na zewnątrz stawały się coraz bliższe.

– Zdaje mi się, że nasi chłopcy spychają ich z murów – zawołał Sabinus. – Bryzosie, chluśnij oliwą na tamte schody i jeśli ktoś będzie chciał z nich zejść, podpal.

Magnus dał mu amforę, Drenis pochodnię i Bryzos ruszył do schodów.

– A teraz przeszukajmy te pokoje – polecił Sabinus. – Weź linę Artebuza, Sitalkesie.

– Nie ma powodu, mogę ją sam nieść – oświadczył mężczyzna, siadając z wykrzywioną bólem twarzą. – Chyba żyję, tylko jestem trochę poobijany. – Wyciągnął strzałę, która tkwiła w zwoju liny; ta lina i gruby gecki kaftan uratowały mu życie.

– Szczęściarz z ciebie – powiedział Sabinus – ty i Sitalkes pójdziecie ze mną, sprawdzimy pokoje po prawej stronie, Wespazjanie, weź Magnusa i Drenisa do pokoi od strony dziedzińca. Dla bezpieczeństwa będziemy robić to na zmianę. Do roboty.

Żar przybrał znacznie na sile, kiedy Wespazjan kopniakiem otworzył najbliższe drzwi i uskoczył natychmiast w bok, za ścianę, kryjąc się przed ewentualnymi strzałami. Nie usłyszał ich świstu, natomiast przez otwarte okno wpadły masy powietrza, podsycając pożar. Drenis z łukiem gotowym do strzału wskoczył do pokoju.

– W porządku! Pusto! – zawołał chwilę później. Przeszli do następnych drzwi. Za nimi grupa Sabinusa wyważyła swoje pierwsze drzwi.

Zanim każda z grup dotarła do ostatnich drzwi po swojej stronie, dym wypełniający korytarz tak zgęstniał, że musieli się pochylać, by łatwiej oddychać. Żar z szalejącego piętro niżej pożaru docierał do nich przez deski podłogi.

– Oby Roteles był w jednym z tych – powiedział Wespazjan do Magnusa, kiedy szykował się do otwarcia kopniakiem drzwi. – Nie uśmiecha mi się wdrapywanie na kolejną kondygnację.

Powstrzymał go krzyk Bryzosa. Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał, jak rudowłosy Trak, naszpikowany strzałami, upuszcza pochodnię i pada u stóp schodów, na których szczycie ukazały

się nogi Getów. Sitalkes, Drenis i Artebus posłali strzały w ich kierunku, trafiając stojących z przodu wojowników, którzy stoczyli się ze śliskich od oliwy schodów. Resztką sił umierający Trak wyciągnął rękę i czubkami palców przysunął pochodnię. Wespazjan i jego towarzysze patrzyli, jak pochodnia toczy się z powolną nieuchronnością w stronę kałuży oliwy; oliwa zaskwierczała, zadymiała, a potem buchnęła płomieniem, który ogarnął Bryzosa i martwych Getów wokół niego. Jego krzyki stawały się coraz głośniejsze, kiedy płomienie przybierały na sile. Ogień zagroził drogę pozostałym wojownikom i cofnęli się, utykając w pułapce wyższego piętra.

Czując zapach palących się ciał i słysząc krzyki ginącego Bryzosa, Wespazjan otworzył kopniakiem ostatnie drzwi. I znowu Drenis nikogo w środku nie znalazł. Wespazjan podbiegł do okna i się rozejrzył. Z pomostów wież oblężniczych po lewej i prawej stronie dziesiątki legionistów spływały na południowy i zachodni mur. Wieża środkowa, najbliższa bramy, płonęła; żołnierze, wielu z nich ogarniętych pło mieniami, wyskakiwali z tego piekła. Coś poszło nie tak. Jednakże na dziedzińcu rozbijano Getów na małe grupki i otaczano, podczas gdy z pomostu na murze zbiegało coraz więcej świeżych legionistów, by wspomóc towarzyszy zaangażowanych w zacieklą walkę wręcz. Tuż pod nim kilkunastu legionistów wyłamało drzwi baszty; płomienie buchnęły na zewnątrz i żołnierze, prowadzeni przez łatwego do rozpoznania Celusa, natychmiast wycofali się w stronę bramy fortecy.

Domyślając się, że Celus przyszedł po nich, Wespazjan wybiegł z powrotem na korytarz w momencie, gdy Sabinus otwierał kopniakiem ostatnie drzwi; zagwizdały dwie strzały, o mało nie trafiając podbiegającego do wejścia Wespazjana. Artebus i Sitalkes wyskoczyli zza obu stron drzwi i odpowiedzieli strzałami, kładąc trupem dwóch znajdujących się w pokoju Getów.

Sabinus wpadł do środka.

– Na Hades! – wrzasnął. – Nie ma go!

Wespazjan podbiegł do stojącego przy oknie brata. Z okna zwisała napięta, drgająca, przymocowana do belki stropu lina. Bracia wystawili na zewnątrz głowy; dziesięć stóp niżej zobaczyli geckiego wojownika, a pod nim Rotekesa, zawieszono go dwadzieścia stóp nad ziemią, ledwie widocznego w pomarańczowej poświacie, jaką rzucała płonąca wieża oblężnicza.

– Szybko, ciągnij! – krzyknął Wespazjan, chwytając za linę. Magnus i Sitalkes rzucili się do liny. Po kilku mocnych szarpnięciach ujrzeni za oknem twarz geckiego wojownika, z oczyma rozszerzonymi trwogą. Artebus posłał strzałę w jego otwarte usta i mężczyzna z krzykiem spadł

na ziemię. Lina raptownie się poluzowała i wszyscy polecili do tyłu.

– Drań zdążył zeskoczyć! – ryknął Wespazjan, podnosząc się szybko z podłogi i podbiegając do okna. Chwytał linę, wyskoczył przez okno i zaczął się ześlizgiwać w dół.

Zsuwał się szybko, ocierając sobie skórę na dłoniach, jednak grube spodnie chroniły mu przynajmniej nogi. Kiedy mijał okno na drugim piętrze, uderzył w niego żar szalejącego wewnątrz pożaru. Z dołu dochodziło go nerwowe parskanie koni, które przestraszone ogniem i hałasem, wielką, rozkołysaną falą ruszyły przed siebie na wschód. Biegły po płaskim terenie pomiędzy brzegiem rzeki a podnóżem stoku sięgającego murów twierdzy.

Wespazjan opadł na ziemię, a zaraz potem jego brat. Z dołu słyszeli nieustający tętent końskich kopyt.

– Roteles nie mógł się przez nie przedostać! – krzyknął Sabinus, kiedy dołączyli do nich Magnus i Sitalkes. – Na pewno poszedł wzdłuż muru, tylko w którą stronę?

– W przeciwną niż konie – odparł Wespazjan. – Kiedy przebiegną, pójdzie na brzeg rzeki; to jego jedyna szansa ucieczki.

Popędził wzdłuż muru. W tej samej chwili Artebuz i Drenis wylądowali na ziemi. Nad nimi z okien baszty wystrzeliły płomienie.

Oddalając się, słyszeli, że wzmaga się zgiełk bitewny na dziedzińcu po drugiej stronie muru. Kiedy przechodzili pod wylotem kanału ściekowego, dołem przebiegły ostatnie konie. Dziesiątki martwych zwierząt ugrzęzły w cuchnącym bagnie i zostały stratowane przez swoich towarzyszy.

Nigdzie nie zauważyli kapłana.

– Obejdziemy to bagno, dotrzemy do brzegu i ruszymy w górę rzeki – zawołał Wespazjan, zbiegając ze stoku.

Znajdowali się w połowie drogi do rzeki, kiedy zatrzymał ich nagły krzyk.

– Tam są, chłopcy, ruszać na nich! – Celus i grupa żołnierzy, którą wykorzystał, żeby spróbować dostać się do baszty, wybiegli zza zachodniego muru, jakieś sto kroków dalej, i gnali ku nim w dół zbocza, dobrze widząc ich sylwetki na tle płonącej drewnianej wieży oblężniczej.

– Strzelać w biegu – rozkazał Wespazjan, ściągając łuk i zakładając strzałę na cięciwę. Zanim dotarli do skarpy, każdy zdążył wypuścić za siebie trzy albo cztery strzały. Nie padł zaden z żołnierzy Celusa, ale ostrzał zmusił ich do podniesienia tarcz i zwolnienia kroku. Wespazjan i jego towarzysze odwrócili się i bez ustanku ślali w ich kierunku strzały, tamci jednak byli coraz

bliżej; błysk płomieni odbijał się od ich hełmów i krawędzi tarcz, za którymi skutecznie się chronili. Wreszcie znaleźli się niemal na odległość rzutu oszczepem.

– Dość tego – warknął Sabinus – trzeba się stąd wyrwać.

– Masz rację, bracie – zgodził się Wespazjan – wracać do... – Nie zdążył dokończyć rozkazu.

– Żołnierze czwartej centurii trzeciej kohorty Czwartego legionu *Scythica*, rozkazuję wam się zatrzymać!

Donośny i charakterystyczny głos pierwszego centuriona, który rozległ się za plecami legionistów, zatrzymał ich raptownie trzydzieści kroków od Wespazjana.

Celus odwrócił się na pięcie.

– W tył zwrot! – ryknął Faustus.

Żołnierze przez lata uczeni bezwarunkowego wykonywania rozkazów, odwrócili się plecami do swoich rzekomo geckich nieprzyjaciół i stanęli twarzą do Faustusa, który wyłonił się z mroku. Celus rzucił się na niego z okrzykiem wściekłości, celując mieczem prosto w jego krocze. W ostatniej chwili Faustus zwinnie uskoczył w lewo i kiedy Celus go mijał, tracąc równowagę, wymierzył mu ręką głową gladiusa potężny cios w kark, posyłając nieprzytomnego na ziemię. Szybko odebrał mu miecz i zwrócił się do zdezorientowanych legionistów.

– Ten łajdak wykorzystywał was do sabotowania rzymskiej misji! – krzyknął. – To są nasi ludzie, nie mieli wyboru i musieli do was strzelać. Trybunie Wespazjanie, podejdź tu ze swoimi ludźmi.

Kiedy zbliżyli się do szeregu legionistów, Wespazjan ściągnął z głowy gecką czapkę.

– Zauważyłem, że Celus wyprowadza swoich żołnierzy z powrotem za bramę fortecy, i domyśliłem się, że chodzi mu o was, więc popędziłem tutaj – wyjaśniał Faustus, podczas gdy legionieści, rozpoznawszy Wespazjana, zaczęli szeptać między sobą.

– Dziękuję ci, przyjacielu – odparł Wespazjan – obawiam się jednak, że kapłan nam umknął i pewnie jest już daleko stąd.

– Cóż, wynika z tego, że wszyscy mieliśmy kiepską noc... szturm też był nieudany. Nie odcięliśmy jak należy tej ufortyfikowanej osady i prawie tysiąc Getów wyrwało się stamtąd, podpálili naszą wieżę i zabili wielu moich chłopców, a potem przedarli się przez bramę wału oblężniczego. Ale przynajmniej rozprawiliśmy się z resztą.

– Chodź, braciszku, musimy się pospieszyć – powiedział Sabinus – wciąż jest pewna

szansa schwytania Rotekesa, jeśli tylko popłynął łódką w dół rzeki.

Wespazjan westchnął; był wykończony, wiedział jednak, że jeśli istnieje choćby cień szansy, powinni próbować.

– Co z nim zrobisz? – spytał cicho, patrząc na leżącego Celusa, który zaczynał już odzyskiwać przytomność.

– Cóż, nie mogłem go zabić przy tych żołnierzach – odpowiedział równie cicho Faustus, przyklękając przy Celusie – któryś z nich by się wygadał i Poppeusz dopadłby mnie za morderstwo, więc zabiorę go ze sobą w wir bitwy i tam wykończę.

Odwrócili się obaj, słysząc głośnie rzenie. Powietrze wypełnił grzmot wielu kopyt.

– Uwaga! Konie wracają! – zawołał Wespazjan.

– Formować klin, tarcze po obu bokach! – wrzasnął Sabinus. – *Pila* do przodu!

Legioniści, świadomi nadchodzącego niebezpieczeństwa, ale nieświadomi jego natury, ustawili się szybko wokół swoich niedawnych przeciwników, tworząc najeżoną oszczepami formację w kształcie litery V, i wtedy z mroku nocy wyłoniły się pierwsze pędzące ku nim konie.

Celus błyskawicznie wykorzystał zamieszanie; wyrwał *pugio* z pochwy i wbił w szyję Faustusa; kiedy krew trysnęła z żyły, zerwał się na równe nogi i popędził w stronę fortecy. Wespazjan już miał ruszyć za nim, ale jedno spojrzenie rzucone w lewo ku zbliżającemu się tabunowi przerażonych koni powstrzymało go. Wiedział, że Celus już i tak nie ma szans. Ukląkł przy Faustusie, rozpaczliwie starając się zatamować płynącą strumieniem krew.

Konie dotarły do klina.

Na moment wcześniej zwierzęta pędzące na czele, raczej wyczuwając, niż widząc przed sobą najeżoną szpikulcami przeszkodę, rozdzieliły się, reszta poszła za ich przykładem i masa rozpędzonych zwierząt opłynęła klin niczym rzeka wyspę. Ze względnie bezpiecznego miejsca w środku formacji Wespazjan, przyciskając mocno dłonie do szyi Faustusa, zerknął do tyłu i zobaczył, jak Celus ogląda się z przerażeniem za siebie i jeszcze przyspiesza, by ostatecznie, z urwanym gwałtownie krzykiem, zniknąć pod lawiną kopyt.

Legioniści trwali jak skała pośród galopujących zwierząt. Ziemia drżała tak silnie, że czuli pulsowanie w swoich ciałach. Ogłuszało ich rzenie i tętent przerażonych wierzchowców, które z oszalałymi oczyma i pianą na pyskach przebiegały nie dalej jak na odległość ramienia od tarcz; tylko jakiś zwierzęcy instynkt utrzymywał je z dala od ostrych grotów włóczni.

W końcu z tej zwierzęcej nawałnicy zaczął wynurzać się szpic klina. Ostatnie konie

przebiegły z obu stron przeszkody i wmieszały się w to ogromne stado, zamykając szczelnie lukę, tak jakby jej tam nigdy nie było.

Niebezpieczeństwo minęło.

Przez dłuższy czas nikt się nie poruszył.

– Do licha, chyba się sfajdałem – wyszeptał w końcu chrapliwym głosem Magnus – nie, żeby robiło to człowiekowi różnicę, kiedy ma na sobie te cuchnące spodnie. Co z Faustusem?

Wespazjan spojrział na przyjaciela, który uśmiechnął się blado.

– Powiedziałem ci, że ci chędożyciele koni mnie nie dopadną – wyszeptał pierwszy centurion. – Mój Pan na mnie czeka – dodał jeszcze i jego oczy się zaszkliły.

Wespazjan zamknął je otwartą zakrwawioną dłonią i wstał.

– Zabierzcie centuriona Faustusa z honorami do obozu – rozkazał legionistom – a po drodze zeskrobcie z ziemi tę kupę gówna – dodał, wskazując zmasakrowane ciało mordercy swojego przyjaciela, które leżało kilkanaście kroków dalej.

Oszołomieni legionieści oddali mu niepewnie honory, po czym wzięli na ramiona swojego pierwszego centuriona. Sabinus dotknął piersi Faustusa, wymamrotał kilka niezrozumiałych słów i powoli odszedł.

Wespazjan patrzył, jak żołnierze oddalają się z ciałem przyjaciela, po czym wzrok jego pobiegł ku murom fortecy. Nie zobaczył na nich Getów. Widział tam natomiast grupki legionistów przechadzających się z nonszalancją typową dla żołnierzy, którzy przetrwali grozę bitwy i nie mają się już czego obawiać. Pojawiła się też jakaś niewysoka, samotna postać i spoglądała ku rzece. Łuna pożaru rozświetlała hełm z długim pióropuszem i karmazynowy płaszcz; wódz podniósł do góry gladius i potrząsnął nim. Wespazjan wiedział, że to Poppeusz, ale nie był pewien, czy ich widzi; było mu to zresztą całkowicie obojętne.

– Ruszajmy – powiedział i ruszył truchtem w stronę rzeki.

Dłuższą chwilę zabrało im odnalezienie miejsca, w którym zostawili łódź z legionistami.

– Warynus! – zawołał cicho Wespazjan.

Spośród trzciny wyłonił się czubek łodzi. Lucjusz i Arruns wiosłowali, a starszy żołnierz sterował. Podpłynęli do brzegu.

– Chyba mamy to, czego panowie szukali – oświadczył z uśmiechem Warynus, kiedy Wespazjan z bratem wsiadali do łodzi.

– Co? – spytał z roztargnieniem Sabinus.

– No więc, obserwowaliśmy basztę i po jakimś czasie zobaczyliśmy w jej oknach ogień – odparł siwowłosy żołnierz. – Potem nagle z jednego okna spuszczone linę i dwóch ludzi zaczęło się po niej opuszczać, potem jednego wciągnięto z powrotem, a drugi skoczył, a potem wyzjechaliście po kolei. Postanowiłem więc zmienić trochę otrzymane rozkazy i razem z Lucjuszem wczłógał się na brzeg; niewiele czasu minęło, a złapaliśmy go, jak wsiadał do małej łódki ukrytej kawałek dalej w dół rzeki.

Wespazjan raptownie odzyskał czujność.

– Zabiliście go? – spytał.

– No cóż, pomyślałem sobie, że skoro włożyliście tyle wysiłku w odnalezienie go, to już wam zostawię tę przyjemność – odparł Warynus, odrzucając płachtę u swoich stóp. Leżący tam ze związanymi rękoma i nogami Roteles patrzył oczyma przepelnionymi nienawiścią.

– To ty! – wykrztusił, kiedy rozpoznał Wespazjana. – Nie powinieneś już żyć. Wysłałem ludzi, żeby spełnili wolę bogów i cię uśmiercili. – Wyszczrzył swoje ostre opiłowane przednie zęby.

Wespazjan walnął go pięścią w twarz.

– To za wszystkich chłopców, których udało ci się zabić. – Ponownie uderzył oszołomionego kapłana. – A to za Decymusa Falensa.

Kiedy szykował się do zadania kolejnego ciosu, poczuł czyjąś rękę na nadgarstku.

– Szkoda byłoby zatłuc go na śmierć, panie – szepnął mu Magnus do ucha – szczególnie po tym wszystkim, co przeszliśmy.

– Masz rację, Magnusie – odparł Wespazjan, spluwając w zakrwawioną twarz nieprzytomnego Rotelesesa. – Ale ja tak nienawidzę tego zasrańca.

Rozdział siódmy

Niewielka łódź płynęła z nurtem, wspomagana lekką zachodnią bryzą; minęła umocnienia oblężnicze i leżący tuż za nimi główny obóz rzymski, kierując się ku jaśniejszej bladej na wschodzie łunie przedświt. Lucjusz i Arruns wiosłowali równo, Warynus przy wiosle sterowym utrzymywał łódź jak najbliżej brzegu, żeby nie zwrócić uwagi okrętów dunajskiej floty, kołyszących się na wodzie, ledwie widocznych w mroku po lewej stronie. Wespazjan i jego towarzysze, zmęczeni, wpatrywali się w przestrzeń.

Wszystkim ciążyła pamięć o Faustusie, Bryzosie i Zilesie.

Kapłan, teraz nie tylko związany, ale i zakneblowany, leżał skulony na dnie łodzi. Doszedł już wcześniej do siebie, ale Magnus ponownie pozbawił go przytomności, kiedy jego szarpanie się i stękanie stało się nie do zniesienia. Wokół niego chlupotała woda.

Po jakimś czasie uwagę wszystkich zwrócił mały żółtawy punkt światła daleko na brzegu.

– To pewnie ludzie Faustusa z naszymi końmi – powiedział Wespazjan, budząc się z drzemki – steruj prosto na nich, Warynusi.

– Tak jest, kapitanie!

Wespazjan przewrócił oczyma, ale i tym razem nie zareagował na niesubordynację; tej nocy Warynus, z własnej inicjatywy modyfikując jego rozkaz, zrobił dla ich sprawy więcej, niż – jako zwyczajny legionista – w ogóle mógł sobie wyobrazić.

Ludzie Faustusa wykazali się rozsądkiem i czekali na nisko schodzącym i nieporośniętym trzciną kawałku brzegu. Łódź podpłynęła do nich łagodnie i stuknęła delikatnie o brzeg. Odezwały się poranne ptasie śpiewy, kiedy tylko pierwsze promienie słońca, wciąż ukrytego za horyzontem, padły na najwyżej położone chmury, podbarwiając je delikatnym szkarłatem i fioletem.

– Trybunie, z rozkazu pierwszego centuriona Faustusa melduje się jego zastępca, Melitus, z waszymi końmi. – Elegancki młody człowiek uniósł ramię w powitanium.

Kiedy Wespazjan i pozostali wysiedli, Melitus zbladł nieco, czując zapach geckich ubrań.

– Dziękuję, centurionie – powiedział Wespazjan, ze znużeniem odpowiadając na powitanie. – Ty i twoi ludzie świetnie się sprawiliście – dodał, skinąwszy głową w stronę dwóch

legionistów stojących na baczność za Melitusem. – Z przykrością was informuję, że Faustus nie żyje, bądźcie zatem ostrożni, kiedy wrócicie do obozu; mogą bowiem mieć miejsce pewne, hm... reperkusje.

– Faustus nie żyje? – wykrzyknął Melitus. – To prawdziwy pech; teraz pierwszym centurionem zostanie Wirydio, a to okropny drań, nie taki zwyczajny drań jak Faustus.

Warynus i jego koledzy wyładowali sprzęt i wynieśli kapłana, podczas gdy wymęczeni uczestnicy wyprawy pozbyli się cuchnącego odzienia i zanurzyli w lodowatej wodzie rzeki, energicznie szorując się nawzajem, by zmyć gecki smród. Nie do końca im się to udało.

W końcu, we własnych ubraniach, odświeżeni zimną kąpielą, posileni przywiezionym przez Melitusa chlebem, kielbasą i serem, i całkiem przyzwoitym winem, przywiązali Rotekesa do konia, prowiant załadowali na te dwa, które przyprowadzono dla Bryzosa i Zilesa, i byli gotowi do drogi.

– Trzymajcie się, chłopcy – zawołał Magnus do Warynusa i jego towarzyszy, którzy wsiedli już z powrotem do łodzi – i do zobaczenia w Rzymie, Lucjuszu. Wybierzemy się razem do stajni Zielonych.

Lucjusz wyszczerzył zęby.

– Najpierw obaj musimy tam dotrzeć – odkrzyknął, trzymając łódź, by ułatwić wsiadanie Melitusowi i jego ludziom. – Ale jeśli Fortuna pozwoli nam wrócić, to na pewno uśmiechnie się też do nas i do Zielonych w cyrku.

Odbili i zawróciwszy łódź, zaczęli wiosłować pod prąd. Mimo że zachodni wiatr przybrał na sile, wkrótce zniknęli im z oczu w panującym jeszcze półmroku.

Wespazjan szturchnął piętami konia i ruszył stępą na wschód, wzdłuż rzeki. Magnus jechał obok niego, prowadząc konia z kapłanem.

– Porządni chłopcy, jak mówiłem, panie – powiedział po dłuższej chwili milczenia.

– To zależy, co się przez to rozumie – odparł Wespazjan – ale owszem, bardzo dobrze przysłużyli się naszej sprawie i gdyby to ode mnie zależało, zrobiłbym Warynusa zastępcą centuriona za inicjatywę, jaką się tej nocy wykazał.

– Byłaby to tylko strata czasu, panie. Dwa razy tego próbował i nie pasowało mu to, jeśli wiesz, co mam na myśli?

– Masz na myśli, że on do tego nie pasował?

– Cóż, taa, pewnie można by tak na to spojrzeć... przynajmniej armia tak na to patrzyła.

– W to nie wątpię – odparł Wespazjan, wybuchając śmiechem pierwszy raz od wieków, jak mu się zdawało. W tej samej chwili słońce wychynęło zza horyzontu, oblewając mu twarz ciepłym światłem. – W każdym razie, miejmy nadzieję, że twój kumpel Lucjusz dotrze do Italii, bo będziecie mieć dużo radości, rozprawiając fachowo w tym rydwańskim, czy jak tam brzmi oficjalna nazwa języka torów wyścigowych.

– Zachciało ci się, panie, kpiniek – nachmurzył się Magnus, marszcząc brwi. – Nie dogadamy się, bo nigdy nie zrozumiesz, że kogoś tak dobrze poinformowanego jak Lucjusz warto ciepło trzymać i wyświadczać mu przysługi. Zadowolaj takiego, a on zawsze udzieli ci wskazówki, jak typować w zakładach. – Obejrzał się za siebie, w górę rzeki, gdzie zniknęła jego przyszła kopalnia informacji, po czym gwałtownie się odwrócił. – Panie, popatrz do tyłu!

Wespazjan obrócił się w siodle i mina mu zrzędła. Niecałą milę od nich osiem dwurzędowców i dwa trójrzędowce floty rzecznej sunęły w ich stronę na wszystkich wiosłach i pod pełnymi żaglami. Sprzyjał im poranny wiatr. Promienie słońca ukazywały w pełnym blasku szlachetne linie ich kadłubów i nadawały bursztynowy połysk białym żaglom, i na pewno stanowiłyby piękny widok, gdyby nie taki groźny. Po wodzie niósł się przenikliwy dźwięk piszczałek tibii, używanych do podawania tempa wiosłarzom.

– Sabinusie, popatrz – zawołał Wespazjan.

Jego brat odwrócił się w siodle.

– Tego tylko brakowało! Poppeusz wysłał za nami całą eskadrę; ten drań nigdy nie daje za wygraną. Trudno, nie będziemy jechali aż do zakola, już teraz skierujemy się w głąb łądu.

– Chyba nie możemy tego zrobić – wtrącił się Sitalkes, wskazując na obłok pyłu przesuwający się jakieś trzy czy cztery mile dalej, na południu.

– Rzymianie? – spytał Wespazjan.

– Nie, oddział legionowej jazdy nie wzniecałby takich tumanów kurzu, bo nie ma w nim więcej jak stu dwudziestu ludzi – odparł Trak. – A pod tą chmurą pyłu jest ich na pewno pięć czy sześć razy więcej. To są ci, którym udało się wyrwać minionej nocy z fortecy... Getowie.

– Nie mogą na nas polować, nie mają pojęcia, że tu jesteśmy – zauważył Magnus.

– Wiedzą czy nie wiedzą, kierują się w tę stronę, przyjacielu – odparł Sitalkes – i marne nasze szanse, jeśli się na nas natkną.

– Musimy się wymknąć, posuwając się wzdłuż rzeki – krzyknął Wespazjan i poderwał wierzchowca do galopu.

Roteles ocknął się na nierównościach terenu i teraz mimo stukotu końskich kopyt słychać było jego zduszone kneblem protesty.

Wkrótce teren zaczął się stawać coraz trudniejszy i konie musiały zwolnić do kłusa; mimo to oddalali się od rzymskiej floty, niestety ob łok kurzu wciąż był coraz bliżej. Pokonali wzgórze i zobaczyli przed sobą odległą o dwie mile ogromną twierdzę Lizymachid w Aksjopolis.

– Tam właśnie rzeka skręca na północ – zawołał Wespazjan do Sabinusa, kiedy pędem zjeżdżali ze stoku. – Wolałbym nie brać kapłana do fortecy... Poppeusz nie wie, czy go pojмалиśmy, ale w garnizonie ma na pewno swoich agentów, a ci szybko go powiadomią. Co powinniśmy zrobić?

– Ominąć fortecę i jechać wprost przed siebie – odrzyknął Sabinus – bo w ten sposób zgubimy flotę i będziemy mieć tylko Getów na karku.

– O, to już będzie drobiazg – mruknął Magnus.

Głuche łupnięcie, a chwilę potem rzenie stojącego dęba Rotekesowego konia zatrzymało wszystkich w miejscu. Kapłanowi udało się jakoś rozsypać powróż, który przeciągnięty pod końskim brzuchem, wiązał mu nadgarstki z kostkami nóg, i teraz mimo wciąż skrępowanych stóp, podskakując, oddalał się w przeciwnym kierunku.

– A to sukinyń! – wykrzyknął Magnus, zeskakując z wierzchowca. Podbiegł do Rotekesa, rzucił się na niego, obalił na ziemię i poczęstował potężnym prawym hakiem. Kapłan zwiotczał, krew wypłynęła mu spod knebla, a na lewym policzku pojawił się kolejny siniec.

Sitalkes podbiegł, żeby pomóc Magnusowi wsadzić ponownie nieprzytomnego jeńca na koński grzbiet, czemu zwierzę się zdecydowanie przeciwstawiało. Wierzchowiec tańczył niespokojnie, parskał i potrząsał łbem. Z trudem mocowali powróż pod brzuchem zwierzęcia.

– Pospieszcie się! – pogał ich Sabinus. – Okręty są coraz bliżej.

Słyszeli, jak piszczałki nadają wioślarzom coraz szybsze tempo. Żeby osiągnąć uciekinierów, nim rzeka zakręci, oddalając się od nich, wszystkie dziesięć okrętów nabrało szybkości koniecznej do taranowania, którą mogły utrzymać tylko przez kilkaset uderzeń wiosł, bo to całkowicie wyczerpywało siły wioślarzy. Dzieliła ich już niecała mila. Wespazjan widział, jak obsługa przygotowuje balisty, w których zasięgu mieli się za chwilę znaleźć.

Od południa nadciągała horda Getów, a wznoszony przez nich obłok kurzu przesuwiał się niczym ciemna plama.

– Gotowe – zawołał Magnus, kiedy wreszcie razem z Sitalkesem zaciągnęli ostatni węzeł

i pobiegli do swoich wierzchowców.

Dwie fontanny wody wystrzeliły z rzeki w powietrze, zaledwie pięć kroków od brzegu, opryskując wszystkich.

– A niech to, jesteśmy w ich zasięgu! – wrzasnął Sabinus, ruszając naprzód. Kolejny kamień przeleciał ze świstem nad ich głowami. Magnus podniósł wzrok i rzucił się na Sitalkesa, przewracając ogromnego Traka; pocisk spadł w miejscu, w którym tamten przed chwilą stał, i odbił się od ziemi, o mało co nie trafiając w prowadzonego przez Artebuza konia z prowiantem.

– Zapomniałem, jak łatwo się przewracasz, przyjacielu – zażartował Magnus, wstając.

– Myślisz pewnie, że teraz jesteśmy kwita, Rzymianie – Trak wyszczerzył zęby – ja jednak rzekłbym, że teraz muszę ci odpłacić za dwa upadki.

Popędzili do swoich wierzchowców, a pozostali już zaczęli się oddalać. Kiedy Magnus przerzucił nogę nad końskim grzbietem, zwierzę zarżało boleśnie i ugięło się pod nim. Jego tylne nogi zamieniły się w miazgę z poszarpanego ciała i potrzaskanych kości. Zobaczyli, jak po ziemi toczy się zakrwawiony kamień wielkości męskiej pięści.

– Bierz tego – zawołał Artebuz, podając Magnusowi linkę, na której prowadził konia z prowiantem. Z rzeki wytrysnęła kolejna fontanna wody. Magnusa nie trzeba było zachęcać; pociągając za sobą konia kapłana, podbiegł do nowego wierzchowca, wskoczył mu na grzbiet i popędził za towarzyszami, zostawiwszy za sobą wierzgającego i ryczącego bezsilnie rannego konia.

Wespazjan zerknął przez ramię, by się upewnić, że przyjaciel podąża za nimi. Kiedy Magnus ich dogonił, kolejne dwa pociski spadły na brzeg, wyrwijąc kępy trawy i wyrzucając w powietrze ziemię. Rozpylona woda z rzeki po całej serii uderzeń tuż koło brzegu wypełniła powietrze mgiełką, zwilżając im włosy i ubrania i tworząc przed nimi łuki tęczy, kiedy pognali cwałem.

Pociski zaczęły trafiać coraz dalej od nich, kiedy wioślarze – ludzie wolni, a nie niewolnicy, których można zachłostać na śmierć – zwolnili tempo, niezdolni już do utrzymania największej szybkości bez groźby szepiania wiosł. Wespazjan zwolnił do kłusa i z taką szybkością pokonali kolejną milę. Rzeka zaczęła skręcać na północ, wobec czego opuścili jej brzeg, by objechać Aksjopolis od południa. Po prawej stronie wciąż widzieli Getów, w odległości nieco ponad mili.

– Zmienili kierunek! – zawołał nagle Sitalkes, przekrzykując tętent kopyt.

– Co? – krzyknął Wespazjan.

– Getowie, zmienili kierunek, skręcili w lewo. Wygląda na to, że zacierają w stronę rzeki i ominą nas z tyłu.

– To pierwsza dobra wiadomość, jaką dziś usłyszałem – oznajmił Magnus, próbując wyciągnąć spod poobijanego zadka wyjątkowo pękłą torbę z soloną wieprzowiną.

Kiedy zrównali się z zakrętem Dunaju, Wespazjan spojrzął na północ, w górę rzeki, i natychmiast zrozumiał, dlaczego Getowie zmienili kierunek jazdy. Dunaj, szeroki w tym miejscu na pięćset kroków, poznaczony był dziesiątkami kolorowych żagli. Najwyraźniej gecka flota opuściła bezpieczne porty na północy Scytii Mniejszej, dotąd niepodbitej przez rzymskie legiony, i pożeglowała na południe, by spróbować ratować obleganych wojowników.

– A niech to! Nasi chłopcy z floty ich nie widzą, bo są przed zakrętem – wykrzyknął Wespazjan, kiedy zwolnili, by popatrzeć na ten wspaniały widok.

– Co to znaczy „nasi chłopcy”? – burknął Magnus. – Dranie dopiero co do nas strzelali.

– I tak gównie możemy w tej sprawie zrobić – powiedział Sabinus. – Jeśli spróbujemy ich ostrzec, to znowu zaczną do nas strzelać, niech więc sobie pęta z floty wojennej sami z tym radzą.

Sabinus, jak i większość Rzymian, którzy służyli w legionach, pogardzali flotą wojenną, którą uważali za ubogiego krewnego armii.

– Pewnie masz rację – powiedział Wespazjan. – Wynośmy się stąd, póki możemy.

Okrążyli Aksjopolis od południa, kierując się na południowy wschód, i zaczęli pokonywać pasmo wzgórz, to, które zmusiło Dunaj do zmiany kierunku ze wschodniego na północny. Na szczycie zatrzymali się i obejrzeni za siebie, oglądając z góry rozgrywające się poniżej wydarzenia.

Geccy wojownicy dotarli na brzeg rzeki i zaatakowali zaskoczoną rzymską flotę. Strzały z ich łuków, jak szybko płynące chmury, zasłaniały całe połączenie rzeki i spadały na pokłady okrętów, powalając ludzi obsługujących maszyny i żeglarzy, masakrując nieosłoniętych wiosłarzy birem. Mimo strat Rzymianie odpowiedzieli na atak, wciąż nieświadomi obecności geckiej floty pół mili dalej, za zakrętem rzeki. Wespazjan widział, jak dziesiątki jeźdźców padają pod pociskami z balist; wciąż jednak obsypywali mrowiem strzał trzy najbliższe okręty, które w końcu, z powodu znacznych strat wśród wiosłarzy, utraciły zdolność manewrowania. Wzmagający się wiatr niósł coraz wyżej krzyki i wrzaski. Dwie triremy i pięć pozostałych birem

obróciły się dziobami do geckiej jazdy na brzegu. Nie przerywając strzelania z balist, załogi pospieszyły na ratunek unieruchomionym okrętom, ustawiając się burtami do trirem, które płynęły na czele wyłaniającej się zza zakrętu geckiej floty. Znalazłszy się na wprost Rzymian, zaczęły przyspieszać, by uzyskać szybkość potrzebną do ataku, a gwizdy nadające im tempo aż świdrowały w uszach. Kiedy mijaly mury Aksjopolis, balisty twierdzy wyrzuciły pociski; pieniste fontanny znaczyły wodę wokół floty, ale Getowie nieugięcie parli na Rzymian, którzy zaskoczeni podczas wykonywania manewrów, nie byli już w stanie ustawić się przodem do nieprzyjaciół.

Gwizdy przyspieszyły, zlewając się niemal w jeden ciągły dźwięk, nadający okrętom szybkość taranowania, i znajdujące się z przodu geckie statki sunęły wprost na rzymską flotę. Dwa z nich uderzyły z przodu i z tyłu w burtę trójrzędowca, podczas gdy inny, wciągnąwszy wiosła z lewej burty, otarł się o bok dwurzędowca, łamiąc jak patyczki jego wiosła i wyrzucając wiosłarzy z miejsc, druzgocąc im kręgosłupy i roztrzaskując czaszki. Dźwięki piszczałek zagłuszył przeraźliwy chrzęst pękającego drewna, kiedy oba geckie statki zaczęły się odrywać od uszkodzonego rzymskiego okrętu. Druga fala geckiej floty uderzyła w rzymskie okręty i Wespazjan zawrócił konia.

– Chyba już dość zobaczyłem, by wiedzieć, że nie chciałbym brać udziału w bitwie morskiej – oświadczył, kręcąc głową.

– Sporo porządnych chłopaków przeprawi się dzisiaj przez Styks – mruknął Magnus, ruszając za trybunem i pociągając za sobą konia z kapłanem – a wszystko dlatego, że Poppeusz chce uciszyć jednego człowieka.

– Albo odwrotnie, dlatego, że my chcemy koniecznie zachować go przy życiu – zauważył Sabinus. – Jednak nie przejmowałbym się tym specjalnie, bo to od Mitry zależy, jak długo żyjemy, i my sami głównie możemy z tym zrobić.

Nie chcąc się wdawać w teologiczną dyskusję z bratem, Wespazjan popędził konia i zaczął się opuszczać ze wzgórza na równinę, która rozciągała się aż do portowego miasta Tomi nad Morzem Czarnym.

Wespazjan i jego towarzysze zdążyli przemarznąć do szpiku kości, zanim dwie godziny po zmierzchu dotarli do bram miasta. W tym czasie rozszalała się wichura, rozpędzając chmury, i pod czystym, gwiazdzistym niebem gwałtownie spadła temperatura. Widok człowieka w stroju

wojskowego trybuna wystarczył, by gburowaci strażnicy otworzyli bramę, mimo że oficjalna pora ich zamknięcia dawno minęła. Szeroka ulica, oblewana teraz słabą księżycową poświatą, prowadziła wprost do portu, stanowiącego główny powód istnienia tego miasta. Budynki po obu stronach były liche i zapuszczone, zresztą całe miasto wyglądało na zaniedbane; lepsze czasy miało najwyraźniej za sobą.

– Co za nędzne zadupie – wyraził swoją opinię Magnus, patrząc na kilku obdartych żebraków, zerkających ku nim z ponurej ciemnej bocznej uliczki.

– Właśnie dlatego jest odpowiednim miejscem dla skazanych na wygnanie – zauważył Sabinus. – Poeta Publiusz Owidiusz Nazo przeżył tu swoje ostatnie lata, biedaczysko.

– Kiedyś był to wspaniały port Odrysów – oświadczył smętnie Sitalkes – dopóki wy, Rzymianie, nie podbiliście północnej części Tracji i nie zrobiliście z niej prowincji Mezji. To wtedy rozpoczął się jego upadek, bo wam port tutaj nie jest potrzebny, a my korzystamy teraz z portów tej części królestwa, która nam jeszcze pozostała.

– W takim razie z czego utrzymują się tutejsi mieszkańcy? – spytał Artebuz.

– Wciąż trochę handlują z Królestwem Bosporańskim na północy i z Kolchidą na wschodzie, i to mniej więcej wszystko; pozostaje im głównie rybołówstwo i piractwo. Do tego ostatniego nigdy by się oczywiście nie przyznali.

– Myślałem, że Pompejusz Wielki oczyścił morza z piratów – zauważył Wespazjan.

– Ale nie Morze Czarne – powiedział Drenis, spluwając na ziemię. – Zależało mu jedynie na ochronie waszych bezcennych szlaków handlowych i zbożowych. Wielu piratów przeniosło się po prostu na Morze Czarne.

– Wciąż jest ich trochę na Egejskim – dodał Sabinus – bo można się świetnie ukryć między tamtymi wysepkami. Kiedy opływaliśmy południowy kraniec Achai, gonili nas piraci; gdyby nie nasi świetni łucznicy, dopadliby nas, ale stracili ochotę do walki, kiedy zabiliśmy ich ze dwunastu, włącznie z kapitanem, groźnie wyglądającym brutalem o rudej brodzie, mógł być jednym z twoich współplemieńców, Sitalkesie. Jednak nie wszyscy piraci są źli; piraci cylicyjscy wprowadzili naszego Pana, Mitrę, do cesarstwa mniej więcej w czasie buntu Spartakusa.

– Kto by pomyślał... mitraiccy piraci – roześmiał się Wespazjan. – Oni pewnie się w ogóle nie przejmują sztormami.

– Nie śmieć się, braciszku – skarcił go poważnym głosem Sabinus. – Mitra wszystkich ludzi jednako oświeca swoim światłem, dobrych i złych, tych, co w niego wierzą, i tych, co nie

wierzą, nie ocenia ich, umarł bowiem, by nas odkupić, i odrodził się, by nam pokazać, że śmierć można zwyciężyć.

– Faustus jej raczej nie zwyciężył – zauważył trzeźwo Magnus.

Sabinus spiorunował go wzrokiem.

– Śmierć dotyczy nie tylko ciała – powiedział.

Wespazjan miał ochotę rzucić żartobliwą uwagę, ale ugryzł się w język, kiedy zobaczył, jak głęboko jego brat jest przekonany o prawdziwości swoich słów.

– To mi wygląda na nasz statek – powiedział Sitalkes, rozładowując napięcie.

Królewski sztandar Tracji powiewał na maszcie ogromnej, pękatej kwinkweremy, przycumowanej do nabrzeża i kołyszącej się na całkiem dużej fali.

Wszyscy poczuli ulgę, że nie muszą ciągnąć dalej tej teologicznej dysputy, i ruszyli wyludnionym nabrzeżem w kierunku strzeżonego trapu pięciorzędowca.

– Sitalkes, ty drabie – zawołał dowódca straży, kiedy się zbliżyli – nie spodziewaliśmy się, że przybędziecie na czas... nie żebyśmy się gdzieś wybierali przy tej pogodzie.

– Sądziłbym, że o tym decyduje kapitan, Gaidresie – odparł Sitalkes, zsiadając z konia i klepiąc mężczyznę po ramieniu. – Odkąd to piechur zna się na żegludze?

– Nie jestem już piechurem, tylko żeglarzem, i to uprawnionym do wydawania opinii w sprawach żeglarskich; opieram je na ilości modłów, jakim oddaje się stary, a modli się coraz gorliwiej, odkąd wiatr przybrał na sile – odpowiedział Gaidres, szczerząc zęby. – Wejdźcie na pokład i sami tego posłuchajcie. Uwiążcie konie, każę je komuś nakarmić, a rano je oporzędzimy.

– Pogoda się pogorszy – orzekł kapitan Raskos, zadzierając głowę. Nocne niebo zaczęło się pokrywać szybko sunącymi chmurami. – Ten wiatr ostrzega nas przed gniewnym Zbelturdosem. Przybywa, by ciskać w nas piorunami, i wkrótce usłyszymy grzmot kopyt jego ogromnego konia i wycie jego wiernego psa.

– Chodzi ci o to, że będzie sztorm? – spytał cierpkim tonem Wespazjan. Nie miał ochoty wysłuchiwać kolejnych opowieści o bogach.

– Tak, kiedy Zbelturdos się gniewa, na ogół potem przychodzi sztorm – przyznał Raskos, gładząc się po wełnistej siwej brodzie. Ponieważ zaczynała się ona od razu pod krótko przyciętymi siwymi włosami, Wespazjan miał dziwne wrażenie, że głowa starego trierarchy tkwi w odwrotnej pozycji. – Musimy go udobruchać, przygotuję ofiarę; jeden z waszych koni

powinien wystarczyć.

– Nie oddam naszych koni na ofiarę twoim bogom – oświadczył kategorycznym tonem Sabinus. – One...

– One są własnością armii – wtrącił szybko Wespazjan, zanim jego brat miał okazję obrazić kogokolwiek, wynosząc Mitrę ponad trackich bogów.

– Mój jest własnością królowej – powiedział Sitalkes. – Jestem przekonany, że nie miałyby nic przeciwko złożeniu go w ofierze.

Wespazjan nie był tego taki pewny, ale dobrze wiedział, do czego prowadzi obraza trackich bogów, i zatrzymał wątpliwości dla siebie.

Raskos wyglądał na zadowolonego.

– Świetnie, więc to już załatwione. Rozumiem, że macie więźnia – dodał, zerkając na leżącego Rotekesa, który ciskał się, próbując się wyrwać Magnusowi i Artebuzowi. – Królowa prosiła, żebym przeznaczył dla niego specjalną celę; znajdziecie ją na pokładzie wiosłowym. Gaidres was tam sprowadzi, bo on i dziesięciu jego ludzi zostali wyznaczeni do pilnowania więźnia.

– Drenis i ja, ee... wybierzemy konia – powiedział Sitalkes.

Wespazjan skinął głową, Sabinus prychnął.

Szli za Gaidresem wzdłuż ogromnego statku. Magnus i Artebuz wlekli związanego kapłana. Pokład skrzypiał i kołysał się pod ich stopami, a wiatr gwizdał pomiędzy wibrującymi sztagami. Zanim dotarli do luku na dziobie statku, obaj bracia zaczęli odczuwać już mdłości. Kiedy schodzili po drabinie na pokład wiosłowy, poczuli smród ekskrementów.

– Wygląda na to, że znowu jesteśmy w gównie, panie – zauważył Magnus ze szczytu drabiny, kiedy im opuszczał w dół wciąż opierającego się Rotekesa.

Gdy Wespazjan przyzwyczał się do słabego światła, jakie dawało kilka małych lampek oliwnych, osłupiał na widok dziesiątków ludzi śpiących przy wiosłach, do których byli przykuci. Trakowie, w przeciwieństwie do Rzymian, wykorzystywali niewolników jako wiosłarzy.

– W jaki sposób utrzymujecie dyscyplinę? – zapytał Gaidresa.

Trak wzruszył ramionami.

– Wszyscy mają przykute ręce i nogi, więc nigdzie nie pójną, poza tym wiedzą, że jeśli sprawią kłopot, to po prostu wylądują za burtą, a zastąpi ich jeden z tych zapasowych, których trzymamy w zębie.

– No tak, ale jeśli niewolnik nie ma po co żyć, to nie ma też nic do stracenia. Dlatego my korzystamy z ludzi wolnych, można im zaufać, że będą równo wiosłować i nie będą próbowali uszkodzić statku, bo jeśli przeżyją, to po dwudziestu sześciu latach służby otrzymują obywatelstwo.

– Słuchaj, mnie nie pytaj, ja jestem żeglarzem, nie interesuje mnie, jak i dlaczego coś się dzieje. I nie lituj się nad tymi draniami, wielu z nich to schwytni piraci, którzy czują teraz smak tego, czym przedtem częstowali innych.

– Nie lituję się – mruknął Wespazjan, rozglądając się wokół z niedowierzaniem – po prostu martwię się o własne bezpieczeństwo na statku napędzanym wiosłami niewolników, którym jest obojętne, czy będą żyć, czy umrzeć.

– I nie dziwota, że nigdy nie staliście się potęgą morską – zauważył Sabinus – byliście zbyt zajęci pilnowaniem niewolników na dole, by móc się skoncentrować na wygranu bitwy.

– Cóż, tak to zawsze wyglądało i nie mam zamiaru zadawać pytań. Chodźcie, ta cela jest tam. – Gaidres otworzył niskie drzwiczki, pochylił się i wsunął do środka.

Wespazjan i Sabinus poszli jego śladem i znaleźli się w przesiakniętej zapachem wilgoci kabinie. Przy bladym świetle księżycy, wpadającym przez kratę w pokładzie powyżej, Wespazjan zobaczył żelazną klatkę, wysoką, szeroką i głęboką na pięć stóp.

– Dawaj go tu, Magnusie; Artebuz, przynieś lampkę – polecił, kiedy Gaidres zaczął gmerać kluczem przy zamku.

Przy marnym świetle lampki Trakowi udało się wreszcie otworzyć klatkę. W środku zobaczyli żelazne obręcze na ręce i nogi, przymocowane do klatki ciężkimi łańcuchami.

– Wyjmę mu knebel. Uważajcie na jego zęby, są paskudnie ostre – Wespazjan ostrzegł Magnusa i Artebuza, którzy trzymali kapłana.

Kiedy to zrobił, w jego twarz trysnęła ślina. Wymierzył Rotelesowi cios w brzuch i głowa kapłana zwisała; Magnus i Artebuz trzymali go mocno, nie pozwalając zgiąć się w pół.

– Słuchaj, śmieciu – warknął Wespazjan – możemy zrobić to bezboleśnie, jeśli nie będziesz się szarpał, jak cię będziemy przykuwali, bo inaczej ockniesz się z kolejnym guzem na łbie.

Z trudem łapiąc powietrze, Roteles uniósł głowę, a jego oczy płonęły nienawiścią; wykrzywił szczerzą twarz, obnażając opilowane, poźółkłe przednie zęby. Usta miał krzywo zrośnięte, po tym jak cztery lata wcześniej rozchłastał mu je Azyniusz.

– Nieważne, jak to zrobimy, Rzymianinie – wyszczał jadowicie – bo to i tak nic nie da; żaden z nas nie dotrze do Rzymu; wy, bo zginiecie wszyscy podczas podróży, a ja, bo moi bogowie przeniosą mnie żywego z powrotem do Tracji, zanim postawię stopę w tym waszym przeklętym mieście. To przepowiadam z woli Zbelturdosa, którego gniew wzbudziliście, porywając mnie. Rzucam klątwę na was w jego imieniu; ten statek nigdy nie dotrze do Rzymu.

Przeraźliwe rzenie przeszło powietrze, potem raptownie ucichło i niemal natychmiast usłyszeli, jak ciężkie ciało pada na pokład.

Na rozwścieczonej twarzy Rotekesa pojawił się krzywy uśmiezek.

– Zbelturdos usłyszał klątwę – powiedział. – Ale trzeba czegoś więcej niż ofiary z konia, by odkupić obelgę wobec moich bogów; niezbędna jest rzymska krew.

Wespazjan grzmotnął kapłana pięścią w twarz, rozplaszczając mu nos. Nieprzytomny więzień oklapł pomiędzy Magnusem i Artebuzem.

– A jednak bolesny sposób – mruknął Wespazjan i minąwszy Sabinusa, opuścił kabinę.

CZEŚĆ III

MORZE EGEJSKIE

CZERWIEC, 30 R.



Rozdział ósmy

Było bardzo, wręcz niezdnośnie gorąco. Nie pojawił się nawet najłżejszy powiew wiatru, który mógł przynieść choć odrobinę ochłody, kiedy kwinkwerema sunęła wzdłuż wschodniego wybrzeża Eubei. Słońce stało w zenicie i żar lał się z nieba, tak rozprężając drewniany pokład okrętu, że bosonodzy majtkowie nie mogli po nim stąpać i musieli pozostać pod wielkim płóciennym dachem, który rozwinięto na rufie. I tak nie mieli wiele do roboty, gdyż brak wiatru uniemożliwiał postawienie żagli. Nie zawiąło ani razu, odkąd wypłynęli z portu w Tomi.

Od dwunastu dni to niewolnicy pchali statek do przodu, jednym za drugim uderzeniem wiosł, w rytm uderzeń bębna. Trakowie nie używali do tego celu tibii tak jak Rzymianie. Dziesięć godzin dziennie niewolnicy tkwili na pokładzie wiosłowym, gdzie było gorąco jak w piecu. Jedynym ich odpoczynkiem były dwie godziny spędzane w ciemnej, nieoświetlonej żęzie, zanim ponownie pognano ich do wiosł. Ich nieszczęsna egzystencja służyła tylko jednemu celowi. Zamknięci w drewnianym więzieniu, przykuci do wiosł nadających jedyny sens ich życiu, załatwiali się do przynieszonego im kubła. Wegetowali na granicy życia, kompletnie otępiali, i jedynym wyrazistym odczuciem było smagnięcie biczem przez grzbiet, jeśli akurat uznano, że nie dość się przykładają.

Smród tego koszmarnego miejsca unosił się w górę, docierając do Wespazjana i jego towarzyszy. Upał doskwierał im, odkąd tylko sztormowa pogoda, która trzymała ich w Tomi niemal dwadzieścia dni, skończyła się z dnia na dzień, po tym jak Raskos złożył w ofierze wierzchowce Drenisa i Artebuza. Następnego ranka nie było śladu po chmurach, a słońce zaczęło palić z każdą przebytą na południe milą coraz mocniej.

Podróż była przygnębiająco nudna; od świtu, kiedy wypływali, do momentu rzucenia kotwicy na noc, przez dziesięć godzin nie mieli nic do roboty poza oglądaniem przesuwającego się brzegu i wymianą zdawkowych uwag. Pewnym urozmaiceniem były wieczorne wyprawy myśliwskie na obfitujące w zwierzynę łowną wzgórza, wyrastające ponad zatoczkami i przesmykami, gdzie statek zawijał na noc.

Największym problemem stało się zdobycie świeżej wody. Choć Raskos dobrze znał to wybrzeże i zawsze udawało mu się zarzucić na noc kotwicę w pobliżu jakiegoś strumienia, na

statku nie było dość beczek, by zapewnić wiosłarzom niezbędną ilość wody, by znieśli stały wysiłek w tej spiekocie. Pomimo częstych postojów w ciągu dnia, by uzupełnić zapasy, nigdy nie było jej dosyć i niewolnicy zaczynali słabnąć. Codziennie przez ostatnie kilka dni kilku martwych albo za słabych, by wiosłować, wyrzucano za burtę.

– I kolejny nieszczęśnik wylatuje – odezwał się Magnus, kiedy pokryte skorupą obrzydliwego brudu ciało wyrzucano do morza; słabiutki krzyk świadczył o tym, że wiosłarz jeszcze żył.

– Jak tak dalej pójdzie, to nie wystarczy ich, żeby dotrzeć do Italii – zauważył Wespazjan, oceniając, że im więcej niewolników umrze, tym bardziej będą musieli się wyteżać pozostali i tym szybciej będą umierać. – Potrzeba nam wiatru.

– Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek było tak spokojnie przez tyle dni – jęknął Raskos ze swojego stanowiska obok wiosł sterowych. – Każdego wieczoru składałam ofiarę bogini-matce Bendis, ale nie wysłuchuje moich modłów, choć zawsze traktowała mnie życzliwie. Zaczynam się obawiać, że ciąży na nas klątwa.

Magnus uniósł brwi i popatrzył na Wespazjana, który zachował nieprzenikniony wyraz twarzy. Żaden z nich nikomu nie wspomniał o klątwie Rotekesa. Wszyscy uznali to jedynie za teatralny gest zdesperowanego człowieka zapędzonego w kozi róg i nie zawracali sobie tym głowy. Tymczasem kaprysy pogody obudziły przesadną część ich umysłów, a niepokoju nie złagodziło nieustanne mamrotanie kapłana w jakimś dziwnym języku, którego ani Sitalkes, ani Drenis nie rozumieli. Kiedy poprzedniego wieczoru rozmawiali o tym, jedynie Sabinus dostrzegł pozytywną stronę klątwy rzekomo rzuconej na nich: cisza morska pozwoliła mu utrzymać zawartość żołądka.

Znów zapadli w odrętwienie, do którego już przywykli; z umysłami przytępienymi monotonnym biciem bębna patrzyli niewidzącym wzrokiem na góry Eubei, kiedy statek opływał krzywiznę wyspy, kierując się na wschód, ku przylądkowi Kafareus.

Krzyk wyłaniającego się z luku na dziobie nadzorcy niewolników przywołał ich do rzeczywistości.

– Kapitanie, popatrz na tego – zawołał mężczyzna, ciągnąc bezwładne ciało. Włókł je przez cały pokład.

Twarz niewolnika była prawie niewidoczna pod długimi zlepionymi włosami i brodą, ale na torsie widać było ciemnoczerwoną wysypkę.

– O bogowie – wykrzyknął Raskos – gorączka niewolników. Ilu z nich tam na dole ma objawy?

– Trzech, kapitanie, ale jeszcze mogą wiosłować.

– Od razu ich wyrzucić za burtę.

Nadzorca pobiegł z powrotem do luku, a dwóch marynarzy wyrzuciło chorego niewolnika za burtę. Kilka chwil później rozległy się okrzyki i trzech oblepionych brudem, opierających się niewolników wydobyto przez luk i zaciągnięto na dziób. Ponieważ wciąż żyli, kopiąc i wrzeszcząc, przymocowano każdemu do nóg kawał ciężkiego łańcucha i wyrzucono za burtę, gdzie zniknęli natychmiast w pieniającej się pod kadłubem wodzie.

– To ostateczny dowód – oznajmił Raskos – że ciąży na nas klątwa i nie mam wątpliwości, że to z powodu tego kapłana. Obraziliśmy bogów, zabierając go na pokład.

Wespazjan przysunął się do Magnusa i Sabinusa.

– Myślę, że powinniśmy mu powiedzieć – szepnął.

– Niby po co? – spytał Sabinus. – Chyba nie wierzysz w te brednie?

Nim Wespazjan zdążył odpowiedzieć, rozległ się stukot wiosel i statek skręcił ostro w prawo, przewracając ludzi przy wiosłach sterowych.

– Na nogi, sternicy, wracać na kurs – rzucił Raskos, pomagając im wstać.

Poniżej, na pokładzie wiosłowym, wybuchły krzyki, po czym rozległ się świst batów i grzechot łańcuchów.

Znowu pojawił się nadzorca.

– Kapitanie, poszczepiali wiosła i przestali pracować – wysapał.

– To batożcie ich, aż zaczną! – krzyknął kapitan, głosem przechodzącym w pisk.

– Batożymy, ale bez skutku.

– To wyrzucicie paru za burtę jako nauczkę dla reszty.

– W tym właśnie rzecz, kapitanie, oni mówią, że teraz, kiedy wybuchła zaraza, i tak wszyscy wylądują za burtą, więc po co mają wiosłować?

– Na miłość Bendis, nie mogą robić sobie z nas zakładników – ryknął Raskos – weźcie trzech prowadyrów, wsadźcie jednego do zęzy, pozostałym dwóm wylupcie oczy w obecności wszystkich. Szybko się przekonają, że nie muszą widzieć, by wiosłować.

– Tak jest, kapitanie, to dobry pomysł – ucieszył się nadzorca.

– I powiedz im, że żaden z tą zarazą nie zostanie wyrzucony za burtę, chyba że już będzie

trupem – zawołał za nim Raskos.

– Czy to rozsądne? – spytał Sabinus. – Czy się nie pozarządzają, aż w końcu nie będzie miał kto wiosłować?

– W ciągu dwóch dni nie – rzucił ostrym głosem kapitan – a tyle potrzebujemy, by dopłynąć do wyroczni Amfiaraosa w Oropos, na wybrzeżu attyckim.

– A co to takiego? – spytał Wespazjan.

– To sanktuarium słynące z uzdrowień i proroctw – odpowiedział

Raskos uroczystym głosem. – Byłem tam wcześniej, żeby się dowiedzieć o rezultat podróży. Jestem pewien, że uzyskam radę, jak przeciwdziałać kłątwie i jak powstrzymać tę zarazę.

Seria głośnych wrzasków spod pokładu przerwała rozmowę. Odezwał się bęben i statek ruszył.

– Kto to taki ten Amfiaraos? – spytał kapitana Magnus, kiedy szli stromą ścieżką prowadzącą od brzegu lśniącej zatoczki. – Nie słyszałem o takim bogu.

– Jest półbogiem, jednym z herosów – wyjaśnił Raskos, zdejmując słomiany kapelusz z oklapniętym rondem i ocierając świeżo ogoloną głowę. – Sprawował rządy w Argos i był ulubieńcem boga Greków, Zeusa, o którym niektórzy powiadają, że jest naszym Zbelturdosem. Otrzymał od Zeusa moc proroczą. Nakłoniono go do wzięcia udziału w wyprawie przeciwko Tebom, prowadzonej przez Polinejkesa, jednego z synów Edypa, w celu wyrwania tego królestwa z rąk jego brata Eteoklesa, który nie dotrzymał danego słowa i nie chciał dzielić z nim korony po samobójczej śmierci ich ojca. Amfiaraos ruszył na wyprawę, mimo że przewidział własną śmierć. Kiedy Periklymenos, syn Posejdona, chciał go zabić, Zeus cisnął grom i ziemia się rozstąpiła, pochłaniając Amfiaraosa z jego rydwanem. W ten sposób Zeus zapewnił mu nieśmiertelność, aby zachował moc, jaką go wcześniej obdarzył.

– W jaki sposób przepowiadanie przyszłości może usunąć tę kłątwę? – spytał Wespazjan.

– Więc zgadzasz się, że ciąży na nas kłątwa? – odparł Raskos pytaniem.

Wespazjan zerknął na brata. Sabinus wzruszył ramionami.

– Chyba nie zaszkodzi mu teraz powiedzieć, skoro i tak wierzy w te wszystkie bzdury.

– Powiedzieć co? – zainteresował się kapitan.

– Roteles rzeczywiście rzucił na czas kłątwę, kiedy sprowadziliśmy go na pokład –

przyznał Wespazjan.

– Dlaczego, na bogów, mi tego nie powiedzieliście! – wykrzyknął oburzony Raskos. – Jeszcze w Tomi mogłem sprowadzić kapłana, który by jej przeciwdziałał.

– Dlatego, że to brednie – odparł stanowczo Sabinus.

– Brednie! Nie zauważyłeś tych wszystkich nieszczęść, które nas dotknęły? Masz najlepszy dowód, że to nie są żadne brednie.

– Nie tylko nas one dotykają – zauważył Wespazjan – każdy statek na Morzu Czarnym ucierpiał od tamtych sztormów i każdy na Morzu Egejskim dotknęła ta cisza. Dlaczego zakładasz, że ta pogoda jest skierowana wyłącznie przeciwko nam?

– Bo to my przewozimy tego kapłana... cieszy się uznaniem bogów i może liczyć na ich pomoc.

– Cóż, ja też mam pewne względy u mojego boga, Mitry, i jak dotąd jego wpływ jest najpotężniejszy – oświadczył Sabinus. – Nim wypłynęliśmy z portu, modliłem się do niego i mnie wysłuchał; utrzymał spokojne morze i ani razu nie chorowałem.

– Cóż, wierz sobie, w co chcesz – prychnął lekceważąco Raskos – ale jeśli słyszałeś, jak ten kapłan rzuca klątwę, to zapewniam cię, że ona nad nami wisi, a ja zamierzam z tym skończyć.

– Cóż, to chyba nie może zaszkodzić, prawda? – powiedział zdezorientowany tym sporem Magnus. – To znaczy, jeśli jest klątwa, to się jej pozbędziemy, a jeśli jej nie ma, to będziemy musieli się trochę więcej pomodlić czy coś w tym sensie.

– Jeśli zaczniesz się modlić o wiatr, a ja będę cierpiał na morską chorobę przez całą drogę do Ostii, osobiście dopilnuję, żeby dotknęła cię klątwa wszystkich ważnych dla ciebie bogów – ostrzegł go Sabinus, kiedy ścieżka poprowadziła ich do pachnącego żywicą cedrowego lasu.

Kiedy w przyjemnym cieniu drzew przebyli jakieś dwie mile pod górę, las raptownie się skończył i znaleźli się w wąwozie pomiędzy dwoma wzgórzami o stromych zboczach. Przed sobą, na zachodniej stronie, zobaczyli sanktuarium Amfiaraosa. Był to długi, wąski zespół budowli, powyżej którego wycięto w stoku teatr. Atmosfera tego miej sca była dziwnie senna; te kilka osób, które Wespazjan zauważył, albo poruszało się jak muchy w smole, albo leżało w cieniu krytej kolumnady przed świątynią. Jedyne dźwiękami było nieustające trzeszczenie cykad i żalosne beczenie kilkunastu baranów, zamkniętych w ogrodzeniu tuż za świątynią. W powietrzu unosiła się soczysta woń pieczonej baraniny.

– Wygląda na to, że niewiele tu się dzieje – powiedział Wespazjan, powstrzymując ziewnięcie.

– To dlatego, że Amfiaraos przemawia do proszących, kiedy śpią – wyjaśnił Raskos. – Składa się ofiarę z barana, przedstawia kapłanom pytania i prośby, zasypia na baranim runie i czeka na odpowiedź.

– Chcesz powiedzieć, że ci kapłani nic nie robią? – zadrwił sobie Sabinus.

– Oni są pośrednikami, zjadają część ofiary i w ten sposób przekazują herosowi pytanie albo prośbę o uzdrowienie.

– O, jednak coś robią całymi dniami, jedzą baraninę – zauważył ze śmiechem Sabinus. – Niezłe zajęcie.

– To bardzo stare i święte miejsce – ciągnął Raskos, spoglądając gniewnie na Sabinusa. – Nie musieliście tu ze mną przychodzić, ale skoro już jesteście, to szanujcie wierzenia innych. Teraz kupię barana i złożę go w ofierze, a wy możecie mi towarzyszyć, jeśli macie ochotę.

Cena barana była oczywiście skandalicznie wygórowana; pasterz doskonale wiedział, na co może sobie pozwolić, jeśli suplikant nie pojawił się z własnym zwierzęciem pod pachą. Po długich targach i kilku wymownych aluzjach Magnusa, dotyczących możliwości pogorszenia stanu zdrowia pasterza po zapadnięciu zmroku, dokonali wreszcie zakupu i weszli do świątyni.

W chłodnym wnętrzu rzucał się w oczy ogromny, sięgający niemal sufitu marmurowy posąg Amfiaraosa. W cokole tkwiło rzędem siedem płonących lamp oliwnych; pod każdym z nich siedział dobrze odżywiony kapłan. Przed posągiem znajdowało się palenisko z rozżarzoną węglem drzewnym, przykryte rusztem; tuż obok, na zakrwawionym ołtarzu, leżał nóż. Ściany pokrywały niezliczone baranie skóry.

– Podejdźcie – odezwał się najstarszy z kapłanów, wstając ze środkowego siedziska. – Mam na imię Antenor i jestem naczelnym kapłanem Amfiaraosa, a jak brzmi twoje imię?

Kapitan podprowadził barana do ołtarza i skłonił głowę.

– Raskos.

– Powiedz nam, Raskosie, czego pragniesz dowiedzieć się od Amfiaraosa i o jakie uzdrowienie prosisz.

– Ściągnięto na mój statek klątwę Zbelturdosa. Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób mam chronić załogę, żebyśmy mogli dotrzeć do celu podróży, i chodzi też o uzdrowienie wioślarzy cierpiących na gorączkę niewolników.

– Przedstawimy twoje prośby. Złóż ofiarę, Raskosie.

Kapitan przywołał swoich towarzyszy, by mu pomogli położyć barana na ołtarzu. Kiedy się zbliżyli, Wespazjan zauważył, że Antenor usilnie się wpatruje najpierw w niego, następnie w Sabinusa.

– Kim są ci ludzie, Raskosie? – spytał kapłan.

– To pasażerowie z mojego statku. Przyszli tutaj, by być świadkami potęgi herosa, a nie po to, by składać ofiary.

– Wy dwaj jesteście braćmi? – dopytywał się Antenor.

– Owszem – rzucił Sabinus od niechcenia. Nie było powodu, by podziwiać spostrzegawczość starego kapłana; nawet jeden rzut oka wystarczył, by zauważyć podobieństwo między nimi.

– Skąd wypłynęliście? – indagował dalej.

– Z Tomi – odparł Wespazjan, chwytając za rogi opierającego się barana.

– I żeglujecie na zachód? – drażył Antenor, przechodząc do ołtarza i nie spuszczać wzroku z braci.

– Tak, do Ostii – potwierdził Wespazjan.

Obaj z Sabinusem walczyli z coraz gwałtowniej wrywającym się baranem.

Kapłan skinął głową, jakby zadowolona go ta odpowiedź, i wrócił do spraw Raskosa.

– W imię prawdy i uzdrowienia, przyjmij tego barana, potężny Amfiraosie.

Raskos wziął nóż ofiarny i przesunął nim błyskawicznie po szyi zwierzęcia. Krew chlusnęła na ołtarz. Baran wywraçał oczyma i wierzgał tylnymi nogami. Stopniowo zwierzę się uspokajało, opadło na kolana, a potem zważyło w kałużę własnej krwi, która wsiąkała w jego runo.

Do ołtarza podeszło sześciu pozostałych, uzbrojonych w noże kapłanów i zaczęli ściągać skórę z ofiary. Po chwili zlepione krwią, ale nieuszkodzone runo znalazło się w ich rękach. Antenor skinął z aprobatą i odwrócił martwe zwierzę na grzbiet. Wziął od Raskosa nóż ofiarny i otworzył brzuch barana. Kilkoma szybkimi ruchami usunął wątrobę i położył na krawędzi ołtarza. Ponownie skinął głową, najwyraźniej znaki okazały się pomyślne. I wtedy coś zwróciło jego uwagę, bo przewrócił wątrobę na drugą stronę, podniósł do góry, przyjrzał się jej bacznie, po czym zerknął na Wespazjana i Sabinusa.

– Poczekajcie chwilę – powiedział do braci, odkładając wątrobę. Zwrócił się do kapitana.

– A ty śpij, Raskosie, podczas gdy my będziemy jedli część złożonej przez ciebie ofiary.

Odpowiedź Amfiaraosa pojawi się w twoim śnie, dobrze ją zapamiętaj.

Raskos uklonił się, wziął skórę i odszedł, podczas gdy sześciu kapłanów zaczęło dzielić mięso na kawałki i rzucać na ruszt. Tłuszcz skwierczał i pryskał, spadając na rozżarzony węgiel drzewny.

– To, co mam do powiedzenia, jest przeznaczone wyłącznie dla was dwóch – powiedział Antenor.

Wespazjan spojrział na Magnusa, który wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rozumiem, panie – powiedział. – Poczekam na zewnątrz.

Kiedy kroki Magnusa ucichły, kapłan obszedł ołtarz, po czym ujął obu braci pod brody i przymknął powieki. Wespazjan zerknął na Sabinusa, który był równie zaskoczony.

W końcu kapłan puścił ich i otworzył oczy.

– Jest tak, jak sądziłem, kiedy tylko was zobaczyłem – powiedział tajemniczo – a wątroba to potwierdziła.

– Co potwierdziła? – spytał Sabinus, pocierając podbródek.

– Od stuleci czekamy, by przekazać pewne proroctwo dwóm braciom, którzy będą żeglować z północy na wschód, statkiem, na który rzucono klątwę, i zjawią się przed herosem jako świadkowie, a nie błagalnicy. Jestem przekonany, że chodzi o was. – Zwrócił się do kapłanów zgromadzonych wokół piekącej się baraniny. – Letonie, przynieś zwój – polecił jednemu z nich.

Młodszy kapłan pospieszył w głąb świątyni i po chwili wrócił ze szkatułką. Antenor podniósł wieczko i wyjął niezwykle stary zwój pergaminowy.

– Oto zapis proroctw Amfiaraosa – powiedział, rozwijając pergamin. – Przy każdym jest opis osoby lub osób, którym ma zostać przekazane. Jedynie naczelnemu kapłanowi wolno czytać ten zwój, ponieważ młodzi mają niepowściągliwe języki.

Za jego plecami kapłani wracali na swoje miejsca, pogryzając kawałki baraniny.

– Na przestrzeni wieków odczytano jedynie siedem z tych przepowiedni – ciągnął Antenor. – Jeśli zechcecie wysłuchać, to przeczytam tę, która dotyczy was.

Odkąd tylko piętnastoletni Wespazjan przypadkowo usłyszał, jak rodzice rozmawiają o znakach towarzyszących jego narodzinom i związanej z nimi pomyślnej przepowiedni, intrygowało go bardzo, czego ona może dotyczyć. Spojrział na Sabinusa, który jako prawie pięcioletni chłopiec był świadkiem tych zdarzeń, ale związane go przysięgą, nie pozwalającą mu

niczego ujawnić. Ich ojciec, Tytus, kazał im obu złożyć kolejną przysięgę, jeszcze potężniejszą, wobec wszystkich bogów, z Mitrą włącznie – jedynym bogiem, którego Sabinus naprawdę czcił – która umożliwiała starszemu bratu ujawnienie Wespazjanowi treści przepowiedni kiedyś w przyszłości. Może właśnie nadszedł ten moment.

– Chętnie jej wysłucham – powiedział Wespazjan. – A ty, Sabinusie?

– Zbyt głęboka wiedza o przyszłości może się okazać niebezpieczna – odparł Sabinus z niechętną miną.

– Nie sądziłem, że teraz, kiedy jesteś skąpany w światłości Mitry, tajemnice dawnych bogów mogą mieć dla ciebie jakieś znaczenie – zakpił Wespazjan – jak więc możesz obawiać się czegoś, w co już nie wierzysz?

– Nie przeczę istnieniu dawnych bogów, braciszku. Nie uznaję jedynie ich wyższości nad moim panem, Mitrą. Przepowiednie wygłoszone przed jego przyjściem mogą być znaczące i trzeba do nich podchodzić ostrożnie, wolę więc tego w ogóle nie słyszeć.

– W porządku – powiedział rozdrażniony Wespazjan – jeśli nie chcesz słuchać, to nie. Przeczytaj to tylko mnie, Antenorze.

– Mogę przeczytać wam obu albo wcale – odparł sędziwy kapłan.

– W takim razie wcale – zdecydował Sabinus, odwracając się ku wyjściu.

– Sabinusie! – krzyknął Wespazjan, głosem tak władczym, że jego brat stanął jak wryty. – Muszę tego wysłuchać. Zrobisz to dla mnie.

– Dlaczego miałbym to zrobić, braciszku? – odkrzyknął Sabinus, obracając się na pięcie, by stanąć twarzą do Wespazjana.

– Bo ja mam takie samo prawo do wysłuchania proroctwa jak ty do odmowy, ale jeśli nie zostanie nam odczytane, nigdy nie będziemy wiedzieli, który z nas miał rację. Zatem, jeśli teraz odejdiesz, zapewniam cię, Sabinusie, że wszystkie krzywdy, jakie mi wyrządziłeś do tej pory, będą wydawać się niczym w porównaniu z krzywdą, jaką wyrządzasz mi dzisiaj, i będę nosić w sercu urazę do końca moich dni.

Ogień płonący w oczach Wespazjana zmusił Sabinusa do namysłu. Wespazjan widział, że brat zmagą się ze sobą. Nie opierał się ze zwykłego oślego uporu; on się naprawdę bał.

– Co cię tak przeraża, Sabinusie? – zapytał Wespazjan.

Sabinus patrzył gniewnie na brata.

– Że zostanę w tyle.

– Za kim... za mną?

– To ja jestem starszy.

– Wiek nie ma tu nic do rzeczy ani nasze osobiste ambicje. Naszą powinnością jest sprawić, by rodzina była godna zaszczytów w Rzymie, i ten obowiązek spoczywa na nas obu w takim samym stopniu. Cokolwiek mówi to proroctwo, dotyczy ciebie i mnie i powinniśmy tego wysłuchać dla dobra rodu Flawiuszów.

– Jak chcesz, Wespazjanie – powiedział w końcu Sabinus. – Miejmy nadzieję, że się mylę i wysłuchamy jedynie mnóstwa bezsensownej paplaniny.

– Dziękuję ci, bracie.

– Skoro się namyśliliście, odczytam to wam obu – oświadczył Antenor łagodnie.

Kapłani za jego plecami siedzieli wyczekująco, ogryzając kości.

– Tak, Antenorze – powiedział Wespazjan.

Sabinus burknięciem wyraził zgodę.

Antenor podniósł zwój i zaczął głośno czytać:

*Dwóch tyranów przepada, z trzeciego wkrótce życie ulata,
Na Wschodzie król wysłuchuje słów prawdy od brata.
Z darem po śladach lwa przez piaski należy iść jemu,
By nazajutrz odebrać Zachód temu czwartemu.*

Wespazjan spojrział zdziwiony na Antenora.

– I co to niby ma znaczyć? – zapytał.

– Tego nie mogę wam powiedzieć – odparł kapłan, zwijając pergamin i wkładając go do pudełka. – My tych rzeczy nie interpretujemy, jesteśmy...

– Tylko pośrednikami? – wtrącił Sabinus.

Antenor uśmiechnął się do niego dobrodusznie.

– Właśnie. A teraz, wybaczcie, spełniłem swój obowiązek wobec was i muszę pomyśleć o Raskosie, mam jeszcze do zjedzenia jego baraninę.

– Dziękuję, Antenorze – powiedział Wespazjan i odwrócił się do wyjścia.

Sabinus pożegnał kapłana skinieniem głowy i podążył za bratem.

– Pierwszy raz z przyjemnością przyznaję, że miałeś rację, Wespazjanie, w tej

przepowiedni nie było nic, czego należało się obawiać, wysłuchanie jej nie przyniosło żadnej szkody, natomiast uszczęśliwiło tego starego wariata, bo teraz myśli, że spełnił obowiązek wobec swojego boga, czy kim tam jest ten Amfiaraos.

– Miałem nadzieję, że będziesz mógł coś do tego dodać, Sabinusie.

– Niby co?

– Chodzi o przepowiednię z dnia moich urodzin; wiem, że ją znasz.

– To wiesz także, że nie wolno mi jej ujawnić.

– Wolno, jeśli oprzesz się na przysiędze złożonej ojcu.

– Ale ona ma zastosowanie tylko wtedy, kiedy jeden z nas nie może pomóc drugiemu związany poprzednią przysięgą, a nie zauważyłem, by teraz potrzebna ci była moja pomoc.

– Na pewno jest coś, co możesz mi powiedzieć.

– Posłuchaj, byłem wtedy bardzo mały, pamiętam wszystko jak przez mgłę; mogę ci tylko powiedzieć, że nie było konkretnego proroctwa, pojawiły się jedynie pewne znaki i to one wywołały całe to zamieszanie.

– Jakie znaki?

– Nie mogę ci powiedzieć nic więcej, bo przysiągłem. Zresztą ledwie pamiętam te znaki, nawet ich nie rozumiałem. Tak jak nie zrozumiałem tego proroctwa, którego przed chwilą tak bardzo chciałeś wysłuchać. Nic z takich rzeczy nigdy nie ma sensu, chyba że patrzysz na nie z perspektywy czasu, ale jaki wtedy z nich pożytek, he?

– Ale przecież to jest wbrew ich celowi. Proroctwa nie dotyczą przeszłości, tylko przyszłości i trzeba nauczyć się je interpretować – powiedział Wespazjan, kiedy znaleźli się pod palącym południowym słońcem. – Jedyne, co mogło odnosić się do nas, to „prawda z ust brata”. Czy mówiłbyś mi prawdę, gdybym był wschodnim królem?

– Na pewno nie mówiłbym ci wyłącznie tego, co sam chciałbyś usłyszeć, jeśli ci o to chodzi. Zresztą nie wyobrażam sobie żadnego z nas jako wschodniego króla. A ci wszyscy tyrani, to co to za jedni?

– Może Sejanowi uda się zostać cesarzem, a pozostała trójka to jego następcy.

– Jakie zatem znaczenie w takich okolicznościach miałaby dla nas ta przepowiednia? Bylibyśmy martwi jak ci – powiedział Sabinus, wskazując długi rząd posągów, które stały przy dróżce prowadzącej do przejścia pod kolumnadą.

– Cóż, cieszę się, że wysłuchałem tej przepowiedni, choć rzeczywiście wydaje się

bezsensowna – wymamrotał Wespazjan.

– O co tam chodziło? – zapytał ich Magnus z cienia pod portykiem.

– Wygląda na to, że o nic – odparł Sabinus.

– Gdzie Raskos? – spytał Wespazjan.

– Poszedł po swoją odpowiedź. – Magnus z uśmiechem wskazał pogrążonego we śnie człowieka w głębi kolumnady.

Sabinus podniósł wzrok i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. W ich kierunku szedł ogromny rudowłosy mężczyzna bez lewego oka.

– Co się stało? – spytał Wespazjan. – Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył.

Sabinus odwrócił się plecami do mijającego ich mężczyzny i poczekał, aż się oddali.

– Bo zobaczyłem.

– O czym ty mówisz? – spytał Wespazjan, myśląc, że brat gada od rzeczy.

– O tamtym człowieku – powiedział Sabinus, wskazując oddalającą się w stronę brzegu postać. – Pamiętacie, jak wam mówiłem o ataku piratów, kiedy płynąłem w tę stronę?

Wespazjan i Magnus skinęli głowami.

– Cóż, to on dowodził tamtym statkiem. Nie miał prawa przeżyć; dzieliło nas jakieś trzydzieści kroków i widziałem, jak strzała wbija mu się głęboko w lewe oko.

– Na pewno się pomyliłeś – oświadczył nieprzekonany Magnus – może miał brata.

Sabinus pokręcił głową.

– Nie, to na pewno on; widziałeś, że nie ma lewego oka.

– No to najwyraźniej przeżył – powiedział Wespazjan – i załoga przywiozła go tutaj na leczenie.

– To nie było daleko stąd – przyznał Sabinus – nie dalej jak kilka dni żeglugi. Ale nawet jeśli przeżył tę drogę, to widziałem wystarczająco wiele takich obrażeń w Afryce, by wiedzieć, że czegoś takiego nie da się wyleczyć.

– Może to miejsce jest jednak czymś więcej, niż sądziliśmy – powiedział Magnus tonem, w którym pobrzmiwał podziw.

– Chodzi ci o to, że czymś więcej, niż na oko widać – zażartował sobie Wespazjan.

– Nie śmieć się, Wespazjanie – powiedział spokojnie Sabinus. – Skoro potrafiać uzdrowić człowieka, który powinien być trupem, to musi tu się kryć prawdziwa moc, starsza nawet od Mitry, i należy ją traktować poważnie.

Rozdział dziewiąty

Dotarli na statek wczesnym wieczorem i było już za późno, by płynąć dalej. Raskos przespał większość popołudnia, jednak po przebudzeniu wcale nie wyglądał na wypoczętego. Nie zdradził im, jaką odpowiedź otrzymał od Amfiaraosa; powiedział tylko, że heros przemówił do niego i że teraz zastanawia się nad znaczeniem tego, co usłyszał. Rano ta rozmowa by ich rozbawiła, teraz jednak nawet Sabinus traktował kapitana poważnie; nie dlatego, że wierzyli w klątwę, ale ponieważ z wielkim zainteresowaniem obserwowali, czy dzięki interwencji Amfiaraosa wioślarze przestaną chorować.

Wespazjan spędził tę ciepłą noc na pokładzie pod baldachimem z gwiazd jaśniejących szczególnie mocno, kiedy, dość wcześnie, zaszedł księżyc. Obudził się wypoczęty pod turkusowym niebem przedświtu. Wieczorem, kiedy zasypiał, woda łagodnie chlupotała o burty statku, teraz zaś usłyszał dużo ostrzejszy dźwięk fal rozbijających się o skalisty brzeg zatoczki. Czuł, jak statek się pod nim kołysze, i natychmiast usiadł; chłodna bryza dmuchnęła mu w twarz.

Wszędzie wokół panowała już krzątanina. Połowa czterdziestoosobowej załogi mocowała żagle do rei, potem je zwijała, szykując do wciągnięcia na maszty, podczas gdy pozostali zaczęli wciągać kotwicę rufową i dziobową. Raskos kręcił się po pokładzie niczym podniecony pies gończy. Warcząc na każdego, kto mu się nawinął, szczyrzył zęby i ujadał, kiedy wywęszył choćby najdrobniejszy błąd czy oznakę niedbalstwa. Chciał jak najszybciej się stąd wynieść.

– I co o tym sądzisz, panie? – spytał Magnus, podając Wespazjanowi gruby plaster zimnej wieprzowiny i kubek mocno rozcieńczonego wodą wina. – Kto by pomyślał, wreszcie wiatr...? Co za dziwaczne miejsce.

– Rzeczywiście widzieliśmy wczoraj dziwne rzeczy – przyznał Wespazjan, odgryzając duży kęs mięsa. – Gdzie jest Sabinus?

– No cóż, jest zbyt zajęty, by towarzyszyć nam przy śniadaniu, jeśli wiesz, co mam na myśli? – odparł Magnus, wskazując na dziób.

Wespazjan odwrócił się i zobaczył brata wychylonego za burtę, wstrząsanego torsjami.

Po serii wydanych przez tubę rozkazów Raskosa grupa majtków na dziobie zaczęła ciągnąć za linę. Kiedy kotwica – niewielki głaz – wynurzyła się ponad powierzchnię wody,

człowiek podający wiosłarzom tempo rozpoczął monotonne bębnienie i niewolnicy zaczęli wiosłować wstecz. Statek wysuwał się łagodnie z zatoczki, po czym, kiedy lina kotwicy rufowej się napięła, ogromna kwinkwerema ustawiła się równolegle do brzegu i kapitan ponownie krzyknął przez tubę. Ludzie na rufie szarpnęli z całych sił linę i druga kotwica oderwała się od dna; na pokładzie wiosłowym niewolnicy jak jeden mąż pociągnęli wiosłami w odwrotną stronę i statek zaczął sunąć do przodu. Kiedy umocowano już na pokładzie kotwicę rufową, po kolejnej serii rozkazów majtkowie pociągnęli za linę, podnosząc reję, po czym sześciu ludzi wspięło się po drabince sznurowej na maszt i przesunęło się, po trzech z każdej strony masztu, po pertach wzdłuż rei. Na kolejny sygnał Raskosa rozwiązali reflinki, uwalniając żagiel, który łopotał na wietrze, dopóki nie wybrali szotów. Wiatr wypełnił i naprężył płótno, bębnienie z pokładu wiosłowego nabrało tempa i Wespazjan poczuł, jak statek szarpnął do przodu.

– Dzięki naszej matce Bendis za wiatr! – zawołał Raskos, wznosząc oczy ku niebu, podczas gdy załoga przeszła na dziób statku, by zająć się żaglem przednim.

– Czy nie powinienesz dziękować Amfiaraosowi? – spytał Wespazjan, podchodząc do niego, kiedy zajął już swoje stanowisko pomiędzy wiosłami sterowymi.

– Nie, to zasługa Bendis – odparł kapitan z uśmiechem i wydał przez tubę kolejną porcję rozkazów.

Podniesiono reję na maszt przedni i wiatr wypełnił wkrótce drugi żagiel, zwiększając jeszcze szybkość statku.

– Skąd ta pewność, że to nie Amfiaraos? – zapytał Wespazjan, kiedy Raskos nie musiał już skupiać całej uwagi na swoim statku.

– Stąd, że sen, jaki mi zesłał, był tak wymyślny, że nie mogę go pojąć i dlatego nie zrobiłem tego, co sugerował.

– Zatem wciąż wierzysz, że statek jest obłożony klątwą?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– To skąd wziął się ten wiatr?

Stary kapitan uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Bo kiedy wczoraj połączyłem się duchowo z herosem, załoga dla pewności złożyła Bendis w ofierze pod masztem trzeciego prowodyra. Rozplatali ciało i ułożyli połowy po obu stronach statku, a potem przeszli pomiędzy nimi z żaglami, poddając je i siebie samym oczyszczającej mocy. Macedończycy robią to samo z psem, ale my uważamy, że lepsze rezultaty

daje użycie człowieka.

Wespazjan uniósł tylko z lekka brwi; zapal religijny Raskosa przestał go zdumiewać.

– Cóż, wygląda na to, że podziałało – przyznał – ale co z tą gorączką niewolników, czy ona też ustąpiła?

– Nie, tu kłątwa wciąż działa... już przeszło jedna czwarta z nich choruje.

– To dlaczego nie robisz tego, co nakazał ci we śnie Amfiaraos?

Raskos pokręcił smętnie głową.

– Bo wydaje się zupełnie niedorzeczne, a poza tym byłoby samobójstwem.

– Samobójstwem?

– Tak; może powinienem mieć więcej wiary w herosa, ale jakoś nie mogę się zmusić do zrobienia tego, co zasugerował. – Popatrzył na Wespazjana przepraszająco. – Śniło mi się, że wziąłem niewolnika za rękę, wziąłem od niego wiosło i dałem mu miecz.

Bryza i tempo bębnienia były niezmiennie; dzień mijał powoli. Upał zelżał, odkąd ruszył się wiatr, i warunki na głównym pokładzie znacznie się poprawiły. Tymczasem na pokładzie wiosłowym gorączka stopniowo się rozprzestrzeniała i nadzorca niewolników musiał zrezygnować z najniższego poziomu, gdzie po obu stronach było po trzydzieści wiosł obsadzonych przez pojedynczych wiosłarzy, a pozostawić jedynie dwa wyższe rzędy, gdzie przy każdym wiosle siedziała para niewolników. Utrata prędkości irytowała Raskosa, który ani przez chwilę nie przestawał ślać prośb do swoich rozlicznych bogów.

Trzymając się jakąś milę od brzegu, statek minął Zatokę Maratońską i podążał dalej wzdłuż wybrzeża attyckiego. Po dwóch dniach przecięli Zatokę Saronńską, kierując się ku Peloponezowi. Lawirowali pomiędzy licznymi statkami handlowymi płynącymi do Pireusu i wypływającymi z ateńskiego portu, na jednym z najbardziej uczęszczanych szlaków morskich świata.

Wczesnym rankiem piątego dnia zbliżyli się do cieśniny pomiędzy południowym krańcem Peloponezu i wyspą Cyterą. Wespazjan i Magnus stali na dziobie i patrzyli na przesuwany się przed ich oczyma brzeg, tak wyraźny w krystalicznym powietrzu, że rozróżniali pojedyncze drzewa na wzgórzach. Dołączył do nich Sabinus, wciąż blady i na chwiejnych nogach, mimo że już od dwóch dni torsje go nie dręczyły.

– Wkrótce zaczniemy przeprawę do Italii – powiedział Wespazjan, spoglądając na dwa płynące jakieś trzy mile przed nimi statki handlowe – a co zrobimy, jak dotrzemy do Ostii?

– Musimy dostarczyć kapłana Antonii – odparł słabym głosem Sabinus, opierając się ciężko o poręcz – a potem czekamy.

– Na co?

– Na Makrona, który nam powie, jak i kiedy przetransportować Rotekesa na Capri.

– Zaraz, zaraz – odezwał się zaniepokojony Magnus. – W tym zdaniu są dwa słowa, które bardzo mi się nie podobają: Makron i Capri. Dlaczego pierwszy raz je słyszę?

– No właśnie, Sabinusie – odezwał się równie zaniepokojony Wespazjan – dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej, że Makron bierze w tym udział?

– Aha, czyli wiedziałeś o tym, że mamy zabrać Rotekesa na Capri, ale nie raczyłeś mi o tym wspomnieć, tak? – Magnus poczuł się skrzywdzony takim traktowaniem.

– To dlatego, że ty nie musisz tam płynąć.

– A ty płyniesz?

– Tak.

– W takim razie ja też. I co Makron ma z tym wspólnego?

– Antonia wykorzystuje go jako nasze dojście do Tyberiusza – odparł Sabinus. – W rewanżu pochwali jego lojalność wobec cesarza i zarekomenduje na miejsce Sejana. To sojusz z rozsądku.

– Cóż, ja akurat nie widzę w tym nic rozsądnego – burknął Magnus. – Kiedy ostatni raz widzieliśmy Makrona, starał się zatrzymać nas w Rzymie. Próbowałem wtedy pozbażyć go głowy, a on zostawił sztylet w nodze Wespazjana.

– Magnus ma rację, Sabinusie. On pewnie dobrze nam się przyjrzał.

– Tak i nie przypuszczam, żeby wpadł w zachwyty, kiedy znowu dobrze się nam przyjrzy, jeśli wiesz, co mam na myśli? – dodał Magnus.

– Cóż, wątpię, by Antonia zmieniła swoje plany dlatego, że wy dwaj macie na pieńku z Makronem – powiedział lekceważącym tonem Sabinus. – Tak czy inaczej, on teraz współpracuje z nami i jestem pewien, że chętnie zapomni o tym, co było; to znaczy, jeśli go ładnie poprosicie i zwrócicie mu jego sztylet – dodał z lekkim uśmiechem.

– Bardzo to zabawne, Sabinusie – rzucił ostro Wespazjan – ale ja nie zamierzam się do niego aż tak zbliżać.

– Możesz nie mieć wyboru – oświadczył zaszępiiony Magnus i odmaszerował na drugi koniec pokładu.

Wespazjan przelknął; nie miał najmniejszej ochoty stanąć twarzą w twarz z Makronem, ale wydawało się, że tego nie uniknie. Rozmyślając nad tym, co go czeka, wrócił wzrokiem do dwóch statków majaczących w oddali i z zainteresowaniem obserwował, jak się ustawiają w stosunku do wiatru i płyną zygzakami wąskim przesmykiem pomiędzy wyspą i stałym lądem. Nawet przy niewielkiej szybkości pięciorzędowiec powoli je dopędzał, ponieważ płynął prosto, na wiosłach.

– Masz jeszcze dla mnie jakieś niespodzianki, Sabinusie? – zapytał po chwili brata. – Miło byłoby dowiedzieć się o nich teraz, kiedy jest czas pomyśleć.

– Zawsze ci mówiłem wszystko to, co w danej chwili musiałeś wiedzieć – odparł cierpkim tonem Sabinus.

– Nieprawda, mówiłeś mi tylko to, co uznałeś, że muszę wiedzieć. Jeśli mamy skutecznie współpracować, musimy dzielić się wszystkim, bo nie można podejmować właściwych decyzji, gdy się nie ma pełnej informacji. Nie wiedziałeś, że już spotkałem się z Makronem, więc informowanie mnie o tym, że mamy z nim teraz jakieś wspólne sprawy, uznałeś za nieistotne.

– Przede wszystkim ty powinienes mi być powiedzieć, że już się na niego natknąłeś.

– Próbowałem mnie aresztować na moście Emiliusza cztery lata temu; wtedy widziałem go tylko jako zwykłego pretorianina wykonującego swój obowiązek. Wspomniałbym o tym, gdybym wiedział, że zmienił strony.

– No to ci teraz powiedziałem, co za różnica? – warknął Sabinus, wyprowadzony z równowagi pouczeniami ze strony młodszego brata.

Wespazjan z trudem się hamował.

– Sam fakt, że Makron zaszedł tak wysoko w gwardii pretoriańskiej, dowodzi, że jest człowiekiem bezwzględny i ambitny, i na pewno nie zapomina o urazach. Jeśli mnie zobaczy i rozpozna, będzie szukał zemsty; nie mam co do tego wątpliwości. Problem w tym, czy jego pragnienie zemsty nie udaremni naszych planów, by dostarczyć Rotekesa przed oblicze cesarza.

– Byłby głupcem, gdyby do tego dopuścił.

– Można tak sądzić, ale duma jest ślepa. Zostawiłem go rozciągniętego w kurzu, w niegodnej pozycji; możliwe, że dla niego to zbyt duża ujma i wykorzysta sposobność, by wbić mi nóż między żebra, choćby dla poprawy samopoczucia, nawet jeśli jednocześnie zagrozi wszystkim planom.

Sabinus, który poznał tego człowieka, wiedział, że brat może być bliski prawdy.

- Pewnie masz rację – przyznał – spróbujemy po prostu trzymać cię od niego z daleka.
- Nie mam pojęcia, jak to może się udać.
- Zobaczmy. Przepraszam, że nie powiedziałem ci o nim wcześniej, Wespazjanie.
- Masz jeszcze jakieś niespodzianki, Sabinusie?

Krzyk stojącego obok nich na wachcie marynarza przerwał im rozmowę.

- Kapitanie! Na wprost.

Wespazjan podniósł wzrok. Zza cypla Cytery wyłonił się trójrzędowiec i sunął w stronę dwóch statków handlowych, do których tracki okręt zbliżył się na jakąś milę.

Raskos przybiegł na dziób.

– Och, Bendis, wspomóż mnie – jęknął. – To piraci, a nam nie wystarczy ludzi do obrony; doprawdy ciąży na nas klątwa.

– Słońce mamy nisko za sobą, chowamy się w odbitym od wody oślepiającym blasku i jeszcze nas nie dostrzegli – zauważył Wespazjan. – Nie zwracajmy na nich uwagi, a oni na pewno zadowolą się tym, co przewożą te dwa statki handlowe.

– Moglibyśmy spróbować prześlizgnąć się bokiem – odparł Raskos – ale to tylko wzbudzi ich ciekawość. Będą się spodziewać, że statek tych rozmiarów spróbuje interweniować; jeśli tego nie zrobimy, założą, że albo nie mamy dość ludzi, albo wieziemy kogoś czy coś zbyt cennego, by podejmować jakiegokolwiek ryzyko. W obu wypadkach ruszą za nami.

- A gdybyśmy zawrócili i spróbowali umknąć? – zasugerował Sabinus.

– To będzie niezbity dowód na to, że się boimy, a ponieważ mamy tylu chorych wioślarzy, dopadną nas po kilku godzinach. Jedyne wyjście to spróbować ich zastraszyć. Każę Gaidresowi i jego ludziom uzbroić załogę i ruszymy prosto na nich, tak jakbyśmy zamierzali ich staranować, i będziemy modlić się do wszystkich możliwych bogów, żeby uciekli.

– Ile macie łuków? – spytał Sabinus, myśląc o swoim jedynym dotąd spotkaniu z piratami.

– Więcej niż członków załogi – odparł Raskos i pobiegł wydać rozkazy Gaidresowi, żeby otworzył zbrojownię.

Tymczasem piracka trirema dotarła do pierwszego celu. Wespazjan zobaczył, jak haki sięgają rufy małego statku, przyciągają go i unieruchamiają, po czym strumień piratów z galery wlał się na jego pokład. Teraz tracki pięciorzędowiec znalazł się już na tyle blisko, że dochodziły do niego płynące po wodzie krzyki mordowanych, nie mających dokąd uciec ludzi. Drugi statek

handlowy płynął dalej przed siebie.

Kiedy zdobywano pierwszy statek, załoga i Gaidres ze swoimi wojownikami gromadzili się na pokładzie. Każdy uzbrojony był w łuk i ku nieuzasadnionemu zdumieniu Wespazjana, bo przecież wszyscy byli Trakami, każdy miał przewieszoną przez plecy *rhomphaia*.

Raskos wydał rozkaz i bęben podał tempo prędkości ataku. Spod pokładu słychać było coraz częstszy świst batów poganiających wiosłarzy.

Pięciorzędowiec gwałtownie przyspieszył, jego potężny taran ciał fale, kotłując wodę pod dziobem w białą pianę. Rwał ku galerze piratów, którzy dopiero teraz go zauważyli i pospiesznie próbowali oderwać się od świeżo zdobytego łupu. Niedobitki załogi statku handlowego odrzuciły haki abordażowe i wtedy piracka galera z zaskakującą szybkością obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, ustawiając się dziobem do kwinkweremy. Piraci nie zamierzali uciekać.

Gaidres natychmiast podzielił załogę na małe grupy, każdej przydzielił jako dowódcę jednego ze swoich wojowników, po czym rozstawił je w różnych miejscach statku, gdzie miały czekać na pierwszą okazję, żeby zasypać strzałami zatłoczony ludźmi pokład triremy. Kilku majtków obchodziło statek z bukłakami pełnymi wody. Magnus utorował sobie drogę w tłumie kręcących się po pokładzie członków załogi, a za nim podążali Sitalkes, Artebuz i Drenis.

– Wygląda na to, że chcą się z nami zmierzyć – zauważył spokojnie, podając Wespazjanowi i Sabinusowi po łuku z kołczanem; potem poprawił sobie na plecach włócznię zabraną martwemu Zilesowi i ustawił się przy burcie.

Sabinus założył strzałę na cięciwę i uśmiechnął się ponuro; czuł, jak wstępuje w niego energia i zmęczenie spowodowane chorobą morską całkowicie się ulatnia.

– Szybko odstraszymy tę hałastrę, obsypując ich parę razy gradem strzał – oświadczył z przekonaniem, kiedy ich pięciorzędowiec mijał wysunięty cypel Cytery.

Statki dzieliło od siebie już tylko niecałe pół mili. Odległość ta zmniejszała się z każdym uderzeniem w bęben i Wespazjan odczuwał coraz większą suchość w ustach. Sięgnął do rękojeści miecza i pociągnął za nią lekko, sprawdzając, czy broń gładko wychodzi z pochwy, a potem wyjął z kołczanu strzałę. Mężczyźni wokół niego odprawiali własne poprzedzające walkę rytuały; na pokładzie zaległa pełna napięcia cisza, zakłócana jedynie dobiegającym spod pokładu rytmicznym bębnieniem i trzaskaniem bicia.

Przy odległości dwustu kroków piraci wypuścili bezładnie strzały, które nie doleciały do celu, wywołując niezbyt ochocze okrzyki trackiej załogi. Gaidres wrzasnął coś po tracku i ludzie

włożyli więcej energii w kolejny okrzyk.

Kiedy fala uniosła dziób pięciorzędowca, nadleciały kolejne strzały, jednak większość odbiła się od kadłuba. Tylko kilka zachowało dość szybkości, by przebić poszycie klepkowe. Jeden z członków załogi padł ze strzałą sterczącą w barku; szybko ją wyciągnięto, a on ponownie, lekko tylko krwawiąc, zajął swoje miejsce w szeregu.

Gaidres krzyknął coś, załoga uniosła do góry łuki i wycelowała. Wespazjan, Sabinus i Magnus zrobili to samo i czekali na rozkaz. Gaidres podniósł ramię i znieruchomiał, oceniając wznoszenie się i opadanie dziobu statku.

Przy odległości dziewięćdziesięciu kroków opuścił błyskawicznie ramię.

Ponad pięćdziesiąt strzał poszybowało ku pirackiej galerze. Uderzyły w chwili, gdy jej dziób opadł, odsłaniając większą połąć pokładu z mniej więcej setką ludzi. Trafiono około dziesięciu piratów, kiedy chaotycznie wypuszczali strzały.

Bęben zadudnił w szybszym tempie i pięciorzędowiec osiągnął szybkość taranowania.

Wespazjan założył kolejną strzałę i czekał na rozkaz, przekonany, jak zresztą cała reszta wiwatującej załogi, że Gaidres dobrze wybierze właściwy moment.

Ramię Gaidresa ponownie opuściło się błyskawicznie i znów wszyscy jednocześnie posłali grad pierzastych pocisków.

Radosne okrzyki towarzyszące zakładaniu kolejnych strzał przerwał okrzyk żeglarza pełniącego straż na lewej burcie. Rozległ się zbiorowy jęk. Wespazjan obejrzał się przez lewe ramię i zobaczył, jak zza cypla, milę za nimi, wysuwa się kolejna galera i kieruje prosto na nich.

Byli w pułapce.

– W tej chwili gównie możemy tamtym zrobić! – wrzasnął Sabinus, kiedy zobaczył, co im zagraża. – Zajmijmy się wpieryw tymi draniami.

Trójrzędowiec znajdował się zaledwie trzydzieści kroków od nich. Ramię Gaidresa znowu opadło, ale tym razem mężczyzna źle ocenił moment; większość strzał trafiła w kadłub, nie czyniąc piratom większej szkody.

Na rozkaz Raskosa tracka załoga chwyciła się mocno nadburcia.

– To znaczyło: przygotuj się na zderzenie! – krzyknął Wespazjan do Magnusa i Sabinusa.

– Dzięki, panie! – odkrzyknął Magnus, chwytając się mocno poręczy; jakoś nigdy nie udało mu się opanować języka Traków.

Kiedy statki pędziły wprost na siebie, Wespazjan napiął mięśnie i rozstawił stopy.

W ostatnim, jak się zdawało, momencie piracki trójrzędowiec skręcił w lewo i wciągnął wszystkie wiosła z prawej burty.

Wespazjan usłyszał, jak Raskos wyrzaskuje rozkaz, i poczuł, że statek zbacza w prawo, by uchronić przed strzaskaniem wiosła ze swojej prawej strony. Kapitan piratów był na to przygotowany i kiedy dziób znacznie cięższego pięciorzędowca go mijał, wciągnął wiosła lewej burty i ostrym pociągnięciem wiosła sterowych sprowadził swój mniejszy, bardziej zwrotny statek z powrotem na poprzedni kurs, żeby otrzeć się o prawą burtę przeciwnika, posłać strzały z bliskiej odległości, a zaraz potem wysłać oddział abordażowy.

Wespazjan nie wiedział, czy ostatni rozkaz Raskosa dotyczył wciągnięcia wiosła, ale jeśli nawet tak było, to przyszedł za późno. Galera piratów sunęła wzdłuż boku kwinkweremy, łamiąc po kolei grube drągi, jakby to były patyczki. Towarzyszył temu ogłuszający łoskot, nie pasujący do pozornej łatwości, z jaką wiosła pękały. Gwałtowne, powtarzające się raz za razem wstrząsy rzucały na pokłady załogi obu okrętów. Z niższego pokładu trackiej kwinkweremy dochodziły przeraźliwe krzyki niewolników, kiedy wbijane do środka rękojeści wiosła, do których byli przykuci, miażdżyły im twarze, gardła czy klatki piersiowe, zrzucając ich z obrośniętych brudem ławek. Ucieczki jednak nie było, bo brutalnym szarpnięciem zatrzymywały ich przymocowane do pokładu obręcze na nogach. Kiedy piracki statek swoim impetem wypychał do środka kikuty wiosła, ci niewolnicy, którzy mieli pecha i nie zginęli od razu, zostali poddani torturze rozciągania pomiędzy kajdanami na rękach i na nogach, aż ścięgna nadgarstków nie wytrzymały; oderwane dłonie fruwały niczym makabryczne pociski i lądowały w różnych miejscach pokładu z upiornym kłapinięciem, wywołując coraz większą histerię u niewolników przy drugiej burcie, którzy dotąd nie odnieśli obrażeń.

Przestali wiosłować.

Pozbawiony wiosła z prawej burty pięciorzędowiec zaczął się obracać, odsuwając od dręczyciela, który płynął dalej w linii prostej, rozsuwając unoszące się na wodzie wiosła, aż zatrzymał się dziobem na wy sokości masztu trackiego okrętu, pozostawiwszy chwilowo trzydziestu ludzi z oddziału abordażowego własnemu losowi. Gwałtowne wstrząsy ustały i pokład znieruchomiał.

Jak na dany sygnał wszyscy zerwali się na nogi, każdy ze świadomością, że najmniejsza chwila zwłoki może oznaczać śmierć. Przeciwnicy znajdowali się zbyt blisko siebie, by użyć łuków, rzucili się więc jedni na drugich. Wespazjan skoczył do przodu, a dobywając miecza,

słyszał wszędzie wokół syk wyciąganych włóczni. Rzucił się na tarczę najbliższego pirata. Sam nie miał osłony, uderzył więc barkiem o pokryty skórą, drewniany *hoplon*, odrzucając wroga o krok. Żelazo błysnęło w powietrzu, kiedy pirat zamachnął się bronią z góry. Wespazjan zasłonił się mieczem, trafiając na nadgarstek napastnika. Ostrze zadrgało, krew trysnęła mu na tunikę, a pirat z wrzaskiem cofnął ramię, kiedy jego dłoń, wciąż z mieczem, na którego rękojeści była zaciśnięta, upadła na pokład. Szybkie pchnięcie w gardło zakończyło jego życie; Wespazjan porwał błyskawicznie tarczę pirata, przykucnął i rozejrzał się wokół. Po prawej stronie zobaczył, jak Sabinus i Artebuz zażarcie walczą z napastnikami wręcz. Po lewej Magnus i Sitalkes z Gaidresem, jego wojownikami i resztą załogi siali śmierć w już przetrzebionej grupie abordażowej. Przyzwyczajeni do napadania na statki w południowej części Morza Egejskiego, gdzie broniono się mieczami, jeśli w ogóle stawiano opór, piraci cofnęli się pod szaleńczym naporem większej liczby przeciwników, wymachujących długimi, tnącymi klingami trzymanej oburącz broni. Ich własna broń okazała się w tym starciu za krótka. Niewyszkoleni, by tworzyć, jak oddział regularnego wojska, ścianę z tarcz, wpuścili Traków pomiędzy siebie, płacąc za to wysoką cenę. Ich kończyny i głowy wały się w coraz większej ilości na zbryzganym krwią pokładzie.

Przesuwając się powoli w prawo, Wespazjan wbił czubek miecza w oko przeciwnikowi Sabinusa, po czym zaatakował młodego zdesperowanego człowieka, który, z wyciągniętym przed siebie drgającym mieczem, cofnął się i oparł o nadburcie. Pomiedzy nimi przefrunęła głowa, spryskując krwią twarz młodego pirata. Wespazjan ruszył do przodu, a gdy mężczyzna z krzykiem skoczył za burtę, wybuchnął śmiechem.

– Co ty widzisz w tym zabawnego? – warknął zza jego pleców Sabinus.

Wespazjan odwrócił się i zobaczył, że powalany krwią brat patrzy na niego z niedowierzaniem. Wokół leżeli martwi piraci i kilku Traków. Było po walce.

– Właśnie trafiłem na takiego, który wolał się utopić, niż umrzeć bardziej honorową śmiercią – odparł, nie tracąc humoru. – Choć przyznam, że nie wiem, co w tym zabawnego – dodał, biorąc się w garść.

Na rozkaz kapitana bracia podnieśli wzrok. Odległy o sto kroków piracki trójrzędowiec wystawił wiosła i obracał się dziobem do nich, ale co gorsza, drugi wrogi statek był już tylko pół mili od nich i szybko się zbliżał. Kiedy mu się przyglądali, do ich uszu dotarł nieomylny dźwięk bębna, świadczący o zmianie tempa do szybkości taranowania.

Wespazjan wyrzwał za burtę. Zobaczył, że brakuje połowy wiosła, a te, które zostały, zwisają do wody; nawet dla kogoś nieznającego się na żegludze było oczywiste, że potrzeba sporo czasu, by statek mógł znowu manewrować. Wespazjan wiedział, że są bezradni i że zostaną staranowani przez oba pirackie statki, a potem nastąpi abordaż, a ponieważ nie mają dość ludzi, by odeprzeć te dwie połączone załogi, wszyscy zginą.

– Sabinusie – zawołał, biegnąc na rufę ku Raskosowi – weź Magnusa i wyciągnijcie Rotelesę z klatki.

Przebiegł przez pokład, na którym panował zamęt, lawirując pomiędzy członkami załogi, wyrzucającymi za burtę trupy i odcięte członki, podczas gdy Gaidres organizował pozostałych w małe grupy, mające odpierać oddziały abordażowe na dziobie i na rufie. Kapitan prowadził gorącą dyskusję z nadzorcą niewolników.

– Raskosie – zawołał Wespazjan, przerywając ich spór – potrzeba nam więcej ludzi.

Kapitan spojrzał na niego jak na idiotę.

– I niby gdzie mamy ich znaleźć pośrodku morza?

– Jest ich ponad dwustu pod nami.

– To niewolnicy, potrzebni do wiosłowania.

– Ale teraz nie wiosłują, zresztą na ucieczkę nie ma już czasu. Kiedy statek pójdzie na dno, zginiemy my i zginą oni. Tego właśnie dotyczył twój sen, musisz ich wszystkich uwolnić i uzbroić. Nasza sprawa jest teraz ich sprawą, jeśli chcą przeżyć.

Raskos spojrzał na dwie triremy; ich bliskość ułatwiła mu decyzję.

– Masz rację. Jeśli będą walczyć, to może uda nam się odeprzeć atak z dwóch stron. Niech Gaidres przyniesie całą zapasową broń do luku. – Spojrzał na oszołomionego sytuacją nadzorcę niewolników, który już sobie wyobrażał odwet, jaki dwustu uzbrojonych niewolników weźmie na nim i jego pomocnikach. Odczytując jego myśli, Raskos dodał: – Tym, co się może wydarzyć potem, będziemy się martwić, jeśli będzie jakieś potem. Weź klucze i uwolnij wszystkich, a ja zejdem na dół i do nich przemówię.

Wespazjan ruszył do Gaidresa, kiedy grad strzał wystrzelonych z bliższej pirackiej galery pozbawił ich kilku kolejnych bezcennych obrońców.

– Walka u boku niewolników to coś nowego – powiedział ponurym głosem Gaidres, kiedy usłyszał plan. – Miejmy nadzieję, że będą walczyć razem z nami, a nie przeciwko nam.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – oświadczył Wespazjan i ruszył do luku

prowadzącego na pokład wiosłowy. Gwałtowny wstrząs rzucił go na deski pokładu. Uderzył w nich pierwszy trójrzędowiec, ale na szczęście nie zdążył jeszcze osiągnąć wystarczającej szybkości, żeby taran z brązu mógł zdruzgotać drewno kadłuba. Drugi trójrzędowiec taką prędkość już miał i był odległy zaledwie o trzysta kroków. Wespazjan rzucił tarczę i zszedł po drabinie na dolny pokład.

Raskos przemawiał do niewolników.

– Macie wybór – mówił – możecie pójść na dno przy wiosłach, razem ze statkiem, albo walczyć razem z nami, jako ludzie wolni, by przeżyć bądź zginąć, zgodnie z wolą bogów. I pamiętajcie, że piraci, jeśli zwyciężą, przykują was znowu do wiosła, ale jeśli my ich odeprze my, wy będziecie wolni, a po powrocie do Tracji uzyskam u królowej potwierdzenie tej wolności. Co wybieracie?

Wespazjan otworzył drzwi małej kabiny. Sabinus przytrzymał kapłana, któremu Magnus zdejmował obręcze z nóg.

– Szybciej, chłopcy – popędzał ich Wespazjan.

– Co się, na Hadesa, dzieje? – spytał Magnus, szarpiąc się w pośpiechu z kajdanami Rotelesesa.

– Tworzymy sobie małą armię – odparł Wespazjan, kiedy usłyszeli głośny krzyk radości niewolników.

– Rozkuć ich – rozległ się głos przekrzykującego zgiełk Raskosa.

Nadzorca i jego pomocnicy uwalniali pospiesznie byłych już niewolników, którzy nie mogli się doczekać chwili, kiedy zrzucą z siebie łańcuchy.

– Modlę się do Amfiraosa, by się okazało, że wskazał mi właściwą drogę postępowania i że nie odczytałem błędnie jego przesłania – rzucił kapitan do Wespazjana, mijając go w drodze na górę. Za nim radośnie podążali ci z wiosłarzy, których już rozkuto.

– Co on chciał przez to powiedzieć? – spytał Sabinus, kiedy razem z Magnusem wywlekli z kabiny mamroczonego coś Rotelesesa, wciąż jeszcze skutego.

Nim Wespazjan zdążył mu odpowiedzieć, na pokładzie wiosłowym rozległ się ogłuszający trzask; statek poleciał w prawo, wyrzucając wszystkich w powietrze. Wokół eksplodowały ostre drzazgi, pośrodku ryku wdzierającej się do środka wody, a okuty brązem taran przebił się przez kadłub, sunąc wprost na Wespazjana. Zatrzymał się raptownie, z głuchym odgłosem, zaledwie o dłoń od leżącego młodzieńca, kiedy dziób atakującego statku zarył w

kadłub pięciorzędowca. Przerażliwe krzyki rozdarły powietrze. Okręt ponownie się zakołysał, unosząc taran, który rozrywał dalej szczelinę, przebijając się z ogłuszającym trzaskiem przez klepki poszycia. Masy wody runęły do wnętrza. Kiedy kwinkwerema zakołysała się w drugą stronę, taran opadł z łoskotem na pokład, rozrywając go i przebijając w dół aż do zęzy, i miażdżąc tę garstkę chorych niewolników, którzy mieli pecha znaleźć się na jego drodze. Statek znieruchomiał, ponownie unosząc taran na wysokość pokładu wiosłowego, gdzie już pozostał, kiwając się groźnie niczym dzika bestia gotowa do skoku, tuż przed twarzą Wespazjana.

– Na fiuta Bachusa – wychrypiał trybun, spoglądając przerażonymi oczyma na okuty brązem szpic tarana; widniał na nim napis po grecku: „Pozdrowienia dla Posejdona”. Fragment zmasakrowanego ciała niewolnika wpadł z pluskiem do zęzy.

Magnus pierwszy doszedł do siebie.

– Ruszaj się, panie! – krzyknął, wyciągając Wespazjana z kotłującej się wody. Uwolnieni wiosłarze pędzili obok nich, przeskakując przez chwiejący się niebezpiecznie taran i rzucając się do drabiny, by jak najszybciej umknąć przed zalewającą pokład wiosłowy wodą. Pomocnicy nadzorcy pospiesznie rozkuli pozostałych wiosłarzy i też ruszyli na górę. Ci, którzy byli zbyt okaleczeni, by móc chodzić, wzywali żałośnie pomocy, gdy tymczasem poziom wody się podnosił. W kracie nad zęzą pokazały się palce nieszczęśników, którzy nie mogli liczyć na żadną pomoc, a zagradzający drogę taran odbierał im nadzieję na wydostanie się przez zdruzgotany pokład.

Magnus przepychał się do drabiny; Sabinus włókł Rotekesa, który bełkotał coś przerażony. Wespazjan szedł za nimi i odzyskując powoli zmysły, wydostał się na główny pokład.

Tam podniósł tarczę, wyciągnął z pochwy miecz i rozejrzał się wokół. Widok był przerażający. Na wprost niego piraci skakali na pokład z dziobu drugiego trójrzędowca, wciąż wbitego w kadłub ich okrętu. Wpadali wprost w szaloną kotłowaną zasilaną przez ciągle napływających, świeżo uzbrojonych niedawnych wiosłarzy, kipiących uwalnianą teraz, a gromadzoną przez lata niewoli wściekłością. Walczyli zaciekle niczym dzikie bestie, nie dbając o własne bezpieczeństwo, kiedy tylko przypomnieli sobie, czym jest działanie z własnej wolnej woli. Lata, jakie spędzili przykuci do wiosł, uwięzieni w ciemnicy, rozplynęły się w jednej chwili, kiedy użyli swoich potężnych ramion do okaleczania i zabijania. Szczyrzyli zepsute zęby pod długimi, zmierzwionymi brodami, krzyczeli, nieomal radośnie, niczym furie.

Widząc, że na dziobie piraci są powoli spychani do tyłu, Wespazjan pobiegł wzdłuż pokładu do miejsca, gdzie z trackim statkiem szepiła się burtą za pomocą haków druga galera. Tutaj szerszy front umożliwił abordaż większej liczbie napastników i starcie nie miało już tak jednostronnego charakteru. Przekonawszy się wcześniej, co oznacza wpuszczenie między siebie wymachujących długimi ostrzami swojej broni Traków, piraci uformowali mur z tarcz. Skuleni za nim, uchylali się przed zamaszystymi koszącymi cięciami włóczni i posuwali się powoli do przodu, spychając do tyłu załogę i wojowników, którzy nie dawali rady ich powstrzymać. Z boku, tuż przy nadburciu, Wespazjan dostrzegł, jak Sabinus i Magnus, osłonięci zdobycznymi tarczami, stoją ramię przy ramieniu, starając się zatrzymać piratów. Sabinus machinalnie ciął mieczem, a Magnus jedną ręką wymachiwał trochę włócznią. Wespazjan podbiegł do nich, uważając, by się nie poślizgnąć w kałużach krwi, którą spływał pokład. Wcisnął się pomiędzy brata i nadburcie i osłaniając się tarczą, zaczął dźgać i ciąć mieczem.

W miarę jak piraci posuwali się do przodu, za nimi napływali kolejni z ich statku, poszerzając linię natarcia, aż cała sześćdziesięciosobowa załoga przeniosła się na kwinkweremę, coraz mocniej naciskając Traków, których linia w miarę rozciągania robiła się coraz słabsza. Kilku napastników straciło nogi i leżało, wrzeszcząc, na pokładzie, a krew tryskała z ich świeżych kikutów, jednak poza tym ich linia trzymała się mocno.

– To na nic – stwierdził zdyszany Sabinus, kiedy zmuszony był cofnąć się o kolejny krok i niemal stracił równowagę, bo statek przechylił się nagle do przodu. – Zresztą i tak toniemy. Musimy zdobyć ich statek, a nie bronić naszego.

– Obrócimy ich tak, żeby ustawili się tyłem do tamtej walczącej grupy – wysapał Wespazjan, którego miecz znów natrafił na drewnianą tarczę. – Wtedy niewolnicy będą mogli zaatakować ich od tyłu.

– Albo piraci rozsypią się po całym pokładzie.

– Nie, jeśli skoordynujemy akcję i wykonamy wszystko błyskawicznie. Słuchajcie, aż zawołam, a wtedy natychmiast ustąpcie.

Sabinus skinął głową; Wespazjan oderwał się od napastników i okrążył grupę toczącą w ścisłej walce. Na drugim końcu linii Gaidres z Sitalkesem i Drenisem szerokimi zamachami *rhomphaiai* siekli ścianę tarcz, ale nie byli w stanie powstrzymać jej powolnego przesuwania się do przodu.

– Gaidres, ze mną! – zawołał Wespazjan. – Sitalkes, utrzymuj lewe skrzydło linii w

miejscu, kiedy prawie się cofnie.

Ogromny Trak krzyknął na znak, że zrozumiał rozkaz, i dalej wściekle atakował znajdującą się przed nim tarczę.

Wespazjan z Gaidresem pobiegli ku grupie toczącej bój na dziobie. Trupy zaścielały pokład. Szaleńczy atak uwolnionych wioślarzy zepchnął piratów, przy ciężkich stratach po obu stronach, z powrotem na ich statek. Piraci walczyli rozpaczliwie, by nie pozwolić tym oszalałym, długowłosym przeciwnikom wejść na swój pokład, podczas gdy ich wioślarze z całych sił wiosłowali do tyłu, żeby wyrwać taran z kadłuba trackiego okrętu.

– Gaidresie, potrzebuję co najmniej pięćdziesięciu naszych wioślarzy. Jesteś w stanie nad nimi zapanować?

– Spróbuję – odparł żołnierz, spoglądając nerwowo na rozszalałą zgraję.

Przeszywający zgrzytliwy skrzyp drewna trącego o drewno zagłuszył wrzaski i szczęk broni, a pokład przechylił się złowieszczo; piracki trójrzędowiec się uwolnił. Kiedy taran się cofnął, dziób trackiego okrętu zanurzył się głębiej w wodzie.

– Spiesz się, Gaidresie – wołał Wespazjan – mamy niewiele czasu.

Z wykrzywioną twarzą, Gaidres wdarł się w wyjąca cizbę, nawołując do spokoju. Ci spośród byłych niewolników, którzy mieli luki, zaczęli prowadzić obłąkańczy pojedynek strzelecki z załogą wycofującego się trójrzędowca. Ludzie po obu stronach spadali z krzykiem do kotłującej się wody, ściskając rękoma drzewce strzał tkwiące w ich ciałach.

Gaidresowi udało się zaprowadzić jako taki porządek i przygotować ludzi do ataku. Sprawdzając, czy nie zagraża im nic od tyłu, Wespazjan spojrzał na odległą już o trzydzieści kroków, wycofującą się galerę. Przez moment patrzył w jedyne, płonące wściekłością oko kapitana, którego widział w drodze z sanktuarium. Mężczyzna obrzucił Wespazjana przekleństwami, zanim schował się za nadburciem przed gradem strzał nadlatujących z trackiego okrętu.

Otrząsając się z wrażenia, jakie wywarł na nim ten zbieg okoliczności, krzyknął najgłośniejszym jak umiał:

– Teraz, Sabinusie!

Na drugim końcu statku Sabinus usłyszał krzyk brata i razem z Magnusiem natychmiast się cofnął, pociągając za sobą Traków. Sitalkes utrzymywał swoją pozycję w centrum i cała linia obróciła się wokół niego. Piraci rzucili się do przodu, nie domyślając się, że to pułapka.

Tymczasem Wespazjan i Gaidres z przeszło setką rozczochranych, wrzeszczących dzikusów pędzili już na nich od tyłu po sterzącym w górę pokładzie.

Ogarnięci żądzą krwi, do której zaspokojenia było im jeszcze daleko, wioślarze zwalili się na grzbiety piratów, tnąc, wypruwając wnętrzności, z szaleństwem, które wstrząsnęło trybunem, choć sam też przecież zabijał. Radość tych ludzi z odzyskania życia ulegała zwielokrotnieniu, kiedy w morderczym szale, bliskim koszmarowi, w jakim się znajdowali przez kilka ostatnich lat, odbierali jedno życie za drugim.

Piraci, kiedy znaleźli się pomiędzy falą obłądnej furii za sobą i nawałnicą trackich ostrzy przed sobą, wiedzieli, że są straceni, i nie oczekując litości, postanowili drogo sprzedać życie. W ostatnich chwilach walczyli z zaciętością dorównującą zjadłości swoich wrogów, jednak ich liczba szybko malała i linia się przerzedzała.

Wespazjan zatopił miecz w kolejnych odsłoniętych plecach i wykonał dwa ostre ruchy nadgarstkiem; ugodzony pirat wrzasnął, odrzucając do tyłu głowę, która gwałtownie drgnęła i w jednym błysku żelaza spadła mu z ramion. Krew tryskała z otwartej szyi, bo serce wciąż ją pompowało, spryskując Wespazjana. Ciało osunęło się na pokład, krwawy czerwony deszcz ustał i Wespazjan zobaczył przed sobą Sitalkesa, który z płonącym wzrokiem i obnażonymi zębami, unosząc swoją włócznię, ruszył na niego. Wespazjan instynktownie zasłonił się tarczą i klinga opadła na jej krawędź, posyłając w powietrze obłok iskier.

– Sitalkesie, przestań! – zawołał, opuszczając tarczę.

Trak znieruchomiał, przyjrzał się Wespazjanowi, po czym uśmiechnął się przepraszająco. W tym samym momencie zbryzgany krwią wyzwolony wioślarz skoczył na niego z wyciem i wbił nóż w gardło wielkiego Traka.

– Neeeeee! – wrzasnął Wespazjan, kiedy Sitalkes padał, a oszalały dzikus nie przestawał dźgać go nożem. Wespazjan chwycił go za splątane włosy i odciągnął. Mężczyzna odwrócił się, wykrzykując coś niezrozumiale, i zamierzył się nożem na Wespazjana. Miecz trybuna opadł łukiem, pozbawiając go ręki przy łokciu, a drugim cięciem – głowy.

– Ty nędzny brudny zasrańcu – ryknął Magnus, tnąc swoją włócznią i zupełnie zbytecznie rozcinając trupowi brzuch.

Wzdłuż całej linii rozgrywały się podobne sceny, kiedy niedawni niewolnicy, wykończywszy ostatnich piratów, stanęli twarzą w twarz z Trakami. Rozległy się ostrzegawcze okrzyki, kiedy te dwie strony zderzyły się ze sobą. Traków było zdecydowanie mniej, jednak

dłuższa broń i lepsza dyscyplina umożliwiła im powstrzymanie sojuszników, choć dopiero po tym, jak tamci dopadli i roznieśli w strzepy nadzorcę i jednego z jego pomocników. Sprawcy zostali natychmiast uśmierceni przy wtórze syku włóczni, co przywróciło rozsądek pozostałym. W końcu jedni i drudzy opuścili broń i ciężko dysząc, spoglądali na siebie nieufnie.

Zapanowała niesamowita cisza.

Wespazjan obejrzał się za siebie; dziób pięciorzędowca już prawie cały znajdował się pod wodą; statek unosił się wyłącznie dzięki temu, że jedna galera piratów, teraz już bez zbrojnej załogi, była z nim połączona czterema napiętymi linami. Drugi trójrzędowiec sunął teraz do siostrzanej galery, bo piraci chcieli zdążyć ją przejąć, zanim zrobią to Trakowie.

– Przechodzić na triremę – wrzasnął Wespazjan – i szykować się do odparcia ataku!

Okrzyk ten uzmysłowił wycieńczonym ludziom grozę ich położenia i obie grupy zgodnie i milcząco zawarły rozejm, po czym szybko zaczęły opuszczać statek.

– Łucznicy za mną – zawołał Sabinus, przeskakując na piracki statek, którego dziób, ciągnięty przez tonący pięciorzędowiec, powoli osuwał się coraz niżej. – Powstrzymamy ich tak długo jak się da.

Około pięćdziesięciu ludzi z łukami, zarówno członkowie załogi, jak i byli wioślarze, ruszyło za nim.

– Zabieramy ze sobą wszystkich rannych, nawet byłych niewolników – zawołał Gaidres, na tyle głośno, by usłyszeli go wszyscy. – Co z naszym wielkoludem?

Magnus przyklęknął przy Sitalkesie i szukał oznak życia.

– Nie żyje – powiedział bezbarwnym głosem.

– Zabiorę jego ciało; królowa będzie sobie życzyła, by pochowano go z honorami.

Drenis!

– Gdzie Roteles? – zainteresował się Wespazjan.

– Zostawiłem go z Artebuzem na rufie – odparł Magnus, patrząc, jak Gaidres i Drenis idą z ciałem Sitalkesa, pomiędzy ludźmi w pośpiechu szukającymi żywych pośród leżących.

– Pójdę po niego, ty zabierz nasze rzeczy, a przede wszystkim ten zwój.

Magnus nie zareagował.

– No już, rusz się, bo inaczej dołączymy do niego.

Magnus drgnął wyrwany z zamyślenia i popędził zabrać rzeczy z kabiny na rufie rozbitego statku.

Na powierzchni łagodnie falującego morza unosiły się martwe ciała; woda sięgnęła masztu pięciorzędowca. Opuszczał się z niego właśnie majtek, który zabrał ze szczytu królewski sztandar Tracji. Wespazjanowi udało się odnaleźć Artebuza pośród panującego wszędzie chaosu. Ciągnął wrzeszczącego Rotekesa za łańcuchy w stronę trójrzędowca. Nad ich głowami zaczęły fruwać strzały, wysyłane przez Traków i załogę drugiej galery.

Kwinkwerema raptownie się zakołysała. Gaidres przeciął linę dziobową, żeby zmniejszyć nacisk na statek piracki, który zanurzył się już tak głęboko, że najniższe otwory na wiosła znajdowały się zaledwie o szerokość dłoni ponad lustrem wody.

– Pospiesz się, Artebuzie – zawołał Wespazjan, odzyskując równowagę.

– Kiedy on nie chce iść – powiedział Artebuz, ciągnąc opierającego się kapłana kolejne kilka kroków po niebezpiecznie już teraz przechylonym pokładzie.

– Ruszaj się żywo, zasrańcu – warknął Wespazjan, chwytając go za tunikę. – O co ci chodzi? Nie chcesz opuścić swojego bezcennego, obłożonego klątwą statku?

– Moi bogowie mnie odnajdą, tylko jeżeli zostanę na tym statku – zapiszczał Rotekes, a jego przekrwione oczy błyszczały fanatycznie religijną żarliwością. – Ci z tego drugiego pirackiego statku wybiją was wszystkich, a ja się uratuję, jeśli zostanę tutaj.

– Nie bądź głupi – roześmiał się Wespazjan, kiedy dotarli do burty, przy której panował duży ścisk – gdybyś nie był dla mnie tak cenny, z przyjemnością bym cię tu zostawił i obserwował twoje rozczarowanie.

– Powiedziałem ci, że ten statek nigdy nie dopłynie do Rzymu.

– Nietrudno było to przewidzieć – oświadczył Wespazjan ze zjadliwym uśmiechem, przerzucając kapłana przez poręcz. – Rzym nie jest morskim portem. Statek tam w ogóle nie płynął, tylko do Ostii, więc udław się swoimi prorocत्वami.

Razem z Artebuzem przerzucili kapłana na trójrzędowiec, gdzie wylądował z głośnym kłapnięciem i wraskiem. Artebuz przeszedł tuż za nim i odciągnął go od burty.

Gaidres odciął linę na rufie; pięciorzędowiec zakołysał się i jeszcze bardziej przechylił, a ciała zabitych zaczęły się zsuwać po pokładzie.

– Na miłość Bendis, spieszcie się – krzyknął – już dłużej go nie utrzymam!

Rozpaczliwe krzyki dobiegały od strony niewolników przykutych do wiosel trójrzędowca, którzy patrzyli, jak woda zbliża się do otworów na wiosła.

Strzały świstały coraz gęściej; pojedynek łuczniczy przybrał na sile wraz z przybyciem

większej liczby Traków i ich dziwnych sojuszników. Wspólnie trzymali statek piracki w bezpiecznej odległości.

Wreszcie obok Wespazjana pojawił się Magnus z ich rzeczami i obaj przeskoczyli na pokład trójrzędowej galery. Za nimi był jedynie Raskos, który przyciskał do piersi szkatułę z pieniędzmi i swoją tubę. Gaidres i Drenis przecięli dwie ostatnie liny. Trójrzędowiec gwałtownie uniósł się w górę, niemalże wyskakując ponad powierzchnię morza, po czym opadł z podskokiem i głośnym pluskiem. Ponad dwustu ludzi, rymnęło jak jeden mąż na deski pokładu. Piraci dobrze wykorzystali ich chwilową niemoc i wielu już nie wstało.

Wespazjan zerwał się na nogi; ryk pędzącego wiatru kazał mu się odwrócić. Zobaczył, jak rufa trackiego okrętu wyskakuje z wody i stercząc prawie siedemdziesiąt stóp nad powierzchnią morza, łamie maszt na dwoje i wyrzuca ciała zabitych w powietrze. Spadały jedno po drugim z pluskiem, niczym ciskane do morza kamyki. Kipiel wodna, która wdarła się do kadłuba, wypchnęła cuchnące powietrze przez otwory na wiosła. Statek zaczął się ześlizgiwać w głąbię. Drewno skrzypiało i jęczało boleśnie, kiedy dumny kiedyś okręt wciągany był do mrocznego królestwa Posejdon przy akompaniamencie radosnych okrzyków jego byłych wioślarzy.

Ostatnia eksplozja wody zakołysała triemą i pięciorzędowiec zniknęła. Walka łuczników, która na chwilę przygasła, kiedy obie załogi przyglądały się ze zgrozą agonii wielkiego okrętu, rozgorzała na nowo, a Sabinus krzykiem poganiał swoich ludzi do zwiększenia częstotliwości strzelania. Statek piratów zaczął się cofać przed nieprzerwanym gradem strzał. Po jakimś czasie Sabinus nakazał zaprzestać strzelania i oba trójrzędowce tkwiły dwieście kroków od siebie; zbyt blisko, by któryś mógł nabrać niezbędnej szybkości, pozwalającej połamać wiosła tego drugiego, a co dopiero przedziurawić mu kadłub, i zbyt daleko, by zagrażać mu strzałami z łuków. Utknęli w martwym punkcie.

Powietrze znieruchomiało.

W tej sytuacji, mając ponad dwustu pięćdziesięciu ludzi na pokładzie, w tym wielu uzbrojonych w łuki, nie musieli obawiać się abordażu, ale nie mieli też dość prowiantu na drogę do Ostii. Dla Wespazjana było oczywiste, że muszą spróbować zdobyć drugi piracki trójrzędowiec. Należało go przejąć, dokonując bezpośredniego ataku, albo przynajmniej, nim zatonie, zabrać z niego prowiant. Musieli płynąć naprzód, tymczasem tkwili w miejscu, z nieruchomymi wiosłami.

Pobiegł na rufę.

– Dlaczego stoimy w miejscu, Raskosie? – zapytał.

– Bo znowu mamy kłopoty, przyjacielu, niech bogowie nas strzegą – kapitan wzniosł do góry otwarte dłonie. – Piraccy nadzorcy niewolników zdążyli tu zabić ponad stu wiosłarzy, zanim nasi ludzie do nich dotarli. Nie jesteśmy w stanie manewrować. Kiedy tamci się zorientują, cofną się, nabiorą szybkości i nas staranują.

– W takim razie część naszych wiosłarzy musi zająć miejsce zabitych, i to jak najszybciej.

– Tak, ale skoro oni teraz są wolni, to niby jak mają się wziąć do wiosłowania, na dodatek ramię w ramię z niewolnymi?

– Uwolnimy tamtych. I tak bym to zrobił, bo wielu z nich na pewno wzięto z rzymskich statków. Pogadaj z naszymi wiosłarzami i przyślij mi setkę z nich na dół.

Przywoławszy Gaidresa, Wespazjan zszedł z nim na pokład wiosłowy. Zastali tam makabryczny widok. Ciała ludzi zabitych pchnięciem w pierś lub plecy zwisały bezwładnie nad wiosłami. Ci, którzy przeżyli, siedzieli skamieniało, patrząc pustym wzrokiem na czterech Traków, którzy uwalniali trupy z okowów i przez otwory wiosłowe wrzucali do wody.

– Uwolnijcie najpierw niewolników, a potem pozbądźcie się ciał – rozkazał Wespazjan Trakom. Spojrzeli na niego pytającym wzrokiem.

– Słyszeliście go. Wykonać natychmiast! – krzyknął Gaidres.

Trakowie wzruszyli ramionami i zajęli się wykonaniem rozkazu.

– Pozostaniecie na miejscach! – krzyknął głośno Wespazjan tak, żeby wszyscy niewolnicy mogli go usłyszeć. – Musicie wiosłować, ale teraz już jako ludzie wolni. Jeśli odmówicie, zginiemy wszyscy. Czy są tu jacyś rzymscy obywatele?

Podniosło się ponad dwadzieścia zakutych w żelaza rąk.

– Jesteście zwolnieni z wiosłowania, idźcie na górny pokład i znajdźcie sobie broń.

Pozostali wiosłarze zaczęli głośno protestować.

– Cisza! Milczeć! – ryknął Wespazjan. – Obywatel Rzymu nie zgina grzbietu przy wiosle. Was natomiast nie chroni obywatelstwo i dlatego będziecie wiosłować. Jeśli przeżyjemy, popłyniemy do Ostii, gdzie będziecie mogli opuścić statek albo, jeśli wolicie, możecie wrócić na nim na wschód; sami o tym zadecydujecie.

Rozległy się pomruki wyrażające zgodę.

Człowiek, który podawał tempo niewolnikom na trackim okręcie, zszedł na dół, a za nim wiosłarze. Spojrzał na Wespazjana, który ruchem głowy wskazał mu obciążony skórą wołu

bęben.

Błyskawicznie usunięto ciała zabitych z pokładu wiosłowego i wiosłarze zajęli wolne miejsca, a Wespazjan i Gaidres pospieszyli z powrotem na główny pokład.

Krzykliwe mewy, przyciągnięte pływającymi szczątkami, krążyły nad ich głowami i spadały na powierzchnię wody, wyławiając jadalne kaski.

– Wygląda mi na to, że mają dość – powiedział Magnus, wskazując ręką piracki okręt, który zawrócił i posuwając się szybko na zachód, oddalił już od nich o jakieś ćwierć mili.

– Miejmy nadzieję – odparł Wespazjan z powątpiewaniem w głosie. – Raskosie, pokład wiosłowy jest gotowy. Co według ciebie powinniśmy teraz zrobić?

– Pomodlić się do bogów.

– A co potem? – gniewnie odezwał się Wespazjan. – Iść spać i mieć nadzieję, że przyśni nam się jakiś pomocny sen? Bądź choć trochę praktyczny, człowieku. Próbujemy zdobyć piracki statek i przejąć jego zapasy jedzenia czy uciekamy i później się zastanawiamy, co będziemy jedli? Ty jesteś kapitanem, ty decydujesz o tym, co wszyscy ludzie na okręcie mają robić.

Ten wybuch Wespazjana przywrócił sędziwego kapitana do rzeczywistości i uzmysłowił mu ich prawdziwe położenie.

– Oni nie uciekają – oświadczył całkiem rzeczowo. – Jest tak jak powiedziałem wcześniej: przygotowują się do staranowania naszego statku, bo sądzą, że wciąż nie możemy manewrować. Ponieważ i tak płyniemy na zachód, powinniśmy ruszyć wprost na nich, wtedy będą mogli dokonać wyboru: walka albo ucieczka. – Przyłożył do ust tubę. – Prędkość ataku! – zawołał do podającego tempo.

Natychmiast rozległo się miarowe bębnienie; najpierw powolne, kiedy trójrzędowiec ruszył, potem znacznie szybsze, a wiosłarze, teraz już ludzie wolni i żywo zainteresowani przetrwaniem okrętu, chętnie i solidnie przyłożyli się do pracy.

Piracka trirema wykonała szybki zwrot, kiedy jego kapitan zobaczył, że statek przejęty przez Traków odzyskał zdolność manewrowania i płynie wprost na nich.

– Chyba jest szalony, jeśli myśli, że uda mu się odbić tę galerę – powiedział Magnus, podchodząc do Raskosa i Wespazjana, którzy obserwowali, jak zmniejsza się odległość pomiędzy dwoma statkami.

– On nie jest szalony, jest tylko wściekły. Stracił jeden okręt, ale nie postradał rozumu. Nie dokona abordażu, tylko spróbuje nas zatopić – odparł Wespazjan, już drugi raz tego dnia

sprawdzając, czy miecz gładko wychodzi z pochwy. – On nie ma szansy na wygraną, jednak wciąż istnieje możliwość, że wszyscy możemy przegrać.

– Łucznicy, gotuj się! – zawołał Sabinus, biegnąc na dziób.

Pomimo odesłania około stu wiosłarzy na dół wciąż ponad setka ludzi znajdowała się na pokładzie.

Statek przejęty przez Traków zmienił kurs lekko w lewo.

– Co robisz, Raskosie? – zaniepokoił się Wespazjan.

– To, na czym się znam – odparł kapitan, z oczyma wbitymi w zbliżającą się jednostkę. – Ty zajmuj się swoimi zadaniami, a ja się skupię na swoich.

Kapitan piratów zmienił kurs, żeby dostosować się do sytuacji. W odległości dwustu kroków Raskos wrócił na pierwotny kurs; pirat zrobił to samo. Nie płynęli teraz dokładnie na siebie, co pozostawiało piratowi wybór: próbować połamać wiosła przeciwnikowi albo skierować okręt nieco bardziej w lewo i taranować, atakując pod niewielkim kątem. Kiedy statki były sto kroków od siebie, zdecydował się na to drugie.

– Prędkość taranowania! – krzyknął Raskos przez swoją tubę.

Kiedy tempo wiosłowania wzrosło, skręcił w prawo. Statek ustawił się co prawda burzą do piratów, ale płynął na tyle szybko, by zdążyć ich minąć, zanim uderzą.

– Teraz! – krzyknął Sabinus. Dziesiątki strzał pomknęły w stronę pirackiej galery, odległej zaledwie o pięćdziesiąt kroków; obsypały kadłub i pokład, powalając kolejnych członków załogi. Trakowie nie poprzestali na tym, tylko posyłali na wrogi statek nieustanny grad strzał, zmuszając jego załogę do krzyka się za nadburciem.

Wespazjan widział, że ogromny kapitan piratów, nie zważając na deszcz strzał, tkwi przy wiosłach sterowych. Krzyczał do swoich ludzi, by odpowiadali strzałami, podczas gdy on sam próbował sprowadzić statek na kurs przechwycenia. Było już jednak za późno; kiedy statki znajdowały się zaledwie trzydzieści kroków od siebie, Raskos wydał rozkaz kolejnego zwrotu w prawo i pirat znalazł się za nimi, w roli ścigającego. Nieco strzał spadło na ciasno wypełniony ludźmi pokład okrętu Traków i przez dudnienie bębna i stękanie stu osiemdziesięciu ochoczych wiosłarzy przedarły się krzyki kilku rannych. Łucznicy tracy nie przestali obsypywać piratów strzałami.

Wespazjan przepchał się do Raskosa. Stary kapitan obdarzył go szerokim uśmiechem.

– I co ty na to? – zawołał. – Wymanewrowałem go bez jednej modlitwy, niech bogowie

mi wybaczą.

– Dlaczego go minąłeś? – spytał Wespazjan. – Myślałem, że spróbujemy go zdobyć.

– Ponieważ, mój drogi przyjacielu, kiedy on zawrócił i ruszył wprost na nas, uświadomiłem sobie, że nie miałeś racji. On jednak stracił rozum. Poświęciłby statek, żeby tylko nas zniszczyć, z czystej złośliwości. To było szaleństwo, a ja nigdy nie walczę z szaleńcami. Skąd można wiedzieć, co za chwilę zrobią?

Rzymianin popatrzył ponad ramieniem Raskosa na ścigającego ich pirata.

– I co teraz? Przecież nas doganiają.

– Uciekamy. Jesteśmy w stanie utrzymać prędkość taranowania dłużej od nich – odparł Raskos, puszczając do niego oko. – Gaidresie, wysyłaj kolejnych wiosłarzy, grupami po dwunastu, żeby zmieniali innych, poczynając od dziobu.

Wespazjan przeszedł do stojącego na rufie Sabinusa. Piracka galera znajdowała się już niecałe pięćdziesiąt kroków za nimi i wciąż się powoli zbliżała. Niewolników przy wiosłach smagano bezlitośnie, by wycisnąć z nich całą energię. Fala uniemożliwiała obu stronom celne strzelanie i pomimo ogromnych starań Sabinusa kapitan piratów tkwił niezmiennie przy wiosłach sterowych, wykrzykując na całe gardło rozkazy.

– Ten człowiek jest chyba wybrańcem bogów – mamrotał Sabinus pod nosem, zakładając kolejną strzałę i starannie celując. I znowu strzał okazał się niecelny. – Muszę mu to przyznać, ma jaja, żeby tak tam tkwić.

Wymiana zmęczonych wiosłarzy zaczęła przynosić rezultaty. Nawet rzymscy obywatele zgłosili się na ochotnika do wiosłowania, zdając sobie sprawę z tego, że przywileje obywatelskie nie przydadzą się martwym. Trakowie powoli się oddalali, kiedy wycieńczeni wiosłarze na pirackiej galerze zaczęli padać bez sił, a wypuszczone z rąk wiosła szepiły się ze sobą. Kapitan piratów wziął kurs na południe, ku Cyterze, i ryczał wściekle za swoimi przeciwnikami, dopóki grad strzał nie zmusił go do schowania się za nadburciem.

– Prędkość zwykła – zawołał Raskos.

Tempo bębnienia uległo spowolnieniu.

– Dzięki niech będą Amfīaraosowi za ukazanie mi właściwej drogi postępowania – zawołał Raskos ku niebu. – Kiedy dotrzemy do Ostii, złożę mu w ofierze jeszcze jednego barana.

– Jeśli dotrzemy – poprawił go Wespazjan. – Jak nakarmimy tych wszystkich ludzi?

– Bogowie nam pomogą. Nie mam co do tego wątpliwości, bo przecież pokazali nam, jak

umknąć piratom.

– Nie pokazali nam jednak, jak ich pokonać – zakpił Sabinus. – Czyż twój sen nie mówił o tym, jak zachować załogę i pozbyć się choroby niewolników?

Raskos był bardzo z siebie zadowolony.

– Owszem, i nie możesz zaprzeczyć, że uwalniając niewolników, obroniłmy załogę przed atakiem piratów. Jeśli zaś chodzi o powstrzymanie rozszerzania się zarazy, to wydałem rozkaz, by uwolnić jedynie zdrowych niewolników. Zarażeni z zęzy poszli na dno razem z okrętem. Jesteśmy teraz wolni od zarazy i powinniśmy bez przeszkód dopłynąć do celu.

Wespazjan dostrzegł prawdę w słowach kapitana; wyrocznia rzeczywiście udzieliła Raskosowi odpowiedzi na jego pytanie. Podeszedł do burty i rozkoszując się uspokajającymi muśnięciami chłodnych powiewów wiatru i ciepłych promieni słonecznych, zastanawiał się nad wszystkim, co widział i słyszał w sanktuarium Amfiaraosa.

– Wygląda na to, że w tym sanktuarium tkwi potężna moc, Sabinusie – powiedział cicho do brata chwilę później, kiedy obserwowali, jak piracki okręt i przechwycony przez niego statek handlowy znikają na południu, za cypłem Cytery. – Co teraz sądzisz o przepowiedni?

– Nie wiem, Wespazjanie – odparł brat. – Jedno jest pewne, nigdy jej nie zapomnę.

– Ja też nie – powiedział Wespazjan.

Statek opuścił cieśninę Cytery i wpłynął na Morze Jońskie, biorąc kurs na Ostię.

CZĘŚĆ IV
RZYM
LIPIEC, 30 R.



Rozdział dziesiąty

Obfitość różnorodnych zapachów podrażniła nos Wespazjana, kiedy zacumowali przy jednym z wielu drewnianych pomostów ostyjskiego portu. To miejsce było wiecznie rozwartą paszczą Rzymu. Świeża, ciepko słona woń morza zderzała się tutaj z błotnistym fetorem Tybru, który wyrzucał do Morza Tyrreńskiego nieczystości leżące dwadzieścia mil w górę rzeki miasta. Smród rozkładających się zwierzęcych trucheł, podskakujących na falach pomiędzy statkami i nabrzeżem, kontrastował z apetycznym aromatem pieczonej wieprzowiny, kurczaków i kiełbas, który rozchodził się w powietrzu znad opalanych węglem drzewnym kuchenek portowych handlarzy, kuszących świeżym mięsem powracających z morza żeglarzy, którym obrzydł czerstwy chleb. Worki z przyprawami korzennymi – cynamonem, goździkami, szafranem – z Indii i jeszcze dalszych krain wyładowywano z syryjskich statków, stojących obok tych z Afryki i Luzytanii, które pozbywały się ładunków ostro pachnącego pikantnego sosu garum, uzyskiwanego ze sfermentowanych rybich wnętrzności. Nadmiernie wyperfumowane dziwki zaczepiały niedomytych żeglarzy; cuchnący czosnkiem dokerzy przyjmowali zamówienia od pachnących lawendą kupców; spocone konie i muły ciągnęły wozy załadowane słodkimi suszonymi morelami, figami, daktylami i rodzynkami. Wespazjanowi, który przyglądał się, jak tracka załoga cumuje statek i opuszcza trap przy wtórze pokrzykiwań Raskosa, kręciło się w głowie od tego nagromadzenia zapachów. Wszystko wydzielalo jakąś woń: gnijące ryby, pieczony chleb, spoceni niewolnicy, żywiczne wino, stęchły mocz, suszone zioła, nadpsute mięso, sznury konopne, zęzy okrętowe i rozgrzane drewno.

– Były takie chwile, kiedy wątpilem, czy tu w ogóle dotrzemy – powiedział Magnus, dołączając do niego przy nadburciu – ale nie ulega wątpliwości, że to jest Ostia.

– Nigdy tu nie byłem, więc muszę ci uwierzyć na słowo – odparł Wespazjan, uśmiechając się do przyjaciela i odczuwając taką jak on ulgę, że jest wreszcie w domu.

Nie była to łatwa podróż, chociażby z racji oczywistych problemów związanych z nakarmieniem tak dużej liczby ludzi. Prowiant, jaki znaleźli w ładowni, wystarczył zaledwie na kilka dni i choć Raskos po drodze, za złoto ze swojej szkatuły, kupował w portach suchary, ciecierzycę i suszoną wieprzowinę, to jednak musieli co jakiś czas zatrzymywać się na dwa lub

trzy dni i polować na zwierzynę, by starczyło jedzenia dla trzystu pięćdziesięciu ludzi znajdujących się na pokładzie. Dlatego rejs z Cytery trwał prawie trzydzieści dni, o wiele dłużej, niż planowali, ale przynajmniej minął spokojnie.

Kiedy wreszcie statek zacumowano, Raskos przepchnął się przez zatłoczony pokład.

– Zatem tutaj, przyjacielu, mówimy sobie do widzenia – oświadczył stary kapitan, pocąc się obficie po wyrzaskiwaniu na załogę. – Choć nie mam pojęcia, jak wrócę do domu, bo zużyłem już całe złoto, włącznie z tym, jakie dostałem od królowej na rejs powrotny.

– Jestem pewny, że bogowie cię wspomogą – odpowiedział Wespazjan i natychmiast pożałował swojej nonszalancji.

Na szczęście Raskos nie poznał się na żarcie i poważnie pokiwał głową.

– Masz rację, na pewno tak będzie.

Na nabrzeżu powstało jakieś zamieszanie i rozległy się głośne krzyki. Grupa dwudziestu uzbrojonych mężczyzn przepychała się do trapu. Nie byli w wojskowych strojach, ale każdy z nich miał miecz; co było bardziej niepokojące – jakość ich tunik i ogólna prezencja wskazywały na gwardię pretoriańską.

Wespazjanowi przeleciały przez głowę myśli o zdradzie. Zerknął nerwowo na Magnusa i Sabinusa, którzy usłyszawszy harmider, dołączyli do niego.

Żołnierze dotarli do trapu i ich przywódca, wysoki, żylasty mężczyzna o kasztanowych włosach, wychudzonej twarzy i ziemistej cerze, kazał im się zatrzymać. Z grupy wyłonił się sztywnie ubrany brodaty Grek.

– Witajcie w domu, panowie – powiedział, wchodząc po stromym trapie na pokład.

– Pallas! – Wespazjan był szczerze zdumiony, widząc zarządcę domu Antonii. – Skąd wiedziałeś, kiedy przybijemy?

– Nie wiedziałem – odparł Grek, kłaniając się nisko – czekam tu już od dziesięciu dni, odkąd tylko przybył łodem posłaniec od królowej Tryfeny i powiadomił panią Antonię, że wypłynęliście z Tomi pod koniec maja. Przysłała mnie tutaj, bym eskortował was i naszego wspólnego przyjaciela do Rzymu.

– A to, jak przypuszczam, jest właśnie nasza eskorta – zauważył Sabinus, spoglądając podejrzliwie na grupę mężczyzn czekających na nabrzeżu.

– Tak, panie. Wyjaśnię później, kiedy nie będzie tyle nastawionych uszu – powiedział Pallas, wskazując ręką tłum żeglarzy i byłych niewolników, którzy zaciekawieni tłoczyli się

wokół nich.

– Czekam na to z niecierpliwością – powiedział zaniepokojony Sabinus.

– Wracać do roboty, wszyscy – rozpędził swoją załogę Raskos – nie ma tu nic do oglądania.

– Ach, to ty musisz być tym szlachetnym kapitanem – powiedział swoim łagodnym głosem Pallas, kiedy mężczyźni zaczęli się rozchodzić.

– Raskos, panie – wyjąkał mężczyzna, całkiem nienawykły, by tak się do niego zwracano.

– Proszę, kapitanie, tak się do mnie nie zwracać, jestem bowiem zwykłym niewolnikiem – rzekł Pallas, wywołując uśmiech na twarzach Wespazjana i Sabinusa, ponieważ według nich w Pallasie nie było nic „zwykłego”.

– Przepraszam, eee... – Raskos był wyraźnie zmieszany.

– Proszę, nie przepraszaj mnie. Mam na imię Pallas, panie.

– Pallas – wykrztusił Raskos – oczywiście. Dziękuję... – urwał widząc, że Grek unosi brew.

– Życzeniem pani Antonii jest, kapitanie Raskosie, byś zaopatrzył statek w prowiant całkowicie na jej koszt. Dostarczyłem edylowi w porcie stosowną notkę, gwarantującą pełną zapłatę za wszystko, czego będziesz potrzebował.

– Chwała niech będzie bogom. – Raskos zwrócił twarz ku niebu i uniół otwarte dłonie. – Proszę złożyć moje podziękowanie szlachetnej pani, panie... ee... Pallasie, jestem jej dłużnikiem. – Uklonił się, po czym uświadomiwszy sobie swój błąd, szybko się oddalił, głośno dziękując za szczęśliwe zrządzenie losu wszystkim bogom, którzy tylko przyszli mu do głowy, a było ich wielu.

Wespazjan był pewien, że Pallasa rozbawiła ta rozmowa, choć twarz zarządcy, jak zawsze, pozostała niewzruszona.

– Powinniśmy już wyruszyć, panowie – powiedział Pallas, a w jego głosie dało się wyczuć delikatny ton ponaglenia. – Będziemy musieli jechać szybko, jeśli chcemy dotrzeć do Rzymu przed zmrokiem.

Po niecałej godzinie byli w drodze. Pożegnawszy Raskosa, Drenisa i Gaidresa, przenieśli posykanego zakapturzonego Rotekesa do krytego wozu, który czekał na nich, razem z ich wierzchowcami, niedaleko zatłoczonego portu. Artebus, który wybierał się na północ, do

swojego domu w górach prowincji Norikum, jechał razem z Magnusem w wozie, pilnując kapłana.

– To pretorianie, jak słusznie panowie podejrzewali – powiedział Pallas, kiedy szybkim truchtem przejeżdżali przez bramę Ostii. – Należą jednak do jazdy pretoriańskiej. Ich dekurion, Marek Arrecynus Klemens...

– Klemens? – przerwał mu Wespazjan – słyszałem już kiedyś to imię... był z Makronem i Hazdronem, kiedy gonili za mną na via Aurelia. Makron wysłał Klemensa na północ z połową jazdy, żeby zablokowali tam drogę, a sam zabrał pozostałych, żeby mnie oszukać.

– Tak, jest lojalny wobec naszego nowego przyjaciela Makrona – potwierdził Pallas. – Przypadkowo jest również klientem syna mojej pani, Klaudiusza.

– Jak to możliwe? – spytał zaciekawiony Wespazjan.

– Z tego, co wiem, lubi na wyścigach obstawiać zespół z najmniejszymi szansami.

– Jest pewna różnica pomiędzy stawianiem na kogoś mającego niewielkie szanse i na takiego, który nie ma żadnych – zauważył Sabinus.

– Nie powiedziałbym, że Klaudiusz nie ma żadnych – odparł Pallas, leciutko unosząc brwi. – Jego matka niewątpliwie tak uważa, podobnie jak cesarz i Sejan, ale właśnie dlatego on wciąż bierze udział w wyścigu. Może wyglądać na głupca, bo się jąka, ślini i kuleje, i dlatego że ma zwyczaj mówić publicznie najbardziej niestosowne rzeczy. Opowiada też żalosne dowcipy, sądząc zapewne, że jest nader błyskotliwy. Jednak pod tym wszystkim kryje się ambitny, żądny władzy wąż, któremu nie można ufać. Jest bardzo inteligentny, napisał sporo prac na różne tematy. Niektóre, jak powiadają, są bardzo pouczające.

– Postawiłbyś na niego, Pallasie? – spytał zaintrygowany tym wszystkim Wespazjan.

Greki rzucił mu bystre spojrzenie.

– Minusem obstawiania w cyrku jest to, że można robić zakłady przed rozpoczęciem biegu. Moim zdaniem jest to najgorszy moment na ryzykowanie własnych pieniędzy. Wolę obstawiać na początku ostatniego okrążenia, kiedy ma się jaśniejszy obraz tego, kto może okazać się zwycięzcą. Ten system ma dwie zalety... większa szansa wygranej i na krócej rozstajemy się z naszymi pieniędzmi.

– Zatem Klemens będzie musiał długo czekać, zanim zobaczy jakiś zysk ze swojej inwestycji? – zachichotał Sabinus.

– Być może, ale jak każdy rozsądny gracz, obstawiający kogoś o znikomym szansach,

ubezpieczył ten zakład niewielką stawką postawioną na Kaligulę; towarzyszy mu, kiedy młodzieniec wychodzi nocą incognito, ratuje go z żenujących sytuacji i sprząta po nim bałagan... który czasami bywa spory.

– Nie wątpię – zgodził się Wespazjan, myśląc o nienasyconym apetycie seksualnym swojego przyjaciela. – Więc należy przyjrzeć się Klemensowi, tak?

– O tak, a jestem pewien, że okaże się bardzo użyteczny dla was obu.

– Z czego to wnosisz? – spytał Sabinus.

– Bo jesteście w łaskach u pani Antonii, a on jest waszym krewnym. Bardzo dalekim, ale pewna więź istnieje. Matka waszego ojca i babka Klemensa miały wspólnego dziadka i jestem przekonany, że to będzie miało dla niego znaczenie.

– Nie wygląda na naszego krewnego – zauważył Sabinus, spoglądając podejrzliwie na jadącego przed nimi dekuriona o wąskiej twarzy. – Brzydal z niego, bez dwu zdań.

– Najlepiej nie oceniać ludzi po wyglądzie, panie – powiedział Pallas, zamykając temat.

Wespazjan jechał w milczeniu. Od momentu, w którym zobaczyli brzeg Italii, wybiegał myślami w przyszłość, a niespokojne trzepotanie w dołku przybrało teraz na sile i młodzieńcowi trudno było się skoncentrować na czymkolwiek. Myślał tylko o Cenis. Zobaczy ją znowu wieczorem, po przeszło czterech latach; przynajmniej miał taką nadzieję. Chyba będzie przy Antonii? Ale czy uda mu się z nią porozmawiać, czy będzie miał szansę być z nią sam na sam, dotknąć ją, objąć? Mógł tylko czekać, żeby się przekonać, a świadomość, że nie panuje nad sytuacją, całkowicie go rozkojarzyła. Usiłował myśleć o innych sprawach: rodzicach, posiadłościach, o wuju Gajuszu, wyspie Capri, której skaliste brzegi mijali poprzedniego dnia, ale bez rezultatu. Jego myśli wracały uparcie do Cenis. Czuł, jak krew napływa mu do krocza, kiedy wyobraził ją sobie, jak w świetle lampki zdejmuje tunikę, i musiał poprawić na sobie ubranie.

– Myślisz o spotkaniu ze swoimi mułami w domu, bracie? – zapytał drwiąco Sabinus, który zauważył jego kłopot.

– Odwal się, Sabinusie – warknął Wespazjan.

– Poprosiłem Klemensa, żeby posłał jeźdźca, który uprzedzi moją panią o naszym przyjeździe wieczorem – wtrącił się Pallas, który zorientował się w sytuacji. – Jestem pewien, że będzie na was czekała wieczerza, a ja dopilnuję, by wszyscy domownicy byli obecni.

Uradowany, że przynajmniej zobaczy Cenis jeszcze tego wieczoru, Wespazjan

uśmiechnął się z zakłopotaniem do Pallas, którego wyraz twarzy, jak zawsze, pozostał niewzruszony, zupełnie jakby to, co powiedział, było bez znaczenia.

Sabinus zachichotał kpiąco.

Pieczeń Antonii wystarczyła, by mogli wjechać do miasta przez bramę Ostyjską bez pytań ze strony strzegących jej żołnierzy kohorty miejskiej, chociaż w dzień pojazdów kołowych nie wolno było wjeżdżać do miasta. Potem prawie pół godziny zajęło im przebicie się przez tłumy na Awentynie, okrążenie Circus Maximus, by znaleźć się u stóp Palatynu. Teraz wreszcie podróż dobiegała końca.

Zmierzchało, kiedy kolumna jeźdźców podjeżdżała pod Wzgórze Palatyńskie. Wstrząs, jakiego Wespazjan doznał, kiedy znalazł się z powrotem w mieście tak zatłoczonym ludźmi, zaczął mijać, kiedy tłumy się przeredziły, a domy coraz bardziej przypominały pałace.

Klemens zadudnił w bramę zamykającą dziedziniec na tyłach willi Antonii; otworzyła się po krótkiej zwłoce.

– Jesteśmy pod obserwacją – zauważył Pallas, kiedy wjeżdżali na podwórze.

Wespazjan rzucił okiem w głąb ulicy i w odległości pięćdziesięciu kroków zobaczył dwie postaci czające się w cieniu cyprysu, którego gałęzie zwisały nad murem.

– Ludzie Sejana? – zapytał.

– To więcej niż prawdopodobne – odpowiedział Pallas, zsiadając z konia – ale nie będą mu mogli wiele powiedzieć ponad to, że przybyła grupa jeźdźców eskortująca jakiś kryty wóz.

– Witam, panowie – zabrzmiał znajomy, mocny kobiecy głos. Antonia zeszła ze schodków i zwinnym krokiem podeszła do nich. Choć miała sześćdziesiąt kilka lat, była wciąż piękna, a jej uroda nie była jedynie rezultatem kosztownych zabiegów upiększających i najlepszych fryzur oraz strojów, jakie można mieć za pieniądze. Uśmiechnęła się promiennie do braci. – Trudno mi wyrazić wdzięczność za to, co uczyniliście dla naszej sprawy. – Ujęła dłoń Sabinusa i mocno ją uściśnęła. Mężczyzna pochylił głowę i wymamrotał coś ledwie słyszalnie. Antonia odwróciła się do młodszego z braci i wzięła jego dłoń w obie ręce. – Widzę, że cztery lata w armii świetnie ci zrobiły, Wespazjanie – rzekła, ścisząc głos tak, że tylko on ją słyszał. – Wyglądasz na mężczyznę w doskonałej kondycji fizycznej. Mam nadzieję, że twój umysł nadażał za ciałem, ponieważ przez kilka najbliższych miesięcy zajmować się będziemy polityką, nie walką.

Wespazjan zaczerwienił się lekko. To, że taka wpływowa kobieta wyszła, by ich powitać,

zamiast przyjmować w chłodnym wnętrzu gabinetu, było wielkim zaszczytem.

– Mam nadzieję, że sprostam temu, pani – zdołał powiedzieć, szykując się na kolejne spotkanie z morzem politycznej intrygi, w jakim, o czym dobrze wiedział, pławiły się rzymskie elity.

Pojawienie się Magnusa i Artebuza, wlokących z wozu kulącego się Rrotekesa, uratowało go przed ewentualnymi pytaniami. Cisnęli kapłana pod nogi Antonii.

– Więc to jest ta nędzna kreatura, której sprowadzenie do Rzymu wymagało aż tyle wysiłku. – Popatrzyła z obrzydzeniem na obrośniętego brudem kapłana, który trzęsąc się ze strachu, z proszalnym gestem usiłował dotknąć jej stóp.

Magnus kopniakiem odrzucił jego skute ręce.

– Dziękuję, Magnusie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani – odpowiedział Magnus z szerokim uśmiechem. – Od wylądowania w Ostii ten wąż całkowicie stracił wolę walki. Cały czas był przekonany, że jego bogowie nie pozwolą sprowadzić go do Rzymu, a teraz, kiedy się tu znalazł, nieustannie mamrocze pod nosem, że go opuścili. Ale kto by ich winił, przecież wystarczy na niego spojrzeć, jeśli wiesz... – Magnus zamilkł raptownie, przypomniał sobie, że jako osoba niskiego stanu, nie ma prawa wyrażać nieproszonych opinii w obecności tej kobiety, nieważne jakie były jego dawne z nią związki.

Antonia skarciła go wzrokiem, w którym Wespazjan dojrzał odrobinę pożądania. Mimowolnie zaczął się zastanawiać, jak mógł wyglądać ich związek. Wiedział od Kaliguli, że jego babka miała słabość do pięściarzy bezpośrednio po stoczeniu przez nich walki, a Magnus walczył przed nią wiele razy.

– Wybacz mi, pani – powiedział ze skrucą Magnus, chyląc głowę.

Wespazjan powstrzymał uśmiech. Przynajmniej jedno się wyjaśniło: jego przyjaciel nie był partnerem dominującym.

– Pallasie, każ więźnia zamknąć i pilnować – rozkazała Antonia, powracając do spraw bieżących. – Nakarmić go tylko tyle, by nie opadł z sił, ale nic więcej. Nie chcemy, by uważał się tutaj za gościa.

Pallas przy pomocy Artebuza odwlókł gdzieś wrywającego się kapłana.

– A teraz, panowie – oświadczyła Antonia, marszcząc nos i zwracając się ponownie do Wespazjana i Sabinusa – myślę, że dla dobra nas wszystkich powinniście przed wieczerzą

skorzystać z mojej łaźni. Spotkamy się później, kiedy się już odświeżycie. Magnusie, możesz do nich dołączyć. Pokaż im drogę.

Jakiś czas później wszyscy trzej siedzieli, pocąc się obficie w niewielkim, jasno oświetlonym, wyłożonym marmurem *caldarium*. Niewolnicy wcierali im w skórę wonne olejki, po czym zeszkrobywali ją razem z wżartym brudem podróży.

Żaden z braci nie spytał Magnusa, skąd wie, gdzie znajduje się łaźnia Antonii; jego zażenowana mina i skrętnie odwracany wzrok, kiedy bezbłędnie prowadził ich labiryntem korytarzy, wystarczyły za całą rozrywkę.

Zmęczenie podróżą odczuli dopiero w upalnej temperaturze *caldarium* i w czasie, kiedy ich ciała poddawane były fachowym zabiegom, zapadli w rozkoszny półsen.

Do rzeczywistości przywołał ich dobiegający od wejścia donośny głos.

– Drodzy chłopcy, jak to cudownie, że znowu jesteście z nami.

Gajusz Wespazjusz Pollo, ich wuj, wpadł do pomieszczenia całkowicie nagi. Jego niezgrabne ciało kołysało się we wszystkie strony, kiedy człapał po mozaikowej posadzce. Wespazjan i Sabinus podnieśli się i poddali jego entuzjastycznym uściskom. Magnus, ku swojej ogromnej uldze, został obdarzony tylko mocnym uściskiem ramienia.

– Antonia mi powiedziała, że was tutaj znajdę! – wykrzyknął Gajusz, obejmując braci i sadzając ich na gorącej kamiennej ławie. – No, no, dobrze wyglądasz Wespazjanie, jaką świetną figurę zafundowała ci armia. Tak wyglądałem, kiedy byłem młody i pełen wigoru. A ty, Magnusie, jakże mi brakowało twoich usług w tych minionych czterech latach... co mi przypomina: Antonia prosiła, żeby cię do niej przysłać, masz u niej być jeszcze przed wieczerzą. Nie powiedziała dlaczego.

Magnus skrzywił się.

– No to już lepiej pójdę – wymamrotał. Podniósł lniany ręcznik i poszedł do drzwi, starając się zachować resztki godności.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, bracia wybuchnęli śmiechem.

Gajusz popatrzył na nich niepewnie.

– Co was tak rozbawiło, moi drodzy?

Wespazjanowi udało się opanować wesołość i nieznacznym ruchem wskazał na kręcących się przy nich niewolników.

– Później ci wyjaśnimy, wuju. Tymczasem ty opowiedz nam nowiny.

Gajusz był zachwycony okazją do dłuższej paplaniny na temat swoich ostatnich osiągnięć, które nawet jeśli były niemałe, to i tak nie miały większego znaczenia.

Zanim skończył, przeszli do *tepidarium*. Wespazjan, ułożywszy się wygodnie na brzuchu, na przyjemnie ciepłej sofie pokrytej skórą, odpoczywał, energicznie wymasowany przez jednego z niewolników Antonii. Ledwo dotarło do niego, że Sabinus i Gajusz wychodzą stamtąd, mówiąc, że przyślą po niego przed wieczerzą, i zapadł w błogi sen.

Ocknął się, czując krople oliwy na skórze, a potem dotyk dwóch kciuków delikatnie masujących mu mięśnie pleców. Pomrukiwał zadowolony. Leżał nieruchomo z zamkniętymi oczyma i poddawał się kojącemu masażowi, o wiele łagodniejszemu od wcześniejszego ugniatania i uderzania. Czyjeś dłonie przesuwaly się wzdłuż jego kręgosłupa, rozluźniając mięśnie i rozkosznie odprężając. Kiedy przesunęły się na sam dół pleców, przeniosły się na pośladki, pieszcząc je z zupełnie nietypową jak na masaż czułością. Uchylił powiekę i serce mu podskoczyło.

– Cenis! – wykrzyknął, błyskawicznym ruchem odwracając się i siadając.

– Sza, mój ukochany – powiedziała cicho, kładąc mu na ustach smukły palec – połóż się i pozwól mi dokończyć. Minęło tyle czasu, że słowa mogą nas zawieść, a pieszczoty powiedzą ci wszystko o tym, co czuję i co zawsze będę czuć.

Serce tłukło mu się w piersi. Kobieta, o której tak długo marzył, stała teraz przed nim naga; jej delikatna jasna skóra lśniła w świetle lampki, opadające na ramiona pukle gęstych czarnych włosów połyskiwały rudawym odcieniem. Uśmiechnęła się i pokręciła powoli głową, jakby nie mogła uwierzyć temu, co widzą jej szeroko rozwarte, błyszczące radością oczy.

Wespazjan chwycił jej dłonie, splótł palce z jej palcami, starając się nie ścisnąć zbyt mocno, by nie sprawić jej bólu.

– Cenis, nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo marzyłem o tej chwili, jak bardzo...

– Nic nie mów, najdroższy – powiedziała, wyciągając ręce i kładąc mu je na ramionach. – Ja też nie potrafię ci powiedzieć, właśnie dlatego nie powinniśmy polegać na słowach. – Pchnęła go delikatnie na plecy. – Leż spokojnie i pozwól mi skończyć masaż, zaczynam poznawać twoje ciało. – Nachyliła się i pocałowała go w usta; rozkoszował się jej dotykiem i smakiem. Objęła go nogami w pasie i zaczęła masować jego szerokie ramiona, potem zsunęła dłonie na wysklepione mięśnie klatki piersiowej, nie odrywając od niego wciąż niedowierzającego, przepelnionego

miłością wzroku. Wespazjan wpatrywał się w nią równie czule, a ona kontynuowała masaż, doprowadzając do szczęśliwego finału.

Wieczera tego wieczoru była dla Wespazjana wyjątkowo przyjemna, tym bardziej że urozmaicał ją dreszczyk emocji towarzyszący ukradkowym spojrzeniom pomiędzy nim a usługującą swojej pani rozpromienioną Cenis. Spędził wieczór z uśmiechem na twarzy, pałaszując wszystko z apetytem zaspokojonego seksualnie mężczyzny. Jedzenie, jak się spodziewał, było najwyższej jakości, podobnie jak wino, a rozmowa o wiele spokojniejsza niż wtedy, kiedy ostatni raz w tym samym pokoju jadł posiłek z Antonią. Cztery lata ucztowania z królową Tryfeną i jej wysoko postawionymi rzymskimi gośćmi nauczyły go sztuki konwersacji przy stole. Wiedział, że z racji wiejskiego wychowania ta umiejętność nie będzie jego najmocniejszą stroną, ale opanował ją wystarczająco dobrze, by nie czuć się onieśmiałym w wytwornym towarzystwie. Potrafił się odprężyć i wziąć udział w rozmowie, nie jak kiedyś dlatego, że uważał to za wskazane, w rezultacie czego mówił, co mu ślina na język przyniosła, ale dlatego, że miał coś istotnego i ciekawego do przekazania. Obecność Gajusza Kaliguli wiele wносиła do tego spotkania, co jeszcze wzmagало dobre samopoczucie Wespazjana. Jego młody przyjaciel był w wyśmienitym humorze mimo wygnania – a może właśnie dzięki temu – na jakie ubiegłego roku skazano jego matkę i najstarszego brata. Jego drugi brat, Druzus, dołączył do nich całkiem niedawno, w rezultacie starań Sejana, który po kolei odsuwał wszystkich potencjalnych następców Tyberiusza.

Ku zaskoczeniu Wespazjana oprócz niego i brata, Kaliguli i Gajusza, zaproszono również Klemensa, który okazał się wyśmienitym kompanem; miał cięty dowcip oraz umiejętność prowadzenia rozmowy tak, by nie robić wrażenia, że w niej dominuje. Udało mu się również flirtować z Antonią, w stosowny i nienachalny sposób, tak że jego komplementy nie były odbierane poważnie, lecz jako hołd składany pięknej kobiecie przez mężczyznę o wiele lat od niej młodszego.

Tego wieczoru Wespazjan zrozumiał, że Klemens jest tam faktycznie w charakterze oficjalnym, jako strażnik Kaliguli. Od aresztowania Druzusa, Tyberiusz, któremu Sejan sączył w ucho nieustanne kłamstwa na temat rzekomego braku lojalności członków jego najbliższej rodziny, kazał trzymać Kaligulę pod stałą strażą. Makronowi, któremu Sejan wciąż ufał, udało się wyznaczyć na strażnika Klemensa i na tym właśnie opierali swoją nadzieję, jak wyjaśniła im

Antonia, kiedy już odesłano niewolników i Pallas zajął swoje stanowisko przy drzwiach.

– Z mojej informacji od Makrona, dziwnego, ale niezbędnego, jak się na pewno zgodzicie, współnika, wynika, że cesarz nie zamierza zrobić krzywdy mojemu małemu Gajuszowi – powiedziała, spoglądając z czułością na spoczywającego obok niej na łożu wnuka i mierzwiąc mu palcami włosy.

– Przestań, babciu – zaprotestował Kaligula z udawanym oburzeniem. – Kiedy zostanę cesarzem, mój pierwszy dekret będzie zabraniał czochrania włosów mężczyzny przez kobietę, której on wcześniej za to nie zapłacił.

– W takim wypadku dałbym pani Antonii talent srebra, by zmierzwiła moje – zawołał Klemens, śmiejąc się dobrodusznie.

– Bardzo to szarmanckie, drogi Klemensie – odparła Antonia. Promieniała, choć nie wyłącznie, jak podejrzewał Wespazjan, z powodu komplementu czy wina. – Jednakże będzie to możliwe tylko wówczas, jeśli mój wnuk przeżyje i weźmie to, co mu się słuszenie należy. Jak już mówiłam, Tyberiusz nie zamierza mu zrobić krzywdy, ale chce go trzymać pod ścisłą kontrolą i krążyć pogłoski, jak utrzymuje Makron, że w najbliższym czasie zaprosi Gajusza, by dołączył do niego na Capri. Kiedy to nastąpi, Makron dopilnuje, żeby Klemens pojechał tam z nim jako dowódca jego straży. Obecność Gajusza i Klemensa na wyspie da nam szansę przemycić tam tego kapłana.

Rozległ się szmer pełnych uznania głosów.

– Pani – odezwał się ostrożnie Sabinus – nie chciałbym nikogo urazić, ale skąd mamy wiedzieć, że możemy zaufać Klemensowi? Ostatecznie jest on człowiekiem Makrona.

Klemens miał już sam odpowiedzieć, kiedy Antonia podniosła rękę.

– Uważam, Sabinusie, że najlepiej będzie, jak rzecz wyjaśni wasz wuj.

– Z przyjemnością, pani – powiedział Gajusz, odrobinę zbyt głośno, raczył się bowiem bez ograniczeń winem Antonii. – Poza normalnymi zachętami: pieniędzmi, względami i awansem na stanowisko trybuna pretorianów, kiedy Makron zostanie prefektem, jest tylko jedna rzecz, która może zagwarantować jego lojalność, mianowicie rodzina.

– Wiem, że jest naszym krewnym ze strony ojca – odparł lekceważąco Sabinus – ale tak dalekim, że nie może to mieć zbyt dużego znaczenia. Proszę, nie gniewaj się, Klemensie, ja po prostu muszę mieć pewność.

– Nie gniewam się, kuzynie – odparł beztrąsko Klemens, wypijając łyk wina. –

Doskonale rozumiem twój niepokój. I dlatego właśnie złożyłem tę ofertę.

– Jaką ofertę?

– Pozwolisz? – wtrącił się Gajusz, trochę bardziej raptownie, niż było to konieczne.

Klemens podniósł kielich i kiwnął uprzejmie głową.

– Problem w tym, że nie ma on z nami dość ścisłych więzów rodzinnych – ciągnął Gajusz – zgodzisz się z tym, Sabinusie?

– Tak.

– Więc musimy te więzi zacieśnić, nie uważasz?

– Owszem, ale jak?

– Przez twój ślub z Arrecyną Klementyną, jego jedyną siostrą.

Sabinus otworzył i zamknął usta, usiłując coś powiedzieć.

– Ja nie zamierzam się jeszcze żenić – udało mu się w końcu wykrztusić.

Wespazjan zdusił chichot.

– Mój drogi chłopcze, nie bądź niemądry, każdy mężczyzna pragnie się ożenić – oświadczył ze śmiechem Gajusz. – Oczywiście z kilkoma wyjątkami – dodał, przykładając rękę do piersi. – Poza tym jest to układ doskonały, bo po pierwsze, jest to małżeństwo w ramach rozgałęzionej rodziny. Po drugie, Klementyna należy do stanu ekwitów. Po trzecie, zapewnia nam ważnego sojusznika. I wreszcie, twoim rodzicom ten pomysł bardzo się podoba. Prawdę mówiąc, twój ojciec napisał do mnie, że wręcz życzy sobie, byś ją poślubił. Udzielił mi pozwolenia na negocjowanie w jego imieniu warunków kontraktu ślubnego, ponieważ sam nie może przyjechać do Rzymu.

Sabinus przełknął; wiedział, co to oznacza.

– Jeśli zaś chodzi o mnie – odezwał się Klemens – będę zaszczycony, jeśli moja siostra poślubi kogoś o tak świetnych perspektywach, oczywiście pod warunkiem że uda nam się pomyślnie przeprowadzić nasz plan. A jeśli nam się nie uda, to prawdopodobnie wszyscy będziemy martwi, więc to i tak będzie bez znaczenia. Jeśli chodzi o moją siostrę, to zrobi, co każe, ponieważ nasz ojciec nie żyje i mogę dysponować jej osobą, jak zechcę; a chcę ci ją oddać.

– Jestem wielce zaszczycony – powiedział spokojnie Sabinus. Nie zapominał o dobrych manierach i nie chciał urazić Klemensa, traktując zbyt lekko jego szczodłą ofertę.

– Będiesz bardziej niż zaszczycony, kiedy ją zobaczysz, Sabinusie – oświadczyła chropawym głosem Antonia – jest piękna.

Sabinus zerknął na Klemensa, którego wąska twarz i szara cera nie bardzo pozwalały uwierzyć w te słowa.

– Pallasie, wprowadź panią – rozkazała Antonia.

Pallas uklonił się i wyslizgnął za drzwi.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, Sabinusie – powiedziała z uśmiechem Antonia – ale kiedy jedliśmy wieczerzę, pozwoliłam sobie posłać lektykę po Klementynę. Wie, że ma tu poznać przyszłego męża.

Wespazjan z przyjemnością obserwował, jak sieć zaciska się wokół brata, odczuwając przy tym ulgę, że to nie on znalazł się w tej trudnej sytuacji. Pierwszy raz w życiu cieszył się, że jest młodszy.

Drzwi się otworzyły i Pallas wprowadził dziewczynę mającą nie więcej jak piętnaście lat; odziana była w szafranową stolę i udrapowaną wokół ciała turkusową pallę. Stała przed towarzystwem, zsunęła rąbek palli z włosów i powoli podniosła głowę.

Wespazjan powstrzymał okrzyk zdumienia.

Sabinus zerwał się z miejsca, po czym się cofnął.

Antonia ani trochę nie przesadziła; dziewczyna była piękna. Miała oczy zielone jak świeżo rozwinięte listki, a usta i włosy w kolorze jesiennych liści. Jak brat była blada, ale podczas gdy jego cera była szara, jej promieniała delikatnym blaskiem, który zapowiadał noce wypełnione czułymi pieszczotami. Podobnie jak brat miała wąską twarz, ale nie wychudzoną, tylko subtelną i kształtną, ze smukłym noskiem i pełnymi ustami, które aż się prosiły, żeby je całować.

– Tytusie Flawiuszu Sabinusie – powiedział Klemens, podchodząc i ujmując ją za rękę. – Pozwól, że przedstawię ci moją siostrę: oto Arrecyna Klementyna.

– Pani, jestem zaszczycony – powiedział prawie szeptem Sabinus.

– To ty czynisz mi zaszczyt, panie. – Głos Klementyny był łagodny i melodyjny. Sięgnęła do fałd palli i wyjęła małą figurkę z kości słoniowej. Kładąc ją na dłoni Sabinusa, pochyliła głowę, czekając, aż ten dar, a tym samym ona sama, zostanie zaakceptowany.

Podniósł figurkę i uśmiechnął się, rozpoznając postać, którą przedstawiała. Mitra zabijający byka.

– Dziękuję, Klementyno, przyjmuję ten dar jako znak naszego przyszłego małżeństwa – powiedział, a wszelkie jego wątpliwości wyparowały.

– Czekam z niecierpliwością na możliwość poznania twojego boga – powiedziała słodko Klementyna, spoglądając mu w oczy.

– Przykro mi, że nie mam nic dla ciebie – odparł, zmieniając szybko temat, jako że mitraizm dotyczył wyłącznie mężczyzn – ale sytuacja trochę mnie zaskoczyła.

Wespazjan powstrzymał śmiech; chyba nigdy nie słyszał takiego niedopowiedzenia.

– Mam nadzieję, że to miłe zaskoczenie – powiedział Klemens, żeby pokryć czyjeś ewentualne zażenowanie. – Odprowadzę cię do domu, siostrze Pollonie, jutro przybędę do twojego domu, by omówić sprawę posagu oraz warunki i datę ślubu.

– Cała przyjemność będzie po mojej stronie – odpowiedział mu Gajusz.

Klemens ujął ramię przyszłego szwagra.

– Będę zachwycony, mając w tobie brata, Sabinusie – powiedział.

Sabinus wymamrotał coś stosownego, niezdolny oderwać oczu od przyszłej małżonki.

– Pani, dziękuję za wieczór. – Klemens skłonił głowę przed Antonią. – Panowie, życzę wam wszystkim dobrej nocy.

Opuścił z siostrą pokój; Pallas poszedł za nimi, by odprowadzić ich do lektyki. Sabinus stał nieruchomo, wpatrując się w zamknięte drzwi. Gajusz i Antonia uśmiechali się, podczas gdy Kaligula i Wespazjan spoglądali na siebie z niedowierzaniem.

Kaligula pierwszy doszedł do siebie.

– Na jaja Jowisza, czemu ja nic nie...

– Gajuszu, mój drogi – przerwała mu ostrym głosem Antonia, znowu mierzwiąc mu włosy – tylko bez tych twoich sprośności.

Wkrótce potem Kaligula opuścił towarzystwo, wymawiając się bólem głowy. Sądząc po szybkości, z jaką wychodził z pokoju, Wespazjan nie miał wątpliwości, że dolegliwość dotyczy innej części jego ciała i młodzieniec pobiegł, żeby sobie ulżyć przy pomocy jednej, a może kilku spośród wielu niewolnic swojej babki.

Od wyjścia Klemensa z siostrą rozmowa krążyła wokół szczęścia, jakie spotkało Sabinusa w postaci tak urodziwej narzeczonej. Sam Sabinus wypijał do dna kielich za kielichem i już mówił niezbyt wyraźnie. Wespazjan wiedział, że powinien poruszyć temat zwoju znalezionej przy zabitym Gecie, zanim brat upije się do nieprzytomności w oczekiwaniu na rozkosze małżeńskiego życia. Czuł, że jak najmniejsza liczba osób powinna znać jego treść; teraz, kiedy

Kaligula był zajęty zupełnie czymś innym, czas wydawał się jak najbardziej odpowiedni.

– Pani – powiedział, kiedy wszyscy opuścili kielichy po kolejnym toaście za zdrowie świeżo upieczonej narzeczeńskiej pary – jest pewna sprawa, którą powinienem ci przedstawić, i to bezzwłocznie.

– Słucham z ciekawością – odparła Antonia opanowanym głosem. Wypiła niewiele wina, i to mocno rozrzedzonego wodą.

– Pallasiu, niech Magnus przyniesie zwój. Będzie wiedział, o co mi chodzi – Wespazjan zwrócił się do zarządcy stojącego znowu przy drzwiach.

Kiedy czekali na Magnusa, Wespazjan przedstawił okoliczności, w jakich znaleźli zwój, oraz to, co zawierał; potem Sabinus, który zdawał się odrobinę wytrzeźwieć, wyjaśnił swoją teorię na temat tego, jak to Klaudiusz być może wykorzystał Botera jako tarczę, której łatwo można się pozbyć.

Kiedy skończył, Antonia pokręciła głową.

– To wygląda mi zbyt finezyjnie jak na mojego syna... jest tylko idiotą.

Wespazjan zerknął ukradkiem na Pallasa, który choć wyraził swoją opinię na ten temat tego samego dnia, nie okazał najmniejszych oznak, że nie zgadza się ze swoją panią. Wydało mu się jednak, że w oku zarządcy dostrzegł błysk zainteresowania.

– Z całym szacunkiem, pani – powiedział Gajusz – gardzisz Klaudiuszem, bo w porównaniu z jego nieżyjącym starszym bratem jest dla ciebie takim rozczarowaniem pod względem fizycznym. Możliwe jednak, że pod tą nieokrzesaną zewnętrzną powłoką kryje się coś z twojej inteligencji i finezji.

– Inteligencja i finezja u tego cherlaka? – spytała z gniewną miną. – To niemożliwe! Pewnie pisze do Poppeusza z pytaniem, czy może pożyczyć jakąś mało znaną książkę z jego biblioteki, i przy okazji oddaje się dziecinnemu zamiłowaniu do intrygi, ubierając to w szyfr.

– Jednakże szyfr wymaga, by jego odbiorca posiadał klucz – zauważył Wespazjan. – Wydaje się lekką przesadą wkładać tyle wysiłku, żeby pogadać o książkach, mało znanych czy nie.

– Cóż, wkrótce się dowiemy – oświadczyła Antonia, kiedy z drugiej strony drzwi rozległy się jakieś dźwięki.

Pallas wpuścił zarumienionego Magnusa. Najwyraźniej po wcześniejszych wysiłkach tego wieczoru nie żałował sobie wina, pomyślał Wespazjan, uśmiechając się na jego widok.

– Dobry wieczór, pani, panowie – wymamrotał Magnus od drzwi, nie będąc w stanie spojrzeć nikomu w oczy.

– Dziękujemy, Magnusie – powiedziała Antonia – daj zwój Pallasowi. Zostaniecie tu wszyscy na noc. Pallas przyśle potem kogoś, żeby wskazał ci twój pokój. To wszystko... na razie.

Magnus skinął ze znużeniem głową i wyszedł.

Antonia spojrzała na zarządcę.

– Myślisz, że zdołałbyś złamać ten szyfr? – zapytała.

– Mam nadzieję, pani – odparł, przeglądając zwój. – Znam dobrze innego z wyzwolenców twojego syna, jego sekretarza Narcyza, człowieka dużo bardziej inteligentnego niż ten Boter. Rozmawialiśmy wielokrotnie o kodach i szyfrach i dzieliliśmy się pomysłami dotyczącymi najlepszych sposobów ich tworzenia. Jestem pewien, że jeśli Boter użył kodu, to dostał go od Narcyza. Potrzebuję tylko trochę czasu, a znajdę klucz. Muszę mieć coś do pisania... przepraszam na chwilę. – Wyszedł cicho z pokoju.

Kiedy czekali na Pallasa, gawędząc o tym i owym, Wespazjan poczuł dreszcz podniecenia na myśl o spędzeniu z Cenis całej nocy. Nie śmiał o tym wcześniej myśleć i był przekonany, że Antonia zrobiła to celowo; z drugiej jednak strony kobieta z jej pozycją mogła zawsze dostać to, czego chciała, nie przejmując się szczęściem takich jak on, a co dopiero własnych niewolnic. Musiała rzeczywiście bardzo lubić Cenis.

Kilka kielichów wina później wrócił Pallas, wymachując woskowaną tabliczką.

– Gotowe, pani – oznajmił. – To szyfr podstawieniowy, taki, jakiego używał Cezar, tyle że z rosnącym przesunięciem, oparty na liczbie dwanaście. Zatem pierwszą literę przesuwamy o jedno miejsce, czyli A staje się B; potem drugą o dwa, więc A staje się C; trzecią o trzy i tak dalej aż do dwunastu. Potem zaczyna się od nowa, tyle że tym razem przesuwamy literę o dwa miejsca, kolejną o cztery, potem o sześć, osiem, dziesięć, dwanaście. Następnie literę przesuwamy o trzy, kolejne o sześć, dziewięć, dwanaście. Potem wykorzystujemy się czwórki, po nich szóstki i wreszcie samą dwunastkę, po której zaczyna się ponownie od jedynek i tak dalej. W istocie, bardzo proste.

– Doskonale, Pallasie. – Antonia wyglądała na skonsternowaną, jak zresztą wszyscy pozostali uczestnicy spotkania. – Zatem jaka jest treść?

Pallas odchrząknął i zaczął czytać na głos.

– „Ślą pozdrowienia" et cetera, et cetera. A potem:

Jak wiesz, mój pan ma umowę z waszym wspólnym przyjacielem, że poprze on mojego pana, kiedy nadejdzie właściwy czas. Jednakże mój pan uważa, że ów przyjaciel, kiedy już osiągnie swój cel, wyeliminuje go i zajmie jego miejsce na podstawie powiązań rodzinnych. Aby temu przeciwdziałać, mój pan postanawia uwolnić się natychmiast, kiedy tylko uzyska należną mu pozycję, i tym samym przeciąć więzy łączące go z tym przyjacielem, a w rezultacie pozbawić go wszelkich wcześniej należnych mu praw. W miejsce tego, co traci, mój pan wziąłby to, co jest dla Ciebie najdroższe, wiążąc się z Tobą, by móc dalej liczyć na Twoje poparcie w stosownym czasie. Zdaje sobie sprawę z tego, że trzeba wcześniej wykonać pewne posunięcia, i sugeruje, byś przeprowadził je jak najszybciej. Da Ci znać, kiedy wykona podobne posunięcia, choć oczywiście nie takie same, w odniesieniu do innych ludzi tak znacznych jak Ty i pozostanie z nadzieją, że uznasz za rozsądne przyłączenie się do jego sprawy, a nie przeciwstawianie się jej, jako że bardzo by sobie cenił poparcie Twoje i Twojej rodziny w wysiłkach, które jak czuje, bliskie są zaowocowania. Oczekuje Twojej odpowiedzi.

W pokoju zapanowała głucha cisza; mężczyźni ze zdumieniem patrzyli na panią domu. Oczekiwany wybuch nie nastąpił; zobaczyli tylko, jak Antonia kiwa powoli głową, przetrawiwszy ledwie co zawołowany sens listu.

– Wygląda na to, że być może masz jednak rację, Gajuszu – powiedziała w końcu – tępak Klaudiusz nie jest taki głupi, jak sądziłam... nieźle się maskował.

– Dlatego wciąż tu jest, pani – odparł cicho Gajusz, znając dosko nale wybuchowy charakter Antonii, kiedy przychodziło do rozmowy o jej dwojgu żyjących dzieciach. – Musimy rozważyć, co to oznacza dla nas. Zakładam, że tym wspólnym przyjacielem jest Sejan, wygląda więc na to, że już zdobył poparcie, by zostać następcą Tyberiusza.

– Ależ byłam niemądra – wyszeptała Antonia, spoglądając w przestrzeń. – Kiedy Tyberiusz zaproponował, by Klaudiusz poślubił Elię Petynę, bardzo chętnie się na to zgodziłam, sądząc, że wykorzystuje Klaudiusza, by dać Sejanowi coś, czego ten zawsze pragnął: związku z domem cesarskim, bez dawania mu niczego wartościowego, ponieważ jego siostra poślubiła kogoś, kto żadną miarą nie mógł do niczego aspirować. Jakże się myliłam. Sejan zamierza zrobić Klaudiusza cesarzem, potem go obalić i zająć jego miejsce jako prawowity szwagier. Umocni swoją pozycję, poślubiając moją córkę, Liwillę. Klaudiusz dostrzega to zagrożenie i

przygotowuje całkiem rozsądne zabezpieczenia: rozwiędzie się z Elią Petyną, kiedy tylko jej brat Sejan zrobi go cesarzem i ona przestanie być użyteczna, i w ten sposób pozbawi jej brata prawomocnych roszczeń. Potem zamierza poślubić córkę Poppeusza, Poppeę Sabine, zapewniając sobie poparcie jej ojca w postaci całej siły legionów Mezji i wszystkich kohort pomocniczych. Będzie musiała rozwieść się z mężem, Tytusem Olliuszem, któremu dopiero co urodziła córkę, również Poppeę Sabine; to właśnie ma być owo posunięcie, którego Klaudiusz oczekuje od Poppeusza. Cóż, to nie takie znów wielkie poświęcenie, Tytus jest nikim i Poppeusz skorzysta z szansy, by jego córka została cesarzową. Inni wpływowi ludzie, z którymi się skontaktował, to zapewne namiestnicy tych prowincji położonych najbliżej Rzymu, w których stacjonują legiony: Panonii, Afryki i nad Renem. Będzie się starał być nie do obalenia i jedną z pierwszych jego ofiar zostanie mój mały Gajusz. Nie pozwolę na to.

– Nie dojdzie do tego, pani – powiedział Wespazjan z przekonaniem – dlatego, że doprowadzisz do upadku Sejana. Klaudiusz bez Sejana jest chyba bezsilny?

– Niekoniecznie. Jeśli ma ambicję zostać cesarzem, nieważne jak niedorzeczne może się to wydawać, to nie dopuści, by powstrzymała go taka komplikacja jak utrata sojusznika, któremu i tak nie może ufać. Zastosuje odmienną strategię, jedyną alternatywę, kiedy nie będzie miał nikogo chętnego do pomocy: morderstwo. Jeśli jest rzeczywiście tak bezwzględny i przebiegły, jak wynika z tego listu, to najprawdopodobniej usunie wszystkich potencjalnych rywali, by oczyścić sobie drogę do purpury, i znów mój Gajusz staje się jedną z ofiar. Klaudiusza trzeba powstrzymać, ale jeszcze nie wiem jak, jeśliby nie brać pod rozwagę zabicia własnego syna.

Tkwiały w rogu pokoju Pallas odchrząknął cicho.

– Niewątpliwie masz jakąś sugestię, Pallasio – powiedziała Antonia, uśmiechając się.

– W żadnym razie, pani. Może będzie mi jednak wolno poczynić kilka spostrzeżeń?

– Nigdy nie mam dość twoich spostrzeżeń.

– Jesteś bardzo łaskawa, pani – oświadczył gładko zarządca, wychodząc na środek pokoju. – Przyszło mi do głowy kilka rzeczy. Po pierwsze: w liście stwierdza się, że Poppeusz jest świadom układu pomiędzy Klaudiuszem i Sejanem. Z tego wynika, że przynajmniej trzech z nich, choć prawdopodobnie ta liczba była większa, musiało się spotkać podczas niedawnego pobytu Poppeusza w Rzymie.

– Więc kto tam jeszcze był? – spytał Gajusz.

– Ludzie „wplywowi”, jak zauważyła moja pani, mianowicie inni namiestnicy prowincji

lub ich przedstawiciele. Na tamtym spotkaniu zapewne przyrzekli pomoc swoich legionów. Zważcie, że napisano „by móc *dalej* liczyć na twoje poparcie”.

– Zatem co im obiecał, by utrzymać ich po swojej stronie? – spytał Wespazjan.

– To pytanie zbliża mnie do mojego drugiego spostrzeżenia: Klaudiusz na pewno zakłada, że Poppeusz ma taki sam interes w tym, by on został cesarzem, jak i w tym, by Sejan go zdetronizował... że jest blisko obydwu i odniesie korzyść niezależnie od tego, który z nich weźmie purpurę – w przeciwnym razie nie złożyłby tak szczodrej oferty jak uczynienie Poppei cesarzową. Musi wierzyć, że to przeważa szalę na jego korzyść, bo inaczej nie wciągałby go w rozgrywkę mającą na celu udaremnienie ambitnych projektów Sejana.

Wespazjan uśmiechnął się, bo dostrzegł w tym planie poważną wadę.

– Ale przecież nie dysponuje taką zachętą dla innych, więc jacyś na pewno się rozczarują i mogą postanowić połączyć swój los z Sejanem, a wtedy plan Klaudiusza zostanie ujawniony.

– Właśnie; zatem Klaudiusz próbuje przeciwstawić się temu groźbą, którą zapewne w różnym kształcie stosował już w innych swoich listach. Daje Poppeuszowi jednoznaczny wybór: z nim albo przeciwko niemu, żadnego stania pośrodku. Potem, w tym samym zdaniu, wspomina jego rodzinę, innymi słowy: Poppea albo będzie cesarzową, albo umrze.

– A gdyby jakimś trafem został cesarzem – mówił powoli Sabinus – i wprowadził w czyn swoją groźbę wobec Poppeusza czy któregoś z występujących przeciwko niemu namiestników, ci musieliby dokonać zemsty, ze względu na swoją godność i...

...pograżylibyśmy się z powrotem w wojnie domowej, równie niszczycielskiej jak ta z czasów mojego ojca – dokończyła za niego Antonia.

– Nie sądzę jednak, by sprawy zaszły aż tak daleko – ciągnął Pallas – ponieważ, jak zauważył Wespazjan, Sejan na pewno dowie się o planie Klaudiusza od jakiegoś namiestnika, któremu nie dość zaoferowano. Prawdę mówiąc, pewnie już o nim wie, jako że list ten znaleziono cztery miesiące temu i rozsądnie byłoby założyć, na podstawie jego treści, że inne listy wysłano w tym samym czasie.

– A ponieważ Poppeusz tego listu nie otrzymał, nie będzie miał sposobności zdemaskować Klaudiusza przed Sejanem – powiedział z uśmiechem Gajusz – co każe Sejanowi myśleć, że teraz Poppeusz działa przeciwko niemu.

– Zatem Sejan musi teraz uważać, że jego plan zdobycia purpury za pośrednictwem mojego syna się nie powiedzie, bo będzie miał przeciwko sobie co najmniej dwa legiony z Mezji,

a prawdopodobnie znacznie więcej – podsumowała Antonia ze szczerym zatroskaniem w głosie. – Więc teraz Klaudiusz jest dla niego obciążeniem, którego należy się pozbyć. Usiłując wykazać się zbyt wielką przebiegłością, mój syn doprowadził do tego, że go zamordują. Ten idiota prawie na to zasługuje, ale ja nie zniosłabym utraty kolejnego syna, nieważne że głupiego i ulegającego złym podszeptom.

– Co doprowadza mnie do ostatniego punktu, pani: tego listu nie napisał jego sekretarz, mój dobry znajomy, Narcyz, jak to by było w normalnej sytuacji. Co każe mi sądzić, że Narcyz nie wie o układzie z Sejanem albo, jeśli wie, doradzał przeciwko niemu i w rezultacie Klaudiusz działa teraz za jego plecami.

– Dlaczego miałby się przejmować opinią wyzwolenca? – spytał Sabinus. – Chyba obowiązkiem wyzwolenca jest robić to, co każe mu jego patron?

– Domostwem Klaudiusza zarządzają jego wyzwolenicy, a wszyscy się nawzajem nienawidzą i walczą ze sobą o wpływy. Ponieważ Klaudiusz jest słaby, ma skłonność do wysłuchiwania rad tego, który jest akurat najbardziej przekonujący, co oznacza, że często nie może się zdecydować, którą z dwóch całkowicie przeciwstawnych dróg postępowania wybrać. Ponieważ jednak, jako sekretarz Klaudiusza, Narcyz sprawuje kontrolę nad jego wszystkimi finansami, Klaudiusz się go lęka i bez niego nic nie może zrobić, trzyma więc swoje najbardziej bezpieczne plany w tajemnicy przed nim, obawiając się, że zostanie odcięty od swoich pieniędzy.

– To oburzające! – wybuchnęła Antonia. – Jak może jakiś zwykły urzędnik, i to wyzwoleniec, mieć taką władzę nad członkiem mojej rodziny, nieważne jak głupim?

– Czy mogę mówić otwarcie, pani? – spytał zarządca, chyląc głęboką głowę i przyjmując najbardziej służalczą postawę.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć jeszcze więcej rzeczy o moim durnym synu, które sama przeoczyłam, to jak najbardziej.

– Tak, pani. Twój syn, pod wieloma względami, zdaje się być idiotą: ślini się i jąka, nie potrafi zarządzać swoimi sprawami, łatwo ulega wpływom i nie potrafi odróżnić dobrej rady od złej. Zarazem jednak ma zbyt wysokie mniemanie o sobie, jest bezwzględny i ambitny i żywi głęboką urazę do członków swojej rodziny za wszystkie zniewagi, których od nich, jak mu się zdaje, doznał. Nigdy nie pełnił żadnych funkcji, urzędowych czy kapłańskich, nie jest nawet członkiem senatu. W rezultacie czuje się pomijany i niedoceniany i za wszelką cenę chce tę sytuację zmienić. Narcyz zawsze usiłował trzymać na wodzy jego żądę zemsty; wie, że jego

patron nie mógłby obecnie zostać cesarzem, bo w rodzinie cesarskiej są bardziej odpowiedni kandydaci.

– Powiadasz „obecnie”?

– Narcyz nie jest pozbawiony ambicji dotyczących swojego patrona i tym samym siebie, pani, ale gdyby odkrył, że Klaudiusz teraz dąży do zdobycia purpury, jestem pewien, że by temu zapobiegł... tym bardziej że Klaudiusz postępuje wedle rady Botera, który wypadł z łask po tym niefortunnym zdarzeniu sprzed kilku lat.

– Niefortunnym? Też coś! Przyprawił rogi mojemu synowi i zrobił z niego jeszcze większe niż zazwyczaj pośmiewisko, a mój syn nic w związku z tym nie zrobił.

– Cóż, może robi coś właśnie teraz; twój syn nie podpisał tego listu, więc może wyprzeć się jego autorstwa, jeśli rada Botera przyniesie negatywny skutek, a pewnie wszyscy się zgadzamy, że tak właśnie będzie. Zrobi z Botera kozła ofiarnego, co wielce uradowałoby Narcyza, bo pozwoliłoby mu przeprowadzić plany, jakie obmyślił dla swojego patrona.

– Masz na myśli postępowanie zgodne ze strategią, jaką przedstawiłam wcześniej, i z próbą zredukowania liczby kandydatów, którzy stoją na drodze jego patrona?

– Nie sądzę, by uważał, że musi to zrobić, pani, ponieważ wygląda na to, że obecnie Sejan robi to za niego. Narcyz widzi wszystko w dłuższej perspektywie; obecnie jego strategia polega na tym, by Klaudiusz był jak najmniej widoczny i tym samym bezpieczny.

Antonia uśmiechnęła się powściągliwie i skinęła głową.

– Jak zawsze – powiedziała – twoje spostrzeżenia były wielce oświecające, Pallasie, dziękuję. Wyślij temu Narcyzowi wiadomość. Uważam, że powinniśmy porozmawiać z nim już nazajutrz, a potem zajmę się swoim synem.

Rozdział jedenasty

Wespazjan obudził się nazajutrz, czując muśnięcia pocałunków wędrujące z jego klatki piersiowej w stronę brzucha. Otworzył oczy. W pokoju wciąż było ciemno, a za otwartym oknem brzask zapowiadał nadchodzący świt. Łagodne powiewy wiatru wpadały do środka. Pocałunki powędrowały w poprzek brzucha; Wespazjan westchnął, zamknął ponownie oczy i ogarnęła go błogość.

– Teraz, kiedy już zatroszczyłam się o swojego pana – szepnęła Cenis jakiś czas później, leżąc z głową na jego ramieniu – muszę iść i usłużyć swojej pani.

– Mam nadzieję, że nie wymaga od ciebie aż takiej staranności – mruknął Wespazjan, całując czule jej miękkie, słodko pachnące włosy.

Cenis zachichotała.

– Muszę robić wszystko, czego sobie życzy – droczyła się z nim, a jej uśmiechnięta twarz była już dobrze widoczna w pierwszych promieniach świtu.

Wespazjan poczuł drżenie serca i uśmiechnął się do niej.

– Wygląda na to, że ja też; w pewnym sensie oboje jesteśmy jej niewolnikami.

– Ale ty nie musisz obcinać jej paznokci ani wyskubywać brwi.

– To prawda, ale ty za to nie musisz wlec wrednych kapłanów z Mezji, a potem zabierać ich do cesarza na Capri.

– Tak – przyznała Cenis z zatroskaną twarzą. – Moja pani bardzo się tym niepokoi.

– Dlaczego? Wczoraj nie wspomniała o żadnych kłopotach.

– To dlatego, że nie jest pewna, czy rzeczywiście jest powód do zmartwienia.

– Co masz na myśli?

– Kochany, musisz przysiąc, że kiedy będzie z tobą o tym rozmawiała, to udasz, że nie masz o niczym pojęcia. Ona mi ufa i nie chciałabym, by uważała, że zawiodłam jej zaufanie, co teraz zresztą robię, ale jedynie z miłości do ciebie, bo jeśli jej podejrzenia są słuszne, możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie.

– Nie musisz wymagać ode mnie przysięgi, wiesz, że nie zrobiłbym ani nie powiedział

niczego, czym w jakikolwiek sposób mógłbym cię narazić na gniew Antonii.

Cenis nachyliła się i pocałowała Wespazjana w usta.

– Wiem – szepnęła łagodnie. Położyła mu głowę na piersi. – Kiedy moja pani chce się skontaktować z Makronem, wysyła Klemensa, a kiedy Makron chce jej coś przekazać, korzysta z innego ze swoich ludzi, Satriusza Sekundusa, który kwateruje razem z nim w obozie pretorianów. Oczywiście są to zawsze informacje słowne, ale ja znam ich treść, bo zaraz potem ona mi je dyktuje, razem z odpowiedziami, do złożenia w swoim archiwum. Żona Sekundusa, Albucylla, to znana dziwka, co bardzo mu odpowiada, bo ma nadzieję dzięki temu robić karierę... pod warunkiem że ona będzie zadawać się z mężczyznami, a czasami z kobietami wpływowymi. Kilka dni temu moja pani dowiedziała się od pewnego szpiega, którego zdołała umieścić w domu swojej córki Liwilli, że w ubiegłym miesiącu Albucylla zaczęła romansować nie tylko z Liwillą, ale także z Sejanem, i kiedy on jest w Rzymie, we trójkę dzielą łóżko.

– Zatem Antonia podejrzewa, że Albucylla wkradła się w łaski Sejana za namową swojego męża. Sekundus mógł udostępnić Sejanowi treść przekazów między Antonią i Makronem i tym samym ujawnił zaangażowanie Makrona po jej stronie. Czy powiedziała Makronowi o swoich podejrzeniach?

– Tak, kiedy tylko to odkryła, wysłała do niego Klemensa; Makron obiecał, że przestanie wykorzystywać Sekundusa jako swojego posłańca. Zagroził także Albucylli i jej mężowi bolesną śmiercią, jeśli tylko zacznie podejrzewać, że go zdradzono. Sekundus przysięgał, że nie pisnął słowa Sejanowi, i żeby okazać dobrą wolę, zaczął dostarczać Makronowi co ciekawsze fragmenty pogaduszek, jakie z tego zatłoczonego łóżka przynosi jego żona. Tak więc Makron jest zadowolony z obecnego układu.

– W takim razie w czym problem?

– Wczoraj Klemens zobaczył w Ostii dwóch ludzi Sejana, bardzo zainteresowanych waszym przybyciem, a dwóch innych obserwowało wasz przyjazd tutaj.

– Tak, tych dwóch ostatnich widziałem. Czyżby Sekundus wystawił Makrona do wiatru?

– To właśnie jest dość dziwne; gdyby Sekundus zdradził Makrona, to Sejan na pewno by już coś z nim zrobił, tymczasem nie wykonał żadnego ruchu. Makron wciąż dowodzi gwardią pretoriańską w Rzymie, a Sejan niezmiennie pośredniczy pomiędzy Tyberiuszem i senatem.

– Może tylko czeka na stosowny pretekst.

Cenis pocałowała go i wyslizgnęła się z łóżka.

– Jaki jeszcze pretekst jest mu potrzebny? – spytała, zanurzając dłonie w misie stojącej na skrzyni i ochlapując wodą twarz. – Wie, że moja pani stara się go zniszczyć, to żadna tajemnica. Gdyby odkrył, że Makron regularnie się z nią komunikuje, to założyłby, że bierze udział w jej intrydze, i na pewno jak najszybciej by go usunął.

– Czy możliwe, że wie o kapłanie? – spytał, patrząc, jak Cenis wyciera się lnianym ręcznikiem.

– Jest pewne, że Sejan nie zna ani szczegółów, ani czasu trwania tej intrygi, ponieważ sprawdziliśmy zapiski i Sekundus nigdy nie przy niósł wiadomości, która dotyczyłaby kapłana czy dostarczenia go na Capri. Najnowsza dotyczyła okresu tuż po tym, jak przyszedł list od królowej Tryfeny z informacją, że wkrótce wy przybędziecie. Sekundus zjawił się wtedy z wiadomością od Makrona, że Kaligula ma zostać wezwany na Capri, i moja pani kazała mu przekazać Makronowi, że to, na co czekają, przybędzie lada dzień.

– Nie wspomniała o Ostii? – spytał Wespazjan, z żalem patrząc, jak Cenis wkłada tunikę.

– Nie, jednak jego ludzie tam byli.

– Prawdopodobnie jego ludzie zawsze obserwują port.

Cenis usiadła na łożu i zaczęła wiązać sandały.

– Tak, ale z tego, co mówi Klemens, ci konkretni ludzie to zaufani Sejana i kwaterujący na Capri, nie tacy, których używałby normalnie do obserwacji portu i tych, którzy schodzą ze statków. To właśnie zastanawia moją panią; skąd Sejan wiedział o waszym przybyciu na tyle wcześniej, by posłać dwóch ze swoich najbardziej zaufanych ludzi do Ostii, jeśli Sekundus nie zdradził nic Sejanowi?

– Możliwe, że Sekundus powtórzył Sejanowi wiadomość od Antonii, nie wspominając, że przeznaczona była dla Makrona. Mógł powiedzieć, że uzyskał tę informację od jednego z ludzi Klemensa. Dzięki temu może potem twierdzić, że zawsze był lojalny, nieważne czy zwycięzcą okaże się Makron czy Sejan.

– Być może masz rację – powiedziała Cenis, nachylając się i obdarzając go kolejnym pocałunkiem. – Ale niezależnie od tego, jak Sejan się dowiedział, nie zmienia to faktu, że jego szpiedzy widzieli, jak ty i Sabinus opuszczacie statek z więźniem i przywozicie go tutaj. Potem mogli zobaczyć przybycie senatora Pollona, więc już niedługo Sejan pozna twoje imię. Muszę już iść, ukochany... wspomnę o twojej teorii mojej pani, oczywiście udając, że to moja własna. – Uśmiechnęła się i pogładziła go po policzku, potem uniosła wiszący na jego szyi amulet, który

dała mu na pożegnanie przeszło cztery lata wcześniej.

– Zachowałeś go.

– To on mnie zachował... uratował mi życie.

– Wiedziałam, że tak będzie.

– Jak to możliwe? – spytał Wespazjan, patrząc na nią ze zdumieniem.

– Nie wiem, wiedziałam jedynie, że muszę ci go dać.

Opowiedział jej, jak amulet uratował go w Tracji przed śmiercią z rąk członków jej plemienia, którego naczelnik, Koronus, uważa, że Cenis jest wnuczką jego wziętej w niewolę siostry.

Kiedy skończył, wzięła do ręki ten drobny przedmiot i przyjrzała mu się.

– Po śmierci matki zdarzało się, że w nocy, nie mogąc zasnąć, leżałam i ścisnęłam go w rękę... pomagał mi czuć się bliżej niej, być prawie jej częścią. Czułam również, że łączy mnie z jakąś większą rodziną w sposób, którego nie rozumiałam, ale który niósł mi pociechę. Teraz już wiem dlaczego. To potężna rzecz... uratowała ci życie i odnalazła moją rodzinę.

– Weź go z powrotem, najdroższa – powiedział Wespazjan, zdejmując rzemyk przez głowę – już nie będzie mi potrzebny. Dał mi życie, co więcej mógłby zrobić.

Wzięła od niego amulet.

– Dziękuję – szepnęła. Pocałowała go ostatni raz i cicho wyszła z pokoju.

W drugiej godzinie dnia Antonia wezwała do siebie Wespazjana, Sabinusa i ich wuja. Pallas wprowadził ich do wytwornie urządzonej sali, gdzie zastali panią domu siedzącą na miękkiej sofie przed niskim stołem z różowego marmuru. Po jej lewej stronie, na twardym drewnianym krześle tkwił korpulentny Grek o jasnej cerze i natłuszczonych czarnych włosach i brodzie. Miał na sobie wełnianą togę, a pod nią tunikę z bładoniebieskiego lnu. Pomimo niewygody Grekowi udało się wyglądać godnie, zupełnie jakby nie zamierzał się zniżyć do zauważenia tak oczywistego afrontu.

Przemierzając mozaikową posadzkę, Wespazjan zerknął na kotarę, za którą on, jego brat i Kaligula schowali się cztery lata temu, i zastał nawiał się, czy jego młody przyjaciel teraz też podsłuchuje, o czym się tutaj mówi. Antonia zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

– Kazałam założyć zamek do drzwi w tamtym pokoju – powiedziała – więc mały Gajusz musi teraz szukać sobie innych kryjówek.

Zakłopotany umiejętnością Antonii czytania mu w myślach, nawet jeśli błahych, zajął

wskazane mu przez Pallasę miejsce po jej prawej ręce. Sabinus i Gajusz usiedli naprzeciwko.

– Panowie, to jest wyzwoleniec Narcyz, sekretarz mojego syna – powiedziała pani domu.

Pomimo niższego statusu Narcyz nie wstał, machał tylko władczą dłonią o krótkich palcach, ozdobionych wieloma pierścieniami, wszystkim po kolei, kiedy Antonia podawała ich imiona, nie patrząc im w oczy, jakby witał ich na swoim dworze. W powietrzu unosiła się ciężka woń jego pomady. Wespazjan i Sabinus skinęli mu lekko głowami.

Nastąpiła krótka przerwa, kiedy dwóch młodych niewolników podawało każdemu z obecnych kielich soku z granatów. Kiedy wyszli, pojawiła się Cenis z materiałami piśmiennymi i usiadła przy stoliku tuż za Antonią. Pallas stanął obok niej.

– Czy masz coś przeciwko temu, by moja sekretarka protokołowała tę rozmowę? – Antonia spytała Narcyza mimochodem.

Wyzwoleniec przymknął oczy, wyciągnął przed siebie ręce i powolnym ruchem wzruszył ramionami, jakby łaskawie dawał przyzwolenie w zupełnie nieważnej sprawie, po czym podniósł kielich i delikatnie upił soku.

Błysk gniewu przemknął przez twarz Antonii. Wespazjana zdumiał brak szacunku Greka dla najpotężniejszej kobiety w Rzymie. Jak zachowywali się pozostali domownicy Klaudiusza, skoro jego sekretarzowi wolno było się zachowywać jak jakiemuś wschodniemu satrapie?

– Dziękuję za bezzwłoczne przybycie, mój dobry Narcyzie – powiedziała Antonia, przybierając maskę uprzejmości.

– Cała przyjemność po mojej stronie, droga pani – odparł Narcyz zaskakująco wysokim głosem, muskając jednocześnie wargi jedwabną chusteczką. – W swoim liściku dałaś mi do zrozumienia, że chcesz skonsultować się ze mną w sprawie dotyczącej mojego patrona, a twojego syna, szlachetnego Klaudiusza. Będąc lojalnym sługą, któremu jego dobro zawsze leży na sercu, czułem się zobowiązany rzucić wszystko i przybyć na twoje wezwanie.

– Wobec tego przejdę od razu do rzeczy, żeby nie marnować twojego cennego czasu. – Antonia najwyraźniej bardzo chciała jak najszybciej wyleczyć Greka z samozadowolenia. – Ci panowie znaleźli napisany i zaszyfrowany przez twojego kolegę Botera list, wysłany w imieniu mojego syna i jego pieczęcią podbity. Pallasie, bądź tak dobry i nam go odczytaj.

Wespazjan przyglądał się bacznie Narcyzowi, kiedy zarządca czytał list. Wyzwoleniec miał oczy zamknięte; kilka drgnięć w kącikach ust były jedynymi zewnętrznymi oznakami zaniepokojenia. Kiedy uniósł powieki, po tym jak Pallas skończył czytać, w jego oczach widać

było przerażenie.

– To napisano bez mojej wiedzy, pani – oświadczył głosem jeszcze odrobinę wyższym.

– Pallas się tego domyślił; powiedział, że jesteś zbyt rozsądny, by doradzać mojemu synowi coś tak niemądrego jak wdawanie się w intrygi z Sejanem. Dlatego pomyślałam sobie, że porozmawiam z tobą, zanim podejmę dalsze kroki.

Narczyz rzucił Pallasowi pełne wdzięczności spojrzenie.

– Co zamierzasz z tym zrobić, pani? – zapytał.

– A co według ciebie powinnam zrobić?

– Może przekazać ten list mnie? – Narczyz patrzył na nią z nadzieją w oku.

– Mój drogi Narczyzie, to by nie rozwiązało problemu, bo istnieje już jego kopia.

Ponieważ byłeś uprzejmy zgodzić się, by moja sekretarka protokołowała nasze spotkanie, zapisała ona słowo w słowo treść odczytywanego listu. Chętnie dam ci kopię protokołu, ale sam rozumiesz, że oryginał muszę zachować we własnym archiwum.

Wespazjan powstrzymał uśmiech, kiedy zgrabnie zastawiona pułapka Antonii się zatrzasnęła i mężczyzna opuścił bezradnie ramiona.

– Najszlachetniejsza pani, kto jeszcze o tym wie? – spytał.

– Tylko obecni w tym pokoju. Miałeś szczęście, że Wespazjan i Sabinus przynieśli go mnie, a nie Sejanowi czy cesarzowi, a każdy z nich szczerze by ich za to wynagrodził.

– W rzeczy samej, pani, jestem ich dłużnikiem i winienem im wdzięczność. Zapewniam, że odwdzięczę się, kiedy tylko będę miał sposobność – oświadczył Narczyz, a w jego głosie pobrzmiwała szczerłość. – Czego teraz żądasz ode mnie?

Antonia uśmiechnęła się, wiedząc, że ma już Greka w swojej mocy.

– A to, mój drogi Narczyzie, jest bardzo dobre pytanie. Jak jesteś bez wątplenia świadom, moje działania mają na celu powstrzymanie rosnącej potęgi Sejana, a ten list wystarczy, by pokazać Tyberiuszowi, że Sejan spiskuje i chce zostać cesarzem. Jednakże wplątuje on jednocześnie w tę sprawę mojego syna i choć w liście nie ma mowy o tym, czy spiskowcy zamierzają poczekać, aż Tyberiusz umrze śmiercią naturalną, czy przyspieszyć bieg wypadków morderstwem, to cesarz może założyć, że chodzi o to drugie. W tym wypadku albo by Klaudiusza zabito, a jego majątek skonfiskowano, czyniąc cię nędzarzem; albo wygnano by go i wszystkich jego domowników na jakąś skalistą wysepkę pośrodku morza i ty stałbyś się osobą nic nieznaczącą.

Narczyz przełknął ślinę; żadna z tych opcji nie wyglądała zachęcająco.

– Najznamienitsza pani, nie poświęciłabyś życia własnego syna, by zniszczyć Sejana, prawda?

Antonia zmrużyła oczy.

– Nie mów mi, co zrobiłabym czy czego bym nie zrobiła, wyzwoleńcu. Jeśli chcesz wiedzieć, to jestem tak rozgniewana głupotą Klaudiusza, że prawie jestem gotowa rzucić go na łaskę czy niełaskę Tyberiusza.

– Proszę, przyjmij moje pokorne przeprosiny, pani – wykrztusił Narczyz, zrywając się i gnąc w głębokim ukłonie.

– Siadaj i przestań się przymilać! – warknęła Antonia.

Narczyz usiadł na swoim niewygodnym krześle równie szybko, jak z niego wstał; po władczym zachowaniu nie pozostał najmniejszy ślad.

– A teraz posłuchaj uważnie tego, co mam do powiedzenia – oświadczyła Antonia spokojniejszym już głosem. – Nie pokażę listu cesarzowi, choć dzięki niemu uzyskałabym to, czego chcę, zaledwie kosztem bezużytecznego syna. W zamian żądam, byś udał się do swojego patrona i przekonał go, żeby przyszedł do mnie z listą tych wszystkich innych „tak znacznych” ludzi, do których napisał, i z odpowiedziami od nich. Ma to zrobić dzisiaj, zanim się rozmyślę; i dopilnuj, by zrozumiał, że jeśli tego nie robi, zapomnę, że jest moim synem.

– Zjawi się tutaj za kilka godzin, obiecuję, pani.

– Doskonale. Drugą rzeczą, jaką masz zrobić, to zabić Botera; nie pozwolę, by wplątywał Klaudiusza w spiski, wmawiając mu, że zostanie cesarzem, i najwyższy już czas, by zapłacił za hańbę, jaką okrył naszą rodzinę, przyprawiając mojemu synowi rogi.

– Stanie się tak jeszcze dzisiaj, pani – obiecał Narczyz ze złośliwym uśmiechem. – Naraził na niebezpieczeństwo mnie i mojego patrona, którego bardzo się staram ochronić.

– Najwyraźniej za mało się starasz – zauważyła Antonia. – Jeśli zaś chodzi o twoje osobiste plany względem Klaudiusza, to daruj je sobie, bo on nigdy nie zostanie cesarzem. Zamierzam dopilnować, by mój wnuk, Gajusz, został następcą Tyberiusza. W przeciwieństwie do swojego wuja jest młody i rozsądny; lud go kocha, bo jest synem Germanika, i będzie panował więcej lat, niż Klaudiuszowi pozostało jeszcze do przeżycia.

– Zapewniam cię, szlachetna pani, że moje plany dotyczące Klaudiusza mają jedynie na celu utrzymanie go przy życiu; jeśli zaś chodzi o przyszłość, to ta spoczywa w rękach bogów.

– Mylisz się, spoczywa w moich rękach; i jeśli tylko zacznę podejrzewać, że próbujesz zmienić coś w moich planach, każę cię zakuć w kajdany, wcisnąć twoje własne jądra do pustych oczodołów i zamorzyć głodem.

– To nie będzie konieczne, pani – powiedział Narcyz, blednąc na samą myśl o takiej sytuacji.

– Mam nadzieję. Możesz odejść.

– Dziękuję, pani – powiedział Narcyz, wstając i składając gospodyni ukłon. Spojrzał na Wespazjana i Sabinusa. – Jeszcze raz dziękuję, panowie, za dyskrecję w tej sprawie. Jeśli będę mógł okazać się przydatny, proszę się nie wahać do mnie zwrócić. Senatorze Pollonie, do widzenia.

Starając się wydobyć z siebie resztki godności, opuścił komnatę w towarzystwie Pallasa. Cenis wyszła za nimi, rzuciwszy przedtem Wespazjanowi słodki uśmiech.

– Doskonale się bawiłem, pani – zahuczał Gajusz, kiedy tylko Grek znalazł się poza zasięgiem głosu. – Chyba nigdy jeszcze nie byłem świadkiem, by równie umiejętnie potraktowano takiego odpychającego człowieka.

– Tak, to była niezła zabawa – zgodziła się Antonia. – Cóż, mam tylko nadzieję, że okaże dość rozsądku, by trzymać Klaudiusza pod kontrolą. Mój syn już chyba nie będzie miał wątpliwości w sprawie swojego trudnego położenia, kiedy już z nim porozmawiam.

– Co zrobisz z ludźmi, których imiona ci poda, pani? – spytał Wespazjan.

– Zabawię się nimi, kiedy tylko pozbędę się Sejana. Uraczę Tyberiusza jednym po drugim i z przyjemnością będę obserwowała, jak rwie ich na kawałki.

Po skończonej audiencji Antonia ich pożegnała. Niedługo potem zabrali Artebuza i utrudzonego Magnusa i wyszli na ulicę w żar lipcowego poranka, by udać się pieszo do domu Gajusza na Kwirynale. Wespazjan miał spędzić tam noc przed podróżą do *Aquae Cutillae*. Zamierzał odwiedzić rodziców i popracować w posiadłości, czekając, aż Kaligula i Klemens zostaną przeniesieni na Capri. Zależało mu też, żeby odwiedzić posiadłość babki Tertulli w *Cosa*, którą, jak obiecała, ku rozgoryczeniu Sabinusa, zostawiła w testamencie wyłącznie jemu.

– A zatem, mój drogi, planujesz wakacje na wsi – oświadczył zaznajomiony z tymi planami Gajusz, kiedy szli razem w stronę *via Sacra*. – Jak uroczo!

– Raczej wakacje z chędożeniem mułów – wtrącił Sabinus, który korzystał z każdej

okazji, żeby dokuczyć bratu.

– Też mógłbyś tam pojechać, Sabinusie – powiedział, szczerząc się, Wespazjan – bo zawsze wygodniej jest, jak ktoś przytrzymuje je za głowę, i tylko pomyśl o tych pocałunkach, jakimi by cię obdarzyły.

– Kusząca propozycja, bracie, ale zostanę w Rzymie. Czeka mnie mnóstwo roboty, jeśli mam zostać jednym z kwestorów na następny rok. Jest wiele senatorskich tyłków do lizania. A poza tym wkrótce będę miał do całowania coś o wiele ładniejszego niż twój ulubiony muł.

Skręcili w *via Sacra*, idąc w stronę Forum Romanum. Tłum zgęstniał, kiedy zbliżyli się do centrum miasta, ale Magnus torował im przejście, przez cały czas służąc przy tym za przewodnika Artebuzowi. Ten mieszkaniec gór patrzył ze zdumieniem graniczącym ze zgrozą na ogrom budowli i na mrowie otaczających ich ludzi i rozglądał się z otwartymi ustami, nie będąc w stanie pojąć niczego z tego, co opowiadał Magnus. Jedynym miastem, jakie widział do tej pory, było Filippopolis, które, choć o wiele od Rzymu starsze, wydawało się w porównaniu z nim maleńkie.

Choć pobyt Wespazjana w Rzymie przed czterema laty był krótki, przyzwyczał się jednak do wielkości miasta i czuł się tu dobrze w odróżnieniu od pochodzącego z Norikum byłego niewolnika. Kiedy przechodzili przez Forum Romanum, gdzie rozprawy sądowe toczyły się na otwartym powietrzu, a niezliczeni uliczni handlarze sprzedawali towary tłumom gapiów, czuł się tutaj jak u siebie. Podziw, jaki odczuwał, kiedy po raz pierwszy zobaczył Rzym ze wzgórza na *via Salaria*, oraz rozemocjonowanie, które go rozpierało, kiedy pierwszy raz przejeżdżał przez bramę Kolińską, osłabły, ustępując przyzwyczajeniu; teraz, po powrocie, miał wrażenie, że to jego miasto. Wiedział, że zawsze będzie uważał posiadłość rodziców w *Aquae Cutillae* i posiadłość Tertulli w *Cosa* za swoje prawdziwe domy, ale że będzie je odwiedzał tylko dla wypoczynku; w Rzymie natomiast zamieszka na stałe.

Minęli Dom Westalek, przeszli obok budynku Curia Hostilia, gdzie obradował senat, potem skręcili w prawo i weszli na forum Cezara. Tutaj załatwiano sprawy obywateli; można było zwrócić się z prośbami do edylów, miejskich pretorów i do prefekta miasta, urzędujących w cieniu ogromnego posągu dyktatora na Bucefale, koniu Aleksandra Wielkiego, jakby Cezar wciąż miał wpływ na funkcjonowanie miasta.

Minąwszy posąg, weszli na forum Augusta, które stało się teraz przedłużeniem forum Cezara; z powodu ostatniej fali procesów o zdradę tam również kłębił się tłum prawników,

jurystów i gapiów, oblewających się potem w skwarzym lipcowym słońcu.

Zostawili za plecami fora i zaczęli się wspinać na Kwirynał, czując wyraźnie świeższe powietrze, kiedy z góry spłynął lekki wiaterek.

– Odprowadzę was do domu, panowie – powiedział Magnus – a potem zabiorę Artebuza do gospody na rozstajach, przez te kilka dni przed wyjazdem zamieszka ze mną i chłopakami.

– Dzięki, Magnusie – powiedział Gajusz. – Domyślam się, że bractwu rozstajnych dróg brakowało twojego przywództwa, na pewno czeka cię dziś wieczorem huczne przyjęcie powitalne.

– Taa... i sam za nie zapłacę. Kiedy mnie nie było, chłopcy trzymali moje udziały, a teraz na pewno oczekują, że okażę hojność, jeśli chodzi o wino i dziwki.

– Jestem zdumiony, że możesz w ogóle myśleć o dziewczynach po całym tym zapotrzebowaniu na twoje usługi ubiegłej nocy – zauważył Wespazjan.

– Bardzo zabawne, panie. – Magnus był zażenowany. – Będę wdzięczny, jeśli już o tym więcej nie wspomnisz, czuję się trochę ubrudzony i wykorzystany. Dzisiaj wieczorem na pewno będę miał młodsze ciało... im młodsze, tym lepsze.

– Miejmy nadzieję, że one nie będą się czuły rano trochę ubrudzone i wykorzystane.

– One przynajmniej dostaną zapłatę za to, co robią. Zawsze uważałem, że pieniądze to świetny środek czyszczący.

Wespazjan wybuchnął śmiechem.

– Cóż, jestem przekonany, że Antonia z wielką chęcią cię wyszoruje, kiedy zobaczycie się następnym razem.

Przybycie do domu Gajusza przerwało nagle te pogaduszki; drzwi były otwarte, ale nie zobaczyli w nich sędziwego odźwiernego.

Gajusz wbiegł do środka.

Chwytając za sztylet, Wespazjan wpadł tam za nim.

– Wyciągnijcie miecze! – krzyknął Sabinus, znikając w drzwiach.

Magnus i Artebuz grzebali gorączkowo w tobołkach, wbiegając za braćmi do domu.

W atrium Wespazjan zastał Gajusza trzymającego w ramionach ciało jednego z jego pięknych, jasnowłosych młodzieńskich germańskich niewolników. Sędziwy odźwierny z poderżniętym gardłem leżał obok, w kałuży krwi. Ciała dwóch innych zamordowanych chłopców

leżały przy basenie.

– Mój drogi chłopcze, Arminiuszu, mój drogi chłopcze – szlochał Gajusz, gładząc zlepione krwią włosy młodzieńca.

Od strony dziedzińca ogrodowego dobiegł ich przenikliwy krzyk.

– Wuju, ten, kto to zrobił, wciąż jest tutaj – powiedział Wespazjan, biorąc miecz z wyciągniętej do niego ręki Magnusa. – Zostań tu, my ich dopadniemy.

– Mam siedzieć i czekać, kiedy wyrzynają moich chłopców? Za nic na świecie. – Ze zdumiewającą szybkością pomknął do swojego gabinetu, usytuowanego na lewo od atrium, i chwilę potem pojawił się z mieczem. – Magnus i Artebuz, sprawdźcie wszystkie pokoje przy atrium, nie chcemy mieć nikogo za plecami. I zaryglujcie drzwi frontowe.

Z ogrodu dobiegł kolejny przeraźliwy krzyk. Gajusz popatrzył ponuro na braci, odwrócił się i szybkim krokiem pomaszerował w tamtą stronę. Bracia ruszyli biegiem, żeby go wyprzedzić.

Wypadli przez drzwi *tablinum* do nagrzanego ogrodu. Dwóch mężczyzn trzymało wrywającego się młodzieńca nad stawem, podczas gdy trzeci przysuwał mu do twarzy wiercącego się minoga. Woda w stawie kipiała, bo kilkadziesiąt tych węzowatych stworzeń żerowało przyssanych do innego trzepiącego się w wodzie nieszczęśnika. Chłopiec uniósł głowę nad powierzchnię wody, by zaczerpnąć tchu, i wydał jeszcze jeden rozdzierający krzyk; z minogami uczeponymi twarzy przywodził na myśl Meduzę.

Bracia rzucili się w stronę trzech mężczyzn, którzy natychmiast pozbyli się swojej ofiary, wrzucając ją do stawu. Wespazjan i Sabinus dopadli ich, zanim zdążyli wyciągnąć broń. Gwałtownym pchnięciem, a potem ostrym pociągnięciem miecza w górę Wespazjan rozpruł brzuch pierwszego z nich; drugi padł trafiony przez Sabinusa prosto w gardło. Trzeci popędził na drugą stronę ogrodu.

– Chcę go dostać żywego! – ryknął Gajusz, który wyciągał właśnie niewolnika z wody. Wydobył go na tyle wcześnie, że chłopiec niewiele ucierpiał; większość stworzeń żerowała na jego martwym koledze.

W drzwiach *tablinum* pojawili się Magnus i Artebuz.

– Jeszcze dwóch tych drani znaleźliśmy w *triclinium* – powiedział Magnus – ale już nie będą nam przeszkadzać.

– Zostańcie tam, chłopcy – zawołał Sabinus, przekrzykując wycie ofiary Wespazjana –

mamy już tego drania w pułapce!

Trzeci z napastników, uświadomiwszy sobie swoją sytuację, nie mając broni i nie oczekując litości, z rykiem popędził wprost na Magnusa. Z idealnym wyczuciem chwili Magnus wyciągnął rękę, wbijając mu pięść w brzuch, i natychmiast, kiedy napastnik się zgiął, kolano w twarz, a kiedy głowa mu odskoczyła i krew trysnęła z rozpląszonego nosa, walnął go jeszcze pięścią w tył głowy. Mężczyzna padł nieprzytomny.

Pozostawiwszy uratowanego chłopca na ziemi, bardziej wstrząśniętego niż poranionego, Gajusz podszedł do mężczyzny z rozprutym brzuchem, który jęcząc, usiłował wcisnąć jelita z powrotem na miejsce.

– Kto was przysłał? – spytał groźnie Gajusz.

Wiedząc, że i tak umrze, mężczyzna potrząsnął głową. Gajusz chwycił garścią jego jelita i pociągnął. Skowyt człowieka, któremu żywcem wrywano wnętrzności, był koszmarny.

– Kto was przysłał? – spytał powtórnie Gajusz.

Mężczyzna nie odpowiadał.

– Wrzucić go do stawu. Zobaczmy, jak mu się spodoba, kiedy będzie zżerany od wewnątrz – rzucił rozkaz Gajusz.

Wespazjan spojrział na Sabinusa, który wzruszył ramionami. Podnieśli napastnika za ręce i nogi; jelita osunęły się na ziemię niczym jakieś oślizgłe pnącza.

– Masz ostatnią szansę – powiedział Gajusz.

Odpowiedzi nie było; mężczyzna stracił przytomność.

Bracia wrzucili go do wody. Minogi natychmiast wdarły się do ziejącej w brzuchu dziury.

– Zobaczmy, czy będziemy mieli więcej szczęścia z tym drugim – powiedział Gajusz, podnosząc małą siatkę na ryby. Zanurzył ją we wciąż niespokojnej wodzie i nabrał kilka minogów. – Ocućcie go.

Parę uderzeń w twarz doprowadziło trzeciego mężczyznę do przytomności. Pojękiwał cicho.

– Twojego kolegę spotkał właśnie koszmarny koniec – poinformował go Gajusz, przysuwając mu do twarzy siatkę z jej groźną zawartością; koliste gęby otwierały się i zamykały, ukazując kilka rogowych zębów. – Tylko od ciebie zależy, czy umrzesz szybko, czy w bardzo bolesny sposób.

Mężczyzna splunął na ziemię.

– Jak sobie chcesz. Rozciągnijcie go tutaj.

Magnus i Artebuz rozciągnęli go na ziemi i przytrzymali.

Wolną ręką Gajusz uniósł mu tunikę i zerwał przepaskę biodrową.

– Przytrzymaj – zwrócił się do Wespazjana, podając mu siatkę. Wziął minoga w jedną rękę, a drugą odsunął napletek mężczyzny.

Wespazjan zamknął oczy. Przeróżliwy krzyk wypełnił powietrze. Wespazjan otworzył oczy i zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał.

– Następny zajmie się twoim okiem. Kto was przysłał? – spytał ponownie Gajusz.

– Liwilla – padła przerywana jękami odpowiedź.

– Czy ja byłem jedynym celem?

– Nie, drugą grupę wysłano gdzie indziej. – Mężczyzna znowu zawył, kiedy wijący się minog wsysał się coraz mocniej w rozpaczliwej próbie wydostania z niego życiodajnej wody.

– Ilu i dokąd?

– Dziesięciu, ale nie wiem dokąd. Błagam, na miłość bogów, zabij mnie.

– Dokąd? – Gajusz wyjął z siatki drugiego minoga i zbliżył do oka mężczyzny.

– Wiem tylko, że wyjeżdżali z miasta przez bramę Kolińską i mieli jechać via Salaria.

Wespazjan spojrział przerażonym wzrokiem na Sabinusa, kiedy do obu nagle dotarło, dokąd zmierzają zabójcy.

– Dziękuję – powiedział Gajusz. Podniósł miecz i spokojnie wbił go w usta mężczyzny.

– Magnusie, weź Artebuza i dziesięciu swoich ludzi z bractwa i za godzinę czekajcie na nas, z końmi i mieczami, za bramą Kolińską, na skrzyżowaniu via Salaria i via Nomentana – rozkazał Wespazjan.

Magnus uśmiechnął się.

– Cóż, to mi przynajmniej pozwoli uniknąć płacenia za dzisiejsze przyjęcie – powiedział na pożegnanie.

– Powinniśmy ruszyć razem z nimi – powiedział Sabinus. – Szkoda czasu.

– Jesteśmy co najmniej dwie godziny za nimi, Sabinusie, nie ma mowy, byśmy ich dogonili, jeśli nie będziemy mogli zmieniać koni. Potrzebujemy Klemensa z przepustką pretoriańską, żebyśmy mogli korzystać z cesarskich koni rozstawnych. W ten sposób mamy szansę ich dopaść, zanim dotrą do rodziców.

Rozdział dwunasty

– Nie zniosę już dłużej twojego żalnego biadolenia – zirytowała się Antonia. Jej podniesiony głos dobiegał z sali przyjęć i rozchodził się echem po ogromnym atrium, gdzie Wespazjan i Sabinus czekali niecierpliwie, aż Pallas odnajdzie Klemensa.

– Ależ m-m-m-m-matko, żądam uznania i szacunku należnego cz-cz-cz-członkowi c-c-c-cesarskiej rodziny. – Ten drugi głos też był podniesiony, ale pobrzmiwała w nim nutka lęku, wzmocniona jeszcze jękami.

– W twojej sytuacji nie możesz sobie pozwolić na żadne żądania, cherlaku. Jednym pociągnięciem mogę doprowadzić co najmniej do twojego wygnania. A teraz dawaj tę listę i wynoś się.

– Ależ m-m-m-m-matko...

– Skończ z tym „ależ m-m-m-m-matko”! Idź już sobie, i posłuchaj mojej rady, Klaudiuszu: natychmiast rozwiedź się z tą swoją żoną, która jest dla ciebie wyłącznie obciążeniem, i spędzaj więcej czasu z książkami, a mniej na robieniu z siebie głupca, próbując bawić się w politykę.

– Ależ...

– Odejdź!

Wespazjan wzdrygnął się, słysząc krzyk Antonii.

W korytarzu odchodzącym od atrium pojawił się powłóczący nogą mężczyzna z nisko opuszczoną głową. Zataczając się, jakby kolana miały mu za chwilę odmówić posłuszeństwa, zbliżał się do braci. Kiedy Klaudiusz znalazł się przy nich, drgnął i podniósł wzrok na Wespazjana; mrugał bez przerwy, a przezroczysta wydzielina z nosa spływała mu na togę.

Wespazjan skłonił głowę; Sabinus poszedł za jego przykładem. Klaudiusz wpatrywał się w nich zdumiony i udało mu się zapanować nad mruganiem. W jego szarych oczach dawało się zauważyć wyrachowanie i inteligencję; twarz byłaby przystojna i szlachetna, gdyby opuszczone kąciki ust i worki pod oczyma nie nadawały jej jakiegoś żalnego charakteru.

– Drańskie rodziny – rzucił, nie zmieniając wyrazu twarzy, jakby nie był świadomy, że coś powiedział. Wytarł nos fałdą togi, skinął braciom głową i kołyszając się, wyszedł.

Antonia zjawiła się przy nich, ledwie Klaudiusz zniknął za drzwiami.

– Co wy tutaj robicie? – rzuciła gwałtownie, jakby jeszcze nie całkiem odzyskała równowagę po spotkaniu z synem.

– A zatem Sejan powiązał waszą rodzinę ze mną – stwierdziła, kiedy bracia opowiedzieli jej o napadzie na dom Gajusza i o ludziach zmierzających do posiadłości ich rodziców – i wykorzystuje Liwillę do wykonywania brudnej roboty, żeby żaden z jego pretorianów nie był wplątany w morderstwo senatora. Gdzie jest teraz Gajusz?

– Sprowadziliśmy go tutaj – odparł Wespazjan. – Pallas kazał jednemu z niewolników zabrać go do łaźni; musi wypocić gniew.

– Dobrze. Zostanie tutaj, dopóki nie będę mogła wyprawić go z Rzymu. Moja córka, Liwilla, ta suka, nie zrezygnuje, dopóki nie da swojemu kochankowi tego, czego ten pragnie. Dlaczego dotknęło mnie przekleństwo w postaci dzieci, które działają przeciwko mnie?

Wespazjanowi i Sabinusowi została oszczędzona konieczność udzielenia odpowiedzi na to pytanie, bo zjawił się Pallas z Klemensem.

– W stajni siodłają już dla was konie, panowie – powiedział zarządca. – Wrócę, kiedy będą gotowe.

– Ilu ludzi bierzemy? – spytał Klemens, którego Pallas zdążył już poinformować, dokąd się udają i co mają nadzieję od niego uzyskać.

– Razem z nami trzema będzie piętnastu – odparł Wespazjan.

– Nie jestem pewien, czy moja przepustka pozwoli nam korzystać z takiej liczby koni rozstawnych.

– Weź to – powiedziała Antonia, zdejmując pierścień, który służył jej do pieczętowania, i podając go Wespazjanowi. – Nikt nie ośmieli się dyskutować z osobą, która ma ten sygnet; zwróć mi go przez Klemensa. Dokąd zamierzacie wysłać rodziców? Musi to być gdzieś daleko, jeśli mają być bezpieczni.

– Zastanawiałem się nad tym – powiedział Wespazjan, wsuwając sygnet na mały palec. – Jediną osobą, której mógłbym zaufać, jest Pomponiusz Labeo; ma posiadłości w Aventicum, po drugiej stronie Alp. Powinien tam teraz być.

Antonia skinęła głową.

– To wystarczająco daleko. A co z wami?

– Ja wracam prosto do Rzymu, pani – oświadczył stanowczym głosem Sabinus. – Muszę zadbać o wybór na kwestora.

– Sądzę, że nie byłoby to w tym momencie wskazane – stwierdziła Antonia. – Powinieneś trzymać się z daleka, dopóki nie będę wiedziała, czy celem Sejana był tylko Gajusz i wasi rodzice, bo wasza matka jest jego siostrą, czy też cała rodzina miała zginąć, co by oznaczało, że nie będziesz w Rzymie bezpieczny. Wybory musisz zostawić w rękach Fortuny.

Sabinus zamierzał protestować, ale powstrzymał się, dostrzegając słuszość jej słów.

– Możecie udać się obaj do moich posiadłości w Kampanii; chcę was mieć na tyle blisko, byście mogli zjawić się tu jak najszybciej, kiedy tylko Makron przyśle mi wiadomość, że wszystko jest przygotowane do przeprowadzenia tej drugiej akcji.

– Dzięki, pani, ale wolałbym udać się do mojej posiadłości w *Cosa* – powiedział Wespazjan. Sabinus spojrział na niego kwaśno, ale mruknięciem go poparł. – To tylko dzień konnej jazdy od Rzymu. Będziemy tam wystarczająco bezpieczni. Magnus wie, gdzie to jest, jeśli będziesz nas potrzebowała.

– Doskonale – zgodziła się Antonia, kiedy Pallas wpadł do pokoju.

– Wszystko gotowe, panowie.

– Dziękuję, Pallasie – powiedziała Antonia, spoglądając na braci. – Spieszcie się. Niech bogowie pomogą wam dojechać na czas.

Zapadła noc, a oni jechali *via Salaria* wolnym galopem, najszybciej jak się dało, przy świetle pochodni. Wespazjan, Sabinus i Klemens spotkali się z Artebuzem, Magnusem i pozostałymi członkami bractwa tuż przed południem. Wespazjan z przyjemnością zamienił kilka słów ze spotkanymi już wcześniej powolnym, ale niezawodnym Sekstusem i jednorękiem Mariuszem, a potem co koń wyskoczy popędzili wszyscy *via Salaria*, by maksymalnie wykorzystać światło dnia. Co dziesięć mil zmieniali wierzchowce w kolejnych cesarskich placówkach. Pierścień Antonii okazał się nieoceniony, bo zawiadujący stajniami niechętnie dawali im świeże konie, twierdząc, że wcześniej tego samego dnia wymienili już dziesięć koni grupie mężczyzn legitymujących się dokumentem podpisanym przez Sejana. Nie przewidziawszy, że ludzie Liwilli będą korzystać z tej samej formy szybkiego transportu, jechali naprzód z narastającym poczuciem desperacji. Jedyne, co mogli zrobić, to bezlitośnie smagać wierzchowce i mieć nadzieję, że potencjalni mordercy ich rodziców nie będą aż tak poganiać

koni. Nadzieję tę wzmocnili zarządcy kolejnych stacji z rozstawnymi końmi, podając im coraz krótszy czas dzielący ich od grupy tamtych dziesięciu ludzi.

Nim długi lipcowy dzień przeszedł w noc, przejechali sześćdziesiąt mil z osiemdziesięciu, jakie dzieliły ich od *Aquae Cutillae*, i oceniali, że przy ostatniej zmianie koni byli jakąś godzinę za poprzednikami.

– Oszczędzimy czas, nie zmieniając ich więcej – powiedział Wespazjan, wpatrując się w ciemność przed sobą. – W tym tempie te konie zdołają przebyć ostatnie dwadzieścia mil.

– Musimy zwiększyć to tempo, bracie – odparł Sabinus. – Te dranie przed nami niedługo dotrą na miejsce; będą mieli krótszy odcinek do przejechania po ciemku, więc nam odskoczyli.

– Może postanowią zatrzymać się na noc.

– W żadnym razie. Skalkulowali sobie swój przyjazd wtedy, kiedy wszyscy już śpią.

– Co w takim razie proponujesz?

– Będziesz się śmiał, ale zamierzam zdać się na mojego Pana, Mitrę; jego światło mnie poprowadzi. A ty ruszaj za mną.

Sabinus ruszył z kopyta i zaczął się oddalać. Wespazjan uniósł brwi, wzruszył ramionami i popędził za bratem. Pozostali czuli się zobowiązani zrobić to samo, choć uważali, że taka szybka jazda po nocy to istne szaleństwo, nawet na prostej brukowanej drodze.

Zgasili pochodnie i jechali stępa po pokrytej koleinami dróżce prowadzącej do posiadłości Flawiuszów. W zabudowaniach nie paliły się żadne światła i jedynie poświata księżycowa pozwalała dojrzeć kontury odległych już tylko o sto kroków budynków.

Jadąc narzuconym przez Sabinusa morderczym tempem, pokonali ostatnie dwadzieścia mil w niecałe dwie godziny. To, że żaden z koni się nie potknął ani nie zrzucił swojego jeźdźca, graniczyło z cudem, ale Wespazjan nie odważył się jednak powiedzieć o tym Sabinusowi, z obawy przed kolejną przemową na temat mocy Pana Mitry.

Brak światła wyostrzył mu inne zmysły i zapachy znane z dzieciństwa witały go teraz, jeden za drugim, niczym starzy przyjaciele. Słodka ciepła żywica sosnowa; próchnicza ziemia, stygnąca po dniu pod prażącym letnim słońcem; świeżo skoszona trawa; kwiaty polne; delikatny dym spalonego drewna; wszystko to niosło obrazy przeszłości, która, czego się mocno obawiał, zostanie brutalnie zakłócona teraźniejszością.

– Jest całkiem spokojnie – szepnął do Sabinusa i Klemensa, którzy jechali po obu jego

bokach. – Może to tylko zbieg okoliczności, a oni wcale tutaj nie jechali?

– Albo też my przybyliśmy za późno – odparł ponurym głosem jego brat.

Zsiedli z wyczerpanych koni i przywiązali je do figowca; łagodny wietrzyk szeleścił pośród liści. W oddali odezwał się lis; odpowiedział mu inny, bardziej z bliska.

Artebuz, Magnus i członkowie jego bractwa, wyciągając krótkie miecze, dołączyli do nich. Znajdowali się wszyscy w odległości pięćdziesięciu kroków od wysokiego na piętnaście stóp muru, za którym było stajenne podwórze. W słabym świetle księżyca ledwie widzieli bramę; była zamknięta.

– Nie ma żadnego śladu gwałtownego wtargnięcia. Wygląda na to, że zdążyliśmy – szepnął Sabinus. – Po cichu ostrzeżemy domowników i przygotujemy tym draniom niespodziankę, jeśli się pojawią. Wespazjanie, weź Magnusa, Artebuza i pięciu członków bractwa i spróbujcie obudzić stróża przy bramie. Ja zabiorę Klemensa i pozostałych od frontu i obudzę odźwiernego. Jeśli będziemy...

Głośne krzyki rozdarły nocną ciszę; nad dachami po drugiej stronie podwórza stajennego przeleciały płonące pochodnie. Po nich zjawily się kolejne, ale tym razem w rękach widocznych w ich świetle, wspinających się na dach ludzi. Kilku zeskoczyło na podwórze, inni pobiegli wzdłuż dachu stajni i wskoczyli na dach głównego domu. Pomarańczowy ogień, płonący teraz na dalszym krańcu budynku, ukazywał jego kształt.

– A niech to! – krzyknął Sabinus. – Ruszaj ze swoimi chłopcami przez ten mur, a ja zabieram swoich od frontu. Zapomnijmy o planach, uderzajmy prosto na nich.

Grupa Sabinusa popędziła wzdłuż muru.

– Bierzcie konie! – krzyknął Wespazjan, odczepiając swojego i wskakując mu na grzbiet. Pogalopował pięćdziesiąt kroków dzielące go od muru, po czym ostro wyhamował. Z dziedzińca dobiegały krzyki, wrzaski i szczęk broni. Wespazjan stanął na końskim grzbiecie i wyciągnął się; szczyt muru był wciąż dwie stopy od jego wyciągniętych rąk.

– Magnus, chodź tu i podsadź mnie.

– Już, panie. – Magnus przeniósł się ze swojego wierzchowca prosto na konia Wespazjana. Koń zaczął się płoszyć.

– Sekstusie – zawołał Wespazjan – przytrzymaj mu głowę, kiedy Magnus mnie będzie podsadzał.

– Trzymać głowę, kiedy Magnus podsadza; rozumiem – powiedział Sekstus, jak zwykle

przetrawiając powoli rozkaz.

Koń się uspokoił; Magnus podstawił złączone dłonie pod stopę Wespazjana i podniósł go. Wespazjan, obcierając sobie kolana, wdrapał się na szczyt muru. Sięgnął w dół, chwycił wyciągnięte do góry ramię Magnusa i z ogromnym wysiłkiem wciągnął go do góry. Artebuz i pozostali poszli za przykładem swojego przywódcy.

Choć od chwili ataku nie minęło więcej niż sto uderzeń serca, podwórze przed stajnią oświetlone było ogniem płonącym w oknach stojących przy nim budynków. Na ziemi leżało jakieś pół tuzina trupów. Od strony baraków niewolników rolnych dobiegły wrzaski przerażenia, kiedy zakuci w kajdany ludzie poczuli zapach dymu i wzrastającą temperaturę w nie mających okien kwaterach; płomienie zagrażały już prowadzącym do nich drzwiom. Napastników nie było nigdzie widać; furka do ogrodu przylegającego do głównego budynku kołysała się niepewnie na wykrzywionych zawiasach.

Wespazjan pobiegł wzdłuż dachu i zeskoczył na podwórze w chwili, kiedy z drugiej strony grupa mężczyzn, uzbrojonych w miecze, oszczepy i łuki, wybiegała właśnie z kwater wyzwoleńców. Wespazjan rozpoznał Pallona, zarządcę posiadłości, biegnącego na czele, a za nim Scyta Baseosa i Persa Atafanesa z wygiętymi na końcach, wschodnimi łukami. Niestety oni go nie rozpoznali; dwie strzały poszybowały w jego stronę, kiedy padał na ziemię. Poczł, jak powietrze świszczę mu nad głową, a potem błyskawica bólu przeszła mu lewy bark.

– Pallonie! – wrzasnął. – To ja, Wespazjan!

Zbyt późno jednak. Sądząc, że nie stanowi on już dłużej zagrozenia, Baseos i Atafanes skierowali uwagę na posuwających się wzdłuż dachu członków bractwa rozstajnych dróg; dwóch z nich spadło na dziedziniec, a Pers padł ze strzałą w piersi wypuszczoną przez Artebuza.

– Artebuz, stój! – ryknął Wespazjan, z całych sił starając się przekrzyczeć wrzaski dochodzące z kwater niewolników. – Pallonie, przestań! To ja, Wespazjan. – Podniósł się i wymachiwał rękoma; przeszył go ostry ból, kiedy grot strzały otarł się o kość.

Tym razem Pallo rozpoznał po głosie niewidzianego ponad cztery lata młodego pana.

– Nie strzelać – rozkazywał, biegnąc przez podwórze. Jego ludzie podążali za nim ze wzniesioną niepewnie do góry bronią. – Panie, to naprawdę ty? Dlaczego napadasz na własny dom?

– Nie napadam. Nie czas na wyjaśnienia – powiedział, wykrzywiając twarz z bólu, kiedy ułamywał sterczącą mu z barku strzałę.

Magnus i Artebuz zeskoczyli z dachu, a za nimi Sekstus i Mariusz.

– Za mną do głównego budynku – zawołał Wespazjan, przebiegając przez kołyszącą się furtkę – i uważać, do kogo strzelacie, bo Sabinus wchodzi od frontu.

Ogród był pusty, jeśli nie liczyć ciała niewolnika, którego zajęciem było czuwanie przy furtce przez całą noc. Z domu dochodziły odgłosy walki wręcz. Wespazjan popędził kolumnadą w stronę *tablinum*; krew ciekła mu z rany i przesiąkała przez tunikę, a ból sprawiał, że odczuwał dziwną lekkość w głowie.

Odepchnawszy na bok wyłamane drzwi, przebiegł przez gabinet i wpadł do atrium. Jego oczom ukazała się kotłowanina ludzi ścierających się ze sobą w bezpośredniej walce: jedni stali, walcząc mieczami i sztyletami; inni mocowali się, turlając po podłodze. W otwartych drzwiach po przeciwległej stronie tańczył ogień; w świetle płomieni zobaczył, obok brata i Klemensa, walczącego dwoma sztyletami ojca, Tytusa. Z lewego boku jego twarzy, z miejsca, w którym zabrakło ucha, spływała krew.

Rycząc, Wespazjan przeskoczył przez martwe i zbroszone krwią ciało Warona, zarządcy domu, przebił się przez cały ten zamęt i rzucił na plecy przeciwnika ojca. Chwycił go za włosy i ciął krótko, ukośnie od góry. Ostrze miecza spadło na prawe ramię napastnika, przeszło przez ciało i kość, jak drut tnący ser. Mężczyzna zawył, kiedy jego obcięta ręka spadła na posadzkę; zdecydowane pchnięcie sztyletu Tytusa zakończyło zwierzęcy skowyt.

Za Wespazjanem Magnus i dwaj z jego towarzyszy spadli na tyły napastników niczym furie wypuszczone z Hadesu. Ludzie Liwilli nie mieli szans. Dźgano ich i sieczono ze wszystkich stron. Artebuz, Pallo, Baseos i reszta wyzwolenców cofnęli się, nie będąc pewnym, kto wróg, a kto przyjaciel; nie byli już zresztą potrzebni. Po kilku chwilach jedynie dwóch napastników stało jeszcze na nogach; zagoniono ich w kąt, otoczono i pokonano. Obaj na znak poddania opadli na kolano.

– Przychodźcie do mojego domu, żeby zabić mnie w obecności pośmiertnych masek moich przodków i przed ołtarzem moich bogów rodzinnych, po czym oczekujecie litości? – grzmiał Tytus, przepychając się przez otaczających napastników mężczyzn. Porwał odrzucony miecz i ciął jednego z mężczyzn na wysokości szyi, niemalże zdejmując mu z ramion głowę. Ciało padło do przodu, zbryzgując krwią Magnusa i jego towarzyszy. Drugi mężczyzna podniósł głowę. W jego oczach nie widać było strachu, kiedy wpatrywał się w Tytusa spod zrośniętych brwi; skinął i pochylił głowę, by przyjąć śmiertelny cios jak przystało rzymskiemu obywatelowi.

– Nie! – rozległ się czyjś krzyk, kiedy Tytus wznosił miecz.

Tytus odwrócił się błyskawicznie, żeby zobaczyć, kto ośmiela się przeszkadzać mu w dokonaniu sprawiedliwej zemsty.

Klemens wysunął się do przodu.

– Kim jesteś, młody człowieku? – zapytał Tytus, dysząc ciężko.

– Marek Arrecynus Klemens, panie. Twój syn ma poślubić moją siostrę.

– Cóż, Klemensie, jeśli sądzisz, że więzy rodzinne zmuszą mnie do okazania litości temu człowiekowi, to bardzo się mylisz.

Rozwścieczony Sabinus podszedł do Klemensa.

– Co ty sobie wyobrażasz, żeby przeszkadzać mojemu ojcu w akcie wymierzania sprawiedliwości? Wszyscy ludzie Liwilli muszą umrzeć! – krzyczał, mierząc oskarżycielsko palcem w klęczącego mężczyznę.

– Uspokój się, przyjacielu, wszyscy ludzie Liwilli są martwi – powiedział Klemens. – On nie jest jednym z nich.

Sabinus przyjrzał się uważnie mężczyźnie, starając się jednocześnie uspokoić oddech. Jakieś wspomnienie przeleciało mu przez głowę i jeszcze baczniej przyjrzał się klęczącemu.

– Klemens ma rację, ojcze – powiedział, przypominając sobie strażnika ze zrośniętymi brwiami z pokoju Makrona, którego widział w ubiegłym roku. – To nie jest człowiek Liwilli, to pretorianin. Zwie się Satriusz Sekundus.

Rozdział trzynasty

– Nic mnie nie obchodzi, jaki on według was może okazać się użyteczny, chcę jego śmierci. – Wespazja Polla była stanowcza. Rozwścieczona morderstwami popełnionymi w jej domu, jeszcze nie doszła do siebie po wstrząsie, jakiego doznała, szykując się już na śmierć, i pragnęła zemsty. – Jeśli żaden z was nie ma jaj, by tego dokonać, zrobię to sama. Tytusie, daj mi sztylet.

– Moja droga, skoro Sabinus i Wespazjan mówią, że z powodów politycznych Sekundus powinien żyć, to nie zamierzam tego kwestionować – mówił cierpliwie Tytus. Krew wciąż płynęła z jego rany. – Przypominam ci, że kiedy ostatnim razem wtrąciłaś się w sprawy, których ani ty, ani ja nie rozumieliśmy, twoja porywczość...

– Porywczość! – parsknęła Wespazja.

– Tak, porywczość, kobieto – rzucił ostro Tytus. – Twoja porywczość spowodowała, że trzeba nas było jak złodziei nocą, cichaczem wywozić z Rzymu, przez co wyszedłem na prowincjonalnego prostaka, który nie umie okiełznać upartej żony; innymi słowy, stałem się pośmiewiskiem. Dość już tych twoich opinii; idź i każ niewolnikom, którzy nam jeszcze zostali, zacząć robić tu porządek.

Przez chwilę Wespazja wyglądała, jakby miała eksplodować. Zerknęła na synów.

– Matko – rzekł uspokajającym tonem Wespazjan – zaufaj nam.

Widząc, że nie ma szans przekonać swoich mężczyzn, skapitulowała. Postanowiła jednak zemścić się kiedyś za te chwile, które spędziła zamknięta w gabinecie Tytusa, słuchając odgłosów morderczej walki i spoglądając na nóż, który mąż jej dał. W jednej chwili spała sobie spokojnie we własnej sypialni, a w następnej mąż ciągnął ją przez atrium. Spod drzwi frontowych buchały płomienie, a te do ogrodu wyważano. Była śmiertelnie przerażona. Tytus zaciągnął ją do swojego gabinetu – jedyne przylegającego do atrium pokoju, który miał zamek – i dał jej sztylet, rozkazując, by się zabiła, jeśli te drzwi zostaną wyważone. Kiedy po skończonej walce Tytus i synowie je otworzyli, zastali ją na kolanach, ze sztyлетem przystawionym do piersi, gotową na niego paść, bo sądziła, że obrońcy nie żyją, a napastnicy znaleźli klucz. Jedynie szybka reakcja męża, który chwycił ją, kiedy już padała na sztylet,

uratowała jej życie. Tak, jeszcze się zemści, myślała... kiedyś.

Mężczyźni odetchnęli z ulgą, kiedy z całą godnością, jaką była w stanie zebrać, wyszła z zasłanego ciałami zabitych atrium.

Tytus podszedł do synów i objął ich. Byli sami. Pallo i Klemens zabrali Sekundusa, żeby umieścić go pod kluczem, a Magnus i jego towarzysze pomagali domownikom ugasić pożar. Drzwi frontowe wciąż się tliły, ale pożar zduszono; przez pokój snuł się dym.

– Dziękuję wam, moi synowie, dziękuję – powiedział Tytus, przyciągając ich do siebie i przyciskając ich czoła do własnej skroni.

Wespazjan chciał położyć rękę na ramieniu ojca, ale skrzywił się z bólu.

– Musimy to wyciągnąć, bracie – powiedział Sabinus, zaskakująco łagodnie. – Poślę po Chloe.

– A ojcu trzeba przyszyć ucho – odparł Wespazjan, starając się lekko traktować oszpecającą ranę Tytusa.

– Tego ucha już dawno nie ma, mój chłopcze – stwierdził Tytus, ostrożnie macając bok głowy. – O mało nie kosztowało mnie życia; poślizgnąłem się na nim w czasie walki i z trudem utrzymałem równowagę. Jedno jest w tym dobre: nie będę już tak dobrze słyszał uwag waszej matki.

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem, bardziej histerycznym niż radosnym. Wespazjana zalała fala ulgi, że wciąż żyją, że zastał rodziców żywych, i młody mężczyzna rozładował napięcie śmiechem, potężnym i niekontrolowanym. Raptem silny ból i utrata krwi pokonały go i padł bez zmysłów na posadzkę.

Wespazjan otworzył oczy i rozpoznał sufit swojego dawnego pokoju. Był dzień.

– Najwyższy czas!

Odwrócił głowę i zobaczył Magnusa siedzącego na krześle w rogu pokoju i polerującego miecz.

– Która godzina? – zapytał słabym głosem.

– Prawie południe, jak sądzę.

Wespazjan podniósł rękę do barku i pomacał mocno zabandażowany opatrunek.

– Ani nie pisnąłeś, panie, kiedy stara Chloe to wycinała. Przez cały czas byłeś nieprzytomny, nawet kiedy przyżęgała ranę. Niezwykła kobieta, nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak szybko usuwał strzałę. Założę się, że w swoim czasie była z niej niezła sztuka.

– Jestem pewien, że gdybyś ładnie ją poprosił, to dla ciebie z przyjemnością przypomniaby sobie młodość. Wiem, jak podobają ci się te starsze kobiece kształty.

– Ciągle będę musiał tego wysłuchiwać, co? Bogowie podziemni, przelecisz jedną kożę, a do końca życia przylgnie do ciebie opinia chędożyciela kóz.

– Ty przynajmniej zasłużyłeś na tę reputację, ja tymczasem nigdy nie tknąłem muła, a Sabinus wciąż dowcipkuje sobie na ten temat. Nieważne, a jak się mają twoi chłopcy?

– Lucjusz padł, ale Chloe uważa, że Kassandros może się wylizać. Strzała przebiła mu podniebienie i wyszła przez policzek, wybijając tylko kilka zębów; trzeba przyznać, że ci Grecy to mają fart.

– Nie nazwałbym tak tego, zważywszy, że postrzelił go ktoś, kogo próbował bronić.

Magnus chrząknął.

– Cóż, jeśli tak na to spojrzeć, to pewnie masz rację. I minie sporo czasu, zanim znowu będzie mógł pozuć kawałek przyzwoitej rzymskiej kiełbasy. Będąc Grekiem, miał słabość do rzymskiej kiełbasy, jeśli wiesz, co mam na myśli?

Wespazjan uśmiechnął się.

– Niestety, wiem. Pomóż mi wstać, Magnusie.

– Czy to rozsądne, panie?

– Aż tak bardzo jesteś zauroczony Chloe, by sądzić, że twoja opinia medyczna jest cokolwiek warta?

– Nie, po prostu wiem, jak słaby się czuję za każdym razem, kiedy mnie trafią.

Wespazjan z wysiłkiem podniósł się z łoża; rana pulsowała, ale się nie otworzyła.

– Cóż, nie mam wyboru. Musimy zająć się naszymi zabitymi, a potem wyjechać.

– Po co ten pośpiech? – spytał Magnus, pomagając przyjacielowi stanąć na nogach.

– Liwilla spodziewa się, że jej ludzie wrócą jeszcze dzisiaj – odparł Wespazjan, niepewnym krokiem podchodząc do stojącej na skrzyni miski z wodą. – Kiedy nie pojawią się do zmroku, będzie chciała wiedzieć dlaczego. Prawdopodobnie przyśle kilku innych, wielu innych, żeby to sprawdzili. Należy spodziewać się ich tu jutro wieczorem... nie sądzisz, że lepiej, gdyby nas tu wtedy nie było?

– Jeśli zastaną to miejsce opuszczone, spalą je do gołej ziemi.

Wespazjan chlusnął sobie kilkakrotnie wodą w twarz.

– To je odbudujemy.

– A dokąd pojedziemy?

– Ty i twoi chłopcy pomożecie Klemensowi zabrać Sekundusa z powrotem do Rzymu – odparł Wespazjan, wycierając twarz. – Chcę, byś tam został do czasu, aż Antonia pośle po ciebie, żebyś przywiózł mi wiadomość do *Cosa*.

Magnus nie wyglądał na zachwyconego.

– Jeśli będzie wiedziała, że jestem w Rzymie, to ciągle będzie po mnie posyłała – oświadczył.

– Cóż, to zalety tej roboty. A przy okazji, chętnie pożyczylbym ze dwóch twoich chłopców, żeby pojechali ze mną i Sabinusem, tak dla większego bezpieczeństwa.

– Jasne, weź Sekstusa i Mariusza, znają to miejsce. A co z twoimi rodzicami, dokąd oni pojedą?

– Na północ, Artebuz będzie im towarzyszył, bo to prawie po drodze do jego domu, a on jak najszybciej chce wrócić do Norikum.

– Tak, wiem, przez całą podróż do Italii o tym mówił. Martwi się, że jego ojciec, Brogduos, może już nie żyć.

– Jak długo go tam nie było?

– Prawie dwadzieścia lat.

Tytus wszedł bez pukania. Płócienny bandaż owinięty wokół głowy przytrzymał gruby opatrunek.

Magnus taktownie wyslizgnął się z pokoju.

– Nie śpisz już, świetnie – powiedział Tytus z uśmiechem. – Jak się czujesz, synu?

– Dobrze, ojczy, a ty?

– Że co? – spytał Tytus, przechylając głowę.

– Dobrze, ojczy, a co z... O, bardzo zabawne!

– Twoja matka wcale tak nie uważała, kiedy spróbowałem tego żartu z nią; a jest w gorszym nastroju, odkąd Sabinus powiedział nam, że musimy wyjechać z Italii i ukryć się w jakiejś dziurze... jakże się ona nazywa?

– Aventicum. Tak będzie najlepiej; to znaczy dopóki sprawy w Rzymie nie ulegną zmianie.

– Wiem, rozumiem, ale twoja matka nie rozumie. Uważa, że skoro wczoraj w nocy ich pokonaliśmy, powinno to już raz na zawsze zakończyć sprawę.

– Cóż, myli się – zapewnił ojca Wespazjan, wkładając tunikę.

– Wiem, ale spróbuj jej to powiedzieć. Próbowaliśmy tego obaj z Sabinusem i daliśmy spokój. Dopiero kiedy kazałem załadować co cenniejsze rzeczy na wozy, uświadomiła sobie, że ma do wyboru zostać sama w niechronionym, narażonym na kolejny atak domu albo jechać ze mną.

– I co wybrała?

– Nie wiem, wciąż rozmyśla. W każdym razie oddałem jej sztylet.

Wespazjan zachichotał, zapinając pas.

– Co zrobisz z żywym inwentarzem?

– Wszystkie muły i owce są na letnich pastwiskach, po północnej stronie posiadłości. Pallo i kilku wyzwolenców zostaną jakiś czas z pastuchami. Będą w miarę bezpieczni, nikt ich przecież nie szuka. Jeśli chodzi o niewolników, to tych domowych zabierzemy ze sobą.

– A pracujących w polu?

– Wszyscy zginęli... spłonęli ubiegłej nocy.

– A niech to. Wszystkich czterdziestu? – spytał Wespazjan, podnosząc zdumiony wzrok znad sandałów, które właśnie wiązał.

– Sześćdziesięciu. Rozrośliśmy się, kiedy cię tu nie było. Tak, niestety wszyscy. Przynajmniej rozwiązuje to problem, co z nimi zrobić.

– Bardzo kosztowny sposób rozwiązywania problemu. Byli warci mnóstwo pieniędzy.

– Nie musisz mi tego mówić, sam za nich zapłaciłem. Ta strata dla rodziny będzie większa niż to, co wniesie w posagu siostra Klemensa; dziś rano ustaliłem z nim szczegóły. W ciągu miesiąca ma ją przywieźć do *Cosa* na zaślubiny; zakładam, że jedziecie wprost tam.

– Tak, weźmiemy dwóch chłopców Magnusa do...

W drzwiach pokazała się głowa Sabinusa.

– Ojczy, Wespazjanie, Atafanes umiera, prosi, żebyśmy przyszli.

Baraki wyzwolenców mieściły się po drugiej stronie podwórza stajennego, obok biura posiadłości i kwatery zarządcy. Biegły wzdłuż całego muru i ogień nie dokonał tam większych zniszczeń.

Minęli ładowane w pośpiechu trzy kryte wozy i weszli do jadalni wyzwolenców, w której nie tylko spożywano posiłki, ale również wieczorami mężczyźni mieli zwyczaj pić i grać w

kości. Po przeciwnej stronie ciągnął się długi korytarz bez okien, z drzwiami do jednoosobowych izb, usytuowanych od strony podwórza. Tytus miał już wejść do jednej, ale się powstrzymał. Jako pan domu miał prawo nieproszony wchodzić gdzie chciał, ale teraz pomyślał, że uszanuje człowieka, który służył mu sześć lat jako niewolnik i kolejne dziesięć jako wyzwoleniec, i zapukał.

Drzwi się otworzyły i wyjrzała Chloe. Na jej pomarszczonej opalonej twarzy, która Wespazjanowi przypominała skorupkę orzecha, malowało się zdumienie, że to pan domu zapukał do drzwi.

– Panowie, wejdźcie, proszę – wysapała. – Wespazjanie, jak dobrze widzieć, panie, że jesteś przytomny. Jak bark?

– Sztwywny i obolały, ale będzie w porządku. Dzięki za opiekę, Chloe – odpowiedział, czułym i serdecznym gestem ujmując jej dłoń. Opatrywała mu skaleczenia, zszywała rany i poila różnymi miksturami, kiedy był jeszcze dzieckiem, i przyzwyczał się myśleć o niej jak o członku najbliższej rodziny.

– Miałaś szczęście, że oberwałeś w takie miejsce – powiedziała, uśmiechając się do niego promiennie. Te kilka zębów, jakie jej jeszcze zostały, pożółkły albo szerniały. – Wystarczyło oczyścić i przyżec ranę. Z biednym Atafanesem było niestety inaczej; strzała przebiła mu wątrobę i ma wewnętrzne krwawienie. Nie pociągnie długo.

Wespazjan skinął głową i wszedł do niewielkiej białej izby. Zdumiał się, widząc stojącego przy oknie Artebuza; za jego plecami, na dziedzińcu, trwało pospieszne ładowanie dobytku na wozy.

Atafanes leżał na niskim łóżku. Jego niegdyś dumna twarz Persa o rzeźbionych rysach zmiękła i zszarzała. Oddychał z wielkim trudem. Otworzył oczy – białka były żółtawe – i uśmiechnął się słabo.

– Wdzięczny jestem panom, że przyszliście – wyszeptał.

– Pan zapukał – oznajmiła Chloe. Zdawała sobie sprawę, że odzywa się niepytana, ale uznała, że Atafanes powinien o tym wiedzieć.

– Dziękuję – powiedział wyzwoleniec do Tytusa – to dla mnie zaszczyt, panie.

– Zasłużyłeś na to długimi latami służby dla mojej rodziny – odparł Tytus, biorąc go za rękę. Ścisnął ją lekko, a potem rzucił pytające spojrzenie w stronę Artebuza.

– Jestem Artebus, panie. Twój syn postarał się o wolność dla mnie, mam dług

wdzięczności wobec twojej rodziny.

– To jest właśnie człowiek, który mnie postrzelił, panie – Atafanes poinformował słabym głosem Tytusa. – Był to świetny strzał... o wiele celniejszy, chwała niech będzie Ahura Mazdzie, niż mój do Wespazjana. – Roześmiał się cicho i na jego wargach pojawiła się krew. – Ale przyjaciel Scyt, Baseos, kompletnie chybił. To były moje ostatnie z nim zawody łucznicze i to ja je wygrałem.

– Choć, na szczęście dla mnie, nie trafiłeś w dziesiątkę – powiedział Wespazjan, macając bark.

Atafanes skinął głową i przymknął oczy.

– Mam dwie prośby, panowie – powiedział.

– Słuchamy – rzucił szybko Tytus.

– Po pierwsze, byście nie palili mojego ciała, a zostawili je na żer ptakom na wieży milczenia, jak to jest w zwyczaju mojego ludu postępującego zgodnie z naukami proroka Zaratustry.

– Tak się stanie – obiecał Tytus.

– Dziękuję, panie. Moja druga prośba nie jest tak łatwa do spełnienia. Zaoszczędziłem dużo pieniędzy, w złocie; są w skrzynce pod łóżkiem, razem z rzeczami osobistymi. Chciałbym, żeby to wszystko trafiło do mojej rodziny. Kiedyś planowałem użyć tego złota na opłacenie powrotu do ojczyzny, ale teraz to się już nie stanie. Prosiłbym cię więc, byś przekazał je mojej rodzinie razem z listem mówiącym o moim życiu; nie miałem czasu go napisać. Potrafią czytać po grecku.

– Z przyjemnością, Atafanesie, ale skąd mamy wiedzieć, dokąd to wszystko wysłać?

– Moja rodzina pochodzi z Ktezyfonu, zajmuje się handlem przyprawami korzennymi. Ponieważ byłem najmłodszym z pięciu synów, zabrakło dla mnie miejsca w rodzinnym interesie i wysłano mnie, bym spełnił obowiązek wobec władcy i służył w armii Wielkiego Króla. Tymczasem znalazłem się tutaj i tutaj pozostanę na zawsze. Moja rodzina prowadziła handel na dużą skalę z Żydami z Aleksandrii, sądzę, że wciąż tym się zajmują. – Atafanes zamilkł, by zaczerpnąć tchu; jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała nieregularnie. – Była taka jedna szczególna żydowska rodzina... otrzymała rzymskie obywatelstwo dwa pokolenia wstecz, od Juliusza Cezara, głową rodziny był Gajusz Juliusz Aleksander. On będzie wiedział, dokąd wysłać pieniądze.

Oddech Atafanesa stawał się coraz słabszy.

Tytus patrzył na niego z niepokojem w oczach.

– Nikomu z naszej warstwy nie wolno udać się do Egiptu bez pozwolenia od samego cesarza. Jak możemy odnaleźć tę rodzinę, nie mogąc się tam wybrać?

Atafanes z ogromnym wysiłkiem otworzył oczy i wyszeptał:

– Napiszcie do alabarchy, on będzie wiedział. Żegnajcie.

Artebuz podszedł do zmarłego i zamknął wpatrzone w przestrzeń oczy.

Przez chwilę wszyscy stali w milczeniu.

– Wyciągnij tę skrzynkę, Sabinusie – powiedział w końcu Tytus. – Powiem Pallonowi, by kazał kilku ludziom zająć się jego ciałem. My musimy spalić naszych zabitych, stosy są już gotowe.

Tytus wyszedł, a bracia patrzyli po sobie zdumieni.

– Co to takiego ten alabarcha? – spytał Sabinus.

– Licho wie. Później będziemy się tym martwić. Rusz się, wyciągnij tę skrzynkę, a potem, po obrzędach żałobnych, pogadamy z Sekundusem.

Sabinus schylił się i zaczął macać pod łóżkiem. Wyciągnął prostą drewnianą skrzynkę, szeroką, wysoką i głęboką na jedną stopę; nie miała zamka, tylko skobelek. Podniósł wieko. Bracia wciągnęli gwałtownie powietrze; w jednej czwartej wypełniona była nie tylko złotymi monetami, ale także bryłkami złota i złotą biżuterią.

– Jak on to wszystko zgromadził? – zdziwił się Sabinus, podnosząc garść złota i przepuszczając je przez palce.

– Oszczędzał wszystko, co tylko dostał od twojego ojca za swoją pracę – powiedziała Chloe. W oczach miała łzy. – Raz w roku jechał do Reate i kupował złoto.

– Ale to chyba jest warte więcej niż dziesięcioletnia praca? – wykrzyknął Wespazjan. – Ojciec nie mógł być aż tak szczodry.

– Baseos zawsze oddawał mu większość swoich pieniędzy. Mówił, że ich nie potrzebuje. Niczego mu tu nie brakowało, a gdyby kiedyś wrócił w ojczyste strony, na co przydałyby mu się pieniądze na scytyjskich stepach? Uważał, że lepiej dać je przyjacielowi, który może je jakoś wykorzystać.

– Jakiś sens to pewnie ma – burknął Sabinus, z trudem dźwigając ciężką skrzynkę. – W przyszłości bardzo się będę starał zaprzyjaźnić ze Scytami.

Wyszedł z izby. Wespazjan poszedł za nim, zmagając się w myślach z koncepcją, że ktoś może nie odczuwać potrzeby ani pragnienia posiadania czegoś, co zawsze było tak bliskie jego sercu: pieniędzy.

Tytus poprowadził obrzędy, podczas których spalono ciała wszystkich zabitych. Ułożono dwa stopy za bramą podwórza: jeden dla zabitych z posiadłości oraz Lucjusza, członka bractwa rozstajnych dróg, drugi dla pozostałych. Wszystkim, nie wyłączając ludzi Liwilli, co bardzo oburzyło Wespazję, włożono w usta monetę przeznaczoną na opłacenie przewoźnika przez Styks.

Wespazjan stał teraz z ojcem obok wzniesionego pospiesznie drewnianego podwyższenia – wspartego na czterech słupkach, wysokich na osiem stóp – na którym złożono ciało Atafanesa. Za nimi tłoczyli się wyzwoleńcy z posiadłości. Był tam też Artebuz i nieukrywający łez Baseos, z łukiem Atafanesa w ręku, który zachował dla siebie jako pamiątkę po przyjacielu. Kiedy Wespazjan spytał, czy chce dostać z powrotem jakieś swoje pieniądze, stary Scyt oświadczył, że więcej pożywienia zdobędzie za pomocą Atafanesowego łuku, niż mógłby kupić za jego wszystkie pieniądze; wydawał się zadowolony z takiej transakcji.

Ponieważ nikt nie znał obrzędów żałobnych zaraturyzmu, Sa binus postanowił zastosować rytuały związane z Mitrą, gdyż religie te były ze sobą powiązane. Odprawiając modły za duszę zmarłego, zwrócił się do słońca i trzymał w górze zielony kłos pszenicy. Potem poświęcił młodego byczka i wykonał nad ogniem dziwne gesty dłonią, zanim wrzucił do niego serce zwierzęcia. Wszystko to wyglądało dziwnie i obco, choć samo składanie ofiary było znajome.

– O co w tym wszystkim chodziło? – spytał Wespazjan brata, kiedy wracali bramą na podwórze.

Była ósma godzina dnia; ładowanie prawie dobiegło końca i zaczęto zaprzęgać muły. Pallo oznajmił, że za niecałą godzinę będą gotowi do drogi.

– Gdybym ci powiedział, musiałbym zabić ciebie, a potem siebie – odparł Sabinus, bez śladu ironii w głosie. – Jeśli chcesz to wiedzieć, musisz przejść inicjację na najniższy stopień: Kruki.

– Skąd mogę wiedzieć, czy przejść inicjację, skoro nie wiem zupełnie nic o tej religii?

– Wiara, bracie.

– Wiara w co?

– Wiara w Pana Mitrę i w Boga Słońce.
– I w co mam wierzyć w związku z nimi?
– Że pokierują twoim duchem i oczyszczą twoją duszę podczas przejścia z jednego życia do drugiego.

– Jak?
– Tajemnice odsłaniane są stopniowo, kiedy przechodzisz kolejne stopnie wtajemniczenia.

– A na którym ty jesteś?
– Jestem Żołnierzem, to trzeci stopień. Dopiero kiedy dochodzisz do siódmego, wszystko zostaje ujawniane i otrzymujesz miano Ojca. Ale jeśli rzeczywiście jesteś zainteresowany, mogę zorganizować ci inicjację.

Wespazjanowi wydawało się dziwne, że religia może mieć tak hierarchiczny charakter, że jej sekrety są utrzymywane przez mniejszość w tajemnicy przed większością, od której wymaga się jedynie, by wie rzyła i szła ślepo za wtajemniczonymi. Domyślał się, że musi to mieć jakiś związek z władzą i kontrolą nad innymi i właśnie dlatego, jak przypuszczał, religia ta staje się taka popularna w armii.

– Dzięki, ale nie, Sabinusie. Wolę tych dawnych bogów, których wystarczy ugłaskać, a potem poprosić o takie zwykłe przysługi, jak zwycięstwo czy dobre zbiory albo śmierć wroga... sprawy rzeczywiste, a nie dotyczące ducha czy duszy, czymkolwiek to jest.

– Dawni bogowie też mają swoje tajemnice, które, jak sądzę, są bardzo podobne do tych u Mitry.

– To dlaczego zdecydowałeś się pójść za tym nowym bogiem?
– Wszystkie religie są w zasadzie takie same, jeśli się w nie zagłębisz; rzecz polega na wyborze tej, która naszemu wewnętrznemu „ja” najlepiej przekazuje prawdę o życiu, śmierci i odrodzeniu.

– Cóż, mnie wystarczy zamartwianie się o życie. To, co nastąpi potem, jeśli w ogóle coś się dzieje, może samo zadbać o siebie.

– Twoja wola, bracie.
Zakończyli teologiczne rozważania, kiedy natknęli się na Klemensa rugającego chłopca stajennego za to, że zbyt ciasno zaciągnął popręg przy siodle.

– Przysięgłbym, że ten mały głupiec próbował mnie zabić – oświadczył braciom z

oburzeniem, zdzieliwszy chłopca w ucho i każąc mu się przyłożyć do pracy.

– Gdzie jest Sekundus, Klemensie? – spytał Sabinus. – Chcemy zadać mu kilka pytań, zanim zabierzesz go do Antonii.

– Jest w jednym z tych magazynów. Pokażę wam, ale musielibyście mieć dużo szczęścia, żeby coś z niego wyciągnąć. Ja już próbowałem.

– Może nie zastosowałeś właściwej formy perswazji – rzucił Wespazjan, kiedy ruszyli za Klemensem.

– Wydaje się nam – oświadczył powściągliwym głosem Wespazjan – że masz prosty i jasny wybór, Sekundusie: porozmawiasz z nami i otrzymasz ochronę pani Antonii albo nie powiesz nic i wtedy ona poinformuje Makrona, że zdradziłeś nie tylko ją, ale i jego, i w takim wypadku ta bolesna śmierć, jaką obiecał tobie i twojej małżonce, stanie się faktem.

– Nie mieszajcie w to Albucylli – warknął Sekundus. Zmarszczył wyraziste, zrośnięte brwi nad bladoniebieskimi oczyma. Na twarzy o wystających kościach policzkowych i kanciastej szczęce widać było ślady po uderzeniach.

– Obawiam się, że już jest w to zamieszana – odparł gładko Wespazjan – i to od czasu, kiedy użyczyłeś jej do igraszek Liwilli i Sejanowi.

– Nie użyczałem jej. Robi to wyłącznie z własnej woli.

– Zatem to z własnej woli – mówił powoli Sabinus – powtarza ci te wszystkie interesujące informacje, które uzyskała ściśnięta pomiędzy parą swoich nowych klientów?

Sekundus zerwał się z krzesła, by się rzucić na Sabinusa, ale Wespazjan i Klemens go powstrzymali. Cios wymierzony przez Sabinusa prawą pięścią w splot słoneczny pozbawił go tchu i mężczyzna padł na podłogę.

– A teraz posłuchaj, Sekundusie – ciągnął spokojnym głosem Wespazjan – ty i twoja żona prowadziliście niebezpieczną grę, która się już zakończyła. Antonia może sobie miło pogawędzić ze swoją córką Liwillą, choć obie serdecznie się nienawidzą, i wspomnieć przy okazji kilka rzeczy, które Albucylla przekazała tobie, a którymi ty z kolei podzieliłeś się z Makronem. Wyobraź sobie tylko, co zrobi Sejan, kiedy się dowie, że w jego łóżu jest szpieg. Nie wiem jak tobie, ale mnie się wydaje, że wolałbym tę bolesną śmierć obiecaną przez Makrona niż resztę życia w mękach, co niewątpliwie Sejan zgotowałby tobie i twojej drogiej małżonce.

Sekundus odzyskał oddech; podniósł wzrok na Wespazjana, a w jego spojrzeniu widać

było rezygnację i nienawiść.

– Czego chcecie i co możecie mi zaoferować? – zapytał.

– Tak już lepiej. Wiedziałem, że okażesz rozsądek. Podziwiam w mężczyźnie ambicję, ale tylko wtedy, kiedy studzi ją odrobina lojalności... czyli coś, czego zdaje się, w ogóle nie posiadasz. Może warto, byś trochę jej nabył; pani Antonia i Makron mogą w nagrodę zachować ciebie i Albucyllę przy życiu i zapewnić wam bezpieczeństwo. A to, czego chcemy, jest proste: powiedz nam, dlaczego poszedłeś do Sejana i co mu powiedziałeś.

Sekundus z trudem stanął na nogi.

– Mogę usiąść? – zapytał.

Klemens podał mu krzesło. Sekundus usiadł, otarł pot z czoła i pomasaował obolałe miejsce na klatce piersiowej.

– A zatem – odezwał się Sabinus – do rzeczy.

Sekundus rozejrzył się wokół z nieszczęśliwą miną. Wiedział, że nie ma wyboru.

– Zawsze byłem lojalny wobec Makrona – oznajmił, wzięwszy głęboki oddech – ale kiedy zaczął spiskować z Antonią przeciwko Sejanowi, zacząłem się martwić, że być może obstawiam niewłaściwy rydwan. Sejan to potężny przeciwnik i obawiałem się, że Makron zostanie przez niego zniszczony, a ja pójdę na dno razem z nim. Jednak Antonii też nie można nie doceniać i gdyby okazało się, że nie jestem lojalny wobec Makrona i tym samym wobec niej, to też zapłacę, jeśli to ona wygra tę batalię.

– Ale nie chciałeś ryzykować opowiedzenia się po stronie przegrywającej – zauważył Sabinus z nikłym uśmiechem.

– Cóż – odparł Sekundus, wzruszając ramionami – zawsze lepiej po takiej się nie znaleźć. W każdym razie powiedziałem żonie o swoich niepokojach i ona wpadła na pomysł, że uwiedzie Liwillę, a potem być może Sejana i dzięki temu nie będzie dla nas ważne, kto wygra walkę o władzę, bo będziemy tkwić jedną nogą w każdym z tych dwóch obozów.

– Można i w ten sposób to ująć – przyznał Wespazjan.

– Kiedy już jej się udało – Sekundus zignorował ten drwiący komentarz – wślizgnąć do ich łoża, zaczęła im przekazywać różne drobne informacje o Antonii, których jej dostarczałem. Miała je rzekomo dostawać od jednego z pretorianów strzegących Kaliguli, z którym, jak im powiedziała, też miała romans.

– Od którego? – spytał podejrzliwie Klemens.

– Od ciebie – odparł z szyderczym uśmiechem Sekundus.

– Ty nędzny draniu! – wrzasnął Klemens i zamachnął się pięścią.

Sekundus uchylił się przed ciosem.

– A co innego mogła powiedzieć? Nie uwierzyliby jej, gdyby powiedziała, że ma romans z szeregowym pretorianinem, musiał to być ktoś wyższy rangą. W ten sposób mogłem przekazywać to, czego dowiedziałem się o planach Antonii z wiadomości, jakie nosiłem pomiędzy nią i Makronem, nie zdradzając go.

– Więc Sejan nie wie, że Makron współpracuje z Antonią – powiedział Wespazjan, kładąc uspokajająco dłoń na ramieniu Klemensa.

– Oczywiście, że nie. Nie jestem idiotą... gdyby Albucylla powiedziała coś takiego Sejanowi, ten kazałby zamordować Makrona i Antonia domyśliłaby się, że to ja ich zdradziłem. Wiem, jaka ona jest, nie przeżyłbym nawet jednego dnia, nieważne jak szybko i jak daleko bym próbował umknąć.

– Co w takim razie przekazywałeś Sejanowi? – spytał groźnie Sabinus, podchodząc do Sekundusa.

– Głównie drobiazgi; rzeczy, o których Klemens mógł wiedzieć, takie jak imiona przychodzących i wychodzących ludzi, których sam tam widziałem, kiedy czekałem, aż ona mnie przyjmie. Najważniejsza informacja, jaką przekazałem, dotyczyła przybycia więźnia. Bo widzicie, ja wiedziałem, że Antonia stara się sprowadzić przed oblicze Tyberiusza świadka, który będzie zeznawał przeciwko Sejanowi, byłem przecież tam wtedy na tym spotkaniu z tobą, Pallasem i Makronem.

– Zaraz, zaraz – wtrącił Wespazjan, zwracając się do Sabinusa. – Nie mówiłeś, że mieliście spotkanie z Makronem.

– Nie pytałeś – odparł lekceważąco Sabinus.

– Skąd mogłem wiedzieć, że należy zadać takie pytanie? Czy przypadkiem nie ustaliliśmy, że będziemy mówić sobie wszystko, co istotne?

– Słuchaj, to nic ważnego. Towarzyszyłem Pallasowi, kiedy rozmawiał z Makronem w imieniu Antonii. Sekundus był tam jako osobista ochrona Makrona i dlatego wczorajszej nocy go rozpoznałem. A teraz mów dalej, Sekundusie.

Sekundus uniósł zrośnięte brwi.

– Kiedy Antonia kazała mi poinformować Makrona, że to, na co czeka, wkrótce

przybędzie, domyśliłem się, że chodzi o tego świadka. Albucylla przekazała to dalej, a Sejan nakazał obserwację portu i wszystkich bram do miasta. Albucylla powiedziała mi, że Sejan był wściekły, bo jego ludziom nie udało się zobaczyć pod kapturem twarzy tego człowieka.

– Więc Sejan nie wie, kim jest ten świadek? – dopytywał się Sabinus.

– Ani kim jest, ani skąd pochodzi. Nie mogłem kazać Albucylli powiedzieć mu, że sprowadzają tego człowieka z Mezji, bo niby dlaczego Klemens miałby posiadać tego rodzaju informację? Mogłoby to wywołać podejrzenia Sejana i by się jej pozbył, na więcej sposobów niż tylko ten jeden. A ona potrzebna mi była w tamtym łożu, bo dostawałem informacje, które zadowalały Makrona; to właśnie ona odkryła, że Kaligula zostanie wezwany na Capri.

Wespazjana zadziwiały dwulicowość, kunszt i tupet tego człowieka. Prowadził bardzo niebezpieczną grę i robił to dobrze, i zagwarantowałby sobie pozycję po stronie zwycięzców, obojętne kto by wygrał, gdyby nie schwytano go na gorącym uczynku, kiedy usiłował popełnić morderstwo.

– Dlaczego wysłano was, żebyście zabili naszych rodziców? – zapytał.

– Wcale nie po to nas tu wysłano; mieliśmy rozkaz przywieźć do Liwilli twoją matkę.

– A czego Liwilla mogła od niej chcieć?

– Sejan koniecznie chciał poznać tożsamość tego świadka, a ponieważ nie mógł się dostać do Antonii, postanowił zapytać kogoś z jej bliskich sojuszników. Albucylla kilkakrotnie wymieniła im imię waszego wuja, a ponieważ, jak to ujął Sejan, senator Pollon zachowywał się irytująco w senacie, prefekt wymyślił sobie, że może on znać szczegóły planu Antonii; wysłał więc ludzi Liwilli do jego domu, żeby sprowadzili go do niego na rozmowę.

– Tak, wiemy. Nie znaleźli go – oświadczył z goryczą w głosie Sabinus – zabili tylko większość domowników.

Sekundus wzruszył ramionami.

– Kazano nam przywieźć jego siostrę, żeby wspomogła jego pamięć. Mnie poproszono o udział, ponieważ żaden z ludzi Liwilli nie wiedział, jak ona wygląda. Albucylla zasugerowała, żebym to ja im towarzyszył, bo kilkakrotnie widziałem senatora Pollona i będę w stanie dostrzec rodzinne podobieństwo.

– A co z Sabinusem i ze mną? – spytał Wespazjan.

– Wasze imiona nie padły ani w łożu, ani nie wymówił ich Makron – odparł Sekundus, spoglądając na braci przebiegle. – Jednakże Albucylla powiedziała, że widziano, jak dwóch

młodych ludzi schodzi ze statku z więźniem, a potem jak udają się do domu Antonii. Chyba dobrze byłoby, żebyście przez jakiś czas trzymali się z dala od Rzymu.

– Mamy właśnie taki zamiar – zapewnił go Sabinus.

– A co zrobicie ze mną? – spytał Sekundus.

– Liwilla przyśle tu ludzi, żeby sprawdzili, co się stało – powiedział Wespazjan. – Zastaną opuszczoną posiadłość i dwa stosy pogrzebowe; założą, że jesteś w jednym z nich. Tymczasem Klemens zabierze cię do Antonii, gdzie przyczaisz się na jakiś czas, dopóki ona nie zdecyduje, co z tobą zrobić.

– A co z moją żoną? Czy też ma uważać, że nie żyję?

– O tym już zdecyduje Antonia; sądzę, że wszystko będzie zależeć od tego, jaką okażesz lojalność i użyteczność.

– Och, ja potrafię być bardzo użyteczny.

Wespazjan uśmiechnął się w głębi duszy; nie wątpił w to.

– Wobec tego możesz liczyć na jej wdzięczność.

– Na pewno będzie mi bardzo wdzięczna.

– Niby dlaczego?

– Bo mogę zdobyć dla niej największe trofeum. Mogę dać jej Sejana.

CZEŚĆ V

NA CAPRI

GRUDZIEŃ 30–MARZEC 31



Rozdział czternasty

– Wesołych Saturnaliów – zawołali Wespazjan i Sabinus, stając w drzwiach do *tryklinium* z półmiskami pełnymi potraw.

– Wesołych Saturnaliów – odpowiedziało gromko tych kilku wyzwolenców i niewolników domowych, których wraz z Sekstusem i Mariuszem pozostawiono w posiadłości Wespazjana w *Cosa*.

Spoczywali na trzech łóżach wokół niskiego stołu i wznosząc toast za doroczne święto pojednania i równości, pili już przez całe popołudnie, podczas gdy Wespazjan, Sabinus i Klementyna, wspomagani przez niewolnika z kuchni, przygotowywali wieczerzę. Bracia postawili półmiski na stole, a Klementyna obchodziła wszystkich, napełniając entuzjastycznie opróżniane kielichy.

Pokój przybrano gałęziami jodły i obsypanym jaskrawymi owocami ostrokrzewem; każdy obecny, czy to człowiek wolny, wyzwolenc, czy niewolnik, miał na głowie ściśle przylegający stożkowy kapelusz z filcu, bez ronda, *pileus*, uważany za oznakę wolności. Ubrani byli w tuniki o żywych kolorach, a nie jak zazwyczaj białe, rdzawe czy z niefarbowanej wełny. Takie krzykliwe i klójące się ze sobą barwy noszono wyłącznie o tej porze roku: podczas sześciodniowych świąt ku czci Saturna. Właśnie obchodzono najważniejszy dzień, w którym normalny porządek wywracano do góry nogami i panowie usługiwali niewolnikom oraz wyzwolencom, którzy mogli sobie pozwolić na nieokazywanie szacunku (choć na pewno nie bezczelność).

Uczający spojrzeli na wniesione potrawy – duszoną rybę z koperkiem i upieczone w całości koźle, podane w śliwkowo-kaparowym sosie, i głośno wyrazili zachwyty.

– Wygląda to o wiele lepiej niż ta breja, jaką wasza pomarszczona stara babka pichciła podczas swojej dorocznej wyprawy do kuchni... jeśli w ogóle do niej trafiła – zauważył Attalus, zarządca i przeciwnik Tertulli w słownych pojedynkach. – Nie sądzę jednak, byście wy, rozpieszczone młode urwisy, próbowali okropnych potraw tej staruchy.

– I nie mam wątpliwości, że jasno dawałeś jej rok w rok do zrozumienia, co o tym myślisz, Attalusie – odparł Wespazjan, śmiejąc się z charakterystyki babki padającej z ust jedyne go człowieka, który zapewne kochał ją jeszcze bardziej niż on sam.

– Wprost przeciwnie, chłopcze, o czym nie powinieneś zapominać. – Attalus opróżnił kielich i uśmiechnął się. – Prawo do nieokazywania jej szacunku podczas Saturnaliów ani trochę mnie nie bawiło i byłem wtedy pełen poważania, uległy i potulny. Innymi słowy, niewolnik idealny. Sześć dni takiego zachowania doprowadzało ją do szaleństwa; nie mogła się doczekać końca świąt. Myślę sobie czasami, że celowo szykowałam mi taką okropną ucztę, żeby usłyszeć jakąś sarkastyczną uwagę; ja jednak nigdy tego nie robiłem, bez mrugnięcia okiem zjadałem całe paskudztwo, jakie ta wariatka przede mną stawiała. Genialne pociągnięcie, ale przecież zawsze byłem mądrzejszy od każdego członka waszej rodziny. – Podniósł do góry kielich i przywołał Klementynę. – Napełnij go, kobieto, po brzegi, tak jak ciebie samą napełniono.

W pokoju rozległ się gromki śmiech; Klementyna zarumieniła się, ale i uśmiechnęła, instynktownie kładąc dłoń na nabrzmałym brzuchu, i pospiesznie okrążyła stół, by mu usłużyć.

Sabinus trochę się zjeżył, ale w końcu przyłączył do ogólnej wesołości; uwaga nie była złośliwa i pasowała do ducha Saturnaliów, które wciąż przecież sprawiały mu radość pomimo przyjęcia nowej religii. Postrzegał teraz te święta jako wstęp do podniosłych obchodów narodzin Mitry, które przypadały za kilka dni.

– Jeśli uważasz, że te dwa dania wyglądają na jadalne, Attalusie – zawołał – to tylko poczekaj, aż zobaczysz pozostałe. Myślę, że nawet przymierający głodem galijski żeglarz, od miesiąca na morzu, bałby się wziąć to do ust.

Te słowa wywołały kolejny wybuch rubasznego śmiechu; Galowie nie mieli pojęcia ani o żeglowaniu, ani o gotowaniu.

– Klementyno, moja droga, może rozdasz podarki, a my przyniesiemy pozostałe potrawy.
– Sabinus wskazał ręką na stół w kącie pokoju, gdzie ustawiono świece woskowe, ceramiczne figurki i ułożono stos nowych tunik.

– Z przyjemnością – powiedziała Klementyna, uśmiechając się promiennie do małżonka.
Sabinus odwzajemnił jej uśmiech i wyszedł z pokoju.

Wespazjan poszedł za nim, w doskonałym świątecznym nastroju. Zawsze przepadał za Saturnaliami, bo go rozweselały. W tym celu zresztą je wymyślono prawie dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej. Miały przynieść radość rzymskiemu ludowi po katastrofalnej klęsce zadanej przez Hannibala nad Jeziorem Trazymeńskim, gdzie zginęło ponad piętnaście tysięcy rzymskich synów, braci i ojców. Pierwotnie były to jednodniowe obchody, ale z upływem lat się rozrosły. Dowcipnisie zauważali, że ponieważ w rok po Trazymenie ponad pięćdziesiąt tysięcy Rzymian

poległo pod Kannami, dodano kolejny dzień, żeby jeszcze bardziej podnieść ludzi na duchu.

Wespazjan nie wiedział, jak było naprawdę, ale bawił go ten makabryczny dowcip. Te pięć miesięcy w *Cosa* okazało się bowiem długie i trudne i cieszył się, kiedy coś wprowadzało go w dobry nastrój. Nie nudził się tutaj; było mnóstwo pracy, ponieważ posiadłość nieco podupadła w ciągu dwóch i pół roku od śmierci Tertulli. Attalus starał się, by wszystko funkcjonowało bez przeszkód, ale ponieważ w swoim testamencie babka obdarowała wszystkich niewolników wolnością, brakowało rąk do pracy. Niektórzy ze świeżych wyzwolenców zdecydowali się pozostać w posiadłości, większość jednak postanowiła szukać szczęścia nawet w Rzymie. Zarządca kupił co prawda kilku niewolników, ale, całkiem słusznie, nie chciał robić większych zakupów bez pozwolenia właściciela. Dużo czasu podczas pierwszych dwóch miesięcy zajęło Wespazjanowi uzupełnienie braków wśród niewolników polowych, ostatnio pracował natomiast nad doprowadzaniem posiadłości do stanu maksymalnej wydajności, zanim zima spowolni prace na kilka miesięcy.

Od świtu do zmierzchu pracował ciężko, robiąc to, na czym znał się najlepiej; dni zatem miał wypełnione, problemem były wieczory. Odkąd Klemens sprowadził w sierpniu do *Cosa* swoją siostrę Klementynę, by poślubiła Sabinusa, Wespazjan co wieczór jadał posiłek z dwojgiem ludzi, którzy bardzo szybko się pokochali. Prawda wyglądała tak, że pierwszy raz w życiu zazdrościł swojemu bratu. Był zazdrosny o jego szczęście; był zazdrosny o jego miłość i wzajemność, z jaką się spotkała; był zazdrosny, że brat ma w łóżu ukochaną kobietę. Wespazjan zazdrościł Sabinusowi wszystkich tych radości, których nie mógł dzielić ze swoją Cenis.

Antonia przysłała raz Cenis, niby z wiadomością o tym, że Kaligula z Klemensem popłynęli na Capri i ona teraz oczekuje wieści od nich. Jednakże minęły trzy miesiące, a wciąż nie było żadnej wiadomości i Wespazjana zaczęła irytować własna bezczynność; nie mógł przecież robić kariery z dala od Rzymu, nieważne jak bardzo pilne były prace polowe.

Cenis została na cztery dni – i noce – ale było to we wrześniu i od tamtej pory już jej nie widział. Bawili się w małżeństwo; wspólne poranne spacerunki, wspólne wieczery, wspólne noce. Był wdzięczny Sabinusowi i Klementynie za to, że traktują ją jak równą sobie. Jednak mimo wszystko była niewolnicą i mogła jedynie mieć nadzieję, że kiedyś będzie wolna.

Kiedy w listopadzie, w okolicy jego urodzin, stało się jasne, że Klementyna jest w ciąży, zazdrość Wespazjana jeszcze przybrała na sile. Jego brat będzie miał dziecko z kobietą, którą kochał, tymczasem on nie mógł sobie na to pozwolić, bo dziecko urodzone przez Cenis nie

miałoby rzymskiego obywatelstwa. Nie mógł też myśleć o jej poślubieniu, ponieważ ustanowione przez Augusta prawo, *lex Papia Poppaea*, zabraniało związku pomiędzy wyzwolenicą i senatorem. Jeśli miał dalej służyć Rzymowi, to wybiorą go kwestorem w wieku co najmniej dwudziestu czterech lat, a ponieważ jego wuj był senatorem, on sam automatycznie uzyska miejsce w senacie.

Była to sytuacja, z której nie widział wyjścia, chyba że zrezygnowałby z kariery. Na to jednak nie było go stać. Majestatyczny Rzym zrobił na nim piorunujące wrażenie, kiedy zobaczył go po raz pierwszy u swoich stóp z *via Salaria*, i pragnął mu służyć. Nie miał więc wyboru, musiał trzymać swoje uczucia na wodzy i zajmować się posiadłością do czasu, kiedy Antonia wezwie jego i Sabinusa, by dokończyli swoją misję, zabierając Rotekesa do Tyberiusza. Jednakże tego wieczoru zdołał odłożyć na bok zmartwienia; trudno było się trapić podczas Saturnaliów.

Kolejne radosne okrzyki powitały Wespazjana i Sabinusa, kiedy wchodzili do *tryklinium* z ostatnimi daniami.

– Nie przesadzałeś, Sabinusie – powiedział Attalus, wkładając palec w rzadki sos oblewający dwa rozgotowane króliki. – Prześcignąłeś swoją babkę; galijski żeglarz musiałby jeszcze być ślepy i pijany, żeby to przelknąć.

– Cóż, jedno już osiągnąłeś, Attalusie – powiedział ze śmiechem Sabinus, wziął ze stołu nóż i wycelował nim w twarz zarządcy. – Mam ci pomóc z tym drugim?

– Jesteś bardzo uprzejmy; muszę ci jednak odmówić, bo obawiam się, że pożałowałbyś tej propozycji już jutro rano, kiedy wróci normalność i przyda ci się ktoś biegły w liczeniu i o dobrym wzroku, żeby poprawił wszystkie błędy, jakie popełniłeś w księgach rachunkowych posiadłości.

Biesiadnicy wzniesli kolejny toast i zabrali się do jedzenia.

– Pozwól, że ci usłużę, panie Mariuszu – powiedział Sabinus, zauważywszy, że jednoręki członek bractwa rozstajnych dróg ma problem z dobraniem się do nóżki koźlęcia.

– Taa, przyda mu się pomocna dłoń – odezwał się Sekstus, zadowolony z dowcipu, który powiedział już ze sto razy, ale którego wciąż nie miał dość.

– Najwyraźniej mamy Saturnalia, skoro udało ci się wydusić z siebie ten jedyny żarcik, jaki znasz – odparł Mariusz z uśmiechem, kiedy Sabinus kładł na jego talerzu nóżkę. – Dziękuję, Sabinusie.

– Nie ma potrzeby dziękować, dobrze, że w ogóle mogę na coś się przydać, skoro nie

mogę zostać kwestorem.

– Wesołych Saturnaliów! – ryknęli wszyscy, włącznie z Wespazjanem, w odpowiedzi na ten niezwykle pokazy umniejszania swojej wartości. Na początku Wespazjan był zdumiony, że brat tak łatwo pogodził się z niemożnością kandydowania w wyborach, szczególnie kiedy on sam przy kilku okazjach wspominał mu o swoim przyjacielu, Petusie, który niedawno wrócił do Rzymu i znalazł się na szczycie listy. Po jakimś czasie jednak, zauważywszy, z jaką częstotliwością brat znajduje pocieszenie w ramionach świeżo poślubionej młodej żony, doszedł do wniosku, że Sabinus z ulgą przyjął tę sytuację. Zawsze przecież są kolejne wybory, a tymczasem on mógł się cieszyć niezakłóconym życiem małżeńskim, zamiast przez rok czy dłużej być czyimś zastępcą w jakiejś odległej prowincji, co na pewno by go spotkało, jako że synekury w mieście zarezerwowane były dla ludzi o takim pochodzeniu jak Petus.

Uczta powoli dobiegała końca, a biesiadnicy byli coraz bardziej pijani; w końcu posnęli na łóżkach albo pod nimi. Bracia i Klementyna zostawili ich chrapiących pośród resztek potraw; program Saturnaliów nie obejmował sprzątania i zmywania naczyń przez panów, to było już obowiązkiem biesiadników, którzy wcześniej rano, chorzy z przepicia, powracali do swoich normalnych ról.

Sabinus poprowadził Klementynę do sypialni, a uśmiech na jego twarzy upewnił Wespazjana, że brata czekają upojne chwile. Ponieważ było jeszcze wcześniej i nie czuł się zmęczony, postanowił pójść do gabinetu i popracować nad książkami historycznymi i dokumentami, których babka zostawiła mu zadziwiająco wiele. Kiedy przechodził przez atrium, usłyszał głośne pukanie do drzwi frontowych. Nie było tam odźwiernego, bo leżał w jadalni, we własnych wymiocinach, sam więc otworzył.

– Dobry wieczór, panie, czyżbym przegapił przyjęcie?

– Magnus! – wykrzyknął Wespazjan zaskoczony, ale uradowany na widok przyjaciela. – Owszem, niestety się spóźniłeś.

– Wielka szkoda. – Magnus wszedł do westybulu, strząsnął pelerynę i z uśmiechem podał ją Wespazjanowi. – Nie szkodzi, wciąż mamy Saturnalia, więc możesz mi to wynagrodzić, nalewając kielicha, kiedy już to powiesz.

– Co ty tu robisz?

– Najpierw kielich, chłopcze.

Wespazjan przewrócił oczami; chyba Saturnalia trwały za długo.

– Do marca? – wykrzyknął Wespazjan.

– Najwcześniej – odparł Magnus.

Siedzieli w niewielkim, przytulnym gabinecie Wespazjana; w kącie pokoju żarzyły się węgle w przenośnym piecyku, dostarczając przyjemnego ciepła. Na biurku pomiędzy mężczyznami stał dzban wina i kilka lampek oliwnych.

– Po co ta zwłoka?

Magnus napił się wina, rozlewając odrobinę na tunikę, i odstawił kielich.

– Nie znam dokładnie szczegółów, panie, ale ma to jakiś związek z Satriuszem Sekundusem.

– A co on takiego robi?

– Cóż, kiedy wróciliśmy do Antonii, spędził z nią i Pallasem godzinę w jej gabinecie. Czekałem na zewnątrz, bo ona mnie poprosiła, żebym... poczekał, jeśli wiesz, co mam na myśli?

– Owszem, wiem, stary capie – odparł Wespazjan, uśmiechając się znacząco.

– No więc, kiedy wyszła z gabinetu, spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i oświadczyła: „Teraz to już naprawdę go mam”.

– I?

– To wszystko. Ona ze mną wiele nie rozmawia, mówi tylko, co mam zrobić, no wiesz, polecenia i takie tam.

– Tak, wyobrażam sobie – powiedział Wespazjan, usiłując sobie tego nie wyobrażać. – Zatem Sekundus dostarczył jej coś na Sejana, co według niej przekona cesarza o jego zdradzie?

– Na to wygląda; była w świetnym nastroju tego wieczoru – odparł Magnus, krzywiąc się lekko. – Nie wiem jednak, co to takiego. Próbowałem podpytać Pallasa, ale znasz go, nie ujawni powierzonego mu sekretu, nawet gdyby jego własną matkę przybijali do płonącego krzyża, a nasączony smołą drewniany kołek wbijali...

– Tak, tak – przerwał mu Wespazjan, któremu ten obrazek nie spodobał się, zanim jeszcze został ukończony. – A co z Kaligulą?

– Antonia kazała powiedzieć ci, że wymyślił sposób, dzięki któremu możemy się znaleźć na wyspie.

– No to mów.

– Powiedziałem.

– Nie, nie powiedziałeś. Co to za sposób?

– Och, tego nie wiem; ona po prostu kazała ci powiedzieć, że znalazł sposób, nie powiedziała jaki, ona nie...

– Nie rozmawia za wiele, wiem.

– No właśnie. W każdym razie wkrótce możesz ją sam zapytać, jeśli chcesz.

– Niby jak? Przecież mam tu zostać co najmniej do marca.

– Jeśli to zrobisz, to wpadniesz w tarapaty.

– O czym ty znowu mówisz? Myślałem, że bezpieczniej jest trzymać się na razie z dala od Rzymu.

– Cóż, Antonia kazała ci powiedzieć, że według niej możesz bezpiecznie wrócić. W Nowym Roku Sejan ma zostać współkonsulem Tyberiusza i otrzymał już pozwolenie na poślubienie Liwilli.

Wespazjan zmarszczył brwi i napił się wina.

– Niby dlaczego ma mi to pozwolić czuć się bezpiecznie?

– Ponieważ on czuje się pewnie i uważa, że jest nietykalny. Mści się na ludziach, którzy narazili mu się w przeszłości, i nie zawraca sobie głowy planami Antonii dotyczącymi jego przyszłości. Nie dokonał żadnej próby zamachu na zdrowie i życie twojego wuja, który już od trzech miesięcy mieszka we własnym domu. I jak być może już wiesz, zostawili waszą posiadłość w *Aquae Cutillae* w spokoju po tym, jak zobaczyli stopy pogrzebowe. Antonia uważa, że ty i Sabinus jesteście... jak ona to ujęła?... „zbyt drobnymi płótkami, żeby Sejan was zauważał”.

– To wielce pocieszające, na pewno. I niby dlaczego mam mieć kłopoty, jeśli tutaj zostanę?

– Ponieważ Antonii i senatorowi Pollonowi udało się zdobyć dla ciebie stanowisko.

– Jakie stanowisko?

– To dopiero niemądre pytanie – oświadczył Magnus, osuszając kielich i dolewając sobie kolejną porcję wina. – Na następnym szczeblu drabiny oczywiście. Masz być jednym z tych dwudziestu niższych urzędników, tych *vigintiviri*.

Wespazjanowi zaświeciły się oczy; nie spodziewał się żadnych postępów w swojej karierze, dopóki Antonia nie odniesie zwycięstwa w zmaganiach z Sejanem. Jednak obecnie,

skoro ona uważała, że może bezpiecznie wracać do Rzymu i zrobić kolejny krok na ścieżce *cursus honorum*, to on chwyci się tej możliwości. Będzie bliżej Cenis i brat nie będzie przez cały czas świecił mu w oczy swoim szczęściem.

– To wyśmienita wiadomość.

– I tak, i nie, panie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To najmniej popularne stanowisko.

– Nie chodzi o pracę z edylem odpowiedzialnym za drogi?

– Gdzież tam. Będziesz jednym z *triumviri capitales*.

Wespazjan jęknął; wiedział, co to oznacza.

– Niestety, panie – powiedział Magnus ze współczuciem – będziesz jednym z trzech ludzi odpowiedzialnych za palenie ksiąg i wykonywanie egzekucji.

Rozdział piętnasty

– Drogi chłopcze, jesteś biały jak twoja toga – oświadczył tubalnym głosem zaniepokojony Gajusz, kiedy ładny nowy odźwierny wpuścił Wespazjana do domu wuja.

– To dlatego, że dzisiaj znowu moja służba dla Rzymu ograniczyła się do zabójstwa z zimną krwią – odparł Wespazjan, z irytacją odtrącając krążącego wokół niego chłopca, jednego z nowych germańskich niewolników Gajusza.

– Enorze, przynieś wino – Gajusz polecił chłopcu. – Rozgość się, Wespazjanie.

– Ironia tkwi w tym, że od trzech miesięcy wykonuję brudną robotę dla człowieka, którego mam pomóc Antonii zniszczyć – poskarżył się Wespazjan, siadając w pobliżu *impluvium* w przestronnym atrium Gajusza. Nieustanny plusk fontanny wpływał na niego uspokajająco. Wuj usiadł naprzeciwko, a Enor podawał im wino.

– Kogo więc załatwił dzisiaj Sejan? – spytał Gajusz, odprawivszy chłopca rubasznym klepinięciem w pośladek.

– Nie pamiętam jego imienia – odparł Wespazjan, kręcąc głową. Pociągnął długi łyk wina i z zamkniętymi oczami rozkoszował się jego delikatnym smakiem. – Był ekwitą z jakimiś powiązaniem handlowymi w Egipcie; rzekomo oszukał będącego wtedy zarządcą prowincji ojca Sejana, Strabona, krótko przed jego śmiercią.

– I szesnaście lat później Sejanowi zachciało się zemsty?

– Właśnie. Za podstawę służyło sfingowane oskarżenie o zdradę. Ofierze odmówiono nawet przysługującego obywatelowi rzymskiemu prawa do stracenia przez ścięcie. Musiałem patrzeć, jak kat publiczny dusi fałszywie oskarżonego Rzymianina. Na domiar wszystkiego, jego rodzinie zabroniono zabrać ciało i teraz poniewiera się na schodach Gemońskich, żeby każdy mógł je beczceścić, jak mu się żywnie podoba. To prawdziwa hańba.

– Uspokój się, mój drogi, w tej chwili nic na to nie poradzisz. Bądź wdzięczny losowi, że Sejan skupia całą swoją uwagę na długiej liście ludzi, którzy narazili się jego rodzinie w przeszłości; choć nie ma dnia, bym się nie martwił, że jakiś smarkaty kwesor miejski zjawi się z pozwem na moim progu.

– Nie nazwałbym Petusa smarkatym.

– Cóż, jest młodszy ode mnie. A jak brzmiało oskarżenie?

– Uznano, że bez pozwolenia cesarza wjechał do Egiptu, z zamiarem oszukania osobistego przedstawiciela cesarza w tej prowincji.

– Bardzo pomysłowe. A miał pozwolenie?

– W sądzie przysięgał, że je miał, a wtedy oskarżyciel wyciągnął listę, zgadnij przez kogo dostarczoną, wszystkich ekwitów, którzy składali prośbę o pozwolenie odwiedzenia Egiptu w ostatnich dwudziestu latach i jak się domyślasz, akurat jego imię tam nie figurowało.

– I to wystarczyło?

– Tak, wuju, to wystarczyło. Musiałem go zabrać, by niezwłocznie dokonano egzekucji. Pozbawiono go prawa do apelacji, a cały majątek skonfiskowano i rozdzielono pomiędzy koleżkę Sejana, który wniósł oskarżenie, i cesarza, pozbawiając rodzinę nieszczęśnika środków do życia.

– Zapamiętaj imię ofiary, bo kiedy sytuacja ulegnie zmianie, może da się naprawić pewne krzywdy wyrządzone przez Sejana.

– Jak? Sejan przecież najwyraźniej usunął to imię z listy.

– Owszem, ale to nie jest jedyna lista, w Aleksandrii znajduje się jej duplikat... musi taki być, bo inaczej zarządca prowincji nie wiedziałby, kogo może wpuścić do Egiptu. Kiedy Sejana już nie będzie, poproszę Antonię, by napisała do swojego przyjaciela, alabarchy, i ten będzie mógł sprawdzić...

– Alabarchy? – przerwał mu Wespazjan. – Już drugi raz słyszę ostatnio to słowo. Kto to taki ten alabarcha?

– Alabarcha Aleksandrii to świecki przywódca Żydów w tym mieście. Cesarz wykorzystuje go do zbierania podatków, opłat wwozowych i innych należności od ludności żydowskiej. Żydzi nie znoszą płacić ich Rzymowi, ale nie przeszkadza im, kiedy płacą współziomkowi, choć ostatecznie pieniądze lądują w tym samym miejscu.

– A co Antonia ma z nim wspólnego?

– Ona, co zrozumiałe, ma w Egipcie mnóstwo ziemi. Alabarcha dba tam o jej interesy, i to od czasu, zanim jeszcze został mianowany na to stanowisko. Jest pierwszym alabarchą posiadającym rzymskie obywatelstwo; jego dziadek otrzymał je od Cezara.

– Gajusz Juliusz Aleksander – Wespazjan powoli, wyciągnął te imiona z pamięci.

– Znasz go?

– Nie, ale Sabinus i ja musimy go odnaleźć. – Wespazjan opowiedział wujowi o ostatniej

proście Atafanesa i o skrzynce, która spoczywała w bezpiecznym miejscu w jego posiadłości.

– Cóż, wygląda mi na to, że jeden z was, chłopcy, będzie musiał uzyskać pozwolenie na wjazd do Egiptu, żeby zabrać tę skrzynkę do alabarchy.

– Myślisz, że Antonia gotowa byłaby wykorzystać swoje wpływy u cesarza, by uzyskać dla nas to pozwolenie?

– Jestem pewien, że kiedy tylko jej umysł uwolni się od bardziej przyziemnych spraw, z przyjemnością do niego napisze. A skoro o listach mowa, dostałem po południu list od mojej siostry. Wygląda na to, że wasz ojciec zajmie się bankowością; za całkiem przyzwoitą cenę kupił bowiem koncesję Pomponiusza na prowadzenie działalności bankowej w Helwecji.

Wespazjana zaskoczyła ta wiadomość.

– Z tego wynika, że się tam przeniesie. Helwecki bankier! Kto by pomyślał, że skończy na takim zajęciu?

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Ładny nowy odźwierny zerwał się ze swojego stołka i wyrzał przez otwór w drzwiach. Po chwili otworzył je i pojawił się Pallas.

– Dzień dobry, panowie – powiedział z ukłonem. Podał płaszcz Enorowi, który już stał obok niego.

– Witamy cię, Pallasie. – Gajusz nie wstał. Bardzo lubił i szanował zarządcę domu Antonii, ale ten wciąż był niewolnikiem. – Co cię sprowadza?

– Dwie sprawy, panie: po pierwsze, przyszedł właściwy moment, by przedstawić wszystkie zebrane przez moją panią dowody cesarzowi. Wysłano wiadomość do Sabinusa i Korbulona, by bezzwłocznie pojawili się w domu pani Antonii. Wespazjan jest również proszony o natychmiastowe przybycie. Magnus już tam jest i ona chce go mieć teraz stale pod ręką. – Sięgnął do skórzanej torby na dokumenty, która wisiała mu na szyi, wyciągnął gruby zwój i podał Gajuszowi. – Moja pani powierza ci, senatorze, kopię listu, który napisała do Tyberiusza. Podaje w nim szczegóły spisku Sejana. Prosi, byś w razie niepowodzenia naszej misji i niebezpieczeństwa grożącego pani odczytał go na głos w senacie, nawet gdyby miało cię to kosztować życie.

Gajusz przełknął ślinę.

– To będzie dla mnie zaszczyt służyć szlachetnej pani tak poważnie – oświadczył, odbierając zwój, po czym szybko dodał: – jeśli okaże się to konieczne.

– Wespazjanie, powinieneś, panie, natychmiast udać się ze mną. Moja pani załatwiła po

cichu z jednym z twoich dwóch kolegów, by zastąpił cię w obowiązkach, i twoja nieobecność nie zostanie zauważona.

– Dziękuję, Pallasie. – Wespazjan wstał z miejsca. – Tylko zrzucę togę i włożę jakieś podróżne odzienie. Zajmie to chwilę.

– Weź ze sobą togę – zawołał za nim Gajusz.

– Po co, wuju?

– Ponieważ, mój drogi, zostaniesz przedstawiony cesarzowi Rzymu, a jako rzymski obywatel musisz być stosownie odziany. Nie wypada inaczej.

– Dla mnie to on wciąż wygląda na napuszonego dupka – powiedział Magnus do Wespazjana, kiedy Gnejusz Domicjusz Korbulon, ubrany w senatorską togę, wszedł do atrium w domu Antonii. Był wczesny wieczór i niewolnicy właśnie skończyli zapalać niezliczone lampki w elegancko urządzonym pomieszczeniu.

– A ja sądzę, że dla niego ty wciąż wyglądasz na nieokrzesanego, niepiśmiennego obwiesia – mruknął Wespazjan, uśmiechając się do zbliżającego się Korbulona.

– To dlatego, że jest napuszonym dupkiem.

– Wespazjanie, jakże miło cię znowu widzieć – zawołał Korbulon, ściskając ramię Wespazjana. – Słyszę, że wróciłeś z Tracji ponad osiem miesięcy temu... dlaczego mnie nie odwiedziłeś?

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Korbulonie – powiedział Wespazjan z niekłamana szczerością. – Przykro mi, ale byłem bardzo zajęty.

– Tak, słyszałem. Sejan nie szczędzi pracy *triumviri capitales*.

– Niestety, choć mamy szczęście, że nie interesuje się literaturą i nie musieliśmy palić żadnych ksiąg.

– No tak, no tak – zgodził się jakoś niepewnie Korbulon; w jego wypadku na ogół nie warto było wysilać się na dowcip. Odwrócił się do Magnusa i popatrzył na niego znad swojego długiego nosa. Mimo niebezpieczeństw, przez jakie wspólnie przeszli, Korbulon nie potrafił pokonać uprzedzeń swojej warstwy i oburzało go, że ma zauważać obecność kogoś tak pośledniego w hierarchii społecznej.

– Magnus – powiedział, marszcząc brwi, jakby z trudem przypominał sobie to imię.

– Korbulon? – odezwał się Magnus lekceważącym tonem.

Przybycie Sabinusa przerwało to ciepłe powitanie. Fakt, że brat mieszkający najbliżej Antonii, w nowo wynajętym domu na Awentynie, zjawia się ostatni, nasunął Wespazjanowi myśl, jak to musiał długo żegnać się z małżonką. Szybko zdusił zazdrość i pomyślał z nadzieją, że może uda mu się zobaczyć Cenis jeszcze tego popołudnia. Od jego powrotu do Rzymu Antonia nie wezwała go do siebie i dlatego jeszcze się nie widział z ukochaną. Nie dowiedział się też niczego o planie Kaliguli; Pallas jak zawsze był chodzącą dyskrecją.

Przyglądał się, jak Sabinus niemal służalczo wita Korbulona, i nagle ujrzał Cenis wchodzącą do pokoju za swoją panią i Pallasem. Serce podskoczyło mu z radości, kiedy odwzajemniał jej promienny uśmiech.

– Siadajcie, panowie – powiedziała Antonia, zajmując miejsce na miękko wyściełanej sofie i kładąc obok siebie jakiś zwój. Ułożyła szkarłatną pallę tak, że spływała wdzięcznie z jej głowy i układała się w równe fałdy na kolanach. Cenis usiadła przy stoliku za nią i ułożyła materiały piśmienne, gotowa do protokolowania.

– Brakuje jeszcze jednej osoby, ale pierwsza część tego, co mam do powiedzenia, przeznaczona jest tylko dla waszych uszu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy mojemu wnukowi, Gajuszowi, udało się na Capri wkupić w łaski cesarza; stał się wręcz jego ulubieńcem. Sprzyjały mu okoliczności, gdyż Sejan, odkąd został współkonsulem, cały czas przebywa w Rzymie. Gajuszowi udało się tak bardzo zbliżyć do Tyberiusza, że jak twierdzi, cesarz myśli o tym, by uczynić go swoim następcą. Sejan nie wie, co się dzieje, bo jest zajęty w Rzymie.

Zaczęłam się zastanawiać – ciągnęła. – Kiedy Tyberiusz mianował Sejana swoim współkonsulem, moją pierwszą reakcją była myśl, że po prostu obdarza go kolejną porcją niezasłużonego splendoru. Pomyślałam jednak o kwestii czasu. Tyberiusz nie musiał zostawać ponownie konsulem w tym roku, mógł zrobić kogoś innego współkonsulem Sejana, umożliwiając mu krążenie między Capri i Rzymem, podczas gdy drugi konsul nie ruszałby się z miasta i trzymał sprawy pod kontrolą. Tymczasem nic z tego, Tyberiusz, którego w Rzymie nie widziano od pięciu lat, decyduje się na Sejana, zapewniając sobie jego nieobecność na Capri przez cały ten rok. I tak, dwa miesiące po przybyciu Gajusza, Tyberiusz, praktycznie rzecz biorąc, pozbywa się Sejana, z podwójnym zaszczycem, gdyż jest nie tylko konsulem, ale również współkonsulem samego cesarza, co miało osłodzić, jego odesłanie z Capri a być może je zamaskować. Pytanie brzmi: dlaczego miałyby coś takiego zrobić?

Wespazjan dostrzegł logikę wyводу Antonii i dołączył do szmeru uznania dla

mistrzostwa i finezji cesarskich działań.

– Ponieważ nie mogę zajrzeć do umysłu mojego szwagra – kontynuowała – mogę jedynie zgadywać, opierając się na logicznych przesłankach: Otóż Tyberiusz chce, by jego następcą został członek jego rodziny, ale zaczęło już mu brakować kandydatów. Niedawno dowiedziałam się, że mój najstarszy wnuk, Neron Germanik, został zagłodzony na śmierć w więzieniu i że Druzus najprawdopodobniej nie zostanie uwolniony i czeka go ten sam los. Tyberiusz Gemellus, wnuk Tyberiusza i mój, jest za młody, a Klaudiusz za głupi, a przynajmniej tak wciąż uważa Tyberiusz. Pozostaje zatem Gajusz. Cesarz, jak sądzę, zaczął poniewczasie podejrzewać, że Sejan ma zakusy na purpurę, i zobaczył w nim zagrożenie, któremu nie bardzo wie, jak przeciwdziałać. Jeśli spróbuje usunąć go szybko, ryzykuje zamach stanu; teraz dopiero uświadomił sobie, że strzegą go ludzie lojalni zarazem Sejanowi i jemu, kto wie komu bardziej. Zatem na ten czas, kiedy rozważa swoje położenie, znacznie zwiększył dystans pomiędzy sobą i Sejanem. Dokonał tego, nie wyprowadzając prefekta pretorianów z równowagi, ponieważ obdarzył go najwyższym z zaszczytów: wspólnym konsulatem z cesarzem. Bardzo eleganckie, powiedziałabym.

Ponownie rozległ się szmer uznania, zarówno dla wyvodu Antonii, jak i sposobu postępowania Tyberiusza.

– Jeśli się nie mylę – powiedziała Antonia – to obecnie Tyberiusz będzie bardzo podatny na to, co dla niego zebrałam. Otrzymawszy konkretne dowody, że Sejan spiskuje przeciwko niemu, będzie musiał działać, a jak się dowie, że pewne jednostki gwardii pretoriańskiej są lojalne wobec Makrona, przestanie się wahać. A zatem teraz, kiedy powstrzymałam niedorzeczne intrygi Klaudiusza i postanowiłam go nie poświęcać, co jest tym konkretnym dowodem? – Antonia zamilkła i rozejrzała się po zgromadzonych.

Wespazjan z wielką przyjemnością słuchał spostrzeżeń dotyczących polityki prowadzonej na najwyższym szczeblu, przedstawianych przez osobę, która, jak dobrze wiedział, była mistrzynią w tej sztuce. Prawdę mówiąc, sprawiało mu to tyle przyjemności co wymieniane ukradkiem spojrzenia z Cenis.

– Kapłan? – zaryzykował.

– Być może... tyle że nakarmiono go bajeczkami o tym, że to Azyniusz finansował bunt w Tracji.

– Na torturach chyba uda mu się tak dokładnie opisać Sejanowego wyzwoleńca,

Hazdrona, by Tyberiusz uwierzył, że Azyniusz nie miał z tym nic wspólnego i że według wszelkiego prawdopodobieństwa był to spisek Sejana.

– To nie jest rozstrzygające; chciałam sprowadzić tu Rotekesa, kiedy wciąż zbierałam dowody, które, wzięte wszystkie razem, byłyby nieodparte. Jednakże skoro już mamy go w swoich rękach, warto byłoby zabrać go na Capri na wszelki wypadek, gdyby Tyberiusz zażądał potwierdzenia Sejanowej strategii destabilizacji w prowincjach, mającej odciągnąć uwagę od jego spiskowania w Rzymie. – Wzięła leżący obok zwój i podniosła do góry, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. – Zawartość tego listu, którego dostarczenie powierzę Pallasowi, przekona Tyberiusza o rzeczywistej, a nie wymyślonej zdradzie Sejana. Jest tutaj szczegółowy opis planów Sejana, dostarczonych mi przez Satriusza Sekundusa. Nie był z wami, panowie, tak szczery, jak to sugerował. Chociaż próbował utrzymywać się w łaskach zarówno Makrona, jak i Sejana, to jednak, jak sam przyznał, robił nieco więcej dla Sejana, nie zdradzając tego drugiego do końca. Jedną z przysług, jakie niedawno wyświadczył Sejanowi, było podawanie niewielkich dawek osłabiającej organizm trucizny mojemu wnukowi Tyberiuszowi Gemellusowi, synowi mojej obmierzłej córki Liwilli i nieżyjącego już syna Tyberiusza, Druzusa. Teraz, kiedy zablokowałam Sejanowi drogę do władzy poprzez Klaudiusza, jego nowy plan to zamordowanie Tyberiusza, uczynienie cesarzem niepełnoletniego i chorowitego Gemellusa i przejęcie rządów regenckich, potem poślubienie matki Gemellusa, Liwilli, i zwiększenie dawki trucizny. Śmierć chorowitego Gemellusa nikogo by nie zdziwiła, a Sejan, jako ojczym zmarłego cesarza, zażądałby purpury dla siebie. Rezultatem byłaby krwawa łaźnia, w której wymordowano by większość mojej rodziny. Skąd to wiem? – Przerwała ponownie, dla efektu. – Mam tutaj dołączoną listę, o którą postarała się, przy pewnym nacisku, żona Sekundusa, Albucylla. Pochodzi z gabinetu Liwilli i napisana jest ręką Sejana; zawiera imiona szesnastu osób, które mają umrzeć. Na samym szczycie listy figuruje Tyberiusz, ja jestem następna. Jak łatwo zauważyć, nie ma na niej mojej córki Liwilli, co, razem z miejscem, z którego listę zabrano, prowadzi do wniosku, że jest ona w pełni świadoma tego spisku i aby zostać cesarzową przy Sejanie, usankcjonowała morderstwo nie tylko większości członków swojej rodziny, włącznie z matką, ale także własnego dziecka.

Antonia zrobiła kolejną przerwę; obecni milczeli w osłupieniu. Wespazjanowi trudno było uwierzyć, że ktoś mógłby chcieć zabić członka własnej rodziny, wiedział jednakże już wystarczająco dużo na temat cesarskiej polityki, by uświadomić sobie, że stawało się to dość

powszechne; jednak zabić swoje dziecko, by umocnić własną pozycję, było nie do pojęcia. Co mogło usprawiedliwiać system sukcesji w cywilizowanym państwie, jeśli pociągał on za sobą dzieciobójstwo? Jego rozmyślania przerwał stukot podbitych ćwiekami sandałów na korytarzu. Spojrzał w stronę drzwi i zobaczył potężnego mężczyznę. Wespazjan drgnął; od razu go rozpoznał.

– Aha – powiedziała Antonia – oto i trybun Makron, tak się cieszę, że udało ci się przyjść; mam nadzieję, że cię nie śledzono.

– Próbowano, ale sobie poradziłem – oświadczył zdecydowanym głosem Makron i usiadł nieproszone. Poprawiając togę, przesunął wzrokiem po zgromadzonych i Wespazjan dojrzał iskierkę rozpoznania, kiedy oczy trybuna spoczęły przez moment na nim, zanim przeniosły się na Magnusa.

– Znasz, trybunie, Tytusa Flawiusza Sabinusa – oświadczyła Antonia. – A to jest jego brat, Tytus Flawiusz Wespazjan.

Makron zareagował półuśmiechem, w którym nie było ani odrobiny wesołości, kiedy spoglądał na Wespazjana zimnym wzrokiem.

– I Gnejusz Domicjusz Korbulon – powiedziała Antonia.

Makron ledwie raczył zauważyć Korbulona, za to nie przestawał wpatrywać się w Wespazjana i Magnusa, który, ku swojej wielkiej uldze, jako osoba nieważna, nie został mu przedstawiony.

– Zatem, panowie, do rzeczy – powiedziała Antonia, jakby dotąd czekała tylko na Makrona, a spotkanie dopiero się zaczynało. – Trybun Makron i mój wnuk Gajusz mają sposób, by zabrać was na Capri bez wiedzy któregokolwiek z pretorianów lojalnych Sejanowi. Może to wiecie, a może nie, kiedy Gajusza wezwano na Capri, jego dwie młodsze, niezamężne siostry, Druzyllę i Julię Liwille, przeniesiono do willi Tyberiusza w Mizenum, na stałym lądzie, blisko Capri. Ponieważ Gajuszowi udało się wkraść w łaski Tyberiusza, przekonał go niedawno, że powinien pozwolić mu co miesiąc na kilkudniowe wizyty u sióstr i choć tego nie pochwalam, na szczęście te odwiedziny działają na naszą korzyść. Następną wizyta przypada za dwa dni. Gajusz jest oczywiście pilnie strzeżony; jednakże trybun Makron, zgodnie z daną obietnicą, dopilnował, by to Klemens i jego ludzie brali zawsze udział w tych krótkich wycieczkach. Trybun wyjaśni nam teraz szczegóły planu.

Makron wyrwał się z zamyślenia i zaczął mówić, nie kryjąc przy tym poirytowania, jakby

zwykle przedstawianie założeń planu było czymś poniżej jego godności.

– Do Mizenum jest przeszło sto pięćdziesiąt mil; ponieważ musicie przewieźć tego świadka wozem, dotarcie tam zabierze wam sześć dni.

Wespazjan od razu zrozumiał, dlaczego Antonia rozpoczęła spotkanie bez Makrona: on nie wiedział o informacjach od Sekundusa i Albucylli.

– Jeśli wyruszyście jutro rano – ciągnął Makron – dotrzecie tam wieczorem ostatniego dnia zaplanowanej wizyty Kaliguli. Spędzicie noc w Mizenum... straż będzie złożona z moich ludzi... i nazajutrz wyruszyście na wyspę. Statek, który zabiera Kaligulę z powrotem, wypływa zazwyczaj około południa, tak że dociera na miejsce jeszcze za dnia. Klemens wymyśli jakiś powód dla zwłoki, żeby statek przyplął na Capri tuż po zmierzchu. Kiedy będzie się zbliżał do wyspy, niezauważeni wsiądziecie do łódki wiosłowej, w pobliżu małej zatoczki wśród skał, tuż przed przystanią. Statek popłynie dalej, do portu, gdzie Kaligula, Klemens i jego ludzie zejść na ląd pod okiem pretorianów strzegących nabrzeża, wszystkich, co do jednego, lojalnych Sejanowi.

– A co z członkami załogi? – spytał Wespazjan, narażając się na piorunujące spojrzenie trybuna. – Zobaczą przecież, jak wsiadamy na pokład i jak potem go opuszczamy.

– Właśnie do nich miałem przejść – warknął Makron. – Wszyscy pochodzą z Puteoli niedaleko Mizenum; zanim wypłyniecie, ich rodziny zostaną zatrzymane, co zapewni nam sprawne działanie i milczenie żeglarzy. Odzyskają rodziny, kiedy następnej nocy opuścicie wyspę. Dwóch ludzi Klemensa będzie na was czekało w zatoczce; pokażą wam, gdzie schować łódkę, a potem stromą ścieżką poprowadzą na nadbrzeżne skały; stamtąd do willi Tyberiusza jest już niecała mila.

Podróż powrotna jest odwrotnością opisanej – ciągnął. – Statek będzie czekał pół mili od zatoczki, już od północy, z jedną zapaloną latarnią, tak żeby od strony wyspy wyglądało to na jakiegoś nocnego rybaka. Kilku moich ludzi będzie na pokładzie, żeby mieć oko na załogę. Zabiorą was z powrotem do Mizenum, gdzie będą czekać wasze konie i wóz, choć mało prawdopodobne, by wam się jeszcze miał przydać.

Makron rozsiadł się wygodnie, co miało najwyraźniej oznaczać, że już skończył. Słuchacze milczeli, czekając na kluczowe szczegóły.

Ciszę przerwała Antonia.

– Dziękujemy, trybunie. A więc, panowie, w taki sposób dostaniecie się na wyspę i tak ją opuścicie. Bez wątpienia zastanawiacie się, co będziecie tam robić, kiedy już będziecie na

miejscu.

Kilka osób nerwowo pokiwało głowami. Antonia uśmiechnęła się.

– Prawda jest taka, że nie wiem, ale w ostatnim liście, który Gajuszowi udało się do mnie przemycić, pisze on, że kiedy się tam zjawicie, obaj z Klemensem będą już mieli plan.

Wszyscy obecni wyglądali na wstrząśniętych. Makron był wściekły.

– Ryzykuję wszystko – zawołał – a ty mi mówisz, że ci... – szukał właściwego słowa – ...ci chłopcy mogą zostać złapani przez ludzi Sejana, bo nie ma żadnego planu? Przecież jest tylko kwestią czasu, żeby na torturach ujawnili moje zaangażowanie w tę sprawę.

– Trybunie, proszę – zareagowała ostro Antonia, podnosząc głos – wszyscy mamy dużo do stracenia.

– Dużo do stracenia? Ja mam wszystko do stracenia. Ty natomiast wrócisz do knoń i spisków, bezpieczna od Sejana w ścianach tego domu.

– Możliwe, że masz najwięcej do stracenia, trybunie – powiedziała Antonia spokojnym tonem – powiedziałabym jednak, że w kategoriach władzy masz najwięcej do zyskania. Ja tylko pozbędę się wroga; ty natomiast zostaniesz prefektem gwardii pretoriańskiej.

– A jeśli uznam, że zbyt wielkim ryzykiem jest postawić wszystko na niedopracowany plan, i postanowię wycofać swoją pomoc? Co wtedy, hę?

– Och, nie sądzę, byś to zrobił – odparła Antonia ze słodkim uśmiechem.

– Dlaczego nie? – spytał Makron, zrywając się z miejsca. – Nie masz nic na mnie, nic, czym mogłabyś przekonać Sejana, że nie byłem wobec niego lojalny. W tej sprawie byłem bardzo ostrożny. Mógłbym się więc wycofać i udawać, że nic się nie stało.

– Z przykrością muszę powiedzieć, trybunie, że bardzo się w tej sprawie mylisz; bo widzisz, ja mam Satriusza Sekundusa.

Makron patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Gówno prawda! – rzucił. – On nie żyje; kiedy nie było go ponad dziesięć dni, kazałem przesłuchać Albucyllę i była przekonana, że zabito go podczas wykonywania jakiejś brudnej roboty dla Liwilli.

– Chyba możemy się zgodzić, że żona tak naprawdę nigdy nie wie, gdzie podziwia się jej małżonek, trybunie; zapewniam cię, że Sekundus jest jak najbardziej żywy, pamięć mu doskonale funkcjonuje i przebywa w tym domu.

– Udowodnij to, suko.

– Drogi trybunie, jeśli jako prefekt pretorianów chcesz liczyć na lepsze stosunki ze mną, niż miał je twój poprzednik, to proponuję, byś zwracał się do mnie bardziej powściągliwie. Tym razem zignoruję twoje grubiaństwo. Pallasię, przekonaj trybuna.

Pallas ruszył przez salę w stronę kotar kryjących małe pomieszczenie, z którego bracia i Kaligula podglądali Sejana, i jednym ruchem je rozsunał.

Makron zachłysnął się ze zdumienia. Satriusz Sekundus był przywiązany do krzesła, zakneblowany, najwyraźniej nafaszerowany środkami odurzającymi, ale jak najbardziej żywy.

Trybun zerwał się z głośnym rykiem i skoczył ku niemu, wyciągając spod togi sztylet. Sabinus wystawił nogę i mężczyzna runął na posadzkę, gubiąc sztylet, który Wespazjan natychmiast podniósł. Sabinus i Magnus skoczyli mu na plecy i z pewnym trudem wykręcili ręce do tyłu; Wespazjan przyłożył mu sztylet do gardła.

– A zatem, drogi trybunie – ciągnęła Antonia, zupełnie jakby się nic nie wydarzyło – myślę, że najlepiej dla wszystkich będzie postępować według założonego planu.

Makron wrywał się zaciekle, ale Sabinus z Magnusem zdołali go przytrzymać.

– Puśćcie go – rozkazała Antonia.

Sabinus i Magnus zerknęli nerwowo na siebie; potem, nie bez lęku, zwolnili chwyt i wstali. Wespazjan cofnął się, trzymając wciąż sztylet skierowany czubkiem w stronę leżącego Makrona, który powoli ukląkł. Podniósł pełen wściekłości wzrok na Wespazjana.

– To już drugi sztylet, który mi zabrałeś, chłopcze – warknął, by pokryć upokorzenie. – Zatrzymaj go, tak jak ten poprzedni; któregoś dnia dostaniesz ode mnie trzeci do kompletu.

– Nie będzie takiej potrzeby, trybunie – rzuciła ostro Antonia, kiedy Makron wstawał. – On jest pod moją ochroną. Możesz go nienawidzić, jak tylko chcesz, ale jeśli go tkniesz, zobaczysz, jak pozbywam się kolejnego prefekta pretorianów.

Makron zwrócił na nią płonąca nienawiścią oczy; zaczął coś mówić, rozmyślił się jednak i zamiast tego poprawił tylko toę.

– Zatem doszliśmy wszyscy do porozumienia, trybunie – oświadczyła Antonia, teraz już łagodnym głosem.

– Moi ludzie tam będą – powiedział Makron, prostując się i przyjmując ponownie arogancki sposób bycia. – Przypilnuj, żeby twoi chłopcy też się zjawili, i módl się do bogów, żeby Kaligula wpadł na jakiś pomysł.

– O to bym się nie martwiła – oświadczyła Antonia z uśmiechem. – Urodził się

przebiegły.

Makron burknął coś pod nosem, odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju.

Wespazjan spojrział na sztylet, który wciąż trzymał w ręku, i jęknął.

– Musisz pozbyć się nałogu wrywania temu człowiekowi sztyletów, panie – powiedział Magnus z krzywym uśmiechem. To nie jest zdrowy konik, jeśli wiesz, co mam na myśli?

Wespazjan popatrzył kwaśno na przyjaciela.

– Postaram się zapamiętać – odparł.

– Zanim zajmiemy się jedzeniem, panowie – powiedziała Antonia, siadając wygodnie – i zabawimy lżejszą konwersacją, chcę powiedzieć jeszcze jedno: jeśli okaże się konieczne, by Tyberiusz wysłuchał zeznań kapłana, na pewno zostanie wspomniany Poppeusz Sabinus. Chcę, byście pomniejszyli jego zaangażowanie po stronie Sejana.

Korbulon zerwał się najeżony, kipiąc oburzeniem arystokraty.

– Pani, przecież zaoferowałem swoje usługi po to, by móc zemścić się na tym zdradzieckim człowieczku, tym dorobkiewiczu.

– Rozumiem to, Korbulonie – odparła cierpliwie Antonia – i wtedy, kiedy je zaoferowałeś, byłem ci bardzo wdzięczna; teraz jednak sytuacja wygląda inaczej. Nie chcę, by cokolwiek odwróciło uwagę Tyberiusza od tych najtwardszych dowodów, jakie mam przeciwko Sejanowi. Znam go; utracił umiejętność podejmowania decyzji. Jeśli będzie miał innych zdrajców do rozważenia, będzie lawirował; wybierze tych łatwiejszych, pomniejszych, oszukując się, że robiąc cokolwiek, rozwiązuje problem. Muszę dopilnować, by skupił całą uwagę na Sejanie.

– Mój honor wymaga zemsty na człowieku, który próbował mnie zabić – upierał się Korbulon.

– I jej dokonasz... na obu, którzy próbowali cię zabić, najpierw jednak Sejan. Poppeuszem i wszystkimi współnikami Sejana zajmę się we właściwym czasie. Odkryłam, że zemstę najlepiej jest dozować w sposób regularny. Skoro to cię nie zadowala, zrozumieć, jeśli zechcesz się wycofać; jednakże twoje zeznanie na temat srebra otrzymanego przez Cenów może okazać się użyteczne. – Stanowczy i twardy wyraz twarzy kobiety zupełnie nie pasował do jej pojednawczych słów.

Korbulon przez chwilę mierzył się z nią wzrokiem, po czym usiadł.

– Nie, pani, nie wycofam się – oświadczył.

– Znakomicie. Zjedźmy teraz coś. Zostaniecie tu wszyscy na noc, by móc wyruszyć godzinę przed świtem; chcę, byście znaleźli się daleko poza murami miasta, zanim zrobi się jasno.

Rozdział szesnasty

Delikatne, ale natarczywe stukanie do drzwi obudziło Wespazjana z głębokiego, spokojnego snu. Cenis leżała wtulona w jego bok. Otworzył oczy; była wciąż głęboka noc.

– Kto tam? – spytał głośnym szeptem.

– To ja, panie. – Magnus uchylił drzwi. – Czas ruszać; obawiam się, że musisz opuścić to miłe ciepłe łóżko i jego zawartość.

– Już idę. – Wespazjan poczuł, że Cenis się porusza.

– Spotkamy się w atrium; mam już twoje rzeczy.

Magnus zamknął drzwi i pokój znów pogrzył się w całkowitych ciemnościach.

– A niech to – mruknął Wespazjan, siadając.

– O co chodzi, najdroższy? – szepnęła zaspana Cenis.

– Muszę iść. – Nachylił się, żeby ją pocałować, i otoczył ramieniem jej ciepłe ciało.

Odpowiedziała pocałunkiem, po czym odepchnęła go delikatnie i zachichotała.

– To na pewno nie pomoże ci wstać – oświadczyła.

– Pomoże.

– Miałam na myśli wstawanie z łóżka. No już, ja też muszę się pośpieszyć; moja pani będzie chciała was pożegnać. Zapalę światło.

Wyślizgnęła się z łóżka i po chwili łagodny blask oświetlił jej twarz, a zaraz potem, zapłonął koniec cienkiego knota lampki oliwnej.

– Zawsze się zastanawiałem, w jaki sposób nie... – Wespazjan zamilkł, czując nagle ogromne zażenowanie.

– W jaki sposób niewolnicy zapalają pierwszą lampkę oliwną? – dokończyła Cenis, spoglądając na niego spod uniesionych brwi. – Nie przejmuj się, Wespazjanie, nie ma co się wstydzić; oboje wiemy, że jestem niewolnicą. Ja to akceptuję; więc ty też musisz.

Wespazjan uśmiechnął się z zakłopotaniem i wstał z łóżka. Wiedział, że dziewczyna ma rację; był to fakt, który, choć społecznie ich rozdzielał, nie powinien nigdy dzielić ich prywatnie.

Wziął ją w ramiona i pocałował.

– Przepraszam, moja piękna niewolnico.

Uśmiechnęła się.

– Jest duża różnica pomiędzy akceptacją a przypominaniem mi tego – upomniała go łagodnie.

Chwilę potem Wespazjan wszedł do rzęsiście oświetlonego atrium; Magnus i Pallas już tam byli i prawie natychmiast pojawili się Sabinus i Korbulon.

– Dzień dobry, panowie. Zabieramy kapłana i ruszamy w drogę – oświadczył Pallas, obejmując dowództwo. Bracia i Magnus tego nie kwestionowali, natomiast Korbulon się najeżył.

– Jako senator i człowiek o najszlachetniejszym rodowodzie ze wszystkich tu obecnych, to ja powinienem wydawać rozkazy – oświadczył wyniośle. – A już na pewno nie będę ich przyjmował od niewolnika.

– Nie musisz, panie – oświadczył gładko Pallas – ty będziesz wydawał rozkazy, ale to ja decyduję, co robimy, ponieważ działam w imieniu pani Antonii. – Podniósł wysoko prawą rękę z tkwiącym na małym palcu sygnetem Antonii.

– Przyjmujecie od niego rozkazy? – zapytał Korbulon, spoglądając na braci.

– Myślę, że on wie najlepiej z nas wszystkich, co należy robić – odpowiedział dyplomatycznie Wespazjan.

Korbulon, uświadomiwszy sobie niedorzeczność sytuacji, w której powtarzałby niczym herold słowa Pallasa, wyprostował się, przetykając dumę.

– W porządku, zatem Pallasi dowodzi.

– Zarozumiały dupek – powiedział Magnus, nie tak całkiem pod nosem.

Korbulon spojrzał nań gniewnie, ale nie bardzo miał ochotę przyjmować do wiadomości obelgi. Słuchanie rozkazów niewolnika było już wystarczająco upokarzające, nie miał więc zamiaru domagać się przeprosin od miejskiego łotrzyka. Odwrócił się na pięcie i bez słowa podążył za Pallasem.

– To nie było zbyt pomocne – syknął Wespazjan do Magnusa, kiedy ruszyli za nimi.

– Wiem, ale jakie miłe – odparł Magnus, szczerząc zęby.

Na tyłach domu, kamiennymi schodkami zeszli na dół, do długiego wilgotnego korytarza, oświetlonego pochodniami tkwiącymi w uchwytach po jednej stronie; gryzący gęsty dym snuł się pod niskim stropem, osmalając ścianę i sufit. Po drugiej stronie ciągnął się rząd solidnie

wyglądających dębowych drzwi, każde z kratą na wysokości głowy. Smród moczu, potu i strachu wisiał w powietrzu. Sandały idących mężczyzn stukotały z głośnym echem.

– Wygląda na to, że Antonia ma tu swoje prywatne więzienie – zauważył Magnus, kiedy Pallas zatrzymał się przed jednymi z drzwi i włożył klucz w zamek.

– Podejrzewam, że właśnie tutaj wylądujesz, jeśli nie będziesz się starał i utracisz sprawność.

Klucz obrócił się w zamku z głośnym metalicznym zgrzytem; zarządca pchnął drzwi, wszedł do środka i po chwili pojawił się znowu, ciągnąc za kostki nóg brudnego, nagiego, wychudzonego Rotekesa. Jego długie, potargane włosy i broda sklezione były odchodami. Najwyraźniej spał, ponieważ dopiero w świetle pochodni drgnął i otworzył oczy. Natychmiast zaczął wrzeszczeć, chwycił się framugi, próbując kopnięciem pozbyć się trzymającego go Pallasa.

– Doceniłbym odrobinę pomocy, panowie – poprosił uprzejmie Pallas – tylko proszę nie pozbawiać go przytomności, bo chcę, żeby coś połknął.

Przez chwilę nikt się nie ruszył, bo żaden z nich nie miał ochoty zbliżyć się do tej odrażającej postaci.

– Niech to licho – rzucił wreszcie Magnus i chwytając Rotekesa za nadgarstki, oderwał go siłą od framugi.

Ruch w korytarzu zaniepokoił innych więźniów i rozległo się walenie w drzwi i krzyki.

– Wespazjanie, możesz, panie, przytrzymać? – Pallas podniósł głos, żeby przekrzyczeć harmider, i wskazał Wespazjanowi kostki nóg kapłana.

Wespazjan, chwyciwszy wychudzone kończyny, odniósł wrażenie, że kości pękają mu w rękach. Jednak kilka zdecydowanych szarpnięć Rotekesa wyprowadziło go z błędu i zacisnął mocno dłonie. Odczuwał ogromną satysfakcję, że człowiek, który cztery lata wcześniej, w Tracji, ochoczo składał w ofierze rzymskich jeńców, w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy został ściągnięty do poziomu zwierzęcia.

– Posadź go – powiedział Pallas do Magnusa i z torby, którą miał na ramieniu, wyciągnął flakonik. – Korbulonie, zechciej chwycić, panie, jego głowę i zmusić do otwarcia ust; Sabinusie, przyłóż mu sztylet do gardła.

Korbulon skrzywił się, ale zrobił, o co go poproszono. Wespazjan powstrzymał uśmiech, zgadując, że najmniej przyjemną robotę Pallas powierzył właśnie senatorowi.

Z głową mocno odciągniętą do tyłu, ustami na siłę rozwartymi, odsłaniającymi jego

spiczasto opiłowane zęby, z nożem przy gardle, Roteles wreszcie znieruchomiał. Pallas podszedł i otworzył flakonik.

– To cię nie zabije, jeśli wypijesz, ale nóż na pewno, jeśli się będziesz wzbraniał. Rozumiesz?

Roztańczony wzrok Rotelesa wskazywał, że zrozumiał. Pallas wlał część brązowego, lepkiego płynu z flakonika do jego ust i szybko je zamknął, zatykając więźniowi nos. Kapłan przełknął.

– Jak tylko to zadziała, drań będzie spokojny jak trusia przez dwanaście godzin – poinformował ich zarządca. – Właśnie tego użyliśmy wczoraj na Sekundusa. Zabierzmy go na górę.

Roteles najwyraźniej poddał się temu, co miał przynieść mu los, bo przestał się szamotać.

Kiedy ciągnęli kapłana korytarzem, Wespazjan zauważył za kratką jednych drzwi oczy spoglądające na niego błagalnie spod zrośniętych brwi.

Zignorował to spojrzenie.

Na podwórzu wepchnięto Rotelesa do tego samego dwukonnego krytego wozu, którym przywieziono go z Ostii; ponieważ tym razem kapłan był pod wpływem środków odurzających, nikt nie musiał go pilnować.

W świetle pochodni na schodach prowadzących do domu pojawiła się Antonia. Za nią stała Cenis; ściskając medalion, posłała Wespazjanowi ukradkowego całusa.

– Panowie – powiedziała Antonia – Makron przysłał ośmiu wigilów, którymi wcześniej dowodził, by eskortowali was do bramy Kapeńskiej. Codziennie będę się modliła i składała ofiary za powodzenie tej misji. Niech bogini Fortuna wam towarzyszy.

Ujęła kolejno każdego z nich za rękę, a potem wszyscy mężczyźni dosiedli wierzchowców. Pallas wsiadł na kozioł krytego wozu i chwycił lejce. Otwarto bramę, przed którą czekało ośmiu wigilów z płonącymi pochodniami w rękach i ciężkimi pałkami u pasów. Pallas cmoknął, potrząsnął lejcami i zaprzęg ruszył; okute żelaznymi obręczami koła zazgrzytały o bruk podwórza. Wespazjan ruszył za wozem. Przy bramie wykręcił się w siodle do tyłu i uchwycił spojrzenie Cenis; podniósł rękę na pożegnanie, a kiedy zniknął za bramą, odwzajemniła gest.

Wigilowie poprowadzili ich w dół Palatynu i skręcili w lewo, na via Appia, w miejscu, w którym droga biegła obok ogromnej, rysującej się niewyraźnie fasady Circus Maximus, po czym

przejechali pod niezbyt eleganckimi, ale praktycznymi łukami akweduktu Appijskiego i wyjechali z miasta przez bramę Kapeńską. Oficjalna eskorta i pierścień Antonii były wystarczająco przekonujące, by centurion kohorty miejskiej przepuścić ich bez zadawania pytań. Pozbawieni już eskorty wigilów, którzy zostali przy bramie, musieli przepychać się przez tłumy rolników spieszących ze swoimi produktami do miasta. Minąwszy publiczny zbiornik wodny po prawej stronie, dotarli do skrzyżowania via Appia z via Latina, niedaleko grobowca Scypionów. Skręcili w prawo, pozostając na via Appia, i skierowali się na południowy zachód, kiedy pierwsze promienie świtu rozproszyły mrok zachmurzonego nocnego nieba.

Podróż biegnącą prosto jak strzała drogą była łatwa. Zatrzymywali się w wygodnych zajazdach, płacąc pieniędzmi, które Antonia dała Pallasowi na drogę, i w dwa i pół dnia przejechali prawie siedemdziesiąt mil do Terraciny, nadmorskiego miasta na skraju ziemi słynącej z doskonałego wina, zwanego Cekubem. Tutaj droga skręcała na wschód. Przecinali ciągnące się w nieskończoność zadbane winnice. Stojące na wzgórzach wytworne wille, z widokiem na uprawy, z których zyski pozwalały je wybudować, dawały świadectwo zamożności producentów wina w tym regionie.

Wespazjan w podróży głównie rozważał problem przekazywania władzy z pokolenia na pokolenie bądź w ramach dynastii i to, na jakie sposoby dokonywały tego różne ludy w przeszłości. Rozbudził swoje zainteresowania, czytając księgi historyczne, które odziedziczył po babce. Spędzając ostatnie trzy miesiące w domu Gajusza, skorzystał z dawnej oferty wuja, by zajrzeć do jego sporej biblioteki. Z braku innych wieczornych zajęć Wespazjan czytał Homera, Herodota i Tukidydesa, zapoznał się także z opisem podbojów Aleksandra pióra Kallistenesa... niepełnym, jako że autor został stracony przez bohatera jego opowieści. W końcu doszedł do Cezara, a już zupełnie niedawno zabrał się do dziejów Rzymu autorstwa Tytusa Liwiusza. To wszystko razem poszerzyło jego wiedzę oraz rozumienie polityki i potwierdziło pewną życiową prawdę: ludzie zawsze sięgali po władzę dla samej władzy, szukali chwały dla samej chwały i nieczęsto w dziejach pojawiali się tacy jak legendarny rzymski patrycjusz Cyncynat.

Spędziwszy trzecią noc w Fundi, skierowali się na południowy zachód, z powrotem ku morzu, a potem jechali wzdłuż jego brzegu. Marcowe dni były coraz cieplejsze, niebo się roz pogodziło. Po prawej stronie skrzyło się Morze Tyrreńskie; statki kupieckie i galery płynęły w obie strony otwartym po zimie ruchliwym morskim szlakiem pomiędzy Ostią i Neapolem.

Znaleźli się w Kampanii, gdzie u stóp góry Massyk uprawiano winorośl i produkowano

wyborne wino falerneńskie. Tutaj styl budynków był zdecydowanie bardziej grecki, dając świadectwo mieszanemu pochodzeniu obywateli rzymskich z tego regionu.

Piątą noc spędzili w mieście Volturum, położonym nad rzeką o tej samej nazwie, i zjedli tam smaczny posiłek na ocienionym winoroślą tarasie, obserwując rybaków wyladujących połów po dniu spędzonym na morzu, odległym zaledwie o dwie mile w dół rzeki. Wyjechali wczesnym rankiem i przebyli ostatnie kilka mil w przyzwoitym tempie, a kiedy słońce zaczęło opadać ku morzu, minęli *portus Iulius* – port macierzysty floty rzymskiej na Morzu Tyrreńskim – i zbliżyli się do skalistego przylądka Mizenum, który wylaniał się z wody niczym wygięty grzbiet jakiegoś mitycznego morskiego potwora.

– Rzeczywiście nas oczekiwali – zauważył Magnus, kiedy dwóch żołnierzy w strojach gwardii pretoriańskiej zamknęło za nimi bramę położonej na szczycie skały cesarskiej posiadłości.

– Makron musiał wcześniej wysłać wiadomość o naszym przybyciu – odparł Wespazjan, kiedy podjeżdżali wybrukowaną dróżką do stojącej na końcu cypla willi. – Powiedział, że jego ludzie strzegą Mizenum.

– Nie jestem pewien, czy strzeżony przez ludzi Makrona mam się czuć bezpiecznie, czy wręcz przeciwnie.

Wespazjan uśmiechnął się do przyjaciela.

– Znam to uczucie – powiedział. – Zapewniam cię jednak, że to o wiele bezpieczniejsze, niż być strzeżonym przez ludzi Sejana.

– Miejmy nadzieję, że nigdy nas to nie spotka – mruknął Magnus.

Zbliżyli się do bielonego muru otaczającego willę i przejechali pod łukiem bramy. Wespazjan i jego towarzysze zaniemówili, podziwiając urodę tego miejsca: wzniesiona tuż przy samej krawędzi nadmorskiej skały parterowa budowla, o ścianach z różowego marmuru i z terakotowym dachem, górowała nad upstrzoną statkami lśniąca Zatoką Neapolitańską, za którą wyrastała bryła Wezuwiusza, wznoszącego się ponad cztery tysiące stóp nad nabrzeżną równiną. Przed willą znajdował się duży okrągły basen, otoczony kolumnadą, w której stały posągi zrabowane w Grecji i Azji. Pośrodku basenu tkwiła marmurowa fontanna, przedstawiająca Trytona, morskie bóstwo z rybim ogonem zamiast nóg. Zdawał się wyskakiwać z głębi basenu, tryskając wodą ze skierowanych ku górze ust. W lewej ręce dzierżył muszlę, a w prawej, jak jego ojciec, Posejdon, trójząb.

Wokół basenu rozciągał się symetrycznie rozplanowany ogród. Od kolumnady w regularnych odstępach odchodziło osiem obsadzonych krzewami ścieżek, dochodzących do biegnącej kuliście alejki, w której teraz stali, obwodzącej cały ogród. W cieniu akacji i cyprysów ustawiono niskie kamienne ławki. Można było tam posiedzieć i poczytać czy choćby kontemplować piękno otoczenia, rozkoszując się łagodną bryzą znad morza.

Przez dłuższą chwilę trwali pogrążeni w niemym zachwycie, aż dziewczęce piski wytrąciły ich z tego stanu. Wespazjan spojrział w kierunku źródła hałasu i po drugiej stronie basenu zobaczył nadbiegającego ścieżką Kaligulę, a za nim dwie dziewczyny; wszyscy troje byli nadzy.

Młodzieniaszek dotarł do basenu, wskoczył do środka i zaczął brodzić. Jego towarzyski poszły za jego przykładem i nabieraną w dłonie wodą ochlapwały mu plecy. Kiedy dotarł na drugą stronę, udawał, że nie może się wygramolić z basenu, co zachęciło dziewczęta do działania. Rzuciły się na niego i wciągnęły pod wodę. Woda zakotłowała się wokół gibkich ciał i co chwila jakaś ręka czy noga wystrzeliwała nad powierzchnię. Wreszcie Kaligula się wynurzył i stanął wyprostowany z wiszącą mu na szyi młodszą dziewczyną. Spojrział w stronę Wespazjana i jego przyjaciół siedzących na grzbietach wierzchowców i rozpoznawszy ich, natychmiast pomachał ręką.

– Nareszcie – zawołał – nie mogłem się doczekać. Zbliźcie się.

Z pewną obawą Wespazjan powiódł swoich towarzyszy na skraj basenu i zsiadł z konia, podczas gdy dziewczęta, chichocząc i piszcząc, znowu wciągały Kaligulę pod wodę. Udało mu się je z siebie strząsnąć i stanąć na nogach, ukazując wszystkim imponującą erekcję. Jego członek był niemal tak wielki jak te sztuczne fallusy noszone przez aktorów w satyrach.

– Wespazjanie – zawołał Kaligula, wychodząc z basenu i chwytając ramię mężczyzny; jego głęboko osadzone oczy promieniały radością. – Tak się cieszę, że cię widzę. Popatrz tylko, wciąż żyję... co ty na to? Tyberiusz nie zdecydował się mnie uśmiercić; prawdę mówiąc, postanowił coś wręcz przeciwnego, zamierza uczynić mnie swoim następcą. – Wydał z siebie krótki, na wpół histeryczny śmiech. – Kiedy zostanę cesarzem, będę mógł cały czas zabawiać się z moimi siostrami. Druzylllo, Liwillo, to mój przyjaciel Wespazjan i jego brat Sabinus; musicie obie być bardzo dla nich miłe.

– Druzylla – powiedziała starsza z dziewcząt; nie mogła mieć więcej jak piętnaście lat. Jej usta były małe, ale pełne, policzki pulchne. Skóra koloru kości słoniowej lśniła wilgocią, a

gęste czarne włosy wisiały w mokrych strąkach i oblepiały ramiona. Nie próbowała zakryć nagości i Wespazjan nie mógł powstrzymać wzroku, który wędrował od jej jędrnych młodziutkich piersi ku dołowi brzucha. Przyglądała mu się szacującym spojrzeniem brązowych oczu.

– Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać – zdołał wykrztusić, odrywając wzrok od ponętnego ciała, by spojrzeć jej prosto w oczy.

– A ja jestem Julia Liwilla – powiedziała młodsza siostra, wychodząc z basenu. – Lubię poznawać nowych przyjaciół, szczególnie jeśli są przyjaciółmi kochanego Gajusza.

– To jest miła Liwilla, nie taka jak ta moja straszna ciotka – oświadczył Kaligula, gładząc siostrę po policzku; zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała czule w usta, przyciskając brzuch do jego utrzymującego się wciąż we wzwodzie członka. Była o jakieś dwa lata młodsza od siostry; miała jak Druzylla małe usta, ale mocniej zaznaczone kości policzkowe i dłuższy, bardziej spiczasty nos. Piersi dopiero zaczęły pączkować na jej chudej klatce piersiowej.

Kaligula uwolnił się od siostry i powitał Pallasa, zachowującego się jak gdyby nigdy nic, po czym skinął krótko głową Magnusowi i podszedł do Korbulona, który stał z otwartymi ustami, wytrzeszczonymi oczyma i dosłownie kipiał wściekłością patrycjusza.

– To jest Gnejusz Domicjusz Korbulon – powiedział Wespazjan, przedstawiając go.

– Witam – wykrzyknął Kaligula i wskoczył z powrotem do basenu, a Korbulon pozostał oniemiały. – Niedługo zjemy kolację – oświadczył, wynurzywszy się z wody. – Wracamy do domu, moje słodkie.

Siostry zachichotały, po czym każda z jedną ręką zaciśniętą na jego imponującym penisie, poprowadziły brata do willi.

– Znajdę zarządcę domu – powiedział Pallas, wsiadając znowu na wóz – i każę przygotować nam pokoje i zająć się końmi.

Szarpnął lejcami i wóz potoczył się wokół basenu. Wespazjan ruszył za nim, prowadząc konia, pełen nadziei, że Kaligula i jego siostry ubiorą się do kolacji.

Wespazjan wyszedł do ogrodu i na kamiennej ławce pod figowcem zobaczył Klemensa z Sabinusem. Ogród był ogrodzony tylko z trzech stron, południową pozostawiono otwartą, by można było podziwiać oszałamiający widok Zatoki Neapolitańskiej; w oddali, widniała Capri, a jej strome klify jarzyły się czerwono w ostatnich promieniach słońca.

– Tam zapanowało jakieś szaleństwo – powiedział Klemens, zacisnąwszy palce na ramieniu Wespazjana. – Ten starzec kompletnie oszalał. Ma taką obsesję na punkcie seksu, śmierci i astrologii, że o niczym innym nie myśli, może poza budowlą, pod nazwą *Villa Iovis*, którą mu właśnie wznoszą. Jest ukończona zaledwie w połowie, ale on już się przeprowadził do gotowej części i wypełnił ją obscenicznymi mozaikami i freskami. Czasami się zastanawiam, czy nie byłoby lepiej, gdyby Sejan został cesarzem. Ten przynajmniej szanuje rzymskie wartości. Nie ma w nim nic z Greka; nie demoralizowałby młodzieńskich synów swoich rzekomych przyjaciół i nie spółkował z nimi. A śmierć trzymałby tam, gdzie jej miejsce: na arenie i polu bitwy.

– I w sądach – dodał Wespazjan.

– Tak, cóż, bez tego się nie obejdziesz, nieważne kto będzie cesarzem; Tyberiusz jednak posuwa się za daleko. Nasi republikańscy przodkowie ze wstydu rzuciliby się na swoje miecze, gdyby zobaczyli niektóre z tych rzeczy, jakie ja widziałem w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Pewnego razu zebrał ponad tysiąc niewolników i kazał jednego wypatroszyć na oczach pozostałych, którym zapowiedziano, że jeśli któryś nie zrobi tego, co mu każą, umrze taką samą okropną śmiercią. Potem ustawił ich w jeden szereg i kazał im się masturbować, aż wszyscy mieli erekcję – jego młodociani kochankowie szli wzdłuż szeregu, pomagając tym, którym się nie udało – a potem zmusił ich do spółkowania, ponad tysiąc ludzi w jednym rzędzie, możecie to sobie wyobrazić?

Wespazjan, ku własnej konsternacji, stwierdził, że może.

– Potem – ciągnął Klemens – kazał centurii pretorianów... z piechoty, a nie z mojej jazdy... chodzić wzdłuż szeregu i dusić niewolników, kiedy mieli orgazm, a przypominać tym, którzy nie mieli, co im się przydarzy, gdyby przerwali zabawę, nawet jeśli dymali już zadek trupa.

– To rzeczywiście nie przypomina działalności Scypiona czy Juliusza Cezara – przyznał Wespazjan.

– A co robił Tyberiusz, kiedy to wszystko się działo? – spytał Sabinus trochę zafascynowany całym tym opisem.

– W tym czasie piętnastoletni syn Lucjusza Witeliusza Weterisa zaspokajał go oralnie.

– A Kaligula? Był tam wtedy? – spytał Wespazjan z nadzieją, że dowie się czegoś, co wyjaśni mu ekscentryczne zachowanie przyjaciela tego popołudnia.

– A tak, był i jeszcze zachęcał starca – odparł Klemens, kręcąc głową. – Doszedł do

wniosku, że aby zachować życie w pobliżu Tyberiusza, należy robić wrażenie, że jest się zainteresowanym jego nowymi pasjami. Przez pierwsze dwa miesiące pobytu na Capri był bez przerwy przerażony, bo sądził, że w każdej chwili, dla kaprysu, Tyberiusz każe go zabić, co według mnie nieco go rozstroiło.

– Nieco? – spytał Wespazjan. – Kiedy przyjechaliśmy, właśnie spółkował ze swoimi siostrami.

– Robi to od dwóch lat – oświadczył Klemens lekceważącym tonem – po prostu nie może się powstrzymać, jeśli chodzi o kobiety, nie wyłączając najbliższych krewniaczek. Kiedy mówię o rozstrojeniu, mam na myśli to, że trudno mu skoncentrować się dłużej na jednej rzeczy i że bez powodu wybucha histerycznym śmiechem; poza tym jest taki sam jak zawsze: nienasycony seksualnie, ale świetny z niego i pełen wigoru kompan.

– Cóż, miło to słyszeć – powiedział Wespazjan, jakoś niezaskoczony tym, co Kaligula wyprawiał ze swoimi siostrami; teraz zrozumiał, dlaczego Antonia nie pochwalala wizyt wnuka w Mizenum.

Rozmowę przerwało przybycie zarządcy domu, który oznajmił, że kolacja czeka. Poszli za nim do willi, kiedy słońce już ostatecznie zniknęło za horyzontem i tylko gwiazda wieczorna świeciła jasno nad spokojnym Morzem Tyrreńskim.

– Tyberiusz nie znosi niespodzianek – oświadczył Kaligula, kiedy sprzątnięto *gustatio* – nawet jeśli jest to ktoś przynoszący dobre wieści czy prezent. – Pociągnął z kielicha i roześmiał się krótko, zanim położył dłoń na rękę Wespazjana, spoczywającego po jego lewej stronie na tym samym łożu. – W zeszłym miesiącu rybak wspiął się na skały, żeby przynieść cesarzowi największą barwę, jaką w życiu widziałem. Stary wpadł w szal z wściekłości, że ktoś niezapowiedziany może się nagle pojawić, i kazał jednemu z gwardzistów łuskami tej ryby zetrzeć do żywego skórę na twarzy tego człowieka. – Przerwał, poprawiając coś przy stoli Druzylli. Dziewczyna leżała u prawego boku Kaliguli, plecami do niego, i rozmawiała z Korbulonem, który wyraźnie czuł się nieswojo, dzieląc łoże z bardzo przyjaźnie nastawioną Julią Liwillą. – W każdym razie – ciągnął, zadowolony z jakiejś dokonanej przed chwilą poprawki – ten rybak wykazał się hartem ducha i mimo bólu udało mu się zażartować. – Zaczął histerycznie chichotać i przysunął się bliżej do Druzylli. – Powiedział... powiedział: Dzięki niech będą bogom, że nie przyniosłem Cezarowi tego ogromnego kraba, którego też schwytałem.

Wybuchnął śmiechem, układając się wygodniej. Wespazjan też zaczął się śmiać, tak jak i Klemens z Sabinusem, którzy zajmowali łoża po lewej.

– Ale wtedy... – podjął Kaligula, kiedy zdołał opanować śmiech – ...ale wtedy Tyberiusz każe znaleźć kraba i przetrzeć nim twarz rybaka; prawie zrównali mu rysy. – Kaligula zaniósł się histerycznym śmiechem, który zakończył się nagłym, gwałtownym ruchem dolnej części ciała i pełnym zadowolenia stęknieniem. Sięgnął po kielich z winem. Kiedy pił, Wespazjan wykorzystał sposobność, by unieść się nieco i spojrzeć ponad nim na Druzyllę. Natychmiast odwrócił wzrok. Dziewczyna miała stolę zadartą powyżej pośladków; najwyraźniej Kaligula przed chwilą się do niej dobrał, tyle że sądząc po ułożeniu ich ciał, nie zrobił tego w sposób ogólnie przyjęty. Druzylla kontynuowała rozmowę z Korbulonem, jakby nigdy nic; po minie Korbulona Wespazjan poznał, że mężczyzna doskonale wie, co się dzieje u jego boku.

– Postarałem się więc, nie wywołując jego niepokoju, uprzedzić stryja Tyberiusza o waszym przybyciu – ciągnął Kaligula, kiedy podano następne danie, dwa duże półmiski owoców morza.

Delikatne powiewy wiatru od otwartego okna wydymały łagodnie tuniki krążących po pokoju niewolników.

– W jaki sposób? – zapytał Wespazjan, wybierając sobie langustę.

– Trzyma tam blisko siebie starego szarlatana, astrologa, niejakiego Trazyllusa, zresztą przypadkiem ojca uroczej Ennii, którą poznałem na kolacji w domu mojej babki.

– Żony Makrona? – spytał Sabinus.

– Tak mi się wydaje; o wiele za dobra dla niego, myślę o tym, by samemu jej skosztować. Tak czy inaczej, tenże Trazyllus cały czas zajmuje się opowiadaniem Tyberiuszowi, że będzie żył, by nadzorować zmiany, jakie się rozpoczną, kiedy za trzy lata w Egipcie Feniks ponownie wzleci w powietrze.

– Co to takiego ten Feniks? – zapytał Korbulon, szukając czegoś, co by oderwało jego uwagę od bezeceństw, jakich się dopuszczano tuż obok niego.

– To ptak, który żyje pięćset lat. Pod koniec życia ginie w płomieniach i wtedy nowy Feniks rodzi się z jego popiołów, oznajmiając początek nowej ery. I tak w kółko. W każdym razie Tyberiuszowi podoba się, kiedy mu przepowiadają, że ma żyć jeszcze co najmniej trzy lata, więc słucha tego, co mu Trazyllus mówi. Przekonałem tego cwaniaka, by przepowiedział, że ja otrzymam ważne wieści od mojej babki, a przyniesie je pewien przyjaciel.

– Ale jak się dostaniemy do Tyberiusza?

– Co rano, kiedy skończy swoje... eee... ćwiczenia, udajemy się obaj, Tyberiusz i ja, do nieskończonej jeszcze części *Villa Iovis*, żeby sprawdzić, jak postępują prace... szczególnie interesuje go fryz, który ma się znajdować w jego przyszłej sypialni. Jeśli zatem ukryjemy was na noc w tym pokoju, mogę go uprzedzić, że zapowiedziane wiadomości od Antonii nadeszły i waga ich jest taka, że powinien was wysłuchać. Należy mieć nadzieję, że się zgodzi.

– Dopilnuj tylko, żeby nie było pod ręką barwen czy krabów – rzucił Wespazjan, otwierając langustę i przesuwając palcem po chropowatej powierzchni pancerza.

Kaligula roześmiał się, głośniejsz, niż zasługiwał na to żart, i przyłgął do Druzylli.

– Kraby! – zarechotał, podając małą pieczoną ośmiorniczkę siostrze, która miała trudności z sięgnięciem do półmisek na stole.

Wespazjan z wielką ulgą zauważył, że Kaligula i Druzylla wydają się zadowoleni z przyjętej ukradkowo pozycji i nie wiercą się tuż obok niego. Korbulon spoglądał ciągle na tę parę z niedowierzaniem i wyglądało na to, że nie tylko stracił apetyt, ale i przegrał walkę z Julią Liwillą, która trzymała mu przyjaźnie rękę na udzie.

– Moi ludzie czekający w zatoczce zabiorą was do zewnętrznego muru *Villa Iovis* – powiedział Klemens, wracając do właściwego tematu rozmowy. – Kiedy tylko zostawię Kaligulę w jego pokojach, dołączę do was i wprowadzę do odpowiedniego pomieszczenia. Moi ludzie będą strzec drzwi, byśmy mieli pewność, że żaden z rzemieślników rano was tam nie zobaczy. Po spotkaniu z Tyberiuszem zostaniecie w tym pokoju aż do zmroku, a potem wróćcie do zatoczki; w ten sposób nie ściągacie na siebie uwagi ludzi Sejana.

Wespazjan i Sabinus skinęli głowami z aprobatą.

– Skoro ty uważasz, że to się uda, Klemensie – odezwał się Sabinus – mnie to wystarczy.

– Uda się – odparł Klemens, odłamując kawałek chleba i maczając go w sosie od owoców morza, jaki zebrał się na dnie jego półmiska. – Problemem będzie tylko stan umysłu Tyberiusza.

– Ale przecież Kaligula miał go uprzedzić... nie mówiłeś tak? – Wespazjan trącił w bok przyjaciela, który zajęty był akurat karmieniem Druzylli krewetkami.

– Co takiego? – spytał Kaligula, drażniąc krewetką Druzyllę.

– Uprzedziłeś Tyberiusza o naszym przybyciu, żeby nie wpadł w zły nastrój na nasz widok.

– Ależ tak, oczywiście – odparł Kaligula, odwracając uwagę od siostry. – Powinien być w

dobrym nastroju, w tym jednak problem. Ostatnio w takich chwilach zabawia się zrzucaniem ludzi ze skały. Ma zwyczaj traktować tak ludzi, których zaprosił na wyspę w charakterze swoich gości, i trzyma specjalny oddział zbrojnych z pałkami u podnóża klifu, by mogli dobijać tych nieszczęśników, którzy przeżyli upa dek; powiedział mi, że nie chce, by jego goście cierpieli niepotrzebnie dla jego przyjemności. Dlatego właśnie tak wiele osób, które zaprasza, woli popełnić samobójstwo, niż przyjąć zaproszenie.

Kaligula roześmiał się piskliwie i ponownie zajął karmieniem Druzylli.

Wespazjan spojrział przerażony na Sabinusa i Klemensa, zastanawiając się, jak wiele z tego wiedziała Antonia, zanim wysłała ich na spotkanie z szaleńcem.

Rozdział siedemnasty

– Tylko ostrożnie – szepnął Wespazjan do kilku wystraszonych majtków, opuszczających półprzytomnego Rotelesa do łódki wiosłowej, kołyszącej się przy rufie dwurzędowca.

– Trzymamy go – syknął Magnus z panującego w dole półmroku.

Następnie opuszczono tobołki uczestników wyprawy, a potem udzielono pomocy przy zejściu na dół Korbulonowi i Sabinusowi. Ten ostatni przed chwilą doświadczył kolejnego ataku torsji. Wszyscy byli nieuzbrojeni, noszenie broni w obecności Tyberiusza było bowiem traktowane jak zbrodnia. Nie dotyczyło to jedynie gwardii pretoriańskiej i Germanów z przybocznej straży cesarskiej.

Kaligula poklepał po ramieniu Wespazjana, kiedy ten szykował się do zejścia.

– Kolejny świetny numer, co, przyjacielu? – Kiedy uśmiechał się, w ciemności błysnęły jego białe zęby. – I jeśli się powiedzie, utoruje mi to drogę do purpury... wyobraź sobie tylko, jaką wtedy będziemy mieli zabawę.

Odkąd Wespazjan wiedział, co bawi Tyberiusza, zaczął się zastanawiać, jaka też była definicja zabawy Kaliguli.

– Zadbaj o to, żeby cesarz nie był w nastroju do zrzucania ze skały – odparł, przekładając nogę przez balustradę nadburcia.

– Zadbam. Może nawet wezmę małego Witeliusza na nasz spacer; to zawsze uspokaja Tyberiusza.

– Rób, co chcesz, jeśli sądzisz, że pomoże mu to zachować rozsądek.

– Rozsądek? A to ci dopiero dziwne słowo.

Wespazjan uśmiechnął się mimowolnie; klepnął Kaligulę w ramię i skinąwszy głową Klemensowi, opuścił się po linie do łódki.

– Do końca życia mam dość pływania czymkolwiek – oświadczył zgnębiony Sabinus, kiedy Wespazjan zajął miejsce przy wiosłach sterowym.

Korbulon odepchnął łódkę od statku, Magnus i Pallas ujęli wiosła i ruszyli w stronę brzegu. Wysoko nad nimi sterczały groźnie strome skały Capri, posrebrzone blaskiem wschodzącego za nimi księżyca; Wespazjan przełknął ślinę, wyobrażając sobie przerażenie gości

Tyberiusza zrzucanych stamtąd bez żadnego wyraźnego powodu.

Wkrótce statek zniknął im z oczu, kierując się na migoczący pół mili dalej płomień latarni morskiej, który wskazywał wejście do portu Capri.

Sabinusem znowu wstrząsnęły torsje i tkwił wychylony za burtę.

– Cóż za tortura – jęczał, trzymając głowę tuż nad powierzchnią wody.

– Nie taka jak ubiegłej nocy – zauważył Korbulon; wciąż nie mógł się otrząsnąć po przeżyciach, jakich dostarczyli mu gospodarze podczas wieczornej uczyty.

Kiedy wino zaczęło płynąć szerszym strumieniem, zachowanie Kaliguli i jego sióstr przechodziło (według terminologii Korbulona) od oburzającej zniewagi wobec każdego człowieka wychowanego zgodnie z etyką Augusta do skandalicznego łamania wszelkich rzymskich zasad moralnych i norm obowiązujących nie tylko przy stole, ale wszędzie, w całym cesarstwie, zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnym. Obleśne zaczepki Liwilli, przy użyciu gęsiej nóżki, były kroplą, która przelała czarę. Udało mu się jakoś uciec, bez dopuszczenia się obrazy, pod pretekstem, że zjadł nieświeżą krewetkę. Wespazjan, Sabinus i Klemens musieli wytrzymać tam nieco dłużej, ale im również udało się wymówić od dalszego uctowania, po tym jak nie skorzystali z zaproszenia do wspólnej zabawy. Kotłowanina u boku Wespazjana rozpoczęła się na dobre. Liwilla zastosowała gęsią nóżkę wobec Kaliguli i wszyscy troje tak zanurzyli się w swoim osobliwym świecie, że mało ich obchodziło odejście gości.

Po kilku setkach pociągnięć wiosel Wespazjan zobaczył na brzegu dwa punkty światła i ku nim skierował łódkę. Niedługo potem dno zaszurało o żwir, a dwaj pretorianie weszli do wody, by pomóc wyciągnąć ją na brzeg.

– Z rozkazu dekuriona Klemensa meldują się Fulwiusz i Rufinus z jazdy gwardii pretoriańskiej – zameldował starszy z tej dwójki.

Sabinus z ulgą wysiadał z łodzi wspomagany przez drugiego pretorianina.

– Dziękuję, żołnierze – powiedział, stojąc na niepewnych nogach.

Łódkę ukryto pospiesznie w jaskini, a Rotekesa zarzucono Magnusowi na plecy, co nie wzbudziło zachwyty tragarza, ponieważ stan higieny kapłana był opłakany. Mężczyźni wzięli swoje tobołki i ruszyli za Fulwiuszem stromą, ale znośną ścieżką, która szła zygzakiem po skale, nie aż tak pionowej, jak się w pierwszej chwili wydawało. Poruszali się wolno i ostrożnie, bo zgasili pochodnie i polegali wyłącznie na świetle księżyca, w końcu jednak dotarli na szczyt.

Ruszyli potem na wschód, skalistym grzbietem górującym nad oblanymi księżycową

poświatą nieużytkami. Po lewej stronie skupiska roziskrzonych świateł Pompejów, Herculanium, Neapolu i Puteoli rzucały blask na rozkołysaną wodę, a rozrzucone pomiędzy nimi jaśniejące punkty oznaczały, że znajdują się tam wspaniałe nadmorskie wille rzymskiej socjety. Tu i ówdzie, w ciemności dzielącej ląd stały od wyspy, migotały pojedyncze lampki na łodziach rybaków. Z dołu dobiegał huk fal, rozbijających się o poszarpane skały u podnóża klifu. Ciepła bryza z zachodu niosła zapach dzikiego tymianku.

Po niecałej godzinie równomiernego marszu dotarli do wysokiego kamiennego muru na wschodnim cyplu wyspy. Ku swojemu zdumieniu Wespazjan zobaczył, że czeka tam już Klemens na końskim grzbiecie.

– Jakież problemy? – zapytał, odwijając powróż.

– Żadnych, panie – odparł Fulwiusz.

– Świetnie, przytrzymaj konia – powiedział Klemens, podciągając do góry nogi, by klęknąć na siodle. Oparł się dla zachowania równowagi o mur, wstał i przerzucił koniec powroza, po czym chwyciwszy się szczytu muru, podciągnął i zniknął po drugiej stronie. – Przymocowana – zawołał cicho po chwili.

Nie licząc krótkiej zwłoki, spowodowanej podnoszeniem i przerzucaniem na drugą stronę Rotelesy, z łatwością przedostali się na poznaczony plamami księżycowego światła teren willi.

– Toż to pioruński plac budowy – szepnął zdumiony Magnus do Wespazjana, podczas gdy Klemens odwiązywał powróż od leżącej na ziemi ogromnej dębowej belki. W panującym półmroku Wespazjan dostrzegł stosy cegieł i kamiennych bloków; części kolumn leżały wśród wiklinowych koszy i stert dachówek. Magnus zanurzył rękę w jednym z koszy i wyciągnął garść małych marmurowych kwadracików.

– Wygląda na to, że Tyberiusz zaplanował sobie parę mozaik do swojego pałacu rozkoszy – zauważył, upuszczając kawałeczki marmuru z lekkim stukotem z powrotem do kosza.

– Tędy – szepnął Klemens i skuliwszy się, poprowadził ich pomiędzy materiałami budowlanymi w dół stoku, ku masywnej bryle nieukończonych willi, odległej o zaledwie czterysta kroków. Kilka świateł po drugiej stronie budynku wskazywało, że zbliżają się do niedokończonych, niezamieszkanego strony.

Na sto kroków od willi materiały budowlane się skończyły i Klemens zatrzymał ich przy ostatnim stosie cegieł.

– Zostańcie tutaj – rozkazał. – Zazwyczaj w pobliżu stoi wartownik, odciągnę go.

Wyprostował się i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę willi.

– Stać! – zawołał ktoś, kiedy przebył już połowę otwartej przestrzeni. – Stój i mów, kim jesteś.

Z mroku wyłoniło się dwóch pretorianów i pobiegło ku stojącemu bez ruchu Klemensowi.

– Dekurion Klemens, pierwszy oddział jazdy gwardii pretoriańskiej – krzyknął Klemens w stronę zbliżających się strażników.

– Co tutaj robisz, dekurionie? Nie masz pozwolenia na przebywanie tutaj w nocy, będziesz musiał udać się z nami.

– Szukałem was, wydawało mi się, że na wzgórzu dostrzegłem jakiś ruch – odparł Klemens, wskazując ręką w kierunku Wespazjana i jego towarzyszy.

– A niech to, ten drań nas wydaje – syknął Magnus, kiedy Klemens zaczął prowadzić gwardzistów w ich stronę.

– Uważam to za mało prawdopodobne – oświadczył spokojnym głosem Pallas.

Fulwiusz i Rufinus obnażyli miecze; Wespazjan automatycznie sięgnął po swój, po czym przypomniał sobie, że został w Mizenum.

– Nie ruszajcie się – powiedział Fulwiusz, wstając i mierząc czubkiem miecza w Korbulona. Rufinus stanął nad Wespazjanem i przystawił czubek miecza do jego pleców. – Tutaj, dekurionie – zawołał do Klemensa.

Wespazjanowi zrobiło się niedobrze; nieuzbrojeni i przeciwko pięciu pretorianom nie mieli najmniejszych szans i bez trudu zostaną pojmani. Przez chwilę wyobraził sobie, że zrzucają go ze skały, i poprzysiągł Klemensowi zemstę, na tym albo na tamtym świecie.

– No, no, co my tu mamy? – odezwał się Klemens przeciągle, wykrzywiając szyderczo wąską twarz. Dwaj pretorianie stanęli po jego bokach i wyciągnęli miecze. – Domyślam się, że żarcie dla ryb. Związać ich.

– Ty nędzny draniu – warknął Sabinus. – Ile zapłacił ci Sejan, byś uczynił wdową własną siostrę?

Magnus ruszył na Fulwiusza, celując głową w jego krocze. Ostry cios ręką w tył głowy powalił go nieprzytomnego na ziemię. Rufinus kopniakiem posłał tam za nim Wespazjana, dał przez niego krok i błyskawicznym pchnięciem wbił miecz w usta pretorianina po lewej stronie Klemensa, podczas gdy sam dekurion przycisnął prawą ręką gardło drugiego, lewą chwytając głowę i z głośnym trzaskiem skręcając mu kark.

– Klemensie, ty draniu – rzucił Sabinus – dałem się nabrać.

– Przepraszam za przedstawienie. – Klemens uśmiechnął się. – Spodziewałem się jednego i nie mogłem zmierzyć się z dwoma, i to po cichu; musiałbym dać się zaprowadzić na wartownię i rano niełatwo byłoby mi się wytłumaczyć. Zrzućmy ciała ze skały. – Chwycił za ramię jednego z zabitych i zaczął ciągnąć; Sabinus pokręcił głową i wziął się do pomocy.

Wespazjan, wciąż podekscytowany, pomógł Rufinusowi zaciągnąć drugie ciało do odległych o pięćdziesiąt kroków nadmorskich skał.

– Skąd wiedziałeś, że należy zabić tamtych dwóch? – spytał.

– Ja też myślałem, że was zdradza – odparł Rufinus. – Dopiero kiedy kazał was związać, wiedziałem, co trzeba zrobić.

– Skąd?

– Ponieważ odkąd tamten rybak wspiął się na klif, obowiązuje rozkaz Tyberiusza, by wszystkich intruzów, bez wyjątku, bezzwłocznie zabijać.

– Cóż, mam nadzieję, że nas jutro potraktuje w sposób wyjątkowy – powiedział Wespazjan, kiedy dotarli do krawędzi skały.

– Jeszcze nie słyszałem o takim przypadku – oświadczył szczerze Rufinus.

Zrzucili ciało pretorianina ze skały. Wespazjan spojrzął w dół i przez chwilę widział, jak obraca się w powietrzu, nim zniknęło w ciemnościach; ryk fal bijących o głazy stłumił wszelkie dźwięki, jakie mogło wywołać, upadając na kamienie. Odwrócił się z dręczącym uczuciem, jakby to on sam spadał.

Wróciwszy do towarzyszy, zobaczył, że Magnus jest wciąż nieprzytomny, i musiał dźwigać go z Pallasem; Sabinus i Korbulon ponieśli Rotekesa.

Spiesznie pokonali otwartą przestrzeń od frontu willi i przez niedokończone wejście wślizgnęli się do pogrążonego w mroku wnętrza.

Ze zdumiewającą szybkością Klemens znajdował drogę w labiryncie korytarzy mizernie oświetlonych sączącym się przez okna księżycowym blaskiem. W końcu zatrzymał się przed ogromnymi drzwiami i je otworzył. Po chwili wszyscy znaleźli się w olbrzymiej sali, aż echo ich kroków odbijało się od wysokiego sufitu. Rotekes został bezceremonialnie rzucony na podłogę.

– Fulwiusz i Rufinus będą stali na warcie, dopóki Kaligula nie sprowadzi cesarza – powiedział Klemens. – Ja też przyjdę, by dzielić z wami los, jaki on wam zgotuje.

– Dziękujemy, Klemensie – powiedział Sabinus, ściskając ramię szwagra.

Klemens odwzajemnił uścisk i rzucił z uśmiechem:

– Wokół jest mnóstwo używanych przy budowie kublów, przynajmniej macie latrynę.

Powodzenia. – Odwrócił się i zniknął za drzwiami, a Fulwiusz i Rufinus za nim.

Kiedy Wespazjan i Pallas kładli Magnusa, ten poruszył się, otworzył oczy i jęknął.

– A niech to! Doczekaliśmy się. Mają nas – powiedział, pocierając tył głowy.

– Raczej nas tu przemycili – odparł Wespazjan, pomagając przyjacielowi usiąść.

– Co takiego? Myślałem, że nas aresztowali.

– Cóż, należało zachować przytomność, żeby zobaczyć, co się stało potem, zamiast zgrywać bohatera i atakować niewłaściwą osobę.

– Chcesz powiedzieć, że Klemens nas nie wystawił, a my nie siedzimy w jakimś więzieniu?

– Rozejrzyj się. – Wespazjan machnął ręką, pokazując mu blado oświetlone pomieszczenie. – Myślę, że Tyberiusz byłby nieźle wkurzony, gdyby wiedział, że nazywasz to miejsce więzieniem; znajdujemy się w jego nowej sypialni.

Słońce wschodziło i komnata stopniowo wypełniała się światłem wpadającym przez cztery okna umieszczone wysoko nad drzwiami. Dopiero teraz Wespazjan mógł ocenić wielkość pomieszczenia o kształcie idealnego sześcianu z marmurowym stropem dobre czterdzieści stóp nad jego głową. Na przeciwległej do drzwi ścianie ciągnął się nie dokończony fryz, którym tak bardzo interesował się Tyberiusz. Rzut oka wystarczył, by poznać powód owej ciekawości: w sposób niezwykle szczegółowy, nie pozostawiając niczego wyobraźni, zobrazowano tu wszystkie możliwe warianty cielesnych rozkoszy, włączając w to dorosłych, dzieci i zwierzęta.

– Starasz się to sobie zapamiętać, co, bracie? – zapytał Sabinus, łapiąc Wespazjana na tym, jak się zagapił na brutalnie wykorzystywanego muła.

– Trzeba podziwiać mistrzostwo wykonania – odparł Wespazjan, kolejny już raz ignorując sugestię brata – nawet jeśli tematyka jest trochę nieprzyzwoita.

– Trochę? Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – rzucił Korbulon – nawet w... – Zamilkł i zaczerwienił się.

– W burdelach przy *vicus Patricius* w Rzymie? – dokończył domyślnie Magnus.

Korbulon spojrzał na niego krzywo i zajął się wyciąganiem z tobołka swojej togi.

– Panowie, mam chleb, soloną wieprzowinę i wino – oświadczył Pallas, zakneblowawszy

Rotekesa, ponieważ środek odurzający przestawał działać i kapłan zaczął odzyskiwać przytomność. – Powinniśmy zjeść, a potem się przebrać przed spotkaniem z cesarzem.

Godzinę później siedzieli na odwróconych do góry dnem skrzyniach, każdy zajęty własnymi myślami i niepokojami przed czekającym ich spotkaniem. W korytarzu parę razy doszło do wymiany zdań, kiedy Fulwiusz i Rufinus powstrzymywali robotników przed wejściem do środka, jednak drzwi przez cały ten czas pozostawały zamknięte.

Nagle rozległ się odgłos zbliżających się szybko korytarzem kroków; drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł stary, ale pełen wigoru mężczyzna. Wespazjan natychmiast go rozpoznał; był to najpotężniejszy i budzący największą grozę człowiek rzymskiego świata: Tyberiusz.

Wszyscy zerwali się z miejsc i pochyłili głowy. Wespazjan dojrzał nieowłosione nogi Tyberiusza wystające spod tuniki w czysto purpurowym kolorze. Podudzia miał oplecione siatką nabrzmiałych żyłaków i poznaczone otwartymi wrzodami i strupami, skórę na piszczelach napiętą i lśniącą. Paznokcie stóp obutych w regulaminowe sandały wojskowe były zrogowaciałe, pożółkłe i nierówne.

Tyberiusz podszedł do Wespazjana i stanął wprost przed nim. Serce młodego człowieka przyspieszyło gwałtownie i musiał siłą woli powstrzymać drżenie ciała, zastanawiając się przy tym, dlaczego Tyberiusz nie każe sobie przyciąć paznokci.

– Czy to ten, mój skarbie? – zapytał Tyberiusz kogoś stojącego w drzwiach, poza zasięgiem wzroku Wespazjana. Głos miał niski i gardłowy; jakby dochodził z daleka, oderwany od tego świata.

– Tak, stryju – usłyszał głos Kaliguli – to mój przyjaciel. – W jego głosie było napięcie, jakby lekkim tonem starał się pokryć nerwowość wynikającą ze świadomości, że za chwilę zapadnie ważna decyzja.

– Twój przyjaciel, powiadasz?

– Tak, stryju, mój przyjaciel.

– Na imię ma Wespazjan, zgadza się, mój skarbie?

– Tak, stryju: Wespazjan.

– Spójrz na mnie, Wespazjanie.

Wespazjan podniósł wzrok; duże, kaprawe szare oczy patrzyły na niego pytająco, jakby

bezsukutecznie próbowaly skupić się na tym, co widzą. Tyberiusz na pewno kiedyś uchodził za przystojnego; picie bez umiaru odcisnęło swoje piętno, zacierając rysy opuchniętej i niezdrowo zaczerwienionej twarzy. Siwe włosy nosił krótko przycięte nad uszami, ale na kark opadały mu długimi tłustymi strakami. Z małżowin usznych łuszczyła się wysuszona skóra; na czubku nosa tkwiła jątrząca się krostka.

Tyberiusz położył lewą rękę na głowie Wespazjana i nacisnął tak mocno, że młody człowiek czuł, jakby kciuk i palec wskazujący miały przebić mu czaszkę.

– Wciąż jest jeszcze taki młodziutki, że mógłbym wbić mu palce do mózgu, mój skarbie – zauważył Tyberiusz, nie przestając wpatrywać się w oczy Wespazjana tym pytającym, niemal zdziwionym spojrzeniem. Jego oddech cuchnął świeżymi ludzkimi odchodami.

– Tak, stryju, to prawda; ale wtedy już nie miałbym mojego przyjaciela – głos Kaliguli nieco się podniósł.

Nacisk na głowę Wespazjana raptownie się zwiększył.

– Przecież ja jestem twoim przyjacielem! – krzyknął nagle Tyberiusz.

– Tak, stryju, jesteś moim przyjacielem na Capri. Wespazjan jest moim przyjacielem w Rzymie; ty nie odwiedzasz Rzymu, więc muszę mieć jakiegoś przyjaciela, kiedy tam jestem.

Tyberiusz zmniejszył nacisk. Wespazjan musiał się powstrzymać, żeby nie pomasować pulsującej głowy.

– A co się stanie, kiedy wrócę do Rzymu? – spytał Tyberiusz, wciąż wpatrując się w Wespazjana.

– Jeśli wrócisz, nie będę potrzebował w Rzymie innego przyjaciela i wtedy wbijesz mu palce do mózgu.

– Zatem w Rzymie – powiedział Tyberiusz niespodziewanie radosnym głosem, jakby wreszcie rozwiązano trudny problem najprostszą i najbardziej oczywistą z metod.

Wespazjan odetchnął z ulgą, kiedy Tyberiusz przeniósł uwagę na innych członków grupy; miał wrażenie, że przynajmniej na razie jest bezpieczny. Kaligula skinął mu ukradkowo głową, potwierdzając to przekonanie. Obok niego stał bardzo ładny kilkunastolatek; we włosach miał kwiaty, a białą tunikę obrzeżoną złotym haftem. Za nim, pomiędzy Fulwiuszem i Rufinusem, z ręką na rękojeści miecza tkwił nieruchomy Klemens, jeszcze bardziej blady niż zwykle.

– A ci, mój skarbie? Co to za jedni? – Tyberiusz przesuwając powoli wzrokiem po Sabinusie, Korbulonie, Magnusie i na końcu, Pallasie. – Chyba nie kolejni rybacy?

– Oczywiście, że nie, stryju, nie pozwalasz już przychodzić tutaj rybakom – odpowiedział Kaligula, starannie dobierając słowa. – Ci ludzie przybyli z moim przyjacielem, przynosząc ważne wieści, jak przepowiedział to Trazyllus. Jeden z nich ma dla ciebie list od Antonii.

– Zatem nie są to intruzi, którzy chcą zakłócić mi spokój umysłu?

– Oni chcą pomóc ci zachować spokój umysłu, stryju.

Tyberiusz wpatrywał się chwilę w Pallasa; wszyscy stali bez ruchu.

– Znam cię – powiedział w końcu, mierząc palcem w Greka. – Jesteś zarządcą u Antonii. Masz na imię Pallas, zgadza się?

– Jestem zaszczycony, że mnie poznałeś, a co dopiero, że znasz moje imię, władco – odparł Pallas, gnąc się w ukłonie.

Pomimo napiętej atmosfery i świadomości, że ich życie wisi na włosku, wciąż zachowywał spokój i opanowanie; Wespazjan pocił się obficie pomimo chłodu poranka.

– Na pewno ty masz list od niej; daj mi go.

Pallas sięgnął do sakwy; Tyberiusz odskoczył. Uświadamiając sobie swój błąd, Pallas wyciągnął dłoń i przechylił ją, upuszczając zwój na podłogę. Pierwszy raz Wespazjan zobaczył układnego Greka wytrąconego z równowagi i widok ten sprawił mu przyjemność.

Pallas podniósł zwój i podał Tyberiuszowi; cesarz obejrzał go uważnie, po czym, najwyraźniej przekonany, że nie jest niczym szkodliwym, wziął go do ręki.

– Moja pani przysłała swój sygnet, władco – powiedział Pallas, podnosząc wyraźnie drżącą dłoń – by pokazać, że list jest autentyczny.

Tyberiusz machnął lekceważąco ręką.

– Ty jesteś tego najlepszym dowodem – oświadczył po prostu, patrząc na zwój i wążąc go w dłoni. Głos miał bardziej rozważny, zupełnie jakby pojawienie się listu od bratowej pomogło mu wyrwać się z mrocznego świata jego umysłu. Spojrzał na Sabinusa, jakby zobaczył go pierwszy raz. – A ty jesteś...? – zapytał, a jego głos zabrzmiał niemal szczerym zainteresowaniem.

– Tytus Flawiusz Sabinus – rzucił jednym tchem Sabinus.

– A tak, trybun z legionu Dziewiątego *Hispana* – powiedział Tyberiusz bez chwili zastanowienia – wyróżniony w służbie w Afryce podczas tłumienia buntu Takfarinasa; porządny żołnierz, sądząc po raportach, które czytałem.

– Dzięki, władco – wyjąkał Sabinus oszołomiony, jak zresztą wszyscy pozostali,

raptownym powrotem jasności umysłu cesarza.

– Zostaniecie tutaj pod strażą Klemensa, podczas gdy ja będę czytał ten list; Witeliusz dotrzyma wam towarzystwa. – Cesarz wskazał ręką urodziwego chłopca. – Nie brak mu pewnych talentów. Chodź, mój skarbie; zobaczmy, co kombinuje twoja babka.

Tyberiusz wymaszerował z pokoju; Kaligula unosząc brwi, spojrzął na Wespazjana i poszedł za cesarzem.

Kiedy w korytarzu ucichły ich kroki, Wespazjan i jego towarzysze osunęli się z ogromną ulgą na swoje skrzynie.

Długo siedzieli w milczeniu, myśląc o tym, jak blisko śmierci się przed chwilą znajdowali. Głośny jęk z kąta pokoju przerwał ich rozmyślenia; Rotekes był w pełni przytomny.

– Zrób z nim coś, Pallasio – rzucił poirytowany Wespazjan; nie cierpiał dźwięków wydawanych przez kapłana równie mocno jak wszystkiego innego, co go dotyczyło.

– Obawiam się, panie, że nie możemy go teraz pozbawiać przytomności – odparł Pallas, któremu wróciło dawne opanowanie. – Możliwe, że będzie wkrótce przesłuchiwany.

Choć myśl o przesłuchaniu radowała Wespazjana, to coraz głośniejsze dźwięki wydawane przez kapłana szarpały już i tak jego mocno napięte nerwy.

– Zamknij się, sukinsynu! – wrzasnął, ale nie odniosło to żadnego skutku.

– Chcesz, bym cię ukoił, Wespazjanie? – zapytał Witeliusz, podchodząc do niego i kładąc mu na ramieniu mięką dłoń.

– Że co?! – wykrzyknął Wespazjan, spoglądając na chłopca z przerażeniem. – Nie! – Strząsnął gniewnie jego dłoń.

– To obrzydliwe. Nie masz ni krzty honoru, chłopcze? – warknął Sabinus. – Jesteś potomkiem Witeliuszów, starego i szlachetnego rodu; dlaczego się prostytuujesz jak portowa dziwka?

– Bo inaczej zginę – odparł po prostu Witeliusz. – Widziałeś, jaki on jest.

– A ty wolisz raczej żyć w hańbie jako jego utrzymanek, niż zginąć jak mężczyzna?

– Wydaje mi się to lepszym rozwiązaniem; hańba nic dla mnie nie znaczy. Zrezygnowałem z honoru i dumy, by przeżyć, tak jak mój ojciec, kiedy oddał mnie Tyberiuszowi w zamian za swoje życie. W ten sposób, pewnego dnia, zemszczę się na wszystkich, którzy mnie wykorzystywali, a jeśli już nie będą żyli, to na ich rodzinach. – Witeliusz obrzucił Sabinusa

stalowym spojrzeniem.

Sabinus odwzajemnił mu się podobnie twardym spojrzeniem.

– Nie dogadzałbym drugiemu mężczyźnie, nawet gdyby zależało od tego moje istnienie, degeneracie.

– Życzę ci, żeby kiedyś twoje życie od tego zależało; wtedy zobaczymy, jakiego wyboru dokonasz, Tytusie Flawiuszu Sabinusie. – Witeliusz obrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju.

– Kurwiszon! – wrzasnął za nim Sabinus.

– To miejsce robi z ludźmi dziwne rzeczy – zauważył Magnus, kiedy drzwi zamknęły się z trzaskiem.

– To nie miejsce – powiedział Pallas, stając nad Rotekesem i pokazując mu sztylet, co trochę go uciszyło – to władza. Władza absolutna zdeprawuje każdą słabą czy moralnie skażoną osobę.

– W takim razie niech bogowie mają nas w swojej opiece, jeśli Kaligula zostanie cesarzem – powiedział Korbulon, kręcąc głową. – Nie mogę uwierzyć, że sam przykładam rękę do takiej ewentualności. Może powinniśmy powrócić do republiki, w której dwóch ludzi sprawowało wspólnie władzę przez jeden tylko rok.

– Na to już za późno – oświadczył z przekonaniem Wespazjan. – Bogactwo cesarstwa zgromadzone jest w rękach zbyt małej garstki ludzi; dawno minęły czasy żołnierza obywatela, który walczy ramię w ramię ze swoim sąsiadem, by bronić swoich niewielkich spłachetków ziemi.

– A co to ma niby z tym wspólnego? – spytał lekceważącym tonem Sabinus. – Każdy legionista jest obywatelem.

– Tak, tylko że teraz wszystko jest postawione na głowie: zamiast walczyć w obronie swojej ziemi, by mieć do czego wrócić po letniej kampanii, prosty legionista walczy, by zasłużyć na kawałek ziemi po dwudziestopięcioletniej służbie.

– A co to za różnica? Armia pozostaje armią, nieważne jaka jest motywacja prostego legionisty.

– Już widzieliśmy, na czym polega ta różnica, podczas wojny domowej, od czasu, kiedy Gajusz Mariusz uczynił armię zawodową, aż do czasu, kiedy August stworzył cesarstwo. Chciałbyś, żeby tamte dni wróciły?

– Nie, oczywiście, że nie – przyznał niechętnie Sabinus. Nie lubił, kiedy brat pokonywał go w dyskusji, nieważne jak logicznie brzmiały jego argumenty. – Co zatem sugerujesz, bracie, bo wygląda mi na to, że się nad tym zastanawiałeś.

– Mówiąc szczerze, dużo o tym myślałem; przez całą drogę z Rzymu.

– Oświeć nas zatem swoją mądrością.

– Uważam, że wybór jest prosty: albo cesarstwo znajduje się w jednych rękach i jest rządzone przez jednego człowieka; albo rozpada się, kiedy legiony w prowincjach deklarują poparcie dla wodza, który uważa, że pogwałcono jego godność, a on w zamian daje im najlepsze dostępne ziemie. Gdyby tak miało się stać, to albo wyniszczylibyśmy się całkowicie wojną domową, albo zostalibyśmy podbici przez Partów ze wschodu i barbarzyńskie plemiona z północy; albo też dowódcy walczyliby ze sobą do jakiegoś martwego punktu i cesarstwo rozpadłoby się na części składowe: Italię, Ilirię i Grecję, na przykład, a potem Galię i Hiszpanię, być może Afrykę, Azję i Egipt, i tak dalej... podobnie jak to się stało z imperium Aleksandra Wielkiego. Wszędzie rządząliby Rzymianie, ale tak jak następcy Aleksandra, walczyliby stale ze sobą, aż ich kraje zostałyby wchłonięte. W taki właśnie sposób Partowie i my zajęliśmy stopniowo kraje powstałe po rozpadzie imperium Aleksandra.

– Skąd nagle, ni stąd, ni zowąd, znasz tak dobrze historię? – spytał Sabinus, nie dowierzając własnym uszom.

– Ponieważ ostatnio, bracie, zamiast spędzać cały wolny czas w łożu z piękną młodą małżonką, korzystałem z ksiąg naszej babki i bogatej biblioteki wuja Gajusza; może nie jest to tak męczące, ale równie pobudzające.

Sabinus burknął coś pod nosem.

– Ale co się dzieje, jeśli człowiek, który ma rzekomo utrzymywać cesarstwo w całości, oszaleje? – zapytał Korbulon. – Jak się wydaje, dotknęło to właśnie Tyberiusza i na pewno stanie się to z Kaligulą, jeśli obejmie sukcesję po swoim stryjecznym dziadku.

– Cóż, właśnie nad tym się zastanawiałem – odparł Wespazjan. – Jeśli uznamy, że cesarstwo wymaga cesarza, to należy zadać sobie pytanie, w jaki sposób się go wybiera. Mimo że lubię Kaligulę, to jego zachowanie ubiegłej nocy było rozczarowujące i całkowicie nie do przyjęcia. Jego jawna niezdolność do odróżniania stosownego zachowania od niestosownego czyni z niego najgorszą z możliwych osób, którym można by przekazać nieograniczoną władzę, zresztą znajduje się w kolejce do niej wyłącznie dlatego, że pochodzi z cesarskiej rodziny.

– To może należy skończyć z cesarską rodziną? – zasugerował z uśmiechem Magnus.

– Należy skończyć ze zwyczajem, że następcą cesarza musi być ktoś z jego rodziny – powiedział Korbulon, kiwając potakująco głową.

– Właśnie. Popatrzcie na wybór, jaki pozostał Tyberiuszowi w rodzinie: Kaligula, Klaudiusz albo Tyberiusz Gemellus; którego chcielibyście na swojego pana?

– Żadnego – odparł znużonym głosem Sabinus.

– Zatem cesarz powinien wybrać na swojego następcę najlepszego Rzymianina i go usynowić, dla dobra Rzymu, nie ze względu na lojalność wobec swojej rodziny. Wówczas pojęcie rodziny cesarskiej, a wraz z nim problem walk dynastycznych w jej obrębie na zawsze by zniknęły i gdyby dokonywano właściwego wyboru, rządziłby nami człowiek, który potrafi sobie radzić, mając władzę absolutną.

– Wszystko to brzmi bardzo sensownie, panie – odezwał się Pallas – ale jak przekonałbyś cesarską rodzinę do oddania władzy?

– W tym właśnie problem. Nie wiem – przyznał Wespazjan.

– Będzie kolejna wojna – powiedział ponurym głosem Korbulon. – Rzym nie zniesie na dłużej takiego cesarza jak Kaligula.

– Cóż, jeśli będzie wojna – powiedział z nadzieją w głosie Wespazjan – ten, który okaże się zwycięzcą, powinien zastosować taką politykę: zapomnieć o tworzeniu dynastii, a na syna i następcę adoptować człowieka najzdolniejszego.

– A co, panie, jeśli tym najzdolniejszym człowiekiem w Rzymie okaże się własny syn cesarza? – zapytał przenikliwie Pallas.

Zanim Wespazjan zdążył mu odpowiedzieć, w drzwiach ukazał się Klemens.

– Cesarz wzywa was do swojego gabinetu – oświadczył niemal przepraszająco. – A to niestety oznacza, że wasza obecność tutaj przestanie być tajemnicą.

– Jaki ona ma dowód? – zapytał Tyberiusz, machając listem Antonii, ledwie trochę zdziwiony Germanin z cesarskiej straży przybocznej zdążył wpuścić ich do przestronnego gabinetu. Kaligula jakby nigdy nic siedział sobie przy oknie z zamkniętymi oczyma, grzejąc twarz w promieniach słońca.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, pierwszy odezwał się Pallas.

– Władco, ta lista napisana jest ręką Sejana.

Tyberiusz podniósł listę, przyjrzał się jej uważnie i rzucił z powrotem na marmurowy blat biurka.

– Bardzo możliwe – odparł – ale to tylko lista osób, imion, a nie żaden dowód.

– Stryju, gdyby wszyscy z tej listy byli martwi, to kto byłby cesarzem? – spytał łagodnym głosem Kaligula, nie otwierając nawet oczu. – Na pewno nikt z naszej rodziny.

– Ale Sejan ma wejść do naszej rodziny; dałem mu pozwolenie na poślubienie Liwilli, mojej bratanicy.

– Wiem, stryju, i postąpiłeś bardzo słusznie – mówił kojącym głosem Kaligula – ale może było to nieco zbyt pochopne. Sam mi mówiłeś, że on cię martwi; dlatego go odesłałeś, żeby był konsulem.

– Rzeczywiście tak zrobiłem, prawda? – Tyberiusz zawiesił wzrok na dużym obscenicznym malowidle, zdobiącym ścianę pomiędzy biurkiem i oknem, zupełnie jakby wracał do tamtego stanu, w jakim się znajdował, kiedy pierwszy raz spojrział na Wespazjana. – Ale muszę mieć pewność, muszę mieć pewność; on sprawia, że czuję się bezpieczny, i zdejmuje ogromny ciężar z moich ramion.

– Władco, czy mogę się odezwać? – spytał nerwowym głosem Sabinus.

Tyberiusz nie odpowiadał przez dłuższą chwilę, po czym zwrócił na Sabinusa swoje kaprawe oczy; nagle gwałtownie drgnął.

– Tytus Flawiusz Sabinus, trybun z legionu Dziewiątego *Hispana*; porządny żołnierz. Tak, tak, mów.

Sabinus powiedział cesarzowi o swoim odkryciu dotyczącym nieprawidłowości w mennicy i o tym, jak skrzynie z denarami znalazły się w Tracji.

Wydawało się, że Tyberiusz w ogóle nie słucha, kiedy jednak Sabinus skończył mówić i zdawało mu się, że zakończenie całej tej opowieści wypadło blado, cesarz nagle znowu odzyskał czujność.

– Kto więc widział te pieniądze w Tracji? – zapytał, rozglądając się po pokoju.

– Ja widziałem, władco – odezwał się Korbulon.

Przez chwilę Tyberiusz robił wrażenie zaskoczonego, jakby wcześniej w ogóle nie zauważył Korbulona.

– Ktoś ty taki? – warknął. – Kiedy przybyłeś?

– Gnejuś Domicjuś Korbulon, władco – odparł z dumą zapytany.

– Byłeś pretorem na początku mojego panowania. Nigdy jednak nie zostałeś konsulem – odparł Tyberiusz.

– To był mój ojciec, władco – powiedział Korbulon, wyraźnie zadowolony, że cesarz zna jego imię.

– Ojciec, hę? Ty jesteś synem? Nigdy o tobie nie słyszałem – stwierdził Tyberiusz miażdżącym tonem. – Cóż, powiedz mi, co widziałeś.

Korbulon złożył sprawozdanie, wspominając przy tym o udziale Hazdrona i Rotekesa, ale zgodnie z instrukcją, nie zająknął się o Poppeusza.

Kiedy skończył, Tyberiusz popatrzył na niego tępym wzrokiem.

– Co robiłeś w Tracji? – zapytał.

– Byłem trybunem w sztabie Poppeusza.

Tyberiusz sprawiał wrażenie niezainteresowanego.

– I kto jeszcze to widział? – zapytał lekceważącym tonem, zupełnie jakby słowa Korbulona nie miały najmniejszego znaczenia.

– Ja, władco – odezwał się Wespazjan.

– A, przyjaciel mojego ulubieńca – zaćwierkał Tyberiusz. – Skarbie, twój przyjaciel powiada, że wyzwoleniec Sejana daje członkom trackiego plemienia skrzynię monet, żeby zachęcić ich do buntu przeciwko mnie.

– W takim razie powinieneś mu wierzyć, stryju – oświadczył Kaligula, wciąż nie otwierając oczu – bo to bardzo dobry przyjaciel.

– Ależ wierzę, wierzę! – Teraz Tyberiusz był niemal w stanie ekstazy. – Tak, widzę, że to rzeczywiście bardzo dobry przyjaciel.

– Przywieźliśmy ze sobą kapłana, władco – powiedział Wespazjan – byś mógł osobiście go przesłuchać.

Tyberiusz nie posiadał się z radości.

– Aaa, ból – jęknął gorączkowo. – Gdzie on jest? Przyprowadzić mi go.

Zmasakrowany Rotekes leżał przypięty pasami do solidnego drewnianego stołu stojącego pośrodku gabinetu Tyberiusza. Kapłan właśnie po raz drugi stracił przytomność, z jego prawej stopy pozostały tylko zwęglone kości, których kawałki spadły już do podstawionego żelaznego kociołka z żarem. W pokoju unosił się smród spalonego ciała; snop światła przebijał się przez

gęste od dymu powietrze i padał na skrzycone ciało kapłana.

Tyberiusz osobiście zadawał tortury, upajając się, co nie było niespodzianką dla Wespazjana, każdym krzykiem i wołaniem Rotekesa o litość, zupełnie jakby słuchał najpiękniejszej i najbardziej odprężającej muzyki. Kapłan wyśpiewał wszystko, co wiedział, kiedy tylko wsadzono jego stopę w żar, ale Tyberiusz dla własnej przyjemności nie zaprzestał tortur.

– Ten człowiek twierdzi, że pracował dla Azyniusza – powiedział Tyberiusz. Znowu zachowywał jasność umysłu, z ogromnym zainteresowaniem przyglądał się zwęglonej stopie Rotekesa; dotknął ostrożnie szerniałej kostki i stwierdziwszy, że wciąż jeszcze parzy, cofnął szybko palec i zaczął go ssać, by ukoić ból.

– Tak, władco – odpowiedział Pallas – jednak idealnie opisał Hazdrona. To Hazdron mu wmówił, że pracuje dla Azyniusza, żeby chronić swojego pana, Sejana, na wypadek gdyby coś takiego jak... – przerwał i machnął ręką w stronę pozostałości po stopie – jak to miało się zdarzyć.

– To wydaje się sensowne – zgodził się Tyberiusz – ale w takim razie jaki był w tym udział Poppeusza? – Odwrócił się do Korbulona. – Ty, ty byłeś w sztabie Poppeusza, widziałeś go kiedyś z Hazdronem?

– Nie, władco – powiedział Korbulon.

Wespazjan widział, że to kłamstwo ledwo przechodzi mu przez gardło.

– Cóż, na razie o nim zapomnę – oświadczył Tyberiusz sam do siebie, ponownie ssąc oparzony palec. – Jednak pewnego dnia zapłaci za to, że pozwolił, by żołnierze pozdrawiali go jak cesarza... kiedy już nie będzie dla mnie użyteczny. – Rozejrzał się raptownie wokół siebie, uświadomiwszy sobie, że głośno myślał. – Wygląda więc na to, że jednak cały czas miałem rację – ciągnął już radośnie. – Sejan jest zdrajcą. Wiedziałem o tym, ale dopiero moja droga, moja bardzo droga bratowa dostarczyła mi dowodów i wy... – Rozłożył ramiona, obejmując tym gestem ich wszystkich; na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiej emocji i Wespazjanowi wydawało się przez chwilę, że cesarz wybuchnie płaczem. – ...wy, dzielni, jakże dzielni, lojalni, porządni ludzie, tacy, którym leży na sercu spokój mojego umysłu, wy ryzykowaliście tak wiele, by mi je przedstawić. Wróćcie do Rzymu i powiecie Antonii, że natychmiast podejmę stosowne działania. Chodźcie, przejdziemy się razem.

Ogrody od zamieszkaney strony willi założono na stoku ciągnącym się do krawędzi klifu; wysoki mur zasłaniający roboty budowlane odgradzał ich teraz od zewnętrznego świata.

Tyberiusz, w eskorcie Klemensa i jego dwóch gwardzistów, poprowadził ich w dół wspaniałymi schodami, przy których stały posągi nagich bogów i herosów, do szerokiej, wyłożonej marmurem alei, przecinającej ogród i kończącej się na odległej o dwieście kroków krawędzi klifu. Po obu stronach kwiaty i krzewy budziły się do życia, ponaglone wiosennym słońcem i systemem nawadniającym, który w regularnych odstępach czasu pompował rurami wodę wprost w klomby i rabatki.

Ten sam system doprowadzał wodę do mnóstwa fontann, które tryskały w zdobionych basenach na coraz to niższych poziomach, tak że woda spływała kaskadą w dół, z jednego zbiornika do kolejnego. Wokół basenów ustawiono małe, wyglądające jak żywe posągi, które, ku zdumieniu Wespazjana, rzeczywiście ożyły, kiedy cesarz się zbliżał. Nie były to bowiem posągi, tylko dzieci w różnym wieku i karły, które zaczęły hasać lubieżnie na cembrowinach zbiorników, czasami wskakując do basenów, parami albo grupkami, żeby kopulować swobodnie w płytkiej wodzie.

– Obudziły się moje rybki – zawołał Tyberiusz, wymachując radośnie rękoma. – Pływajcie i bawcie się, maleństwa; dołączę do was później. Przyjdiesz ze mną, żeby pobawić się z rybkami, mój skarbie?

– Tak, stryju – odparł Kaligula, z udawanym, jak miał nadzieję Wespazjan, entuzjazmem – ale kiedy mój przyjaciel i jego towarzysze już sobie pójdą.

– A może chcieliby do nas dołączyć?

– Na pewno by chcieli, stryju, bo co mogłoby sprawić im większą przyjemność? Ale niestety muszą wracać do Rzymu, zgodnie z twoim poleceniem.

– Tak, tak, do Rzymu; muszą wracać do Rzymu – oświadczył ze smutkiem Tyberiusz.

– I mówiłeś – ciągnął ostrożnie Kaligula – że powiesz im, jaki sposób postępowania obierzesz przeciwko temu podłemu człowiekowi, by mogli ostrzec Antonię, która jest twoją przyjaciółką, gotową ci pomóc.

Tyberiusz zatrzymał się raptownie i spiorunował wzrokiem Kaligu lę, który przez moment wyglądał na wystraszonego, ale udało mu się to ukryć pod miną poczciwej niewinności.

– Tego nie powiedziałem, ty mały padalcu! – ryknął Tyberiusz. – Czy chcesz zakłócić spokój mojego umysłu?

Kaligula przyklęknął na kolano.

– Wybacz mi, władco – powiedział pokornie – czasami czuję się tutaj taki szczęśliwy, że aż mam zamęt w głowie.

Chociaż przerażony i niezdolny oderwać wzroku od rozgrywającej się przed nim sceny, której skutki mogły okazać się fatalne, Wespazjan zauważył, że rybki ponownie skamieniały; nieważne co robiły, wszystkie zamarły w momencie, w którym ich pan wydał z siebie ten głośny ryk.

Tyberiusz patrzył z góry na Kaligulę; na jego twarzy malowała się wściekłość, otwierał i zaciskał pięści. Kilkakrotnie przechylał na bok głowę, aż strzelało mu w karku, i w końcu, stopniowo, zaczął się uspokajać.

– Taak, tak, mój skarbie, wiem – powiedział, wzdychając – tak łatwo mieć w głowie zamęt, kiedy człowiek jest szczęśliwy. – Wyciągnął rękę i pomógł Kaliguli wstać.

Wespazjan i jego towarzysze, którzy przez cały czas stali z zapartym tchem, odetchnęli wszyscy z ulgą; odgłos, jaki przy tym się rozległ, spowodował, że Tyberiusz obrócił się na pięcie i wpatrzył w nich, zupełnie jakby zapomniał o ich istnieniu. Po chwili przerażającego napięcia w jego oczach pojawił się błysk przypomnienia.

– Kiedy dotrzecie do Rzymu, przekażcie Antonii, że w przyszłym miesiącu zrezygnuję z konsulatu – oznajmił równym, spokojnym głosem. – To zmusi Sejana do zrobienia tego samego i wtedy przestanie być nietykalny. Napiszę do senatu, podając szczegóły jego zdrady, i zażądam, by go aresztowano i osądzono; wtedy zastąpię go kimś innym. Znam tego Makrona, którego Antonia zarekomendowała w swoim liście; jest mężem Ennii, córki mojego dobrego przyjaciela Trazyllusa. Jestem pewien, że nadaje się na to stanowisko i będzie w stanie zdjąć nieco ciężaru z moich barków; to porządny człowiek.

– Tak, to porządny człowiek, władco – potwierdził Pallas, używając słowa „porządny” w znaczeniu, jakiego Wespazjan jeszcze nie znał.

– A jego żona to ślicznotka, stryju – dodał Kaligula – jadłem kiedyś z nią obiad w domu babki; chciałbym ją znowu zobaczyć.

– To sprawę załatwia. Zaproszę go tutaj z żoną, żeby mogła zabawić się z moim ulubieńcem. Chodźcie ze mną popatrzeć ze skały. – Tyberiusz odwrócił się i zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie.

Rybki znowu zaczęły swoje igraszki.

Na końcu alejki stał wpatrzony w morze mężczyzna o brązowej skórze, z siwą brodą, odziany w długą czarną szatę, haftowaną w znaki i symbole astrologiczne.

– Trazylllosie, mój przyjacielu – zawołał po grecku Tyberiusz, kiedy podeszli do skraju urwiska – czy to pomyślny czas na dokonywanie zmian? Muszę wiedzieć, bo pewna zmiana jest konieczna.

Trazylllos odwrócił się do cesarza.

– Gwiazdy mówią, że jesteś mistrzem zmian, władco – odparł melodramatycznym, drżącym głosem. – Jesteś tutaj, by nadzorować największą ze wszystkich zmian: świt nowej ery. Już w tej chwili Feniks przygotowuje się, by polecieć do Egiptu, kraju mojego urodzenia, gdzie za trzy lata zginie w płomieniach, by odrodzić się z popiołów; wtedy rozpocznie się nowa pięćsetletnia epoka. Świat ulegnie zmianie, a ty, władco, za sprawą swojej mądrości i wielkości przeprowadzisz cesarstwo przez tę zmianę.

– Zatem poczekam te trzy lata – powiedział Tyberiusz, nagle zaskakująco przygnębiony.

Zaniepokojony Wespazjan zerknął na Kaligulę, obawiając się, że astrolog może odwieść Tyberiusza od zaplanowanego przedsięwzięcia.

– Czekanie może zakłócić spokój twojego umysłu, stryju – jego młody przyjaciel oświadczył głosem emanującym troską. – Myślę, że czcigodny Trazylllos mówił o ważnych zmianach, a nie tych drobnych, jakie teraz planujesz.

– Oczywiście, że tak, mój skarbie – zgodził się z ulgą Tyberiusz. – Jeśli nie zrobię tego teraz, to nie dożyję czasu, kiedy będę mógł zobaczyć ognistego ptaka. Trazylllosie, zapytaj swoich ksiąg.

Astrolog uklonił się.

– Rano będę miał dla ciebie gotową odpowiedź, władco – oświadczył dramatycznie. Zerknąwszy na Kaligulę, odwrócił się i oddalił alejką.

Zadowolony z siebie Tyberiusz usiadł na kamiennej ławce, z której widać było wąski przesmyk pomiędzy Capri i lądem stałym, gdzie górował Wezuwiusz. Kaligula usiadł obok niego, podczas gdy cała reszta tkwiła z tyłu, czując się zdecydowanie nieswojo na krawędzi klifu w towarzystwie Tyberiusza.

Minęło południe i zrobiło się dużo cieplej. Po zalanej słońcem błękitnej falującej powierzchni morza tańczyły miriady iskierek. Szybujące nad wodą mewy pokrzykiwały chrapliwie.

– Chciałbym umieć latać jak one, skarbie – oświadczył Tyberiusz, patrząc z podziwem na zwinne ptaki. – Takie unoszenie się w powietrzu musi dawać wielki spokój.

Nie była to taka rozmowa, jakiej w tej sytuacji oczekiwał Wespazjan.

– Tak, stryju, ale my go nigdy nie zaznamy – odparł ostrożnie Kaligula, zupełnie jakby już wielokrotnie prowadził tę rozmowę i wiedział, czym się zakończy.

Tyberiusz milczał chwilę, wciąż wpatrując się w mewy.

– Nie znoszę ograniczeń, jakie narzuca to ciało – oświadczył nagle z pasją – ja, pan zmieniającego się świata, jestem przykuty do ziemi.

– Chodźmy zabawić się z rybkami, stryju – powiedział Kaligula, starając się koniecznie zmienić temat.

– A, rybki, tak, tak, chodźmy – odparł Tyberiusz, wstając z ławki. – Wpierw jednak pożegnamy twojego przyjaciela. – Odwrócił się do Wespazjana. – Odejdź z moimi podziękowaniami i niech cię prowadzą moje modlitwy – oświadczył oficjalnym tonem – Klemens odprowadzi was do portu z moimi pełnomocnictwami.

Wszyscy skłonili głowy, czując ogromną ulgę, i odwrócili się, by odejść.

– Czekaście! – zawołał Tyberiusz. – A to kto? – zapytał, wskazując palcem Magnusa. – Nie widziałem go wcześniej; to na pewno intruz, może nawet kolejny rybak. Klemensie, niech twoi ludzie zrzucą go ze skały.

– Stryju, to Magnus, przyjaciel mojego przyjaciela; przez cały czas był tu z nami.

– Nie rozmawiałem z nim, nie znam go; Klemensie, zrób, co kazałem.

Kaligula dał im znak, by milczeli, kiedy Fulwiusz i Rufinus chwycili Magnusa za ramiona i popchnęli do przodu. Magnus wrywał się i spoglądał błagalnie na Wespazjana, który wraz ze swoimi towarzyszami patrzył bezradnie i ze zgrozą, jak go prowadzą na niechybną śmierć.

– Wiedziałem, że był jakiś powód, byśmy tu przyszli – zaświergotał uszczęśliwiony Tyberiusz – tak bardzo lubię widzieć przerażenie w oczach człowieka tuż przed tym, jak pofrunie w powietrzu.

– Tak, wiem, stryju – odparł Kaligula, kiedy Magnus był coraz bliżej krawędzi – ale lubisz też posłuchać ich wrzasku; ten tutaj jest dzielny, nie wrzeszczy ani nie błaga o łaskę.

– Rzeczywiście, ten milczy.

– Ale ja znam takiego, który będzie się darł.

– No to go zrzucimy.

– To znakomity pomysł, stryju. Klemensie, każ swoim ludziom natychmiast sprowadzić tu tego kapłana.

– Fulwiuszu, dawaj tu kapłana – rzucił szybko pretorianin.

Fulwiusz i Rufinus puścili Magnusa, który stał rozdygotany na krawędzi skały, i pobiegli z powrotem do willi.

– Skoro już czekamy, odprowadzę w tym czasie swojego przyjaciela, stryju; powinien już zabrać swoich towarzyszy i ruszać, by jak najszybciej przekazać wiadomość Antonii.

– Tak, tak, skarbie – odparł Tyberiusz roztargnionym głosem, znowu zapatrzonej w ptaki.

– A potem zabawimy się z rybkami.

– Świetny pomysł, stryju – powiedział Kaligula, odciągając pospiesznie Magnusa z krawędzi skały. – Spotkamy się tam, kiedy tylko oni odejdą.

Poprowadził ich szybko z powrotem tą samą alejką obok baraszkujących rybek. Z willi zaczęły dobiegać przeraźliwe krzyki.

– Klemensie, wyprowadź ich główną bramą, za dnia nie dadzą rady przejść niezauważeni przez mur – powiedział Kaligula, kiedy Fulwiusz i Rufinus pojawili się z wrzeszczącym, skaczącym na jednej nodze Rotelesem.

– Dziękuję ci, przyjacielu – powiedział Wespazjan z ogromną wdzięcznością – nie mam pojęcia, jak ci się udaje tutaj żyć.

– Nie jest aż tak źle. – Kaligula uśmiechnął się szelmowsko. – Rybki dają sporo uciechy.

Kiedy mijali Rotelesa, Wespazjan rzucił ostatnie spojrzenie na jego obrzydliwą szczurzą twarz i odczuł ogromną satysfakcję.

– To świetna zamiana – powiedział Magnus, wciąż bardzo blady – on za mnie. Zawsze bym na taką poszedł.

– Mógł to być każdy z nas – powiedział Sabinus, kiedy wchodzili po schodach.

– Albo wszyscy – zauważył Kaligula, zatrzymując się u szczytu schodów – widziałem już takie sytuacje. Pallasie, powiedz babce, że będę się starał, by Tyberiusz skupiał uwagę na Sejanie.

– Powiem, panie Gajuszu – powiedział Pallas, kłaniając mu się.

– I nie przejmujcie się Trazylllosem, ten stary szarlatan ogłosi, że to dobry moment na dokonywanie zmian, kiedy tylko mu powiem, że jedną z nich będzie awans jego zięcia na prefekta pretorianów. A teraz już zmykajcie, zanim cesarz dojdzie do wniosku, że jednak woli

spędzić ranek, zrzucając ludzi ze skały, a nie bawiąc się z rybkami.

Wespazjan uściskał ramię Kaliguli, a kiedy odwrócił się, by pójść za Klemensem, usłyszał dźwięk, na który czekał: krzyk, długi i przeraźliwy, słabnący stopniowo, a potem raptownie urwany.

CZĘŚĆ VI
RZYM
PAŹDZIERNIK, 31 R.



Rozdział osiemnasty

– Senat jest kompletnie zdezorientowany – oświadczył Petus, rzucając w Wespazjana ciężką wypchaną skórzaną piłką. – Jednego dnia Tyberiusz przysłała im list z pochwałami dla Sejana za lojalną służbę, a następnego nakazuje umorzyć proces sądowy, który Sejan wytoczył przeciwko jednemu ze swoich licznych nieprzyjaciół. – Stęknął, odebrawszy piłkę, i rzucił ją z całych sił w Wespazjana. – I nie tylko umorzyć, ale zapewnić oskarżonemu nietykalność w razie dalszych oskarżeń.

– A przecież uczynił Sejana i jego najstarszego syna, Strabona, kapłanami – odezwał się Sabinus z drewnianej ławki, gdzie ćwiczył mięśnie ramion i klatki piersiowej, podnosząc nad głowę dwa okrągłe ołowiane ciężarki.

– Owszem – przyznał Wespazjan, ciskając piłkę w brzuch Petusa z taką siłą, że omal go nie przewrócił – ale jednocześnie obdarzył bardziej prestiżowym kapłaństwem Kaligulę.

– A teraz najnowsza plotka głosi, że Tyberiusz zamierza dać Sejanowi władzę trybuna ludowego – powiedział Petus, szczerząc się z zadowoleniem, kiedy Wespazjan zaskoczony prędkością wycelowanej w jego głowę piłki wylądował na posadzce – co uczyniłoby go nietykalnym, nawet gdyby zrezygnował z konsulatu. – Podszedł do Wespazjana, podał mu rękę i pomógł wstać. – Chyba wygrałem, stary; dwa do jednego. Chodźmy się wykąpać.

Zabrali ręczniki i przecięli ogromne, wysoko sklezione atrium term Agryppy, wybudowanych na Polach Marsowych pół wieku wcześniej przez człowieka będącego prawą ręką Augusta. Mężczyźni, młodzi i starzy, ćwiczyli, odpoczywali, rozmawiali albo poddawali się na uboczu skrobaniu i depilacji, u stóp patrzących przed siebie nieruchomymi oczami malowanych posągów, ustawionych w różnego kształtu wyłożonych glazurą niszach. Najślynniejszy z nich, powiedział Wespazjanowi Petus podczas ich pierwszej wspólnej wizyty, to czterechsetletni *Apoksyomenos*, dłuta Lizypa z Sykionu. Ten brązowy posąg niezwykle proporcjonalnie zbudowanego młodego atlety, usuwającego skrobaczką oliwę z prawego ramienia, tak bardzo spodobał się Tyberiuszowi przed dziesięciu laty, że zabrał go do swojej sypialni, a na jego miejscu kazał postawić kopię. Kiedy kilka dni później odwiedził teatr, rozwścieczeni demonstranci skandujący „Oddaj nam naszego Apoksyomenosa” tak go

zawstydzili, że zwrócił oryginał.

Hałas w atrium był ogłuszający, co wzmacniały jeszcze jego kolisty kształt i kopuła; stękanie siłujących się zapaśników zachęcanych do walki entuzjastycznymi okrzykami widzów; śmiech wywołany dobrze podanym, trafnym dowcipem; komicznie przesadne okrzyki bólu, kiedy uzbrojeni w pęsety sprawni w tej dziedzinie niewolnicy wrywali im włosy spod pach, z klatek piersiowych, nóg czy pachwin; wołanie handlarzy sprzedających jedzenie i napoje; odgłosy wydawane dłońmi niezliczonych masażystów pielęgnujących ciała swoich panów, obywateli Rzymu.

– W rezultacie nikt nie ma pojęcia, czy należy utrzymywać z Sejanem dobre stosunki, czy go unikać – mówił dalej Petus, kiedy weszli do prostokątnej, bardziej zacisznej sali, oświetlonej snopami światła wpadającego przez okna umieszczone wysoko w ścianach pokrytych freskami. Tutaj z kolei mężczyźni drzemali na leżankach albo poddawali się delikatniejszym masażom, po przejściu całego cyklu od ciepła *tepidarium*, poprzez gorące *caldarium*, jeszcze gorętsze *laconicum* i wreszcie po zażyciu kąpieli w zimnej wodzie *frigidarium*.

– Może o taki właśnie zamęt Tyberiuszowi chodzi, żeby odizolować Sejana, nie prowokując go do buntu, bo on sam też nie wie, czy wypadł z łask cesarza – zasugerował Wespazjan, zastanawiając się jednocześnie, czy ten skołowany starzec jest jeszcze zdolny do zastosowania takiej strategii.

Innymi drzwiami wyszli na ciepłe popołudniowe październikowe słońce. Przed nimi widniał ogromny basen – długi na osiemdziesiąt kroków i na czterdzieści szeroki – otoczony chodnikiem z kolumnadą. Kamienne ławki obsiedli gawędzący mężczyźni. Po drugiej stronie basenu, za kolumnadą, wyrastała świątynia Neptuna, zbudowana przez Agryppę w podzięce za jego wielkie zwycięstwa na morzu, najpierw nad Sekstusem Pompejuszem, a potem pod Akcjum; jednak nad tą wspaniałą budowlą górowała imponująca kopuła sąsiadującego z nią Panteonu Agryppy.

– Przecież widziałeś go, bracie – rzucił lekceważącym tonem Sabinus – on nie był w stanie połączyć dwóch kolejnych sensownych myśli. Utracił duszę i łąpczywie poszukuje jej w najmroczniejszych zakamarkach umysłu.

Usłyszeli głośny plusk, niczym uderzenie pocisku z balisty o powierzchnię morza, kiedy jakiś opasły obywatel, objąwszy ramionami kolana, wskoczył do basenu, ochlapując ich przy okazji zimną wodą.

– Gbur! – krzyknął Petus w stronę zanurzonego winowajcy. – Naprawdę uważam, że powinni podnieść tu opłatę za wejście; może ludzie nabraliby ogłady. – Skoczył do basenu, ochlapując tłuszciocha wodą, kiedy ten właśnie się wynurzał i brał wdech. Mężczyzna zaczął się krztusić, a Wespazjan i Sabinus skoczyli za Petusem, wzbijając kolejne fontanny wody.

– Cóż, czy jest to zaplanowana strategia – powiedział Petus, strząsając wodę z gęstych brązowych włosów – czy rezultat Tyberiuszowej niezdolności do logicznego myślenia, czy może sympatyczna mieszanka jednego z drugim, to zaistniała sytuacja gra Sejanowi na nerwach i przeraża senatorów, którzy nie bardzo wiedzą, kogo popierać, by zachować życie. – Popłynął w stronę przeciwległego brzegu stylem, który pozostawiał wiele do życzenia. Lawirował między podskakujący mi w wodzie mężczyznami, a Wespazjan i Sabinus, równie niewprawni w pływaniu jak on, poszli jego śladem.

– A ty? – zapytał Wespazjan Petusa, kiedy usiedli na krawędzi basenu z nogami zanurzonymi w chłodnej wodzie. – Kogo popierasz?

– W tym właśnie tkwi urok mojej obecnej pozycji – odparł Petus, szczerząc zęby. – Jako jeden z dwóch miejskich kwestorów po prostu pilnuję, żeby wszystko szło zgodnie z prawem; jestem urzędnikiem tak niskiego szczebla, że nikogo nie obchodzi, co myślę, bylebym tylko wykonywał swoje obowiązki.

Wespazjan uśmiechnął się do Petusa, z którym zaprzyjaźnił się w ciągu ostatnich kilku miesięcy wspólnej pracy. Jako *triumvir capitalis* podlegał bezpośrednio kwestorom miejskim. Chętnie udawali się we dwóch do łaźni po skończonym dniu pracy. Odkąd Petus został kwestorem i senatorem, ochoczo karmił Wespazjana najróżniejszymi nowinami i pogłoskami, od których w senacie aż kipiało. Po kilku dniach z satysfakcją potwierdzał prawdziwość kilku z nich i dementował całą resztę. Ich rozmowy pozwalały Wespazjanowi zapomnieć o lęku, jaki towarzyszył mu od powrotu z Capri siedem miesięcy wcześniej. Choć Antonia i Kaligula zaprzeczali, dręczyło go podejrzenie, że został rozpoznany przez jednego z ludzi Sejana i że prędzej czy później czeka go bolesna sesja pytań i odpowiedzi. Antonia, podczas jednej z jego nielicznych, ale jakże przyjemnych wizyt w jej domu, powiedziała mu również, że Sejan wie o nieznannej grupie ludzi, którzy dotarli do cesarza, jednak brak informacji o tym, co było przedmiotem rozmowy, jedynie powiększa jego niepokój. Wyraziła przekonanie, że niezdecydowanie Tyberiusza było po części zamierzone i że śmiertelny cios wkrótce zostanie zadany.

Petus nigdy nie pytał Wespazjana, co się z nim działo od czasu wyjazdu z Tracji czy też gdzie się podziewał przez tamte piętnaście dni marca. Wespazjan uznał, że jego przyjaciel czuje się bezpieczniej w tej ogólnej atmosferze strachu i niepokoju, kiedy wie jak najmniej o spiskach i knowaniach możliwych tego świata.

Po kąpielu Wespazjan, Sabinus i Petus, z mrowiącą skórą i uczuciem ogólnej lekkości, zeszli po schodach od frontu term Agryppy do otaczających je pięknych ogrodów, stanowiących jedną z niewielu oaz spokoju w tętniącym życiem, zatłoczonym mieście.

– Jak się miewa twoja córeczka, Sabinusie? – spytał Petus, kiedy minąwszy leniwym krokiem niewielką świątynię boga pomyślności, Ewentusa, zagłębili się w ogrody, wdychając niesiony powiewami chłodnego wiatru zapach lawendy. Od czasu narodzin Flawii w maju Sabinus coraz częściej do nich dołączał.

– Nieustannie kwili – poskarżył się. – Klementyna zastanawia się, czy nie zmienić mamki.

– Tak, to samo było z moim synem Lucjuszem – odparł ze współczuciem Petus. – Nigdy nie pojąłem, jak kobiety to znoszą, ale przynajmniej jest z tego taki pożytek, że są wtedy cały czas zajęte.

– No cóż, ja to z trudem znoszę; w ogóle się nie wysypiam. Klementyna upiera się, by dziecko spało przy niej, a ponieważ nasz dom jest taki mały, nie mogę przenieść jej na tyle daleko, żeby nie słyszeć tego hałasu, chyba tylko do kwater niewolnic, ale tego stanowczo odmówiła, a ja mam zbyt miękkie serce, by na to nalegać.

– Kup większy dom – rzucił Petus, w sposób typowy dla człowieka, który nie musi martwić się o pieniądze.

– Ten jest największy, na jaki mnie stać – odparł ponuro Sabinus. – A ponieważ w tym roku znowu nie zostałem wybrany na kvestora, muszę czekać do przyszłego roku, kiedy już na pewno mnie wybiorą i będę mógł wykorzystać stanowisko, żeby podreperować swoje finanse.

– Rzeczywiście, ale do tego czasu jesteś w sytuacji bez wyjścia, hę? Chyba że wziąłbyś pod uwagę pożyczkę – zaproponował Petus. – Przez kilka lat obszedłbym się bez jakichś stu tysięcy; nie zażądałbym też zbyt dużych odsetek, powiedzmy, dziesięć od sta, na czas trwania pożyczki.

– To bardzo uprzejmię z twojej strony, Petusie.

– Sabinusie, nie możesz! – zawołał wstrząśnięty tym pomysłem Wespazjan.

– Czemu nie?

– Cóż, po pierwsze, senatorom nie wolno działać w bankowości, a według mnie pobieranie odsetek od pożyczki łamie ten przepis.

Petus zarechotał.

– Wespazjanie, mój stary, nie znam senatora, który zwracałby na to uwagę od czasu wyczynów Marka Krassusa; prawie wszyscy w senacie byli mu winni pieniądze, w tym czy innym momencie, a jego odsetki były wręcz niebotyczne. Poza tym to jest prywatna umowa pomiędzy przyjaciółmi.

– A co się stanie, jeśli nie będziesz mógł zwrócić długu, Sabinusie?

– To już moje zmartwienie – rzucił szorstko jego brat – to nie ma nic wspólnego z tobą. Jak powiedział Petus, to umowa prywatna. Jeśli jesteś zbyt skąpy, by brać pożyczkę, to proszę, nie bierz nigdy pożyczki; ja jednak nie mam z tym problemu. Zamierzam żyć wygodnie, a w tej chwili oznacza to skorzystanie z uprzejmej propozycji Petusa, którą z wdzięcznością przyjmuję.

– Żyć wygodnie, owszem, ale w ramach swoich możliwości. Jak będziesz mógł spać spokojnie ze świadomością, że masz taki dług?

– Zaczę się tym martwić, kiedy już nie będę słyszał kwilenia Flawii.

Przeszli w milczeniu przez bramę Fontusa, w cieniu Kapitolu, ze świątynią Junony górującą na wierzchołku Arx; w tym miejscu Wespazjan z posępną miną pożegnał swoich towarzyszy, którzy udawali się do domu Petusa na Eskwilinie, żeby podpisać umowę.

Ruszył energicznym krokiem w górę Kwirynału, żeby nieco ochłonać, więc dość szybko dotarł do domu Gajusza. W atrium zastał wuja, który siedział przy fontannie i zjadał słodkie ciastka.

– A, dobrze, że jesteś, drogi chłopcze – zahuczał senator, rozsypując okruchy na kolana. – Słyszałeś nowiny?

– Nie, wuju, byłem w łaźni.

– To jestem zdumiony, że nie słyszałeś; wreszcie do tego doszło, Tyberiusz naprawdę oszalał. – Gajusz otarł serwetką wilgotne usta. – Poprosił senat o zwołanie posiedzenia jutro o świcie, w świątyni Apollina. Chyba udam chorobę.

– Dlaczego, wuju?

– Ponieważ, drogi chłopcze, nie chcę, by widziano, że głosuję przeciwko wnioskowi, za którym sumienie nie pozwala mi głosować; pogłoski mówią, że Tyberiusz napisał do senatu z

prośbą, by zatwierdził Sejana na urzędzie trybuna ludowego.

Godzinę później, kiedy Wespazjan i Gajusz zamierzali właśnie zacząć kolację, rozległo się pukanie do frontowego wejścia. Gdy młody odźwierny otworzył drzwi, do westybulu wszedł Pallas i ku zaskoczeniu i wielkiej radości Wespazjana, Cenis.

– Co takiego cię tutaj sprowadza, Pallasie, w porze kolacji? – wykrzyknął Gajusz, jak zawsze ciesząc się z wizyty zarządcy Antonii, ale i trochę nerwowo, że może chodzić o jakąś trudną przysługę. – I to w tak uroczym towarzystwie? – dodał, rzucając Wespazjanowi znaczące spojrzenie.

– Dobry wieczór, panowie – odparł Pallas, kłaniając się – jesteśmy tutaj, jak się zapewne domyślacie, w sprawach naszej pani.

– W takim razie omówimy je przy wieczerzy – odparł Gajusz, któremu zależało na jak najszybszym spotkaniu z posiłkiem.

– Czy to stosowne, panie?

– Pallasie, mój przyjacielu, wiesz równie dobrze jak ja, że teraz, kiedy już skończyłeś trzydzieści lat, Antonia wynagrodzi cię wolnością, i to niedługo. Kiedy przyjdzie ten dzień, bez wątplenia staniesz się człowiekiem znaczącym i to ja będę zaszczycony twoją obecnością przy moim stole; zatem jedz ze mną dzisiejszego wieczoru jak przyjaciel i zapomnijmy o statusie.

– W takim razie, panie, będzie to zaszczyt, którego nie zapomnę – odparł szczerze Pallas.

– I jestem przekonany, że Wespazjan użyczy ci miejsca na swoim łożu, moja droga – powiedział Gajusz, uśmiechając się do Cenis.

W umyśle Wespazjana pojawił się obraz Kaliguli i jego sióstr, ale bezzwłocznie go odegnał.

– Dziękuję, panie – odparła słodko Cenis – choć jestem pewna, że będzie nam nieco ciasno.

Gajusz ryknął śmiechem.

– Och, doskonale, moja droga, ale czy tej kwestii nie powinien wygłosić Wespazjan?

– Tylko jeśli myślał to, co ja myślałam.

Wespazjan zaczerwienił się i spojrzał czule na Cenis; była naprawdę idealna.

– A zatem, mój przyjacielu – zawołał tubalnie Gajusz, nastawiony radośnie, kiedy śliczny

Enor napełnił mu ponownie kielich – czego Antonia życzy sobie ode mnie?

Sprzątnięto już naczynia po wieczerzy, podano natomiast owoce i słodkie wino. Wespazjan najadł się do syta i czuł, jak ogarnia go błogie uczucie zadowolenia. Włoski na ramieniu stanęły mu dęba, kiedy musnął nim Cenis, nie potrafił się jednak powstrzymać, by nie przesunąć delikatnie dłonią po jej plecach. Uśmiechnęła się do niego i włożyła sobie do ust winogrono.

– Są dwie sprawy, panie – odpowiedział Pallas, popijając powoli wino, zamiast wlewać je w siebie jak gospodarz. – Pierwsza: jutro senat spotyka się w świątyni Apollina na Palatynie; naturalnie pani Antonia zakłada, że będziesz tam obecny. – Pallas popatrzył znacząco na opróżniony do połowy kielich Gajusza.

Senator spojrział z zalem na kielich i odstawił go.

– O świcie, tak, będę tam, jeśli sobie tego życzy, choć zamierzałem wymówić się chorobą.

– Jej życzeniem jest, byś tam był. Chce też, by Wespazjan czekał przed świątynią w swojej oficjalnej roli.

– Ale przecież ja mam być na Forum – zaproponował młodzieniec. – Na jutro są przewidziane trzy procesy o zdradę, możliwe, że będę miał do spełnienia jakieś nieprzyjemne obowiązki.

– Procesy zostaną zawieszono już wczesnym rankiem. Antonia chce, byś był blisko senatu; Cenis będzie tam z tobą.

– Dlaczego?

– Wszystko w swoim czasie; skoro jednak ona ma ci towarzyszyć, to pani Antonia sądzi, że najlepiej będzie, jeśli Cenis spędzi noc tutaj. Ma nadzieję, że nie sprawi ci tym zbyt dużego kłopotu.

– Zawsze mogę przespać się na sofie – oświadczyła niewinnym tonem Cenis.

Wespazjan uśmiechnął się do niej i pogładził po pięknych bujnych włosach.

– Doskonale – mówił dalej Pallas, zwracając się znowu do Gajusza. – Drugą rzeczą, jakiej sobie życzy, to byś, panie, odnotował pewne rzeczy.

– Odnotował? Chyba może, kiedy tylko zechce, przeczytać protokół z posiedzenia i wyniki głosowań? – zdziwił się senator.

– Nie interesuje jej to, co będzie powiedziane, to już wie; chodzi o to, gdzie senatorowie

przysiadają i na jak długo.

– Intrygujesz mnie, Pallasie – oświadczył Gajusz, pociągając maleńki łyk wina.

Wespazjanowi udało się oderwać oczy od Cenis i skoncentrować na tym, co mówi Pallas.

– Bez wątpienia słyszałeś pogłoski o tym, że Tyberiusz poprosi senat o zatwierdzenie Sejana na urzędzie trybuna ludowego?

– Oczywiście, cały Rzym o tym mówi – odparł Gajusz. – Właśnie dlatego nie chciałem tam iść.

– Doskonale to rozumiem; jednakże nie jest to tylko pogłoska, to strategia obmyślona przez Kaligulę i przyjęta przez Tyberiusza i moją panią.

– Żeby sprawdzić, kto nie podziela skrupułów mojego wuja? – domyślił się Wespazjan, dostrzegając finezję tego pomysłu.

– Właśnie tak, panie. – Pallas był pod wrażeniem, że młodzieniec tak szybko uchwycił w czym rzecz. – Jutro wszyscy jawni poplecznicy Sejana z entuzjazmem będą uczestniczyć w posiedzeniu i głosować za przekazaniem władzy trybuna swojemu patronowi, by potem odebrać nagrody, jakie im obiecał. Jednakże te same pogłoski ujawnią tych senatorów, którzy zachowywali się ostrożnie; jeśli teraz sądzą, że człowiek, którego sekretnie popierali, znajdzie się w końcu w sytuacji, w jakiej może sięgnąć po najwyższą władzę, to będą chcieli w tym uczestniczyć, by nie wypaść z jego łask.

– I Antonia chce, bym zauważył, kto siedzi blisko niego? – spytał Gajusz, rozumiejąc sens tej sztuczki.

– Po części tak, ale najbardziej interesuje ją, jak długo przy nim będą siedzieć.

– Co masz na myśli?

– Za chwilę do tego przejdę. Przede wszystkim pani chce mieć listę, najszybciej jak się da, tych, którzy otoczą go na samym początku posiedzenia. Cenis będzie czekać z Wespazjanem w tłumie przed świątynią; kiedy zakonotujesz w pamięci te imiona, wyjdiesz i je podyktujesz.

– Ale przecież ich może być ze sto albo jeszcze więcej – lamentował Gajusz.

– Nie zwracaj uwagi na jego otwartych zwolenników, ona już zna ich imiona, zapamiętaj tylko tych, których się z nim nie kojarzyło. Kiedy Cenis zapisze listę, niewolnik zabierze ją do Antonii.

– Dlaczego chce ją mieć tak szybko? – spytał Wespazjan.

– Niestety, nie jestem wtajemniczony we wszystkie tajniki, moja pani mówi mi tylko tyle,

ile niezbędne. – Pallas ponownie zwrócił się do Gajusza. – Wiem jednak, że na początku listu Tyberiusz zasypie Sejana pochwałami, po czym stopniowo ton stanie się bardziej krytyczny i moja pani liczy na to, że ludzie zaczną się od niego odsuwać; zwróć uwagę, w jakiej kolejności będą to robić i w którym miejscu odczytywanego listu. Wespazjan, jako *triumvir capitalis*, może wejść w każdej chwili do senatu, jeśli zostanie tam wezwany przez senatora; posyłaj po niego co jakiś czas i przekazuj mu te imiona. Kiedy już Cenis będzie miała pełną listę, wróci do domu Antonii.

– Ale skąd będziemy wiedzieli, że lista jest pełna? – spytał Gajusz.

– Bo kiedy przewodniczący posiedzeniu konsul skończy czytać list cesarza, w pobliżu Sejana nie będzie już nikogo – odparł z przekonaniem Pallas.

– Czy nie powinienem odprowadzić Cenis? – spytał Wespazjan.

– Nie, panie, zostaniesz przed świątynią. Moja pani ma nadzieję, że szybko będziesz miał pełne ręce roboty, ponieważ sądzi, że Tyberiusz zakończy list prośbą do senatu, by skazał Sejana na śmierć.

– W takim razie ta chwiejność Tyberiusza była jedynie podstępem, mającym na celu zdemaskowanie wszystkich zwolenników Sejana – powiedział Wespazjan do Cenis, która leżała spocona w jego ramionach. W sypialni było ciemno i w powietrzu unosił się słodkawy zapach uprawianej miłości.

Cenis musnęła go nosem po szyi.

– Nie do końca. Według mojej pani lękał się, że jeśli rzeczywiście podejmie działania przeciwko Sejanowi, jego stronnicy zemszczą się na nim. Przekazała list Kaliguli, kiedy był w Mizenum... te wysyłane na Capri przechodzą przez ręce ludzi Sejana... z informacją, że wszyscy jego zwolennicy są dobrze znani. Kaligula napisał o obawach Tyberiusza, że jest takich dużo więcej, tylko nie ujawnili jeszcze publicznie swojego poparcia dla Sejana, przedstawił swój plan na wywabienie ich z nor. Moja pani uznała to za świetny pomysł i powiedziała, by podsunął go cesarzowi, który od razu się nim zachwycił, ponieważ w ten sposób mógł wciąż robić to, co robił przez cały czas od waszego wyjazdu.

Wespazjan uśmiechnął się w ciemności.

– Masz na myśli ciągle zmiany decyzji.

– Gorzej; on dwukrotnie napisał do Sejana, mówiąc, że jest chory, wręcz na krawędzi

śmierci, i prosząc go, by wrócił na Capri. Na szczęście Kaligula zdaje się mieć na niego duży wpływ i w obu wypadkach przekonał go, przypominając przepowiednię Trazyllusa, by napisał, że czuje się już o wiele lepiej i nawet wybiera się do Rzymu, i Sejan powinien tam zostać, by go powitać.

– Widziałem, w jaki sposób Kaligula sobie z nim radzi; nie jest to łatwe, jedno niewłaściwe słowo i może zginąć.

– Tak, ale udaje mu się dokonać tego, co najważniejsze, trzymać Tyberiusza z dala od Sejana.

– I jutro to się skończy.

– Tak, mój ukochany, cokolwiek się okaże.

– Co masz na myśli? Przecież jutro Tyberiusz poprosi senat, by skazał Sejana na śmierć.

– Być może; kopiowałam ostatni list Kaliguli do archiwum mojej pani i tam Kaligula przyznał, że Tyberiusz nie konsultował się z nim, kiedy pisał swoje przemówienie do senatu ani nie dał mu nawet na nie zerknąć; nikt więc nie może być absolutnie pewny tego, co jutro zostanie odczytane.

– Przecież Pallas był przekonany, że Antonia zna jego treść.

– Pallas wie tylko to, co ona mu powie; oprócz mojej pani jedynie ty, Kaligula i ja znamy pełną prawdę.

Wespazjan usiadł gwałtownie.

– A niech to! Mógł się przecież znowu rozmyślić i gdzie byśmy wtedy wszyscy z Antonią wylądowali?

– Powinniśmy się przespać, Wespazjanie; czeka nas długi i niebezpieczny dzień.

Wespazjan pocałował ją w usta i położył się z powrotem. Zamknął oczy, ale wiedział, że niełatwo będzie mu zasnąć; jutro będzie krwawe, cokolwiek się okaże.

Rozdział dziewiętnasty

Poranna mgła wciąż jeszcze czepiała się dolnych dzielnic miasta, niżej położonych terenów nad brzegami Tybru, szczelnie spowijając wyspę naprzeciwko Pola Marsowego, kiedy Wespazjan, Cenis i Gajusz skoro świt wspinali się na Palatyn. Grupki senatorów, niosących drewniane stolki, podążały w tym samym kierunku, w stronę świątyni Apollina, posadowionej na południowym stoku wzgórza. Większość mężczyzn była w pogodnym nastroju, jednak tu i ówdzie można było zobaczyć senatorów kroczących powoli, z ponurymi minami, zgarbionych pod ciężarem nadchodzących chwil.

Tłum zgęstniał, kiedy zbliżyli się do świątyni Apollina, ponieważ zwykli obywatele Rzymu, przyciągnięci pogłoskami o wyniesieniu Sejana do godności trybuna, zbierali się, by obserwować przebieg wydarzeń. Senatorska toga Gajusza otwierała im przejście, ponieważ ludzie rozstępowali się, przepuszczając senatorów do stojącej na podwyższeniu pięknej ośmiokątnej świątyni, wybudowanej przez Augusta w podzięce opiekuńczemu bogu za odniesione zwycięstwa.

U podnóża schodów prowadzących do świątyni spotkali Petusa, który szybko przeprowadził ich przez kordon centurii pretorianów w togach. Gajusz poszedł przodem z Cenis, żeby zostawić ją w takim miejscu portyku, gdzie bez trudu uda się szybko do niej dotrzeć.

– Dlaczego nie jesteś na Forum, Wespazjanie? – zapytał Petus, kiedy wchodzili po schodach.

– Poproszono mnie, bym tu przyszedł – odparł po prostu Wespazjan, kiedy dziesiątki senatorów przepływały obok nich do wnętrza budowli.

Petus popatrzył na niego bystro.

– Nie muszę pytać, kto to był. Z tego wynika, że sprawy mogą się nie potoczyć tak, jak sugerują pogłoski, he?

– Może i nie, Petusie. Naprawdę nie wiem. Jestem w dość nieprzyjemnej sytuacji, bo używa się mnie jako narzędzia do celów, które nie całkiem pojmuję.

– Zawsze tak było w wypadku niższych urzędników. To nie jest dobry dzień na przebywanie w Rzymie, nie sądzisz, stary?

Z tłumu poniżej rozległy się głośne radosne okrzyki. Wespazjan odwrócił się i zobaczył, jak obaj konsulowie, każdy poprzedzany przez dwunastu niosących na ramionach wiązki różeg liktorów, suną dwoma osobnymi brzdami wyciętymi w ciżbie kotłujących się obywateli, zupełnie jakby szli w zawody, który z nich pierwszy dotrze do świątyni.

– No cóż, będzie niezła zabawa – zauważył kwaśno Petus. – To pierwszy przypadek, że dwóch konsulów jednocześnie przychodzi na posiedzenie senatu, od czasu kiedy na początku tego miesiąca Memmiusz Regulus przejął urząd starszego konsula od Faustusa Sulli; jego młodszy kolega, Fulcyniusz Trio, nienawidzi go jako człowieka cesarza, a nie Sej... – Petus zamilkł raptownie i spojrzał na Wespazjana. – Aha! Rozumiem – powiedział powoli. – To zostało zaplanowane znacznie wcześniej, prawda?

– Owszem, ale nikt poza Tyberiuszem nie wie, czym to się skończy.

– Memmiusz Regulus musi być przekonany, że wie; dziś rano na Forum odrzucił trzy oskarżenia o zdradę, wszystkie wniesione przez Sejana. – Odwrócił się, żeby odejść. – Lepiej będzie, jak znajdę się tam przed konsulami; do zobaczenia w innym już Rzymie, cokolwiek się okaże.

Wespazjan patrzył za nim, a w głowie kołatało mu się to ostatnie niepewne stwierdzenie.

Regulus wygrał wyścig do schodów i wstępował na nie z całą godnością przynależną jego randze, a kilka kroków za nim szedł z niezadowoloną miną Fulcyniusz Trio. Kiedy zniknęli we wnętrzu, powrócił Gajusz, zostawiwszy Cenis pomiędzy pierwszymi dwiema kolumnami portyku, wykonanymi z lunijskiego marmuru, tuż po prawej stronie wejścia.

– Lepiej już pójdę, mój drogi – powiedział zdenerwowanym głosem. Pokazał mu, gdzie stoi Cenis. – Stań tam przy niej. Powodzenia.

Wespazjanowi nie trzeba było powtarzać dwa razy, żeby odszedł od drzwi, ponieważ właśnie rozległy się potężne okrzyki radości i tłum się rozstał, odsłaniając Sejana zmierzającego wprost na niego, w otoczeniu dużej grupy stronników.

Modzieniec uskoczył za kolumnę, gdzie stała Cenis, z woskową tabliczką i rylcem, gotowa do działania, ale wyraźnie zaniepokojona.

– Coś nie w porządku, Cenis?

– Nie widzę niewolnika, któremu mam przekazać tę pierwszą listę.

– Rozglądaj się, jestem pewien, że się pojawi – uspokoił ją Wespazjan.

Kiedy Sejan i jego świta znaleźli się na szczycie schodów, prefekt zatrzymał się.

– Przyjaciele – zwrócił się do otaczających go wianuszkami senatorów – wejdźcie do środka i zarezerwujcie dla mnie honorowe miejsce; ja się tu jeszcze chwilę zatrzymam i wejdę jako ostatni, dla wywołania odpowiedniego wrażenia.

Jego zwolennicy odpowiedzieli radosnymi okrzykami i zaczęli wchodzić do świątyni.

Wespazjan zerkał zza kolumny i przez moment widział Sejana; nie wyglądał mu na człowieka pewnego uzyskania najwyższych zaszczytów. Twarz o kwadratowych szczękach wydawała się napięta, z czoła nie schodził mars; dłonie mu drżały. Obrócił się raptownie, czując czyjś wzrok na plecach, i zauważył chowającego się za kolumnę Wespazjana.

– Ty tam, co robisz? – zawołał, ruszając w ich stronę.

– Prefekcie! – zawołał ktoś z dołu schodów, zatrzymując go.

– Makron, dzięki bogom! – wykrzyknął Sejan z ulgą w głosie. – Jest jakaś wiadomość od cesarza? Od sześciu dni już nic od niego nie miałem; nie chcę wchodzić na posiedzenie senatu, jeżeli nie będę absolutnie pewny, że jest mi przychylny i że nie jest to jakaś pułapka.

– Jest list od cesarza, dowódco – odparł Makron, pokonując po dwa stopnie naraz i wyciągając z zanadru togi zapieczętowany zwój.

– Daj mi go – rozkazał Sejan.

– Jest skierowany do senatu – oświadczył Makron – i według jednoznacznego rozkazu cesarza, jedynie starszy konsul może złamać pieczęć.

– Kto go dostarczył?

– Ja.

– Byłeś u cesarza? – wykrzyknął, nie dowierzając własnym uszom Sejan. – Za czym pozwoleniem?

– Sam cesarz wezwał mnie na Capri dwa dni temu. Widziałem go wczoraj rano i zdążyłem wrócić, korzystając z rozstawnych koni.

– Co? Dlaczego ty, a nie ja? – spytał Sejan, a w jego przyciszonym głosie pobrzmiwała groźba.

– Ponieważ, prefekcie – odparł spokojnie Makron – cesarz uważał za niestosowne, byś to ty przynosił tę wiadomość senatowi.

– Znasz treść listu, Makronie?

– Tak, panie; pozwól, że pierwszy ci pogratuluję. – Makron klepnął Sejana w ramię. – Właśnie na coś takiego liczyliśmy: Tyberiusz prosi senat, by przegłosował dla ciebie to, na co

zasłużyłeś sobie służbą dla niego i dla Rzymu.

– Urząd trybuna! Uczynił mnie swoim następcą?

– Tyberiusz kazał ci powiedzieć, że list ten obejmuje prawie wszystko, na co zasługujesz.

– Prawie wszystko?

– Prawie.

– Zatem na razie tym się zadowolę – powiedział Sejan z wyraźną ulgą w głosie. – Chodź, przyjacielu, wejdźmy razem.

– Pozwól, że oddam list starszemu konsulowi; potem wrócę do obozu pretorianów, by przygotować ich na twoje powitanie.

– Tak będzie dobrze, przyjacielu – powiedział Sejan, kiedy wchodzili do świątyni – zasłużyłeś sobie na moją wdzięczność.

Kiedy znaleźli się za drzwiami, wybuchła gorąca owacja.

Wespazjan popatrzył z niepokojem na Cenis.

– Co o tym sądzisz?

– Myślę, że musimy poczekać, by wiedzieć na pewno, cokolwiek...

– Cokolwiek się okaże? – przerwał jej z uśmiechem.

– Tak, najdroższy – odparła, ściskając mu dłoń.

– Wespazjanie, panie, panie! – doszedł ich z tłumu znajomy głos.

Wespazjan rozejrzał się i u dołu schodów zobaczył Magnusa w towarzystwie dwóch jego kamratów z bractwa rozstajnych dróg, Sekstusa i Mariusza. Zszedł szybko do nich i jako osoba należąca do *vigintiviri* przeprowadził ich przez kordon pretorianów.

– Antonia nas przysłała, panie – wydyszał Magnus, kiedy wchodzili po schodach – chodzi o jakąś wiadomość, którą mam dla niej zabrać.

– Zjawileś się w samą porę – powiedział Wespazjan, który właśnie zobaczył, jak Gajusz wymyka się ze świątyni.

– Konsulowie odczytali właśnie wróżbę i oświadczyli, że ten dzień jest pomyślny dla decydowania o sprawach Rzymu – powiedział Gajusz, podchodząc do Wespazjana. – A jest tam na co popatrzeć; sześciu nowych stronników siedzi przy Sejanie, włącznie z trzema byłymi pretorami i dwoma byłymi konsulami, Aulusem Plaucjuszem i Syliuszem Nerwą. Wezwę cię do środka, kiedy już zaczniesz być naprawdę ciekawie.

Odszedł spieszenie, by podać Cenis imiona senatorów.

– Więc dlaczego Antonia cię przysłała? – spytał przyjaciela Wespazjan.

– Martwiła się, że ktoś może zatrzymać niewolnika i dlatego przydałoby się mu wsparcie kogoś silnego. Nie wiem dlaczego, ale czymś się niepokoi... widzę to wyraźnie.

– Zaczynasz już wyczuwać jej nastroje, ty stary capie?

Magnus się nachmurzył.

– Bardzo dowcipne, rzeczywiście – powiedział, a Cenis wręczyła mu woskową tabliczkę z wypisanymi imionami. – Pójdziemy już, panie. Zobaczymy się później, na Forum.

– Po co?

– Nie wiem; robię tylko to, co mi każą, a to właśnie kazała mi zrobić Antonia, pójść na Forum ze wszystkimi braćmi i tam czekać na ciebie.

– Cóż, zawsze najlepiej jest postąpić zgodnie z ostatnim rozkazem. W takim razie do zobaczenia na Forum.

Wespazjan patrzył, jak Magnus z towarzyszami schodzi po schodach z coraz silniejszym uczuciem, że jest zaledwie pionkiem w wielkiej i skomplikowanej grze, której nie rozumie, i że równie dobrze może być ofiarą, jak i narzędziem zwycięskiego posunięcia.

Usłyszał za sobą odgłos kroków. Odwrócił się i zobaczył Makrona.

– Co ty tutaj robisz? – warknął Makron, nie starając się ukryć pogardy.

– Jestem tu w ramach swoich obowiązków jako *triumvir capitalis* i czekam na polecenia senatu – odparł Wespazjan. Był zdecydowany nie pozwolić się zastraszyć.

Makron wybuchnął śmiechem.

– Módl się więc do bogów, żebyś nie nadzorował własnej egzekucji. – Przeszedł obok Wespazjana, stanął na szczycie schodów, z zanadrza togi wyjął kolejny zwój i pomachał nim w powietrzu. – Żołnierze gwardii pretoriańskiej, znanie mnie, jestem trybun Newiusz Sutoriusz Makron; mam tutaj oficjalny dokument wydany i podpisany przez waszego cesarza. – Zamaszystym gestem rozwinął zwój. – Żąda, byście wrócili do obozu, gdzie odczytam wam orędzie od niego skierowane do wszystkich członków gwardii, a dotyczące dzisiejszych wydarzeń; mogę jednak już powiedzieć, że jest tam również obietnica szczodrego daru dla każdego żołnierza.

Pretorianie wznosili radosne okrzyki i machali w powietrzu luźny mi końcami tóg. Makron dał znak komuś znajdującemu się na obrzeżu rosnącego nieustannie tłumu gapiów.

– Senat pozostanie strzeżony – ciągnął, a w tym czasie grupa mężczyzn przepychała się

do przodu przez tłum – możecie być spokojni. Teraz ruszajcie za mną. – Zszedł ze schodów i poprowadził za sobą całą centurię.

Kiedy ostatni pretorianin zniknął sprzed świątyni, miejsce to zajął inny oddział; teraz senatu strzegli wigilowie.

Minęło pół godziny i słońce zawisło już nad wzgórzami na wschodzie, oblewając łagodnym blaskiem dachy miasta. Tłum zaczął się niecierpliwic, bo ze świątyni nie wydostały się żadne wieści; kilku spóźnionych senatorów weszło do środka, ale jak dotąd nikt jeszcze nie wyszedł i drzwi pozostawały przymknięte.

Wespazjan usiadł z Cenis na ławce w cieniu portyku; słyszał, jak starszy konsul Regulus czyta dokument, ale nie rozróżniał poszczególnych słów. Zaczął się niepokoić o rezultat, jaki przyniesie odczytanie listu Tyberiusza; jeśli, jak twierdził Pallas, cesarz zamierzał potępić Sejana po początkowych pochwałach, to długo zmierzał do celu. Miał już podzielić się swoimi obawami z Cenis, kiedy jeden z publicznych niewolników, wykorzystywanych przez senatorów do przenoszenia wiadomości, pojawił się w drzwiach i podszedł do niego.

– Senator Gajusz Pollon prosi, byś natychmiast do niego przyszedł – oświadczył z ciężkim galijskim akcentem.

Puls Wespazjana raptownie przyspieszył, kiedy wstał i ścisnąwszy ramię Cenis, podążył za niewolnikiem do świątyni.

W środku senatorowie siedzieli na niskich stołkach, w głębi zaś, pod posągami Apollina, stał Regulus i odczytywał tekst ze zwoju. Przechodząc za plecami siedzących z tyłu senatorów, Wespazjan słyszał wysoki, dobitny głos konsula:

...ponadto, patres conscripti, przyzwalając, by składano mu publicznie ofiary przed przedstawiającymi go posągami, które upstrzyły nasze miasto, ostentacyjnie lekceważy stanowisko wyrażane przez waszego cesarza. Przy wielu okazjach dawałem jasno do zrozumienia, że nie życzę sobie, by oddawano mi cześć, i tylko wyjątkowo zezwoliłem na poświęcenie mi kilku świątyń. W tych kilku wypadkach chciałem okazać łaskawość miastom, które pragnęły tego zaszczytu, a ja uważałem, że nań zasługują. Tymczasem on, gdyby tylko mógł, doprowadziłby do tego, by całe cesarstwo oddawało mu cześć.

Niewolnik zaprowadził go do Gajusza, siedzącego z tyłu po lewej stronie.

– Zaczęło się, mój drogi, popatrz – szepnął Gajusz, wskazując przeciwną stronę sali.

Wespazjan wyciągnął szyję, by dojrzeć coś ponad masą senatorskich głów. Na prawo od Regulusa siedział Sejan z niewzruszoną miną. Kiedy Wespazjan tam spojrział, dwóch senatorów siedzących w pobliżu Sejana wstało, zabrało stołki i przeniosło się na stronę Gajusza. Pozostali otaczający Sejana szeptali między sobą, a na ich twarzach malowało się zakłopotanie i strach.

– Powiedz Cenis: Aulus Plaucjusz i Sekstus Wistylusz przy słowach „a teraz o jego gorszych cechach”; a ci dwaj, Sylusz Nerwa i Liwiusz Gallus, przy słowach „by całe cesarstwo oddawało mu cześć”. Ruszaj i weź ze sobą tego niewolnika, byś mógł bezzwłocznie tu wrócić.

– Wygląda na to, że to się rzeczywiście dzieje – oświadczył podekscytowany Wespazjan, kiedy Cenis skończyła notować. – Jego stronnicy przestali zachowywać się triumfalnie.

– Jeśli tak rzeczywiście jest, to wiele zawdzięczamy Kaliguli – odparła poważnie, kiedy odwracał się, by pójść za niewolnikiem do środka.

– „Rozwiódł się ze swoją wierną małżonką Apikatą przed pięciu laty...” – czytał Regulus, kiedy Wespazjan wracał do Gajusza po kolejne imiona:

...założył bowiem, że pozwolę mu poślubić wdowę po moim ukochanym synu Druzusie, co wtedy uznałem za arogancję i nadal tak uważam. Musicie sami oszczędzić, patres conscripti, czy zachowywał się tak dlatego, że rzeczywiście jej pragnął, czy też dlatego, że poślubiając ją, chciał jeszcze bardziej wkraść się w moje łaski.

Przekazawszy siedem imion Cenis, Wespazjan po raz trzeci wrócił do świątyni. Regulus wciąż czytał:

...i w rezultacie słabości wywołanej powracającymi atakami choroby w ubiegłym roku zgodziłem się na ten związek. Był to jednak, patres conscripti, błąd, który teraz naprawię. Niniejszym oficjalnie zrywam zaręczyny Lucjusza Eliusza Sejana z moją synową Liwillą.

W tym momencie nastąpił masowy odpływ senatorów od Sejana; trzaski składania stołków i odgłosy kroków zmusiły Regulusa do przerywania czytania akurat w chwili, gdy Wespazjan dotarł do Gajusza.

– Cóż, to nam ułatwia sprawę, mój drogi – szepnął do niego senator – wszyscy pozostali przy słowach „oficjalnie zrywam zaręczyny”. Chyba możesz tu zostać i obserwować, co się wydarzy; w tej atmosferze nikt nie zauważy twojej obecności.

Sejan całkowicie osamotniony siedział z głową podpartą rękoma, podczas gdy starszy konsul czytał dalej słowa cesarza:

Myślę, że zgodzicie się ze mną, patres conscripti – których opinię zawsze sobie cenilem – że ten i liczne inne występki, jakich się dopuścił, włącznie z fałszywym świadectwem przeciwko wielu spośród was, nie mogą pozostać bez kary. Dlatego proszę was o głosowanie, czy należy, czy też nie należy...

Regulus znowu przerwał, ponieważ jego głos zagłuszyły gniewne krzyki wszystkich obecnych skierowane przeciwko Sejanowi. Nawet ci senatorowie, którzy jeszcze niedawno go otaczali, dołączyli do reszty, czy to z lęku, czy też dlatego, że wierzyli, że jeśli teraz z całą gwałtownością go potępia, to ich wcześniejsze poparcie dla tego skazańca zostanie im zapomniane.

Pretorzy, trybuni i kwestorzy, włącznie z Petusem, otoczyli Sejana, ale ten nie zamierzał uciekać ze świątyni, by odwołać się do zgromadzonego na zewnątrz tłumu; siedział po prostu zatopiony w myślach.

Zgiełk przycichł i Regulus dokończył czytanie:

– „...czy należy, czy też nie należy osadzić go w więzieniu”.

Zapadła głęboka cisza. Wespazjan rozejrzał się i zobaczył, że wszyscy, podobnie jak on sam, osłupieli... Makron nie skłamał Sejanowi, w liście proszono senat *prawie* o wszystko, na co prefekt zasłużył.

Regulus zwinął zwój.

– *Patres conscripti*, sądzę, że wszyscy jednogłośnie pragniemy uczynić zadość prośbie naszego cesarza.

Rozległ się chór potwierdzających głosów; nawet młodszy konsul, Fulcyniusz Trio, wysuwając się do przodu, potakiwał lekko głową.

– Skoro wszyscy są zgodni – powiedział ostrożnie – sądzę, że wystarczy, jeśli starszy konsul zapyta jednego z was o opinię, ponieważ będzie to opinia was wszystkich.

– Niech tak będzie – zgodził się Regulus, kiedy ta sugestia spotkała się z ogólną aprobatą.
– Lucjusz Eliusz Sejanie, podejdź tutaj i stań przede mną.

Sejan siedział dalej zamyślony, jakby go w ogóle nie słyszał.

Regulus powtórzył polecenie i znowu bez skutku.

Za trzecim razem, kiedy już je wykrzyczał, Sejan nagle podniósł głowę.

– Ja mam stanąć przed tobą? – spytał zdziwionym tonem człowieka całymi latami wydającego innym rozkazy. – Ty rozkazujesz *mnie*?

– Tak, w imieniu całej izby, ja rozkazuję tobie.

Sejan rozejrzał się z lekceważącym uśmiechem i stanął przed Regulusem,

– Senatorze Pollonie – zawołał Regulus, przez co Gajusz o mało nie spadł ze stołka – czy uważasz, że tego człowieka należy osadzić w więzieniu?

Gajusz wzdrygnął się, po czym, nie bez niepokoju, wstał.

– Jestem przekonany, że należy, konsulu – powiedział powoli i wyraźnie.

– Taka jest zatem wola izby. Zabrać go do Tullianum.

– I kto niby tego dokona? – zapytał przeciągle Sejan. – Jak chce mnie przeprowadzić przez kordon moich pretorianów? Czy myślicie, że oni na to pozwolą? Pierwej wyrzną was wszystkich niczym barany, którymi zresztą jesteście.

– Grecyniuszu Lakonie, czy twoi wigilowie są na stanowisku? – spytał Regulus.

Z głębi świątyni wysunął się wysoki mężczyzna z ciemnym kilkudniowym zarostem na twarzy.

– Tak, konsulu, a trybun Makron odprowadził pretorianów do obozu.

– Co?! – ryknął Sejan, rzucając się do przodu tak gwałtownie, że co najmniej czterech mężczyzn musiało osadzić go w miejscu. – Makron! Ten wypierdek, dopadnę go za to, kiedy cesarz odzyska zmysły i mnie uwolni; tak jak dopadnę was wszystkich, wy pleciugi zatracone.

– Odprowadź go, Lakonie – rozkazał Regulus. – Konsulu Trionie, teraz my dwaj przemówimy do ludu.

Wespazjan patrzył, jak wyprowadzany ze świątyni Sejan trzyma głowę wysoko i opęda się od eskortujących go wigilów.

Wespazjan i Gajusz precyzyjnie przeszli przez tłum senatorów i przekazali Cenis tę ostatnią, najłatwiejszą część listy.

– Muszę teraz wracać do swojej pani, mój miły – powiedziała, kiedy Regulus i Trio stawali u szczytu świątynnych schodów, gotowi przemówić do ludzi zdezorientowanych sytuacją. Przed chwilą byli świadkami, jak człowieka, który przez większą część ostatniej dekady miał nad nimi kontrolę, zabierają gdzieś w niełasce pod strażą.

– Pójdę z tobą, bo z tego, co widzę, nie trzymają mnie tu obowiązki służbowe – powiedział Wespazjan ze szczerym żalem; pierwszy raz prawie z radością myślał o nadzorowaniu egzekucji.

– Myślę, że najpierw wysłucham Regulusa, a potem udam się za wami – powiedział Gajusz z niezbyt szczęśliwą miną. – Bardzo jestem ciekaw, co Antonia teraz planuje. Przejdźcie na drugą stronę świątyni, tam też są schody; tutaj, przez tę ciżbę, nie zdołacie się przepchnąć.

Obchodząc budynek świątyni, Wespazjan i Cenis słyszeli początek przemowy Regulusa.

– Ludu Rzymu, dzisiaj wasz cesarz i senat uznali za stosowne ochronić was przed człowiekiem, który już zbyt długo starał się nad wami panować – zawołał konsul. Tu i ówdzie rozległy się radosne okrzyki. – Człowiekiem, który stał się zbyt potężny dla naszego miasta – dodał. Ta uwaga wywołała znacznie głośniejsze okrzyki. – Człowiekiem, który niczym Ikar wznosił się za wysoko i teraz spaliło go słońce. Czyż nie jest rzeczą stosowną, skoro cesarz jest niczym słońce prowadzące nas przez życie, by ten człowiek został obalony w świątyni poświęconej samemu bogu słońca, Apollinowi?

Na schodach z drugiej strony świątyni Wespazjan i Cenis słyszeli, jak jego kolejne słowa giną pośród wiwatów.

– Naprawdę nieźle ich rozgrzewa – zauważył Wespazjan, kiedy skierowali się w stronę odległego zaledwie o dwieście kroków domu Antonii.

– Musi – odparła Cenis, starając się dotrzymać mu kroku. – Sejan bardzo szczerze sponsorował igrzyska. Nie jest znieawidzony przez wszystkich; jeśli Regulus nie przeciągnie ich na swoją stronę, mogą wywołać zamieszki i próbować go uwolnić.

Wespazjana przeszły ciarki na tę myśl, ale wiedział, że ocena Cenis jest słuszna.

Antonia czekała w atrium z pierwszą listą w ręku.

– Wespazjanie – powiedziała rozczarowanym głosem – więc cesarz nie zażądał śmierci Sejana.

– Nie, pani, tylko uwięzienia.

– Miałam przecucie, że nie będzie miał odwagi tego zrobić. Wciąż się boi, że

zwolennicy Sejana oparliby się wezwaniu o jego egzekucję i być może zachęcili go do otwartego buntu.

– Na koniec wszyscy obrzucali go obelgami, pani.

– Dobrze, ponieważ zamierzam wykorzystać jego popleczników do zachęcenia senatu, by zrobił to, czego Tyberiusz nie robi. Właśnie dlatego na wszelki wypadek poleciłam sporządzić te listy. Daj mi to, Cenis.

Dziewczyna wręczyła Antonii drugą tabliczkę; Antonia przebiegła ją wzrokiem i porównała z pierwszą.

– Aha, były konsul, Aulus Plaucjusz, jest naszym człowiekiem, ostatni się ujawnił, ale pierwszy wycofał; na pewno nie chciałby, żeby dotarło to do cesarza. Natychmiast do niego napiszę i jestem przekonana, że w zamian za moje milczenie w tej sprawie poprosi konsulów o zwołanie kolejnego posiedzenia senatu jeszcze na dzisiejsze popołudnie. Wtedy popierany przez grupę tych, których przekona do rozsądnego podejścia, będzie się domagał egzekucji Sejana.

Wespazjan pokręcił ze zdumieniem głową.

– Oczywiście, należy zmusić stronników Sejana, by żądali jego śmierci; to się nazywa geniusz, pani – powiedział z podziwem.

– Nie, Wespazjanie, to się nazywa polityka. Nie będzie ryzyka buntu, jeśli potępią go ci ludzie, którzy mieli nadzieję zyskać coś dzięki niemu. Teraz idź na Forum i czekaj, by sprawdzić, czy odniosłam sukces, czy też nie; nim dzień dobiegnie końca, mogą cię jeszcze czekać pewne obowiązki. Chodź, Cenis, mamy coś do zrobienia, trzeba też wysłać wiadomość Makronowi.

Na Forum Romanum kłębił się tłum ludzi ze wszystkich sfer. Obywatele odłożyli pracę i interesy zaplanowane na ten dzień, a zajęli się obserwowaniem wydarzeń i spekulowaniem na temat ostatecznego ich rezultatu. Pogłoski w skrajnie różnych wersjach krążyły swobodnie, poczynając od sensowych (Sejan zostanie wygnany albo uwolniony) do dziwacznych (Tyberiusz lada moment umrze albo abdykuje i zostanie przywrócona republika lub Tyberiusz wraca do Rzymu, by osobiście dokonać egzekucji Sejana), a każdy pomysł zyskiwał przewagę w innej grupie zgromadzonego tłumu.

Wespazjanowi udało się przepchnąć do siedziby senatu, gdzie na schodach zastał Petusa i grupę senatorów rozmawiających z obydwoma konsulami.

– Rozstawiłem strażę złożone z wigilów wokół Tullianum, konsulu – mówił właśnie

Petus. – Jakie są twoje rozkazy?

– Potrzymany go tam, dopóki nie zorientujemy się, jakie dokładnie są życzenia cesarza – odparł Regulus niepewnym głosem.

– Znamy już jego życzenia – warknął jego młodszy kolega. – Rzecz tylko w tym, jak długo będzie to tolerować gwardia pretoriańska. Jeśli pretorianie wmaszerują do miasta, żeby go uwolnić, ja na pewno nie stanę im na drodze; szczerze mówiąc, zaprowadzę ich do Tullianum i własnoręcznie otworzę celę.

– W takim razie postąpisz wbrew woli senatu i ludu rzymskiego! – krzyknął Regulus.

– Mam gdzieś senat i lud Rzymu; władzę trzymają pretorianie i ten, wobec kogo są lojalni. Ja wolę być po ich stronie, a nie wylądować martwy na schodach Gemońskich – odparł Trio, wskazując ręką strome stopnie wykute w skale Kapitolu.

– Przecież uczestniczyłeś w posiedzeniu, na którym go skazano – powiedział wstrząśnięty Regulus – jak możesz z honorem wycofać się z tamtej decyzji?

– Może i uczestniczyłem w posiedzeniu, ale nie głosowałem, bo tylko jeden człowiek głosował, starszy konsulu, i to ty go wybrałeś, ponieważ tak jak wszyscy inni senatorowie, wiedziałeś, że jest stronnikiem największej nieprzyjaciółki Sejana, pani Antonii. Pozwoliło to reszcie z nas zatrzymać swoje poglądy dla siebie, do czasu, kiedy uznamy za stosowne je wyrazić.

Wśród części otaczających ich senatorów rozległ się szmer uznania dla takiego stanowiska.

Regulus był wściekły, że dał się tak wyprowadzić w pole.

– Przecież to był twój pomysł, a ja się na niego zgodziłem w duchu pojednania, żeby nie zmuszać ludzi do głosowania przeciwko komuś, kogo uprzednio popierali.

Trio uśmiechnął się blade i wzruszył ramionami.

Wespazjan widział, że wspólne stanowisko przyjęte rano zaczyna się chwiać, kiedy do ludzi dotarło, że sprawie daleko do zakończenia i że Trio rzeczywiście zostawił im pole manewru.

Zasapany Gajusz wszedł po schodach; jego zazwyczaj starannie ufryzowane włosy, teraz mokre od potu, obklejały mu czoło.

– Konsulu Regulusie – powiedział, z trudem łapiąc oddech – czy mógłbym zamienić z tobą słówko, na osobności?

– Oczywiście. – Regulus z wyraźną ulgą odszedł na bok.

Senatorowie podzielili się na mniejsze grupki i szeptali między sobą.

Petus podszedł do Wespazjana.

– Sprawa staje się dość delikatna, stary. Rzekłbym, że mamy niezły zamęt – oświadczył rozpromieniony, jakby ta sytuacja niezwykle go bawiła.

– Myślę, że pani Antonia właśnie wymusiła decyzję – odparł Wespazjan, który zauważył, że duża grupa senatorów przebija się przez tłum, kierując się w stronę swojej siedziby.

Regulus przerwał rozmowę z Gajuszem, skinieniem głowy potwierdzając słowa rozmówcy, kiedy Aulus Plaucjusz właśnie podchodził do schodów na czele jakichś trzydziestu stronników Sejana.

Plaucjusz wyprostował szerokie, muskularne bary i podniósł wysoko głowę; na grubej szyi wystąpiły mu sine węzły żył.

– Konsulowie Regulusie i Trionie – zawołał najgłośniej jak potrafił, tak żeby jak najwięcej obywateli go usłyszało. Ludzie milkli, uświadamiając sobie, że za chwilę rozegra się kolejne ważne wydarzenie tego dnia. Plaucjusz poczekał, aż zapanuje kompletna cisza. – Żądam bezzwłocznego zwołania posiedzenia senatu w pełnym składzie, by zająć się rozwiązaniem niezadowolającej sytuacji, w jakiej się znajdujemy.

– Popieram ten wniosek – zawołał natychmiast triumfalnym głosem Trio – chyba że sam zechcesz to uczynić, starszy konsulu? Już wcześniej uznano ten dzień za pomyślny dla podejmowania decyzji przez senatorów, więc nie uda ci się od tego wymigać.

Regulus spojrział na niebo i wskazał ręką klucz gęsi, które z głośnym gęganiem kierując się na północny wschód, przelatywały właśnie nad usytuowaną u podnóża Kapitolu świątynią Concordii.

– Oświadczam, że to znak od bogów.

– Nie możesz odmówić zwołania posiedzenia z powodu stada ptaków – rzucił gniewnie Trio.

– Mógłbym tak postąpić, opierając się na wielu precedensach, ale ja akurat traktuję to jako dobry znak: te zbawczynie Rzymu, które, podczas gdy psy spały, obudziły obrońców Kapitolu, kiedy Galowie podkradali się nocą, pokazały nam, że senat powinien zebrać się w świątyni Concordii, bogini harmonii i zgody. Wezwijcie senatorów; tam, na poświęconym terenie, rozwiążemy nasz problem.

Tłum ryknął, wyrażając aprobatę dla takiej interpretacji przelotu ptaków, i rozdzielił się, by zrobić przejście dla dwudziestu czterech liktorów, którzy poprzedzali dwóch konsulów zmierzających do świątyni.

Wespazjan dogonił Gajusza w połowie drogi przez Forum.

– Co powiedziałaś Regulusowi, wuju?

– Kiedy wróciłem do domu Antonii, od Plaucjusza nadeszła wiadomość, że zgadza się na jej żądanie i że ponad trzydziestu zwolenników Sejana, którzy akurat się u niego spotkali, też je poprze, pod warunkiem że Antonia wstawi się za nimi u cesarza. Wysłała więc wiadomość do tych senatorów, którzy nie zjawili się na porannym posiedzeniu, ponieważ nie chcieli być świadkami zwycięstwa Sejana, by pospiechali na kolejne posiedzenie senatu, kiedy tylko zostaną wezwani. Kazała mi tu przybyć jak najszybciej i dopilnować, by Regulus nie znalazł jakiegoś pretekstu do rezygnacji z kolejnego posiedzenia.

– Jak na przykład źle wróżącego przelotu ptaków?

Gajusz zachichotał.

– Otóż to. Równie dobrze mógł uznać gęsi za znak mówiący o tym, że pomyślność właśnie opuszcza miasto i że dzisiaj nie należy już rozważać żadnych ważnych spraw; byliśmy już świadkami podobnych sytuacji.

Dotarli do świątyni Concordii, usytuowanej naprzeciwko pięknej, ozdobionej łukami fasady Tabularium, gdzie mieściły się rzymskie archiwa. Gajusz wszedł do środka, zostawiając Wespazjana przy drzwiach.

Przez pół godziny Wespazjan obserwował, jak senatorowie, z których wielu nie pokazało się na porannym posiedzeniu, napływają ze wszystkich stron, w odpowiedzi na wezwanie konsulów, a każdy z przeświadczeniem, że jego stronnictwo zwycięży w debacie. Wśród tych, którzy pojawili się na końcu, był Korbulon oraz jego ojciec, który wyglądem bardzo przypominał syna. Obaj mieli niepewne miny.

– Co się dzieje, Wespazjanie? – spytał nerwowo Korbulon, kiedy jego ojciec wszedł już do świątyni.

– Gdybyś przyszedł na poranne posiedzenie, tobyś wiedział. – Wespazjan zamierzał nacieszyć się niepokojem senatora.

– Byliśmy chorzy – odparł Korbulon obrażonym głosem – zjedliśmy wieczorem niezbyt

świeże krewetki.

– Naprawdę musisz zrezygnować z krewetek; najwyraźniej ci nie służą.

– No cóż, rzeczywiście – zmieszał się Korbulon, przypomniawszy sobie, że raz już w obecności Wespazjana użył tej wymówki. – Powiedz, co się dzieje.

– Jeśli tam wejdiesz i zagłosujesz za wnioskiem, dobrze się to dla ciebie skończy – oświadczył enigmatycznie Wespazjan.

Uświadomiwszy sobie, że się poniża, pytając kogoś, kto nie jest senatorem, o senatorskie sprawy, Korbulon prychnął i wszedł do świątyni.

– Proszę o spokój, *patres conscripti*. – Donośny głos Regulusa słyhać było na zewnątrz świątyni.

Rozmowy we wnętrzu natychmiast ucichły. Wespazjan stanął w otwartych drzwiach, żeby obserwować przebieg zdarzeń.

– Choć dzień został już wcześniej uznany za pomyślny – rozpoczął posiedzenie Regulus – znajdujemy się obecnie pod opieką innej bogini i jej winniśmy złożyć ofiarę.

Rozległ się szmer głosów senatorów z przeciwnych facji; jedni po pierali, inni oprotestowywali tę propozycję. Trio zerwał się z miejsca, ale zanim zdążył się odezwać, Regulus ciągnął:

– Aby nie było żadnych podejrzeń o oszustwo przy odczytywaniu znaków, zapraszam młodszego konsula do złożenia ofiary.

Trio skwapliwie przyjął ofertę; naciągnął skraj togi na głowę i podszedł do ołtarza. Ponieważ to klucz gęsi doprowadził ich do świątyni Concordii, za najbardziej stosowną ofiarę uznano gęś. Konsul błyskawicznie uśmiercił ptaka, odmówił nad nim zdawkowo modlitwy, po czym rozplątał go i szybko oznajmił, że wątroba jest w idealnym stanie, co miało świadczyć, że bogini zgody odnosi się przychylnie do ich starań.

– Dzięki za wykazaną staranność – powiedział Regulus, bez najmniejszego śladu ironii, i powrócił do prowadzenia obrad. – Senator Plaucjusz poprosił o zwołanie tego posiedzenia i dlatego jemu pierwszemu oddaję głos.

Kiedy senator wstał, Regulus zasiadł na swoim krześle kurulnym.

– *Patres conscripti*. – Plaucjusz wyciągnął prawe ramię i teatralnym gestem ogarnął wszystkich siedzących senatorów. – Poprosiłem, byśmy się ponownie dzisiaj spotkali, ponieważ tak jak i wielu spośród was, ja też mam uczucie, że nie zinterpretowaliśmy w sposób właściwy

życzenia naszego cesarza i w ten sposób stworzyliśmy bardzo zapalną sytuację.

Rozległ się zgodny szept; członkowie żadnego ze stronnictw nie zamierzali temu zaprzeczać.

– I dlatego proponuję bardziej staranne rozważenie znaczenia jego słów. Poprosił, byśmy zdecydowali „czy należy, czy też nie należy osadzić go w więzieniu?”. Przyjęliśmy więc wszyscy, że cesarz życzy sobie, by Sejan został uwięziony, czyż nie?

I znowu okazało się, że oba stronnictwa są zgodne co do tej oceny.

– Ale przecież w naszym państwie nie karze się obywateli więzieniem, więc czyżby cesarz rzeczywiście oczekiwał wymierzenia kary, która nie istnieje?

Na twarzach senatorów malowała się konsternacja.

– Przyjrzyjmy się ponownie słowom „należy czy też nie” – mówił Plaucjusz. – Stosując takie sformułowanie, Tyberiusz okazywał senatowi szacunek; nam pozostawiał decyzję, co zrobić z tym człowiekiem. Tymczasem, *patres conscripti*, potraktowaliśmy te słowa zbyt dosłownie; nie chodziło o wybór między uwięzieniem i niewięzieniem Sejana. Nie, cesarz bywa czasami zbyt finezyjny, by nawet lojalny senat mógł go od razu zrozumieć.

Kolejny raz senatorowie chóralnie się z nim zgodzili. Wespazjan uśmiechnął się do siebie; było oczywiste, że Plaucjusz wygłosił to pochlebne stwierdzenie, wiedząc, że cesarz będzie czytał protokół z posiedzenia senatu.

– Nasz ukochany cesarz nie zawęził nam aż tak bardzo wyboru; w swojej bowiem mądrości wie on – kontynuował mówca – że umieszczenie Sejana pod kluczem tutaj, w Rzymie, mogłoby jedynie prowadzić do niesnasek, niepokoju, a nawet do wojny domowej. Nie dawał nam zatem wyboru pomiędzy uwięzieniem i wolnością, chodziło również o uwięzenie albo utratę wszystkich przyznanych mu uprzednio zaszczytów; uwięzenie albo areszt domowy, w Rzymie czy w którejś z jego rozlicznych posiadłości; uwięzenie albo zakaz udzielenia schronienia czy wody w promieniu trzystu mil od Rzymu; uwięzenie albo wygnanie na wyspę czy do jakiegoś odległego miasteczka. – Przerwał, kiedy sens tego, co mówił, dotarł do słuchaczy i senatorowie zaczęli rzucać pomysły kolejnych możliwych kar czy nawoływać do uniewinnienia. Plaucjusz podniósł jeszcze swój z natury silny głos, zagłuszając innych. – Czy też, *patres conscripti*, uwięzenie albo śmierć. I ja domagam się śmierci... jednak nie godnej śmierci obywatela Rzymu, jakiej odmówił wielu ze swoich ofiar. Nie, niech będzie to śmierć wroga Rzymu: uduszenie.

Wybuchła nieopisana wrzawa, jednak Plaucjusz trwał niewzruszenie, wznosił tylko do góry ramiona i czekał.

– Nie może być jednak tak, że tylko ja wyrażam swój pogląd – ciągnął, kiedy zrobiło się na tyle spokojnie, że znowu dało się go usłyszeć – zróbmy to w sposób właściwy, inaczej niż dzisiaj rano, tak, by nie było najmniejszych wątpliwości, jaka jest wola senatu. Powinien przemówić i wyrazić swoją opinię każdy z senatorów, a potem dopiero wniosek może być poddany pod głosowanie. Jeśli się zgodzisz, starszy konsulu, to poproszę, byś wezwał mojego kolegę, Syliusza Nerwę, by jako były konsul przemówił pierwszy.

Plaucjusz usiadł i Regulus ponownie objął przewodnictwo obrad.

– Konsulu Trionie, czy wyrażasz zgodę na przeprowadzenie debaty?

Trio nie mógł teraz się sprzeciwiać, jako że sam chciał zwołania tego posiedzenia i osobiście odczytywał znaki. Wstał i wymamrotał swoją zgodę, wstrząśnięty tak jawną rejteradą Plaucjusza.

– Doskonale, w takim razie wzywam byłego konsula Syliusza Nerwę.

Korpulentny mężczyzna w średnim wieku wytoczył się spomiędzy grona senatorów i stanął przed zgromadzeniem.

– *Patres conscripti*, ja również domagam się śmierci przez uduszenie, a także *damnatio memoriae*; niechaj jego imię zniknie ze wszystkich pomników i z historii – oświadczył krótko i poczłapał z powrotem do swojego stołka.

Wszyscy jednocześnie wzięli gwałtowny wdech, kiedy senatorowie uświadomili sobie, że mają do czynienia z zasadzką i że los Sejana jest przesądzony. Wespazjan przyglądał się z narastającym podziwem rezultatowi misternej politycznej gry Antonii, podczas gdy Regulus wzywał do wyrażenia opinii wszystkich senatorów, w kolejności starszeństwa, od byłych konsulów poczynając. Poza kilkoma przypadkami, kiedy ktoś bezskutecznie prosił o śmierć przez ścięcie czy o jakąś inną, lżejszą karę, wszyscy opowiadali się za śmiercią przez uduszenie.

Kiedy wypowiedzieli się ostatni senatorowie, stojący najniżej w hierarchii trzysuosobowego zgromadzenia, słońce chyliło się ku zachodowi i nadszedł czas na podsumowanie debaty.

Pierwszy odezwał się Regulus.

– *Patres conscripti*, zanim zarządę głosowanie, pozostały nam jeszcze tylko wystąpienia dwóch konsulów. Wzywam konsula Triona.

Trio wstał powoli i wyszedł niespiesznie na środek świątyni. Miał wygląd człowieka pokonanego, ale wciąż nieugiętego i zdeterminowanego, by pójść tą jedyną drogą, jaka mu pozostała.

– *Patres conscripti*, przez stulecia byliśmy świadkami, jak wielu mężów z tego czy innego powodu przekraczało narzucone im ograniczenia. – Mówił powolnym i monotonnym głosem; rozległy się groźne pomruki ze strony senatorów, którzy natychmiast zorientowali się, że jest to początek zastosowania obstrukcji. – Koriolan, Gajusz Mariusz, Sulla, Tarkwiniusz Pyszny, Appiusz Klaudiusz... – wyliczał niestrudzenie.

Lista nie miała końca i Wespazjan, podobnie jak pozostali, zgadywał, że Trio zamierza przeciągnąć swoje wystąpienie do zachodu słońca, żeby udaremnić głosowanie.

– Czas zastanowić się, jakim człowiekiem jest Sejan – ciągnął konsul, a wymieniwszy dziesiątki ambitnych postaci historycznych, musiał już mówić głośniejszym głosem, ponieważ jego rozjuszeni koledzy podnieśli wrzawę. – Czy jest tego rodzaju człowiekiem, który... – Przerwał, kiedy jakiś stołek wyrzwał go w twarz, rozcinając mu prawy policzek i niemal powalając na posadzkę. Cofnął się, sztywno wyprostowany, z krwią spływającą mu na toczę, i otworzył usta, by mówić dalej, ale zanim wydobył z siebie kolejne słowo, padł przygnieciony lawiną stołków i musiał poczołgać się za swoje krzesło kurulne.

– Dziękuję za twoją opinię, konsulu – powiedział Regulus, jak gdyby nigdy nic skinąwszy głową zakrwawionemu i poobijanemu koledze. – Ja również żądam śmierci. Teraz poddaję pod głosowanie następujący wniosek: Zgromadzenie skazuje Lucjusza Eliusza Sejana na śmierć przez uduszenie, a jego imię ma zostać wymazane z pamięci. Ci, którzy są za wnioskiem, stają po mojej prawej, ci, którzy przeciwko, po lewej.

Senatorowieomal się nie potratowali w tym swoim pędzie, by nie być przypadkiem ostatnią osobą opuszczającą lewą stronę. Po kilku chwilach jedynym człowiekiem, który nie stał po prawej ręce Regulusa, był Trio, ciągle ukryty za swoim krzesłem; wychylił ostrożnie głowę i rozejrzał się, stwierdzając, że poniósł kompletną klęskę.

– Stwierdzam – zawołał Regulus – że wniosek... – Przerwał w połowie zdania i stał z otwartymi ustami, patrząc przez drzwi, za plecy Wespazjana, na Forum.

Wespazjan odwrócił się i w odległości pięćdziesięciu kroków zobaczył, jak kohorta pretorianów w olśniewająco białych togach toruje sobie drogę pośród przerażonego tłumu i zmierza prosto do świątyni.

Rozdział dwudziesty

– Jestem z chłopcami tu, na dole, panie – dobiegł z tłumy głos Magnusa. Wespazjan dojrzał przyjaciela u dołu bocznych schodów świątyni, w otoczeniu uzbrojonych w pałki i kije członków bractwa. Za nimi wznosiły się wykute w skale Kapitolu schody Gemońskie. – Myślę, że czas na wieczerzę, jeśli wiesz, co mam na myśli?

Wespazjan znieruchomiał i popatrzył w dół głównych schodów prowadzących do świątyni; przedni szereg pierwszej centurii kohorty, z Makronem na czele, właśnie na nie wchodził. Czyżby Makronowi nie udało się przekonać pretorianów do zmiany lojalności i dlatego, żeby ratować życie, sam zmienił strony? Wespazjan tego nie wiedział, ale uznał, że bezpieczniej się poczuje w towarzystwie Magnusa i jego braci. Skręcił w ich stronę.

– *Triumvir capitalis!* – ryknął Makron. – Wracaj tutaj albo poślę po ciebie swoich ludzi.

Nie widząc wyjścia z tej sytuacji, Wespazjan się cofnął. Makron zacisnął mu potężną łapę na ramieniu i popchnął go do środka.

Senatorowie patrzyli ze zgrozą, jak pretorianie wmaszerowują do świątyni i na rozkaz zatrzymują się w miejscu.

– Co to ma znaczyć, trybunie? – rzucił ostrym tonem Regulus, kiedy Makron wysunął się do przodu, pozostawiając Wespazjana obok pierwszego szeregu centurii.

– Czy przeprowadziliście głosowanie, konsulu? – warknął Makron.

– Tak.

– Z jakim wynikiem?

– Właśnie miałem go obwieścić, kiedy w tak nietaktowny sposób mi to uniemożliwiłeś.

– Cóż, proponuję więc, byś go teraz obwieścił, konsulu.

Senatorowie zbili się ciałniej, przerażeni, że być może podjęli niewłaściwą decyzję. Trio, z triumfującą miną, wychynął zza swojego krzesła.

Regulus przełknął ślinę.

– Poddany pod głosowanie wniosek brzmiał: „Zgromadzenie skazuje Lucjusza Eliusza Sejana na śmierć przez uduszenie, a jego imię ma zostać wymazane z pamięci”. – Zamilkł i rzucił nerwowe spojrzenie na Makrona. – Niniejszym oświadczam, że wniosek ten został przyjęty –

dodał słabym głosem.

Zapanowała kompletna cisza w oczekiwaniu na reakcję Makrona. Nikt nawet nie drgnął. Makron klasnął trzykrotnie w dłoń.

– Gratuluję wam, *patres conscripti*, bo przynajmniej raz podjęliście właściwą decyzję.

Senatorowie odetchnęli z ulgą.

Trionowi zrzęda mina.

– Cieszy mnie, że tak uważasz, trybunie – powiedział Regulus.

– Od tej chwili będziesz nazywał mnie prefektem, konsulu; mam tutaj dokument od cesarza, w którym mianuje mnie prefektem gwardii pretoriańskiej – oświadczył Makron, wymachując dwoma zwojami. – Mam również prośbę od cesarza, by karę czekającą Sejana zastosować również wobec tego człowieka. Przyrowadź go tu, centurionie.

Pretorianin wyciągnął ze środka centurii młodego człowieka ze skutymi rękoma. Młodzieniec trzymał głowę wysoko uniesioną, a jego twarz o kwadratowych szczękach wyrażała dumę i pogardę.

– A to kto, prefekcie? – domagał się wyjaśnienia Regulus.

– Najstarszy syn Sejana, Strabon. Cesarz postanowił oszczędzić dwoje młodszych dzieci.

– Jakie jest oskarżenie?

– Że jest synem zdrajcy.

– Nie możemy tak po prostu skazać człowieka za więzy rodzinne; to byłoby niczym powrót do okrucieństw wojny domowej.

– Zrobicie to, czego życzy sobie cesarz, jeśli chcecie położyć tej sprawie kres. W przeciwnym razie zadbam o to, by cesarz się dowiedział, dlaczego to gwardia pretoriańska musiała wykonać egzekucję na Strabonie, a nie państwo.

– Wobec tego nie pozostawiasz nam wyboru – oświadczył Regulus, prostując się. – Zgłaszam senatowi wniosek: Strabon, najstarszy syn Sejana, ma podzielić los ojca. Ci, którzy są za wnioskiem, staną po mojej prawej stronie, ci, którzy są przeciwko, po lewej.

Senatorowie pozostali na miejscu, czyli po prawej ręce Regulusa. Trio do nich dołączył, licząc na to, że w ten sposób może odzyskać nieco cesarskiej łaski.

– Ogłaszam, że wniosek przeszedł – oświadczył ze smutkiem w głosie Regulus.

Ku zdumieniu Wespazjana pretorianie wznieśli radosne okrzyki; przepłynęły one przez ich szeregi w świątyni i zostały przechwycone przez tych znajdujących się na zewnątrz.

– Wezwać jednego z *triumviri capitales* – zawołał Regulus, przekrzykując harmider, który zaczął narastać, kiedy wiadomość o decyzji senatu poprzez pretorianów dotarła do potężnego tłumu zebranego na Forum.

– Znalazłem takiego, który czaił się na zewnątrz – poinformował go Makron. – Wespazjan, wystąp.

Wespazjan stanął przy Makronie naprzeciwko Regulusa.

– Jestem Tytus Flawiusz Wespazjan, konsulu, jeden z *triumviri capitales*.

– Zlecam ci wykonanie woli senatu rzymskiego, triumwirze – oznajmił oficjalnie Regulus. – Zabierz tego człowieka do Tullianum i nadzoruj jego bezzwłoczną egzekucję przez uduszenie i taką samą egzekucję jego ojca, Lucjusza Eliusza Sejana. Ciała mają być wystawione na schodach Gemońskich.

Wespazjan poprowadził Strabona, pod strażą dwóch pretorianów, przez świątynne drzwi, a potem schodami z lewej strony w dół. Na dworze panował ogłuszający zgiełk; tłum zaczął z wściekłością obalać posągi Sejana ustawione na Forum i w pobliżu. Wybuchły bijatyki i połała się krew, kiedy obywatele zwrócili się przeciwko ludziom podejrzanym o przynależność do rozgałęzionej szeroko sieci informatorów i donosicieli Sejana.

Magnus z członkami bractwa ochraniał Wespazjana przed motłochem w drodze do Tullianum, którego pilnowane przez wigilów wejście znajdowało się tuż po drugiej stronie schodów Gemońskich.

– Strabonie! Strabonie, mój synu – rozległ się w pobliżu przeraźliwy kobiecy głos – co oni z tobą robią?

Wespazjan odwrócił się i zobaczył zrozpaczoną kobietę, z twarzą zalaną łzami, wyciągającą ramiona do jego więźnia.

– Przepuścić ją – rozkazał Magnusowi, zgadując, że to Apikata, była żona Sejana. – Trzeba jej pozwolić go pożegnać – dodał, spoglądając surowo na dwóch pretorianów.

Apikata podbiegła do syna i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Nie możemy już nic zrobić, matko – powiedział Strabon, któremu kajdany nie pozwalały odwzajemnić jej uścisku. – To koniec. Ojciec nigdy nie będzie cesarzem i ja też nie.

– Ale dlaczego oni skazują ciebie? Przecież nic nie zrobiłeś! – krzyczała Apikata.

– Dość zrobiłem, matko, wierz mi. Poza tym, gdybym był na miejscu Tyberiusza, postąpiłbym tak samo. Masz jeszcze Kapitona i małą Junillę; zadbaj o ich bezpieczeństwo i

wywieź z Rzymu.

– Musimy iść – powiedział Wespazjan, odrywając ramiona Apikaty od syna.

– Żegnaj, matko. Umrę godnie i bez słowa skargi – powiedział Strabon, całując ją w czoło. – Nie zapomnij mnie.

– Nie zapomnę, mój synu – zawołała za nim Apikata – i przysięgam powiedzieć Tyberiuszowi, że tak jak on odebrał mi syna, pozbawiono go jego syna.

Wespazjan otworzył niskie drzwi do Tullianum, podziemnej części więzienia mamertyńskiego, żeby wprowadzić skazańca do środka. Strabon zatrzymał się. Spojrzał po raz ostatni na czyste błękitne niebo i zaczerpnął po raz ostatni świeżego powietrza, po czym, schyliwszy głowę, wszedł do wnętrza. Panowała tam znacznie niższa temperatura niż na dworze i Wespazjanem o mało nie wstrząsnął dreszcz, jak zawsze, kiedy tu wchodził.

Pomieszczenie było niskie, małe i bez okna; pośrodku podłogi znajdowała się drewniana kłapa. Przy stole pod przeciwległą ścianą siedzieli trzej więzienni strażnicy i grali w kości przy świetle lampki oliwnej; wstali, kiedy pretorianie zamknęli za sobą drzwi, pozostawiając Magnusa i jego kamratów na zewnątrz razem z wigilami.

– Jeszcze jeden do celi, Wespazjanie? – spytał najstarszy ze strażników, szczerząc w uśmiechu bezzębne dziąsła i wycierając ręce o brudną tunikę. Lubił swój zawód i było to dla Wespazjana czymś obrzydliwym.

– Nie, Spuriuszu, macie natychmiast wykonać egzekucję na nim i jego ojcu – odparł Wespazjan, wskazując ręką kłapę w podłodze.

– Synek Sejana, he? No, no, wesołe rodzinne spotkanko, to przynajmniej coś nowego.

Koledzy Spuriusza zarzeli głośno.

– Ścinanie czy ściskanie? – zapytał Spuriusz, oglądając szyję Strabona, jakby ten był barankiem ofiarnym. Młody człowiek stał godnie wyprostowany, nawet nie patrząc na obrzydliwego człowieka.

– Ściskanie – prawie krzyknął Wespazjan, starając się zachować spokój – a teraz zabierajcie się do roboty.

– To dobrze, będzie potem mniej sprzątanania, co nie, chłopcy, tylko trochę gówna i szczyń. Dajcie tu dwie ściskarki, a ja wyciągnę na górę starego kumpla.

Spuriusz podniósł kłapę i rzucił na dół linę, której drugi koniec przymocowany był do haka w suficie.

– Do góry, szlachetny panie – zawołał z udawaną uprzejmością.

Lina natychmiast się naprężyła i chwilę później w otworze ukazał się Sejan, z napiętymi mięśniami ramion, odziany jedynie w przepaskę na biodra. Pomimo słomy przyklejonej do spoconego torsu i potężnych ud wciąż wyglądał godnie i władczo i Wespazjan musiał się pilnować, żeby nie dać kroku do tyłu. W ciemnych oczach wbitych w twarz strażnika płonąła mściwa wściekłość.

– Nareszcie cesarz i senat odzyskali rozsądek, ty nędzne ścierwo – warknął, przystawiając twarz do twarzy Spuriusza. – Nie zapomnę ci twojej gościnności.

– Obawiam się, że nic z tego, ojczu – odezwał się Strabon.

Sejan odwrócił się błyskawicznie i zobaczył syna w kajdanach pomiędzy dwoma pretorianami. Na krótką chwilę, kiedy uświadamiał sobie, w jakiej sytuacji się znalazł, jego wyniosłość osłabła; potem skinął głową i lekko uśmiechnął się do siebie.

– Aha, rozumiem. Do tego doszło, co? – Popatrzył na pretorianów. – Ile zapłacił moim gwardzistom Tyberiusz, żeby mnie zdradzili?

Obaj pretorianie milcząco wpatrywali się w przestrzeń.

– Wstyd wam, co? – szydził Sejan. – Niech zgadnę, dwadzieścia złotych auresów na jednego żołnierza.

Pretorianie milczeli.

– Zatem trzydzieści?

Obaj mężczyźni zaczęli mieć niepewne miny.

Oczy Sejana rozszerzyły się niedowierzaniem.

– Mniej niż dwadzieścia? – rzucił. – Wy tanie dziwki.

– To było dziesięć, ojczu – oświecił go Strabon. – Chępnili się tym, kiedy prowadzili mnie do senatu.

– Chępnili! Chępnili się nędzną dziesiątką aureusów, dwustu pięćdziesięcioma denarami. – Sejan wybuchnął śmiechem. – Cesarz odkupił swoje imperium za mniejszą kwotę niż roczny żołd przypadający na jednego żołnierza gwardii pretoriańskiej. Cóż za okazja... przy takiej cenie niedługo każdego będzie stać, by zostać cesarzem. – Splunął pod nogi pretorianów. – Skończmy już z tym. – Spojrzał na Wespazjana, zmarszczył nagle brwi i wymierzył w niego palec. – Znam cię; to ty dziś rano czaiłeś się za filarem w świątyni Apollina. Jeśli jesteś jednym z *triumviri capitales*, to co robiłeś tuż obok miejsca posiedzenia senatu, w wyniku którego miałem otrzymać

godność trybuna ludowego?

– Kazano mi – powiedział Wespazjan, patrząc Sejanowi prosto w oczy.

– Kto ci kazał? Makron?

– Nie, Antonia – odparł Wespazjan, nie widząc powodu, by ukrywać przed Sejanem tożsamość osoby, która doprowadziła do jego upadku.

Sejan uśmiechnął się ponuro.

– Ta suka? – spytał. – To ona, a nie Makron?

Wespazjan skinął głową, wciąż patrząc mu prosto w oczy.

Przez twarz Sejana przemknął błysk przypomnienia.

– Widziałem cię raz jeszcze, wcześniej, prawda?

– Zgadza się.

– Na murze Liwili, pięć lat temu; należałeś do grupy, która uwolniła niewolnicę, sekretarkę Antonii, prawda?

– Tak, byłem tam.

– To był odważny czyn.

Wespazjan nawet mrugnięciem oka nie zareagował na ten wyraz uznania.

Przez chwilę Sejan przyglądał mu się w milczeniu; nikt z obecnych się nie poruszył, bo wszyscy czuli, z jaką intensywnością obaj mężczyźni wzajemnie się w siebie wpatrywali. Wespazjan wyprostował się, cofnął barki do tyłu, nagle przestał odczuwać lęk.

– Dostrzegam coś w tobie, młody człowieku – oświadczył w końcu Sejan – coś, co sam mam: żelazną wolę. Antonia też na pewno to widzi, skoro po pięciu latach wciąż wykorzystuje cię do swoich zadań. Zazwyczaj pozbywa się ludzi po kilku miesiącach; musi zatem uważać, że posiadasz pewien potencjał. Wczoraj bojownik Antonii, dzisiaj kat Rzymu, ale zastanawiam się, co przyniesie ci jutro? Jak się nazywasz?

– Tytus Flawiusz Wespazjan.

– No cóż, młody synu Flawiuszów, udzielę ci pewnej rady; zapamiętaj ją dobrze, to ostatnia rada w moim życiu. Jestem tutaj z jedne go jedyne go powodu: nie wziąłem władzy, kiedy była w zasięgu mojej ręki. Należało wszcząć bunt, kiedy byłem konsulem. Pretorianie byli moi, senat w większości był mój i lud byłby mój... ale ja się zawahałem. Dlaczego się zawahałem, skoro tak długo dążyłem do władzy? Dlaczego? Przecież przez całe lata próbowałem ulokować się tak, żeby, o czym na pewno Antonia ci powiedziała, zostać następcą Tyberiusza

albo regentem jego następcy poprzez poślubienie Liwili i pozbycie się rywali, aż ostatecznie Tyberiuszowi pozostałoby do wyboru Klaudiusz, Tyberiusz Gemellus lub ja.

– A Kaligula?

– Ten pokręcony mały skorpion? – rzucił szyderczo Sejan. – A myślisz, że po co namówiłem Tyberiusza, żeby sprowadził go na Capri? Sądziłem, że nim minie miesiąc, stary wariat każe go zrzucić ze skały; pomyliłem się, choć to wciąż jeszcze może się wydarzyć. Gdyby jednak zdążyło do tego dojść, nikt nie oskarżyłby mnie wtedy o jego śmierć; tak jak nikt nie może mnie oskarżyć o śmierć innych potencjalnych następców. Ludzie mogą coś podejrzewać, ale nie ma żadnych dowodów; gdyby takie były, już bym nie żył. Bardzo się starałem, by nie widziano we mnie mordercy moich rywali, ponieważ nie chciałem przejmować władzy; chciałem, by mi ją dano. Wierzyłem niemądrze, że gdybym pochwycił władzę siłą, to wtedy mógłby przyjść ktoś inny i mi ją odebrać; natomiast gdyby przekazano mi ją zgodnie z prawem, mógłbym ją utrzymać i przekazać swojemu synowi. – Spojrzał z dumą na Strabona, położył mu rękę na karku, przyciągnął do siebie i pocałował w usta.

– Jaka jest zatem ta twoja rada, Sejanie? – przypomniał mu Wespazjan.

– Rada? A tak – powiedział powoli Sejan, poklepując syna po policzku – radzę ci, byś, kiedy władza znajdzie się w twoim zasięgu, nie wahał się, tylko natychmiast ją chwycił. Nikt ci jej nie da, więc jeśli sam jej nie przejmiesz, wtedy ten, kto to zrobi, zniszczy ciebie i twoją rodzinę za to, że znalazłeś się w pobliżu tego, czego będzie zazdrośnie strzegł.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytał Wespazjan.

Sejan obdarzył go pozbawionym wesołości uśmiechem i potrząsnął głową.

– Kończ już sprawę; pójdź, Strabonie, mój synu, razem przeprawimy się przez rzekę.

– Chętnie będę ci towarzyszył, ojcze.

Sejan ujął dłoń Strabona i obaj uklękli na podłodze; ojciec wysunął głowę do przodu, syn natomiast trzymał ją prosto.

– To nie miecz, ojcze.

– Nie, to ściskanie – powiedział Spuriusz, zbliżając się ze swoim kolegą. Obaj trzymali w rękach powrozy.

– Lucjusz Eliuszu Sejanie i Lucjusz Eliuszu Strabonie – powiedział Wespazjan – senat skazał was obu na śmierć przez uduszenie; macie coś do powiedzenia?

– Ja już swoje powiedziałem – oświadczył Sejan, kiedy zakładano pętle na szyję jego i

syna.

Strabon pokręcił głową.

– Spuriuszu, czyń swą powinność – rozkazał Wespazjan.

Każdy ze strażników włożył krótki dębowy kołek w pętlę powroza na karku ofiary, po czym pokręcił nim, aż zniknął luz, sznury się zacisnęły i wbiły w szyje skazańców.

Spuriusz spojrział na swojego towarzysza i skinął głową. Powoli i metodycznie zaczęli obracać kołki, za każdym obrotem ściskając mocniej szyje skazańców. Sejan i Strabon poddali się tej powolnej śmierci, trzymając się za ręce. Najpierw oczy wyszły im z orbit, a z gardel wydobył się charkot. Potem ze śliniących się ust, nienaturalnie daleko wysunęły się języki, a koło kolan pojawiły się kałuże moczu. Twarze spurpurowiały, głowy opadły do tyłu, wytrzeszczone oczy wpatrywały się w sufit, a wywinięte wargi ukazywały zęby; oni jednak wciąż trzymali się za ręce, aż zbieleły kostki ich dłoni. Charkot ustał, a pomieszczenie wypełnił smród fekaliów. Męka agonii wykrzywiła twarze obu mężczyzn, ich ręce się rozłączyły, głowy zakołysały i opadły bezwładnie na jedną stronę, ciała pochyliły się do przodu, zwisając na wbitych głęboko w ich szyje zakrwawionych powrozach. Kaci puścili kołki i ciała opadły w kałużę ekskrementów.

Wespazjan patrzył na człowieka, który był już tak blisko przełamania władzy Tyberiusza. W głowie kłębiły mu się fragmenty z ostatniej rozmowy; dlaczego Sejan powiedział mu to wszystko? Jak miałby kiedykolwiek znaleźć się w sytuacji pozwalającej uchwycić władzę? A potem, zupełnie mimo woli, przyszedł mu na myśl ostatni wers proroctwa z sanktuarium Amfiraosa: „By nazajutrz odebrać Zachód temu czwartemu”. Czy to on ma być tym, który odbierze? Pokręcił głową i oderwał wzrok od człowieka, któremu się to nie udało.

– Rzućcie ciała na schody, Spuriuszu – polecił, ruszając ku drzwiom. Na zewnątrz wigilowie i Magnus ze swoimi ludźmi z wielkim trudem odsuwali tłum od wejścia do więzienia. Wespazjan i dwaj pretorianie dołączyli do kordonu bezpieczeństwa i pomogli odepchnąć napierającą tłuszcę na tyle, żeby Spuriusz z kolegami mogli bezceremonialnie wywlec ciała Sejana i Strabona z Tullianum i rzucić je na schody Gemońskie, po czym umknąć pospiesznie do swojego ponurego królestwa.

Na widok trupów obywatele Rzymu zgodnym rykiem wyrazili swoją radość i ruszyli pędem w ich stronę. Każdy chciał być tym pierwszym, który zbędzie zwłoki. Przed wejściem do Tullianum zrobiło się pusto.

– Chyba już naprawdę najwyższy czas na wieczerzę, panie – zasugerował Magnus.

– Chyba masz rację, stary – odparł Wespazjan i ruszył biegiem.

Dotarli do schodów przed siedzibą senatu, które teraz były względnie bezpiecznym miejscem, i stamtąd spojrzeli na Forum. Uwagę kotłującego się i nieustannie rosnącego tłumu zwrócili teraz prowadzeni przez Makrona pretorianie, którzy próbowali przebić się przez Forum, żeby wrócić do obozu. Tłum dawał upust wściekłości wobec ludzi, którzy tak długo utrzymywali Sejana u władzy, obsypując pretorianów kawałkami porozbijanych posągów, kijami i kamieniami, i wszystkim, co wpadło im w ręce, powalając kilku z nich na ziemię.

Na wydany rykiem rozkaz Makrona kohorta zatrzymała się i pretorianie wyciągnęli miecze spod tóg. Makron wydał kolejny rozkaz i żołnierze odwrócili się przodem do otaczającego ich motłochu.

A potem zaatakowali.

Bez cienia litości dla swoich współobywateli, błyskawicznie wyróżnili tych znajdujących się najbliżej i przestępując ich ciała, siekli kolejnych. Nienawistne i obelżywe wrzaski tłumu szybko zamieniły się w okrzyki przerażenia i bólu, ludzie rozbiegali się na wszystkie strony, a pretorianie uśmiercali bez wahania tych wszystkich, którzy nie byli dość szybcy, by ująć mieczom.

Ze schodów świątyni Concordii senatorowie na tyle odważni, by wyjść na zewnątrz, bezsilnie przyglądali się postępującej masakrze, rozlewającej się z Forum Romanum na Forum Boarium i na sąsiednie ulice.

Wespazjan spojrzął ku schodom Gemońskim, teraz opustoszałym, jeśli nie liczyć dwóch pokiereszowanych ciał i lamentującej Apikaty, rwącej sobie włosy z głowy i rozdzierającej szaty.

Zza Domu Westalek, usytuowanego po przeciwległej stronie Forum, dobiegł potężny ryk i stukot tysięcy podkutych sandałów o bruk. Wespazjan oderwał wzrok od Apikaty. Jeden rzut oka wystarczył, by się natychmiast odwrócił i pobiegł.

– Na nas już czas – krzyknął Magnus, ruszając z członkami bractwa śladem Wespazjana w dół schodów, a potem pędząc za nim w stronę Kwirynału.

Za ich plecami cała reszta gwardii pretoriańskiej wylała się na Forum. Stamtąd żołnierze ruszyli przez miasto, by dokonać zemsty i umocnić swoją władzę nad obywatelami Rzymu.

Rozdział dwudziesty pierwszy

– Jak idzie budowa domu? – spytał brata Wespazjan, kiedy pewnego popołudnia, w ogrodzie Gajusza, pili schłodzone wino i pogryzali miodowe ciasteczka.

– Wkrótce będziemy mogli się wprowadzić – odparł Sabinus. Prawdę mówiąc, im szybciej, tym lepiej, bo Klementyna jest znowu w ciąży.

– Gratuluję.

– Dzięki, bracie. Chcę, żeby jak najszybciej tam zamieszkała; wiesz, jak bardzo kobiety przejmują się przeprowadzkami.

– Tak, rzeczywiście – skłamał Wespazjan.

– Czekałem jednak, aż sprawy się nieco uspokoją. Dzisiaj, kiedy senat wreszcie ponownie się zbiera, powinniśmy doczekać się powrotu prawa i ładu.

– Mam taką nadzieję – powiedział Wespazjan, myśląc o przemocy, jaka ostatnio ogarnęła miasto.

Dwa dni i dwie noce Makron pozwalał swoim żołnierzom łupić Rzym, nim odwołał ich z powrotem do obozu za murami miasta, pozostawiając mieszkańców zubożałych i poskromionych, ale przynajmniej nie mających wątpliwości, kto dzierży prawdziwą władzę.

Minęło kolejne kilka dni, nim życie wróciło do normy, choć wciąż dochodziło do pojedynczych aktów przemocy, skierowanych głównie przeciwko zwolennikom Sejana, prawdziwym czy wymagowanym. Dopiero po kilku kolejnych dniach senatowi udało się zebrać, ponieważ kiedy miastem zawładnęła gwardia pretoriańska, większość senatorów wyniosła się z Rzymu do swoich wiejskich posiadłości.

– Dostałeś się na listę potencjalnych kwestorów na przyszły rok? – zapytał Wespazjan, zmieniając temat; o dom zapytał wyłącznie z uprzejmości, bo wciąż nie aprobował sposobu, w jaki brat finansował jego budowę.

– Owszem, dostałem się – odparł z ponurą miną Sabinus – ale tym razem wygląda na to, że na liście figurują kandydaci z każdej patrycjuszowskiej rodziny. Plebejusze tacy jak my nie mają szansy. Mam paskudne przeczucie, że znowu mi się nie uda.

Rozmowę przerwał Gajusz, wpadając do ogrodu w towarzystwie usiłującego uwolnić go

od togi Enora.

– Czasami odnoszę wrażenie, że moi koledzy senatorowie to stado bezmózgich baranów – zawołał z wściekłością. – Enorze, przynieś mi kielich.

Gajusz opuścił swoje tłuste pośladki na ławkę obok Sabinusa i sięgnął po kojące nerwy miodowe ciasteczko.

Bracia czekali, aż ich wuj pochłonie smakołyk i popije nierozcieńczonym winem.

– Ci idioci debatowali właśnie nad tym, czy potępić Makrona za wypuszczenie pretorianów na miasto – ciągnął Gajusz i postawił z rozmachem opróżniony do połowy kielich, rozlewając przy okazji sporo wina na stół – kiedy wstaje Aulus Plaucjusz i powiada, że zamiast potępić Makrona, powinniśmy go raczej pochwalić za przywrócenie porządku w tak krótkim czasie. Ładne mi w krótkim czasie! Dwa dni tkwiliśmy tu zabarykadowani, a na ulicach panowało bezhołowie i dokonywano mordów. – Wypił jednym haustem resztę wina i podstawił kielich Enorowi do napełnienia, drugą ręką sięgając po kolejne ciastko. – Proponuje więc postawienie wniosku o przyznanie Makronowi tytułu eks-pretora, mimo że nie jest członkiem senatu. Wszyscy senatorowie uważają to za doskonały pomysł, głosują i wniosek przechodzi jednomyślnie. – Gajusz wgrzyzł się w ciasteczko.

– Jednomyślnie, wuju? – zdziwił się Wespazjan. – Czy nie głosowałeś przeciwko temu, skoro cię to tak rozwścieczyło?

– Oczywiście, że nie – odparł Gajusz cierpko, rozsypując okruchy po całym stole. – Przecież nie mogłem pokazać, że jestem tym jedynym przeciwnym... to nie byłoby mądre!

– Skoro wszyscy mają takie podejście, to nie dziwota, że senat przegłosowuje oburzające wnioski.

– Cóż, to akurat nie był dzisiaj najbardziej oburzający wniosek – oświadczył Gajusz. – Niestety, nadszedł czas odwetu i do tego gorliwie zabrał się Aulus Plaucjusz, by odwrócić uwagę od siebie. Za jego sprawą trzech senatorów, zwolenników Sejana, skazano na strącenie ze skały Tarpejskiej, a jakby tego było mało, kazał ich tam bezzwłocznie powlec i własnoręcznie zrzucić. Wydaje mi się, drogi chłopcze, że przez kilka najbliższych dni będziesz miał sporo pracy.

Pięć dni później Wespazjan stał na schodach prowadzących do siedziby senatu i w ciepłym porannym słońcu czekał na najnowszy senatorski dekret dotyczący czystki prowadzonej wśród zwolenników Sejana. I on, i jego koledzy *triumviri capitales* rzeczywiście byli zajęci, jak

przepowiedział Gajusz; w ciągu ostatnich dwu dni nadzorowali pół tuzina ścięć głowy, cztery duszenia i zrzucenie jednego nieszczęsnego senatora ze skały Tarpejskiej. Kilkunastu udało się popełnić samobójstwo, zanim dopadli ich kaci, i tym samym uratowali swoje dobra przed przejęciem. Żadnemu nie dano szansy osądzenia w stosownym procesie na Forum; ich egzekucje zostały wykonane na rozkaz senatu albo na pisemne żądanie cesarza, albo zgodnie z wnioskiem postawionym przez Aulusa Plaucjusza.

Tego ranka Regulus odczytał kolejny długi list od Tyberiusza; Wespazjan nie zwracał sobie głowy słuchaniem przed wejściem, bo znudziły go już te nieustające epistoły skierowane przeciwko zwolennikom Sejana, którymi Tyberiusz zamęczał senat.

Wyływający przez drzwi zgiełk toczonej debaty przycichł i Wespazjan domyślił się, że senatorowie przeprowadzają głosowanie, czy li dzielą się na tych za i przeciw. Uśmiechnął się w duchu; podczas ostatnich posiedzeń senatorowie ani razu nie byli podzieleni, głosowali jednomyślnie, za karą śmierci. Po chwili ciszy usłyszał, jak Regulus oświadcza, że wniosek przeszedł, a zebrani reagują wyrażającym zadowolenie rykiem.

Wespazjan przygotowywał się do wypełnienia swoich obowiązków, zastanawiając się nad tym, którego to nieszczęsnego senatora przyprowadzi mu Petus i jaką formę egzekucji wybrano tym razem. Ku jego ogromnej konsternacji Petus pojawił się z Gajuszem.

– Chyba nie ty, wuju? – zawołał, wbiegając po schodach. Jak mógłby nadzorować egzekucję własnego wuja, pomyślał ze zgrozą.

– Co? – spytał Gajusz, nieco zdezorientowany tym pytaniem. – Och! Nie, drogi chłopcze, nie ja – roześmiał się. – Tyberiusz właśnie złapał w sidła swoją największą jak dotąd ofiarę: Liwillę.

– Liwillę? Jak?

– Cesarz udowodnił to, co większość ludzi od dawna podejrzewała: że Liwilla otruła swojego męża, a Tyberiuszowego syna, Druzusa, by umożliwić Sejanowi zawarcie z nią małżeństwa. Wytropiono jej medyka i jednego z osobistych niewolników Druzusa, którzy obaj są obecnie wyzwolencami, a ci potwierdzili to na torturach. Mnie senat zlecił poinformowanie pani Antonii o wyroku wydanym na jej córkę. Nie powiem, żebym się cieszył na tę rozmowę.

– Mam nadzorować egzekucję kobiety? – spytał Wespazjan, któremu, pomimo złej sławy Liwilli, ten pomysł wcale się nie podobał.

– Nie, nie, stary, senat nie wydał wyroku – poinformował go wesoło Petus – ty i ja

musimy po prostu ją zatrzymać. Z szacunku dla Antonii Tyberiusz polecił, by to jej przekazano Liwillę; uznał bowiem za stosowne, by matka kobiety, która zamordowała jego syna, zadecydowała o formie kary dla swojej córki. Uważam, że jest zbyt wyrozumiały; jaka bowiem matka zleciłaby egzekucję własnego dziecka?

Cztery centurie miejskiej kohorty otoczyły posesję Liwilli na Palatynie, by zapobiec jej ucieczce, choć z tego, co wiedział Wespazjan, wiadomość o decyzji senatu nie dotarła jeszcze do jej uszu. Razem z Petusem, w towarzystwie centuriona z kohorty miejskiej, wstępowali wspinałymi schodami wiodącymi do jej drzwi; za plecami mieli centurię odpowiedzialną za pilnowanie domu od frontu. Petus pociągnął za łańcuch i usłyszeli dochodzący z wnętrza domu dźwięk dzwonka.

Otwarto okienko w drzwiach.

– Kwestor Publiusz Juniusz Cezeniusz Petus na życzenie cesarza i senatu przyszedł spotkać się z panią Liwillą – oświadczył powoli i wyraźnie.

Okienko się zatrzasnęło i drzwi pozostawały zamknięte.

– Wygląda na to, że szlachetnej pani niespieszno nas oglądać – zauważył po kilku chwilach Petus. – Nawet się jej nie dziwię. Centurionie, wyłamać drzwi.

– Tak jest!

Na rozkaz centuriona zjawili się czterech żołnierzy z małym taranem. Po kilku odbijających się głośnie echem uderzeniach drzwi się rozwarły; przez westybul Wespazjan i Petus, z centurionem tuż za nimi, wkroczyli do wytwornego atrium. Wespazjan nigdy wcześniej nie widział tylu ozdób ze złota i srebra. Wazony, posążki, kandelabry i czary przeróżnych rozmiarów umieszczono na niskich stolikach z polerowanego marmuru o ozdobnych nóżkach, również ze srebra lub złota. Fotele i sofy, z obiciami w głębokiej czerwieni i złocie, rozstawione tu i ówdzie, powtarzały kolory zdobiących ściany fresków, ukazujących krwawe zmagania Tytanów w czasach poprzedzających pojawienie się człowieka. Strop wspierał się na czterech ogromnych kolumnach z szaro żyłkowanego czarnego marmuru, stojących w rogach basenu, pośrodku którego tkwił wielki posąg z brązu, wyobrażający Saturna kastrującego sierpem swojego ojca, Celusa.

– Jakim prawem włamujecie się do mojego domu? – zabrzmiał groźnie niski kobiecy głos.

Wespazjan i Petus obrócili się w miejscu i w jednym z wielu wejść prowadzących do atrium zobaczyli piękną, smukłą, czterdziestokilkuletnią kobietę piorunującą ich wzrokiem. Delikatna budowa i wyniosły sposób bycia nie pozostawiały wątpliwości, że to córka Antonii; jednak matka patrzyła na świat szeroko otwartymi, bystrymi oczyma, córka natomiast mrocznymi, złośliwie zmrużonymi, a zmarszczki widoczne w ich kącikach zamiast ku górze biegly ku dołowi, ponieważ utworzyła je nachmurzona mina, a nie uśmiech. Usta miała małe, wargi pełne, jak Antonia, tyle że ułożone w szydery grymas, który prawdopodobnie nie opuszczał jej twarzy o cerze przypominającej kość słoniową.

– Mamy eskortować cię do domu matki – odparł Petus, ruszając w jej stronę.

– Na czyje polecenie i z jakiego powodu? – Jej głos stał się ostrożny i jeszcze niższy.

– Na polecenie cesarza i senatu; masz udać się z nami bezzwłocznie.

– Nie zrobię tego, dopóki nie podacie mi powodu.

– Uznano cię winną morderstwa twojego męża Druzusa i masz zostać przekazana pani Antonii, która zadecyduje o twoim losie – odparł Petus, zatrzymując się tuż przed nią.

Wbiła w niego wściekle spojrzenie.

– W takim razie już jestem martwa.

– Nie z ręki własnej matki. Tyberiusz okazał miłosierdzie, oddając cię jej. – Petus położył rękę na jej ramieniu. – Pójdź ze mną, pani.

Prawa pięść Liwilla oderwała się gwałtownie od jej boku i uderzyła w pierś kwestora; kobieta odwróciła się i rzuciła do ucieczki, zostawiając Petusa stojącego bez ruchu, z wyciągniętą przed siebie ręką. Wespazjan natychmiast rzucił się za kobietą, a ponieważ miała ruchy ograniczone jedwabną stolą, po kilku krokach chwycił ją za włosy. Wrzeszcząc niczym harpia i wijąc się jak babilońska nierządnicą, Liwilla usiłowała mu się wyrwać; długimi paznokciami próbowała przeorać mu twarz, a ostrymi zębami ugryzła w ramię aż do krwi. Żołnierze kohorty miejskiej wbiegli do środka, by powstrzymać spieszących na pomoc swojej pani domowników. Podczas szarpaniny z Liwillą Wespazjan musiał się obrócić i ponad jej ramieniem zobaczył, że Petus osuwa się na kolana. Tunika i toga przesiąkły krwią, a on patrzył z niedowierzaniem na sterczącą mu w klatce piersiowej złoconą rękojeść sztyletu.

Wespazjan wydał zwierzęcy ryk, zacisnął palce na włosach Liwilla i zamierzył się prawą pięścią. Kobieta przestała walczyć, a w jej oczach pojawiło się przerażenie. Wespazjan przytrzymał ją przed sobą za włosy i na wpół oślepiony furią splunął jej w twarz, a potem z

bulgoczącą w gardle wściekłą nienawiścią wbił pięść w jej pełne usta. Bluznęła krew, zalewając jej twarz i tryskając na niego Rozciął jej wargi w kilku miejscach i roztrzaskał przednie zęby. Puścił ją, upadła z wyciem na podłogę, kopał po brzuchu w nadziei, że może być brzemienna, potem dał krok nad nią i ruszył do Petusa, który powoli opadał na plecy.

Kłękawszy, uniósł głowę przyjaciela; Petus miał bladą, woskową twarz.

Spojrzał na Wespazjana gasnącymi oczyma.

– Mały bałagan, co, stary? – szepnął. – Miej za mnie oko na małego Lucjusza, dobrze?

– Na pewno, przyjacielu – odparł Wespazjan, czując, jak łzy napływają mu do oczu. –

Tak mi przykro.

– Głupiec ze mnie, myślałem, że to po prostu kobieta. – Ostatni, urywany oddech zamarł mu w krtani, oczy się zamglily.

Wespazjan opuścił jego głowę i przesunął dłonią po twarzy, zamykając mu powieki.

– Niech kilku waszych ludzi strzeże ciała, dopóki nie przybędzie po nie jego małżonka, centurionie – rozkazał – a teraz zabierajcie tę sukę i ruszajcie za mną.

Wespazjan zszedł po zalanych słońcem stopniach domu Liwilli. Ona sama, zakrwawiona, z opuchniętą twarzą, szła za nim, pojękując, przez nikogo niepodtrzymywana, w otoczeniu centuriona i jego czterech ludzi. Wespazjan miał twarde, nieruchome, wbite przed siebie spojrzenie; starał się opanować, bo miał ogromną ochotę rozerwać gardło Liwilli własnymi zębami. Jak Tyberiusz mógł okazać jej litość?

– Liwillo! – rozległ się ostry, przenikliwy kobiecy głos z drugiej strony ulicy.

Za kordonem centurii kohorty miejskiej stała Apikata, trzymając w ręce długi sztylet o cienkim ostrzu. Ubranie miała w strzępach, policzki i ramiona poorane świeżymi głębokimi zadrapaniami, pod paznokciami krew.

– Liwillo, ty poroniony pomocie Gorgony, spójrz na mnie!

Kobieta podniosła wzrok, próbując dostrzec coś przez zapuchnięte oczy.

– Ja ci to zrobiłam! – wrzasnęła triumfalnie Apikata. – Ja. Napisałam Tyberiuszowi o tym, jak dostałaś truciznę od swojego medyka Eudemusa i jak niewolnik Druzusa, Lygdus, podał ją swojemu panu. Obaj to potwierdzili na torturach. – Zachichotała histerycznie i pomachała sztyletem w stronę Liwilli. – Zabrałaś mi męża i doprowadziłaś do śmierci mojego syna, a teraz odebrano mi dwójkę pozostałych dzieci, ale to nieważne, nieważne, bo mam ciebie... jesteś

skończona, Liwillo, skończona! A oto, co o tobie myślę.

Podniosła sztylet ponad głowę, zacisnęła obie dłonie na jego rękojęści i wydając kolejny przeszywający krzyk, wbiła sobie ostrze pod dolne żebro; zadygotała i zgięła się w pół. Potem podniosła głowę i spojrzała na Liwillę; krew sączyła jej się z kącików ust i z nozdrzy.

– To właśnie cię czeka! – krzyknęła i z oczyma rozwartymi szaleńczym skupieniem pchnęła nóż w górę, prosto w serce i umarła, nie wydawszy już żadnego dźwięku.

Wyraźnie wzburzony Gajusz czekał na Wespazjana w atrium Antonii.

– A gdzie Petus? – zapytał, ledwie siostrzeniec przekroczył próg.

Wespazjan milczał. Wystarczył jeden rzut oka na jego skamieniałą twarz i pokiereszowaną twarz Liwilli, by poznać odpowiedź.

– O, rozumiem – wymamrotał Gajusz. – Tak bardzo mi przykro, drogi chłopcze.

Wespazjan skinął głową. Kiedy przeprowadzano rozdygotaną Liwillę obok niego, patrzył na nią z nienawiścią.

– Ta kobieta zasługuje na śmierć, a ześlą ją jedynie na jakąś wyspę, gdzie dożyje starości. Żadna matka nie każe zabić swojego dziecka.

– To niezwykły dzień – oświadczył niemal przepaszającym tonem Gajusz. – Muszę wracać do senatu i niestety, kiedy tylko przekażesz Liwillę Antonii, będziesz musiał do mnie dołączyć.

– Jak sobie życzysz, wuju – odparł tępo Wespazjan. – Co się tam znowu dzieje?

– Coś bardzo przykrego, ale nie sądzę, by dało się tego uniknąć – powiedział Gajusz i wyszedł, kręcąc głową.

– Prowadźcie ją tędy – powiedział Pallas, który pojawił się pomiędzy kolumnami po drugiej stronie atrium. – Pani Antonia czeka.

– Dziękuję, centurionie. – Wespazjan ruszył naprzód i chwycił ramię Liwilli. – Ja już sobie z nią poradzę. Poczekaj na mnie przed domem.

Przemierzyli za Pallasem cały dom, aż stanęli przed drzwiami do mieszczącego się na dole prywatnego więzienia Antonii, gdzie wcześniej przetrzymywano Rotekesa i Sekundusa. Pallas otworzył drzwi i po wilgotnych kamiennych schodkach zszedł na dół.

Liwilla zaczęła się wyrywać, kiedy ze złowrogiego, zatęchłego korytarza buchnął zapach strachu i rozpacz.

– Dokąd mnie zabieracie? – zapiszczała, szarpiąc się w silnym uścisku Wespazjana.

– Na spotkanie z matką, suko – warknął *triumvir capitalis*, popychając kobietę przez drzwi.

Antonia czekała na nich w niskim korytarzu przed kłitką, w której wcześniej trzymano medyjskiego kapłana.

– Fakt, że do tego doszło – oświadczyła, potrząsając głową i spoglądając na córkę zimnym, groźnym wzrokiem – sprawia mi więcej bólu, niż potrafiś sobie wyobrazić, Liwillo.

– Matko, matko, proszę. – Liwilla wyrwała się Wespazjanowi, podbiegła do Antonii i klękając przed nią, objęła za kolana. – Matko, proszę, wybac mi – wołała.

Rozległo się ostre klaśnięcie, kiedy Antonia wymierzyła jej siarczysty policzek.

– Tobie wybaczyć? Tobie, która zabiłaś własnego męża, tobie, która, gdybym nie interweniowała, torturowałabyś Cenis, dziewczę, które jest mi bardziej córką niż ty; tobie, która byłaś gotowa dla osiągnięcia własnych celów patrzeć, jak umiera twój syn. Ty prosisz mnie o wybaczenie?

– Błagam cię, mamusiu.

– Nie pozwalaj sobie na takie poufałości, dziwko! – wrzasnęła Antonia, wyrывая się z uścisku Liwilli. – Między nami nie ma już miłości i nigdy nie będzie. – Otworzyła drzwi celi. – Wchodź tam.

Liwilla, zawodząc, potulnie weszła do cuchnącego pomieszczenia. Antonia zamknęła za nią drzwi i przekręciła klucz w zamku. Potem rzuciła klucz Pallasowi.

– Zatrzymaj go. Nie oddawaj mi, nawet gdybym cię o to błagała; Wespazjan jest świadkiem, że taki rozkaz wydałam – oświadczyła, po czym postawiła przed drzwiami stół i usiadła.

– Co zamierzasz, pani? – spytał Wespazjan.

Antonia splotła dłonie na podołku.

– To, co muszę. Cesarz stracił swojego jedyne go syna przez moją córkę. Liwilla gotowa była patrzeć obojętnie, jak jej syn umiera otruty; zatem, by to zakończyć, postąpię podobnie. Przynosz mi jedzenie i wodę raz dziennie, Pallasie; będę tu siedzieć i czekać, aż moja córka umrze.

Na te słowa z wnętrza celi dobiegło przeciągłe wycie, a w drzwi załomotały pięści.

Wespazjan dał krok do przodu.

– Ależ, pani, zabicie własnego dziecka jest sprzeczne ze wszystkim, co... – Przerwał, ponieważ dłoń Pallasa zakryła mu usta.

Zarządca odciągnął go do tyłu. Młody człowiek odwrócił się do niego przodem i pierwszy raz zobaczył, że coś rysuje się na nieporuszonej zazwyczaj twarzy Greka; tym czymś był gniew.

– Stanie się zgodnie z twoją wolą, pani – oświadczył dobitnie Pallas, patrząc w oczy Wespazjana.

Odwrócił się i pociągnął młodzieńca w górę schodów. Kiedy już byli prawie u ich szczytu, Wespazjan obejrzał się. Antonia siedziała bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w szerniałą od dymu ścianę, nieczuła na krzyki córki za plecami.

Pallas prowadził Wespazjana korytarzami domu, do których docierało echo krzyków Liwilli.

– Wespazjanie – zawołała Cenis, podbiegając do niego, kiedy mężczyźni znaleźli się w atrium – co się dzieje?

Wziął ją w ramiona i wtulił twarz w jej włosy.

– Pokaz siły woli twojej pani: wydała wyrok śmierci na własną córkę i sama jest jej katem. – Puścił Cenis i kilkakrotnie wymierzył palcem w stronę, skąd dochodził histeryczny już teraz krzyk. – Niezależnie od tego, jak bardzo jej nienawidzi – zawołał do Pallasa – jak może coś takiego robić?

– Musi, panie – odparł Pallas, przybrawszy znowu maskę obojętności. – Wie, że jeśli tego nie zrobi, to sprawą honoru dla Tyberiusza będzie pomścić śmierć syna w o wiele okropniejszy sposób. Umrze Klaudiusz, Kaligula i Gemellus, a wraz z ich śmiercią odbierze jej wszelką władzę.

– Skoro w Rzymie utrzymywanie się przy władzy wymaga czegoś takiego, to ja wracam do swoich posiadłości.

Cenis podniosła na niego wzrok i pokręciła powoli głową, słuchając niemilkącego krzyku.

– Nie, ukochany, zostaniesz tutaj i wyciągniesz lekcję z jej siły. Pallas ma rację; ona nie może sobie pozwolić na postawienie Tyberiusza w sytuacji, w której honor będzie wymagał, by wymordował całą resztę swojej rodziny.

– Czemu nie? Kaligula jest moim przyjacielem i nie życzę mu źle, ale na własne oczy widziałem, jak on się zachowuje, i wiem, że będzie najgorszym cesarzem, jakiego można sobie

wyobrazić. Byłoby o wiele lepiej, gdyby Tyberiusz mógł wybrać kogoś nadającego się na następcę.

– Naprawdę myślisz, że tak postąpi? Czy może właśnie wybierze człowieka nieskończenie gorszego, żeby, przez porównanie, zobaczono go w zupełnie innym świetle i takim zapamiętano? Wybierze *prawdziwego* tyrana.

Pamiętając niezrównoważonego starca z Capri, Wespazjan nie musiał się długo zastanawiać nad odpowiedzią.

– Wybrałby tyrana i to by go bawiło, ponieważ... – Przerwał i widać było, jak zrozumienie wygładza rysy jego twarzy. – Lepiej, byśmy mieli takiego Kaligulę, nieważne jak jest rozpustny i niegodziwy, bo przynajmniej Antonia będzie trzymać go na wodzy?

– Tak sędzę, panie, i dlatego nie pozwolę, byś próbował namawiać ją do zmiany decyzji – powiedział Pallas, podnosząc klucz od celi Liwilli. – Nie oddam go mojej pani, dopóki nie wypełni swojego obowiązku wobec Rzymu. Tak jest najlepiej dla nas wszystkich.

Wespazjan, wlepiając wzrok w klucz, uświadomił sobie, że oddając go Pallasowi, Antonia przyznawała się do tego, że jej instynkt macierzyński mógłby przeważać nad poczuciem obowiązku.

– Ona nie chce tego zrobić, prawda?

– Oczywiście, że nie, a ty byś chciał?

– I naprawdę nie ma innego wyjścia?

– Nie, chyba że poderznąłaby córce gardło. Tego jednak nie potrafiłaby uczynić... kto by zresztą potrafił? Musi zatem znosić krzyki konającego powoli własnego dziecka. Uznaje, że taka jest kara dla niej za dzieciobójstwo, i godzi się na nią, by wypełnić swoje zobowiązania wobec Rzymu.

Wespazjan spojrział tam, skąd dochodziły krzyki.

– Tak, chyba teraz rozumiem... i podziwiam ją za to. Rzeczywiście, płaci wysoką cenę, by spełnić swój obowiązek, ale jak przypuszczam konieczną.

Pallas wzruszył ramionami.

– Jest silna i udźwignięcie tego nie przekracza jej możliwości.

– To jest pewna pociecha. – Wespazjan spojrział na Cenis i westchnął. – A teraz ja z kolei muszę znaleźć w sobie siły, by pójść i wypełnić swój obowiązek.

Cenis podniosła rękę i pogładziła go po policzku.

– Znajdziesz siłę, by zrobić co trzeba, ukochany; cokolwiek się okaże. – Uśmiechnęła się.

Cofnął się o krok i popatrzył na nią. Niczego bardziej nie pragnął, jak zatopić się w niej i pozbyć zmartwień i okropności tego dnia, ale wiedział, że te się jeszcze nie skończyły.

– Pallasie – odezwał się cichym głosem – bądź tak dobry i każ odprowadzić Cenis do domu mojego wuja... nie sądzę, by przez kilka najbliższych dni twoja pani jej potrzebowała.

– Osobiście tego dopilnuję, panie.

– Do zobaczenia później, najmiłsza – powiedział Wespazjan, unosząc jej podbródek i całując delikatnie w usta.

– Dokąd idziesz?

– Do senatu, by spełnić bardzo nieprzyjemny, jak sądzi mój wuj, obowiązek. Nie wiem, na czym polega, ale myślę, że okaże się niczym w porównaniu z tym, co robi Antonia.

Pocałował ją raz jeszcze, bardziej namiętnie, a potem z krzykiem Liwilli w uszach i z obrazem swojej dobrodziejki czekającej na śmierć córki w oczach odszedł, wzmocniony pozbawioną egoizmu determinacją Antonii.

Kiedy Wespazjan zajrzał przez drzwi do siedziby senatu, panował tam nieopisany zgiełk. Na drugim końcu sali, przed konsulami, otoczona z dwóch stron przez wrzeszczących senatorów, stała dwójka dzieci, mniej więcej czternastoletni chłopiec i dziewczynka nie mająca więcej jak siedem lat.

– I pytam was, *patres conscripti* – ryczał najgłośniejszym głosem konsul Trio – jak możemy wydać taki wyrok na dwoje dzieci, niewinnych, co oczywiście, jakiegokolwiek zbrodni.

Usiadł z powrotem na krześle kurulnym, a spośród szeregów rozgorączkowanych senatorów podniósł się Aulus Plaucjusz.

– Proszę o waszą uwagę, *patres conscripti* – zawołał i poczekał, aż harmider ucichnie. – Mogą być niewinne zbrodni – powiedział, spoglądając na dwoje przerażonych dzieci – ale niewinni imienia już nie. Kiedy głosowaliśmy za śmiercią Sejana, głosowaliśmy również za wymazaniem jego imienia z historii, tak jakby nigdy nie istniał. Czymże jest senat, jeśli wzbrania się przed wykonaniem własnej woli? Naszą jest bowiem wolą, by imię Sejana zniknęło, a one – wymierzył oskarżycielsko palec w dzieci – one noszą jego imię. Macie obowiązek je skazać. – Usiadł, zarzucając teatralnie togę, pośród absolutnej ciszy, ponieważ senatorowie usiłowali w myślach znaleźć sposób na odrzucenie jego argumentacji. Żaden nie znalazł.

Po krótkiej przerwie stało się oczywiście, że nikt nie zamierza przemówić. Regulus

podniósł się powoli z krzesła.

– Wniosek postawiony senatowi brzmi następująco: Na dzieciach Sejana, Kapitonia i Junilli, ma zostać wykonana egzekucja w taki sam sposób jak na ich ojcu, zgodnie z wyrokiem *damnatio memoriae*. Przystępujemy do głosowania.

Wespazjan upadł na duchu, kiedy zobaczył, że zdecydowana większość senatorów przechodzi na prawo od Regulusa.

– Niech więc tak będzie – oznajmił znużonym głosem konsul – oświadczam, że wniosek przeszedł. Wezwać triumwira.

Wespazjan wszedł na ołowianych nogach i stanął tuż za dwojgiem dzieci.

– Słyszałeś wyrok? – spytał go Regulus.

– Tak, konsulu.

– Czyń zatem swoją powinność.

Wespazjan zebrał się w sobie. Wyglądało na to, że tego dnia Rzym wiele oczekuje od każdego. Położył ręce na ramionach obojga dzieci; chłopiec spojrzał na niego zimnym martwym wzrokiem i stracił jego dłoń.

– Dokąd idziemy? – spytała brata Junilla.

– Do ojca – odparł Kapito, biorąc ją za rękę.

– Przecież on nie żyje.

Kapito skinął głową.

– Co to jest egzekucja?

Chłopiec ścisnął jej dłoń i z wysoko podniesioną głową poprowadził ją spokojnie ku otwartym drzwiom.

Wespazjan poszedł za nimi. Senatorowie milczeli.

Kiedy schodzili na Forum, Gajusz dogonił Wespazjana.

– Przykro mi, że padło na ciebie, drogi chłopcze – wymamrotał.

– Dlaczego Aulus Plaucjusz to zrobił? Czy sprawy nie zaszły już wystarczająco daleko?

– Niestety, to nie Plaucjusz.

– W takim razie kto zgłosił ten wniosek?

– Ja.

– Ty? Dlaczego?

– Na polecenie Antonii – odpowiedział wyraźnie przygnębiony Gajusz. – Kazała

pochwyć dzieci z zemsty za to, że Apikata napisała do Tyberiusza. Wiedziała, że Liwilla będzie musiała umrzeć, że Tyberiusz tego oczekiwał, i chociaż nienawidziła córki, honor nie pozwalał jej pozostawić tego bez odwetu. Zażądała więc, bym poprosił senat o śmierć dla dzieci Apikaty. Próbowałem odmówić, ale mi zagroziła.

– Czym? – spytał Wespazjan, zachodząc w głowę, co takiego Antonia mogła mieć na Gajusza, żeby zmusić go do takiego postępu.

Gajusz spojrział siostrzeńcowi prosto w oczy.

– Śmiercią – oświadczył po prostu i odszedł.

Wespazjan kręcił głową, patrząc na oddalającego się wuja, i zastanawiał się, czy Antonia rzeczywiście kazałaby zabić Gajusza, gdyby nie wykonał jej polecenia. Potem przypomniał sobie stanowczość, z jaką czekała na śmierć córki. Znał odpowiedź; czymże było życie Gajusza w porównaniu z tym, co musiała zrobić dla honoru i z obowiązku?

Odwrócił się i ruszył za dwojgiem dzieci, które trzymając się za ręce, szły na spotkanie śmierci, eskortowane przez centuriona i żołnierzy kohorty miejskiej w ich krótkiej drodze przez Forum do Tullianum.

Znowu przypomniał sobie, co mówiła babka, popijając wino z ulubionego kielicha: „Radzę ci trzymać się z dala od polityki, której nie rozumiesz, i nie wiązać się z ludźmi władzy, ponieważ na ogół mają oni tylko jeden cel, a mianowicie, chcą jeszcze więcej władzy. Chętnie wykorzystują ludzi naszej sfery jak narzędzia, których można się pozbyć, kiedy przestają być potrzebne”. Rozumiał sens tego ostrzeżenia; Gajusza można było się pozbyć, tak jak może kiedyś jego samego, Wespazjana.

Centurion załomotał do drzwi Tullianum; po krótkiej chwili otworzył je Spuriusz.

– No, no, co my tu mamy? – powiedział przeciągle, oblizując się na widok Kapitona i Junilli.

– Wykonasz swój obowiązek z powagą i w milczeniu, Spuriuszu – syknął Wespazjan – bo, klnę się na wszystkich bogów, dopilnuję, byś stał się następną ofiarą tej czystki.

Spuriusz spojrział na niego zaskoczony jadowitym tonem głosu Wespazjana, a ujrawszy twardy błysk w jego oczach, skinął posłusznie głową. Cofnął się i Kapito wprowadził do środka swoją siostrzyczkę.

– Co to za miejsce – zapytała dziewczynka brata, rozglądając się po zimnym, pograżonym w mroku pomieszczeniu.

- Miejsce, gdzie to się kończy, Junillo – odparł łagodnie Kapito. – Bądź dzielna.
- Ścinanie czy ściskanie? – Spuriusz wyszeptał Wespazjanowi do ucha.
- Ściskanie – odparł Wespazjan, choć słowo to z trudem przeszło mu przez gardło. – I zrób to szybko.

Jeden z towarzyszy Spuriusza przyniósł powrozy i kołki, a Spuriusz kazał dzieciom klęknąć. Założono im pętle na szyje; Junilla, kiedy wreszcie zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, zaczęła cichutko popłakiwać.

- Chwileczkę – odezwał się nagle Spuriusz – nie możemy tego zrobić dziewczynce.
- Czemu nie? – warknął Wespazjan, drżąc ze zdenerwowania. – Taka jest wola senatu.
- Ona jest... no wiecie... – jąkał się Spuriusz, starając się być dyskretny... i nie możemy... to byłoby wbrew bogom.

Wespazjan zamknął oczy i zasłonił twarz rękoma.

- W takim razie zajmijcie się chłopcem – rzucił im rozkaz.

Skamieniała ze zgrozy Junilla patrzyła, jak wkładają kołek w pętlę na karku jej brata i kręcą nim, aż powróż przylega do szyi. Spuriusz odwrócił się do Wespazjana, który z ociąganiem skinął głową.

Na twarzy dziewczynki malował się niemy krzyk, kiedy pętle wyciskała życie z jej brata, któremu męka agonii wykrzywiła twarz i skręcała ciało. Ukryła twarz w dłoniach i wstrząsał nią niekontrolowany dreszcz.

Ciało chłopca runęło w otaczającą je kałużę moczu, a Junilla przylgnęła do niego, zanosząc się płaczem.

- To co w takim razie z nią zrobimy? – spytał Spuriusz.

Wespazjana ogarnęła przeraźliwa niemoc. Pomyślał o Cenis i chciał koniecznie znaleźć się w jej ramionach.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Senat zdecydował, że ma umrzeć – powiedział, otwierając je. – Skoro nie możecie uśmiercić dziewczycy, sprawcie, by nią nie była.

Kiedy zatrzaskiwał za sobą drzwi, wychodząc w jasność słonecznego dnia, Junilla wydała przeciągły krzyk przerażenia.

Od Autora

Niniejszą powieść historyczną oparłem przede wszystkim na dziełach Swetoniusza, Tacyty i Kasjusza Diona.

Getowie byli ludem trackim, słynącym zarówno z umiejętności jeździeckich i wykorzystywania konnych łuczników, jak i z noszenia... spodni! Nie wiem na pewno, ale jakoś nie wydaje mi się, bym był winien duchom ich przodków przeprosiny za moją opinię na temat ich higieny osobistej. Pierwotnie zamieszkiwali oba brzegi dolnego Dunaju, jednakże kolejne najazdy, zwłaszcza Celtów w trzecim stuleciu i Rzymian w pierwszym, zatrzymały ich na północnym brzegu, skąd od czasu do czasu najeżdżali Mezję. Historycy nie są zgodni co do tego, czy należy ich utożsamiać z Dakami, stulecie później największymi wrogami Rzymu, czy też byli pierwotnie oddzielnym ludem, przez Daków wchłoniętym. Plan geckiej fortecy w Sagadawie i pobliskiego obozu rzymskiego z IV wieku przed Chrystusem można obejrzeć na Wikimapia.org 44.2414329 N, 27.8540111 E.

Przekonanie, że Rzymianie wykorzystywali niewolników w charakterze wioślarzy, jest uparcie powielanym błędem, który uwiarygodnia choćby często powtarzana projekcja doskonałego filmu *Ben Hur*. Dla celów fabuły przypisałem tę praktykę Trakom, ale nie udało mi się znaleźć informacji, czy rzeczywiście tak postępowali. Jeśli popełniłem wielką historyczną gafę, to przepraszam tracką flotę... jeśli w tamtym czasie takowa jeszcze istniała.

Ruiny świątyni Amfiaraosa oraz otaczającego ją sanktuarium i pobliskiego teatru się zachowały. Najczęściej wybieraną metodą uzyskiwania od herosa rady było przespanie się we wnętrzu świątyni po złożeniu ofiary; ja przenieśliem Raskosa na zewnątrz, żeby Wespazjan i Sabinus mogli być sam na sam z kapłanami.

Klemens należał do gwardii pretoriańskiej i rzeczywiście był spokrewniony z Wespazjanem i Sabinusem przez ich babkę, Tertullę. Sabinus poślubił jego siostrę, Klementynę, mniej więcej w tym czasie, ale prawdopodobnie w innych niż opisane w powieści okolicznościach.

Pallas, jako posłaniec Antonii, udający się do Tyberiusza z dowodami zdrady Sejana – bez wątplenia spisany przez Cenis – wspomniany jest w dziele Józefa Flawiusza

zatytułowanym *Dawne dzieje Izraela*. Tacyt pisze, że Satriusz Sekundus ujawnia Antonii owe obciążające dowody, ale, podobnie jak Józef Flawiusz, nie podaje konkretów. W dziełku *O pocieszeniu do Marcji* Seneka stwierdza, że Sekundus był klientem Sejana, ja jednak zdecydowałem się powiązać go z Makronem i umieścić jego małżonkę, Albucyllę, znaną z wielu romansów, w łozu Sejana i Liwilli, by mogła przydać się Antonii do zdobycia potrzebnych dowodów. Nie wiadomo, czy Kaligula pomógł Pallasowi przechytrzyć strzegących cesarza gwardzistów; w każdym razie młodzieniec niewątpliwie przebywał w tym czasie na Capri i był żywotnie zainteresowany upadkiem Sejana. Wespazjan, Sabinus i Korbulon towarzyszący tam Pallasowi to już naturalnie fikcja literacka.

W różnych źródłach pojawiają się wzmianki o zamięłowaniu Tyberiusza do strącania ludzi ze skały i o jego wyuzdaniu. Swetoniusz pisze o oddziale żołnierzy stacjonującym u stóp skały, by dobijać tych, którzy przeżyli upadek. Wspomina też „rybki” czy „płatki”, jak nazwał je w swoim przekładzie Robert Graves. Jednakże dla mnie najbardziej mrożącym krew w żyłach szczególnie podanym przez Swetoniusza jest ten o lewej ręce Tyberiusza, którą miał „tak silną, że mógł przebić palcem zdrowe, świeżo zerwane jabłko, oraz wcisnąć je w czaszkę chłopca czy młodzieńca”. Musiał regularnie popisywać się tą umiejętnością, skoro zapamiętano ją jako jedną ze sztuczek, jakimi cesarz zabawiał gości podczas uczt.

Kazirodcze związki Kaliguli z siostrami udokumentowane są przez Swetoniusza, który opisuje, jak to podczas uczt miał on zwyczaj układać swoją małżonkę powyżej siebie, to znaczy za swoimi plecami, a siostry „na zmianę poniżej siebie”. Trudno powiedzieć, czy Kaligula miał tylko złą prasę przez całe lata, jak w ciekawy sposób przekonywała ostatnio jedna z jego niemieckich biografii; ja, z oczywistych powodów, postanowiłem skorzystać z barwniejszej wersji zachowań tego fascynującego cesarza.

Wydarzenia towarzyszące upadkowi Sejana zaczerpnąłem z opisu Kasjusza Diona, jako że Tacyt wydawał mi się w tej materii kompletnie zdezorientowany, a Swetoniusz niejasny. Dla dobra narracji skondensowałem przebieg pewnych wydarzeń: Strabona nie stracono razem z ojcem, tylko kilka dni później, a dwoje młodszych dzieci jakieś dwa miesiące, a nie dni po tamtych egzekucjach. Apikata przed swoim samobójstwem zdołała zemścić się za śmierć swoich dzieci, ujawniając fakt zamordowania Druzusa przez Liwillę. Nie jest pewne, czy Antonia zagłodziła córkę na śmierć; Kasjusz Dion stwierdza tylko, że słyszał pogłoski na ten temat. Uczynienie Aulusa Plaucjusza zwolennikiem Sejana, przeciwko któremu się później obraca, to

już mój wymysł; chciałem wprowadzić go do opowieści, zanim pojawi się jako dowódca legionów dokonujących podboju na Brytanię. Prawdą natomiast jest, że wielu senatorów zachowałoby się w taki sposób, by ratować skórę.

Miło zauważyć, że według Swetoniusza, ojciec Wespazjana, Tytus, został helweckim bankierem i niewątpliwie, tak jak jego obecnym odpowiednikiem, powodziło mu się znakomicie. Wiemy, że Tytus Pomponiusz Attyk prowadził bankowe interesy wśród Helwetów po tym, jak zostali pokonani przez Cezara. Uczynienie w powieści Pomponiusza Labeona jego wnukiem wydawało się dobrym sposobem, żeby skierować Tytusa w stronę udokumentowanego historycznie zajęcia.

Przy datowaniu kolejnych szczebli kariery Wespazjana skorzystałem ponownie z doskonałej biografii cesarza pióra Barbary Levick. Mniej więcej właśnie w tym czasie zostałby jednym z *vigintiviri*, jeśli odsłużył pełne cztery lata w Tracji, nie wiadomo jednak, czy był jednym z *triumviri capitales*. Barbara Levick zwraca uwagę na to, że gdyby był rzeczywiście zaangażowany w potworne zgładzenie młodszych dzieci Sejana, to na pewno jego wrogowie wykorzystywaliby ten fakt przeciwko niemu podczas Roku Czterech Cesarzy i później, w czasie jego pryncypatu, a przecież tak się nie stało. Niemniej tej możliwości nie możemy całkiem wykluczyć i dlatego wolałem ją wykorzystać, niż kazać mu zajmować się drogami, co byłoby bardziej logiczne, zważywszy na jego przyszłą karierę. Wątpię jednak, by zakończenie powieści budową dróg było szczególnie interesujące.

Podziękowania należą się ponownie mojemu agentowi, Ianowi Drury'emu z Sheil Land Associates, bez którego wciąż marzyłbym na błotnistych polach albo męczył się w dusznych studiach filmowych w samym środku lata, próbując skończyć kolejne ujęcie, by móc przejść do następnego i tak dalej, i tak dalej. Dziękuję Gai Banks i Virginii Ascione z działu praw autorskich oraz Lucy Fawcett z działu filmu i telewizji.

Nikowi Cheethamowi, mojemu wydawcy, zawdzięczam ten ekscytujący rok i składam wielkie dzięki jemu oraz jego świetnemu zespołowi z Corvus Books: Mathildzie Imlah, Laurze Palmer, Becci Sharpe i Rinie Gill, by wymienić tylko kilka osób. Gratulacje, Rino, z okazji narodzin dziecka (a niech to lichy, zapomniałem imienia, muszę sprawdzić).

Ponowna współpraca z Richendy Todd, redaktorką mojej powieści, była samą przyjemnością; dziękuję jej za to, że jest wnikliwa, logiczna i naprawdę dobra w tym, co robi. (Przepraszam, Richendo, wydaje mi się, że niezbyt obrazowo to przedstawiłem!)

Wreszcie dziękuję Tobie, Anju, za twoją miłość i wsparcie, kiedy zmieniłem cel w życiu i zaczynałem odzyskiwać panowanie nad sytuacją; i oczywiście za wysłuchiwanie każdego wieczoru wszystkiego, co napiszę.

Opowieść o Wespazjanie znajdzie swój dalszy ciąg w *The False Gods of Rome*.